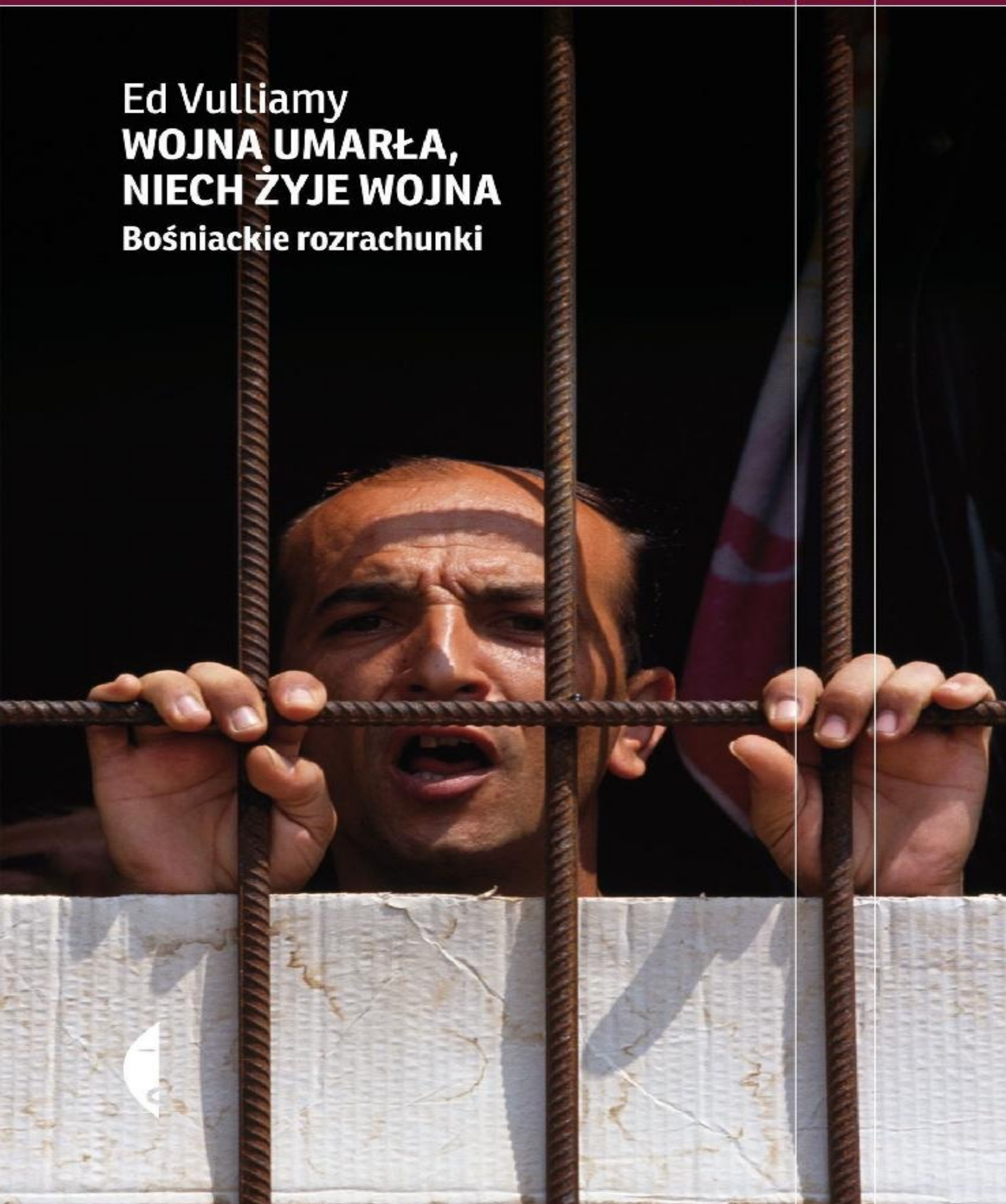


Ed Vulliamy
**WOJNA UMARŁA,
NIECH ŻYJE WOJNA**
Bośniackie rozrachunki



W serii ukazały się ostatnio:

Dariusz Rosiak *Wielka odmowa. Agent, filozof, antykomunista*
Anthony Shadid *Nadciąga noc. Irakijczycy w cieniu amerykańskiej wojny*
Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*
Iza Klementowska *Samotność Portugalczyka*
V. S. Naipaul *Poza wiarą. Islamskie peregrynacje do nawróconych narodów*
Drauzio Varella *Ostatni krąg. Najniebezpieczniejsze więzienie Brazylii*
Ewa Winnicka *Angole*
Michał Olszewski *Najlepsze buty na świecie*
Norman Lewis *Głosy starego morza. W poszukiwaniu utraconej Hiszpanii*
Grzegorz Szymanik *Motory rewolucji*
V. S. Naipaul *Maska Afryki. Odslony afrykańskiej religijności*
Karolina Domagalska *Nie przepraszę, że urodziłam. Historie rodzin z in vitro*
Pin Ho, Wenguang Huang *Uderzenie w czerń. Morderstwo, pieniądze i walka o władzę w Chinach*
Liao Yiwu *Pociski i opium. Historie życia i śmierci z czasów masakry na placu Tiananmen*
Marcin Wójcik *W rodzinie ojca mego*
Frances Harrison *Do dziś liczymy zabitych. Nieznana wojna w Sri Lance*
Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Wilki żyją poza prawem.*
Jak Janukowycz przegrał Ukrainę
Peter Hessler *Dziwne kamienie. Opowieści ze Wschodu i z Zachodu*
Jenny Nordberg *Chłopcy z Kabulu. Za kulisami buntu obyczajowego w Afganistanie*
Magdalena Kicińska *Pani Stefa*
Andrzej Muszyński *Cyklon*
Swietłana Aleksijewicz *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* (wyd. 2)
Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 3 rozszerzone)
Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju*
Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 4)
Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja*
Swietłana Aleksijewicz *Cynkowi chłopcy* (wyd. 2)
Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość*
Mur. 12 kawałków o Berlinie pod red. Agnieszki Wójcińskiej
Jean Hatzfeld *Englebert z rwandyjskich wzgórz*
Marcin Kącki *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*
Bartek Sabela *Wszystkie ziarna piasku*
Anna Bikont *My z Jedwabnego* (wyd. 3)
Martin Schibbye, Johan Persson *438 dni. Nafta z Ogadenu i wojna przeciw dziennikarzom*
Swietłana Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* (wyd. 2)
Dariusz Rosiak *Ziarno i krew. Podróż śladami bliskowschodnich chrześcijan*
Piotr Lipiński *Bicia nie trzeba było ich uczyć. Proces Humera i oficerów śledczych Urzędu Bezpieczeństwa* (wyd. 2 popr. i rozszerz.)

W serii ukazą się m.in.:

Paweł Smoleński *Zielone migdały, czyli po co światu Kurdowie*
Wolfgang Bauer *Przez morze. Z Syryjczykami do Europy*

Ed Vulliamy

Wojna umarła, niech żyje wojna

Bośniackie rozrachunki

Przełożył Janusz Ochab



Wołowiec 2016

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *The War is Dead, Long Live The War.*

Bosnia: The Reckoning

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Patrick Robert / Sygma / Corbis / Profimedia

Copyright © by Edward Vulliamy, 2012

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2016

Copyright © for the Polish translation by Janusz Ochab, 2016

Copyright © for the maps by Finbarr Sheehy

Redakcja Zofia Dimitrijević

Konsultacja Marta Szpala

Korekty Bernadeta Stępień / d2d.pl, Monika Pasek / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej Janusz Oleś / d2d.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



**NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA**

The translation was kindly supported by the Fund for Central & East European Book

ISBN 978-83-8049-231-8

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Miejsca i osoby dramatu

Wstęp do wydania polskiego

Prolog

Tło

CZĘŚĆ PIERWSZA. KARABINY SERBÓW

1 Sierpień 1992: Obóz Omarska i wędrówka do ziemi niczyjej

2 Lato 1995: Wojna o powrót do domu

3 Niebo, piekło i Hertfordshire

4 Ludobójstwo: Kadra kierownicza średniego szczebla

5 Świadectwo

Antrakt. Echa Trzeciej Rzeszy: Auschwitz-Birkenau

6 Kłamstwo

7 Siwe włosy, czerwone pelargonie i dziewczyna z perłą

8 Płyn, Drino, płyn i opowiedz swoją historię

9 Gwałt

CZĘŚĆ DRUGA. GOŁĘBIE SERCA

10 Środkowy palec dla Prijedoru: Największe miasteczko na świecie

11 Powrót do Omarskiej: Walka o pamięć

12 Pokój, miłość i obywatelstwo

13 Najczarniejsze stronice historii: Srebrenica 2005

14 Zagubiony chłopiec

15 Ludobójstwo: Kadra kierownicza najwyższego szczebla

Antrakt. Echa Trzeciej Rzeszy: Terezín i niewłaściwa strona nieba

CZĘŚĆ TRZECIA. BEZ ROZRACHUNKU: NIECH ŻYJE WOJNA

16 Bez rozrachunku: Kamienny świat

17 Bez rozrachunku: Spoczywajcie w kawałkach / Desolation Row

Epilog

Zakończenie

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy końcowe

Przypisy

Kolofon

Dla Elsy i Claudii

Jugosławia 1945-1991

i jej republiki ze stolicami. Belgrad, stolica Serbii, był również stolicą całej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii



Bośnia i Hercegowina po 1992

z zaznaczonym obszarem zajętym przez siły BiH lojalne wobec rządu w Sarajewie lub siły bośniackich Chorwatów oraz podziałem według układu z Dayton z grudnia 1995



- Obecne granice
- Terytoria zajęte w czasie wojny przez siły BiH lub bośniackich Chorwatów 1992-1995
- Terytoria zajęte przez siły bośniackich Serbów 1992-1995



Region bośniackiej Krajiny

z zaznaczonymi obozami koncentracyjnymi utworzonymi przez Serbów i największymi zbiorowymi grobami

CHORWACJA

Sawa

Legenda

- ★ Zbiorowe groby
- ◆ Obozy koncentracyjne

Prijedor ● Keraterm ◆ Kozarac ●
Trnopolje ◆ Kamičani ★
Kevljani ★ Omarska ◆

★
Hrastova Glavica

REPUBLIKA
SERBSKA

Banja Luka ●

Sanski Most ●

MASYW
VLAŠIĆ

FEDERACJA BOŠNI
I HERCEGOWINY

Manjača ◆

Vrbaš

BOŠNIA
I
HERCEGOWINA

15 km



Miejsca i osoby dramatu

Miejsca

Republika Serbska^[1] – serbska jednostka terytorialna, obejmująca połowę Bośni i Hercegowiny, powstała na mocy porozumienia pokojowego z Dayton w 1995 roku. Została utworzona na terytorium, z którego w czasie wojny wygnano Muzułmanów^[2] i Chorwatów.

Federacja Bośni i Hercegowiny – jednostka administracyjna obejmująca drugą część Bośni i Hercegowiny, utworzona zgodnie z porozumieniem pokojowym z Dayton. W zamierzeniu dzielona przez Boszniaków i Chorwatów – obecnie między tymi dwiema grupami pojawiają się napięcia. Mieszkańcy Federacji wolą określenie „Federacja BiH”, podczas gdy Serbowie i liczni cudzoziemcy używają często lekceważącej nazwy Federacja Chorwacko-Muzułmańska.

Prijedor – centrum administracyjne obszaru, na którym utworzono obozy koncentracyjne, a także miejsce, z którego nimi zarządzano. Przed wojną mieszkali tu Serbowie, Muzułmanie i Chorwaci, w czasie wojny niemal wszyscy nie-Serbowie zostali zabici lub wysiedleni. Obecnie część Republiki Serbskiej (patrz wyżej).

Kozarac – stara osmańska siedziba władz tego rejonu, miasto położone niedaleko Prijedoru. Przed wojną liczyło dwadzieścia siedem tysięcy mieszkańców, w ogromnej większości Muzułmanów. W maju 1992 roku zostało całkowicie zniszczone, a jego ludność wymordowana lub deportowana. Odbudowywane od 1999 roku przez powracających do miasta Muzułmanów i boszniacką diasporę. Kozarac również znajduje się w Republice Serbskiej.

Banja Luka – centrum regionu, drugie co do wielkości miasto w Bośni i stolica Republiki Serbskiej.

Sanski Most – miasto położone na południe od Prijedoru, przed wojną zamieszkałe głównie przez Muzułmanów, oczyszczone w 1992 roku z ludności nieserbskiej. Zdobyte podczas bośniackiej^[3] ofensywy w 1995 roku, najbliższe Prijedoru miasto włączone na mocy porozumienia w Dayton do Federacji Chorwacko-Muzułmańskiej.

Krajina – niegdyś region na granicy między państwem habsburskim a imperium osmańskim. Istnieje chorwacki region Krajina, okupowany przez wojska serbskie od 1991 do 1995 roku, oraz bośniacki region o takiej nazwie, rozciągający się wokół Prijedoru i Sanskiego Mostu. Stąd pochodzili w większości więźniowie obozów.

Kevljani – niewielka osada położona obok miejscowości Omarska. W 2004 roku znaleziono tam masowy grób zawierający szczątki czterystu pięćdziesięciu sześciu osób. Wiele z nich zostało zamordowanych w obozie Omarska.

Travnik – miasto w centralnej Bośni i stolica kraju za czasów panowania osmańskiego. Tutaj przegnano przez góry setki tysięcy przymusowo przesiedlonych Muzułmanów i Chorwatów. Miasto stało się siedzibą „etnicznie czystej” 17. Krajińskiej Brygady bośniackiej armii, złożonej głównie z byłych więźniów obozów.

Vlašić – masyw górski między Banja Luką i Travnikiem, przez który uzbrojeni Serbowie prowadzili deportowaną ludność i więźniów z obozu. Miejsce masakry dwustu czterdziestu Muzułmanów i Chorwatów dokonanej przez Serbów 21 sierpnia 1992 roku.

Sarajewo – stolica Bośni i Hercegowiny, oblężona przez trzy lata.

Obozy koncentracyjne utworzone przez bośniackich Serbów dla bośniackich cywilów, Muzułmanów i Chorwatów, wiosna 1992:

Omarska – była kopalnia rudy żelaza. Zabito tam setki, a torturowano tysiące cywilów, bośniackich Muzułmanów i Chorwatów. Ujawniony przez ITN (Independent Television News) i „The Guardian” po wizycie dziennikarzy w obozie 5 sierpnia 1992 roku. Obecnie znów działa tam kopalnia rudy, należąca do ArcelorMittal i Republiki Serbskiej.

Keraterm – obóz koncentracyjny utworzony w fabryce wyrobów ceramicznych na obrzeżach Prijedoru. Miejsce masakry stu pięćdziesięciu mężczyzn w tak zwanym Hangarze Trzecim. To stąd 5 sierpnia 1992, w dniu wizyty dziennikarzy ITN i „The Guardian”, przewieziono więźniów do Trnopolja (patrz niżej).

Trnopolje – obóz koncentracyjny dla cywilów oczekujących na masowe wysiedlenie przez masyw Vlašić. Wielu z nich w tym czasie zamordowano, innych torturowano, gwałcono i bito. To tu wykonano słynną fotografię Fikreta Alicia, gdy w 1992 roku obóz został odkryty przez dziennikarzy ITN i „The Guardian”.

Manjača – w odróżnieniu od obozów wymienionych wyżej prowadzony raczej przez wojsko bośniackich Serbów niż przez władze cywilne. Zamknięty jako ostatni ze wszystkich obozów; 6 sierpnia 1992 roku po ujawnieniu Omarskiej do Manjači przeniesiono więźniów z tego obozu.

Terminy

Obozy koncentracyjne – zdecydowanie obstać przy tym terminie. Choć nie były to obozy śmierci na skalę przemysłową, jakie tworzyli naziści, z pewnością odpowiadają dokładnie definicji ukutej podczas wojny burskiej: to miejsca, w których gromadzono cywilów, a nie jeńców wojennych, ze względu na ich tożsamość etniczną, i gdzie przed deportacją wielu z nich zostało zamordowanych, innych torturowano i gwałcono. Nie były to, jak twierdzą Serbowie i sprzyjający im rewizjoniści, „obozy przejściowe”, „ośrodki zbiorcze” czy „obozy dla zatrzymanych”.

Czystka etniczna – termin używany przez Radovana Karadžicia w 1992 roku, w precyzyjny sposób opisujący działania tego polityka. Oznacza usunięcie z danego terenu wszelkich niepożądanych grup etnicznych, a więc wymordowanie lub wysiedlenie ich członków. W przypadku serbskiej ofensywy z 1992 roku oznaczał również usunięcie wszelkich śladów obecności tych grup: niszczenie kościołów, meczetów, bibliotek itd.

Uchodźca, wysiedlony – w odniesieniu do ofiar czystek etnicznych w okolicach Prijedoru wolę to drugie określenie. Słowo „uchodźca” przywodzi na myśl kogoś, kto ucieka przed konfliktem. Usunięcie tych ludzi było częścią serbskiego planu, a nie jego konsekwencją czy też efektem ubocznym.

Boszniak – słowo „Boszniak” weszło do powszechnego użycia w roku 1993 jako precyzyjne określenie członka etnicznej grupy bośniackich Muzułmanów bez odniesienia do przynależności wyznaniowej. Nie należy go mylić z określeniem „Bośniak”, które oznacza obywatela Bośni i Hercegowiny. Jednak wielu bośniackich Muzułmanów, którzy czują się członkami narodu wieloetnicznego, woli nie używać w ogóle określeń etnicznych i mówi o sobie, że są „Bośniakami, a nie Boszniakami”.

Czetnicy – w czasie drugiej wojny światowej członkowie rojalistycznej i nacjonalistycznej partyzantki serbskiej. Bośniacy nazywali tak pogardliwie wszystkich Serbów, choć wielu z nich dumnych jest

z tego określenia. Ja używam go w odniesieniu do wyznawców określonej ideologii, unikając w ten sposób obarczania winą wszystkich Serbów – analogicznie do „nazistów” przeciwstawionych „Niemcom”.

Osoby dramatu

Politycy i mężowie stanu w byłej Jugosławii (według znaczenia):

Slobodan Milošević – w latach 1989–2000 prezydent Serbii, a następnie Jugosławii. Oskarżony o zbrodnie wojenne w Chorwacji, Bośni i Kosowie. Zmarł w 2006 roku podczas procesu w Hadze.

Franjo Tuđman – pierwszy prezydent niepodległej Chorwacji, lider partii Chorwacka Wspólnota Demokratyczna (HDZ) w latach 1989–1999. Zmarł w 1999 roku.

Alija Izetbegović – pierwszy prezydent niepodległej Bośni (1992–1996), wcześniej prezydent Republiki Bośni i Hercegowiny w ramach Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii, lider Partii Akcji Demokratycznej (SDA). Zmarł w 2003 roku.

Radovan Karadžić – prezydent samozwańczej Serbskiej Republiki Bośni i Hercegowiny (później przemianowanej na Republikę Serbską) w latach 1992–1995, przywódca Serbskiej Partii Demokratycznej (SDS). W 1995 roku oskarżony o ludobójstwo, ukrywał się do 2008 roku. Obecnie sądzony.

Generał Ratko Mladić – dowódca wojsk serbskich w Bośni w latach 1992–1995, w 1995 roku oskarżony o ludobójstwo, ukrywał się do 2011 roku. Obecnie sądzony.

Nikola Koljević – członek Prezydium Serbskiej Republiki Bośni i Hercegowiny w latach 1990–1992, następnie do 1996 roku wiceprezydent Republiki Serbskiej. Popełnił samobójstwo w 1997 roku.

Milorad Dodik – prezydent Republiki Serbskiej od 2010 roku, wcześniej, w latach 2006–2010, premier; lider Sojuszu Niezależnych Socjaldemokratów (SNSD).

Milomir Stakić – szef Sztabu Kryzysowego w Prijedorze w latach 1992–1995. Oskarżony o ludobójstwo i zbrodnie wojenne, skazany na dożywocie za zbrodnie wojenne; wyrok ostatecznie skrócono do czterdziestu lat więzienia.

Milan Kovačević – zastępca szefa Sztabu Kryzysowego w Prijedorze. Oskarżony o ludobójstwo i zbrodnie wojenne. Zmarł podczas procesu w 1998 roku.

Simo Drljača – dowódca policji i członek Sztabu Kryzysowego w Prijedorze w latach 1992–1995. Zastrzelony przez żołnierzy brytyjskich podczas próby aresztowania w 1997 roku.

Marko Pavić – były członek Serbskiej Partii Demokratycznej, aktualny burmistrz Prijedoru.

Ważne postacie i mężowie stanu z innych krajów powiązani z wojną w byłej Jugosławii:

Generał Bernard Janvier – dowódca sił pokojowych ONZ w Bośni w latach 1995–1996.

Douglas Hurd, CBE^[4] – minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii w latach 1989–1995.

Richard Holbrooke – asystent sekretarza stanu USA do spraw europejskich i kanadyjskich, główny amerykański negocjator porozumień pokojowych.

David Owen i Cyrus Vance – przedstawiciel Wspólnot Europejskich ds. byłej Jugosławii (1992–1995) i specjalny wysłannik ONZ (1991–1993).

Byli więźniowie obozów, główne postacie (w kolejności pojawiania się w tekście):

Džemal Paratušić z Kozaraca – więzień obozu Omarska, gdzie poznaliśmy się 5 sierpnia 1992 roku. Wówczas jako jedyny z więźniów rozmawiał z ITN i ze mną. Otrzymał azyl w Wielkiej Brytanii, gdzie

obecnie mieszka w miejscowości Borehamwood w hrabstwie Hertfordshire, z żoną Rubiją oraz trojgiem dzieci (Aldijaną, Harisem i Aldinem).

Šerif Velić z miejscowości Kevljani – więzień obozu Omarska, gdzie poznaliśmy się 5 sierpnia 1992 roku. Twierdził wtedy, że poobijał się podczas upadku. Otrzymał azyl i obecnie mieszka z żoną Fikretą w Jönköpingu w Szwecji.

Idriz Merdžanić z Sarajewa, potem z Prijedoru – chirurg i lekarz ogólny w obozie Trnopolje, gdzie poznaliśmy się 5 sierpnia 1992 roku. Wystąpił w telewizji ITN, by opowiedzieć o okropieństwach obozów. Otrzymał azyl, obecnie mieszka w Kilonii w Niemczech z żoną Amirą i synem Amarem.

Azra Blažević z Kozaraca – lekarz weterynarii. Więźniarka obozu w Trnopolju, gdzie poznaliśmy się 5 sierpnia 1992 roku i gdzie próbowała prowadzić punkt opieki medycznej wspólnie z doktorem Merdžanicem. Otrzymała azyl w Niemczech, później przeniosła się do St. Louis w stanie Missouri, gdzie mieszka z mężem Erminem (byłym więźniem obozu w Omarskiej) oraz dwójką dzieci: Ediną i Kerimem.

Edin Ramulić z okolic Prijedoru – stracił ojca i brata w obozie Keraterm; przez trzy lata walczył w szeregach 17. Krajińskiej Brygady. Poznałem go w okopach w roku 1995. Wrócił do Prijedoru, prowadzi organizację Izvor (Źródło).

Edin Kararić z Trnopolja – więzień obozów: Keraterm, Omarska, Manjača i Trnopolje. Otrzymał azyl, mieszka w Watford w Wielkiej Brytanii, gdzie w 1993 roku poznałem jego oraz jego żonę Kadirę i troje dzieci (Alenę, Melisę i Dina).

Sefer Haškić z Kozaraca – więzień obozów Omarska i Manjača. Otrzymał azyl, mieszka w Bolton w Wielkiej Brytanii wraz z żoną Mirelą oraz córkami Melisą i Lejlą.

Enver Dautović z Kozaraca – więzień obozów Omarska i Manjača. Otrzymał azyl, mieszka w Luton w Wielkiej Brytanii z żoną Kelimą oraz dziećmi Victorią-Aminą i Seadem (córka Ena przeniosła się do Szwajcarii).

Kemal Pervanić z miejscowości Kevljani – więzień obozu Omarska. Otrzymał azyl, mieszka w Cambridge w Wielkiej Brytanii. Napisał książkę o Omarskiej: *The Killing Days* [Czas zabijania] (1999).

Satko Mujagić z Kozaraca – więzień w Omarskiej. Otrzymał azyl, mieszka w Lejdzie w Holandii. Ma żonę (Holenderkę) Marliese i dwie córki: Lejlę i Milę.

Milan Lukić – domniemany sprawca masowych mordów w Višegradzie^[5] we wschodniej Bośni. Oskarżony w 1999 roku, ukrywał się do roku 2005, kiedy to został aresztowany w Argentynie. W 2009 roku skazany na dożywocie.

Jadranka Cigelj – liderka Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej w Prijedorze, zgwałcona w Omarskiej. Mieszka w Zagrzebiu.

Hasiba „Biba” Harambašić – dentystka w Prijedorze, zgwałcona więźniarka obozu Omarska. Wróciła do Prijedoru.

Nusreta Sivac – sędzia w Prijedorze, zgwałcona więźniarka obozu Omarska. Wróciła do Prijedoru.

Tesma Elezović – prowadziła schronisko w Kozaracu, zgwałcona więźniarka obozu Omarska. Otrzymała azyl, mieszka w Perth w Australii. Jej syn Elvir wciąż jest uznawany za zaginionego.

Sabiha Turkanović z Kozaraca – zgwałcona więźniarka obozu w Omarskiej. Otrzymała azyl, mieszka w Monachium w Niemczech.

Hase Ičić z Trnopolja – więzień obozu Omarska. Otrzymał azyl, mieszka w Monachium w Niemczech, autor książki o Omarskiej.

Edina Striković z Kozaraca – córka Azry Blažević i Ermina Strikovicia (patrz wyżej).

Fikret Alić z Kozaraca – więzień obozów Keraterm i Trnopolje – bohater słynnego telewizyjnego zdjęcia „z drutem kolczastym”. Otrzymał azyl, mieszka w Kopenhadze w Danii z żoną Aidą i trojgiem dzieci (Almirem, Alenem i Minelą).

Wstęp do wydania polskiego

Dwadzieścia długich lat

Moja matka znalazła niedawno plik starych rodzinnych fotografii, a wśród nich kilka, które szczególnie przykuły moją uwagę. Małe, czarno-białe zdjęcia przedstawiały siostrę mamy, moją ciotkę Valerie z Liverpoolu, w 1945 roku, kiedy to po zakończeniu służby w brytyjskiej marynarce wojennej pomagała układać linię kolejową między Belgradem i Zagrzebiem, budując w ten sposób nową, socjalistyczną Jugosławię. Jak wielu młodych ludzi w tamtym czasie, Valerie działała przez krótki czas w partii komunistycznej (którą szybko się rozczarowała) i w tym właśnie okresie dołączyła do zastępów dzielnych budowniczych. Uśmiecha się do obiektywu, opalona, rozpromieniona, podobnie jak otaczający ją młodzi, przystojni towarzysze rozebrani do pasa, z ciężkimi narzędziami w dłoniach.

Nie sądzę, by wielu ludzi w Polsce dzieliło ich lewicowy entuzjazm. Wasz kraj był w tym czasie okupowany przez Armię Czerwoną, a potem skazany na wieloletnie cierpienia. Jednak z perspektywy Liverpoolu sprawy wyglądały wtedy inaczej, proszę więc o wyrozumiałość: po klęsce faszyzmu przed Europą zajaśniała obietnica nowego świata, a jej symbolem było to właśnie kolejowe braterstwo pracy.

Prawie pół wieku później, w czerwcu 1991 roku, siedziałem w ostatnim nocnym pociągu, który wyjechał z Zagrzebia do Belgradu, nim połączenie kolejowe między tymi miastami zostało zlikwidowane w wyniku czteroletniej wojny – najkrwawszego konfliktu, jaki wstrząsał Europą od czasu klęski Trzeciej Rzeszy. Pociąg zatrzymał się, gdy dosięgnął go ogień snajperów, między chorwackim miastem Vukovar, które później zostało zrównane z ziemią, a serbską miejscowością Borovo Selo, gdzie stacjonowała znacząca część artylerii oblężniczej. Staliśmy tam przez trzy godziny, aż wreszcie zawarto krótkotrwały rozejm, a pociąg ruszył do Belgradu, gdzie dotarł następnego dnia. Kolejnej nocy połączenie odwołano i przywrócono je dopiero w 2003 roku. Jedno pokolenie w mojej rodzinie – zaledwie tyle dzieli uśmiechy z fotografii od masakry będącej przedmiotem tej książki, braterstwo i „jedność” od głuchej nienawiści.

Wiosną 2014 wydawało się przez jakiś czas, że ból, który – niemal wbrew mojej woli – stał się tematem przewodnim tej książki w dniu jej publikacji w 2012 roku, choć częściowo, a może i całkowicie, ustąpił przed blaskiem nowej nadziei – tej szczególnej nadziei, która daje człowiekowi siły do życia.

To był słodko-gorzki czas związany z trzema wydarzeniami, którym towarzyszyły kolejno radość, udręka i słuszny gniew; zepchnęły one na dalszy plan, a może nawet zastąpiły ból i nienawiść przenikające tę książkę. Pierwszym z tych trzech istotnych wydarzeń był sukces bośniackiej reprezentacji piłkarskiej w eliminacjach do finałów mistrzostw świata w Brazylii. To niezwykle osiągnięcie, będące swego rodzaju aneksem do rozdziału o bośniackiej piłce nożnej, który znajduje się w tej książce, zostało najtrafniej podsumowane przez napastnika reprezentacji Bośni, Vedada Ibiševicia. Po strzeleniu w meczu z Litwą gola, który zapewnił Bośni awans, Ibišević powiedział: „Ludzie z innych krajów tego nie rozumieją. Dla nich to zwykły mecz i zwykły gol. Ale to coś więcej niż kolejny gol. To cała historia”. Tak było w istocie. Ibišević dorastał jako uchodźca w St. Louis w stanie Missouri. Miał zaledwie siedem lat, gdy patrzył z ukrycia, jak płonie jego dom w rodzinnej miejscowości Vlasenica, a bośniaccy Serbowie

mordują jego ojca podczas czystek etnicznych.

W czasie kwalifikacji i samych finałów, w których reprezentacja wypadła poniżej oczekiwań, bośniaccy Serbowie po raz pierwszy dopingowali drużynę narodową – od wielu lat jedyny sprawnie funkcjonujący wieloetniczny organizm w tym kraju. Futbol dokonał tego, do czego nie mogły doprowadzić dwie dekady politycznych manewrów – obalił bariery bólu i nienawiści, by zjednoczyć ludzi wokół wspólnego przedsięwzięcia. Wcześniej udało się to osiągnąć tylko dzięki muzyce, za sprawą największej pieśniarki sevdah całego pokolenia, Amiry Medunjanin, dziecka oblężonego Sarajewa, która stała się bałkańską Billie Holiday. Jej piękna, często melancholijna muzyka, którą wykonuje wraz z artystami z Serbii i Bośni oraz z członkami bośniackiej diaspory, pochodzi, jak sama pieśniarka podkreśla, z różnych części całego regionu i należy do wszystkich jego mieszkańców. Wszyscy też równie chętnie przychodzą jej posłuchać: bilety na koncerty Amiry wyprzedają się równie szybko w Serbii i Macedonii, jak i w jej rodzinnym Sarajewie.

Innym rodzajem siły jednoczącej cały naród był gniew natury. Powódź, która nawiedziła kraj wiosną 2014 roku, pochłonęła trzydzieści cztery ofiary i pozbawiła dachu nad głową niemal tyle samo osób, co niegdyś wojna. Zniszczeniu uległy tysiące domów, ale tym razem mówiło się przede wszystkim o tym, jak sąsiedzi pomagają sobie nawzajem, nie zważając na podziały etniczne, które doprowadziły te same domy do ruiny w czasie wojny. Młodzi ludzie z boszniackiego Sarajewa spieszyli z pomocą Serbom z Banja Luki i mieszkańcom chorwackich dolin w centralnej Bośni. Gdy woda opadła, pozostawiając po sobie zniszczenia i błoto, Muzułmanie, Serbowie i Chorwaci znów znaleźli się w takiej samej sytuacji: pozbawieni obiecanych odszkodowań, miliardów euro międzynarodowej pomocy, które zniknęły w labiryntach skorumpowanej politycznej maszyny trzech podzielonych narodów.

Trzecim, a zarazem najważniejszym impulsem skłaniającym zwaśnione narody do pojednania był nagły wybuch protestów, a nawet zamieszek, wywołanych nieuczciwą wyprzedażą państwowych przedsiębiorstw i aktywów, a tym samym utratą pracy przez wielu mieszkańców kraju. Bośnia – do tej pory kraj podzielony i okaleczony ostrzami fanatyzmu wyznaniowego – stała się nagle pierwszym państwem Europy Wschodniej na tyle dojrzałym politycznie, by zrozumieć, że system globalnego kapitalizmu kartelowego, który zastąpił kajdany komunizmu, wcale nie jest przyjazny ludziom. W całym kraju organizowano zebrania, by dyskutować o alternatywnych rozwiązaniach, zloty, nocne czuwania... Bośnia przeżywała swoją wersję 1968 roku. Pojawili się nowi młodzi przywódcy, którzy zamiast głosić nienawiść do sąsiadów, zachęcali do solidarności. Jednym z nich była moja bliska przyjaciółka Nidžara Ahmetašević, która została ranna podczas oblężenia Sarajewa, a teraz toczyła walkę z rakiem.

Te wydarzenia sprawiły, że elity polityczne trzech odrębnych grup etnicznych – powstałe w wyniku wojny i katastrofalnego podziału Bośni zgodnego z „porozumieniem pokojowym” z Dayton – znalazły się w głębokim kryzysie. Ludzie ci, wraz z całą armią „kolesi” wplątanych w patologiczne układy zależności i protekcji, mogli liczyć jedynie na rychły kres tego oddolnego procesu, który na dłuższą metę pozbawiłby ich władzy i wpływów. Ten kres – sprowokowany między innymi brutalnymi represjami i karami dla ludzi, którzy w jakikolwiek sposób byli związani z demonstracjami – nadszedł wraz z kampanią wyborczą w 2014 roku. Nidžara należała do grupy kilkuset osób prześladowanych, aresztowanych i skazanych tylko za to, że skorzystały z prawa do protestu. Strategia zastraszania okazała się skuteczna. Naród bośniacki zaprzepaścił swoją szansę, głosując tak, jak zawsze: partie nacjonalistyczne zwyciężyły właśnie tam, gdzie miały zwyciężyć, kosztem partii postępowych i tych, które głosiły ponadetniczną

jedność. Bośnia najwyraźniej woli taki układ. Dlatego też linie podziałów, głębokie przepaście dzielące narody tego regionu, pozostają nietknięte. Zaprzeczanie zbrodniom wojennym, nawet masakrze w Srebrenicy, pozostaje czymś naturalnym – szczególnie w psychotycznej, zakłamanej historii bośniackich Serbów, dla których polityczna machina wyparcia jest niezbędnym elementem lukratywnej politycznej egzystencji. Ciała tysięcy zaginionych, które można by bez trudu ekshumować, gdyby tylko ktoś naprawdę się postarał, pozostają w ukryciu, niedostępne dla nieutulonych w żalu najbliższych, choć w tym roku przypada już dwudziesta rocznica zbrodni.

„Pojednanie” jest w Bośni słowem używanym i nadużywanym równie często jak slogany reklamowe. To synonim lukratywnego interesu i obiecującej kariery, choć w tym wypadku dotyczy to „międzynarodowych instytucji”, które w czasie wojny zostawiły Bośnię własnemu, tragicznemu losowi, teraz zaś działają w imieniu „społeczności międzynarodowej”, wypłacają sobie wysokie wynagrodzenia i mnożą koszty, głosząc pojednanie i nie osiągając żadnych efektów. Ta książka obrała inną drogę: zajmuje się ludzką rzeczywistością braku pojednania oraz czymś, co nazywam „rozrachunkiem”, procesem znacznie trudniejszym i bardziej wymagającym. W bezsprzecznie najlepszej dotąd książce XXI wieku, 2666 autorstwa Roberta Bolaño, pojawia się postać tajemniczego niemieckiego pisarza o nazwisku Archimboldi, „osoby, która nie chciała godzić tego, co nie do pogodzenia, choć było to wówczas bardzo modne”. Ten opis był dla mnie inspiracją: odrzucenie fałszywego „pojednania”, które ma być lekarstwem na wszystko i o którym politycy i dyplomaci mówią jak o aspirynie na kaca. Handlują nim bezwstydnie, choć tak rozumiane pojednanie nie ma żadnego znaczenia dla ludzi dotkniętych nawałnicą przemocy, która rozszalała się w sercu Europy w 1992 roku i nie ustawała przez kolejne trzy krwawe lata, w najlepszym wypadku nieco wyciszana, a w najgorszym podsycana przez Zachód.

Nie chciałem i nie chcę być jak Archimboldi. Wolałbym żyć nadzieją, jak moja ciotka i jak ci przystojni mężczyźni na fotografiach z 1945 roku. Wolałbym wierzyć w pojednanie lub „postęp”, jak wolą to nazywać inni, poddać się temu cudownemu przekonaniu, że „nadchodzi lepszy świat” – doktrynie, pod którą podpisuje się na swój sposób zarówno polityczna lewica, jak i prawica, a także wszystkie religie monoteistyczne. „Podtrzymujcie nadzieję” – mówił Barack Obama. Z pewnością miło jest wierzyć w coraz lepszy świat, a wydarzenia wiosny 2014 roku w Bośni sprawiły, że i mnie zaczęła kusić taka wiara: może istnieje nadzieja. Obawiam się jednak, że to ja miałem rację, a tezy postawione w tej książce nie straciły na aktualności.

Dwadzieścia lat to dużo czasu w życiu kobiety, która straciła dwóch braci i męża w obozie koncentracyjnym. Nasiha Klipić wróciła do Omarskiej 6 sierpnia 2012 roku, w dwudziestą rocznicę ewakuacji obozu, by odwiedzić Biały Dom i hangar, gdzie zginęli. To właśnie głównie o tym miejscu traktuje niniejsza książka, o Omarskiej oraz innych obozach powstałych w sercu Europy pod koniec XX wieku, o miejscach, gdzie dochodziło do masowych mordów, okaleczeń, tortur, gwałtów i przymusowych wysiedleń.

Nasiha jest kuzynką mężczyzny, którego zdjęcie stało się symbolem zbrodni popełnionych w Bośni – Fikreta Alicia, wychudzonego więźnia obozu w Trnopolju, stojącego za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Jest również córką Mehmeda Alicia, który musiał powiedzieć o śmierci starszego brata swojemu młodszemu synowi, Enverowi, również zamkniętemu w Omarskiej, potem zaś przyglądać się i jego śmierci. Mehmed umarł na serce w 2006 roku w Niemczech, opisał te zbrodnie przed trybunałem do spraw zbrodni wojennych w Hadze.

Nasiha jest nieodrodną córką swego dzielnego ojca – piękną pięćdziesięcioletnią kobietą o farbowanych blond włosach. Kiedy wychodzi z domu, wkłada zwykle ubrania w wyrazistych, jaskrawych kolorach, ale dziś – na uroczystość dwudziestej rocznicy – wybiera zwykłą koszulkę. Mieszka w Bernie, w Szwajcarii, i podróżuje po Europie oraz Stanach Zjednoczonych z bośniackimi muzykami, zmieniając zespoły według swojego – i ich – upodobania. „Ludzie śmieją się ze mnie, ale właśnie takie życie odpowiada mi po wszystkim, co przydarzyło się mojej rodzinie – a inni niech sobie myślą, co chcą”. Nasa jest charyzmatyczna, wyzywająca, znosi cierpienie z uśmiechem i nie chce słyszeć o przebaczeniu. Wywołała powszechną konsternację, gdy podczas wystąpienia w filmie nakręconym przez Penny Marshall z brytyjskiej telewizji ITN – to właśnie z Penny odkryłem obóz w Omarskiej w 1992 roku – oznajmiła: „Prawdę mówiąc, chciałabym dożyć następnej wojny”, wojny odwetowej. Dziś, w rocznicę tych strasznych wydarzeń, płacze, ale mimo wszystko zdobywa się na uśmiech przez łzy.

Niniejsza książka mówi nie tylko o tych wydarzeniach, ale także – a może przede wszystkim – o procesie wymazywania ich ze zbiorowej pamięci, o zapomnieniu i rozproszeniu, jakie stało się udziałem ofiar i ich krewnych rozsianych po całym świecie. Omarska to jedyne tego rodzaju miejsce w Europie, które nie doczekało się pomnika na cześć pomordowanych tu ludzi, ponieważ obecny właściciel tego terenu, olbrzymi koncern ArcelorMittal, od lat uparcie zachowuje w tej kwestii rzekomą „neutralność”. Obóz powstał na terenie kopalni rudy żelaza i znajduje się teraz na terytorium bośniackich Serbów, zarządzanym przez sojuszników i spadkobierców tych, którzy w 1992 roku dopuszczali się tutaj niewyobrażalnych zbrodni. Za żadną cenę nie chcą oni upamiętnić tego, czego dopuścili się ich współpracownicy i przodkowie, Mittal zaś nie zamierza im się narażać. „Musimy być neutralni” – tłumaczyła rzeczniczka firmy, Lynn Robbroeckx, gdy zadzwoniła do mnie, by porozmawiać o tej sprawie, o bólu i gniewie ocalonych i o tej książce. Do pojęcia neutralności często odwoływano się także w czasie samej wojny, o czym również tu piszę. (Firma Mittal zaprojektowała i wykonała słynną wieżę widokową, upamiętniającą Letnie Igrzyska Olimpijskie w Londynie. Wygląda na to, że śmierć, gwałty i tortury w Omarskiej są w porównaniu z tym wydarzeniem jedynie kłopotliwymi drobiazgami).

9 maja, w dniu pamięci o ofiarach obozów, Mittal odmówił wstępu grupie byłych więźniów i krewnych ofiar, którzy chcieli oddać hołd pomordowanym w Omarskiej. Co istotne, grupie tej towarzyszyły wówczas Serbki z ruchu pokojowego Kobiety w Czerni z Belgradu oraz studenci z Goldsmiths College, części Uniwersytetu Londyńskiego. Gdy pojawili się pod bramą, ich przywódca – Edin Ramulić, którego spotkamy również na kartach tej książki – nie mógł nawet złożyć pamiątkowego wieńca przed kopalnią, powstrzymywany przez agresywnych ochroniarzy Mittal. Władze miasta, a nawet zgromadzenie Republiki Serbskiej, jednostki terytorialnej wchodzącej w skład Bośni, zagroziły kierowanej przez Ramulicia organizacji Izvor, że pozwą ją do sądu, jeśli nie przestanie używać terminu „ludobójstwo” w odniesieniu do tego obszaru.

W odpowiedzi Edin i Sabahudin Garibović ze stowarzyszenia byłych więźniów obozu koncentracyjnego zorganizowali w przededniu obchodów rocznicowych, 5 sierpnia 2012, bezprecedensowy marsz przez centrum Prijedoru. Uczestnicy kilkusetosobowego pochodu, w tym i ja, nieśli szkolne tornistry, a na każdym z nich znajdowało się nazwisko jednego dziecka z Prijedoru zamordowanego podczas pogromów. Szliśmy w milczeniu przez miasto, witani milczeniem serbskich gapiów. Niektórzy patrzyli na nas wyzywająco, inni chowali twarze za płachtami gazet. „Jeśli będą na was krzyczeć, nie odpowiadajcie, nie dajcie się sprowokować” – mówił przed wymarszem Edin.

Ostatecznie usłyszeliśmy jedynie trochę gwizdów i szyderczych okrzyków ze strony grupki młodzieńców, którzy prezentowali nacjonalistyczne slogany wytatuowane na swoich piwnych brzuchach.

Dotarłszy na główny plac, oddaliśmy tornistry organizatorom, którzy ułożyli je na ziemi w wielki napis GENOCID (ludobójstwo). Od krwawych wydarzeń 1992 roku nikt nie odważył się w Prijedorze na coś równie zuchwałego i trudno się temu dziwić: Garibović został wkrótce zatrzymany przez policję, aresztowany i potępiony za uczczenie pamięci pomordowanych dzieci oraz użycie słowa na „G”.

Tego wieczora równie niezwykle wydarzenie miało miejsce w Trnopolju, gdzie w 1992 roku także działał obóz. Izvor i inni zdołali zdobyć pozwolenie na „okupację” dawnych terenów obozowych i pod czujnym okiem jednego jedyne go policjanta do wczesnego rana prowadzili tam dyskusje i oglądali filmy. Kobieta, którą spotkamy na kartach tej książki, Nerma Jelačić, pokazała film przygotowany przez Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii (MTKJ), przedstawiający zbrodnie popełnione w Trnopolju. Publiczność oglądała go z zapartym tchem: większość obecnych była niegdyś więźniami tego obozu, poniżanymi, bitymi i gwałconymi w opustoszałych teraz budynkach. Ich dzieci leżały na trawie, opierały brody na dłoniach i oglądały... twarz, która pasowała do każdego z nazwisk wymienianych w komentarzach – więźniów, strażników i dowódców – i którą dobrze znały, choć w tym czasie nie było ich jeszcze na świecie. Wśród publiczności znajdowała się również Victoria-Amina Dautović, pierwsze dziecko bośniackich uchodźców urodzone w Anglii; obecnie mieszka w Luton pod Londynem. Rozmyślała o tym, że i ona była tu wcześniej, w brzuchu swojej matki. Victoria studiowała medycynę sądową na Uniwersytecie West London, niczego nie pragnęła bowiem bardziej, niż po zakończeniu studiów wrócić do tego miejsca i dołączyć do poszukiwań tysiąca jej rodaków, których ciała wciąż pozostają w masowych grobach. Udało jej się to w 2014 roku, gdy w pobliskiej Tomašicy odkryto masowy grób zawierający 430 ciał, wśród nich rodziców jej przyjaciół lub przyjaciół jej rodziców.

W Trnopolju była tego wieczora także Edina Striković, bez której ta książka by nie powstała. Poznałem ją w obozie, gdy miała zaledwie siedem lat i trzymała się kurczowo dłoni swojej matki, Azry Blažević. Edina – która była moją tłumaczką i towarzyszką podróży podczas zbierania materiałów do tej książki – pomagała również przy tworzeniu tego filmu jako stażystka w Hadze. Choć Edina miała specjalistyczną wiedzę i była świadkiem tych tragicznych wydarzeń, Trybunał nie uznał za stosowne zaproponować jej na stałe pracę, na którą bez wątplenia zasługiwała i której ogromnie pragnęła. Pomimo magisterium i doktoratu w dziedzinie stosunków międzynarodowych, uzyskanych odpowiednio w Ameryce i Niemczech, nie rozpoczęła kariery naukowej, lecz pojechała do obozu koncentracyjnego. Nie należała do tej rodzącej się międzynarodowej klasy, tej kolonialnej kliki, która nazywa samą siebie „ruchem na rzecz praw człowieka”, ale nie zatrudnia byłych więźniów obozów, osób najbliższych tym problemom, nawet młodych, inteligentnych i doskonale wykształconych. Dina pomieszkiwała więc w tym czasie kątem u rodziny bośniackich uchodźców w Monachium i zastanawiała się nad swoją przyszłością. Emocje, jakie towarzyszyły naszemu spotkaniu w tym miejscu, gdzie poznałem ją jako dziecko, w dodatku w otoczeniu jej byłych współwięźniów, były tak silne, że właściwie nie odzywaliśmy się do siebie, bo żadne słowa nie wydawały się odpowiednie – choć to właśnie słowa mają być moją mocną stroną i powołaniem. Długi, serdeczny uścisk wyraził wszystko.

Nazajutrz, 6 sierpnia, wróciliśmy wszyscy do Omarskiej na obchody dwudziestej rocznicy zamknięcia obozu. Tym razem Mittal udzielił nam odpowiedniego zezwolenia. Przygotowano kilkaset białych balonów, a do każdego z nich przymocowano karteczkę z nazwiskiem zamordowanej tu osoby. Baloniki

rozdano uczestnikom obchodów, którzy na uzgodniony wcześniej sygnał mieli je wypuścić. Przypadek sprawił, że Nasiha Klipić dostała karteczkę z nazwiskiem swego wuja. W jednej chwili wszystkie balony uleciały ku górze, niczym płatki śniegu wracające do nieba, jakby każdy z nich unosił ku wolności ducha człowieka zamordowanego w tym przeklętym miejscu. Jeszcze przez wiele dni balony opadały na ogrody, dachy i drogi tej nacjonalistycznej serbskiej krainy.

W obchodach brała również udział pewna samotna młoda kobieta. Z jakiegoś powodu trzymała się z dala od innych uczestników, choć trudno jej było odmówić zaangażowania. Wcześniej brała także udział w marszu pamięci dzieci zamordowanych w Prijedorze. To był jej „pierwszy powrót” do obozu. Helena Anušić miała piętnaście lat, gdy pewnego majowego poranka 1992 roku usłyszała w szkole pytanie: „Za kim jesteś?”. „Nie rozumiem” – odparła Helena, a oni zapytali ponownie: „Za kim jesteś? Za Aliją czy Tuđmanem?”. Pytanie dotyczyło przywódców muzułmańskiej i chorwackiej partii politycznej. Oczekiwano od niej odpowiedzi: „Za Tuđmanem” – Chorwatem – choć Helena nie opowiadała się za żadną partią i uważała się za nastoletnią bośniacką Chorwatkę, która żyje spokojnie wśród Serbów i Muzułmanów.

Gdybym miał wskazać jakiś temat, który nie został wystarczająco obszernie opisany w tej książce, byłby to los Chorwatów żyjących obok Muzułmanów i podobnie jak oni więzionych, torturowanych i zabijanych w obozach koncentracyjnych (choć głównym świadkiem – i ofiarą – zbiorowych gwałtów w Omarskiej jest w książce bośniacka Chorwatka). Uważam, że mogłem opisać tę kwestię obszerniej, choćby dlatego, że Chorwacja, podobnie jak Polska, jest krajem katolickim.

Helena mieszkała w zróżnicowanej etnicznie wiosce Ljubija położonej niedaleko granicy bośniacko-chorwackiej. Główną postacią chorwackiej społeczności Ljubii był ojciec Stipo Šošić, więziony później w obozie Keraterm. Wszyscy chorwaccy współwięźniowie duchownego mówią o nim to samo: że im doradzał, a nawet próbował ich pocieszać, że udzielał im sakramentu chorych, że był bohaterem. W liście z 11 września 1992 roku, zaadresowanym do miejscowego szefa służby bezpieczeństwa publicznego, Stojana Župljanina (skazanego później w Hadze), katolicki biskup Banja Luki Franjo Komarica pisze o całkowitym zniszczeniu czterdziestu kościołów i poważnych uszkodzeniach kolejnych pięćdziesięciu, wymienia również wielu księży, w tym ojca Šošicia, którzy „choć nie udowodniono im żadnej winy, byli w straszliwy sposób maltretowani fizycznie i psychicznie w izbach zatrzymań i obozach koncentracyjnych, w ciągu dwunastu do osiemdziesięciu dni. Teraz są inwalidami lub stoją na progu śmierci”. Ojciec Šošić przeżył, wyjechał do Chorwacji pod koniec wojny, a potem zmarł po długiej walce z chorobą. Żałuję, że nie miałem okazji spotkać się z nim i porozmawiać – choć zostawił po sobie książkę zatytułowaną *Do pakla i natrag* [Do piekła i z powrotem]. Opisuje w niej straszliwe tortury, którym poddawano go w obozie; był tak udręczony, że śmierć przyjąłby wówczas z ulgą jako „wyzwolenie”.

Później ojciec Šošić został przeniesiony do Manjačy, gdzie trzymano go w zimnej i wilgotnej celi przeznaczonej dla tych, którzy nie chcieli poprzeć władz obozu. Šošić wprowadza do historii konfliktu nowy wątek, z którym nie spotkałem się, pisząc tę książkę: dręczenie więźniów przez serbskie kobiety i dzieci sprowadzane do obozów specjalnie w tym celu. Opisuje, jak taka właśnie grupa „rozerwała biednego mężczyznę na kawałki niczym wyparzoną kurę”. Jako jedyny spośród byłych więźniów otwarcie krytykuje prawosławnych duchownych oraz dziennikarzy za to, że nie podjęli większego ryzyka, by pomóc więźniom obozów. Mam nadzieję, że odnosi się to do moich kolegów po fachu, którzy przybyli do

Omarskiej i Manjaćy po tym, jak ujawniliśmy istnienie tych obozów, ale w tym surowym głosie słyszę również przyganę, że tego pamiętnego dnia w 1992 roku nie zignorowaliśmy karabinów maszynowych wycelowanych w nas i broniących nam wstępu do innych części obozu w Omarskiej – o czym również przeczytacie w tej książce.

Uważałem za pewną niesprawiedliwość fakt, że na obchodach dwudziestej rocznicy Helena Anušić musiała wysłuchiwać muzułmańskich modlitw prowadzonych przez imama – co robiła z pełnym szacunkiem – a nie mogła pomodlić się za katolików zamordowanych w obozach, bo nie zaproszono żadnego księdza. Muszę przyznać ze skruchą, że sam nigdy wcześniej nie byłem w Ljubii, poprosiłem więc Helenę, by mnie tam zabrała. Zgodziła się. W odróżnieniu od zrównanego z ziemią Kozaraca – skąd pochodziła większość muzułmańskich więźniów – Ljubija i inne chorwackie osady zostały po prostu „oczyszczone” i nienaruszone, by Serbowie mogli skonfiskować i zająć domy zabitych lub uwięzionych w obozach, jak ojciec Heleny. Ta rodzina przeżyła jednak wojnę i teraz mieszka w Rijece, na chorwackim wybrzeżu na półwyspie Istria.

Pojechaliśmy więc do Ljubii, gdzie mieści się jeszcze jedna kopalnia kompleksu Omarskiej, zakupionego przez Mittal. Gdy tylko przekroczyliśmy bramę kopalni i znaleźliśmy się na głównej drodze, naszym oczom ukazał się ponury, zaniedbany krajobraz, przesycony beznadzieją zupełnie różną od spokojnego smutku, który malował się na twarzy Heleny. „To był park, gdzie spotykaliśmy się po lekcjach, żeby pospacerować i porozmawiać w letnie wieczory. Tutaj po raz pierwszy całowałam się z chłopakiem” – wspominała, gdy wjechaliśmy w boczną ulicę, równoległą do głównej drogi. „A tutaj była opera i teatr, do których zabierał mnie tato” – wskazała na zamknięty budynek z wybitymi oknami. „Tutaj graliśmy w piłkę ręczną...” – głos Heleny się załamał, zamilkła, a po jej policzku potoczyła się łza.

„Wystarczy, Heleno, wracajmy” – zaproponowałem. Pokręciła stanowczo głową. „Nie. Chcę ci pokazać. Zabrali nasze domy – wyjaśniła, gdy mijaliśmy budynki o tynkowanych lub kamiennych ścianach; pokrywała je warstwa brudu, wynik niedbalstwa lub oddziaływania chemikaliów z kopalni, być może jednego i drugiego. – Ale nie umięją o nie dbać, spójrz tylko. Wydaje się, że po prostu wolą je właśnie takie: brudne, przygnębiające i smutne, jakby sprawiało im to przyjemność”. Przejechaliśmy główną drogą, a potem skręciliśmy w boczną uliczkę po drugiej stronie, biegnącą wzdłuż szeregu domów. „Tutaj mieszkaliśmy. A to był dom Serbów, dla których pracowałam jako opiekunka do dzieci. A w tym niebieskim domu mieszkał pewien Serb o imieniu Pero, któremu zapłacili za zamordowanie moich rodziców, po trzydzieści pięć niemieckich marek od głowy, tyle byli warci. Pero przyszedł do nas, żeby wykonać umowę, ale przekonałam go, żeby tego nie robił, żeby darował życie mojej matce i mojemu ojcu”. Tak zaczęły się cierpienia pana Anušicia – wygnanie, a potem uwięzienie.

„Przez dwadzieścia lat trwałam w letargu – mówiła Helena. – Ale teraz się przebudziłam i uświadomiłam sobie, co nas spotkało”. Tak się rzeczywiście stało, Helena współorganizowała konferencję i spotkania byłych więźniów mieszkających w Chorwacji, muzułmanów i katolików. Stała się nową przywódczynią nie tylko chorwackich ofiar zbrodni dokonanych w Krajinie, lecz także całego ruchu. Ale wyrzucono ją. Spotkaliśmy się na konferencji byłych więźniów i innych zainteresowanych, które Helena z wielkim zaangażowaniem organizowała w Rijece, ale za ten właśnie wysiłek została odrzucona przez muzułmańską diasporę. Zazdrościli jej, bo miała to, czego im brakowało: była młodą, bystrą, piękną kobietą – i katoliczką.

Po publikacji tej książki pojawiła się – a właściwie nabrała znaczenia – jeszcze jedna kwestia. Zarówno w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu istotnym wątkiem opowieści o Bośni był szczególny charakter islamu w tym kraju. Mówiąc ogólnie, bośniaccy muzułmanie nie byli zbyt pobożni, a przed wojną islam odgrywał niewielką rolę w życiu większości z nich, pomijając oczywiście kwestię tożsamości kulturowej. Lubili się napić. W meczecie bywali tylko sporadycznie. W książce o starciu bośniackiego islamu z jego bardziej ortodoksyjną wersją wspaniale opowiada Sefer Haškić, wspominając początki pobytu swej rodziny w Anglii.

Ludobójstwo wpłynęło również i na tę kwestię. Nieuchronnie pchnęło bośniackich muzułmanów ku ich religii. Już w 1994 roku obywatelskie ideały, o które walczyła większość bośniackich żołnierzy – w tym wielu Serbów i Chorwatów, szczególnie w Sarajewie i Tuzli – mieszały się z islamem. Islam umocnił się w oblężonym Sarajewie i od czasu wojny z roku na rok jest coraz silniejszy. Przybywają tu licznie zarówno szyici, jak i sunnici z Iranu i Arabii Saudyjskiej. Bośnia odnosi się przychylnie do coraz bardziej zislamizowanej Turcji, podobnie jak bośniaccy Serbowie chętnie poddają się wpływom coraz bardziej wojowniczej Rosji, cytując bzdury wygłaszane przez Władimira Putina w odniesieniu do Ukrainy jako usprawiedliwienie dla ich roszczeń terytorialnych. Wielu mieszkańców Bośni postrzega swój kraj jako strefę podzieloną wpływami Moskwy i Sztambułu.

Owszem, w czasie wojny w Bośni walczyli mudżahedini, chętnie przyjmowani przez rząd w Sarajewie, co trudno nazwać inaczej niż głupotą. Większość bośniackich żołnierzy gardziła nimi jednak ze względu na ich odrażający fanatyzm i gotowość do popełniania najgorszych nawet zbrodni. Niektórzy dziennikarze dla taniego poklasku opisywali ich działania, inni uważali ich – zgodnie z prawdą – za mało istotny element całej historii.

Jednak teraz, dwadzieścia lat później, nadchodzi ich czas. Wojujący islam jest w Bośni silniejszy niż kiedykolwiek dotąd, z pewnością silniejszy niż w czasie, gdy pisałem tę książkę. Zdarza się nawet, że nad niektórymi domami pojawia się flaga odrażającego Państwa Islamskiego – to kolejny krok w stronę zagłady, kolejny powód do rozpaczki nad tym wspaniałym krajem wielkich rzek i majestatycznych gór.

Niniejsza książka jest zdecydowanie zbyt pobłażliwa wobec Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii. Stało się tak dlatego, że opisuję tu udane początki działalności Trybunału, poprzedzające próby schwywania dwóch przywódców bośniackich Serbów: Radovana Karadžicia i generała Ratka Mladicia. Już po jej wydaniu zeznawałem przeciwko Mladiciowi, rzeźnikowi ze Srebrenicy, kierowany poczuciem obowiązku: jak zawsze byłem zdenerwowany i świadom powagi chwili, ale – w odróżnieniu od tego, co czułem podczas procesu Karadžicia opisanego w tej książce – ten człowiek był mi prawie obojętny, w sposób niemal perwersyjny. Stałem naprzeciwko jednego z największych zbrodniarzy końca XX wieku i składałem świadectwo jego zbrodni, ale prawie na niego nie patrzyłem. Po części dlatego, by moje zeznania były jak najbardziej precyzyjne, a po części ze względu na egzystencjalne znużenie całą tą historią.

Trybunał podejmował dziwaczne decyzje. Uznał za winnego nie zbrodniarza wojennego, lecz jedną ze swych najbardziej oddanych sług, a zarazem jedną z najlepszych reporterów opisujących wojnę w Bośni, która teraz jest poszukiwana w Holandii i musi uciekać przed wymiarem sprawiedliwości. Florence Hartmann była wybitną dziennikarką „Le Monde”, w 1999 roku wydała książkę o prezydencie Serbii, Slobodanie Miloševiću. Trzy lata później została rzeczniką i specjalną doradczynią prokuratury Trybunału i zajmowała to stanowisko do 2006 roku. Po odejściu stała się ofiarą działań, które kazały się

wielu zwolennikom MTKJ – także i mnie – głęboko zastanowić, czy Trybunał nie postradał rozumu.

A stało się to tak: w Hadze, w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości utworzonym w 1945 roku – instytucji, w której mogą sędzić się ze sobą całe kraje – Bośnia (bez powodzenia) podała do sądu Serbię za ludobójstwo. Najważniejszym elementem oskarżenia była masakra w Srebrenicy, uznana za ludobójstwo w licznych wyrokach wydanych przez MTKJ. W tym wypadku konieczna była dokumentacja przygotowana w Belgradzie, pozostająca w posiadaniu Trybunału, wykorzystana podczas procesu Miloševicia i innych jako dowód, który pozwolił osądzić wysokich rangą przedstawicieli serbskich władz i armii powiązanych z tą zbrodnią. Jednak w dokumentacji przekazanej przez MTKJ Międzynarodowemu Trybunałowi Sprawiedliwości wykreślono najważniejsze fragmenty dowodzące bezpośredniego zaangażowania Serbii. Tłumaczono przy tym, że są to materiały ściśle tajne, a wykreślone informacje mają wpływ na „interesy narodowe” Serbii.

W 2007 roku Hartmann wydała książkę zatytułowaną *Paix et Châtiment* [Pokój i kara], w której opisywała nie tyle treść tej dokumentacji – nie naruszyła tajemnicy – ile kulisy decyzji o wyłączeniu jej kluczowych elementów z procesu przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości. Krytykowała również uzasadnienie tej decyzji i dowodziła, że materiały dotyczące tak ciężkich zbrodni nie powinny być zatajane przed rodzinami ofiar ze Srebrenicy.

Choć trudno w to uwierzyć, w sierpniu 2008 roku MTKJ oskarżył Hartmann o naruszenie tajemnicy i wezwał ją przed sąd. Trybunał nie kwestionował treści jej książki ani faktu, że napisała ją jako dziennikarka; nie została również oskarżona o to, że jako pracownica MTKJ przekroczyła swoje uprawnienia (Florence zobaczyła utajniony tekst już po odejściu z Trybunału). Chodziło jedynie o fakt, że decyzja o zaczerpieniu części dokumentacji oraz jej uzasadnienie były objęte tajemnicą.

14 września 2009 roku, po procesie, który w pełni zasługuje na miano tragifarsy, Hartmann została uznana za winną obrazy sądu i skazana na grzywnę w wysokości siedmiu tysięcy euro. Odwołała się od wyroku, ale w lipcu 2011 jej apelacja została odrzucona. Sąd apelacyjny nie określił, która część książki Hartmann łamała prawo; do tego czasu znaczna część wykreślonych informacji została zresztą ujawniona, choćby podczas procesu byłego szefa sztabu Jugosłowiańskiej Armii Ludowej, Momčila Perišicia, w związku z jego udziałem w zbrodniach wojennych w Bośni, szczególnie w Srebrenicy.

Hartmann zdeponowała grzywnę na koncie we francuskim banku i zaproponowała Trybunałowi, by ten odebrał pieniądze za pośrednictwem francuskich władz. Trybunał uznał, że grzywna nie została zapłacona i – zamieniając tragifarsę w skandal – skazał dziennikarkę na siedem dni więzienia, wzywając Francję, by natychmiast przekazała ją do Hagi. Francja oczywiście odmówiła, a były pracodawca Hartmann, dziennik „Le Monde”, wyraził opinię nas wszystkich, pisząc w listopadzie 2011 roku: „Kiedy sędziowie stawiają na głowie międzynarodowy porządek prawny tylko dlatego, że nie potrafią przyjąć krytyki, podważają wiarygodność międzynarodowej sprawiedliwości”.

Jakby tego było mało, Trybunał zaczął potem niweczyć rezultaty własnej ciężkiej pracy. Dwa orzeczenia sądu apelacyjnego z 2012 i 2013 roku unieważniły wyroki wydane na chorwackiego generała Gotovinę oraz dowódcę serbskiej (jugosłowiańskiej) armii Momčila Perišicia. Większość składu orzekającego, któremu w obu przypadkach przewodniczył sędzia Theodor Meron – ofiara Holokaustu, były izraelski dyplomata i obywatel USA – uznała, że w materiale dowodowym brakuje „konkretnych rozkazów” wydanych przez generałów wojskom biorącym udział w zbrodniach. Innymi słowy, właściwie nie wiadomo, kto zlecił te zbrodnie, choć wszyscy dobrze wiemy, że je popełniono.

Wzbudziło to zrozumiały gniew prokuratorów, bo w pierwszym okresie działalności Trybunału, po dramatycznych i przejmujących zeznaniach ofiar godzących w płotki, trzeba było wykonać tytaniczną pracę, by sięgając coraz wyżej w hierarchii służbowej, wykazać związki przywództwa wojskowego i cywilnego z tymi zbrodniami. Teraz cała ta misterna konstrukcja legła w gruzach – co może być ważnym sygnałem dla prezydenta Syrii, Asada – gdyż komplet sędziowski pod przewodnictwem sędziego Merona uznał na przykład, że ostrzeliwanie osady aż do momentu, gdy jej mieszkańcy zmuszeni będą opuścić zniszczone domy, nie jest równe deportacji, bo wygnanie ofiar ostrzału nie zostało ujęte w „konkretnym rozkazie”. Zdaniem Hagi nie jest zbrodnią wojenną bombardowanie i ostrzeliwanie bezbronnych cywilów i zmuszanie ich do ucieczki – jeśli są jeszcze w stanie to zrobić – o ile rozkazy nie mówią wprost o takim właśnie celu ataków.

W książce wspominam rozrastającą się i obezwładniającą biurokrację i hierarchiczność, które zaczęły paraliżować działania Trybunału, a czytelnik może bezpiecznie założyć, że od momentu jej wydania sytuacja zmieniła się tylko na gorsze. Najwyższą rangą Bośniaczką w strukturach Trybunału – który miał szczęście, że choć przez jakiś czas zaszczycała go ona swoją obecnością – była Nerma Jelačić, ważna postać tej opowieści, a zarazem szefowa działu komunikacji i wsparcia MTKJ w czasie publikacji książki. Później jednak, gdy Trybunał ugrzązł w bagnie biurokracji, Nerma nie mogła tego dłużej znieść i odeszła.

Poważne wątpliwości budzi nie tylko obecna działalność Trybunału, ale i jego przyszłość. Trybunał tworzono między innymi po to, by dyktatorzy z różnych zakątków świata, świadomi nieuchronnej kary, dobrze się zastanowili, nim spuszczą ze smyczy swoje psy wojny. Wydaje się jednak, że prezydent Asad i jego adwersarze z Państwa Islamskiego nie przejmują się tym w najmniejszym nawet stopniu.

O losach Trybunału może również zdecydować to, kto zostanie postawiony w stan oskarżenia w nowym wspaniałym świecie praw człowieka. W 2012 roku arcybiskup Desmond Tutu z RPA napisał w dzienniku „The Observer”, dla którego pracuję, że były premier Wielkiej Brytanii, Tony Blair, powinien stanąć przed sądem za zbrodnie wojenne w Iraku. Tym samym podniósł bardzo ważną kwestię: Jak wysoko będzie w przyszłości mierzył Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości lub młodsze instytucje, takie jak MTKJ? Czy po procesach zbrodniarzy z byłej Jugosławii międzynarodowe sądownictwo sięgnie wyżej, czy też obniży loty? Do tej pory Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK), realizujący podobno w szerszym zakresie misję MTKJ, nie skazał ani jednej białej osoby. Odmówił zdecydowanie wszczęcia śledztwa przeciwko generałowi Augustowi Pinochetowi z Chile; Tony Blair pozostaje daleko poza kręgiem jego zainteresowań pomimo gorących apeli arcybiskupa.

Bez odpowiedzi pozostają również inne pytania. Dlaczego Trybunał skazał Charlesa Taylora z Sierra Leone, ale nie dowództwo izraelskiej artylerii, która ostrzelała szkoły w Libanie i cywilne osiedla w Strefie Gazy? Kiedy MTK zajmie się przestępstwami przeciwko środowisku naturalnemu czy prawom pracowników wielkich korporacji; firmami wydobywczymi, które doprowadzają do zagłady całych społeczności w Afryce i Ameryce Łacińskiej, bankami zamieszanyymi w pranie brudnych pieniędzy należących do karteli narkotykowych?

Grecki filozof prawa Costas Douzinas napisał książkę, w której ośmiela się sugerować, że prawa człowieka stają się narzędziem w rękach potężnych państw i coraz bardziej się oddalają od zbioru nienaruszalnych zasad stworzonych przez jego przodków ze starożytnej Grecji, ideologów Wielkiej Rewolucji Francuskiej i Thomasa Paine’a. Na przekór wyrażonemu w tej książce optymizmowi, który

wynikał z początkowych działań Hagi, obecnie międzynarodowe sądy służą głównie bogatym prawnikom i dowodzą słuszności tez Douzinas.

Po wydaniu tej książki miałem zaszczyt przeprowadzić dla „The Observer” wywiad z Claude’em Lanzmannem – teraz mogę tylko żałować, że nie stało się to w czasie, gdy ją pisałem. Lanzmann to człowiek legenda, członek francuskiego ruchu oporu, kochanek Simone de Beauvoir i bliski przyjaciel Jeana-Paula Sartre’a, ale także człowiek, który przygotował i przeprowadził fantastyczne wywiady na potrzeby być może najważniejszego – a z pewnością najambitniejszego – filmu wszech czasów: dziewięciopółgodzinnego materiału zatytułowanego *Shoah*. Dzieło to pozostaje najpełniejszym i najbardziej przerażającym zapisem największej katastrofy w dziejach ludzkości.

Znalezienie właściwego słowa na określenie tych, którzy przeżyli nazistowską eksterminację, to problem wszystkich autorów poruszających temat – ten sam problem pojawił się również w mojej książce. Nie lubię słowa „ofiara”, bo deprecjonuje pozostałych przy życiu i nie odróżnia ich od tych, którzy zginęli; określenie „ocalony” wydaje się nie najgorsze i właśnie nim się tutaj posługuję, ale Lanzmann znalazł jeszcze lepsze; *revenant* – „powracający”, a po francusku także „duch”. Żałuję, że nie wiedziałem o „powracających”, gdy pisałem tę książkę – to określenie przywodzi na myśl przerażający fragment wiersza rodaczki Lanzmanna, członkini ruchu oporu i byłej więźniarki Auschwitz, Charlotte Delbo, który cytuję w dalszej części tekstu i który pozwolę sobie zacytować również tutaj: „Więc wróciłam. Nie wiedzieliście, że stamtąd można wrócić, prawda?”. Jednak spotkanie z Lanzmannem natchnęło mnie jeszcze inną myślą, która z pewnością wpłynęłaby na kształt tej książki.

Lanzmann był łaskaw porozmawiać ze mną o moim projekcie. Gdy wyjaśniłem mu, że piszę głównie o ocalonych, powiedział: „Sporo dyskutowaliśmy o tym, co powinno być tematem tego filmu. I muszę panu wyznać, że moim głównym tematem nie jest przeżycie. To film o śmierci”. Oczywiście. Jak mówi Lawrence Langer, cytowany na kartach tej książki, wszelkie dzieła dotyczące Shoah obciążone są faktem, że ich główni bohaterowie, zmarli, nie mogą już nic powiedzieć. „Teoretycznie żaden z nich nie miał ocaleć, by świadczyć o prawdzie – mówił cicho Lanzmann. – Oni też mieli umrzeć. Udało im się przechytryć los dzięki niezwykłej odwadze, zuchwałości i szczypcie szczęścia. Ale [w filmie] nie chcieli mówić o tym, jak zdołali uciec, jak przeżyli. Byli w pełni świadomi faktu, że są rzecznikami zmarłych”. W tej książce głos zmarłych nie wybrzmiewa dość głośno. Gdybym spotkał Lanzmanna wcześniej, napisałbym o nich więcej, przedstawiłbym więcej szczegółów z ich życia, pokazałbym więcej spotkań z duchami w życiu ocalonych, którzy oczywiście w każdej ze swych wypowiedzi są „rzecznikami zmarłych”.

Tytuł tej książki wymaga być może krótkiego wyjaśnienia. Nie jestem monarchistą – broń Boże! Jestem żarliwym republikaninem – a tytuł jest parafrazą zdania wygłaszanego po śmierci brytyjskiego władcy: „Król umarł, niech żyje król” i podkreślającego dziedziczność oraz ciągłość władzy. Paralela jest prosta i wyraża to samo, co napisałem w odniesieniu do Iraku w artykule z maja 2003: „Wojny, w odróżnieniu od meczów piłkarskich, nie kończą się wraz z ostatnim gwizdkiem sędziego”.

Ta książka nie sprzedawała się zbyt dobrze w Anglii, choć naprawdę uważam, że nie dlatego, że jest kiepska. Nie byłem tym jednak zaskoczony. Jednym z tematów, których nie omówiłem tu wystarczająco obszernie, była dziwna apatia Europy i Stanów Zjednoczonych wobec zbrodni dokonywanych, jak ujął to jeden z winowajców, „trzy kroki od Wenecji”. Doprowadzało mnie do szaleństwa, gdy w czasie wojny

wracałem do Anglii lub Włoch i przekonywałem się, że większość ludzi zupełnie nie przejmuje się tymi potwornościami albo nie wie, co właściwie ma o nich myśleć, więc woli się nimi nie interesować. Ta obojętność trwa do dziś i to w stopniu większym niż w stosunku do, na przykład, konfliktów na Bliskim Wschodzie czy w Afryce, a ja często się zastanawiam, co jest tego powodem. Być może po prostu ludzi nie obchodzą masowe zbrodnie, nawet jeśli dochodzi do nich tuż za miedzą, „trzy kroki od Wenecji” – a może właśnie dlatego, że dzieje się to za miedzą, że bośniacka tragedia rozgrywała się – i nadal się rozgrywa – tak blisko.

W odróżnieniu od mojej poprzedniej książki o wojnie narkotykowej w Meksyku, która odniosła duży sukces i została przetłumaczona na wiele języków, ta praca do tej pory nie ukazała się w żadnym innym języku, nawet serbsko-chorwackim (albo serbskim, chorwackim i bośniackim, jak zwał, tak zwał – ludzie nie potrafią dojść do porozumienia nawet w tak prostej kwestii). Cieszę się więc ogromnie, że trzymacie właśnie w dłoniach przekład na język kraju, który jest bardzo bliski mojemu sercu, Polski. Zastanawiam się też, dlaczego właśnie Polska? Mam pewną teorię na ten temat.

Choć noszę francuskie nazwisko i mam brytyjski paszport, moje DNA jest przede wszystkim irlandzkie, a jedynym krajem, w którym ta książka wzbudziła spore zainteresowanie, była właśnie Irlandia. Myślę więc o miejscach, które mnie interesują: Meksyku, Bośni, a teraz również – po wielkim zaszczycie, jakim była dla mnie nagroda imienia Ryszarda Kapuścińskiego – Polsce. Co mają ze sobą wspólne wszystkie te państwa? Historię ciągłych napaści ze strony najbliższego sąsiada – a w przypadku Polski ze strony dwóch najbliższych sąsiadów. Uwielbiam żart, który w latach osiemdziesiątych opowiedział mi Jacek Kuroń: Piotrek i Bolek popijają wódkę w knajpie na przemysłowych obrzeżach Warszawy, wreszcie Piotrek pyta Bolka: „Kogo byś zabił najpierw, Ruska czy Niemca?”. Bolek długo się zastanawia. „Hmm, bardzo trudny wybór – odpowiada w końcu. – Chyba Niemca. Najpierw obowiązek, potem przyjemność”.

Bolek i Piotrek z tego żartu mogliby równie dobrze być Irlandczykami, Meksykanami lub Bośniakami. Wspólnota doświadczeń w postaci cierpień doznanawanych raz po raz z rąk najbliższych sąsiadów owocuje nie tylko wyjątkowym zrozumieniem i współczuciem między narodami, których to dotyka – czego dowodzi Wasze zainteresowanie tą historią – ale i czymś znacznie więcej. Wydaje mi się, że tłumaczy to szelmowski humor, cechujący wszystkie te narody, pewien fatalizm, zamiłowanie do trunków, poetycki anarchizm (w odróżnieniu od politycznego) i na swój sposób pogodne, choć niepozbawione melancholii nieposłuszeństwo, które gra na nosie władzy – cechy, które sam ogromnie lubię. Gdy spytałem Fikreta Alicia, mężczyznę stojącego za drutem kolczastym obozu w Trnopolju w 1992 roku, jak przetrwał te straszne chwile i jak radził sobie z późniejszą traumą, odpowiedział mi po angielsku: „Eddie, przetrwałem, bo jestem człowiekiem, który potrafi się śmiać”. Nie był to żart, ale gdyby nim był, większość Polaków natychmiast by go zrozumiała.

Dziękuję więc Wydawnictwu Czarne i dziękuję Tobie, Polsko. A do podziękowań dołączam bośniackie rozrachunki – a właściwie kilka słów o tym, dlaczego wciąż ich brak.

Ed Vulliamy
Glastonbury, Anglia
kwiecień 2015

Prolog

W odróżnieniu od wielu korespondentów wojennych nienawidzę wojny. I dlatego właśnie o niej piszę. Zostałem korespondentem wojennym niechętnie i przypadkowo. Stało się to za sprawą telefonu, który odebrałem pewnego pięknego poranka w czerwcu 1991 roku w swoim mieszkaniu na poddaszu rzymskiej kamienicy. Poprzedniego roku moja gazeta wysłała mnie do Rzymu, bym pisał o korupcji w polityce, zorganizowanej przestępczości i piłce nożnej – a przy okazji cieszył się *la dolce vita*. Moi szefowie przykazali mi również, bym miał na oku pobliską Jugosławię i od czasu do czasu napisał, jak to niezaangażowane socjalistyczne państwo reaguje na wstrząsy polityczne w Niemczech, Rumunii, Czechosłowacji i Polsce. Owego pamiętnego dnia zadzwoniono do mnie z działu zagranicznego „The Guardian”. Coś dziwnego działo się w jednej z jugosłowiańskich republik, Słowenii – wyglądało na to, że jugosłowiańska armia mobilizuje się do walki ze słoweńskim ruchem separatystycznym. Ponieważ stolica Słowenii, Lublana, leży niedaleko Włoch, zapytano, czy mógłbym tam pojechać i dowiedzieć się, o co właściwie chodzi. W rezultacie przez kilka następnych lat miałem oko na swoje mieszkanie w Rzymie, a zajmowałem się niemal wyłącznie najgorszym koszmarem, jaki wydarzył się w Europie od czasów Trzeciej Rzeszy.

5 sierpnia 1992

Grupa trzydziestu przerażonych mężczyzn wynurzyła się z rdzawego hangaru, mrugając oślepiionymi światłem słonecznym oczami. Zaniedbani i wycieńczeni – niektórzy chudzi jak śmierć, z wygolonymi głowami – ustawili się potulnie w szeregu na asfaltowym placu, obserwowani czujnie przez uzbrojonych w karabiny maszynowe strażników. Wprowadzono ich do stołówki, gdzie czekali w kolejce na swój posiłek – miskę wodnistej zupy fasolowej i kromkę chleba, które pochłaniali w milczeniu niczym wygłodzone psy. W prowadzonym przez bośniackich Serbów obozie koncentracyjnym Omarska nastąpiła właśnie pora obiadu. Obóz, przeznaczony dla muzułmańskich i chorwackich cywilów, ukrywany był przed światem przez trzy miesiące, od początku wojny w Bośni.

Większość więźniów była przeraźliwie chuda, niektórzy wyglądali niemal jak szkielety, wysuszona skóra marszczyła się niczym pergamin na kościach ich patykowatych ramion. Mieli zapadnięte policzki i wyłupiaste oczy; patrzyli na świat pustym wzrokiem więźniów, którzy obawiają się kolejnego ciosu, albo przenikliwym spojrzeniem kogoś, kto chciałby zdradzić jakąś przerażającą tajemnicę, ale nie śmie. Pod baczным okiem uzbrojonych oprawców bali się mówić – z wyjątkiem jednego chudego mężczyzny w koszuli w kratkę, który wydawał się równie wymizierowany, co zdeteterminowany. Siedząc przy stole, podniósł wzrok znad swojej zupy i oznajmił:

– Nie chcę mówić żadnych kłamstw, ale nie mogę powiedzieć prawdy.

Potem zamilkł, lecz tym jednym zdaniem zdołał przekazać wystarczająco wiele, musiał się też wykazać ogromną odwagą, by w ogóle się do nas odezwać – ten moment został uchwycony na filmie. Nazywał się Dżemal Paratušić. Inny więzień, Šerif Velić, wynędniałały mężczyzna ze strachem i wściekłością w oczach, miał poranioną twarz. Kiedy spytałem go, co się stało, odparł, że się przewrócił i potłukł.

Obiad trwał pięć minut – wydawało się, że to w najlepszym wypadku jedyny posiłek więźniów

w ciągu dnia. Gdy skończyli jeść, ustawiali się szybko i potulnie w kolejce do wyjścia. Niektórzy zabierali chleb, chowając go w zaciśniętej dłoni, by zjeść go później albo dać komuś innemu. Potem biegli rzędem do ciemnych drzwi hangaru, podczas gdy następną grupę prowadzono przez asfaltowy plac do stołówki.

Przyjechałem tu za zgodą przywódcy bośniackich Serbów, Radovana Karadžicia. Reprezentowałem dziennik „The Guardian”, a towarzyszyły mi dwie ekipy telewizji INT: jedna kierowana przez Penny Marshall z ITV, a druga przez Iana Williama z Channel Four. Chcieliśmy się dostać do wnętrza hangaru, ale pierwsze próby negocjacji spełzły na niczym: szef miejscowej policji bośniackich Serbów Simo Drljača wyprowadził nas na piętro, by tam tłumaczyć nam bez końca, że to miejsce jest „ośrodkiem, a nie obozem. Ośrodkiem”. „Ośrodkiem zbiorczym” – niemal krzyczała tłumaczka Drljača, pani Nada Balaban – w którym przesłuchiowano potencjalnych „mudżahedińskich wojowników”. Prosiliśmy wielokrotnie, by pozwolono nam zobaczyć kwatery więźniów, jak obiecał nam doktor Karadžić. Jednak gdy wyszliśmy ponownie na asfaltowy plac, dowódca obozu – którego przedstawiono nam tuż po przyjeździe jako Željka Mejakicia – odmówił. Ruszyliśmy w stronę hangaru, lecz Mejakić stanął nam na drodze, a jego pachołkowie odbezpieczyli swoje kałasznikowy. Ponownie zaczęliśmy protestować, przypominając, że podczas rozmowy, która miała miejsce zaledwie dwa dni wcześniej, doktor Karadžić obiecał nam, że będziemy mogli obejrzeć cały obóz. Na to Drljača – za pośrednictwem pani Balaban – odparł:

– [Karadžić] powiedział, że możecie zobaczyć to i to, ale tamtego nie.

Spróbowaliśmy jeszcze raz, ale uzbrojeni strażnicy Mejakicia wyprowadzili nas z obozu. Zobaczyliśmy niewiele, ale to wystarczyło.

Potem zabrano nas do obozu o nazwie Trnopolje, mieszczącego się w domu kultury i szkole oraz na przyległych terenach. Dotarłszy na miejsce, podjechaliśmy do tłumu mężczyzn, w większości straszliwie wychudzonych, którzy stali za ogrodzeniem z drutu kolczastego i byli równie zdumieni naszym widokiem, jak my ich. Wskoczyliśmy z samochodu i poszliśmy się z nimi przywitać. Jeden z więźniów nazywał się Fikret Alić; jego chuda jak szkielet postać widoczna zza drutów stała się symbolem bośniackiej wojny i całej dekady. Alić powiedział nam o jeszcze jednym obozie, Keratermie, z którego przyjechał tego ranka wraz z innymi więźniami. Powiedział też, że w Keratermie, w miejscu zwanym Hangarem Trzecim, w ciągu jednej nocy zabito stu trzydziestu więźniów. Nazajutrz po masakrze Fikretowi kazano ładować zwłoki na ciężarówkę, załamał się jednak i nie był w stanie tego robić, a inny mężczyzna zgodził się go zastąpić.

Obóz w Trnopolju przeszedł pozytywnie kontrolę jugosłowiańskiego Czerwonego Krzyża, a przynajmniej tak nam powiedział przedstawiciel tej organizacji, Pero Ćurguz, który podszedł do naszej ekipy, najwyraźniej zaniepokojony, że spotkaliśmy tę konkretną grupę więźniów. Jako przedstawiciel Czerwonego Krzyża czuł się w obowiązku zapytać o obóz Omarska, który jego zdaniem również spełniał standardy organizacji, nie licząc „pewnych problemów z biegunką”. Wiedzieliśmy już, że Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża (МКСК) nie odwiedził tego obozu ani obozu w Omarskiej od momentu ich utworzenia, czyli od trzech miesięcy. Postanowiliśmy więc sami nieco się rozejrzeć. Dotarliśmy do obozowego centrum medycznego – prowizorycznego ośrodka złożonego z trzech pomieszczeń, prowadzonego z heroicznym poświęceniem przez dwoje ludzi: lekarza Idriza Merdžanicia i weterynarza Azrę Blažević. Mówili do nas swego rodzaju szyfrem, wystraszeni, ale gotowi przekazać

prawdę za wszelką cenę. Doktor Idriz był wyjątkowym człowiekiem obdarzonym wielką charyzmą, imponował kompetencją i opanowaniem. Stojąc przed kamerami ITN, musiał zachować równowagę między tym, co chciał powiedzieć, a tym, czego powiedzieć nie mógł. Pytany, czy musiał opatrywać pobitych jeńców, doktor Idriz przewracał oczami, udzielając bezgłośniejszej, a zarazem bardzo wymownej odpowiedzi. Gdy pytaliśmy, czy przybywali doń pobici więźniowie z innych obozów, pozwolił sobie na niewielkie skinienie głową. Azra Blažević, pani weterynarz z kręconymi włosami i przenikliwym spojrzeniem, była równie imponującą postacią. Kiedy wyłączyliśmy kamerę, powiedziała nam:

– Jest tak źle, jak się obawiacie. Zabijają, torturują... weźcie to.

Z tymi słowami podała nam ukradkiem rolkę niewywołanego jeszcze filmu. Znajdowały się na nim przerażające zdjęcia straszliwie wychudzonych więźniów, ciał pokrytych czarnymi i fioletowymi sińcami. Gdy podeszła do nas grupa strażników, Azra natychmiast zmieniła temat i wskazała na swoją córkę, siedmioletnią dziewczynkę z krótką, chłopięcą fryzurą, która kręciła się po korytarzu. Miała na imię Dina.

Długowłosa mężczyzna o imieniu Ibrahim zabrał mnie na obchód po obozie. Pokazał mi latryny, przy których bawiły się dzieci, i wystraszonych ludzi stłoczonych na szkolnych korytarzach, w większości zbyt przerażonych, by chcieli z nami rozmawiać. Ibrahim mówił nam o biciu i przede wszystkim o głodzie. Ktoś powiedział:

– Gdybyście rzucili tu bochenek chleba i zobaczyli, co zrobią więźniowie, żeby go zdobyć, zrozumielibyście, jak tu jest.

Przyznam, że chwilami zastanawiałem się, gdzie ja właściwie się znalazłem. Jakieś dwie godziny później wyjechaliśmy z obozu, nie dowierzając własnym oczom i z obawą myśląc o tym, czego nie było nam dane zobaczyć. Nasz kierowca i tłumacz, wspaniały człowiek o imieniu Miša, pochodzący z Belgradu, uznał, że jeśli zgodnie z wcześniejszym planem zostaniemy tu na noc, nasze życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. W drodze powrotnej, która w pewnym miejscu prowadziła pełnym wojskowych pojazdów wąskim korytarzem pomiędzy liniami frontu, staraliśmy się przypomnieć sobie tekst piosenki *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* Beatlesów – i śpiewaliśmy ją głośno, zmierzając do Belgradu przez ciemne, wypalone, zbombardowane miasta i wioski, z których wygnano wszystkich muzułmańskich mieszkańców lub ich wymordowano.

Spraw sobie szklane oczy i udawaj,
Jak pierwszy lepszy śliski karierowicz,
Że widzisz, czego nie widzisz¹.

William Shakespeare, *Król Lear*

Choć nie było to w żadnej mierze moim zamiarem, podróż, w którą wyruszyłem w towarzystwie byłych więźniów obozów koncentracyjnych, przybrała prawdziwie epickie rozmiary, zarówno czasowo – trwa już dwie dekady – jak i geograficznie. Wiodła mnie przez różne zakątki Ameryki i Europy, skłaniała też wielokrotnie do powrotu do Bośni. Spotykałem byłych więźniów w Wielkiej Brytanii, w Niemczech, Szwecji, Holandii, Chorwacji i Danii, w stanach Missouri i Utah; widziałem, jak odbudowują swoje domy w Bośni i wychowują dzieci na całym świecie. Ta historia zahaczyła o międzynarodowy kapitalizm, gdy teren zajmowany przez obóz Omarska został zakupiony przez najpotężniejszego na świecie producenta stali, ale rozgrywała się również na obrzeżach europejskich miast i w gettach Ameryki. Chwilami sięgała również wstecz, aż do Holocaustu.

Często zmuszony byłem się zastanawiać, czy jestem kronikarzem niezwykłych następstw bośniackiej wojny, czy też na pewnym poziomie ich uczestnikiem: pięciokrotnie wygłaszałem przemówienia dla byłych więźniów obozu Omarska, stojąc przed hangarem, sprzed którego przegnano mnie w 1992 roku. Musiałem zeznawać podczas siedmiu procesów zbrodniarzy wojennych w Hadze, w tym w procesach dwóch członków Sztabu Kryzysowego – organu sprawującego w czasie wojny władzę w Prijedorze – których poznaliśmy tamtego pamiętnego dnia, oraz w procesie samego Karadžicia.

Jednak podróż moja i byłych więźniów – z której relacją ma być ta książka – nie doprowadziła do żadnego celu. Właśnie o to chodzi. To opowieść o czymś więcej niż o wojnie i jej następstwach w pewnym kraju na południowym wschodzie Europy: to historia o traumie, pamięci i przetrwaniu, o rzeczach, które nie mają żadnego ostatecznego rozwiązania, nie wspominając już o „zamknięciu”, wygodnym terminie używanym w polityce, psychoterapii i wiadomościach. Piszę tu o ludziach, których życie znalazło się w pułapce, którzy stracili swoich bliskich krewnych i którzy wyruszyli w niezwykłą podróż ku przetrwaniu, na wygnanie i w stan zawieszenia, a w kilku przypadkach zdecydowali się na powrót do domu. W ostatniej części książki oddaję głos tym, którzy dwadzieścia lat później uważają, że przetrwali, i tym, którzy wciąż się zastanawiają, czy im się to uda. Najpierw jednak krótka rekapitulacja wojny, która odmieniła ich życie i rozproszyła ich po całym świecie.

Wiosną 1992 roku bośniaccy Serbowie rozpętali huragan przemocy skierowanej głównie przeciwko bośniackim Muzułmanom – a także bośniackim Chorwatom i wszystkim nieserbским grupom etnicznym – na terytorium, które nazywali „Wielką Serbią”. Mieli tu mieszkać Serbowie i tylko Serbowie, pozostałych zaś należało usunąć – zabić lub wysiedlić. W ciągu kilku tygodni od pierwszego strzału bośniackiej wojny, który padł w Sarajewie 6 kwietnia 1992 roku, bośniaccy Serbowie – wspierani przez Serbię – utopili cały kraj we krwi i pogrążyli w cierpieniu, a trzeci już w ciągu roku konflikt zbrojny w Jugosławii ostatecznie doprowadził do rozczłonkowania tego państwa.

Po początkowym zamieszczeniu w Słowenii latem 1991 roku republika ta, unikając większego rozlewu krwi, odłączyła się od Jugosławii i stała się niepodległym państwem. Jednak w ślad Słowenii postanowiła pójść Chorwacja i wtedy właśnie zaczęła się prawdziwa wojna, bo podczas gdy w Słowenii mieszkali tylko nieliczni Serbowie, w Chorwacji było ich o wiele więcej, szczególnie we wschodniej części Slawonii i w regionie zwanym chorwacką Krajina, położonym przy granicy z Bośnią. Tu rozpoczęły się pierwsze poważne działania wojenne, gdyż chorwaccy Serbowie, wspierani przez jugosłowiańską armię, sprzeciwili się niepodległości Chorwacji, zaczęli oczyszczać swoje terytorium z chorwackich mieszkańców i rozpoczęli długotrwałe oblężenie zamieszkanego w większości przez Chorwatów Vukovaru nad Dunajem; miasto zostało ostatecznie zdobyte i zrównane z ziemią. Relacjonowanie tych ostatnich tygodni bezwzględnej przemocy w Vukovarze i okolicach było czymś potwornym – nowym i straszliwym doświadczeniem dla każdego, kto był świadkiem tych wydarzeń, nie mówiąc już o ich uczestnikach. Oglądając zniszczenia i bezlitosne oczyszczanie miasta z Chorwatów – a potem groteskowe przechwałki „wyzwoliciele” – nie mieliśmy pojęcia, że dramat Vukovaru jest zapowiedzią kolejnych tragedii.

Plan utworzenia Wielkiej Serbii powstał na dwóch płaszczyznach: politycznej i naukowej. W 1986 roku pracownicy Serbskiej Akademii Nauk i Umiejętności (SANU) w Belgradzie przygotowali manifest, zwany *Memorandum SANU*, w którym napisano, że naród serbski został znieważony, gdy zmuszono go do dzielenia się władzą z Chorwatami i Słoweńcami. W dokumencie padło stwierdzenie, że granice republik tworzących Jugosławię (Słowenii, Chorwacji, Bośni i Hercegowiny, Serbii, Czarnogóry i Macedonii) zostały wyznaczone przez komunistów tak, by rozdzielić mieszkających na tych ziemiach Serbów. Według autorów manifestu Jugosławię należało rozwiązać, a narodowi serbskiemu oddać tereny zamieszkałe przez ludność serbską, obejmujące większość południowej i wschodniej Chorwacji (w tym wybrzeże dalmatyńskie) oraz Bośnię, Czarnogórę, Macedonię – i Serbię oczywiście, z należącymi do niej regionami etnicznie węgierskiej Wojwodiny i etnicznie albańskiego Kosowa².

Tylko bardzo nieliczni wierzyli, że ów manifest mógłby stać się realnym programem politycznym i wojskowym, jednak to właśnie oni mieli rację. Pseudointelektualny ruch na rzecz utworzenia Wielkiej Serbii zauroczył komunistycznego polityka Slobodana Miloševicia. Milošević odsunął od władzy swojego byłego mentora Ivana Stambolicia oraz innych przedstawicieli starej gwardii i odnowił oblicze Socjalistycznej Partii Serbii, wzorując jej strategię i metody działania na polityce prowadzonej przez zmarłego przywódcę komunistycznego, marszałka Josipa Broza-Titę. W miejsce marksizmu Milošević wprowadził żarliwy serbski nacjonalizm, podsycany uderzającą do głowy retoryką, która łączyła w sobie faszystowski rasizm z dziwnym i bardzo serbskim poczuciem wyjątkowego losu. Zarówno ogniste przemówienia Miloševicia, jak i akademickie rozważania zainspirowane przez *Memorandum* pełne były mistycznych pojęć związanych z „Niebiańską Serbią”, która na ziemi miała za zadanie zebrać w jeden serbski naród wszystkich Serbów, żywych i umarłych. W tym celu w 1991 roku zaczęto przeprowadzać ekshumacje Serbów, których pochowano niegdyś na terytoriach pozostających poza granicami Wielkiej Serbii. Wówczas ogromną popularność zyskał symbol, który pojawia się również wielokrotnie w tej opowieści, serbski krzyż z czterema cyrylicznymi literami „S” (przypominającymi łacińskie „C”) od pierwszych słów dewizy *Samo sloga Srbina spasava*, czyli „Tylko jedność ocali Serbów”^[6].

Ten pokretny serbski kult w ciągu wieków rozwijał się, karmiony krwią ofiar i pragnieniem zemsty, zwłaszcza wobec tureckich okupantów, którzy w przeszłości sprawowali władzę w regionie. 28 czerwca

1989 roku Milošević zwrócił się do ogromnego tłumu zgromadzonego na Kosowym Polu – miejscu przegranej bitwy z Turkami^[7], do której doszło dokładnie sześćset lat wcześniej – i otoczony przez prawosławnych duchownych i paramilitarne bojówki przyrzekł uroczyscie, że klęska przodków zostanie pomszczona^[8]. Milošević był zbyt przebiegły, by użyć terminu „Wielka Serbia”, ale marzenie naukowców – i koszmar całego regionu – zostało wcielone w życie.

Chorwacja miała własne ambicje. Choć marszałek Tito sam był po części Chorwatem, przez cały okres istnienia powojennej Jugosławii chorwaccy patrioci i nacjonaści musieli działać w ukryciu, dążąc wraz z silną chorwacką diasporą do utworzenia niepodległego państwa. W 1989 roku inny były komunista, który stał się nacjonalistą, Franjo Tuđman, objął funkcję przewodniczącego Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej, a po roku został wybrany na prezydenta Chorwacji. Zaledwie rok później proklamował niepodległość Chorwacji i jej niezależność od Jugosławii. W odpowiedzi chorwaccy Serbowie utworzyli latem 1991 całą sieć punktów kontrolnych – był to naprawdę surrealistyczny widok – wyznaczających ich terytorium. Wkrótce Chorwaci mieszkający w miejscowościach na tym terytorium zostali wygnani lub zabici, a miasta pozostające w rękach Chorwatów – między innymi Osijek, Vinkovci, Vukovar – ostrzelano, a ostatnie z nich po oblężeniu zrównano z ziemią. Jednak serbski plan podbicia niemal całej Chorwacji powiódł się tylko częściowo, a w styczniu 1992 zawarto rozejm. Oddziały UNPROFOR (United Nations Protection Force – Siły Ochronne Organizacji Narodów Zjednoczonych) patrolowały granice samozwańczej „Republiki Serbskiej Krajiny” na terytorium Chorwacji przylegającym do Bośni. Republika ta istniała do 1995 roku, gdy została zajęta przez wojska chorwackie.

Choć narodziny współczesnego państwa kosztowały Chorwatów mnóstwo cierpień, większość z nich była gotowa wspierać i prowadzić wojnę o niepodległość. Z drugiej strony Serbowie wciąż jednak pamiętali o marionetkowym reżimie nazistowskich ustaszy, którzy w latach 1941–1945 władali sięgającym niemal po Belgrad Niezależnym Państwem Chorwackim i zamordowali mnóstwo (liczba waha się od siedemdziesięciu do siedmiuset tysięcy) Serbów, chorwackich i muzułmańskich dysydentów, komunistów oraz Cyganów w obozie koncentracyjnym w miejscowości Jasenovac, położonej na obecnej granicy bośniacko-chorwackiej.

Jednak w Bośni etniczna układanka i poczucie tożsamości były bardziej skomplikowane. Serbowie, Muzułmanie i Chorwaci dzielili miasta, miasteczka i wioski, a nawet domy i łóżka. Bośnia była wielokrotnie najeżdżana, w średniowieczu rządziła ją banowie, a w bośniackim piśmiennictwie z tamtego okresu alfabet łaciński mieszał się z cyrylicą. Tożsamość bośniacka łączyła w sobie również bogactwo tożsamości Serbów i Chorwatów, choć te narody często ją przytłaczały, co wkrótce miało się wydarzyć po raz kolejny. Naród bośniacki tworzyli południowi Słowianie, niektórzy z nich nazywali siebie Serbami, inni Chorwatami – jednak zdecydowaną większość stanowili Muzułmanie, zwani od 1993 roku „Boszniakami” i uznani za odrębny naród jeszcze przez marszałka Titę. Spora część z nich mówiła o sobie „Bośniacy”, podkreślając przynależność do wieloetnicznego państwa; obecnie tej nazwy używają zwykle właśnie Boszniacy.

Podczas gdy większość Serbów i Chorwatów zawsze deklarowała się jednoznacznie jako – odpowiednio – wyznawcy prawosławia lub katolicyzmu, bośniacka tożsamość często doprowadza do furii dogmatycznych muzułmanów, uważa się bowiem, że zbyt ważne są dla niej ziemskie przyjemności, a przy tym ma złożone korzenie. Islam w Bośni był – i do pewnego stopnia wciąż jest – pod silnym wpływem wiary praktykowanej powszechnie w średniowiecznej Bośni: bogomilizmu – od „bogomił”,

czyli „miły Bogu” – ruchu przeciwnego wszelkim sformalizowanym organizacjom kościelnym i wyznającego gnostyczny, manichejsko dualistyczny pogląd na naturę wszechświata i człowieka. Bogomilizm miał duży wpływ na radykalne herezje w średniowiecznych Niemczech i w Niderlandach. Ci, którzy po podbiciu Bośni przez osmańskich Turków nawrócili się na islam, wcześniej byli w większości bogomiłami.

Podczas wojny w Chorwacji w 1991 roku mało kto wierzył, że Serbowie spróbują wprowadzić w życie projekt utworzenia etnicznie czystego terytorium w Bośni: plan taki wymagałby podzielenia niemal wszystkich społeczności, a właściwie całego kraju. Jednak w tym samym czasie po terenach dawnej Jugosławii krążył dowcip: „Dlaczego w Bośni nie ma jeszcze wojny? Bo my, w Bośni, przechodzimy bezpośrednio do rundy finałowej”. Choć prezydenci Chorwacji i Serbii, Tuđman i Milošević, byli wrogami, wiosną 1991 roku spotkali się w miejscowości Karadorđevo w Serbii, by omówić jedną wspólną sprawę: potrzebę skutecznego podziału Bośni.

W samej Bośni przywództwo ruchu nacjonalistycznego było początkowo bardziej zainteresowane akademickimi dysputami niż wojną: prawnik Alija Izetbegović założył muzułmańską nacjonalistyczną Partię Akcji Demokratycznej, zostając jednocześnie jej przywódcą. Gdy Jugosławia rozpadała się na pomniejsze państwa, Bośnia znalazła się w trudnej sytuacji. Po wielopartyjnych wyborach w 1990 roku zgromadzenie narodowe w Sarajewie zostało podzielone między partie, które opierały się wyłącznie na kryteriach etnicznych, a ich udział w zgromadzeniu odzwierciedlał mniej więcej skład populacji całego narodu: 43,47 procent stanowili Muzułmanie, 31,21 procent prawosławni Serbowie, a 17,38 procent chorwaccy katolicy. W październiku 1991 roku Serbska Partia Demokratyczna pod przewodnictwem doktora Karadžicia doprowadziła do utworzenia własnego parlamentu samozwańczej Serbskiej Republiki Bośni i Hercegowiny. W listopadzie Chorwacka Wspólnota Demokratyczna proklamowała Chorwacką Republikę Herceg-Bośni. W referendum decydującym o odłączeniu od Jugosławii, przeprowadzonym 1 marca 1992 roku, za niepodległością Bośni i Hercegowiny opowiedziało się aż 99,7 procent głosujących, lecz byli to niemal wyłącznie Muzułmanie lub Chorwaci – głosowanie zbojkotowała zdecydowana większość Serbów. Prezydent Izetbegović z właściwą sobie naiwnością zapewniał swój naród, że „nie będzie żadnej wojny”, lecz po ogłoszeniu przez parlament Republiki niepodległości Serbowie niemal natychmiast rozpoczęli działania wojenne w Bośni.

Pierwsze osiemnaście przerażających miesięcy tej wojny opisałem w książce zatytułowanej *Seasons in Hell* [Pory roku w piekle] (1994); niniejsza książka dotyczy końca wojny, jej następstw i nierozwiązanych problemów. Wystarczy powiedzieć, że początek wojny oznaczał również rozpoczęcie bezlitosnych i starannie przygotowanych przez Serbów pogromów. W ciągu kilku wiosennych miesięcy 1992 roku miasta położone wzdłuż doliny Driny – głównie Zvornik, Višegrad i Foča – zostały pozbawione muzułmańskich mieszkańców. Tysiące Muzułmanów zamordowano – zamykano w domach i palono żywcem lub zabijano na mostach – a dziesiątki tysięcy wysiedlono lub zmuszono do ucieczki, by stali się wygnańcami we własnym kraju. To samo działo się na wschód od Sarajewa, w regionie zwanym Romanija wokół miasta Vlasenica i wzdłuż północnego brzegu Sany. Położone na północy miasta Bijeljina i Brčko zostały oczyszczone z nie-Serbów, których zabito lub wygnano. Karadžić wszystkie te działania określał terminem „czystki etniczne”. Stolica została otoczona, a dowódca wojsk bośniackich Serbów, kierujący oblężeniem generał Ratko Mladić, polecił swoim artylerzystom, by doprowadzili mieszkańców miasta „na skraj szaleństwa”. W Hercegowinie bombardowano Mostar, choć

kontrofensywa, będąca owocem krótkotrwałego sojuszu Muzułmanów z Chorwatami, odepchnęła wojska serbskie. W rejonie bośniackiej Krajiny oraz w okolicach Banja Luki i Prijedoru palono chorwackie i muzułmańskie wsie i miasteczka oraz tworzono obozy. Opór stawiał tylko otoczony region wokół Bihacia. Właśnie do tego wojennego zakątka trafiłem po odkryciu obozów Omarska i Trnopolje.

Przeciwnicy Serbów dysponowali nieporównywalnie mniejszą siłą ognia, a przy tym należeli do różnych grup etnicznych; mało kto wie, że na początku wojny wielu Serbów, szczególnie z Tuzli i Sarajewa, walczyło przeciwko pogromom dokonywanym w ich imieniu. Byli przeciwni podziałom według klucza wyznaniowego i lojalni wobec rządu, stojącego teoretycznie po stronie Muzułmanów – za co zostali później z oburzeniem odrzuceni przez polityczne przywództwo tychże Muzułmanów, gdy w miarę rozwoju wydarzeń strona rządowa również poszła w kierunku fanatyzmu wyznaniowego. Wielu Chorwatów przyjęło taką samą postawę.

Do końca 1992 roku walki i czystki etniczne pochłonięły trudną do oszacowania liczbę ofiar śmiertelnych – prawdopodobnie było ich około siedemdziesięciu tysięcy – a nim skończyła się wojna, w masowych grobach spoczęły zwłoki kolejnych trzydziestu tysięcy zamordowanych. W 1992 roku wysiedlono też ponad milion osób, potem liczba ta wzrosła o następny milion. W utworzonych specjalnie w tym celu obozach Serbowie systematycznie i masowo gwałcili młode dziewczęta i kobiety – szczególnie złą sławą okryły się takie obozy w Višegradzie, Fočy i w podmiejskiej dzielnicy Sarajewa, Vogošci. Miejscowości otoczone przez Serbów były bombardowane przez ich artylerię. Kobiety, dzieci i starcy kryli się w piwnicach, przeżywając na jawie koszmar, który ziścił się w miejscowości Goražde, w Bihaciu, Cerskiej, Žepie i miejscu haniebnej masakry dokonanej pod koniec wojny – Srebrenicy.

Odzew – a właściwie jego brak – tak zwanej społeczności międzynarodowej był szokujący. ONZ natychmiast wprowadziła embargo na dostawy broni dla wszystkich stron, jak to nazywała, „konfliktu”, co oznaczało w praktyce, że Serbowie mieli do dyspozycji czwartą co do wielkości armię w Europie, podczas gdy siły ich przeciwników składały się z gromadzonych naprędce oddziałów rządowej milicji. Brytyjski dyplomata David Owen mówił o potrzebie „równych szans” w sytuacji, gdy agresor już w punkcie wyjścia miał olbrzymią przewagę nad swoją ofiarą: pamiętam żołnierzy w ostrzeliwanym Bihaciu, którzy idąc na front, pobierali za pokwitowaniem pojedyncze kule. W czerwcu Rada Bezpieczeństwa ONZ poleciła swoim wojskom zająć lotnisko w Sarajewie. Po raz pierwszy interweniowali wówczas żołnierze oddziałów, które później przyjęły nazwę UNPROFOR i zostały upoważnione do niesienia pomocy.

Wydawało się, że przepychanki dotyczące interwencji wojskowej wreszcie się zakończą, gdy po odkryciu obozów koncentracyjnych ówczesny prezydent USA George H. W. Bush oznajmił, że Zachód zrobi „wszystko, co konieczne”, by „naprawdę zakończyć ten koszmar” – ale potem zrobił bardzo niewiele. Premier Wielkiej Brytanii przynajmniej oświadczył wprost, że interwencja wojskowa nie wchodzi w grę, pokładając jednocześnie nadzieję w konferencji pokojowej, która odbyła się w sierpniu 1992 roku w Londynie. Karadzić obiecał wówczas wycofać swoje wojska spod Sarajewa, Bihacia, miejscowości Goražde i innych oblężonych miast. John Major mu uwierzył i uznał konferencję za sukces. W rzeczywistości nic się nie zmieniło.

Tak przygotowano grunt pod trzy krwawe lata przyzwolenia na serbskie pogromy – przyzwolenia wynikającego z pychy, bezsilności, patosu i cynizmu oraz upartego zrównywania wszystkich stron uczestniczących w ludobójstwie jako rzekomo równorzędnych przeciwników w regionie, który

dyploci postrzegali przez pryzmat „zadawnionych animozji etnicznych”. Błędy i zaniedbania były zbyt liczne i bezduszne, by szczegółowo je tu opisywać, ale jako naoczni świadkowie tych tragicznych wydarzeń zawsze byliśmy świadomi, że to Francuzi i Brytyjczycy przy każdej okazji wspierali politykę wyrachowanej neutralności. To właśnie oni propagowali doktrynę „moralnej równowagi”: nie można obarczać winą żadnej ze stron, dlatego też nie ma podstaw do interwencji. Takie podejście zachęcało do zbrodniczej działalności i pozwalało ją kontynuować przez długie trzy lata, a konsekwencje tej samej doktryny w odniesieniu do trudnego „pokoju” są głównym tematem tej książki. W wymienionej publikacji *Unfinest Hour* [Najgorsza godzina] (2001) historyk z Cambridge Brendan Simms zagłębia za kulisy brytyjskiej dyplomacji i pokazuje, jak tworzono i wprowadzano w życie politykę ustępstw, której głównymi twórcami byli: brytyjski minister spraw zagranicznych Douglas Hurd, minister obrony Malcolm Rifkind oraz Pauline Neville-Jones, dyrektor polityczny w Biurze Spraw Zagranicznych, powiązana też z wywiadem. Wymienieni powyżej politycy nie tylko sprzeciwiali się interwencji, która powstrzymałaby masakrę, ale w istocie nie pozwalali, by interweniował ktokolwiek inny. „Na każdym etapie możliwe było podjęcie skutecznych działań – powiedział polski premier Tadeusz Mazowiecki, również zaangażowany w sprawy Bośni. – [Hurd] stanął im na przeszkodzie”. Masakra w Bośni, pisał Simms, „stała się zbrodnią bez sprawcy, w której wszyscy byli ofiarami i wszyscy byli mniej lub bardziej winni”. Simms przypomina, że w pewnym momencie Hurd zamknął granice Wielkiej Brytanii dla uchodźców, twierdząc, że „cywile mają wpływ na walczących. Ich interesy wywierają nacisk na zwaśnione strony i skłaniają ich do szukania pokojowych rozwiązań”. Nick Cohen, który recenzował książkę Simmsa dla dziennika „The Observer”, pisał: „Trzeba przeczytać tę skandaliczną argumentację kilka razy, by uświadomić sobie, że Hurd odmawiał schronienia ofiarom Serbów (i swojej dyplomacji), chcąc za pomocą ich cierpień zmusić Bośniaków do układania się ze sprawcami czystek etnicznych”³.

Przyczyny przyjęcia takiej właśnie postawy pozostają w sferze domysłów, a jej skomplikowane uwarunkowania nie należą do materii tej książki. Z pewnością istotne znaczenie ma pielęgnowane od wieków w brytyjskiej dyplomacji przekonanie, że najlepszą gwarancją „stabilności” jest wspieranie największego despoty w regionie; równie ważne są także historyczne więzi z Serbią, której interesy Brytyjczycy utożsamiają ze „stabilnością”. Kolejną kwestią jest oczywiście historia ustępstw wobec tyranów. Przypuszczam, że w grę wchodził również zwykły snobizm, przeświadczenie, że Serbie reprezentują w negocjacjach „prawdziwi” politycy i żołnierze; ludzie w garniturach pracujący w ambasadach z prawdziwego zdarzenia, jak ta w Belgradzie, a nie w przeciągach sarajewskich korytarzy, generałowie w imponujących mundurach zdobionych galonami, a nie jacyś obszarpani partyzanci. To z kolei wiązało się z uświęconym tradycją podejściem (i psychozą) brytyjskiej dyplomacji kolonialnej, które można by nazwać „wyparciem ze świadomości istnienia ofiar”. Brytyjska wrażliwość dyplomatyczna wolała mieć do czynienia ze smagłym serbskim żołnierzem niż wyrzuconą ze swego domu, zgiętą wpół kobietą z chustą na głowie. Może wydawać się to mało prawdopodobne, ale tak właśnie było: Bośniacy i ich przedstawiciele postrzegani byli jako „marudy”.

Gdy Brytyjczyk David Owen i Amerykanin Cyrus Vance zostali specjalnymi wysłannikami Unii Europejskiej do Bośni, rozpoczęła się okrutna wojna „na boku”, podczas której bośniaccy Chorwaci próbowali oczyścić etnicznie proklamowane rok wcześniej państewko nazywane „Herceg-Bośnią” i zwrócili się przeciwko swym niegdyś boszniackim sprzymierzeńcom, zapędzając mężczyzn do obozów, a kobiety i dzieci do obleżonej wschodniej części Mostaru. Znaczna część tych działań

pozostawała w zgodzie z tak zwanym planem Vance'a–Owena, zakładającym trójstronny podział Bośni na kantony. Plan ów przydzielał Chorwatom tak rozległe tereny, że skłonił ich do podjęcia ofensyw na terytoriach, o których wcześniej nawet nie marzyli. „Dziwny to plan pokojowy, który prowokuje wojnę” – powiedział mój przyjaciel Emir Tica, „ptaszek” z górskiej drogi.

Przez cały ten okres dyplomaci, którzy później domagali się aresztowania Karadžicia i jego odpowiednika w wojsku, generała Ratka Mladicia, jako zbrodniarzy wojennych, ściskali dłonie obu polityków, chętni, by zawierać z nimi układy. Karadžicia w salonach w Londynie, Paryżu i Atenach witali przywódcy ONZ oraz szare eminencje brytyjskiej dyplomacji. Amerykański generał Wesley Clark obdarował generała Mladicia pistoletem i czapką wojskową. Brytyjski bohater Irlandii Północnej, generał sir Michael Rose, traktował Mladicia z serdecznością zarezerwowaną dla ludzi o podobnym statusie. I nie było chyba lepszej ilustracji tych trzech lat dyplomacji w Bośni niż obiad złożony z pieczonego prosięcia i jagnięciny, którymi raczyli się generał Bernard Janvier, dowódca UNPROFOR, oraz generał Ratko Mladić trzy dni przed zorganizowaną przez Mladicia masakrą ośmiu tysięcy mężczyzn i chłopców w Srebrenicy – największą pojedynczą zbrodnią ludobójstwa w Europie od czasów Holokaustu. Samoloty, które wystartowały już z lotnisk, by zapobiec tej tragedii, na rozkaz Janviera, zgodnie z obietnicą złożoną Mladiciowi podczas lunchu, zostały zawrócone. Holenderscy żołnierze, którzy mieli bronić ludzi przebywających w Srebrenicy, ogłoszonej przez ONZ „strefą bezpieczeństwa”, przegnali cywilów szukających tam schronienia i przyglądali się beczynnemu, jak oprawcy Mladicia oddzielają kobiety od mężczyzn, choć zapewne doskonale wiedzieli, jaki los czeka tych ostatnich. Wkrótce po masakrze w Srebrenicy generał Janvier powiedział mi w Zagrzebiu, że uważa jej sprawcą, generała Mladicia, za „profesjonalistę, który robi wszystko, co w jego mocy, by chronić swoich ludzi”. Pieczoną jagnięcinę generała Janviera dzieliły od pól zagłady generała Mladicia zaledwie trzy dni, te trzy dni są jednak ucieleśnieniem trzech długich lat wojny w Bośni.

Nim doszło do masakry, losy wojny już się odwracały. Brygady bośniackich wojsk, złożone głównie z wygnańców z terenów zniszczonych przez Serbów, skutecznie walczyły o powrót do domu. Stany Zjednoczone latem 1995 roku wspomogły chorwacką ofensywę, która wypchnęła siły serbskie z chorwackiej Krajiny. Nowa sekretarz stanu USA, Madeleine Albright, praktycznie odsunęła od działań bezradną ONZ i doprowadziła do ataków powietrznych NATO na wojska Serbów. Chorwacka ofensywa z zachodu przerwała w końcu oblężenie Bihacia, spiesząc z pomocą okrążonym tam żołnierzom i otwierając zachodni front dla zjednoczonych sił chorwacko-bośniackich, które ruszyły w stronę Prijedoru i położonych w tym regionie obozów koncentracyjnych. Ta ofensywa połączyła się z natarciem 17. Krajińskiej Brygady, złożonej w dużej części z byłych więźniów obozów, wypierając Serbów z centralnej Bośni w stronę Prijedoru.

Powstrzymał ich jednak asystent sekretarza stanu USA do spraw europejskich i kanadyjskich, Richard Holbrooke, który prowadził wcześniej negocjacje z Miloševićem i Tuđmanem, zawierając w końcu układ dotyczący podziału Bośni. Holbrooke pisze w swoich wspomnieniach, że zachęcał Chorwatów do przejścia Prijedoru, wyznaczył jednak nieprzekraczalną granicę przy Banja Luce, oświadczając, że tutaj pali się „czerwone, czerwone, czerwone światło” dla nacierających wojsk chorwackich i bośniackich⁴. Prezydent Izetbegović, którego horyzonty myślowe rzadko sięgały poza Sarajewo, zaakceptował to. Co ciekawe, jego generałowie nie protestowali. Koniec wojny był już w zasięgu ręki, a zwycięstwo Bośniaków więcej niż prawdopodobne, lecz ofensywa została nagle powstrzymana, gdy

armia bośniacka dotarła właśnie do Prijedoru i okolicznych obozów.

Priorytetem Amerykanów było zakończenie wojny za wszelką cenę, dlatego też w grudniu 1995 roku podpisano porozumienie pokojowe z Dayton w stanie Ohio. Układ podpisany przez prezydentów Serbii, Chorwacji i Bośni – przy wsparciu Karadžicia oraz przywódcy separatystycznego ruchu bośniackich Chorwatów Mate Bobana – dzielił Bośnię mniej więcej wzdłuż linii frontów powstałych podczas wojny, uwzględniając przy tym część terytoriów zajętych podczas wspólnej bośniacko-chorwackiej ofensywy w 1995 roku, choć nie dotyczyło to Prijedoru. Kraj miał się składać z dwóch „jednostek państwowych”: Federacji, zamieszkiwanej wspólnie przez Chorwatów i Boszniaków, oraz Republiki Serbskiej, co dawało Karadžiciowi czterdzieści dziewięć procent terytorium, niemal cały obszar, z którego pozbył się ludności o odmiennej przynależności etnicznej. Rzadko w historii Europy zdarzało się, by masowe mordy zostały tak hojnie nagrodzone przy stole negocjacyjnym.

Podstawą zachodniej doktryny „moralnej równoważności” – odpowiadającej takiej wersji historii tej wojny, jaką przedstawiają bośniaccy Serbowie – jest twierdzenie, że wszystkie strony dopuszczały się takich samych zbrodni i okropieństw. Z pewnością prawdą jest, że zginęły tysiące Serbów, choć zwykle ginęli oni w walce. Po odkryciu Omarskiej, gdy medialny szum ogarnął zarówno tamtejszy obóz, jak i obóz Trnopolje, postanowiłem poważnie potraktować twierdzenia Karadžicia i przedostałem się na tereny drugiej strony konfliktu – przez Węgry, by ominąć linię frontu – gdzie odkryłem inny przerażający obóz prowadzony przez chorwacko-bośniacką formację nazywaną w skrócie HOS – Hrvatske obrambene snage, czyli Chorwackie Siły Obronne – której żołnierze nosili jednolicie czarne mundury.

Gdy obejrzałem już obóz Dretelj, jego dowódca major Hrstić ostrzegł mnie osobiście, bym nie pisał o najmroczniejszych sekretach tego miejsca, bo – jak tłumaczył – „dziennikarz jest jak oficer wywiadu. Im mniej wie, tym dłużej żyje”. Oto, co było tym najmroczniejszym sekretem: tłum Serbek siedzących nieruchomo na podłodze magazynu, które wypatrzyliśmy przez uchylone lekko okno na moment przed tym, jak chorwaccy strażnicy wyprosilili nas z obozu. Wraz z Maud Beelman z Associated Press poszedłem do dowództwa HOS w mieście Ljubuški, domagając się otwarcia bram obozu, jak zrobili to (do pewnego stopnia) Serbowie po swojej stronie. Zabrano nas, choć niechętnie, do byłych koszar i budynków gospodarczych armii jugosłowiańskiej w Dretelju, niedaleko miejscowości Čapljina. Gdy tylko wszedł tam major Hrstić, kazano wszystkim więźniom – byli to wyłącznie mężczyźni – stanąć na baczność, a ci z rezygnacją podnieśli się ze swoich miejsc. Rozmowy prowadzono wyłącznie w obecności majora, a mężczyźni mówili, że zostali aresztowani i czekają na wymianę za jeńców z drugiej strony. Zaprowadzono nas również do punktu medycznego, w którym leżeli chorzy więźniowie, czasem po dwóch w jednym łóżku, brudni i wynędzniali.

Jednak dopiero gdy nasza wizyta dobiegała już końca, a my odprowadzani przez uzbrojonych strażników zmierzaliśmy do wyjścia, zobaczyliśmy przez okno budynku położonego naprzeciwko męskich koszar grupę kobiet – powiedziałbym, że było ich około trzydziestu. Gdy nasi gospodarze to dostrzegli, kazali nam natychmiast odjechać i nie mówić nikomu o tym, co widzieliśmy. W obawie o własne życie wykonaliśmy pierwsze polecenie, ale oczywiście nie zastosowaliśmy się do drugiego. Później, dzięki współpracy ze szwedzką i norweską policją, prowadzącą śledztwo w sprawie przestępstw popełnianych przez strażników w Dretelju, dowiedziałem się, że bito tam mężczyzn i gwałcono kobiety. (Nic mi nie wiadomo o tym, by w Dretelju zabito jakichkolwiek serbskich więźniów. Los sprawił, że znalazłem się w tym obozie ponownie w 1993 roku, gdy przebywali tam boszniaccy więźniowie przetrzymywani przez

swoich niedawnych sprzymierzeńców Chorwatów. Zaprowadzono nas wtedy do dwóch podziemnych tuneli, których nie widzieliśmy w 1992 roku i w których bez wątplenia zamordowano wielu boszniackich więźniów).

Gorszy obóz prowadzony przez bośniacką stronę znajdował się w miejscowości Čelebići, na południe od Sarajewa, gdzie znęcano się nad serbskimi więźniami i mordowano ich – sprawcy tych zbrodni zostali skazani w Hadze, a sarajewscy przywódcy nigdy nie próbowali ukrywać winowajców ani umniejszać ich czynów. W miarę upływu kolejnych miesięcy wojny strona rządowa, która początkowo uchodziła za reprezentanta interesów wszystkich Bośniaków i mogła liczyć na wsparcie wielu serbskich oraz chorwackich żołnierzy sprzeciwiających się temu, co robiono w ich imieniu, dryfowała coraz bardziej w stronę wyznaniową i coraz mocniej podkreślała swoją muzułmańską tożsamość. Pod koniec 1993 roku armia bośniacka przyjęła w swe szeregi oddział „El mudżahid” złożony z ochotników z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, którzy postrzegali pogrom bośniackich Muzułmanów w kategoriach czysto religijnych i wśród których znajdowali się również dżihadyści. Spotykali się z różnym przyjęciem ze strony bośniackich żołnierzy; niektórzy witali ich z radością, inni z pogardą, co zależało także od aktualnej sytuacji bośniackich Muzułmanów. Obecnie toczy się spór o to, do jakiego stopnia podlegali kontroli bośniackiej armii – Trybunał w Hadze uznał, że nie należeli do hierarchii wojskowej, ale prowadzili wspólne operacje i ćwiczenia. Nikt jednak nie zajmuje się zbrodniami popełnionymi przez zagranicznych fundamentalistów – między innymi ich domniemanym udziałem w zamordowaniu sześćdziesięciu serbskich żołnierzy więzionych w Sarajewie w 1995 roku i ukryciu ich ciał oraz czynami popełnionymi wobec bośniackich Chorwatów podczas „pobocznej wojny” tychże z Boszniakami w centralnej Bośni. Żaden z bojowników nie został nigdy oskarżony, choć starsi oficerowie zostali oskarżeni i skazani jako ich przełożeni. Dowiedziałem się po wojnie, że oddziały mudżahedinów wydały przeciwko mnie fatwę, uznawszy mnie za niepożądanego niewiernego, który pozornie sprzyjał bośniackiej sprawie.

Nie może być jednak żadnych wątpliwości co do tego, która „strona” (choć nie jest to właściwe słowo) jako pierwsza użyła przemocy ani która poniosła większe straty. Wbrew temu, co mówią bośniaccy Serbowie i ich zwolennicy na Zachodzie, stwierdzono jednoznacznie – i dowiedziono na podstawie zawartości masowych grobów – że ogromną większość z siedemdziesięciu tysięcy zabitych i trzydziestu tysięcy pod koniec wojny w 1995 roku nadal uważanych za zaginionych stanowili Boszniacy. Najdokładniejsze dane statystyczne dotyczące tej kwestii zostały zaprezentowane podczas berlińskiej konferencji w lutym 2010 roku przez dwoje polskich badaczy: Jana Zwierzchowskiego i Ewę Tabeau. Dane te powstały w oparciu o spis ludności z 1991 roku oraz informacje udostępnione przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, Międzynarodową Komisję do spraw Osób Zaginionych, Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża oraz Centrum Badań i Dokumentacji w Sarajewie (bośniacką instytucję krytykowaną zarówno przez stronę boszniacką, jak i serbską – Boszniacy uznali, że liczba ofiar podana przez Centrum jest zaniżona, a Serbowie uznali ją za zawyżoną). Zwierzchowski i Tabeau obliczyli, że wśród 104 733 osób zabitych w czasie wojny znajdowało się 68 101 Boszniaków, 22 779 Serbów, 8858 Chorwatów oraz 4995 ofiar innej narodowości (Węgrów, Cyganów, osób pochodzących z Sandżaku i tak dalej), a zatem 65 procent ofiar stanowili Boszniacy, 21,7 procent Serbowie i 8,5 procent Chorwaci. Autorzy badania dodają, że „wśród cywilów w przypadku obu płci więcej ofiar ponieśli Muzułmanie” – 73,9 procent ofiar wśród kobiet cywilów to Boszniaczki.

Po wojnie miało miejsce wydarzenie, które można uznać za doskonały epilog dla międzynarodowej doktryny „moralnej równowagi”. Hurd po odejściu ze stanowiska ministra spraw zagranicznych w październiku 1995 roku, gdy w byłej Jugosławii wciąż toczyła się wojna, wraz z Pauline Neville-Jones zostali zatrudnieni – za sówite wynagrodzenie – przez bank NatWest Markets. Jednym z pierwszych zadań, jakie wykonali dla tej firmy w 1996 roku, była wizyta u prezydenta Slobodana Miloševića na, jak to opisano, „dyskretnym śniadaniu”. Spotkanie to miało zapewnić NatWest pośrednictwo w częściowej prywatyzacji serbskich sieci telekomunikacyjnych. Hurd stał się potem znakomitością consultingu dyplomatycznego i korporacyjnego, Neville-Jones została członkinią Izby Lordów i jedną z najważniejszych postaci brytyjskiej Partii Konserwatywnej, podczas gdy ich znajomy i partner w interesach Milošević został wkrótce oskarżony o ludobójstwo⁵.

(W tym miejscu należy zauważyć, że interwencja w Bośni została potem wykorzystana przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię jako precedens usprawiedliwiający podobne operacje, szczególnie w Iraku. Moim zdaniem było to oczywiste nadużycie, jako że przyczyny ataku na Irak nie miały nic wspólnego z powodami podjęcia działań, które służyły ochronie Bośni i niewinnych ofiar zbrodni dokonywanych na jej terenie).

Walki w Bośni dobiegły końca, ale wojna trwała nadal, szczególnie dla tych, którzy przeżyli, ale zostali wypędzeni z własnych domów, oraz tych, których ojczyzna znalazła się pod kontrolą Serbów. Wielu z nich to byli więźniowie obozów koncentracyjnych i ich rodziny, o których będzie mowa dalej.

Na początku swego wstrząsającego opowiadania *Człowiek tłum* Edgar Allan Poe napisał:

Słusznie powiedziano o pewnej książce niemieckiej: *es lässt sich nicht lesen* – nie daje się czytać. Bywają tajemnice, które nie dają się wypowiedzieć. Ludzie konają nocami w swych łóżkach, ściskając dłonie upiornych spowiedników i patrząc im żałośnie w oczy – konają z rozpaczą w sercu i zdławionym gardłem z powodu tajemnic, które nie znoszą, aby je wyjawiano. Zdarza się, niestety, że sumienie ludzkie dźwiga tak ciężkie brzemie okropności, iż może pozbyć się go tylko w grobie. Stąd to istota wszelkiej zbrodni pozostaje w ukryciu⁶.

Uważam, że okropności i okrucieństwa, jakich doświadczyli więźniowie obozu koncentracyjnego Omarska, którego w głównej mierze dotyczy niniejsza książka, nie „dają się wypowiedzieć” tak szczegółowo, jak można by to zrobić. Jak tłumaczyli wielcy pisarze Holokaustu w swoich arcydziełach: słowa, podobnie jak umysły, mają swoje ograniczenia. Tym, co daje się opowiedzieć, są losy ludzi, którzy przetrwali rzeczy wykraczające poza wszelkie możliwości opisu.

Jest to więc książka o ludziach, którzy przeżyli różne rzeczy w Omarskiej i innych miejscach – Keratermie, Trnopolju, Višegradzie, Srebrenicy – ale nie o tych rzeczach. Dotyczy to szczególnie gwałtów na kobietach w Omarskiej, które zrelacjonowano podczas pewnej rozprawy w Nowym Jorku aż nazbyt szczegółowo i plastycznie, a których ja nie zamierzam tu opisywać. Nie będę też bez potrzeby rozwodzić się nad innymi okropieństwami obozów, które omawiano przez wiele lat przed Trybunałem w Hadze. Jednak w przypadku pewnego wydarzenia w Omarskiej, w którym brał udział mężczyzna o nazwisku Karabašić, zaprzeczę Poemu i zaszokuję czytelnika z powodu, który stanie się jasny w końcowej części książki. Będę również odnosił się do konkretnych zbrodni – nie wdając się w zbędne szczegóły – tam, gdzie wymaga tego opowieść, zarówno dlatego, że stanowią one materię wojny, jak i ze względu na argumenty powtarzane z uporem przez bośniackich Serbów sądzonych w Hadze, w tym samego Radovana Karadžicia, oraz przez sprzymierzonych z nimi „intelektualistów” na Zachodzie, którzy zaprzeczają istnieniu obozów i co za tym idzie – dokonywanym w nich zbrodniom. Nie dało się

oczywiście całkiem uniknąć przytoczenia relacji więźniów obozów z tego, czego byli świadkami, nikt jednak nie będzie się skupiał na okropieństwach obozów. „Istnieje cała masa dowodów tak szokujących, że niemal pornograficznych” – mówi Edin Ramulić, który stracił w Keratermie ojca i wciąż szuka szczątków swojego brata.

Staram się w miarę możliwości nie nazywać tych ludzi „ofiarami”. Oczywiście byli ofiarami, ale to ich nie definiuje, nie mówi o tym, kim są teraz. Zostali naznaczeni cierpieniem w różnym stopniu i na różne sposoby, ale przetrwali. Teraz śmieją się równie chętnie, jak płaczą, ułożyli sobie życie od nowa, wielu z nich odbudowało spalone domy. Mieli zniknąć z powierzchni ziemi, na której się urodzili i dorastali, określanej przez Bośniaków z Krajiny słowem *toprak*; mordowano ich lub deportowano. Wrócili jednak na *toprak*, choć muszą tu teraz żyć pod sztandarem i rządami swoich serbskich oprawców. Tak nie postępują ofiary, lecz ludzie, którzy potrafią przetrwać na przekór najgorszym przeciwnościom losu. Sporo się pisze i mówi o technikach przetrwania, przekonałem się jednak, że istnieje tyle samo technik, co ludzi walczących o przetrwanie. Przekonałem się również, że popularne powiedzenie „czas leczy rany” jest kłamstwem.

„Rozrachunek” to słowo twarde i groźne. *Uniwersalny słownik języka polskiego* definiuje je między innymi jako: „podsumowanie własnych dokonań, działań [...], krytyczna analiza doświadczeń, przeżyć, postaw [...]”. Inne znaczenie tego pojęcia jest jeszcze sroższe: „rewanż za wyrządzoną krzywdę, rozprawienie się z kimś; porachunek”. W Bośni rozrachunek łączy w sobie wszystkie te znaczenia. Oznacza konfrontację z tym, co się wydarzyło, podszytą zakłopotaniem i niepokojem, bolesne spotkanie z prawdą. To akceptacja tego, co się stało, wezwanie do rozliczenia. Dla zbrodniarza rozrachunek to spojrzenie w lustro, przyznanie się do winy i pełna szczerłość wobec samego siebie. To sposób na samowyzwolenie, osiągnięte przez zdarcie maski usprawiedliwienia dla zbrodni i naprawę wyrządzonych krzywd. Taki krok wymaga całkowitej otwartości i przeprosin (nie chodzi jednak o płaszczenie się przed skrzywdzonymi; to byłaby jedynie namiastka prawdziwego rozrachunku). Z kolei w przypadku pokrzywdzonych rozrachunek uwalnia od brzemienia historii, otwiera drogę do potencjalnego – choć nie nieuniknionego – pojednania i porozumienia. Rozrachunek oddaje ofierze część tego, co zostało jej odebrane; oczywiście wyklucza to zmarłych, ale rozrachunek może sprawić, że poprzez uznanie tego, co się wydarzyło, ich śmierć otrzyma nazwę i miejsce w historii. Może przywrócić znaczenie zaginionym. Jedno jest jednak pewne: bez rozrachunku nie ma mowy o pojednaniu i zrozumieniu ani o czymkolwiek, co można byłoby nazwać pokojem.

Historia, która została rozliczona, może się rozwijać, pozwala zarówno ofiarom, jak i tym, w których imieniu popełniano zbrodnie, ustosunkować się do samej przemocy i do siebie nawzajem. Używając oczywistego, choć ekstremalnego przykładu, można powiedzieć, że Niemcy dokonały rozrachunku z Holokaustem, którego echem była masakra w Bośni. To nie Żydzi zbudowali muzea w Dachau i pomniki w Berlinie – zrobili to Niemcy. Z tego rozliczenia wyrosły demokratyczne i oświecone Niemcy, które rozumieją swoją przeszłość. W rezultacie Żydzi, choć ogromnie skrzywdzeni i przytłoczeni, odzyskali historię tego, co się wydarzyło⁷. Choć zajęło to ładnych parę lat, jak zauważył wybitny historyk Shoah Raul Hilberg, Holokaust nieodwołalnie zajął należne mu miejsce w historii. Zaledwie piętnaście lat po zbombardowaniu Hamburga przez Brytyjczyków wystąpili tam z koncertem Beatlesi.

Historia nierozliczona to jednak historia niebezpieczna. Opowieść, w której sprawca zbrodni – i jego następcy – nie chce dokonać rozrachunku z tym, co się wydarzyło, nie tylko może doprowadzić do

powtórzenia zbrodni, ale też skazuje pokrzywdzonych na historyczny niebyt. Ludzie ci są zagubieni, wymazani z historii i straszliwie osamotnieni w obliczu tego, co ich spotkało. Sytuacja wygląda jeszcze gorzej, jeśli w powszechnie przyjętym dyskursie politycznym i dyplomatycznym faworyzuje się winowajcę, domagając się podejścia „przebaczyć i zapomnieć” w stosunku do wydarzeń, których po prostu nie da się wybaczyć i zapomnieć, nim nie zostaną rozliczone.

Pomijając postawę kilku dzielnych jednostek i małych grup oraz niechętną, opieszłą współpracę z Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii w Hadze, którą serbskie przywództwo polityczne kontynuuje jedynie dla doraźnych korzyści, społeczeństwo Serbów – a w szczególności bośniackich Serbów – nie dokonało rozrachunku z tym, co się wydarzyło. Zbrodniarze sądzeni w Hadze nie przyznają się do winy, a mimo to – z nielicznymi wyjątkami – zostają uznani za winnych i skazywani. Wśród Serbów, szczególnie bośniackich Serbów, wciąż trwa przedziwny niedorzeczny taniec zaprzeczeń i usprawiedliwień: nie zrobiliśmy tego, ale musieliśmy to zrobić, żeby „bronić naszego narodu”. W Omarskiej w 1992 roku szef policji z Prijedoru, Simo Drljača, twierdził z uporem, że prowadzi „ośrodek zbiorczy”. W 2011 roku, gdy grupa byłych więźniów obozu chciała odwiedzić miejsce swojej kaźni, serbskie organizacje charytatywne z tamtego terenu wydały oświadczenie, w którym sprzeciwiały się zamieszaniu wokół „ośrodka zbiorczego”, używając po dziewiętnastu latach tego samego, oburzającego określenia. Problem wojny z lat dziewięćdziesiątych pozostaje więc w Bośni wciąż nierozwiązany – właśnie ze względu na brak rozrachunku.

Podobnie jak w przypadku Holokaustu, wśród zachodnich naukowców istnieje groteskowa szkoła rewizjonizmu dotycząca wojny w Bośni, szczególnie w odniesieniu do obozów i masakry w Srebrenicy. Jednak to nie ta trucizna ani nawet brak rozrachunku ze strony Serbów stanowią istotę problemu. Tym, co najskuteczniej spycha tragedię Bośni w otchłań zapomnienia, jest zrównanie cierpień zadanych w głównej mierze cywilnej ludności boszniackiej przez serbskich nacjonalistów z cierpieniami doznanymi przez Serbów – które bez wątplenia miały miejsce, ale na znacznie mniejszą skalę – a także innych konsekwencji wojny, w tym strat wśród żołnierzy po obu stronach. To zrównanie, milczące założenie, że wszystkie strony są w jednakowym stopniu winne, przenikało nasze rozmowy z Karadžiciem i innymi zbrodniarzami wojennymi prowadzone w Prijedorze tamtego dnia 1992 roku. I to właśnie zrównanie, umiejętnie rozpowszechniane przez Serbów, zostało – z różnych powodów – ochoczo przyjęte przez społeczność międzynarodową w czasie wojny.

W czasie pokoju nadal stawia się na równi prześladowcę i ofiarę. Uciążliwa, quasi-kolonialna obecność międzynarodowa w Bośni nieustannie mówi ustami swoich przedstawicieli i kapryśnych mediów o potrzebie pojednania. Wciąż wywiera się naciski na pokrzywdzonych i pogrążonych w żałobie, by żyli terazniejszością, co i tak codziennie robią w domach rodzinnych i w pracy, a nawet by „przebaczyli i zapomnieli”. Młodzi Bośniacy, którzy zaakceptują tę bzdurę, mogą zrobić w Sarajewie karierę. Dochodzi do zatarcia przez zrównanie, czego najjaskrawszym przykładem jest fakt, że w Omarskiej nie powstał do tej pory pomnik zamordowanych w obozie, bo potężna korporacja ArcelorMittal, współwłaściciel tego miejsca, utrzymuje, że na budowę pomnika musi się zgodzić lokalna społeczność. Mittal doskonale wie, że drugim współwłaścicielem kopalni rudy żelaza funkcjonującej ponownie w miejscu obozu jest Republika Serbska, której przedstawiciele albo zaprzeczają wszystkiemu, co się tutaj stało, albo zrównują to z cierpieniami Serbów, terenem wokół kopalni zarządzają zaś władze Prijedoru, które podczas wojny utworzyły i prowadziły obozy.

Jeden z bardzo nielicznych więźniów obozu Omarska, który opisał swoje doświadczenia w książce – Hase Ičić, mieszkający obecnie w Monachium – mówi krótko, że więźniowie są „Nigdzie. Zaginęli”. Jego najlepszy przyjaciel z obozu, Ermin Striković – obecnie kierowca ciężarówki zamieszkały w stanie Missouri w USA – stwierdza: „Jesteśmy ludźmi żyjącymi w stanie zawieszenia”. Idriz Merdžanić, lekarz z Trnopolja – obecnie mieszka i pracuje w Kilonii w Niemczech – konkluduje: „Nie możemy znaleźć sobie miejsca, nic nie jest trwałe”. To nie jest rozrachunek, to brak jakiegokolwiek rozwiązania, wyrzucenie ludzi z ich ziemi i wymazanie ich z dziejów. Pokrzywdzeni stają się uchodźcami nie tylko geograficznie, ale i historycznie.

Ta książka jest próbą napisania o tym, co spotkało niektórych spośród ludzi, którzy przeżyli obozy koncentracyjne – i o tym, jak zbudowali sobie nowe życie, by wskrzesić lub zastąpić to, które im odebrano. Tym samym ma też uwiecznić ich wymazanie – choć wydaje się to wewnętrznie sprzeczne – by otrzymali chociaż to skromne potwierdzenie swoich cierpień i sukcesów, świadectwo nie tylko swojego istnienia, ale i życia, radości, wychowywania dzieci w egzystencjalnej samotności i historycznej ironii przetrwania. I dumy z tego, kim są. W końcu zgodnie z serbskim planem czystek etnicznych każdy z nich miał albo umrzeć, albo wyjechać i nigdy nie wrócić. Na szczęście plan nie do końca się powiódł. Wielu z nich żyje, a niektórzy nawet wrócili do miejsc, z których tak brutalnie ich przepędzono.

W leniwym żarze letniego popołudnia 2011 roku na stację Doboj w północno-środkowej Bośni powoli wtacza się pociąg. Przyjechał z chorwackiego wybrzeża przez stolicę, Sarajewo, następnie zmierza do Prijedoru położonego w odległym zakątku kraju, a potem ponownie do Chorwacji i do Zagrzebia. Na polach kołyszają się wysokie łodygi kukurydzy, gałęzie drzew w sadach uginają się pod ciężarem owoców. Pociąg przyjechał z godzinnym opóźnieniem, mniejszym niż zwykle. Teraz dzieje się coś, na co nikt nie zwraca szczególnej uwagi – można by to uznać za komiczne, gdyby nie było jednocześnie absurdalne i złowieszcze. Pracownicy kolei ubrani w niebieskie koszule odłączają lokomotywę od reszty składu. Na boku parowozu widnieje napis: *Željeznice Bosne i Hercegovine* – Koleje Bośni i Hercegowiny. Choć pociąg jedzie dalej przez Bośnię i Hercegowinę, lokomotywa nie może. Odjeżdża, posapując, na boczny tor, a jej miejsce zajmuje inna, z napisem cyrylicą: *Жельезнице Републике Српске (Željeznice Republike Srpske)* – Koleje Republiki Serbskiej. Po chwili w żółwym tempie wyjeżdża ze stacji, mijając najpierw soczyście zielone łąki i zgłiszcza boszniackich domów sprzed dwóch dekad, a potem pomalowany niedawno tabor ozdobiony serbskim godłem, wizerunkiem dwugłowego orła.

W tej części Bośni znaczki pocztowe kupione w stolicy, Sarajewie, są nieważne, bo znajduje się na nich napis „Poczta Bośni i Hercegowiny”, a nie „Poczta Republiki Serbskiej”. Taka jest siła etnicznej psychozy zrodzonej przez wojnę, która skończyła się dwadzieścia lat temu – a dzieje się to przecież w nowoczesnej, rzekomo zjednoczonej Europie, do której aspiruje Bośnia. Ostatnia stacja tego pociągu na terenie Bośni nazywa się Bosanski Novi, ale na serbskich drogowskazach i rozkładach jazdy widnieje napis „Novi Grad”. Nazwa kraju, w którym leży to miasto, „Bośnia”, nie może pojawiać się na mapach Republiki Serbskiej – sugerowałoby to, że Republika musi dzielić przestrzeń, a nawet jurysdykcję, z tymi, którzy mieli stąd zniknąć.

Boszniacy, którzy mieli odwagę wrócić do swoich domów i zamieszkać na terenie Republiki Serbskiej, obchodzą o tej porze roku święto zwane Bajram – trzy dni po zakończeniu ramadanu ci, którzy wcześniej przez miesiąc pościli i nie pili alkoholu, teraz raczą się bez ograniczeń pieczoną jagnięciną i rakiją, oczywiście podobnie jak wielu tych, którzy i do tej pory niczego sobie nie odmawiali. W ciągu

dnia podczas Bajramu odwiedzają sąsiadów, przyjaciół i krewnych, by napić się z nimi kawy i – zgodnie z tradycją – zjeść baklawę z orzechami. To także czas, gdy odwiedza się cmentarze i wspomina zmarłych, szczególnie tutaj, gdzie na większości nagrobków widnieje data „1992”. Po porannych modłach w miasteczku Kozarac imam zaprasza wiernych, by przeszli na miejsce masowego grobu w pobliskiej wiosce Kamičani i odmówili tam specjalne modlitwy za tysiące pomordowanych w obozach i wokół nich.

Ale pierwszego wieczora Bajramu w restauracji o nazwie Stara Bašta (Stary Ogród) wszyscy bawią się w najlepsze, panie piją popularną w Bośni colę zmieszaną z czerwonym winem, panowie wolą rakiję i piwo Preminger warzone w Bihaciu. Zabawę umila swoim śpiewem Sefer Haškić, aktualnie z Bolton w Lancashire, gdzie przybył jako uchodźca w lutym 1993 roku, przeżywszy obóz w Omarskiej. W tym czasie Kozarac był zrównany z ziemią. Jednak teraz, choć większość jego niegdysiejszych mieszkańców rozsiana jest po całej Europie, Ameryce i reszcie świata, odbudowane z ruin miasto tętni życiem, zwłaszcza gdy latem zjeżdża tu diaspora, dołączając do tych, którzy wrócili na dobre. Bo nie tylko wojna nie umarła – przetrwało również wielu z tych, którzy mieli umrzeć wraz z nią.

Kiedy byłem więźniem obozu Omarska i siedziałem w upale na rozgrzanym asfalcie, próbowałem uciec od rzeczywistości, patrząc w górę i obserwując, jak gołębie zbierają się na dachu hangaru, w którym zwykle nas przetrzymywano. Serbowie strzelali do nich, próbowali zabijać je dla zabawy, podobnie jak zabijali nas, tyle że znacznie trudniej przychodziło im zabijać ptaki. Gołębie podrywały się do lotu i rozpierzchały na różne strony. Zawsze jednak wracały w to samo miejsce. W końcu zrozumiałem, że gołębie serca były silniejsze od serbskich karabinów.

Šerif Velić – więzień Omarskiej, a od 5 sierpnia 1992 roku, kiedy to poznaliśmy się w obozie koncentracyjnym, mój przyjaciel.

Część pierwsza

Karabiny Serbów

Sierpień 1992: Obóz Omarska i wędrówka do ziemi niczyjej

Smętniejszy oraz mędrszy wstał
Ze snu nazajutrz rano⁸.

S. T. Coleridge

Jak na człowieka podobno niezwykle groźnego, Radovan Karadžić miał słaby uścisk dłoni. Aby się z nami przywitać, wyszedł ze swej kwatery głównej mieszczącej się w hotelu w górskim miasteczku Pale pod Sarajewem. Przylecieliśmy właśnie helikopterem jugosłowiańskiej armii, który wysadził nas na boisku na jakimś odludziu i poleciał dalej. Nikt tu na nas nie czekał, nikt też nam nie powiedział, dokąd mamy się teraz udać. W stolicy Serbii utknęliśmy aż na pięć dni, a mimo to nadal nikt nie chciał nam pomóc. Ruszyliśmy więc przed siebie, objuczeni sprzętem telewizyjnym ITN, i niczym w jakimś absurdalnym skeczu pytaliśmy napotkanych po drodze ludzi, „którędy do doktora Karadžicia”. W końcu jednak znaleźliśmy się tutaj, gotowi za jego przyzwoleniem udać się do Omarskiej i Trnopolja.

Czekała nas jeszcze długa droga, ale to, przez co już przeszliśmy, było niewiarygodne. Cztery miesiące po rozpoczęciu wojny i haniebnego oblężenia Sarajewa, pod koniec lipca, Karadžić przyleciał do Londynu, by omówić kolejny bezsensowny plan pokojowy – tym razem sponsorowany przez Unię Europejską. W tym samym czasie pojawiły się pierwsze informacje o Omarskiej, o obozie pisali Maggie O’Kane w „The Guardian” i Roy Gutman w nowojorskim „Newsday”. Karadžić zaprzeczył istnieniu obozów koncentracyjnych i podczas wywiadu w ITN zaproponował, byśmy przyjechali do Jugosławii i przekonali się o tym sami. Po programie ITN siedziałem w ogródku pubu Coach and Horses na tyłach redakcji „The Guardian” w towarzystwie swojego naczelnego Paula Webstera oraz O’Kane, która przekazywała mi obowiązki reporterskie w Bośni. Webster zadzwonił do przywódcy bośniackich Serbów, który był w samochodzie i jechał właśnie na lotnisko: tak, powiedział naczelnemu, przyjedziemy do was i przekonamy się sami. Karadžić, który zakładał, że będzie miał dość czasu, by przed naszym przyjazdem pozbyć się jakoś więźniów z Omarskiej (później dowiedzieliśmy się, że mieli zostać zabici), zapewne uzmysłowił sobie swój błąd, gdy jeszcze tego samego wieczora ruszyliśmy w drogę, a po południu następnego dnia, 30 lipca, byliśmy już w Belgradzie. Tego dnia „The Guardian” opublikował list doktora Karadžicia do redaktora naczelnego, w którym napisano, że „sugestia, jakoby przywództwo bośniackich Serbów prowadziło politykę czystek etnicznych, po prostu nie jest prawdą” oraz że „kompletnie fałszywe są również twierdzenia, iż bośniaccy Serbowie stworzyli obozy koncentracyjne lub że przetrzymują cywilnych więźniów”.

3 sierpnia, po niekończących się odprawach i urzędniczych przepychankach, przewieziono nas helikopterem z Belgradu do miejscowości Pale. Podczas lotu nad wschodnią Bośnią mogliśmy zobaczyć na własne oczy wioski i miasta spalone i zrównane z ziemią przez tornado zniszczenia. Stojąc przed swoją kwaterą główną, Karadžić udzielił telewizji ITN krótkiego wywiadu, podczas którego powiedział, że „obozy dla cywilów nie wchodzą w grę”. „Zabierzemy was do Omarskiej; chcieliście zobaczyć

Omarską” – zapewniał; mówił też, że „nie będzie żadnych ograniczeń, zobaczycie wszystko”. Tłumaczył również, że Trnopolje to obóz bez strażników, dla ludzi, którzy „zostali wysiedleni, bo ich domy spłonęły”. Ostrzegał nas jednak, że nie może nam zapewnić bezpieczeństwa, bo „Muzułmanie mogą próbować was zabić, a potem zrzucić winę na nas. To tutaj normalne”. Jednocześnie obiecywał, że dopilnuje, by „nasi policjanci was chronili”. Karadžić zaprosił nas do siebie na obiad, przy którym rozwodził się głównie nad cierpieniami Serbów w całej ich trudnej i bohaterskiej historii. Odnosząc się do teraźniejszości, powtarzał z naciskiem, że Serbowie są internowani w obozach znacznie gorszych niż Omarska, zarządzanych przez Chorwatów i Muzułmanów. Kiedy mówił o tym wszystkim, w jego oczach widać było jakiś odległy błysk, a jego spojrzenie błędziło gdzieś po dalekim wewnętrznym horyzoncie. Ta fałszywa, podbudowana pseudonaukowymi wywodami poza strażnika serbskiej historii i przywódcy „wojny ojczyźnianej” mogłaby się wydawać żalosna, gdyby nie była tak śmiertelnie niebezpieczna. Jakby chcąc dowieść, do czego jest zdolny, Karadžić polecił dwóm żołnierzom, by wyprowadzili nas na górski grzbiet, z którego rozciągał się widok na oblężoną stolicę, Sarajewo – to właśnie między innymi za kierowanie tym oblężeniem i kilkuletnie męczarnie miasta Karadžić jest obecnie sądzony. Jego ludzie szydzili z *balije* (pogardliwe określenie używane przez Serbów w odniesieniu do Boszniaków) mieszkających na dole i z uśmiechem na twarzach wykonywali swoimi kałasznikowami wymowne gesty, jakby ustawiali w szeregu i rozstrzeliwali wszystkich. Gdy wróciliśmy do hotelu, Karadžić obiecał nam – „macie moje słowo” – że dzięki jego upoważnieniu dotrzemy bez przeszkód do Omarskiej.

Przez następne dwa dni przekazywano nas w ręce coraz niższych rangą urzędników i wojskowych. Najpierw trafiliśmy do zastępcy Karadžicia, Nikoli Koljevicia, wykładowcy literatury angielskiej, który nieustannie – i zazwyczaj błędnie – cytował Szekspira. Był naszym przewodnikiem, dowodził też konwojem złożonym ze strażników, ekipy telewizji bośniackich Serbów, którzy filmowali filmujących dziennikarzy ITN, oraz kamerzysty tajnych służb filmującego wszystkich. Jechaliśmy przez tereny kontrolowane przez bośniackich Serbów. Zatrzymaliśmy się na noc w najważniejszym serbskim mieście, Banja Luce, gdzie zjedliśmy kolację w towarzystwie Koljevicia, który bawił nas swoją teorią dotyczącą *Hamleta*. Przyglądali się temu siedzący przy sąsiednich stolikach mężczyźni w mundurach polowych, którzy mierzyli nas zimnym wzrokiem i zaciągali się powoli papierosami. Następnego ranka przywitał nas pułkownik Milutinović, z którym pojechaliśmy główną drogą do Prijedoru. Stąd okolicznymi obozami, między innymi Omarską, zarządzali cywilni i wojskowi przywódcy oraz Sztab Kryzysowy bośniackich Serbów. Wzdłuż drogi, szczególnie w mieście Kozarac, ciągnęły się rzędy opuszczonych, spalonych domów, których mieszkańcy, Chorwaci i Muzułmanie, zostali wygnani lub wymordowani. Co jakiś czas tę ponurą monotonię przerywał nietknięty serbski dom i rodzina żyjąca tak, jakby nic się nie stało, choć dokoła rozciągały się zgliszcza i popiół, jedyny ślad pozostały po ich sąsiadach.

W ratuszu w Prijedorze czekała nas jeszcze ostatnia przeszkoda przed Omarską: nużące i z perspektywy czasu przerażające spotkanie z grupą ludzi, którzy przedstawiali się jako Sztab Kryzysowy. Pułkownik Vladimir Arsić poinformował nas, że nie możemy pojechać do Omarskiej, która znajduje się pod kontrolą władz cywilnych – ale jako wojskowy mógł upoważnić nas do wizyty w innym obozie, Manjačy. Wiedzieliśmy jednak, że obóz Manjača oglądali już inspektorzy Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża i uznali go za okropne miejsce, podczas gdy Omarska – nazwa powtarzana przez wszystkie ofiary czystek etnicznych z tego regionu – pozostawała straszliwą tajemnicą.

Powołując się na obietnicę Karadžicia, odrzuciliśmy zaproszenie pułkownika do Manjačy

i obstawaliśmy przy Omarskiej. Arsić wzruszył ramionami i wskazał na ludzi, do których musieliśmy się zwrócić. Byli to: komendant policji Simo Drljača, burmistrz i szef Sztabu Kryzysowego Milomir Stakić oraz jego zastępca, wielki jak niedźwiedź Milan Kovačević, ubrany w zieloną koszulkę z napisem „US Marines”. To właśnie Kovačević zdominował spotkanie. Dał nam jasno do zrozumienia, że jego zdaniem „nie powinniście dostać zgody na tę wizytę, choć oczywiście jesteście tu mile widziani”. Twierdził również, że świat nie powinien pouczać Serbów w kwestii obozów koncentracyjnych, bo on sam urodził się w takim miejscu – w Jasenovacu, obozie utworzonym przez marionetkowy faszystowski reżim ustaszy w Chorwacji. Tłumaczył też, że dla Serbów nastąpiła właśnie „wielka chwila” w ich historii, kiedy będą mogli pomścić te zbrodnie. Po słownej przepychance, projekcji filmu dowodzącego, że w tym regionie doszło do powstania islamskiego, oraz długiej dyskusji nad historycznymi mapami Serbii wysłano nas w końcu na zewnątrz, podczas gdy nasi gospodarze gdzieś dzwonili – zapewne do Karadžicia – by ustalić, co właściwie mają z nami zrobić. Czekając na ich decyzję, rozmawialiśmy z kobietami stojącymi w długiej kolejce przed komisariatem Drljačy, żonami, matkami i córkami zaginionych mężczyzn. Na ich twarzach malowały się strach i troska, wszystkie wymieniały szeptem nazwy obozów, do których prawdopodobnie zabrano ich krewnych: Omarska, Keraterm, Trnopolje.

Jakieś dwadzieścia minut później z budynku wyszedł Drljača z grupą strażników i zabrał nas do obozu. Po drodze nasza eskorta odegrała pozorowaną potyczkę przy małym moście, zapewne po to, by nas wystraszyć i skłonić do zmiany planów. Policjanci w niebieskich mundurach wyskoczyli ze swoich samochodów, by odpowiedzieć na strzały „muzułmańskich ekstremistów” atakujących nas rzekomo spod osłony lasu (pociski leciały nad naszym konwojem). Pomimo zamieszania i huku gliniarze w okularach Ray-Bana bez wątplenia odgrywali własny film, groźne przedstawienie, które miało napędzić nam stracha. Wtedy nie przyszło nam do głowy, że prostym rozwiązaniem dylematu Serbów byłaby nasza śmierć w „wypadku”, choć z pewnością pomyślał o tym Miša, kierowca ITN. My jednak, niezrażeni, domagaliśmy się dalszej jazdy, aż pomniejsze, gruntowe drogi zaprowadziły nas do bramy obozu Omarska – i do straszliwej prawdy, która ujawniła się w pełni dopiero po jakimś czasie.

Gdy „The Guardian” opublikował moją relację z obozu, a telewizja ITN pokazała swoje nagranie na całym świecie, umiarkowany, lecz wówczas już bezsilny prezydent Jugosławii Dobrica Ćosić zażądał zamknięcia obozów w ciągu trzydziestu dni. W odpowiedzi na to ultimatum i na nasze relacje doktor Karadžić 7 sierpnia udzielił w południowych wiadomościach wywiadu, w którym chełpił się, że „może to zrobić nawet w ciągu dwóch dni”, jeśli „strona muzułmańska” zgodzi się na wymianę jeńców. Dorzucił też nieco dziwną uwagę: „Mamy trzynaście więzień, a więzienie w Omarskiej jest najgorsze. Chcieliśmy, żeby dziennikarze zobaczyli właśnie to najgorsze, a nie najlepsze. [...] Chciałem sprawdzić, którzy ludzie są tam nieposłuszni i kto odpowiada za to, że jest tam tak mało jedzenia. To nasz obowiązek: sprawić, by ludzie jak najmniej cierpieli”. Odnosząc się do Trnopolja, powiedział agencji prasowej ze Stambułu, że „chudy chłopiec został wysłany do obozu przez przypadek. Wszyscy pozostali byli zdrowymi, dobrze zbudowanymi ludźmi”. Tymczasem świat reagował zdumieniem i szokiem. Prezydent Stanów Zjednoczonych George H. W. Bush mówił o przerażeniu i konieczności położenia kresu tym okropnościom. Lider brytyjskiej partii Liberalnych Demokratów Paddy Ashdown przyleciał tego samego wieczora do Belgradu i wezwał Penny Marshall, Iana Williama i mnie do swojego pokoju w hotelu Hyatt, by porozmawiać o tym, czego się dowiedzieliśmy. Był to pierwszy krok w długoletniej i pełnej zaangażowania karierze Ashdowna w Bośni, a jego postawa wydawała się obiecująca. Wykazalibyśmy

się jednak większym rozsądkiem, gdybyśmy przewidywali reakcję świata nie na podstawie oburzenia Ashdowna, ale bardziej umiarkowanej, niemal powściągliwej odpowiedzi Organizacji Narodów Zjednoczonych, której rzecznik nadał ton dyskusji, mówiąc: „Ludzie myślą, że postępują tak tylko Serbowie, ale to nieprawda. Serbscy cywile, którzy uciekli lub zostali zmuszeni do ucieczki z obszarów zajętych przez Chorwatów lub Muzułmanów, również skarżą się na brutalne traktowanie”.

Bardziej złożony cel działania Trnopolja, trudny do określenia w dniu naszej wizyty, stał się oczywisty kilka tygodni później. Choć podczas procesów w Hadze ustalono, że dochodziło tam do morderstw, ciężkich pobić, tortur i gwałtów, zasadniczo był to obóz służący pojmowanej dosłownie „koncentracji”, gromadzeniu ludzi, których potem deportowano, wysyłano w drogę donikąd. Ale tego dowiedziałem się dopiero, kiedy znalazłem się w środku, dołączając osobiście do konwojów deportacyjnych.

Kilka dni później, wieczorem 15 sierpnia, byłem w Zagrzebiu z dwojgiem znajomych, Andrejem Gustinčiciem z Reutersa oraz Maud Beelman z Associated Press, z którą niedawno ujawniłem zbrodnie dokonywane na serbskich więźniach w Dretelju. Tego dnia Chorwacja zamknęła swoje granice przed falą uchodźców z okolicy Prijedoru. Do tej pory wygnano stamtąd około sześciuset tysięcy osób, a Chorwacja nie była już w stanie przyjąć większej liczby zbiegów.

– Zamknięto drzwi od frontu – rozmyślałem głośno. – Ale tego nie da się powstrzymać: jak znaleźć tylne wejście?

– Można to sprawdzić tylko w jeden sposób – odparł Gustinčić. – Zostać ofiarą czystek.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co to oznacza: Andrej proponował, byśmy wyjechali z miasta, znaleźli grupę wysiedlonych i dołączyli do nich, by jako fałszywi uchodźcy dowiedzieć się, dokąd wędrują.

Przejechaliśmy we troje przez część Chorwacji okupowaną wówczas przez Serbów i wjechaliśmy do Bośni, by w okolicach Prijedoru natknąć się na konwój deportowanych – osiemdziesiąt samochodów, ciężarówek i autobusów – stojący przy drodze obok Kozaraca. Uchodźcy strzeżeni przez uzbrojonych strażników przygotowywali się właśnie do przerażającej podróży: tak wyglądały czystki etniczne od środka, droga, którą poznawali wszyscy pozostali przy życiu więźniowie obozów i wyrzuceni z domów cywile. Punktem wyjścia tej podróży, ośrodkiem „koncentracyjnym”, był obóz Trnopolje.

Nasz konwój składał się z około tysiąca sześciuset osób podróżujących ośmioma autobusami i pięćdziesięcioma pięcioma samochodami. Wysiedleni pochodzili z różnych miejsc: niektórzy w środku dnia zostali wygnani przez serbską policję ze swoich domów w Sanskim Moście, mieście zamieszkanym głównie przez Muzułmanów, lecz pozostającym obecnie pod kontrolą Serbów. Innych wsadzono do autobusów w Trnopolju i powiedziano im, że mają pojechać do Chorwacji i Niemiec.

– Nie chcieliśmy wyjeżdżać – powiedział mi mieszkaniec Sanskiego Mostu, Senad, który jechał w samochodzie przed nami, wioząc ze sobą swojego starego ojca i dwójkę przyjaciół. – Słyszeliśmy o tym w radiu w zeszłym tygodniu. Serbowie wydali oświadczenie, w którym mówili, że albo wyjedziemy i zostawimy nasze domy, albo nas zabiją.

Wszyscy deportowani, czy to z Sanskiego Mostu, czy z Trnopolja, musieli podpisywać dostarczone przez władze dokumenty, w których zrzekali się wszelkich praw do swoich nieruchomości.

Pluton żandarmerii wojskowej kazał konwojowi ruszać w drogę. Serbscy gapie przyglądali się temu z dziwną obojętnością. Widzieli to już wiele razy wcześniej. Omijając Banja Lukę, konwój zjechał z głównej szosy, która prowadziła w stronę linii frontu bośniackiej armii, przekroczył rzekę i zaczął

wspinać się na masyw górski Vlačić. Serbowie pozdrawiają się charakterystycznym gestem, pokazując dwa wyprostowane palce jako symbol zwycięstwa i trzeci jako przedstawienie Trójcy Świętej. Im wyżej wjeżdżaliśmy, tym częściej pokazywano nam zza płotów i z pobocza ten właśnie gest, w sposób wyzywający i drwiący – robiły to nawet dzieci. Wkrótce z przeciwnego kierunku nadjechały ciężarówki pełne chamskich, uśmiechniętych szyderczo serbskich żołnierzy, którzy również podnosili ręce z wyprostowanymi trzema palcami, przeklinając i gwizdząc na wysiedlonych wędrowców. Kierowcy z konwoju opuszczali głowy, unikając wzroku żołnierzy. Senad miał kłopoty z samochodem i był przerażony, że utknie w tym miejscu na dłużej; na szczęście wzięło go na hol auto jadące przed nim.

Po dwudziestu kilometrach nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteśmy. Droga zamieniła się w dróżkę prowadzącą między drzewami – pojazdy konwoju wzbijały chmury pyłu, przez które widać było jedynie promienie światła i sylwetki uzbrojonych mężczyzn. Trasa przybrała zupełnie absurdalny wygląd, były to właściwie jedynie wąskie ścieżki ciągnące się wzdłuż krawędzi wąwozu, autobusy przejeżdżały tędy z największym trudem. Po drugiej stronie wąskiego pasa otwartego terenu rozciągały się łąki usiane oddziałami wojska, widzieliśmy ich ciężarówki, stanowiska artyleryjskie i ogromne zapasy amunicji. W wiosce o nazwie Vitovlje mężczyźni w maskujących mundurach i nastolatki podbiegali do drogi, wykrzywiając twarze w grymasie nienawiści.

– *Zaklaćemo vas!* – wrzeszczeli. – Zarzniemy was!

Przeciągali palcami po gardłach i wykonywali zamaszyste gesty rękami, jakby chcieli zmieść swoje ofiary z powierzchni ziemi. Konwój zatrzymał się obok wioski, by dokonać przeglądu. Zapadał zmierzch – nadchodziła pora walki. Od strony grupy przy drodze dobiegł huk pierwszych strzałów. Kolumna rozciągnęła się wzdłuż okrytej gęstym mrokiem doliny, w krzewach przy drodze słychać było głosy przemierzających się mężczyzn i trzask odbezpieczanej broni.

Rozpoczęło się ostatnie przeszukanie, podczas którego odebrano wysiedlonym wszelkie cenne przedmioty, jakie udało im się do tej pory ocalić; potem eskorta policyjna zawróciła, zostawiając konwój w rękach ostatniego posterunku bośniackiej armii, w miejscowości o nazwie Smet. Wędrowcy nawet nie próbowali protestować, gdy serbscy żołnierze zatrzymywali kolejno każdy z samochodów, grożąc pasażerom bronią, wyciągali ich na zewnątrz i pozwalali im zabrać jedynie tyle bagażu, ile mogli unieść. Autobusy wysadziły podróżnych i odjechały, podobnie jak skonfiskowane auta, podczas gdy wysiedleńcy odchodzili w noc. Nasza trójka nie mogła się już dłużej ukrywać. Wyjaśniliśmy żołnierzom na posterunku, że jesteśmy dziennikarzami, i zdołaliśmy uśmierzyć nieco ich gniew, a może nawet ocalić życie, wychwalając drużynę piłkarską Crvena Zvezda Belgrad. Ja chełpiłem się (zgodnie z prawdą), że widziałem, jak piłkarze tego zespołu zdobyli Puchar Europy w 1991 roku we Włoszech, i z przesadnym zachwytem opisywałem ich w rzeczywistości dość nudną grę. W rezultacie nie tylko uszliśmy z życiem, ale zachowaliśmy samochód i mogliśmy podwieźć trzy starsze kobiety. Wyznaczono nas również do prowadzenia reszty pochodu. Horyzont rozpałały pierwsze salwy armatnie, zwiastun nadchodzącej bitwy, ale tysiąc sześćset osób wiedziało, że wszystko jest lepsze od tego, co zostawiły za sobą. Później dowiedzieliśmy się, że cztery dni po naszym konwoju, 21 sierpnia, w miejscowości Smet wyprowadzono z autobusów dwustu czterdziestu mężczyzn, ustawiono w szeregu na skraju wąwozu i rozstrzelano – ta zbrodnia została później nazwana przez prokuratorów w Hadze „masakrą na masywie Vlačić”.

Jechaliśmy więc dalej przez pięć kilometrów w wolnym, spacerowym tempie, ze stertą pakunków ułożonych na dachu naszego samochodu. W końcu musieliśmy się zatrzymać przed małą górką usypaną

z kamieni na drodze – „granicą” oznaczającą koniec terytorium Serbów i wejście na pas ziemi niczyjej, nad którym fruwały serbskie pociski spadające na wieś Čosići, położoną jakieś dziesięć kilometrów w głąb doliny. Kamienie były zaminowane, pożegnaliśmy się więc z samochodem – własnością wypożyczalni Avis z Budapesztu – i zaczęliśmy się wspinać na olbrzymią barykadę. Mężczyźni wynosili dzieci na rękach i przekazywali je kobietom czekającym już po drugiej stronie. Podtrzymywano starców, którzy nie byli w stanie przejść o własnych siłach przez kamienną przeszkodę. Podawano na drugą stronę składane wózki i torby, koce, pluszowe misie, zgubione buty, a nawet niepełnosprawnego mężczyznę na wózku inwalidzkim.

Na dolinę i na ciągnącą się przed nami drogę spadał grad pocisków smugowych. Niektórzy wędrowcy przysiedli, jedni ze zmęczenia, inni zbyt zrozpaczeni i przerażeni, by się ruszyć. Zasada numer jeden tej wojny brzmi: nigdy nie przechodź przez linię frontu. Maud Beelman postanowiła więc nieść rzecz najbardziej zbliżoną do białej flagi, jaką mieliśmy ze sobą, by bośniaccy żołnierze nie pomyśleli, że jesteśmy oddziałami wroga, które próbują ich podejść i otworzyć z bliska ogień. Była to bawełniana koszulka Maud z napisem „They Be Jivin’ Down in New Orleans”, reklamująca jej rodzinne miasto.

Ostatni odcinek stukilometrowego exodusu, liczący trzydzieści kilometrów marsz, był wyjątkowo przerażający i niezwykle nawet w zestawieniu z koszmarem minionego dnia. Oszołomieni i zrozpaczeni ludzie nieśli na rękach dzieci lub resztki dobytku, które udało im się ocalić, brodzili we krwi i deptali po ludzkich szczątkach rozrzuconych po drodze. Powoli sunęli naprzód – w jedynym kierunku, jaki znają uchodźcy. Nawet małe dzieci przejęte były strachem i zawziętą determinacją.

Dotarłszy na ziemię niczyją, potężna karawana odrzuconych i zagubionych rozciągnęła się na całej długości zbocza; ludzie przemieszczali się w blasku księżyca, bezgłośni i przygarbieni, niczym jakaś upiorna armia. Pewien starzec, który ledwie powłóczył nogami, wspierał się na ramieniu swojej córki, inny poruszał się o kulach. Pochylona nisko kobieta zakrywała twarz dłońmi, osłaniała się nimi jak tarczą. Niektórzy płakali cicho i mruclili coś pod nosem, jednak na większości twarzy malował się wyraz niedowierzania, przerażenia tym, co zostawili za sobą, i lęku przed tym, co ich jeszcze czekało. Matki na jednej ręce trzymały niemowlęta, a drugą prowadziły nieco większe dzieci. Starszy mężczyzna, który poruszał się drobnymi kroczkami, wkładając w każdy z nich mnóstwo wysiłku, miał na stopach kapcie. Później powiedziano mi, że zmarł wkrótce po dotarciu do celu podróży, bo „pękło mu serce”. Wszyscy jednak wytrwale parli naprzód, podczas gdy okoliczne wzgórza i doliny rozbrzmiewały hukami wystrzałów karabinowych i artyleryjskich.

Nagle nie wiadomo skąd pojawił się przed nami mężczyzna – jeden z tych cichych bohaterów, którzy w trudnej sytuacji potrafią przejąć dowodzenie. Nazywał się Fahrudin Alihodžić; zwróciwszy się do swoich rodaków, zaczął wykrzykiwać polecenia:

– Linie wroga są zaledwie trzysta osiemdziesiąt metrów stąd. W każdej chwili mogą nas ostrzelać. Rozdzielcie się, rozdzielcie się! Zostawcie między sobą co najmniej dziesięciometrowe odstępstwa, żeby w razie ostrzału było jak najmniej ofiar.

Ci, którzy go zrozumieli, posłusznie rozciągnęli się na większej przestrzeni i w miarę możliwości szukali osłony za kamieniami przy drodze. Na szczęście serbska artyleria nie zasypała nas ogniem, a wojska po bośniackiej i chorwackiej linii frontu w ciszy obserwowały ludzi sunących w blasku księżyca po zboczu. Jedynym przedstawicielem tych wojsk był samotny żołnierz, który stał na drodze i kierował wędrowców na skalną ścieżkę prowadzącą z dala od linii ognia.

W końcu po ponad pięciu godzinach marszu za liniami bośniackiej armii zobaczyliśmy domy, a nawet fontannę z pitną wodą w wiosce o nazwie Turbe. Tutaj wszyscy gasili pragnienie i odpoczywali, matki zwilżały twarze dzieci, jakby chciały zmyć z nich strach. Nagle pojawił się przy nas młody przystojny mężczyzna.

– Nazywam się Emir – oświadczył pogodnym tonem. – Służę w waszej armii, a to jest wolne terytorium. Witajcie w Travniku. Mamy tu autobusy, którymi pojedziecie dalej.

Kobiety ze łzami niedowierzenia w oczach dotykały symbolu bośniackiej armii z sześcioma liliami, naszytego na rękaw Emira. Jego nazwisko brzmiało Tica, co znaczy „ptaszek”. Pomógł nam wsiąść do autobusów, które przewiozły deportowanych do centrum Travnika, nieznanego mi dotąd miasta o pięknej orientalnej architekturze. O czwartej rano nasza trójka została przewieziona do kwatery głównej bośniackiej armii, usytuowanej w restauracji o nazwie Plava Voda (Błękitna Woda), obok strumienia. Tu położyliśmy się na podłodze w pomieszczeniu, które służyło niegdyś za jadalnię, a teraz pełne było rannych żołnierzy. Deportowanych zabrano do jezuickiego gimnazjum, gdzie również znaleźli sobie miejsce na podłodze, pośród tysięcy innych, którzy przeszli tę samą drogę przed nimi.

To były właśnie te tylne drzwi, o których rozmawialiśmy poprzedniego wieczora w bezpiecznym Zagrzebiu. Okazało się, że każdy więzień obozu, każda wdowa lub pozbawiona syna matka, każde przerażone dziecko wyrzucone ze swojego domu znali tę właśnie drogę – była to główna arteria, górską autostrada ofiar czystek etnicznych z okolic Prijedoru, regionu znanego jako bośniacka Krajina, czyli pogranicze, bo tu właśnie w czasach panowania tureckiego znajdowała się granica. Dla tych, którym udało się uciec z życiem z okolic Prijedoru, przebycie tej drogi było dowodem wytrwałości i woli przetrwania. Droga i jej okropności stały się niczym tatuaż, który oznaczał powrót do świata żywych po Omarskiej i Trnopolju. W ciągu tego jednego dnia i tej jednej nocy – 5 sierpnia w obozach i 17 sierpnia na drodze – rozpoczęło się moje „bośniackie” życie. Mam wrażenie, że w ciągu następnych dwudziestu lat spotykałem tych ludzi w każdym zakątku świata, za każdym rogiem – ocalałych i pogrążonych w żałobie, bojowników, wygnańców, później ich dzieci. Koniec tej drogi oznaczał jednocześnie początek innej, tak jak koniec tej wojny był, w pewnym sensie, początkiem następnej. Od tego czasu czułem się trochę jak sędziwy marynarz Coleridge’a, który wciąż opowiada innym smutne historie – i zaczęło mi być żal tego gościa weselnego z poematu, który przecież przyszedł, by dobrze się bawić.

Lato 1995: Wojna o powrót do domu

Dowódca skończył grać na akordeonie i schował go do futerału. Płomienie, które przed chwilą tańczyły do jego smutnej muzyki, powoli gasły, choć nad leśnym obozowiskiem żołnierzy wciąż unosił się przyjemny zapach żywicznego dymu. Ziemniaki upieczone w żarze zostały zjedzone, a plastikowa butelka rakii podawana z rąk do rąk – po jednym łyku dla każdego – była pusta. Większość żołnierzy wycofała się pod osłonę drzew, przemykając cicho między szałasami i namiotami. Inni wracali ciężkim krokiem z namiotów szpitalnych, odwiedziwszy rannych, których znieśli na plecach z linii frontu. Znużone konie pociągowe, przywiązane do drzew, od czasu do czasu parskały głośno. Los konia pociągowego na tej wojnie naprawdę nie był łatwy; całymi dniami musiały ciągnąć ciężkie zielone skrzynie z amunicją na linię frontu. Jeden z siedzących przy ogniu mężczyzn, Sabahudin, powiedział, że widział, jak jeden z takich koni popełnił samobójstwo, rzucając się do wąwozu. Z jakiegoś powodu rozbawiła nas wizja konia o samobójczych skłonnościach.

Wokół poszarpanych szczytów najwyższego górskiego grzbietu zaczął się gromadzić srebrny blask. Najpierw pojawił się wąski skrawek księżyca, który powoli sunął w górę i równocześnie się powiększał. Zijad Andelija, w poprzednim, utraconym życiu strażak, nie mógł spać, stał więc obok mnie i patrzył, jak księżyc rozwija się niczym wielki srebrny owoc.

– Wiesz co? – zaczął. – Na tej wojnie zostały dwie rzeczy.

– Tak? – spytałem.

– Tak. Poza zabijaniem, tylko dwie rzeczy... Dom i czas. Dom, bo tam w końcu wszyscy musimy się znaleźć. I czas, bo trzeba czasu, żeby tam dotrzeć. Przestałem już liczyć czas od dnia, w którym ostatnio widziałem dom. Siedzę w tych lasach chyba już trzy lata, od trzech lat nie widziałem nawet skrawka asfaltu. Liczę tylko dni do chwili, kiedy będę mógł wrócić. Spalili domy, ale nie mogą spalić ziemi. I nie mogą pokonać czasu. Dom i czas, nie pozostało nic innego, tylko wojna o powrót do domu.

Wojna rzeczywiście ciągnęła się już przez trzy lata od tamtego dnia w Omarskiej i Trnopolju i tamtej przerażającej przeprawy przez masyw Vlašić. Liczbę ofiar szacowano już na ponad sto tysięcy. Zachodni politycy z pewnością niezbyt się spieszyli. Do tej pory przedstawili już tyle chybionych planów pokojowych, podziałów i map, że straciłem rachubę, podobnie jak wszyscy inni w tym lesie.

Teraz, w sierpniu 1995 roku, padła Srebrenica, mężczyźni szukający tam schronienia zostali wymordowani, a na przeciwnym, zachodnim krańcu Bośni padał deszcz. To był jeden z tych parnych, czarno-białych wojennych dni, pozbawionych choćby odrobiny słońca. Okopy u podnóża masywu Vlašić, kilka kilometrów od drogi, którą pokonaliśmy w 1992 roku, były głębokie, ale nie dość głębokie – musieliśmy zginać się w pół, gdy biegliśmy przez błoto, i chować głowy za krawędzią nasypu, jeśli chcieliśmy zachować je na karku. Serbskie karabiny po drugiej stronie pola nie cichły ani na chwilę, pociski wbijały się w wilgotną ziemię nad naszymi głowami: *trzask-świst-plask, trzask-świst-plask*.

– No dobra – powiedział młody mężczyzna, Edin Ramulić, który był moim przewodnikiem. Przystanął po sprincie i wyprostował się. – Teraz możemy się wyluzować. – Ku memu zdumieniu wyszedł z okopu

i ruszył w górę zbocza.

– Ale oni nas tu widzą! – zaprotestowałem.

– Tak, ale są walnięci i zawsze chybiają, kiedy strzelają w tę stronę.

Pobiegliśmy więc przez pole, a niecelne pociski Serbów wbijały się wokół nas w ziemię – *trzask-świsz-plask*. Nogi jakoś mnie poniosły, ale płuca ledwie to wytrzymały. Gdy dotarliśmy w końcu do celu, obiecałem sobie, że już nigdy nie będę palił – prócz tego jednego, ostatniego szluga. Wyjąłem z plecaka dwa kartony cameli, wyciągnąłem z nich jednego papierosa, a resztę oddałem Edinowi.

– Właśnie wypłaciłeś mi dwumiesięczną pensję – zażartował, zapalając swojego pierwszego papierosa tego popołudnia, podczas gdy ja paliłem po raz ostatni w życiu.

Po drugiej stronie doliny, za zasłoną mgły, wiła się droga prowadząca przez masyw Vlašić w stronę Travnika, trasa naszego pochodu z tamtej nocy 1992 roku. Tę drogę przemierzali też wszyscy żołnierze walczący w brygadzie Edina, bo wszyscy byli ofiarami wysiedleń. Większość z nich spędziła jakiś czas w obozach koncentracyjnych, teraz byli jednak żołnierzami 17. Krajińskiej Brygady, największej w bośniackiej armii: „etnicznie czystej” brygady złożonej z uchodźców ze spalonych miast i wiosek północno-zachodniej Bośni, prowadzących teraz „wojnę o powrót do domu”. Po trzech latach walk, pomimo wszelkich przeciwności, rozpoczęła się kontrofensywa: w marcu, brnąc w głębokim śniegu, ci zdeterminowani ludzie nacierali na Serbów okupujących masyw Vlašić, i zdobyli jego szczyt. Wzmocnieni tym zwycięstwem, odepchnęli Serbów jeszcze dalej i teraz – po raz pierwszy – mogli patrzeć z góry na skalny posterunek serbski w miejscowości Smet, gdzie jako bezbronni cywile i uchodźcy po raz ostatni widzieli swych wrogów twarzą w twarz. Edin Ramulić przypomniał nam, że dziś jest szczególny dzień: 21 sierpnia, trzecia rocznica masakry na masywie Vlašić, kiedy to cztery dni po przejeździe naszego konwoju rozstrzelano na skraju urwiska dwustu czterdziestu mężczyzn. Na prośbę Edina, tego nad wiek poważnego żołnierza, milczeliśmy przez minutę, wpatrzeni w miejsce tragicznych wydarzeń.

Edin Ramulić wychowywał się w wiosce Rakovčani nad rzeką Saną w odległym, północno-zachodnim zakątku Bośni. Był synem pracownika fabryki wyrobów ceramicznych w Keratermie, obok Prijedoru. W 1988 roku, jak mówią Bośniacy, „kradł orzechy”: włóczył się po okolicy, przygotowywał do zakończenia szkoły średniej i zbierał winylowe płyty Boba Dylana, Neila Younga, Pink Floyd i innych. W 1990 roku został powołany do wojska i wysłany do Kosowa, gdzie miał pomagać w kontrolowaniu demonstracji niepodległościowych Albańczyków, którzy protestowali przeciwko serbskiej dominacji w tej prowincji.

– Stałem po niewłaściwej stronie – stwierdził w rozmowie ze mną.

Podczas wojny chorwackiej w 1991 roku Edin odmówił służby w rezerwach Jugosłowiańskiej Armii Ludowej, walczącej z chorwackimi secesjonistami. W maju 1992 roku w pobliskiej wiosce Hambarine miały miejsce pierwsze akty przemocy Serbów wobec Muzułmanów.

– Tymczasem my jak ostatni naiwniacy wciąż wierzyliśmy w zapewnienia naszego przywódcy, Alii Izetbegovicia, który mówił: „Śpijcie spokojnie, nie będzie żadnej wojny” – wspominał Edin.

Pierwsze pociski spadły na wieś Rakovčani 21 maja; towarzyszyło im wezwanie do kapitulacji. W ciągu godziny po upływie terminu ultimatum na wioskę spadło czterysta pocisków. Zebrano broń: strzelby myśliwskie i pistolety zachowane po obowiązkowej służbie wojskowej. Przez dwa miesiące, kiedy Kozarac i inne miejscowości systematycznie niszczone, Edin nie doznał szwanku – choć

dowiedział się, że fabrykę, w której pracował jego ojciec, zamieniono w obóz. Aż nadszedł 20 lipca.

– Wtedy w końcu po nas przyszli. Widzieliśmy płonące domy i zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy zdani na łaskę, a raczej niełaskę Serbów.

Edin czekał w domu ze swoimi rodzicami i braćmi. Serbscy żołnierze zajęli również pozycje na tyłach wioski, wzdłuż torów kolejowych, za którymi ciągnął się las, uniemożliwiając w ten sposób ucieczkę boszniackim mieszkańcom.

– Zobaczyłem przez okno, jak wyciągają na podwórze mojego wujka i go biją. Potem żołnierze stanęli pod naszymi drzwiami. Mój ojciec przykazał mi: „Zostań w domu i powiedz im, że masz piętnaście lat”. Zebrali wszystkich mężczyzn, kazali im ustawić się w szeregu, a potem przebiec z pochyloną głową między dwoma rzędami żołnierzy, którzy ich bili. Kazali też każdemu uderzyć mężczyznę stojącego obok, własnego sąsiada lub przyjaciela, żeby ich w ten sposób upokorzyć. Potem powiedzieli: „To się robi nudne. Zaśpiewajmy piosenkę, którą wszyscy znamy!”. I kazali Muzułmanom śpiewać piosenkę: *Kto mówi, kto kłamie, że Serbia jest mała*. Kazali wyrzucić wszystkim dowody osobiste, bo jak twierdzili, nie będą im już potrzebne. Dotarło do mnie, co się dzieje. Wtedy po raz ostatni widziałem swojego ojca. Tego dnia zabrali z naszych wiosek trzysta osób, z których przeżyło dziesięć, może piętnaście. Około pięćdziesięciu zostało zabitych w Omarskiej 24 lipca. Większość trafiła do Keratermu, do słynnego Hangaru Trzeciego; wśród nich byli mój ojciec i prawdopodobnie brat. Tego samego dnia zamordowano tam stu pięćdziesięciu ludzi, głównie z naszych okolic. To było straszne miejsce, znane z brutalnych gwałtów – opowiadał Edin. – Zmuszano mężczyzn, by na różne sposoby i w różnych pozycjach gwałcili się nawzajem, nie tylko sąsiadów czy znajomych, ale własnych ojców i synów. Mój ojciec zginął zatem w miejscu, gdzie pracował; wiedziałem o tym i to pozwala mi zmierzyć się z prawdą o jego śmierci. Ale to tylko moja historia. Innych ludzi spotykały znacznie gorsze rzeczy.

Opuściwszy Trnopolje, Edin został deportowany do centralnej Bośni, a stamtąd do Chorwacji, gdzie mógł odwiedzić krewnych, którzy przeżyli obozy.

– Wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się, jaka jest skala mordów – powiedział. – Mogłem zostać w Chorwacji albo wyjechać gdzie indziej, ale gdy usłyszałem, co się tam dzieje, musiałem wrócić i walczyć.

Od tej pory Edin służył niemal na wszystkich frontach, na których biła się bośniacka armia: bronił Sarajewa, walczył przeciwko byłym sojusznikom z Chorwacji w centralnej Bośni, a teraz zajął ze swoją brygadą miasto, które niegdyś przyjęło uchodźców przemierzających drogę przez Vlašić – Travnik, rozdroże wojny.

Kwatera główna bośniackiej armii w Travniku, gdzie spaliśmy po przybyciu naszego konwoju do miasta w sierpniu 1992 roku, mieściła się w przerobionej na potrzeby wojska restauracji Błękitna Woda, nad strumieniem. Lecz na innej, większej działce utworzono załączek 17. Krajińskiej Brygady – początkowo hałaśliwej, niezdyscyplinowanej i rozlazłej. We wrześniu 1992 roku szukałem w tym miejscu dowódcy żandarmerii wojskowej. Tam właśnie spotkałem Fahrudina Alihodžicia, urodzonego partyzanta, który miesiąc wcześniej kazał rozproszyć się uchodźcom na masywie Vlašić. Wyjaśniłem mu, kogo szukam, a on roześmiał się i powiedział:

– Ja jestem dowódcą, ale możesz mówić mi Fahro.

Natychmiast się zaprzyjaźniliśmy, a w ciągu następnego roku wielokrotnie składałem mu wizyty, podczas których często rozmawialiśmy o naszym życiu osobistym – miał żonę i dziecko w Niemczech –

i o wojnie.

Fahro, który pochodził z robotniczej rodziny z Sanskiego Mostu, uczył się na kamieniarza i specjalistę obróbki szkła i ceramiki. Pracował ze swoimi serbskimi przyjaciółmi, którzy potem go aresztowali i osadzili w Manjačy, rozdzielając go z matką, którą wywieziono w przeciwnym kierunku, z transportem do Trnopolja. Fahro był jednym z pierwszych więźniów, którzy uciekli z Manjačy. Potem próbował zorganizować ruch oporu w Sanskim Moście, ale bez powodzenia.

– Muzułmanie byli głupi! – grzmiał pod koniec roku 1992. – Ślepe barany! Nie widzieli tego, co działo się na ich oczach. Owszem, w Sanskim Moście był ruch oporu, ale nie zginął ani jeden Serb. To chyba daje pojęcie o tym, jak ten ruch wyglądał.

Już w Travniku Fahro obserwował, kto „najpewniej zleje Serbów”, i uznał, że będzie to „Krajińska Brygada, ludzie z moich stron”. Wiosną 1993 roku siedział za biurkiem w kwaterze głównej Brygady i wydawał rozkazy wszystkim, którzy nawinęli mu się pod rękę, a jednocześnie starał się zorganizować kwaterę w koszarach dla reportera, czyli dla mnie. Jako dowódca żandarmerii wojskowej Fahrudin obarczony był uciążliwym obowiązkiem sprowadzania zwłok z linii frontu w miejscowości Visoko.

– Praktycznie wszystkie były okaleczone – wspominał. – Początkowo nie mogłem się dogadać z tymi chłopcami, bo wszyscy czekali tylko na okazję, żeby popisać się odwagą: myśleli, że są niezwyciężeni. Ale kiedy zajęliśmy już pozycje, wielu nie mogło uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Byli odważni dopóty, dopóki pociski nie rozerwały kilku z nich na kawałki.

W początkowym okresie wojny uchodźcy rozbijali się na dziedzińcu koszar obok żołnierzy, rozpalali ogniska, rozwieszali sznury z praniem i bawili dzieci. Mężczyźni wracali nocą z frontu i spali na podłodze. Z latryny rozchodził się okropny smród. Żołnierze ustawiali się w kolejce po wieczorny posiłek złożony z zupy i mięsa. Gdy wróciłem do Travnika w 1993 roku, był wśród nich Ibrahim, długowłosego chłopiec, który oprowadzał mnie niegdyś po Trnopolju. Nie rozmawialiśmy długo, bo po posiłku miał ćwiczenia. Powiedział wtedy:

– Nienawidzę tej pierdolonej wojny. Naciskali na mnie, żebym walczył, kiedy przyszedłem tu drogą przez Vlačić, i początkowo nie miałem nic przeciwko temu. Ale boję się. Chcę żyć tak jak kiedyś, zanim to wszystko się zdarzyło. – Ibrahim chciał wiedzieć jedno: – Powiedz mi, proszę, czy The Stone Roses wydali już drugą płytę? Obiecują ją od lat! Co się z nimi dzieje?

Obiecałem, że dam mu jakoś znać, czy i kiedy nowy album został wydany. Przez jakiś czas korespondowaliśmy za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, ale potem dostałem list z informacją, że Ibrahim został ciężko ranny w walce; od tej pory nie miałem już od niego żadnych wieści.

Po lecie w 1993 roku straciłem też kontakt z Fahrudinem Alihodžiciem. Powiedział wtedy:

– Pamiętasz tych chłopaków, którzy kręcili się po moim biurze w koszarach, gdzie zwykle nocowałeś? Większość z nich już nie żyje. A ten dzieciak, który na początku tak się bał? On też zginął. Czuję się coraz bardziej samotny. Chcę, żebyśmy wszyscy byli znów razem: prawie codziennie chodzę na cmentarz i siadam między grobami swoich chłopców, tych, z którymi walczyłem. Siedzę tam całymi godzinami, aż robi się ciemno. Przynajmniej w ten sposób wszyscy jesteśmy razem.

Tymczasem w Travniku pojawił się nowy oficer, który objął dowodzenie nad Brygadą. Nazywał się Mehmed Alagić. Piął się po szczeblach hierarchii powoli, ćmiąc papierosa wetkniętego w długą turecką cygarniczkę z rzeźbionego drewna. Nie chciał nastąpić nikomu na odcisk, okazywał też głęboki szacunek kadrze dowódczej w Travniku. Ale ta początkowa rezerwa była jedynie fasadą: był ambitniejszy od

pozostałych, stawiał sobie za cel nie tyle obronę Travnika, ile triumfalny powrót do domu, i prowadził za sobą tysiące innych, którzy myśleli podobnie. Kiedy poznałem Alagicia, dyskutował o strategii przy rakii, ale później spoważniał i stał się bardziej zdeterminowany, a jeśli w ogóle chciał rozmawiać o planach, robił to co najwyżej przy kawie. Ale w 1993 roku powiedział coś (wspomniałem o tym w książce, którą napisałem tamtego roku), co z perspektywy czasu okazało się ponurym proroctwem. Alagić już wtedy się domyślał, że on i jego ludzie walczą na wojnie, której ich przełożeni nie są gotowi doprowadzić do końca – że zostaną zdradzeni przez swoich przywódców w Sarajewie i że ta zdrada nada kształt przyszłości Bośni.

Alagić mówił:

– Dowodzę ludźmi, którzy stracili swoje domy, a w wielu przypadkach także rodziny, i teraz nie mają już nic do stracenia. – Potem dodał impulsywnie: – Nie przerwę tej wojny na polecenie prezydenta Izetbegovicia ani żadnego innego polityka. Bez względu na to, co podpiszą, będziemy walczyć dalej. W obozach zginęły dziesiątki tysięcy moich rodaków, przyjaciół i sąsiadów, zabijano ich z zimną krwią. Zgoda na podział albo na utworzenie państwa muzułmańskiego, w którym będziemy żyć jak żebracy na podłogach szkół, byłaby zdradą wobec zmarłych. Oni nie walczyli o państwo muzułmańskie, walczyli o Bośnię i Hercegowinę, walczyli o powrót do domu. Nie okłamię zmarłych. Dlatego będziemy kontynuować tę wojnę.

Spytałem go wtedy, co zrobi, jeśli każą mu zaprzestać walki i zatrzymać się na jakiejś wynegocjowanej granicy.

– Czasem trudno się tu do nas dodzwonić – zazartował. Przewidział w 1993 roku, co stanie się dwa lata później, pomylił się jedynie co do swojej reakcji. Kiedy pod koniec 1995 roku kazano mu przerwać ogień, posłusznie wykonał ten rozkaz.

Jednak tamtego lata w 1995 roku wojna o powrót do domu toczyła się pełną parą. Nie znalazłem Alagicia w koszarach w Travniku, jak zawsze starannie utrzymanych i wysprzątanym. Żołnierze byli w górach, prowadzili natarcie. Dla tych ludzi powrót na front był swego rodzaju odkupieniem, woleli walczyć, niż oddawać się rozmyślanom w bezpiecznym schronieniu na obczyźnie. Ruszyliśmy przez las w stronę miasta Donji Vakuf. Co jakiś czas w pobliżu przelatowały ze świstem pociski wystrzelone na oślep przez snajperów. W równych odstępach, co osiemset metrów, stały bunkry zbudowane z grubych pni, w każdym z nich kryła się grupa żołnierzy. Ścieżką wzdłuż umocnień prowadzono białą kobyłę objuczoną dwiema metalowymi bańkami z zupą, jej opiekunowie rozdawali walczącym wieczorny posiłek. Pokonawszy labirynt okopów i stanowisk snajperskich, dotarliśmy do naszej kwatery, czyli bunkra dowódcy, gdzie przed wejściem stał wazon z żółtymi kwiatami. Tu właśnie doszło do pierwszego z wielu niezwykłych zbiegów okoliczności, które miały mnie zaskakiwać przez następne lata.

Dowódca rozdawał żołnierzom żołąd w postaci papierosów, gdy jakiś mężczyzna siedzący w pobliżu na ławce z grubo ociosanego drewna zwrócił się do mnie z pytaniem:

– Przepraszam, czy pamięta pan może mężczyznę, który w dziewięćdziesiątym drugim, gdy był pan w Omarskiej, próbował pana okłamać? Miał ranę po lewej stronie twarzy, a gdy spytał pan, co się stało, odpowiedział, że jest dobrze traktowany i że uderzył się, gdy upadł.

– Tak, oczywiście. Jak mógłbym zapomnieć?

– No więc to byłem ja – odparł.

I rzeczywiście – choć ledwie przypominał wychudzoną, trupio bladą postać sprzed trzech lat,

z pewnością był to ten sam mężczyzna, o czym świadczyła również blizna na jego twarzy. Osłupiali, uściskaliśmy się serdecznie.

– Kiedy wtedy rozmawialiśmy – mówił dalej, przechodząc już na ty – tuż za tobą stał strażnik, który patrzył na mnie i słuchał wszystkiego, co do ciebie mówiłem. Dlatego właśnie powiedziałem to, co chciał usłyszeć, inaczej mógłbym pożegnać się z życiem. Ale widziałeś chyba moje oczy i to, co naprawdę chciały ci powiedzieć.

– Oczywiście – potwierdziłem. – Pamiętam, że zachowałeś kromkę chleba na później.

– Kiedy przyjechaliście do nas, po raz pierwszy od wielu tygodni dostaliśmy całą kromkę. Nie wiedzieliście, że wybrali do naszej grupy więźniów w najlepszym stanie. Inni, których ukrywali przed wami, byli bliscy śmierci; później wszyscy byliśmy ledwo żywi.

Ów mężczyzna nazywał się Šerif Velić, pochodził z wioski Kevljani sąsiadującej z Omarską, z rodziny rzemieślników, szkolił się na metaloplastyka i posiadał niezwykle bogate życie wewnętrzne.

– Zawsze byłem najlepszym filozofem wśród metaloplastyków i najlepszym metaloplastykiem wśród filozofów – mówił ze śmiechem – ale nigdy po prostu najlepszym metaloplastykiem czy filozofem. – Pracował też na budowie w Niemczech. – Byłem w dobrej sytuacji finansowej. Mogłem spokojnie prowadzić rodzinne życie, dopóki nie zmieniły się okoliczności.

Šerifa ewakuowano z Omarskiej dzień po naszej wizycie, 6 sierpnia 1992 roku. Później leczył się w Szwecji, bo podczas przesłuchania doznał urazu mózgu. Przesłuchanie prowadzono na piętrze budynku administracyjnego, w którym zorganizowano dla nas odprawę. Rozebrano go do bielizny, kopano po jądrach i żebrach, bito w głowę pałką i kolbą, aż stracił przytomność. Kiedy doszedł do siebie, znów pobito go do nieprzytomności.

Ale Velić postanowił powrócić i walczyć w Krajińskiej Brygadzie.

– Dlaczego? – pytał retorycznie. – Ed, ja chcę wrócić do domu. Nie ma żadnej innej opcji. Jestem chory, walka to w moim przypadku szaleństwo, ale przegnali mnie stamtąd karabinami i jeśli trzeba, ja też wrócę z karabinem. Noszę w sobie dziedzictwo obozu: żebra połamane żołnierskimi buciorami, przeponę przebitą tymi samymi buciorami, guz mózgu, częściowy paraliż prawej strony ciała. W takim właśnie stanie dotarłem do Travnika, żeby zaciągnąć się do Brygady. Ale po przyjeździe do Szwecji mogłem albo myśleć o obozie i zabić się, albo tu wrócić. Czas wyostrza najgorsze wspomnienia. Gdybym musiał zmagać się beczynnym z tymi obrazami, popełniłbym samobójstwo albo bym oszalał. Kiedy śnię, wiem, co chcieli mi zrobić, chcieli mnie zabić; budzę się zlany potem. Jedyne rozwiązanie, by sobie z tym poradzić, to wrócić i walczyć. Żeby się z tego wyleczyć, muszę wrócić do domu.

Obozy zawsze były obecne w tle naszych rozmów, ale nigdy o nich nie dyskutowaliśmy: ja nie pytałem, a on nie mówił o mordach, torturach, pobiciach, utraconych rodzinach, zgwałconych żonach i córkach. Było na to za wcześnie. Te szczegóły wychodziły na jaw później, gdy poznawałem prawdę o ocalałych i ocaleniu. Ci ludzie przetrwali – to przetrwanie ich definiowało – i tego dotyczyły nasze rozmowy. Tego samego wieczora usłyszałem zupełnie inną, budującą historię, którą opowiedział mi niejaki Sulejman Halilović. Sulejman opuścił swój płonący dom w miejscowości Ključ 8 października 1992 roku, ale jego owczarek węgierski Lassie nie chciał z nim iść.

– Patrzył przez chwilę, jak odchodzimy, a potem odwrócił się od nas – wspominał Sulejman. – Wołaliśmy do niego: „Lassie, chodź!”. Ale on popatrzył na mnie tak, jak patrzył zwykle, gdy był o coś zły. Miasto płonęło, więc go zostawiliśmy.

Sulejman dotarł przez Smet do Travnika, pokonawszy około osiemdziesięciu kilometrów.

– 9 maja 1994 roku o wpół do jedenastej rano w pobliżu swojego nowego mieszkania w Travniku zobaczyłem psa. Wyglądał dokładnie jak mój Lassie, więc zrobiło mi się smutno. Ale potem ogarnęło mnie to dziwne przeczucie... i zawołałem do niego: „Lassie!”. Pies tylko spojrzął na mnie ze złością. Oczywiście wiedziałem już, że to on. Przez dwie godziny siedzieliśmy naprzeciwko siebie, ja go wołałem, on patrzył. Potem nagle zerwał się z miejsca i podbiegł do mnie. Miał pokaleczone łapy po długiej wędrówce. Brakowało mu jednego zęba, więc byłem już pewien, że to właśnie on. Bał się ludzi w mundurach.

Roześmialiśmy się, wznieśliśmy koniakiem dowódcy toast za Lassie i poszliśmy spać.

Nowy front przesuwiał się w stronę miejscowości Jajce – strategicznej bramy do bośniackiej Krajiny i regionu, w którym utworzono obozy. Jajce było symbolem powrotu do domu, szczególnie od tego pamiętnego dnia w październiku 1992 roku, kiedy miasto zostało zajęte przez Serbów i wszystko wydawało się stracone. Ponad trzydzieści pięć tysięcy ludzi przepравиło się na piechotę przez góry do Travnika, zarówno cywile prowadzący owce, konie i wozy, jak i załamana, pokonana armia. Gdy obudziłem się tamtego ranka w koszarach, zobaczyłem, że uchodźcy wraz ze swym inwentarzem zajęli każdą piędź ziemi w mieście. Trudno byłoby zapomnieć postać Zlatki Husić siedzącej pod parasolem, który nazywała domem, nim nazajutrz znalazła miejsce na podłodze szkoły, zajętej już przez tłum uciekinierów z Krajiny i obozów. Ale w 1995 roku, trzy lata później, w szkole jezuitów wciąż przebywały setki uchodźców. Budynek był wielokrotnie ostrzeliwany, ogień pożarów osmalił i osłabił ściany, w oknach wisiało suszące się pranie, powietrze wypełniał dym z piecyków uciekinierów – a wśród nich wciąż była Zlatka Husić. Przez cały ten czas mieszkała na lepkiej podłodze szkoły, choć na zewnątrz wydarzyło się wiele ważnych rzeczy. Jej syn Fahrudin, uznany za zaginionego w 1992 roku, gdy zabrano go do obozu w Manjačy, odnalazł się w grupie deportowanych, którzy dotarli do Travnika w 1994 roku. W szkole jezuitów poznał Adisę Hajrić, uciekinierkę z Banja Luki, i ożenił się z nią. Mieli już dziecko, więc w byłej klasie numer siedem gimnazjum mieszkały aż cztery pokolenia. Starsza kobieta, która zajmowała miejsce obok tej rodziny, ustawiła przy swoim łóżku zegar.

– Wpatruję się w niego całymimi dniami – mówiła Enisa Mesić. – Tylko to pozwala mi pozostać przy zdrowych zmysłach. Nie wiemy, jak mija czas. Kiedy wskazówki się poruszają, zegar mówi mi, że nie możemy żyć i nie możemy umrzeć, że nic nie mamy i zmierzamy donikąd. Zegar ma tylko jedną baterię, więc niedługo przestanie chodzić.

Wszystkich tych ludzi prowadził do autobusów jeden człowiek, Emir Tica, „ptaszek” o radosnej twarzy, który powitał nasz konwój w 1992 roku. Trzy lata później wciąż był tutaj, witał wędrowców wyrzuconych z Banja Luki i Prijedoru. Przez cały ten czas Emir pełnił funkcję adiutanta do spraw transportu, służąc u boku różnych dowódców. Często w obowiązkach pomagała mu 17. Krajińska Brygada pod komendą Alagicia.

Emir zawsze zajmował się autobusami: był dyspozytorem w zajezdni w swoim rodzinnym Travniku. Grał w zespole rockowym, uwielbiał U2 i pragnął, by Europa Zachodnia przygarnęła Bośnię, a nie ją zdradzała. Kiedy spotykaliśmy się podczas wojny, a spotykaliśmy się dość często, piosenka *One U2* była jego hymnem dla ONZ w Bośni. Podobały mu się szczególnie te fragmenty, które oskarżały adresata utworu, że szuka jedynie ucieczki od własnych demonów, że „udaje Jezusa” i próbuje „wskrzeszać zmarłych”.

– Kiedy przyjechałeś tu w 1992 roku, było już dwadzieścia sześć tysięcy uchodźców, a od tego czasu dołączyło do nich kolejne pięćdziesiąt sześć tysięcy – mówił. – To koszmar dla nas, dla nich, dla miasta, dla mnie. Nie wiem, co mam myśleć, kiedy widzę, jak się zbliżają: kobiety, które nie mają pojęcia, gdzie są ich mężowie, głodne i przerażone dzieci.

W ciągu trzech lat wojny dobrze poznałem Emira, wiedziałem, że miewa lepsze i gorsze nastroje.

– Znasz mnie – mówił. – Jestem Muzułmaninem, ale chcę należeć do Europy. Kiedy Europa poznała Bośnię, byłem bardzo dumny. Może jednak teraz Europa zmieniła zdanie. Wasi przywódcy mówią o mapach, Serbach, Chorwatach i Muzułmanach, nie o Bośni.

Emir chlubił się tym, że przeprowadził trzydzieści pięć tysięcy ludzi tego jednego dnia, gdy padło Jajce, ale kiedy Travnik znalazł się między Serbami zajmującymi masyw Vlašić a chorwacką ofensywą, która zbliżała się od strony doliny, w ciągu kilku miesięcy wychudł, a jego skóra pożółkła. W 1993 roku powiedział:

– Chcę wyjechać daleko stąd. Poznałem pewną dziewczynę, rozmawiamy przez telefon o tym, jak się pobierzemy, wyprowadzimy z Travnika i będziemy mieli bliźnięta. Ale teraz moim życiem jest ta wojna. Uświadomiłem to sobie, gdy padło Jajce: patrzyłem na tych wszystkich ludzi i zacząłem wątpić, czy zdołamy przetrwać jako naród. I nie wiem, czy Europa chce, byśmy przetrwali. Czas płynie. Trzeba naprawdę dużo czasu, żeby zabić tylu ludzi. Upodabiam się do zwierzęcia. Coś się przestawiło w mojej głowie. Zaczynamy się czuć tak, jak pewnie czuli się Żydzi w 1940, gdy zrozumieli, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Tak mówił Emir w 1993 roku; dwa lata później, choć wciąż nad wyraz poważny jak na swój wiek, patrzył na świat znacznie pogodniej.

– Mamy teraz armię – cieszył się. – Prawdziwą armię. Jestem zawodowcem. Potrafię strzelać i mogę pojechać na każdy odcinek frontu, na jaki mnie wyślą. Ale tutaj, w mieście, znów jestem tylko sobą. Wszyscy się zastanawiamy, co będzie, kiedy to wszystko się skończy. Moi przyjaciele żartują sobie ze mnie, bo nigdy nie zdejmuję munduru. Nie mogę go zdjąć. Bez niego zapominam, kim jestem.

Teraz Emir, podobnie jak pozostali żołnierze 17. Krajińskiej Brygady, służył w całej Bośni. W tym tygodniu jego celem była Treskavica, masyw górski położony na południowy wschód od Sarajewa, w stronę oblężonego i odizolowanego miasta Goražde oraz spustoszonej Fočy, na granicy z Serbią. Na Treskavicy spotykali się żołnierze, którzy stracili domy na północnym zachodzie Krajiny, z tymi, którzy musieli uciekać z terenów wzdłuż wschodniej granicy Bośni. Wojna wyglądała tutaj tak, jakby przeniesiono ją żywcem z czasów napoleońskich albo z okresu wojen krymskich. Na wyzwolonych niedawno terenach, w gęstym sosnowym lesie, w dolinach i na skalistych zboczach obozowały dziesiątki tysięcy ludzi, rozkwaterowanych w bunkrach, chatach lub namiotach. Między tymi prowizorycznymi domostwami stały konie pociągowe i stare samochody, żołnierze przygotowywali jedzenie na żelaznych piecykach lub przy ogniskach.

W ciągu dnia żołnierze układali wielokilometrowe linie telefoniczne wzdłuż górskich dróg, maszerowali w grupach z łopatami na ramionach albo prowadzili znużone, posłuszne, obciążone konie. Zbudowali swego rodzaju górską metropolię, złożoną głównie z drewnianych domostw usadowionych nad szemrzącymi strumykami. W 1995 roku Treskavica była sercem lądowej bośniackiej wojny. Gdyby ci ludzie kontynuowali ofensywę przez kolejne szczyty, zniwelowałiby trzy lata porażek, dotarliby do miejscowości Goražde i do wschodniej Bośni. Gdyby przegrali, niszczycielskie siły Serbów podbiłyby

całkowicie wschód kraju. Na pierwszej linii tej górskiej bitwy walczyli żołnierze z Krajińskiej Brygady i mężczyźni wygnani z Fočy, rozlokowani teraz w lesie tuż przy linii drzew. Stały tu wyciosane z drewna krzesła i stoły, przy których żołnierze grali w karty lub pili kawę z poczerniałych garnuszków. Ci ludzie, skazani na los wędrownych ptaków, umożliwiali na razie powrót do domu innym wygnańcom. Teren ten został zajęty przez bośniacką armię nieco wcześniej tego lata, więc teraz wracali tu mieszkańcy małej wioski Rakitnica, którzy musieli ratować się ucieczką w 1992 roku. Po powrocie zobaczyli jedynie zgliszcza, gdyż wszystkie domy, stajnie i budynki gospodarcze zostały spalone do szczytu.

Siedemdziesięciodwuletni Salih Zeco skończył właśnie pokrywać zardzewiałą blachą dach tego, co zostało z jego rodzinnego domu. Nosił fez i nie miał zębów.

– Och, ja nic nie wiem o czasie – mówił. – Znam tylko swój dom i zwierzęta. Moja rodzina mieszkała w tym domu od pięciu pokoleń; tak właśnie mierzyliśmy czas. Teraz zostały mi tylko wypalone ściany. Tam była moja stajnia – powiedział, wskazując na stertę osmalonych kamieni. – Powrót do domu – westchnął. – Och, kiedy wyszliśmy z za tamtego zakrętu doliny, poczułem się jak nowo narodzony. Ale kto wie, czy będziemy tu jeszcze jutro. Kto wie, czy zostaniemy w swoich domach. O tych rzeczach decyduje kto inny, daleko stąd, na mapach polityków. I spójrz tylko, wszystko stoi na głowie.

Mapy polityków okazały się szczególnie okrutne dla żołnierzy zarówno z Krajińskiej Brygady, jak i z Fočy, którzy walczyli razem w tych górach, by wrócić do domów położonych w różnych częściach kraju. Podobnie jak domy byłych więźniów obozów, rodzinna wieś Saliha oraz Foča weszły w skład Republiki Serbskiej, której oddano również te wyzwolone tereny. Późną jesienią 1995 roku chłopcy z Krajińskiej Brygady – ocaleni więźniowie obozów – walczyli o powrót do domu, ale zostali powstrzymani. Tymczasem w ośrodkach władzy, w rezultacie masakry w Srebrenicy, NATO skutecznie odsunęło na bok nieudolną ONZ, wzięło na siebie rozwiązanie kryzysu i przeprowadziło nieliczne ataki powietrzne na bośniackich Serbów. Większość serbskich mieszkańców Prijedoru dołączyła do uchodźców z Chorwacji, nawet Banja Luka przygotowywała się do ewakuacji. Wojna była bliska nie tylko końca, ale i nieoczekiwanego zwycięstwa ocalałych z pogromów Boszniaków i Chorwatów.

Nikt nie wie, dlaczego właściwie ich zatrzymano: niektórzy twierdzą, że doszło do sporów między armiami Boszniaków i Chorwatów. Amerykanie obawiali się, że kontrofensywa doprowadzi do aktów przemocy wobec serbskich cywilów i wywoła falę uchodźców większą od tej, która opuściła już Chorwację. Jedno jest jednak pewne: Holbrooke wykorzystał fakt, że nacierająca armia przekraczała lub właśnie przekroczyła linię, którą wynegocjował jako wewnętrzną granicę Serbów. Pod groźbą bombardowania Boszniakom kazano się zatrzymać i niespodziewanie ich zdemobilizowano.

– Straciliśmy wielu ludzi – mówił po latach Edin Ramulić. – Ale byliśmy na fali. W końcu wygrywaliśmy z Serbami, a nasze lufy były skierowane na Prijedor, w kierunku naszych domów.

Co gorsza, pojawiły się również sygnały z Sarajewa, że nawet bośniacki rząd nie jest do końca zainteresowany wyzwoleniem całego kraju.

– Gdyby Sarajewo naprawdę chciało, żebyśmy zdobyli Prijedor, zrobilibyśmy to – mówił Edin. – Ale nie chcieli, bo prowadzili jakąś własną grę.

Uzgodniony podział Bośni zakładał, że oprawcy przejmą kontrolę nad terytorium, na którym stały wcześniej obozy i gdzie pogrzebano zamordowanych w nich ludzi. W pozostałych częściach kraju Serbowie dostali wszystko, czego chcieli, zbierając w ten sposób owoce trzyletnich czystek etnicznych. Podział ukształtował następne dekady bośniackiej historii i na zawsze zdeformował ten kraj. Przez długie

lata nikt z byłych mieszkańców nie odważył się odwiedzić spalonej ziemi, którą niegdyś nazywał domem. Gdy pozostałości po obozach znalazły się w rękach swoich twórców, rozpoczął się tak zwany pokój. Tereny wokół Prijedoru i Banja Luki zostały oczyszczone z Boszniaków i Chorwatów, zabitych albo wygnanych i rozsianych po całym świecie.

Basowe tony akordeonu komendanta brzmiały mrocznie i ponuro, wysokie jasno i radośnie, wszystkie tańczyły razem z płomieniami ogniska. Podawana z rąk do rąk butelka raki rozgrzewała zziębnięte dusze w środku lasu, gdzie niektórzy wpatrywali się w ogień, a inni śpiewali:

Mamo, nie płacz, kiedy chodzisz po tych obcych ulicach
I nie hałasuj zbyt dźwiękami
Bo wkrótce zabiorę cię z powrotem do domu.

Niebo, piekło i Hertfordshire

[...] używać będę dla własnej obrony jedyne oręża, na którego użycie sam sobie pozwolę – milczenia, wygnania i przebiegłości⁹.

James Joyce

Edin Kararić otworzył oczy.

– Zobaczyłem nad sobą biały sufit. Leżałem w czystej białej pościeli. Dokoła, po raz pierwszy od wielu miesięcy, panowała cisza. Pomyślałem, że umarłem i trafiłem do nieba. Ale nie. Znalazłem się w Watford.

Edin był więźniem wszystkich czterech głównych obozów w bośniackiej Krajinie: Keratermu, Omarskiej, Manjačy i Trnopolja.

– Przywieziono nas tutaj w transporcie medycznym – opowiadał. – Opuściliśmy Omarską 6 sierpnia, dzień po waszej wizycie, i zostaliśmy zarejestrowani przez Czerwony Krzyż w Manjačy. Potem facet z ONZ zapytał: „Jesteś chory?”. A ja odpowiedziałem: „Nie, nie jestem chory. Spędziłem po prostu cztery miesiące w pierdolonych obozach koncentracyjnych”. Zaczęli wywoływać nas po nazwisku, ale ja się nie odzywałem. Nauczyłem się w Omarskiej, że jeśli pada twoje nazwisko, a ty się zgłaszasz, to już nie żyjesz. Stałem więc przez czterdzieści pięć minut, bo nie rozumiałem, że tym razem wywołują ludzi, którzy mają opuścić obozy i polecieć do Anglii.

Edin był jedną z sześćdziesięciu ośmiu osób wybranych spośród byłych więźniów Omarskiej i włączonych do transportu medycznego, który zgodził się przyjąć rząd brytyjski. Samolot z ewakuowanymi wylądował na lotnisku Stansted 13 września 1992 roku.

Po raz pierwszy odwiedziłem rodzinę Karariciów w ich domu w Watford latem 1993 roku. Przejechałem metrem, linią Metropolitan z Baker Street, przez północno-zachodnie, opustoszałe przedmieścia Londynu – Neasden, Wembley, piękny, ale stary i skazany na zagładę stadion – w zieleń Chorleywood, a tam czekał już na mnie on, jeszcze niecały rok temu więzień Omarskiej. Lokale komunalne znajdowały się w bloku typowym dla angielskiego budownictwa mieszkalnego z lat pięćdziesiątych, w niszczącym zakątku przedmieść stolicy, ale przechodząc przez próg mieszkania Karariciów, ich goście przenosili się natychmiast z Watford do Bośni. Żona Edina, Kadira, zrobiła pyszną zeljanicę, ciasto ze szpinakiem, do której podała mocną bośniacką kawę z mosiężnego tureckiego tygielka. Edin wspominał, jak tutaj trafił.

– Nie miałem nic prócz pary spodni: dawno już zgubiłem ostatnie, osrane majtki, nie pamiętam nawet, w którym obozie.

Edin jest wysoki, rezolutny i rzutki, to dusza towarzystwa, jednak tamtego lata 1993 roku przypominał ranne zwierzę – słaby fizycznie, ale mentalnie wzmocniony wściekłością. Kadira na razie milczała, wpatrzona w swoją kawę. Edin pochodził z wioski pod Trnopoljem, nazwanej od nazwiska jego rodziny – za obozem koncentracyjnym, po lewej stronie torów, wciąż znajduje się drogowskaz z napisem „Kararići”.

– Nasza rodzina mieszka w Krajinie od pokoleń – tłumaczył. – Mój ojciec miał trzy młyny i setki

hektarów ziemi, które zostały potem skolektywizowane przez komunistów.

W 1992 zaczął się serbski pogrom.

– Nie mieliśmy pojęcia, co się stanie. Byłem kolesiem [to zabawne, kiedy wymawia słowo „koleś” z takim przekonaniem] z Trnopolja, przerośniętym dwudziestoczteroletnim punkiem z żoną i dziećmi, który zastanawia się, co zrobić ze swoim życiem, a nagle ma zorganizować obronę swojej wioski, mimo że nie wie nawet, przed kim! Byliśmy naiwni, byliśmy głupi; choć wcześniej kupiłem w Zagrzebiu karabin maszynowy.

Tamtego roku rzadko rozmawialiśmy o samym obozie. Celem naszych spotkań było dotknięcie ocalenia, uznanie go, uściśnięcie dłoni i potwierdzenie, że choć jesteśmy w Hertfordshire, słowo „Omarska” coś tu znaczy.

– Zapomniałem tam, jak wyglądają moje dzieci – opowiadał Edin. – Nie pamiętałem ich twarzy. Właściwie nie chciałem ich pamiętać. Nie chciałem, żeby ich twarze tam były.

Jednak podczas kolejnych rozmów pojawiły się pierwsze wzmianki o okropieństwach Omarskiej.

– Było tam tyle krwi i tyle śmierci, że nie miałyoby to sensu, gdyby nie chcieli zabić nas wszystkich. Wcisnęli mnie do małego pokoju nad tym hangarem, do którego próbowaliście wejść, razem ze stu osiemdziesięcioma innymi mężczyznami. Kiedy wywoływali kogoś po nazwisku, to było jak wyrok śmierci. Podczas przesłuchania pytali mnie o broń, od kogo ją kupiłem. Nie chciałem im odpowiedzieć; gdybym wyznał, że kupiłem ją w Chorwacji, byłoby po wszystkim. Człowiek, którego kiedyś znałem, kopnął mnie w bok tak mocno, że złamał mi trzy żebra. Po przesłuchaniu trzeba było przebiec przez cały korytarz, podczas gdy oni stali z obu stron i cię bili. Jeśli się przewrócisz, zabiją cię. Ktoś podstawił mi pod nogi stołek; pamiętam, jak poleciałem do przodu i przyjmując razy, myślałem: „Biegnij dalej, do końca tego pierdolonego korytarza”. I udało mi się. Kiedy przyjechaliście do Omarskiej, zrozumieliśmy, że coś się dzieje – mówił Edin. – Zagraniczni dziennikarze byli już w drodze. Świat zewnętrzny dowiedział się o istnieniu obozu. Przeczuwaliśmy, że to się wkrótce musi skończyć, choć nie mieliśmy pojęcia, w jaki sposób: wolnością czy śmiercią.

Na razie nie jest jasne, co właściwie stało się po naszej wizycie, wiadomo tylko, że następnego dnia, 6 sierpnia, zaczęto wywozić większość więźniów, by nie zobaczyli ich inni dziennikarze i przedstawiciele Czerwonego Krzyża podążający naszym śladem. (Przegapiłem ten etap, bo za namową doktora Karadžicia postanowiłem odwiedzić obozy dla Serbów po drugiej stronie granicy, by zweryfikować jego oskarżenia).

Edin trafił 6 sierpnia do Manjačy, a potem do Trnopolja, kilkaset metrów od swojego domu.

– To była mała społeczność, w której wszyscy się znali, a teraz zostali tylko czetnicy w swoich domach i my w obozie. Pierwszą osobą, którą tam spotkałem, był mój serbski sąsiad, teraz jeden ze strażników. Więźniowie w obozie otoczyli nas ciasnym kołem, kiedy zobaczyli, w jakim jesteśmy stanie: ważyłem trzydzieści siedem kilo. Wszyscy nas znali i wszyscy płakali. Strażnik wystrzelił w powietrze piętnaście razy, żeby nas uciszyć. To był Serb, którego podczas Bajramu częstowałem chałwą. Teraz patrzył na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Inny strażnik, mój sąsiad, rozpoznał mnie, ale nie mógł spojrzeć mi w oczy. W końcu spytał: „Kurwa, co ci się stało?”. A ja odpowiedziałem: „Wiesz, co się stało”. Poczęstował mnie papierosem (nie miałem papierosa w ustach od paru miesięcy) i powiedział: „Ciesz się, że przeżyłeś. Ja zabiłem tylu ludzi, że mam ręce unurzane po łokcie we krwi”. Pomyślałem o wszystkich tych, którzy zginęli w Omarskiej, bo prosili o papierosa, i odpowiedziałem, że

wolę zostać po swojej stronie, niż przejść na jego. Wtedy on się odwrócił i krzyknął do tłumu: „Pieprzyć was wszystkich! Wypierdalajcie stąd!”. W Trnopolju w końcu się załamałem. Jeden z moich serbskich sąsiadów spytał, czy chcę zobaczyć swój dom, ale ja nie byłem w stanie. Nie wiedziałem, gdzie jest moja żona, gdzie są moje dzieci. Powiedziano mi, że wsadzono ich do pociągu jadącego na terytorium rządowe, ale nie miałem pojęcia, czy mogę w to wierzyć. Załamałem się.

Kraje europejskie i arabskie oraz Stany Zjednoczone zaoferowały azyl wybranym więźniom obozów i deportowanym: Niemcy przyjęły czterdzieści tysięcy osób, Szwecja dwadzieścia tysięcy, a Wielka Brytania skromne tysiąc sto, poczynając od tych sześćdziesięciu ośmiu, wśród których znalazł się Edin. Zabrano ich na lotnisko do Banja Luki i wsadzono do rosyjskiego samolotu, bo tylko maszyny z tego kraju bośniaccy Serbowie zgodzili się wpuścić na swoje terytorium.

– Człowieku, to było przedziwne – wspominał Edin. – Siedzieliśmy tam jak zombie, żywe kościotrupy, a te cyncate rosyjskie stewardesy chodziły między siedzeniami z jedzeniem na tackach! Po raz pierwszy od czterech miesięcy widziałem wtedy kromkę chleba. Nie pamiętam, co działo się na lotnisku, ale pamiętam, jak nieśli mnie na noszach i wsadzili do karetki. Nie przypominam sobie też przyjazdu do szpitala. Pamiętam tylko, jak spojrzałem na sufit i pomyślałem, że nie żyję. Oczywiście nie dlatego, że zasługuję na niebo; po prostu uznałem, że to nie może być prawda. Jakaś pielęgniarka spytała mnie, czego chcę. Odpowiedziałem: „Wziąć prysznic. I chcę też, żeby powiedziała mi pani, że żyję, i co się stało z moją rodziną”. Wytarłem się suchym, czystym ręcznikiem i pozbyłem się warstwy brudu, którą obrastałem od maja, ale nie miałem powodu, by wierzyć, że moja rodzina przeżyła.

Kadira i jej dwie córki zostały zagnane do piekła Trnopolja, a potem wywiezione pociągiem do miejscowości Gradačac na terenie kontrolowanym przez rząd. Z położonego na północy Gradačaca przeniesiono je na dalekie południe, do Hercegowiny; tam, w mieście Čapljina, jej ojciec miał wylew. Rodzina, która jak inni uchodźcy zmierzała na wybrzeże, by przedostać się do Chorwacji, musiała go zostawić. Po kolejnych dwóch wylewach mężczyzna zmarł. W końcu dotarli do Zagrzebia i znaleźli schronienie w mieszkaniu należącym do ciotki Edina.

– W szpitalu był ksiądz, fantastyczny facet – wspominał Edin. – Powiedziałem mu: „Mam ten numer telefonu”. Zadzwoił i podał mi słuchawkę. Odebrała jakaś kobieta. Powiedziałem: „Mówi Edin”, a ona krzyknęła, rozplakała się i spytała: „Gdzie jesteś?”. Odpowiedziałem, że w Anglii, a kobieta odparła, że oglądali telewizję, widzieli, jak przywożą tam pierwszych więźniów z obozów, i mieli nadzieję, że jestem wśród nich. Powiedziała mi, że moja rodzina żyje i jest bezpieczna. Musiałem płakać przez kilka godzin, bo pamiętam, że ksiądz płakał ze mną.

Ksiądz prowadził grupę wiernych, która wzięła rodzinę Karariciów pod swoje skrzydła.

– Dzięki nim zobaczyłem, że są jeszcze istoty ludzkie na świecie. Mali ludzie, którzy robią wielkie rzeczy i nie domagają się za to uznania ani pieniędzy.

Kararić i osiemnastu innych byłych więźniów wyszli w końcu ze szpitala w Watford i przenieśli się do opuszczonych kwater pielęgniarek byłego zakładu dla obłąkanych. Tam wszyscy czekali na mieszkania. I to właśnie tam zostali otoczeni opieką przez „cudowne panie z kościoła, które zapraszały nas do swoich domów na herbatę i nie przeszkadzało im wcale, że ciągle palimy”.

Była wśród nich pewna Holenderka o imieniu Peta, wdowa mieszkająca na farmie, która szczególnie dbała o Karariciów, a po pewnym czasie zaczęła ich traktować jak rodzinę – podobnie jak oni ją.

– Jej mąż spędził cztery lata w obozie koncentracyjnym na Krecie – powiedział mi Edin. – Rozumiała

nas.

Gdy spytano go, gdzie chciałby mieszkać, Edin odpowiedział:

– Nie miałem pojęcia, ale mam troje dzieci, więc chciałem być blisko szkoły i pewnie dlatego trafiłem do tej nory. Ale to nie ma znaczenia, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Musiałem codziennie choćby przez piętnaście minut porozmawiać ze swoją żoną, a Peta dała mi telefon. Wypalałem dwie paczki papierosów dziennie, potrzebowałem na to trzydziestu pięciu funtów tygodniowo; tu także mogłem liczyć na jej pomoc. Była też pierwszą osobą, która zaprosiła mnie do swojego domu, co znaczy więcej, niż da się opowiedzieć. Kiedy przyjechały tu nasze rodziny, nie dostaliśmy żadnej pomocy od miasta ani od żadnego urzędu, ale Peta i panie z kościoła zrobiły więcej, niż mogliśmy się spodziewać. Pierwsze Boże Narodzenie spędziliśmy w jej domu – my, muzułmańscy uchodźcy!

Podczas moich podróży do Watford latem 1993 roku odwiedzaliśmy z Edinem innych Bośniaków w okolicy. Krążyliśmy po biednych podmiejskich osiedlach, gdzie za ścianami i zasłonami kryły się niewyobrażalne wspomnienia. W jednym z domów wokół stołu siedziała grupa mężczyzn, którzy pili herbatę i palili papierosy. Był wśród nich młodzieniec o wystającym podbródku i rozbieganych oczach, wciąż chudy i wystraszony. Nazywał się Nedžad Jakupović. Powiedział mi:

– Nie spotkaliśmy się, ale widziałeś moje zdjęcia.

Był to ten sam człowiek, którego pokryty czarnymi i niebieskimi sińcami tułów znalazł się na filmie przekazanym nam ukradkiem przez Azrę Blažević w Trnopolju. Jakupović przeszedł od razu do rzeczy: pobicie w Trnopolju, którego ślady utrwalono na zdjęciu Azry, to zaledwie początek długiej historii. W szpitalu w Prijedorze do jego łóżka podszedł pewien Serb i próbował go zamordować, powstrzymała go dopiero żandarmeria wojskowa. Nazywał się Goran B. i poprzysiągł, że któregoś dnia dopadnie Nedžada, podobnie jak wszystkich innych Muzułmanów ze swojej listy. Okazało się, że spośród ludzi na liście tylko Nedžadowi udało się przeżyć.

Po pobycie w szpitalu został przeniesiony do Omarskiej, gdzie po raz kolejny ocalał z piekła: był jednym z bardzo nielicznych znanych mi więźniów, którzy wrócili żywi z osławionego Białego Domu. Biały Dom był małym, piętrowym budynkiem, oddalonym od głównego kompleksu i ukrytym między kantyną a głównym hangarem. Władze i strażnicy obozu wykorzystywali to miejsce niemal wyłącznie do torturowania i mordowania więźniów. W czasie gdy przebywał tam Nedžad, przez budynek przeszło około stu pięćdziesięciu osób, z czego większość została pobita i zastrzelona na jego oczach.

Nedžad mówił o tym wszystkim bardzo ostrożnie, a ja słuchałem go z trwogą: najwyraźniej nie był jeszcze gotów opisać swoich przeżyć ze szczegółami. Odwiedziłem go ponownie nieco później tego samego roku, a wtedy zwierzył mi się, że przeniesiono go również do „innego rodzaju obozu, obozu domowego”, o którym nie śmiał mówić, wspominał jedynie, że był to „obóz rodzinny, z którego trudniej uciec niż z Omarskiej”. Powiedział, że marzy o wyjeździe do Ameryki, a następnego roku dowiedziałem się, iż dopiął swego i zamieszkał w Kansas City.

Wróciłem do Chorleywood w 1996 roku, gdy Edin po raz drugi przyjechał do Anglii. Od momentu, gdy widzieliśmy się ostatnio, z niepokojem śledziłem przebieg wojny w Bośni.

– Przez dwa lata moje życie sprowadzało się do oglądania CNN, zbierania wiadomości przez telefon i beczynnego przyglądania się agonii mojego kraju. Siedziałem w domu i wściekałem się. Pracownica opieki społecznej zabrała mnie i Kadirę do sklepu i powiedziała: „To jest wózek spacerowy, możecie wozić nim swoje dzieci”. Odpowiedziałem: „Wiem, mamy je też u siebie. Wiem też, co to jest rower,

miałem telewizor i mercedesa. Byłem perkusistą w zespole rockowym i miałem ten album Deep Purple z dwudziestominutową solówką na perkusji Iana Paice'a”.

W miarę jak Edin wracał do zdrowia, narastała też jego wściekłość; zaczął działać jako łącznik między Wielką Brytanią a 17. Krajińską Brygadą. Zajmował się zbieraniem pieniędzy na broń i amunicję oraz przekazywaniem ich do kraju. Ale w 1994 roku z Bośni zaczęły napływać inne prośby.

– Dostałem od Alagicia list, w którym pisał, że nie potrzebuje pieniędzy, tylko żołnierzy.

Poproszono więc Edina, by „wypisał na kartce A4 nazwiska ludzi gotowych wrócić do kraju i walczyć”.

– Jakaś kobieta powiedziała mi wtedy: „Czyli wysyłasz innych, a sam nie jedziesz?”. Miała rację. Więc kazałem jej wpisać mnie na pierwszym miejscu.

Edin został przydzielony do 5. Korpusu bośniackiej armii z siedzibą w Bihaciu, którego zadaniem było natarcie na Prijedor i rodzinne miasto Edina, Trnopolje. Wyglądał jak wilk gotowy do ataku, gdy opowiadał o wydarzeniach 1995 roku.

– Byłem w miejscowości o nazwie Sasina. Droga była wolna, a nasz generał Atif Dudaković oznajmił: „Oto jest dzień, w którym wyzwolimy Prijedor”. Najpierw musieliśmy przerwać łączność między Prijedorem i Banja Luką, a generał powiedział: „Zrobimy to w Omarskiej. Do dzieła, więźniowie z Omarskiej!”. Kiedy to usłyszałem, moje serce zrobiło się nagle ciężkie jak kamień. Niespodziewanie tego samego dnia wojna się skończyła. Byłem w lesie ze swoim szwagrem i myślałem: co mam teraz zrobić? Nie pozwolą nam wyzwolić naszych domów, jesteśmy uchodźcami we własnym kraju. Wtedy przyszło mi do głowy, że nie powinienem być w ogóle zostawiać rodziny. Ale musiałem wrócić i walczyć. Należę do ludzi, którzy muszą w coś wierzyć, być częścią czegoś większego, jakiegoś ruchu. Byłem hipisem, potem punkiem: do diabła, byłem drugą osobą w Prijedorze, która nosiła irokeza!

Kiedy następnym razem wybrałem się do niego w odwiedziny, Edin był ubrany w strój ochronny kierowcy cysterny. Rok wcześniej zdał odpowiednie egzaminy i zdobył potrzebne zezwolenia, a inny bośniacki uchodźca, który pracował w firmie przewozowej obsługującej cysterny Shella, polecił go swoim przełożonym. Edin opowiedział mi o swojej rozmowie o pracę:

– Ten koleś chciał filozofować o przewozie niebezpiecznych materiałów, a ja powiedziałem: „Możemy na tym poprzestać? To oczywiste, że mi pan nie ufa. Nie po to starałem się o tę pracę, żeby dyskutować o jeżdżeniu ciężarówką, zgłosiłem się do was, żeby jeździć pieprzoną ciężarówką, więc czy macie tu samochód, żebym mógł wam pokazać, jak prowadzę?”. Facet był zdumiony. Wyszliśmy na zewnątrz, a ja za pierwszym razem przejechałem coś, co oni nazywają „magicznym rondem”. Gość powiedział: „Dobrze, dobrze, proszę się zatrzymać”, a ja na to: „Nie, proszę pana, najpierw zobaczy pan idealne parkowanie tyłem”. „Do zobaczenia w poniedziałek”, powiedział w końcu.

Od tej pory relacje Edina z Wielką Brytanią stały się skomplikowane.

– Mam kłopoty: dzieciaki rysują mi samochód kluczami i monetami. Dla nich jestem tylko „tym uchodźcą”. Wezwałem tu policjanta, był pełen zrozumienia, dopóki mu nie powiedziałem, żeby ich nie arestował, tylko dał mi znać, kiedy ich znajdzie, a ja już osobiście przerobię ich na nawóz do mojego ogródka... Rzecz w tym, że to nie jestem ja. – Edin wskazał na mały ogródek za domem, o który jednak bardzo się troszczył, i na puszkę budweisera. – Jestem Bośniakiem, a gdy ludzie mnie pytają, kiedy tu przyjechałem, odpowiadam, że nie przyjechałem tu ukryty pod ciężarówką, żeby szukać zarobku. Przywieziono mnie z pierdolonego obozu koncentracyjnego. Nie muszę być lepszym człowiekiem tylko

dlatego, że żyję w waszym kraju. Ale zapamiętajcie jedno: gotów jestem umrzeć za przyjaciela, a kiedy przyjechałem do Wielkiej Brytanii w tych okropnych okolicznościach, znalazłem tu przyjaciół, którzy mi pomogli i za których mógłbym oddać życie, a to znaczy, że jestem szczęściarzem.

Pociąg wyjeżdża ze zgrzytem z dworca Oxford Road w Manchesterze, mija pseudoindustrialne pomosty nad kanałem. Kiedyś rzeczywiście istniał tu przemysł – warsztat świata, który odszedł w niebyt. Za Chorley i opuszczonymi budynkami z czerwonej cegły, w których niegdyś mieściły się przedsiębiorstwa bawełny, za wypożyczalnią narzędzi HSS i centrum handlowym, które niczym nie różni się od innych centrów, wjeżdżamy do Bolton, gdzie pod ołowianym niebem angielskiego czerwca czeka na mnie Sefer Haškić.

Sefer i Edin Kararić są bliskimi przyjaciółmi, choć różnią się jak dzień i noc. Sefer to przystojny mężczyzna o młodzieńczej urodzie, pełen życia i zdumiewającej nieraz pogody ducha, która nigdy go nie opuszcza i nie słabnie. Urodzony w Kozaracu, pracował w miejscowej fabryce butów, ale jego pasją była muzyka. Śpiewał i grał na gitarze w zespole o nazwie Prijatelji (Przyjaciele), który w październiku 1991 wywalczył sobie stały angaż w klubie Babilon przy głównej drodze wjazdowej do Prijedoru. Ale Sefer wyjechał do Szwajcarii ze swoją żoną Mirelą i małą córeczką Melisą, miał się każdej pracy, którą znalazł, a gdy mógł, grał na gitarze. Jednak na początku marca 1992 roku, jak mówi:

– Wiedziałem, że w kraju zanoszą się na wojnę, i czułem, że muszę wziąć udział w tym, co spotka nasze rodziny w Kozaracu.

Sześć tygodni przed atakiem na miasto, w połowie marca, Sefer pojechał do domu.

– Gdyby nie to, wszystko by mnie ominęło – mówi. – Nigdy nie byłbym w Omarskiej i nigdy nie trafilibyśmy tutaj, do Anglii. – Potem dodaje: – Oczywiście nie miałem pojęcia, w jaki to się zamieni koszmar, ale cieszę się, że wróciłem. Nie mógłbym przegapić tego, przez co przeszli wszyscy inni.

Mirela mówi o ich przyjeździe do Bolton w październiku 1992 roku:

– Byłam jak dzikie zwierzę opiekujące się młodymi. – Obejmuje powietrze przed sobą, przyciąga je do siebie. – Kiedy po tym wszystkim w końcu znaleźliśmy się tutaj, czułam się tak, jakbym chroniła swoje dziecko przed całym światem.

Jej pierwsza córka, Melisa, miała wtedy trzy lata, a druga, Lejla, miała się wkrótce urodzić. Kiedy Sefer był w Omarskiej, Mirela została deportowana do Chorwacji. Zanim wpuszczono ją do Anglii, mieszkała ze swoimi rodzicami, siostrą Aidą i dwudziestoma innymi ludźmi w jednym domu. Rodzina Aliciów osiadła w Bolton, a Sefer dołączył do nich w lutym 1993 roku. Wraz ze stu siedemdziesięcioma trzema więźniami był przetrzymywany w Omarskiej do połowy sierpnia, podczas gdy większość zatrzymanych wywieziono stamtąd 6 sierpnia. Sefer również uciekł do Chorwacji jako uchodźca i tam czekał, aż Wielka Brytania przygotowuje dlań dokumenty.

Miał doświadczenia podobne do Edina:

– Pracownicy opieki społecznej próbowali nam pokazywać, jak się otwiera lodówkę i temu podobne rzeczy.

Ale Sefer był jak wyścigowy chart, którego wypuszczono z bramki startowej, pragnął jak najszybciej ułożyć sobie życie w Anglii.

– Musieliśmy działać szybko i z rozwagą – mówi. – Po pierwsze, zapisaliśmy się na angielski do Bolton College. Melisa miała wtedy trzy lata i gdy poszła do szkoły, szybko nauczyła się języka. Po drugie, poszedłem do sklepu i kupiłem rower.

Sefer nie zamierzał utrzymywać swojej rodziny, grając bośniacką muzykę. Przez jakiś czas próbował pracować z Edinem i jeździł ciężarówką do Niemiec.

– Ale to nie miało sensu, bo musiałem wyjeżdżać z Watford, które jest na południu. Miałem trzydniową przerwę, ale zanim przejechałem dodatkowe trzysta kilometrów do Bolton, musiałem już za chwilę jechać z powrotem.

Chcąc wykupić dom przydzielony mu przez miasto, Sefer potrzebował innego planu.

– Nigdy w życiu nie wbiłem gwoźdźcia w deskę, ale uświadomiłem sobie, że jeśli używasz mózgu i rąk jednocześnie, jesteś w stanie zrobić większość rzeczy – opowiada. – Dlatego gdy ukończyłem już kurs angielskiego, zapisałem się na kurs stolarstwa. Poszliśmy tam we dwóch i szybko sobie z tym poradziliśmy. Język nie stanowił problemu, bo większość Anglików też nie umiała dobrze czytać i pisać po angielsku.

Od tej pory Sefer pracuje w drewnie, naprawiając futryny i szafki w Bolton, a także oczywiście we własnym domu i ogrodzie.

Początkowo rodziną opiekowała się muzułmańska organizacja charytatywna.

– Byli bardzo ortodoksyjni – opowiada Sefer. – Kiedy tu przyjechałem, próbowali kontrolować Mirelę i jej rodziców, naciskali na nich, by zrezygnowali z picia alkoholu i chodzili do meczetu. Pierwsze słowa, jakie wypowiedział do mnie mój teść, brzmiały: „Do jasnej cholery, Sefer, odkąd tu przyjechałem, nie piłem koniaku!”. Poszedłem do sklepu, kupiłem butelkę i rozstawiłem na stole meze, przystawki. Jeden z tych idiotów przyszedł do nas i powiedział, że to może być problem. Odpowiedziałem: „Usiądź i napij się z nami albo spadaj!”. Poszedł i nigdy nie wrócił, więc lubię sobie myśleć, że pomogłem wszystkim zadomowić się tutaj po muzułmańsku, ale na bośniacki sposób. Próbowali nas zmusić, żebyśmy chodzili do meczetu w specjalnych ubraniach. Spytałem ich dlaczego. Tłumaczyli, że to tradycja, a ja powiedziałem: „A moja tradycja jest taka, że chodzę do meczetu w T-shircie”. Pod koniec wojny czułem się tu już jak u siebie – mówi Sefer. – Lubię Bolton – dodaje z typową dla siebie radosną beztróską. – Bywałem w Watford i wydaje mi się, że północ jest znacznie życzliwsza. Oczywiście zawsze znajdą się jacyś idioci, ale wolę Bolton od Londynu, choć oczywiście nie od Bośni. – Potem dorzuca prawdziwą petardę: – I bardzo lubię tutejszą pogodę.

*

Pociąg wyjeżdżający powoli z londyńskiego dworca St Pancras jest wyjątkowo zatłoczony, bo dwa poprzednie połączenia zostały z nieznanых przyczyn odwołane. Mijamy Luton i zatrzymujemy się w Legrave; wysiadam w momencie, gdy na parking wjeżdża właśnie Enver Dautović.

Enver i Kelima Dautović poznali się, gdy oboje pracowali na Istrii na jugosłowiańskim wybrzeżu. Enver – wytworny i czarujący – był tam kelnerem. Kelima miała problemy ze znalezieniem pracy w komunistycznej Jugosławii, bo jej dziadek został siłą wcielony do Wehrmachtu i zginął na rosyjskim froncie.

– Gdyby zginął, walcząc w partyzantce, wszystkie drzwi stałyby przede mną otworem.

Kelima chodziła codziennie do szkoły z wioski Kevljani do Omarskiej. Lecz choć oboje pochodzili z okolic Kozaraca, nie spotkali się tam. Na wybrzeżu wszystko potoczyło się naturalnym torem: wrócili do Kozaraca i dzięki hojnym napiwkom z Istrii zbudowali tam jeden z największych domów w okolicy, z pięcioma sypialniami i drzwiami rzeźbionymi w dębie, który podarowała im babcia Envera. Ich

pierwsza córka, Ena, urodziła się siedem lat przed wybuchem wojny.

– Kiedy Serbowie przyszli do naszego domu – opowiada Kelima – kazali nam zejść do piwnicy. Wtedy widziałam Envera po raz ostatni, zanim spotkaliśmy się ponownie w Luton.

Jakiś czas po zniknięciu Envera pewna kobieta powiedziała Kelimie, że widziała jego kurtkę w rowie, w którym leżały też zwłoki wielu ludzi.

– Mój mózg nie mógł się jednak pogodzić z myślą, że Enver zginął. Później dowiedziałam się, że kurtka spadła z niego, gdy go bili. Był w Omarskiej, gdzie chodziłam kiedyś do szkoły. Przygotowałam paczkę i dałam ją Mejakiciowi, samemu komendantowi obozu, który przekazał ją Enverowi.

Po czyszkach etnicznych w Kozaracu Kelima została uwięziona ze swoją córką w Trnopolju. Deportowana przez masyw Vlačić, trafiła do obozu dla uchodźców – jak na ironię – na Istrii. Potem otrzymała azyl w Anglii.

– Po połączeniu rodzin było nas około setki – wspomina. – Zatrzymaliśmy się w sali parafialnej przy Zoo Whipsnade, podczas gdy urzędnicy zastanawiali się, gdzie nas umieścić na dłużej. Ale ja pamiętam tylko, jak zielona wydawała mi się trawa po tym wszystkim, przez co przeszliśmy.

Prosto z sali parafialnej Kelima trafiła na szpitalny oddział położniczy i wkrótce pokazano ją w telewizji jako matkę pierwszego dziecka byłych więźniów bośniackich obozów, które urodziło się w Wielkiej Brytanii. Matka i dziecko – Victoria-Amina Dautović – spędziły w szpitalu dziewięć dni z tego prostego powodu, że „nie miałyśmy dokąd pójść”.

Podobnie jak w przypadku rodziny Karariciów pojawił się anioł stróż w postaci „Słowenki z mężem Anglikiem”, która wzięła do siebie całą rodzinę i pożyczyła Kelimie pieniądze na wynajem domu dla niej i jej córek.

– Gdy w końcu dołączył do nas Enver – wspomina Kelima – Victoria miała cztery miesiące. Enver był całkowicie zagubiony. Należał do ludzi, którzy nie potrafią mówić o swoich obozowych przeżyciach.

Enver nadal o nich nie mówi. Jest człowiekiem pogodnym i uśmiechniętym, ale na wspomnienie o wojnie wyraźnie traci rezon. Widać, że bardzo chciałby znów być tym, kim był – jak to określa – „przed katastrofą”.

– Potem pojawiła się możliwość, żeby Enver wziął udział w wojnie. Wiem, że gdybym go powstrzymała, załamałby się psychicznie i nigdy nie byłby już sobą.

Enver wyjechał, by walczyć w szeregach Krajińskiej Brygady. Na odchodnym powiedział:

– Kiedy wyzwolimy Kozarac, przygotuj rzeczy, których będziemy potrzebowali w domu, bo od razu tam wrócimy.

Gdy tematem nie są już obozy, lecz działania wojenne, Enver nagle nabiera ochoty na rozmowę. Wrócił, by walczyć pod komendą Alagicia, ale podobnie jak Edin został powstrzymany.

– Powiedzieli, że jeśli będziemy walczyć dalej, zbombardują nas, ale jak mieliby to zrobić? Co by bombardowali? Wszyscy siedzieliśmy w lesie. Byłem w Manjačy, dokładnie w tym miejscu, w którym wcześniej znajdował się obóz, potrzebowałem jeszcze tylko kilku dni, żeby dotrzeć do domu, ale się nie udało. Inaczej prowadzilibyśmy tę rozmowę w Kozaracu, a nie w Luton.

W 1996 roku Enver również zdał odpowiednie egzaminy i zaczął jeździć ciężarówką, Kelima zaś pracowała jako tłumaczka, pomagała bośniackim imigrantom w kontaktach z policją, urzędami ruchu drogowego i służbą zdrowia, była również urzędniczką w radzie miejskiej Luton. Rok później mieli już dość pieniędzy, by kupić dom w Legrave.

Jednak Enver ma coś więcej do powiedzenia o 1995 roku.

– W tym wszystkim ważne jest jeszcze jedno – mówi. – Powtarzali nam, że jeśli się nie zatrzymamy, zrobimy im to samo, co oni zrobili nam. Ale coś ci powiem: w pewnym momencie mieliśmy trzy tysiące jeńców. Dowódcy powiedzieli: „Sprawdźcie, jeśli jest między nimi ktoś z waszej okolicy, możecie zrobić z nim, co chcecie”. Ale jaki miałoby to sens? Nie potrafiłbym zabić człowieka, który nie może się bronić.

Edin Kararić widział to inaczej:

– Prawdę mówiąc, gdybym wrócił do Omarskiej i Trnopolja, pozabijałbym ich bez wahania.

Kolejna londyńska godzina szczytu, kakofonia wygłaszanych przez megafony komunikatów o awariach i „planowych działaniach naprawczych”. Ściśnięty przez tłum, wychodzę z peronu na stacji Pimlico i odnajduję pub pełen pracowników biurowych w różowych koszulach, którzy korzystają z kończącej się już „happy hour”. Przy jednym ze stolików siedzi niepasujący zupełnie do tego miejsca mężczyzna z długimi włosami związanymi w kucyk. To Kemal Pervanić, autor jednej z zaledwie trzech książek napisanych do tej pory przez byłych więźniów Omarskiej, zatytułowanej *The Killing Days*.

Rozmowa z Kemalem o Bośni prędzej czy później schodzi na temat innych przykładów perfidnej polityki w Afryce lub na Bliskim Wschodzie. Było tak jeszcze, zanim ukończył studia magisterskie na Uniwersytecie Bradford, na Wydziale Wiedzy o Pokojowym Współistnieniu (choć już po tym, jak zrezygnował ze studiów magisterskich na Wydziale Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Newcastle, bo uznał je za „ograniczające”).

Kemal urodził się w rodzinie niezamożnych rolników, w tej samej wiosce, co Kelima – w Kevljanach, tuż obok Omarskiej. Mówi o tym miejscu z nieskrywaną pogardą:

– Czuję się tam jak w więzieniu, dusiłem się. Ciągle myślałem o tym, co jest po drugiej stronie gór, geograficznie i metaforycznie. Zawsze chciałem podróżować po świecie, zobaczyć go w szerszej perspektywie. – Kemal szukał pracy w Zagrzebiu i na wybrzeżu. – Ale jak wielu ludzi w moim wieku nie mogłem znaleźć żadnego zajęcia. Pomagałem przy pracach polowych w domu i w ramach higieny mentalnej ćwiczyłem na siłowni.

W *The Killing Days* Kemal opisuje miesiące spędzone w Omarskiej, o których mówi teraz:

– Najgorsze było to, że znałem wszystkich strażników i oprawców. Dlatego właśnie nie mogłem zaakceptować tego, co się ze mną dzieje. Gdyby przyszli do nas obcy ludzie i zamknęli nas w obozach, mogłoby to mieć jakiś sens, przynajmniej z ich punktu widzenia. Ale kiedy obdarzasz zaufaniem swoich szkolnych kolegów, kumpli z klasy i nauczycieli, a oni zwracają się przeciwko tobie i chcą cię zabić, wtedy cały twój świat rozpada się na kawałki.

Kemal dotarł do Wielkiej Brytanii przez Manjačę i Chorwację.

– Nie myślałem akurat o Anglii. Gdyby to ode mnie zależało, wybrałbym wyjazd do Ameryki, Kanady lub Australii – stwierdził.

Jednak po przyjeździe do Cambridge w lutym 1993 roku Kemal natychmiast rzucił się w wir nauki.

– Załamałem się po siedmiu miesiącach pobytu w Anglii, kiedy moja rodzina była dyskryminowana w Zagrzebiu, ale poddałem się terapii u rosyjskiego psychoanalityka i uświadomiłem sobie: gniew tak, ale nie uzalanie się nad sobą. Bezczynność wpędzała ludzi w depresję. Powiedziałem sobie, że nie mam czasu do stracenia, muszę coś zrobić.

Kemal uczył się angielskiego, studiował biznes na prywatnej uczelni w Cambridge, potem skończył

zarządzanie na Uniwersytecie Londyńskim, w Royal Holloway College w Surrey. Pracował jako kierownik działu księgowości w firmie transportowej w Folkestone, a także w organizacji prowadzonej przez bośniacką społeczność w Wielkiej Brytanii, w Pimlico, która pomagała uchodźcom z Bośni i Hercegowiny oraz innych obszarów byłej Jugosławii. Jego pasją był jednak wolontariat w Amnesty International, brytyjskim Centrum Holokaustu, Aegis Trust i Oxfam. W imieniu tych instytucji podróżował do Nowego Jorku i Pakistanu, lobbując na rzecz projektu „Responsibility to protect” (Obowiązek ochrony).

– Musiałem się przekonać, jak się odnajdę w takim kontekście – tłumaczy Kemal. – Dlatego nazywam siebie humanistą. Myślę, że prawdziwy humanista może być Bośniakiem, choć nie jestem pewien, czy prawdziwy Bośniak może być prawdziwym humanistą.

Jako swego rodzaju rzecznik Bośniaków w Wielkiej Brytanii Kemal został pewnego razu poproszony o zabranie głosu we Frontline Club w Londynie, gdzie doktryna „moralnej równoważności” i tego, co nazywam „zrównaniem”, została skonfrontowana z jednym spośród ocalonych. Jako pierwszy przemawiał korespondent BBC, który stwierdził, że opis pobytu w Omarskiej przedstawiony przez Kemala oraz ogólne uwagi dotyczące pogromu należy postrzegać w „szerszym kontekście wojny, w której obie strony dopuszczały się takich samych zbrodni”.

– Bzdura! – wybuchnął Kemal, przerywając zdumionemu mówcy w pół zdania. – Właśnie to słyszeliśmy przez całą wojnę i właśnie dlatego pozwalano jej trwać, dopóki omal nie zostaliśmy całkowicie wybici.

Inne spotkanie, jedno z wielu, zostało zorganizowane na początku nowego wieku przez bośniacką grupę wsparcia i odbywało się w Londynie, w budynku Uniwersytetu Westminsterskiego przy Regent Street. Brał w nim udział Paddy Ashdown, który od dnia odkrycia obozów zaangażował się w pracę w Bośni i został wysokim przedstawicielem społeczności międzynarodowej w tym kraju, oraz polityk Haris Silajdžić, który wkrótce miał zostać premierem Bośni. Jednak do sali wszedł jeszcze ważniejszy gość, którego od razu rozpoznałem. Był to Džemal Paratušić, jedyny więzień, który odważył się do nas odezwać w stołówce obozu Omarska 5 sierpnia 1992 roku. „Nie chcę mówić żadnych kłamstw, ale nie mogę powiedzieć prawdy”. Omal nie spadłem z krzesła.

Od tego momentu nie mogłem się doczekać końca spotkania. Gdy tylko umilkł ostatni mówca, uściskaliśmy się na schodach i rozmawialiśmy, dopóki ostatni dozorca nie zamknął ostatnich drzwi, wysyłając nas w noc. Odkąd tamtego dnia Džemal z miną skazańca wstał od stołu w kantine w Omarskiej, zastanawiałem się wielokrotnie z niepokojem, czy ta rozmowa uratowała go, czy może kosztowała go życie. I rzeczywiście, na początku naszego londyńskiego spotkania powiedział mi, że omal go wtedy nie zabili. Ale przeżył. Poznałem też rodzinę Džemala: jego żonę Rubiję, córkę Aldijanę i małego synka, urodzonego już w Borehamwood w Hertfordshire, Harisa zwanego Harrym. W domu było jeszcze niemowlę, chłopiec o imieniu Aldin. Rozmawiałem z Aldijaną, do której natychmiast poczułem sympatię. Przybyła do Anglii jako małe dziecko, ale teraz była już młodą kobietą, która z pasją i dojrzałością angażowała się w działalność tutejszej diaspory i pomagała oswajać wojenne dziedzictwo swoich rodaków.

Džemal niewiele się zmienił od tamtego czasu. Wtedy był chudy jak kościotrup i teraz też, wciąż miał głęboko osadzone oczy, a na twarzy malował się wyraz skupienia. Przyjazdowi rodziny do Wielkiej Brytanii towarzyszyło ogromne cierpienie: zarówno ojciec Džemala, jak i Rubii zginęli w ich rodzinnym

domu w Kozaracu, a ciało ojca Rubii nie zostało odnalezione. Choć matka Džemala uniknęła pogromu w Kozaracu, Džemal nie mógł sprowadzić jej do Anglii, bo prawo azylowe pozwalało jedynie na obecność małżonka i dzieci. Szwajcarzy mieli inne kryteria i ku wielkiemu zasmuceniu Džemala matka pojechała w końcu do jego brata, do Zurychu. Potem Džemal został pobity przez jakiegoś młodego mężczyznę, który nie chciał, by Wielka Brytania udzielała azylu imigrantom. Wezwano policję, ale ważniejszą lekcję napastnik odebrał prawdopodobnie od innych Bośniaków, którzy według Džemala ostrzegli jego rodziców:

– Widzieliśmy już dość zabijania, widzieliśmy dość krwi – nie chcemy oglądać tego więcej.

Przyjazd Džemala do szpitala w Watford, do którego trafił z tą samą grupą, co Edin Kararić, został uwieczniony na pewnym szokującym zdjęciu. Porównania z więźniami Oświęcimia często są nieuzasadnione, ale na tej fotografii, którą Džemal trzyma w swoim albumie, podobieństwo wydaje się naprawdę uderzające: ma wygoloną głowę, kości jego czaszki i ramion omal nie przebijają skóry, okrywa się białym prześcieradłem, wspierany przez sanitariusza.

Džemal zajmował się przemysłem stalowym i metalurgicznym, pracował dla firmy z siedzibą w Sisaku, obecnie na terenie Chorwacji. Jeździł po całej Jugosławii, ale na weekendy zawsze wracał do domu, do małego gospodarstwa rolnego, w którym hodował wraz z żoną konie, kury i psy.

– Właśnie to mi odebrali. Miałem dwadzieścia dwa lata, dom i ziemię, żadnych opłat czy kredytów, praktycznie żadnych zmartwień. Teraz płacę czynsz, nie stać mnie na kredyt mieszkaniowy i staram się zdobyć wszystko, co potrzebne dzieciom. Żyję teraz tylko dla nich.

W 1988 roku Džemal uległ wypadkowi i przez dwa miesiące leżał w szpitalu w Belgradzie. Potem jego firma wysłała go do szkoły w Prijedorze, gdzie miał przygotowywać się do pracy w zarządzie. W maju 1992 miał zakończyć dwuletnią naukę i przygotowywał się do egzaminów końcowych w październiku, „ale na tym się skończyło”.

Džemal sięga po list – część korespondencji z czasów obozowych – który otrzymał za pośrednictwem Czerwonego Krzyża po tym, jak znaleźliśmy Omarską, a więźniowie zostali oficjalnie zarejestrowani. Trzyma go w teczce wraz z rodzinnymi zdjęciami i kartkami ocalonymi z Omarskiej, zawierającymi między innymi przepisy, „żebyśmy nie zapomnieli całkiem o jedzeniu”. To list od Rubii, dostarczony do Manjačy, gdzie Džemal został przeniesiony z Omarskiej niedługo przed wyjazdem do Londynu we wrześniu 1992 roku. Wiadomość jest bardzo krótka: „Jestem w Chorwacji z Aldijaną i twoją mamą. Aldijana często cię woła”. Džemal odpisał (czyta głośno): „Dziękuję. Idź do firmy, mają pieniądze dla ciebie. Myślę, że wkrótce się zobaczymy”. 17 grudnia spotkali się w Anglii.

W szpitalu w Watford jeden z lekarzy poprosił, by z myślą o przybyszach z Bośni przygotować specjalne pomieszczenie dla palaczy.

– Mówili: to niemożliwe, przepisy na to nie pozwalają! Ale ten lekarz, nazywał się Nestrop, powiedział: „Jeśli nie pozwolimy im palić, w ogóle nie będzie sensu ich leczyć”. Niektórzy poczuli się lepiej, a po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że przyjeżdżają nasze rodziny. Co za szczęście! Nie mogliśmy w to uwierzyć. Lekarz powiedział: „Daj mi numer telefonu, a spróbuję się z nimi skontaktować”. Wtedy po raz pierwszy po tak długim czasie usłyszałem przez telefon głos swojej żony.

Kiedy Rubija i Aldijana przyjechały do Anglii, doktor Nestrop poradził im:

– Jeśli chcecie w tym kraju o coś walczyć, musicie robić to jako grupa, związek, nigdy w pojedynkę. Jeśli próbujecie coś osiągnąć indywidualnie, jesteście na straconej pozycji.

Džemal, tak jak Edin Kararić, został przeniesiony do opuszczonych kwater pielęgniarek przy byłym zakładzie dla obłąkanych. Budynki otaczało ogrodzenie z drutu kolczastego. Doktor Nestrop protestował.

– Powiedział, że nie możemy tam mieszkać, bo to wygląda jak obóz! – wspomina Džemal. – I miał rację, ale angielskie władze upierały się przy swoim.

Następnym przystankiem była kawalerka w Cheviot Court w Borehamwood, potem mieszkanie, a w końcu dom, który teraz wynajmują.

– Pierwsze pięć lat było bardzo, bardzo trudne – wspomina Rubija.

– Przydzielają ci pracownika opieki społecznej – opowiada Džemal. – Nasza opiekunka mówiła tylko o zasiłkach. Powiedziałem jej, że muszę pracować. Była zdumiona: „Musisz pracować? Przecież nie jesteś w stanie”. Spytałem więc, czy w takim razie mógłbym rozpocząć naukę. Odpowiedziała, że nie, bo stracę zasiłek. Bez pracy, bez szkoły, myślałem, że zwariuję w tym kraju. Potem mój kuzyn w St Albans zaproponował, żebym przyjechał do tamtejszej szkoły, a jego nauczyciel powiedział: „Dobrze, kurs obejmuje trzydzieści siedem godzin tygodniowo. Jeśli będziesz uczestniczył w trzydziestu dwóch godzinach, nie zostanie to uznane za naukę w zwykłym trybie i nie stracisz zasiłku”. Uczyłem się więc angielskiego, ale wciąż miałem dość zasiłków. Złożyłem podanie o pracę do Tesco, bez powodzenia, potem do AA, też bez rezultatu. W końcu samorząd Hertfordshire potrzebował kierowcy-opiekuna do pracy z niepełnosprawnymi i w lutym 2001 roku zostałem zatrudniony na dwadzieścia godzin tygodniowo. A gdy Hiszpanka, która we mnie wierzyła, została kierownikiem, zacząłem w końcu pracować na pełny etat.

Mniej więcej trzy lata później w ośrodku opieki dziennej hrabstwa Hertfordshire odbywała się impreza upamiętniająca piętnastą rocznicę wybuchu wojny w Bośni. Poszedłem tam z Kemalem Pervanicem i dowiedziałem się, że Džemal został zastępcą kierownika. Dyskutowano na różne tematy, podejmowano gości z Prijedoru, ale najbardziej zapadły mi w pamięć przemówienia wygłaszane przez pracowników i kierownictwo ośrodka. Mówili o wkładzie Bośniaków w ogóle – a Džemala w szczególności – w rozwój ośrodka i okolicy.

– Za ich zdrowie! – zawołał jowialny brodac z silnym wschodniolondyńskim akcentem, podnosząc kieliszek. – I za wodę ognistą, którą ze sobą przywieźli!

Opróżnił kieliszek mocnej rakii jednym haustem, wypuścił głośno powietrze, a potem łapczywie złapał oddech.

Ludobójstwo: Kadra kierownicza średniego szczebla

Nazajutrz po tym, jak poinformowaliśmy świat o istnieniu obozów, Belgrad nie był dla nas gościnnym miejscem. Nikola Koljević, wiceprezydent Republiki Serbskiej i człowiek, któremu dwa dni wcześniej udało się nas dowieźć niemal pod same bramy obozów, zaprosił mnie jednak na herbatę i ciastka do eleganckiego hotelu Hyatt. Dowcipny profesor gratulował mi naszego odkrycia słowami godnymi jego ulubionej postaci, Jagona.

– Więc znaleźliście je! – mówił, szeroko otwierając oczy. – Gratuluję, młody człowieku. – Potem dodał, popijając herbatę: – Ale trochę wam to zajęło, prawda? Trzy długie miesiące, w tym czasie tyle się zdarzyło, a przecież Omarska jest trzy kroki od Wenecji! Ale was, dziennikarzy, interesowało tylko biedne, egzotyczne, wielokulturowe Sarajewo ze swoim uniwersytetem i ładnymi dziewczynami! W Trnopolju nie było żadnej uczelni, a w Prijedorze olimpiady zimowej!

Profesor miał rację. Jak to się mogło stać, że jego niezorganizowane oddziały szturmowe, „Keystone Gestapo”^[9], jak zwykliśmy je nazywać, prowadziły te obozy przez trzy miesiące i nikt z zewnątrz się nie zorientował? Cóż, w rzeczywistości prawda wyglądała inaczej.

Byli więźniowie obozów często dziękują Penny Marshall i mnie za uratowanie im życia. Nie jestem w stanie ocenić, czy rzeczywiście było to naszą zasługą, a poza tym to zbyt niezwykła myśl, by w ogóle objąć ją rozumem. Penny i ja wiemy tylko tyle, że spóźniliśmy się o trzy miesiące. Te zbrodnie nie zostały, jak uprzejmie twierdzą ocaleni i historia, „odkryte” przez Penny Marshall, Iana Williamsa, Eda Vulliamy’ego, ITN czy „The Guardian”. Były rzeczą powszechnie znaną w ośrodkach władzy, wśród ludzi, którzy nie zamierzali zdradzać serbskich sekretów.

W 1996 roku postanowiłem dowieść, że wielu ludzi na Zachodzie dobrze wiedziało o „ukrytej” hańbie obozu Omarska. Nikt w Wielkiej Brytanii nie chciał ze mną o tym rozmawiać – na korytarzach budynków rządowych przy Whitehall panowała zmowa milczenia. Jednak w Ameryce znalazło się dość ludzi, których dręczyły wyrzuty sumienia i którzy gotowi byli powiedzieć mi coś na ten temat.

Były amerykański dyplomata, Paul Nietzke, którego odwiedziłem na przedmieściach Waszyngtonu na początku 1996 roku, próbował przemycić informacje o obozach cztery lata wcześniej.

– Wiedzieliśmy, że Serbowie gromadzą więźniów w jednym miejscu. Zastanawiam się, kiedy powinniśmy byli zrozumieć, że to kampania w nazistowskim stylu, choć na mniejszą skalę? – pytał retorycznie.

Mówił również, że informacje o obozach pojawiły się już w maju 1992 roku, a przedstawił je Muhamed Sacirbey, ambasador rządu bośniackiego przy ONZ. Sacirbey powiadomił o obozach sekretarza generalnego ONZ Butrusa Butrusa Ghalego 15 maja, ale „nie został potraktowany poważnie” (Sacirbey sam przyznał, że nie miał pojęcia, jak tragicznie wygląda sytuacja w obozach, i być może nie był tak stanowczy, jak powinien).

Organizacje, które pracowały najbliżej obozów i wiedziały o nich najwięcej, to Wysoka Komisja ONZ do spraw Uchodźców (UNHCR) i Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża. Jednak jak mówił

Nietzke:

– Organizacje humanitarne uważały, że najważniejsze jest, by mogły kontynuować swoje działania, dlatego też nie podnosiły alarmu. Pod koniec maja w Departamencie Stanu zaczęliśmy już dostrzegać różnicę między ośrodkami zbiorczymi dla cywilów i obozami. Ale agencje pomocowe wciąż nie chciały donosić na Serbów. Bały się, że jeśli podniosą alarm, ich misja zostanie przerwana, a niedoinformowani, żądni czynu wojskowi zmuszą ich do odwrotu, a być może nawet doprowadzą do ich śmierci.

José María Mendiluce, szef UNHCR dla terenu Bośni, przyznał w rozmowie ze mną w 1996 roku:

– Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o obozach [...], gdy pod koniec maja ludzie uciekali do Chorwacji i mówili o ośrodkach dla zatrzymanych. Nie znaleźliśmy położenia tych obozów ani skali [zbrodni]. Skierowałem świadków do MKCK, bo to właśnie Czerwony Krzyż zajmuje się takimi sprawami.

Na początku czerwca do chorwackiego miasta Karlovac napłynęła fala muzułmańskich uchodźców. Mendiluce pomagał zbierać zeznania i wysyłał raporty do siedziby UNHCR w Genewie.

– Przesyłaliśmy poufne informacje, że uchodźcy mówią o obozach koncentracyjnych – opowiadał.

W połowie czerwca rząd Bośni przedstawił listę stu sześćdziesięciu jeden obozów koncentracyjnych. Lista trafiła do Butrusa Ghalego i do amerykańskiego Departamentu Stanu.

– Wszyscy nazywali to propagandą – zdradził mi jeden z urzędników. Powiedział również, że reakcja ONZ wyglądała następująco: – To od Bośniaków, więc na pewno przesadzają.

W przypadku niektórych miejsc wymienionych na liście rzeczywiście można to było nazwać przesadą, ale nie w odniesieniu do Omarskiej, Trnopolja czy Keratermu.

W 1996 roku Mendiluce powiedział:

– Pamiętam trzy spotkania z MKCK w Zagrzebiu, podczas których dyskutowano głównie o tych obozach. To było na początku czerwca. Przedstawiciele Czerwonego Krzyża mówili, że próbowali się do nich dostać. Wyraźnie dawali mi do zrozumienia, żebym się nie wtrącał, bo to zakres ich odpowiedzialności.

Pewien amerykański dyplomata, z którym miałem okazję rozmawiać, wspominał inne spotkanie z wysokimi rangą pracownikami Czerwonego Krzyża w Zagrzebiu.

– Przyjęli szokującą defensywną postawę – mówił dyplomata. – Nie chcieli obciążać nikogo odpowiedzialnością ani winą za te obozy.

Przedstawiciel Czerwonego Krzyża, którego o to spytałem, bronił polityki publicznego milczenia:

– W Banja Luce musieliśmy zdecydować: czy chcemy nadal pracować z więźniami w obozach, czy przyjmujemy postawę, która będzie oznaczała koniec naszej obecności w tamtych miejscach.

Żeby móc w ogóle utrzymywać kontakt z więźniami, MKCK gotów był zachować milczenie, „przynajmniej oficjalnie”, jak dodaje przedstawiciel organizacji.

Ale co z wywiadem i dyplomacją? Co oni o tym wiedzieli? Zachodnie rządy wycofały swoich przedstawicieli z Bośni w 1992 roku, a ze względów protokolarnych nieliczni dyplomaci pozostali w Chorwacji musieli składać raporty przez Belgrad. Jak to ujął w 1996 roku Victor Jackovich, pierwszy amerykański ambasador w Słowenii:

– Misje w Zagrzebiu były małe, podczas gdy wciąż nadmiernie rozrośnięte ambasady w Belgradzie nie chciały ryzykować i wysyłać swoich ludzi do Bośni. Rządy, które przez czterdzieści lat utrzymywały kontakty na terenie całego kraju, nagle mówiły z Belgradu: „Nie wiemy, co się tam dzieje”.

I w większości wypadków wołały zamknąć oczy albo przemilczać prawdę.

Informacje przekazywane przez brytyjskich dyplomatów i przedstawicieli wywiadu w Belgradzie i Zagrzebiu miały przede wszystkim umniejszać wagę bośniackich oskarżeń. Podczas jedynej próby dyskusji na ten temat, do jakiej udało mi się doprowadzić w Zagrzebiu, brytyjski dyplomata mówił o zbrodniach, które zdaniem Brytyjczyków Bośniacy dokonywali na własnym narodzie, by sprowokować interwencję – co okazało się perfidnym i oburzającym kłamstwem – pomniejszając zarazem okropieństwa obozów. Mój kolega po fachu, Alec Russell z „The Daily Telegraph”, donosił na początku konfliktu, że podczas spotkania w ambasadzie w Belgradzie „przez dwie godziny opowiadano o podłościach popełnianych przez Chorwatów i Muzułmanów”. Brendan Simms cytuje ambasadora Wielkiej Brytanii w Belgradzie, Ivora Robertsa, który rzekomo napisał memorandum o „serbskim poczuciu historycznej niesprawiedliwości”.

Informacje napływały jednak z amerykańskiej ambasady w Belgradzie dzięki gorliwości młodego dyplomaty, Henry’ego Kelleya, który studiował wcześniej w Banja Luce i miał okazję rozmawiać z mieszkańcami miasta w czasie wojny, gdy linie telefoniczne zwykle nie działały. Kelley, który w 1996 roku nadal pracował w Departamencie Stanu w Waszyngtonie, nie wspominał o depezach, które wysyłał kilka lat wcześniej – i nie mówi o nich nadal. W roku 2011 wciąż jest czynnym dyplomata i nie może udzielać wywiadów. Dowiedziałem się jednak, co pisał, od ludzi, którzy odbierali jego telegramy w Waszyngtonie:

– Informacje od niego napływały do nas niemal codziennie – powiedział dyplomata Marshall Harris, który później na znak protestu ustąpił ze stanowiska, oburzony bezczynnością władz w sprawie Bośni. – Wydawało się oczywiste, że widzimy tylko czubek góry lodowej i że mnóstwo ludzi, którzy wchodzą na tę górę, nigdy z niej nie zejdzie. Znikali bez śladu, głównie mężczyźni. Stopniowo docierało do nas, że znikają właśnie w obozach koncentracyjnych. Najpierw dowiedzieliśmy się o „punktach logistycznych”. Pod koniec maja nazywano je „centrami tranzytowymi”, potem „obozami dla zatrzymanych”, jeszcze później „fabrykami i kopalniami”, aż w końcu wszystko połączyło się w jedną całość: gułag. Pojawiły się konkretne nazwy: Omarska, Keraterm.

Depesze Kelleya krążyły po całym budynku Departamentu Stanu w Waszyngtonie. Margaret Tutwiler, rzeczniczka Departamentu, potwierdziła to podczas naszej rozmowy w styczniu 1996 roku:

– Wszystko przechodziło przez moje biurko – powiedziała. – Czytałam raporty wywiadu i nadchodzące depesze na długo przed tym, jak trafiały do prasy.

Okazało się jednak, że zarówno Departament Stanu, jak i służby zagraniczne Wielkiej Brytanii i Francji otrzymywały nie tylko depesze Kelleya.

19 lipca opublikowano raport o Manjačy autorstwa Roya Gutmana z nowojorskiego dziennika „Newsday”. Gutman domagał się od Departamentu Stanu, Komisji do spraw Wywiadu i Białego Domu odpowiedzi na raport i dawał im szansę ujawnienia wszystkiego, co wiedzieli. Nikt nie zareagował. 29 lipca, po porannych relacjach zamieszczonych w „The Guardian”, Karadžić wystąpił w ITN, zaprzeczając oskarżeniom i zapraszając nas do Omarskiej. W niedzielę 2 sierpnia Gutman opublikował zeznania dwóch mężczyzn, w tym jednego zbiega z Omarskiej. Wywołało to panikę w Waszyngtonie, gdzie Lawrence Eagleburger przejmował właśnie urząd sekretarza stanu z rąk Jamesa Bakera III.

Poniedziałek 3 sierpnia był pierwszym dniem pracy Eagleburgera na nowym stanowisku, w miejsce Bakera, który przeniósł się do Białego Domu do prezydenta George’a H. W. Busha.

– Artykuł Gutmana przekazywano sobie wtedy jak samizdat – wspomina jeden z wysokich rangą urzędników. Tymczasem rzecznik, Richard Boucher, powiedział rozgorączkowanym dziennikarzom, że rząd Stanów Zjednoczonych rzeczywiście posiada informacje potwierdzające relację Gutmana. Jednak nazajutrz, we wtorek 4 sierpnia, to samo Biuro do spraw Europejskich, które przygotowało oświadczenie Bouchera, wydało komunikat o zupełnie odmiennej treści: nie ma żadnych informacji dowodzących istnienia obozów. Grupa zdumionych urzędników natychmiast ruszyła do akcji:

– Dzwoniliśmy do Biura do spraw Europejskich – mówi Marshall Harris – i pytaliśmy, co się tam u diabła dzieje. Powiedzieli nam, żebyśmy nie naciskali, bo to nic nie da, że jeśli chcemy coś zrobić, powinniśmy rozmawiać z Eagleburgerem. To on stał za drugim komunikatem.

Stanowisko CIA było jasne, jak powiedział mi jeden z pracowników agencji w 1996 roku:

– Twierdzenie, że nie ma żadnych informacji o obozach, było kłamstwem.

Czterech wściekłych urzędników, którzy później na znak protestu ustąpili ze swoich stanowisk, szukało kolejnych dowodów – i je znalazło. W szafce w Dziale Praw Człowieka Departamentu Stanu leżał plik ze szczegółowymi raportami o obozach – z Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. Został, jak powiedział mi urzędnik Departamentu, „przerzucony przez płot gdzieś w połowie czerwca”.

– Te dokumenty – mówił rozsierdzony Marshall Harris – zostały przygotowane przez MKCK w połowie czerwca i dostarczone tutaj. To nie była nowa rzecz. Była w systemie od sześciu tygodni.

Raporty potwierdzały istnienie sieci obozów, podawały ich położenie, opisywały tortury i mordy, do których dochodziło na ich terenie. Stwierdzano w nich, że trudna do oszacowania liczba osób została aresztowana; znęcano się nad nimi i je mordowano.

Jednak tego samego popołudnia, 4 sierpnia, pan Eagleburger wysłał na Capitol Hill asystenta sekretarza stanu, Toma Nilesa, by ten poinformował senacką Komisję Spraw Zagranicznych, że nie ma „żadnych informacji” potwierdzających istnienie obozów. Szef Komisji w Izbie Reprezentantów, Tom Lantos, dał mu szansę na wycofanie się z tego oświadczenia. Lantos stwierdził, że to nieprawdopodobne, by rząd Stanów Zjednoczonych nie wiedział o takich rzeczach. Ale pan Niles obstawał przy swoim.

– Trzeba było naprawdę bezczelnego kłamstwa, żeby powstrzymać interwencję – mówił Paul Nietzke. – I rzeczywiście było to potężne łgarstwo. Zdumiewające oszustwo. Ale nazajutrz wy pojechaliście do Omarskiej i wszystko wyszło na jaw.

Oto jak w rzeczywistości wyglądał w tamtym czasie przepływ informacji o obozach według przedstawiciela Czerwonego Krzyża, z którym o tym rozmawiałem:

– MKCK opuścił Bośnię w maju, po śmierci jednego z naszych pracowników. Ale gdy wróciliśmy tam w połowie czerwca, zrozumieliśmy od razu, co się dzieje. Nie wpuszczano nas do Omarskiej i do innych obozów ani w czerwcu, ani w lipcu.

Jednak oficjalnie Czerwony Krzyż nadal zachowywał milczenie.

– Ale fakt, że nie podejmujemy oficjalnych działań, nie znaczy, że nie robimy niczego – powiedział mi inny pracownik MKCK. – Czasami staramy się dyskretnie powiadamiać odpowiednie ambasady. Wtedy też to zrobiliśmy, i nie mówię tylko o Amerykanach.

Od połowy czerwca informacje o gułagu docierały do kolejnych placówek Czerwonego Krzyża:

– Z Banja Luki do Zagrzebia, z Zagrzebia do Genewy, a w Genewie do „odpowiednich dyplomatów” różnych narodowości, w tym Brytyjczyków.

Na kilka tygodni przed naszym odkryciem Omarskiej – już w drugiej połowie czerwca – amerykańscy, brytyjscy i francuscy dyplomaci doskonale wiedzieli o zbrodniach dokonywanych w obozach na terenie Bośni.

Wszystko to wyszło na jaw dopiero w 1996 roku, gdy przeprowadziłem prywatne śledztwo. Do tego czasu nie pojawiły się też żadne informacje o ludziach kierujących obozami, których poznaliśmy tamtego dnia w 1992 roku: Drljačy, szefie policji, burmistrzu Stakiciu i jego zastępcy Kovačeviću. Potem organizacja Human Rights Watch (HRW) dowiedziała się, że fundusze na projekty związane z odbudową kraju trafiają do firm należących do miejscowego Sztabu Kryzysowego, który wciąż znajdował się pod kontrolą Drljačy i Stakicia. Z kolei Kovačević zarządzał środkami z brytyjskiej pomocy. W dokumencie HRW zacytowano odpowiedź brytyjskiej Agencji do spraw Krajów Rozwijających się (Overseas Development Administration, ODA): „dyrektor terenowy” ODA oznajmił, iż administracja nie ma „żadnych dowodów potwierdzających sugestie, że były szef policji albo burmistrz Stakić czerpią jakieś korzyści”. Rzecznik ODA w Londynie zapewniał:

– Prowadzimy skrupulatną kontrolę, by mieć pewność, że pieniądze nie trafiają do oskarżonych o zbrodnie wojenne lub innych niepożądanych elementów. Należy ubolewać – dodawał – że raport [HRW] skupia się na niepotwierdzonych zarzutach.

Jednak rzeczniczka organizacji w Bośni przyznała:

– Znamy pogłoski dotyczące działalności Stakicia i Drljačy w 1992 roku.

Niemal cztery lata po naszym odkryciu Omarskiej wszyscy ci rządowi oficjele znali jedynie „pogłoski” o Sztabie Kryzysowym w Prijedorze, a przynajmniej tak utrzymywali. Ich „kontrola” w 1996 roku nie mogła być tak skrupulatna, jak twierdzili: pracownicy Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze potwierdzili szybko, że wszyscy trzej – Drljača, Stakić i Kovačević – są podejrzani o ludobójstwo i wkrótce prawdopodobnie zostaną postawieni w stan oskarżenia. Nie zapominając o tym wszystkim, mimo to chciałem znów ich spotkać i przekonać się, kim właściwie są, więc wraz ze swoim bliskim przyjacielem i kolegą po fachu z „The New York Times”, Rogerem Cohenem, wyruszyłem na poszukiwanie sprawców ludobójstwa, których można by określić mianem „kierownictwa średniego szczebla”.

Trzy lata i siedem miesięcy wcześniej, gdy wchodziliśmy do obozu Omarska, bezlitośnie prażyło słońce. Jednak w lutym 1996 roku pusta droga przy zjeździe do tej miejscowości skuta była lodem. Minęliśmy zamknięty drewniany kościół i kilka domów, a potem przejechaliśmy po dziurawym moście przez tory kolejowe – i nagle zobaczyliśmy przed sobą ten hangar i napis: *Rudnik Omarska*. Wszystko pokryte było grubą warstwą śniegu. W wietrznej zimowej ciszy na podwórzu słychać było jedynie głosy bawiących się dzieci. Na końcu ulicy były tory kolejowe prowadzące do obozu, na nich zaś stały rdzewiejące, beczynne wagony. Trzy i pół roku wcześniej tymi wagonami przyjechali tu niektórzy więźniowie. Widać je było sprzed baru Viski, w którym mężczyźni ubrani nadal w mundury polowe popijali piwo i koniak, przyglądając się nam w nieprzyjaznym milczeniu. W 1992 roku nie miałem pojęcia, że tak blisko tej rzeźni toczyło się „normalne” życie. Gdyby piosenka Spice Girls grała w barze Viski nieco ciszej niż dziś, bywalcy tego lokalu z pewnością mogliby usłyszeć krzyki więźniów.

Ta wojna wypacza pamięć i robi sobie żarty z ludzkich wspomnień. Jej tajemnice, raz już odkryte, wracają chyłkiem w mrok. Groza Omarskiej kryła się teraz pod warstwą lodu, ale ukrywała się także za zasłoną czasu i kłamstw. Przy bramie zatrzymali nas trzej strażnicy. Dwaj z nich powiedzieli nam, że

pracowali w kopalni w 1992 roku.

– Nic się tutaj nie działo – oznajmił dwudziestośmiolatek o jasnym spojrzeniu, zatrudniony jako technik i ochroniarz jednocześnie, ubrany w mundur. – Do końca 1992 roku wydobywano tu rudę żelaza, więc jak w sierpniu tego samego roku mógł tu być obóz? Wiedziałbym o tym. Byłem tutaj. Owszem, trochę dalej, w Trnopolju, był ośrodek zbiorczy – przyznał – ale tutaj nic. – Mówił o tym tak pogodnie, ze szczerym przekonaniem, że nikt nie byłby w stanie zarzucić mu kłamstwa. – Pochodzimy z Omarskiej, więc gdyby był tutaj obóz, wiedzielibyśmy o tym. Nie było żadnego obozu. Nigdy.

– A skąd się wzięły te zdjęcia i filmy w telewizji? – spytałem młodszego.

– Muzułmanie przekupili media – wyjaśnił spokojnie. – Zdjęcia były sfałszowane.

– Każdy mógłby to zrobić – dodał dwudziestośmiolatek i pokazał ze śmiechem, jak on sam by to zmontował.

Po drodze z Omarskiej do Prijedoru widzieliśmy ponure i niepokojące obrazy, na obrzeżach Kozaraca wciąż dominowały ruiny spalonych domów. Od 1992 roku nic się tutaj nie zmieniło, poza tym, że teraz zgłiszcza okrywał śnieg i panowała przeraźliwa cisza. Dlaczego Muzułmanie się stąd wynieśli? Dwudziestośmiolatek pochylił się do mnie, szeroko otwierając oczy:

– Naprawdę nie wiem, dlaczego stąd odeszli. – Jego zdumienie zdawało się całkowicie szczerze. – Żyliśmy razem jak bracia. I nagle zniknęli. To tak, jakbym ja się nagle spakował i wyjechał w nocy.

Potem zadałem proste pytanie:

– Przepraszam, jak się nazywacie?

Odpowiedź młodzieńca była zaskakująco szorstka:

– Miło nam się rozmawiało, ale nie podajemy nazwisk. Muzułmanie znają mnie, a ja znam ich. Ale muszą pokazać dowody, że coś zrobiłem. Wiesz, jak teraz jest: pewnego dnia ktoś podchodzi do ciebie na ulicy i zabiera cię nagle do Hagi.

Komendant obozu Omarska Željko Mejakić, który wyrzucił nas stamtąd w 1992 roku, został pierwszym człowiekiem postawionym w stan oskarżenia przez nowo powstały Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii. Mężczyźni siedzący wokół stołu Sztabu Kryzysowego w Prijedorze tamtego ranka, 5 sierpnia 1992 roku, nie zostali jeszcze oskarżeni, ale toczyło się już dochodzenie w ich sprawie. Po rozmowie ze strażnikami pojechaliśmy ich szukać. Szef policji, Simo Drljača, urzędujący w centrum administracyjnym, nie chciał przyjmować gości. Następnego ranka znaleźliśmy jednak zastępcę przewodniczącego Sztabu Kryzysowego, Milana Kovačevicia, dowiedziawszy się poprzedniego wieczora, że obecnie jest dyrektorem szpitala w Prijedorze.

Kovačević nie rozpoznał mnie, a ja nie zamierzałem mu przypominać, że już się kiedyś spotkaliśmy. To właśnie on został wyznaczony do kontaktów z mediami, kiedy opublikowaliśmy materiały o Omarskiej, a do Prijedoru zaczęli się zjeżdżać dziennikarze. Musiał tłumaczyć przed kamerami, czym jest ośrodek zbiorczy. Następnie zakończył konferencję, wyjaśniając, że musi iść do cerkwi. W 1992 roku jego oczy płonęły entuzjazmem, teraz odbijały się w nich inne, bardziej bolesne emocje. Kovačević sięgnął do szafki w swoim gabinecie i wyjął z niej butelkę domowej rakii. Była dziewiąta rano. Powiedział, że minionego roku śliwy obrodziły jak rzadko i szkoda byłoby je zmarnować. Poprosił nas, byśmy usiedli, i bez szczególnej zachęty z naszej strony zaczął przedstawiać psychodramę swojego życia.

Wbrew temu, co twierdził w 1992 roku, nie urodził się w Jasenovacu, w obozie koncentracyjnym prowadzonym przez ustaszy, lecz został tam zabrany jako dziecko. Wychowany w przeświadczeniu, że

„wszyscy Niemcy to mordercy”, jak na ironię wyjechał do Niemiec, by studiować tam anestezjologię. Po studiach wrócił do rodzinnej Jugosławii, pracował jako lekarz i został żarliwym serbskim nacionalistą, zastępcą burmistrza Prijedoru, reprezentującym Serbską Partię Demokratyczną Radovana Karadžicia, a potem wiceprzewodniczącym Sztabu Kryzysowego.

– My i Muzułmanie nie możemy żyć razem – oznajmił, pokrzepiony kieliszkiem rakii. Jednak ta pewność celu zdawała się skrywać wątpliwości dotyczące środków: środków stosowanych przez niego samego. Spytałiśmy go o wymarłe obrzeża Kozaraca, o spalone domy Muzułmanów i Chorwatów, które niedawno mijaliśmy. Czy była to konieczność, czy chwila szaleństwa?

– Jedno i drugie – odparł ostrożnie. – Konieczna walka i chwila szaleństwa... Ludzie nie zachowywali się normalnie.

Zaskoczył nas. Ludzie pokroju Kovačevicia zwykle nie mówią w ten sposób. Spytałem, czy to był błąd.

– Prawdę mówiąc, to był straszliwy błąd.

Ośmielony drugim kieliszkiem, Kovačević ciągnął.

– Wszyscy wiemy, co stało się w Auschwitz i Dachau, wiemy, jak to się zaczęło i co się działo. My nie robiliśmy tego samego, co w Auschwitz i Dachau.

Zgadzałem się z nim w tej kwestii, ale nie to mnie zaskoczyło; to nie były argumenty, których zwykle liderzy bośniackich Serbów używali, by usprawiedliwić swoje pogromy. Dodając sobie otuchy trzecim kieliszkiem, anestezjolog parł śmiało dalej:

– Omarska miała być obozem dla uchodźców. Ale potem zamieniła się w coś innego. To był błąd. To miał być zwykły obóz, a nie obóz koncentracyjny.

Kovačević przyznał, że nigdy dotąd nie prowadził takiej rozmowy, jedynie ze sobą samym. Rzeczywiście, nikt w Bośni nie rozmawiał wcześniej w taki sposób i można było przypuszczać, że niewiele osób – może nikt – kiedykolwiek jeszcze to zrobi.

Kolejny kieliszek dla kurazu i Kovačević zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie w Jasenovacu.

– W Jasenovacu zabito sześćset tysięcy ludzi – powiedział i zamyślił się na moment.

– Ale Jasenovac stworzyli i prowadzili Chorwaci. Dlaczego zwróciliście się przeciwko Muzułmanom? – spytałem.

– Kiedy ukąsi cię wąż, boisz się nawet jaszczurek – odparł Kovačević. – Ale wąż to ciągle wąż, a jaszczurka to jaszczurka. Kiedyś oni popełniali zbrodnie wojenne, teraz są ich ofiarami.

– Ilu ludzi straciło życie w Omarskiej? – spytał Roger Cohen.

– Zabito nie więcej niż stu. Jasenovac to była prawdziwa fabryka śmierci.

Roger zasugerował, że w Omarskiej zginęło więcej niż stu ludzi.

– Powiedziałem, że stu zostało zabitych – odparował Kovačević. – Nie mówiłem, ilu zmarło. Musielibyście spytać lekarzy, ilu umarło.

– Ale przecież pan jest lekarzem – odparłem, po czym spytałem ponownie: – Więc ilu umarło?

Tym razem Kovačević nie bawił się już w ostrożne kalkulacje.

– Och, nie mam pojęcia, ilu tam zabito. Bóg jeden wie. Tutaj zawsze wieje wiatr, huragany przechodzą raz w jedną, raz w drugą stronę.

To powiedziawszy, sięgnął ponownie po kieliszek.

Jego gabinet o ścianach wyłożonych tanimi panelami wypełniał teraz dym palonych jeden za drugim

papierosów, zapach alkoholu i rozmowa o śmierci. Roger spytał:

– Kto zaplanował to szaleństwo?

– Wszystko to wygląda na doskonale zaplanowane z perspektywy Nowego Jorku – odparł. Potem przesunął się do przodu na krześle, jakby chciał podzielić się z nami jakimś sekretem. – Ale tutaj, gdzie wszystko płonie i pęka w ludzkich głowach, to było coś, czym powinni zająć się psychiatrzy. Wszyscy ci ludzie powinni trafić do psychiatry.

W 1992 roku Kovačević nie ukrywał swojej roli w tworzeniu i prowadzeniu Omarskiej.

– Ale co teraz? – spytałem. – Czy pan też był częścią tego obłędu, doktorze?

Odpowiedział z zaskakującym spokojem, choć i rezygnacją:

– Gdyby ktoś powiedział, że nie byłem częścią tego zbiorowego szaleństwa, musiałbym przyznać, że to nieprawda. Ale potem musiałbym się zastanowić, do jakiego stopnia brałem w tym udział... Nie wszyscy możemy być tacy sami, nawet w szaleństwie. Ja sam nie zabijałem ludzi. Ale jeśli coś złego dzieje się w szpitalu, to jestem winny, bo odpowiadam za szpital. Jeśli żeby coś osiągnąć, musisz zabijać ludzi... cóż, to moja osobista tajemnica. Nie śpiam teraz dobrze. Posiwiąłem.

Kovačević wziął głęboki oddech i westchnął. Rozmowa dobiegła końca; na korytarzu przed jego drzwiami czekał tłum ludzi. Opróżniwszy butelkę, dyrektor szpitala podniósł się z krzesła, uściśnął nam dłonie i wyprowadził nas korytarzem w przejmujący ziąb.

Szefem Kovačevicia w 1992 roku był przewodniczący Sztabu Kryzysowego w Prijedorze, Milimir Stakić. Był surowym, zawziętym człowiekiem; w przeciwieństwie do swojego byłego zastępcy mówił krótkimi zdaniem, jakby szczekał. Cztery lata wcześniej powiedziano nam, że to on może wyrazić zgodę, byśmy weszli do Omarskiej – choć tylko na polecenie doktora Karadžicia. Teraz okazało się, że on również zajmuje się medycyną i jest obecnie dyrektorem miejscowego ośrodka zdrowia. Przed wojną pracował w klinice w Omarskiej, a w 1996 roku ponownie ubiegał się o stanowisko burmistrza jako kandydat Serbskiej Partii Demokratycznej Karadžicia. Doktor Stakić spotkał się z nami w swojej klinice i przedstawił nas człowiekowi o groźnym wejrzeniu, Viktorowi Kondiciowi, którego najpierw nazywał swoim „zastępcą”, a potem swoim „prawnikiem”.

– Co stało się w Omarskiej? – spytaliśmy, wymieniwszy uprzejmości.

– To była kopalnia – wtrącił się szybko Kondić. – Kopalnia rudy żelaza. To wszystko.

A relacje? Zdjęcia i filmy?

– To były zdjęcia serbskich więźniów w muzułmańskich obozach – wyjaśnił Stakić. – Jako dziennikarze powinniście być na miejscu zdarzenia, żeby wiedzieć, o czym właściwie mówicie.

Ugryzłem się w język.

– Tak, oczywiście, ma pan rację.

– W kopalni Omarska nikogo nie przetrzymywano – stwierdził kategorycznie Stakić. Potem jednak natychmiast nastąpiło *reductio ad absurdum*. – W Omarskiej prowadzono jedynie śledztwo w sprawie pewnej liczby Muzułmanów, jeńców wojennych. A gdy utworzyliśmy już więzienie wojskowe w Manjačy, do Omarskiej trafiali jedynie muzułmańscy cywile, u których znaleziono broń.

Stakić powtarzał z uporem, że nie był to obóz koncentracyjny, „nikogo tam nie więziono”:

– Muzułmanie w Omarskiej mieli jedzenie. Mieli lekarzy. Nie pracowali. Może nie był to hotel – dodał, zdobywając się na jedyny podczas tego spotkania, niezbyt przyjemny uśmiech – ale na pewno nie był to też obóz koncentracyjny.

Rozmowa przyjęła bardziej dygresyjny charakter.

– Serbowie posuwają się do skrajności tylko wtedy, gdy zagrożona jest ich wolność – powiedział Stakić z tanią, celową emfazą, która miała brzmieć groźnie. Przez chwilę mierzył nas nieprzyjawnym spojrzeniem, jakby chciał dać nam do zrozumienia, że to właśnie może być taka sytuacja, kiedy serbska wolność jest zagrożona. Potem zaczął majstrować przy magnetofonie stojącym na jego biurku, przewijając do przodu i do tyłu taśmę z albumem country Boba Dylana *Nashville Skyline*. W końcu znalazł piosenkę *Tell Me That It Isn't True* i ją odtworzył. Uwielbiam ten album, ale słuchanie go w takich okolicznościach było dziwnym doznaniem.

Zapadł zimowy wieczór, na ulicach za oknami było cicho i pusto. Stakić nagle wyłączył magnetofon – przypuszczaliśmy, że mógł być tam ukryty mikrofon. W pokoju zapadła grobowa cisza. Ziemię spowijała gęsta mgła, rozświetlona bladym blaskiem neonówki na zewnątrz. W końcu Stakić powiedział:

– Musicie być bardzo odważni, skoro siedzicie tu z nami o tak późnej porze.

Zrozumiawszy, że zachęca nas w ten sposób do wyjścia, opuściliśmy jego gabinet.

Ostatnim punktem naszej wyprawy było spotkanie z Nikolą Koljeviciem, który przywiózł mnie do tego miasta w 1992 roku, a dwa dni później zaprosił mnie na herbatę w Belgradzie. Koljević, który wciąż był wiceprezydentem, nie rozpoznał mnie. Właściwie wydawało się, że w ogóle mało co rozpoznaje. Patrząc nieustannie przez okno swego gabinetu – nieobecny, pełen niepokoju – na budynki administracji miejskiej Banja Luki, na ruiny monumentalnego siedemnastowiecznego meczetu. Zaciągnął się w zamyśleniu holenderskim cygarem i zaczął mówić o oblężeniu Sarajewa.

– Mogłem to zakręcić jak kran, wiedzieliście o tym? Jak kran!

Potem przeszedł do omówienia – jak to określił – okresu w 1991 roku, gdy Serbowie ekshumowali swoich zmarłych z czasów drugiej wojny światowej z terenów, które nie wchodziły w skład tak zwanej Wielkiej Serbii.

– Wykopywaliśmy kości – mamrotał, wciąż patrząc za okno. – Były tam też szkolne podręczniki i dziecięce buty. Włosy młodych chłopców zakopane w ziemi.

Roger Cohen i ja spojrzeliśmy na siebie wymownie.

– Nie sądzę, żeby chodziło o czterdziesty pierwszy rok – wyszeptałem. – To niedawno zabici ludzie.

W tym czasie, pół roku po masakrze w Srebrenicy, gdy w szybach kopalnianych Omarskiej i pod murawą okolicznych łąk wciąż kryły się setki ciał, prowadzono w pośpiechu liczne ekshumacje. Boczny drogami Republiki Serbskiej jeździły ciężarówki wyładowane ludzkimi szczątkami, które grzebano ponownie w innych miejscach, by ukryć dowody przed nowo powstałym Trybunałem w Hadze. Koljević, mówiąc o tym, popadł w zadumę, a potem, po długim milczeniu, przeniósł się na fotel. Wziął do ręki książkę amerykańskiego pisarza Daniela Boorstina, którą właśnie czytał, i polecił nam ją.

– To o tym, jak się okłamujemy i oszukujemy – powiedział ze śmiechem. Rok później Koljević się zastrzelił.

Pojechaliśmy z Rogerem do Zagrzebia i zameldowaliśmy się w eleganckim hotelu Esplanade, by zjeść kolację i w końcu się wyspać. To był dzień świętego Walentego, a gdy siedzieliśmy z Rogerem w ozdobionej sercami restauracji i rozmawialiśmy o obozach koncentracyjnych, ludzie dziwnie na nas patrzyli. Następnego ranka uporządkowałem notatki ze wszystkich trzech rozmów i wysłałem je kurierem do Hagi.

Świadectwo

Każdego ranka w hotelu Bel Air w Hadze obsługa ubrana w białe wykrochmalone koszule i z obowiązkowym uśmiechem na twarzy przygotowywała z pietyzmem śniadanie dla gości hotelowych i uważnie sprawdzała numery pokoiów tych, którzy przyszli się raczyć serami, szynką, płatkami i chlebem razowym różnych gatunków. Biznesmeni, których rachunki pokrywały ich firmy, częstowali się bez oporów i pochłaniali ze smakiem kolejne porcje. W sali siedziała jednak grupa gości, którzy nie przyłączyli się do tej rytualnej uczty. Skubali nerwowo jedzenie, nakładając sobie małe porcje, jakby podejrzewali, że posiłek może być zatruty albo przeznaczony dla kogoś innego. Woleli opróżnić kolejne filiżanki czarnej kawy, paląc przy tym mocne papierosy. W ich ciemnych oczach krył się ogromny smutek, mówili z nonszalancją i niepokojem jednocześnie. Cała grupa składała się niemal wyłącznie z mężczyzn, którzy przygnieci ciężarem wspomnień, wyglądali na starszych, niż byli w rzeczywistości. Łączyła ich jakaś niewidzialna więź, która wyraźnie oddzielała ich od reszty otoczenia, wspólny sekret, który z pewnością nie należał do radosnych.

Smutek, który ich połączył i sprowadził do Hagi, miał zostać ujawniony przed całym światem w najbliższych dniach. Ci ludzie byli niegdyś sąsiadami, teraz jednak przybyli tu z różnych stron świata: ocaleni z Omarskiej, Trnopolja i Keratermu. Przyjechali, by odegrać małą, lecz istotną rolę w historii: zeznawać podczas pierwszego od czasu Norymbergii procesu w sprawie zbrodni wojennych – procesu niejakiego Duška Tadicia, który krążył po obozach, torturując i zabijając kogo popadnie. Właściwie był tylko pionkiem, prowincjonalnym sadystą, płatką w świecie rekinów, co podkreślali ludzie sceptyczni wobec działalności Trybunału. Ale to właśnie była wojna zaściankowych sadystów, Tadić zaś był jedyną rybą, którą na razie udało się złowić, więc na dobry początek musiał wystarczyć. Ja zostałem wezwany jako biegły.

W grupie ludzi pijących czarną kawę dostrzegłem kobietę o łagodnych oczach i kędzierzawych ciemnych włosach, która wydawała się spokojniejsza od pozostałych. Azra? – pomyślałem. Azra Blažević, lekarz weterynarii z Trnopolja, tutaj? Ostatnio widziałem ją w obozie, gdy podała nam ukradkiem niewywołaną błonę fotograficzną.

– Tak – potwierdziła. – To ja.

Siedząc na niebieskim krześle na miejscu dla świadków, Azra zaczęła opowiadać o oblężeniu Kozaraca i o życiu w Trnopolju. Jej dom i gabinet weterynaryjny mieściły się w tym samym budynku przy wjeździe do Kozaraca, między boiskiem piłkarskim a tartakiem. To właśnie pracownicy tartaku 30 kwietnia 1992 roku jako pierwsi przekazali jej wiadomość, że wojsko zajęło Prijedor, władzę przejął Sztab Kryzysowy, a flagę Jugosławii na ratuszu zastąpiło godło Serbów. Miasto, jak zeznawała Azra, było „wyjątkowo opustoszałe”, kiedy poszła tego dnia po zakupy. Gdy potem chciała zatankować, żołnierze z nowo powstałego posterunku kazali jej zawrócić. Później, 21 maja, mieszkańcy Kozaraca otrzymali ultimatum: nakazano im oddanie broni, zarówno tej w posiadaniu policji i rezerwistów, jak i prywatnych pistoletów czy strzelb. Nikt nie zareagował. W nocy 22 maja Azra i inni widzieli, jak płoną

wioski po drugiej stronie Prijedoru, a w południe dwa dni później nastąpił atak na Kozarac, który „rozpoczął się nagle zmasowanym ostrzałem artyleryjskim; wydawało się, jakby na miasto spadały jednocześnie tysiące pocisków”. Azra i doktor Idriz Merdžanić poszli do centrum medycznego, a „wkrótce potem zaczęto tam przywozić pierwszych rannych”. Z powodu odniesionych ran zmarła trzynastoletnia dziewczynka, podobnie jak „starsza kobieta w wieku siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu kilku lat”. We wtorek 26 maja policja w Kozaracu skapitulowała, a główną ulicą, przed domem Azry, przeprowadzono kolumny cywilów. Najciężej ranni zostali ułożeni w ciężarówce i karetce, które pojechały do Prijedoru. Karetkę prowadził mąż Azry, Ermin, który jednak po drodze został zatrzymany i uwięziony w Omarskiej. Azra zobaczyła się z nim dopiero w grudniu.

Azra i doktor Idriz Merdžanić przedostali się do Trnopolja, licząc na to, że będą mogli korzystać z tamtejszego ośrodka zdrowia – w którym pracował Idriz – i leczyć w nim rannych, ale nie zostali nawet wysłuchani. Później Azra została siłą przewieziona do obozu i osadzona tam jako więzień, choć pozwolono jej prowadzić coś w rodzaju kliniki. Współpracował z nią lokalny przedstawiciel Czerwonego Krzyża, Pero Ćurguz, oraz lekarz o nazwisku Ivić. Nie dostawali jednak żadnych lekarstw ani środków, jak zeznała Azra. Żeby coś zdobyć, musieli przeszukiwać domy wypędzonych Muzułmanów.

– Zawsze wyglądało to tak samo – opowiadała Azra. – Przychodzili żołnierze i kazali mieszkańcom w bardzo krótkim czasie opuścić swoje domy. Zwykle zabijali przy tym kilka osób, a reszta była wysyłana do obozu w Trnopolju.

Parę razy udało jej się pojechać do Kozaraca, gdzie szukała ludzi pozostawionych na pastwę losu. Przekonała się wtedy, że miasto zostało „całkowicie zniszczone”, ostało się jedynie kilka domów oznaczonych napisem „To jest serbskie”. Widziała płonąca miejscowość Kamičani, a eskortujący ją żołnierze powiedzieli, że mieli rozkaz „oczyścić wioskę, ale nie brać jeńców”. W obozie, jak opowiadała, wszy i świerzb były wszechobecne, a w okolicy przychodni codziennie bito ludzi: „Słyszałam uderzenia i krzyki, czasami przekleństwa”. Azra przytoczyła opowieść Nedžada Jakupovicia, którego tułów sfotografowała. Jakupović został pobity tak strasznie, że nie można go było rozpoznać, a na jego ciele wycięto nożem krzyż. Został przewieziony karetką do szpitala w Prijedorze, ale stamtąd odesłano go do Omarskiej. Szczególnie brutalne pobicia miały miejsce w te noce, gdy strażnicy obchodzili hucznie czyjeś urodziny. Wielu pobitych więźniów zmarło, wśród nich niejaki Teufik Talić, którego owinięte w koc zwłoki Azra widziała na własne oczy. Czasami żołnierze strzelali na oślep po obozie, pewnego razu trafili kobietę, która zmarła potem w klinice Azry i Idriza.

Azra poruszyła w swoim zeznaniu temat, który nam umknął, gdy byliśmy w obozie w 1992 roku: masowe gwałty na młodych dziewczętach. Do Azry zgłaszały się matki ofiar.

– Często dotyczyło to bardzo młodych dziewczyn. Matki przychodziły do mnie, bo martwiły się o zdrowie swoich córek i o inne konsekwencje. [...] Martwiły się, że dziewczyny będą obficie krwawić albo zajądą w ciążę.

Same poszkodowane, zwykle w wieku około szesnastu, siedemnastu lat, „płakały tylko i nie chciały nic mówić”. Niektóre były jeszcze młodsze, jedna dziewczynka zgwałcona w okolicy obozu miała zaledwie trzynaście lat. Jednocześnie ostrzegano doktora Ivicia i Czerwony Krzyż, że jeśli informacje o gwałtach wydadzą się poza obóz, strażnicy „wszystkich zabiją” i właściwie „najlepiej nic o tym nie wiedzieć”.

Jak zeznawała Azra, ludzie przybywający z Omarskiej to był „straszliwy widok”.

– Wyglądali jak szkielety, kości obciążnięte skórą – mówiła. Jednak o tym, co działo się w tamtym

czasie w Omarskiej, mowa była w dalszej części procesu.

Skończywszy składanie zeznań, Azra przeniosła się do świetlicy dla świadków, pokoju numer 906 na najwyższym piętrze hotelu, z którego rozciągał się widok na tętniącą życiem arterię Frederik Hendriklaan i ustawione wzdłuż chodników stragany z serem i kwiatami. Spotkaliśmy się przy kawie.

– Jeśli chcesz porozmawiać ze mną o mieszkańcach Kozaraca – mówiła o swoim minionym życiu – najlepiej powiedz mi, czy mieli psa, czy konia!

Azra urodziła się w Prijedorze, w „tradycyjnej rodzinie”, i chodziła do szkoły, w której „dziewięćdziesiąt procent uczniów stanowili Serbowie”.

– Chodziłam do domów serbskich dzieci na prawosławne Boże Narodzenie, a oni przychodzili do nas na Bajram. Miałam przyjaciółkę katoliczkę, za którą w ramach przysługi odmawiałam połowę różańca. Byliśmy sobie tak bliscy, że nie zwracaliśmy uwagi na to, kto jest jakiego wyznania. Właśnie tej jednej rzeczy nie mogę i nie chcę zrozumieć: jak politycy manipulowali ludźmi, by ci, z którymi dorastałam, najpierw przestali mnie poznawać, a potem zapragnęli mnie zabić. Kiedy trafiłam do Trnopolja, jako miejscowa dziewczyna i lekarz weterynarii pracujący na wiejskich obszarach w 1992 roku znałam imiona i nazwiska dziewięćdziesięciu procent strażników.

Azra studiowała weterynarię na uniwersytecie w Sarajewie.

– Skończyłam pięcioletni program w ciągu trzech lat. Nie mieliśmy gdzie mieszkać, bo miasto chciało wyremontować akademiki dla uczestników olimpiady zimowej, a mama zadzwoniła do mnie i powiedziała, że w Kozaracu jest posada dla weterynarza, ale muszę przyjechać w ciągu piętnastu dni, bo inaczej okazja przepadnie. Pomyślałam: czemu nie?

I tak Azra przyjechała do Kozaraca, najpierw by tam pracować, potem by zamieszkać na stałe, a po kilku latach uciec przez Trnopolje do Chorwacji i otrzymać azyl w Niemczech, gdzie mieszkała w 1996 roku.

Azra mówiła o naszej wizycie w obozie w sierpniu 1992 roku.

– Jeden niewłaściwy ruch i mogło przez was umrzeć wielu ludzi – oświadczyła surowym tonem. – Ale na szczęście do tego nie doszło.

Azra wspominała, jak zapytała tego dnia jednego ze strażników: „Co się dzieje?”. Odpowiedział, że przyjeżdża transport.

– Zobaczyłam autobusy z Keratermu. Potem usłyszałam, jak żołnierze mówią między sobą, że jadą do nas dziennikarze. Pobiegłam z tą wiadomością do Idriza. Do tej pory najbardziej obawialiśmy się, że po prostu wszyscy tu znikniemy. Powiedziałam Idrizowi, że musimy się z wami jakoś porozumieć, ale tak, żeby nie było to zbyt oczywiste. To było kompletne zaskoczenie, myślałam, że jakoś was powstrzymają, może nawet zastrzelą, że nigdy nie wejdziecie do obozu.

Podczas pobytu w Trnopolju Azra i doktor Idriz Merdžanić znaleźli się w przedziwnej sytuacji: oczekiwano od nich, że będą prowadzić punkt medyczny, do którego strażnicy będą przyprowadzać ludzi, których sami pobili, i dziewczęta, które zgwałcili. Nie sposób oszacować, ilu ludzi uratowali dzięki swoim umiejętnościom i sprytowi – choć sami nigdy by tak nie powiedzieli.

– Nie chciałam robić niczego, co zagroziłoby moim dzieciom – mówi Azra. – Albo mojemu mężowi, który przebywał w Omarskiej. Ale Idriz i ja czuliśmy wielką odpowiedzialność. Ludzie w Trnopolju mnie znali, bo leczyłam ich zwierzęta, myśleli więc, że mam możliwości, których z pewnością nie miałam. To samo dotyczyło Idriza. Stąpaliśmy po cienkim lodzie, to było naprawdę niebezpieczne.

Więźniowie przychodzili do lekarki, która niegdyś opiekowała się ich zwierzętami, by powiedzieć jej, czego potrzebują oni sami i ich sąsiedzi.

– Wtedy usłyszałam o pewnym niewidomym mężczyźnie, którego pozostawiono w Kozaracu, i o kobiecie po wylewie, która również została tam sama. Czułam się w obowiązku ich znaleźć. Porozmawiałam z Idrizem, który był równie szalony jak ja, i postanowiliśmy poczekać, aż komendant obozu sobie pójdzie. Był piątek i spytaliśmy strażników, czy możemy wyjść, przekonani, że do poniedziałku wszyscy o tym zapomną. Pojechaliśmy do Kozaraca konno. Znaleźliśmy kobietę po wylewie ukrywającą się pod stertą koców; kiedy tam przyjechaliśmy, jakiś człowiek właśnie okradał jej dom. Na podwórku czekał wóz, ktoś siedział na koźle. Byłam wtedy ubrana w biały lekarski fartuch, a to zwykle skłania ludzi do współpracy. Spytałam tego mężczyzny, czy możemy pożyczyć jego wóz, a on się zgodził. Zabraliśmy więc tę kobietę (ledwie mogła się ruszać) i zaczęliśmy szukać niewidomego, ale okazało się, że został zabity. W wiosce Sivići znaleźliśmy niepełnosprawnego chłopca, który siedział na stercie szmat, otoczony rojem much, a wokół niego walały się jabłka. Jego również zabraliśmy na wóz i wróciliśmy do Trnopolja. Oboje, Idriz i ja, czuliśmy, że powinniśmy robić takie rzeczy. Był idealnym partnerem – byliśmy właściwymi ludźmi na niewłaściwym miejscu.

Azra przekonała się również, że nie potrafi zapomnieć o swoim powołaniu opiekuna zwierząt.

– Wszyscy zmuszeni byli opuszczać swoje domy w takim pośpiechu, że zostawiali uwięzane zwierzęta, więc chodziłam po okolicy i je uwalniałam. Czułam się trochę jak bohater *Listy Schindlera*, tyle że ratowałam konie i krowy. Przez większość czasu strażnicy zachowywali się tak, jakby mnie nie znali, choć przecież wychowywaliśmy się razem. Ludzie, z którymi spędziłam dzieciństwo, nigdy nie zaoferowali mi pomocy, nie chcieli nawet ze mną rozmawiać. Jednak jeden z nich, Niki, spytał: „Azra, co ty tutaj robisz?”. A ja odpowiedziałam: „Nie wiem, ale powiedz mi, Niki, co ty tutaj robisz i dlaczego mój mąż jest w Omarskiej?”.

Z miejsca dla świadków płynęły kolejne opowieści, dzięki którym świat mógł – jeśli tylko chciał – poznać przynajmniej część prawdy o tym, co faktycznie wydarzyło się, jak to ujął doktor Koljević, „trzy kroki od Wenecji”. Okazało się, że budynki, które widziałem tamtego sierpniowego dnia i do których nie chciano nas wpuścić, były fabrykami śmierci. Nosiły nazwy takie jak „Hangar”, „Biały Dom”, „Garaż” i „Czerwony Dom”. Bez względu na to, jak z prawnego punktu widzenia można oceniać sukcesy i porażki Trybunału w Hadze, historia Omarskiej i popełnionych tam zbrodni została opowiedziana i zapisana w annałach, mimo że miejsca dla publiczności i prasy świeciły często pustkami.

Wśród świadectw złożonych w Hadze znalazła się również historia Halida Mujkanovicia, jednego z pierwszych więźniów Omarskiej, który zeznawał zza ekranu z matowego szkła. Mujkanović opowiadał o wydarzeniach, które miały miejsce 18 czerwca 1992 roku. Usłyszał wówczas, jak strażnicy wywołują nazwiska kilku jego znajomych, w tym Jaska Hrnicia i Emira Karabašicia, niegdyś najlepszego przyjaciela oskarżonego Tadicia. Potem strażnicy zażądali, by zgłosili się dwaj „ochotnicy” z grupy Mujkanovicia, grożąc, że jeśli nikt się nie zgłosi, kogoś zabiją. Podeszło do nich dwóch mężczyzn – obaj zeznawali podczas procesu jako anonimowi świadkowie, określani na sali sądowej jako „G” i „H”. Pozostali więźniowie uciekli na górę, obawiając się tego, co miało się wkrótce wydarzyć. Mujkanović zakrył twarz dłońmi i przykucnął za otwartymi drzwiami, ale dwukrotnie wyjrzał, by zobaczyć, co się dzieje.

– Ujrzałem G wychodzącego z korytarza. Był cały pokryty olejem... Zobaczyłem – nie jestem całkiem

pewien, kto to był – być może Emira Karabašicia albo kogoś innego, H trzymał go za rękę. Potem zmuszono G, żeby pochylił się do jego krocza, i powiedziano mu, że musi odgryźć jego genitalia. Kiedy spojrzałem po raz drugi, słychać było okropny krzyk. G się wyprostował, miał pełne usta, cały był pokryty krwią i olejem. Stała tam grupa żołnierzy, ktoś strzelał w powietrze. Minęło trochę czasu. Jeden z żołnierzy przyniósł temu człowiekowi [który został wykastrowany] gołębia... Ptak był jeszcze żywy, dano mu go do zjedzenia.

Wkrótce potem Karabašić umarł, podobno z bólu i wskutek upływu krwi. Jak opowiadał Mujkanović, grupa oprawców zajęła się potem jego przyjacielem, Jaskiem Hrniciem.

– Jeden z żołnierzy bił go metalowym, żelaznym prętem. Jasko upadł. Nie dawał żadnych oznak życia. W tle grała muzyka. Piosenka nosiła tytuł *Pozwól mi żyć...* Pobiegłem do toalety na górę i zwymiotowałem, choć wcześniej niczego nie jadłem.

Poproszony o opisanie zachowania serbskich żołnierzy, którzy zorganizowali ten barbarzyński spektakl, Mujkanović powiedział:

– Wyglądali tak, jakby oglądali mecz, kibicowali swojej drużynie.

Siedemdziesięcioletni Mehmed Alić, były hodowca koni i rolnik, płakał przed Trybunałem, wspominając, jak jego syn Enver błagał o litość Duška Tadicia, gdy ten kopał go i bił, i skatował go w końcu na śmierć.

– Dule, bracie, co ja ci zrobiłem? Dlaczego mnie bijesz?

W czasie drugiej wojny światowej Alić był więźniem chorwackiego faszystowskiego obozu koncentracyjnego, ale stwierdził, że nawet w porównaniu z tamtym miejscem Omarska była czymś „niewyobrażalnym”. Spotkał swojego najmłodszego syna, Envera, gdy przybył do Omarskiej 10 czerwca 1992 roku, straciwszy z nim wcześniej kontakt podczas pogromu w ich wsi. Niestety, musiał powiedzieć Enverowi, że jego starszy brat Ekhrem został zabity przez serbskich żołnierzy. Potem nadszedł ten straszliwy dzień 18 czerwca, gdy serbscy strażnicy wywołali Karabašicia. Następnym na liście był młody Enver Alić, wezwali więc jego ojca i kazali mu znaleźć swoje dziecko. Alić opowiadał przed Trybunałem, jak bito go kolbami karabinów i przeprowadzono obok grupy żołnierzy, którzy „znęcali się nad Karabašiciem”.

– Widziałem Emira Karabašicia, który siedział na stole z nogami zwieszonymi nad podłogą. Był zakrwawiony. Kiedy podszedłem bliżej i zatrzymałem się, zobaczyłem, że ma rany cięte... Polewali go wodą, a on drżał na całym ciele. Był oszołomiony, a oni próbowali go ocucić, przykładali mu nóż do gardła.

Alić dotarł w końcu do celi, w której przetrzymywano jego syna Envera.

– Powiedziałem: „Synu, oni mówią, że musisz wyjść”. Wtedy on odpowiedział: „Tato, mnie tu nie ma – a może jestem”. Powiedziałem, że zagrozili, że jeśli jeszcze raz go wywołają, będzie po nim.

Enver posłuchał słów ojca, wstał i poszedł na śmierć.

Strażnicy zaprowadzili ojca i syna w kąt hangaru, kazali im położyć się na ziemi na brzuchach i zaczęli ich bić. Nim odciągnęli Alicia, Enver zawołał: „Tato, opiekuj się dziećmi”.

– Kiedy wróciłem do celi – kończył Alić – ludzie otworzyli przede mną drzwi i spytali: „Meho, co się stało?”. A ja odpowiedziałem: „Właśnie straciłem drugiego syna”.

Podczas całej tej opowieści Duško Tadić patrzył ze swego miejsca na Alicia, mrużąc oczy.

Kolejnym świadkiem był Armin Kenjar pochodzący ze wsi Kamičani. Opowiadał Trybunałowi, że

Tadić był „jego bohaterem”, bo dobrze znał karate. Jako chłopiec Kenjar obserwował przez okno sali gimnastycznej treningi prowadzone przez Tadicia. Jednak latem 1992 roku, gdy miał już dwadzieścia sześć lat, Kenjar zobaczył w Omarskiej innego, umundurowanego Tadicia i starał się schodzić mu z drogi. 18 czerwca po powrocie z toalety Kenjar zobaczył Tadicia na korytarzu przed swoją celą. Pół godziny później zaczęto wyczytywać nazwiska więźniów. Był wśród nich Jasko Hrnić, który leżał na stole po drugiej stronie pokoju.

– Był mocno pobity i na leżąco było mu trochę wygodniej – tłumaczył Kenjar.

Hrnić udawał, że nie słyszy swojego nazwiska i zareagował dopiero za trzecim razem. Kenjar opowiadał również o Karabašiciu i o zabójstwie Envera Alicia. Po wywołaniu więźniów Kenjar słyszał krzyki, wycie i odgłosy uderzeń jakimś tęnym narzędziem.

– To było coś strasznego, jak z koszmaru. Ktoś krzyknął: „Odgryź mu jaja!”, a potem wygadywał straszne rzeczy, najgorsze przekleństwa, jakie kiedykolwiek w życiu słyszałem.

Kenjar opisał również, co działo się potem, kiedy poszedł do toalety i spotkał mężczyznę, którego zmuszono do odgryzienia genitaliów Karabašicia.

– Zobaczyłem G, całą głowę miał w czarnym oleju – opowiadał Kenjar. – Spytałem go, co się stało. Odpowiedział: „Nie pytaj”. Wyglądał strasznie. Był ledwie żywy z przerażenia. Widziałem tam też plamy świeżo zmytej krwi.

Kenjar mówił, że później usłyszał warkot silników ciężarówek.

– Używali ich do transportu żywności i wywożenia zwłok. Słysząc było też pojedynczy strzał. Wszyscy, których nazwiska wyczytano, w tym Jasko Hrnić, zginęli tego dnia.

Sędziom pokazano zdjęcie podziurawionej kulami ściany, na której Hrnić napisał swoje nazwisko i datę.

– To były chyba urodziny jego syna – powiedział Kenjar. – Wypisywał tę datę wszędzie, na stołach i na podłodze. Dużo mówił o swoim synu.

Po złożeniu zeznań każdy ze świadków był pytany, czy rozpoznaje oskarżonego.

– *Da* – odpowiadał każdy z nich. Tak. Proszono też świadków, by wskazali oskarżonego. Tu zawsze następował dramatyczny moment, bo tak jak nie ma dwóch takich samych płatków śniegu, tak żadna z dłoni wskazujących na oprawcę nie wyglądała tak samo. Każdy wykonywał ten gest w inny sposób: niektórzy zdecydowanie, z dumą i przekonaniem, inni z wahaniem, czasami ze strachem, ale gestowi zawsze towarzyszyło spojrzenie pełne gniewu i nienawiści. Tadić zwykle opuszczał wzrok, ale czasami patrzył wyzywająco na świadka. Raz nawet skinął głową i uśmiechnął się pogardliwie.

W 2008 roku Tadić opuścił więzienie i jest teraz wolnym człowiekiem, mieszka w Belgradzie, wydaje wspomnienia i maluje pejzaże.

Przypadek sprawił, że to były więzień Omarskiej mieszkający w Holandii opowiedział mi ze szczegółami o życiu w obozie. Satko Mujagić otrzymał azyl w Lejdzie, dwadzieścia minut jazdy od Hagi, a później został liderem organizacji byłych więźniów. Mujagić, który spotykał się z siostrzenicą Karabašicia, opowiedział mi, co się działo dwa dni przed fatalnym 18 czerwca:

– Emir był w naszym pokoju, pobity tak bardzo, że nie mógł chodzić. Czuł chyba, że wkrótce zdarzy się coś strasznego. Był z nami człowiek o imieniu Hamdija, charyzmatyczny, z długimi włosami, wyglądał na artystę. Spytał Emira: „Co oni ci zrobili?”. Emir odpowiedział: „Nic w porównaniu z tym, co jeszcze zrobią”. Potem znów po niego przyszli. Jeden z więźniów dał mu marynarkę, mówiąc: „To cię trochę

osłoni”. Ale Emir odparł: „Nie będę już niczego potrzebował”. Słyszeliśmy piosenkę, którą puszczali wtedy, gdy mu to robili: to był znany przebój Sinana Sakicia *Pusti me da živim* [Pozwól mi żyć]. Krzyczał przez czterdzieści pięć minut, a my siedzieliśmy na górze i słuchaliśmy. To inny rodzaj krzyku niż przy zwykłym biciu, to krzyk człowieka, który wie, że to się nie skończy, że od śmierci dzieli go tylko minuty. Nie da się tego powtórzyć i w żadnych innych okolicznościach nie można usłyszeć niczego podobnego.

Mujagić wychował się w Kozaracu i należał, jak to nazywa, „do ostatniego normalnego rocznika w szkole średniej w Prijedorze”.

– Skończyłem szkołę w 1991 roku. Następny rocznik dostał dyplomy, ale rok szkolny w 1992 roku został skrócony, żeby Prijedor mógł wziąć udział w wojnie. Byłem zdolny, ale leniwy i łatwo się zakochiwałem.

Jego rodzice byli nauczycielami, a od 1985 roku do rodziny dołączyła babka Mujagicia ze strony ojca, z którą bardzo się zżył – choć gdy usłyszała, jak Satko puszcza „mistyczną muzykę, która mu się podobała”, pierwszy album Enigmy z elektroniczną wersją chorału polifonicznego, załamała ręce:

– Dokąd zmierza ten świat? – pytała. – Młodzi muzułmanie słuchają kościelnej muzyki!?

Drugiego dnia ataku na Kozarac, gdy dokoła eksplodowały pociski artyleryjskie, rodzina Mujagiciów postąpiła jak prawie wszyscy: uciekła do lasu. Ale babcia Mujagicia była zbyt słaba, by im towarzyszyć, i uparła się, że zostanie w domu.

– Nigdy nie przypuszczałem, że stanie się to, co się stało. Myślałem, że wrócimy za kilka dni. Powiedziałem do niej: „Babciu, będzie dobrze, niedługo wrócimy”. A ona spojrzała na mnie i odparła: „Kłamiesz, mój chłopcze. Nigdy nie wrócisz”. To były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałem. Nigdy więcej już jej nie zobaczyłem.

Kiedy Mujagić przyjechał do Holandii, mówił już dobrze po angielsku, a wkrótce nauczył się holenderskiego, grając w koszykówkę. W 1994 roku rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Amsterdamskim.

– Mimo wszystko pierwsze lata były traumatyczne. Radziłem sobie całkiem dobrze, ale czasami zdarzały się trudne chwile. Skończyłem dwadzieścia jeden lat w Haarlemie i urządziłem przyjęcie w ośrodku dla uchodźców. Inni ludzie świętowaliby swoje dwudzieste pierwsze urodziny z radością, a ja wybiegłem o trzeciej rano na ulicę, nagi od pasa w górę, krzycząc i płacząc.

Przed wojną Mujagić spotykał się z siostrzenicą Emira Karabašicia. Kiedy siedzieli obaj w jednej celi, niedługo przed tym, jak Karabašić został poddany straszliwej kaźni, spytał Mujagicia, jak miewa się jego krewniaczka. Mujagić spotkał swoją byłą dziewczynę po wojnie, na przyjęciu zorganizowanym przez diasporę w Holandii.

– Spytała mnie, co stało się z jej wujkiem. Zdołałem odpowiedzieć tylko: „Nie żyje”. Potem pobiegłem do łazienki, płakałem i wyłem: „Dlaczego? Dlaczego?” – a ona waliła do drzwi i pytała: „Satko, co się dzieje?”. Minęło półtorej godziny, zanim mogłem stamtąd wyjść.

Relacja Mujagicia pozwoliła nam precyzyjnie umiejscowić naszą wizytę z 5 sierpnia 1992 roku w historii obozu oraz określić, jaką rolę nasz przyjazd odegrał w jego zamknięciu. Tak opowiadał on o tych strasznych miesiącach:

– Siedzieliśmy beczynn timer na podłodze naszego pokoju w gorące czerwcowe i lipcowe dni, stłoczeni do tego stopnia, że niektórzy musieli opierać nogi na innych. Potem wywoływano kolejnych ludzi na

przesłuchania, tortury i śmierć. Co rano widzieliśmy nowe ciała na ziemi między Białym i Czerwonym Domem.

Niektóre morderstwa były szczególnie szokujące, jak w przypadku Sefika Sivaca, który przed wojną miał restaurację przy głównej drodze między Prijedorem a Banja Luką.

– Nosił szalone, kolorowe koszule, wszyscy natychmiast go po tym rozpoznawali. Kilka razy wrócił do naszego pokoju pobity, cały pokryty czarnymi sińcami. Pewnego razu w porze posiłku w pokoju zostaliśmy tylko Sefik i ja, bo nie byliśmy w stanie pójść po jedzenie. Zabrali go na przesłuchanie, ale się wyrwał i wrócił do pokoju; zrozumiałem, że chcą go zabić. Powiedziałem: „Schowaj się, Sefik!”. Ale on... Wiesz, jak dzieci tupią nóżkami? Więc on ze strachu tupał i krzyczał: „Nie! Nie!”. Potem znów go zabrali i po chwili krzyki ucichły. Później zobaczyłem stertę ciał rzuconych jedno na drugie, Sefik leżał na samej górze. To był słoneczny dzień, jak dzisiaj. Lubili to robić – ciągnął – i wcale się z tym nie kryli. Pewnego razu widziałem przez okno, jak zrzucają dziewiętnastokilogramową gaśnicę na plecy jakiegoś człowieka, aż ten po prostu się złamał, wszędzie była krew i białe odłamki.

Mujagić mówił dalej:

– Byliśmy stłoczeni, głodni, zgrzani i bardzo wystraszeni. Być może rozmawialiśmy ze sobą, ale nie pamiętam, co mówiliśmy, a jedynym wydarzeniem dnia był bieg po jedzenie i z powrotem oraz ciągi, jakie zbieraliśmy po drodze: trzech strażników po prawej, trzech po lewej, a jeśli upadniesz, już jesteś martwy.

Jednak dla niektórych głównym punktem dnia były wieczorne wiadomości.

Pewien więzień, niejaki Nagib Mahmudin, miał radio – w tych okolicznościach przedmiot na wagę złota. Mahmudin był wcześniej inżynierem w kopalni, teraz uwięzionym we własnym biurze. Każdego wieczora słuchał wiadomości i dopuszczał do tego sekretnego rytuału kilku wybrańców, w tym ojca Mujagicia.

– Co wieczór mój ojciec wstawał, wymykał się z pokoju, by odszukać Nagiba, i wracał godzinę później. Pytałem go: „Jakieś wieści, tato?”. A on zawsze odpowiadał: „Sarajewo, znów Sarajewo”. Po jakimś czasie zaczęliśmy się na niego złościć, że nic nie mówi, więc on z kolei zaczął przesadzać. „Niesamowite wiadomości!” – a my przez jakiś czas łudziliśmy się nadzieją, ale wkrótce przestaliśmy mu wierzyć i popadliśmy w zwątpienie. Nagle, pod koniec lipca, tata powiedział: „W wiadomościach wspomnieli o Omarskiej! Mówią o obozach!” – ale wtedy było już za późno. Staliśmy się żywymi trupami, a po poprzednich rozczarowaniach nikt nie zwrócił na to większej uwagi.

Nastał początek sierpnia, gdy Penny Marshall, Ian Williams i ja czekaliśmy w Belgradzie na potrzebne zezwolenia.

– Nagle listy stały się dłuższe – opowiadał Mujagić. – Ale zamiast wywoływać ludzi na zewnątrz i zabijać ich, wyczytywali po prostu setki nazwisk i pytali, czy dana osoba jest w obozie: stracili rachubę, kogo zabili, a kogo jeszcze nie. Serbowie nie byli tak zorganizowani i dokładni, jak Trzecia Rzesza. Nie wiedzieli, ile autobusów potrzebują, żeby zawieźć ludzi na egzekucję. Coś się działo, choć wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, o co chodzi. Po obietnicy, którą dał wam w Londynie, Karadžić uznał, że musi zamknąć ten obóz. Próbowali zredukować liczby: przeczytanie listy tysiąca stu nazwisk zajmowało cały dzień. Pomyślałem sobie: to żadna różnica, nieobecni już nie żyją, a ci, którzy zostali, umrą wkrótce. Miałem czerwonkę, mój sąsiad z pokoju umarł z powodu czerwonki i niedożywienia, a ja pomyślałem: tak to właśnie wygląda, zabiją nas wszystkich.

Jednak 4 sierpnia, jak opowiada Mujagić:

– Wszyscy z Hangaru, Garażu i Białego Domu zostali wyprowadzeni na asfaltowy plac. Było tam mnóstwo wychudzonych ludzi. Teraz już wiedzieliśmy, że naprawdę coś się dzieje. Podzielono nas na grupy: wybrano tych, których mieliście zobaczyć, bo byli w najlepszym stanie. Wszyscy wróciliśmy do środka, a nazajutrz usłyszeliśmy strzały w lesie [podczas inscenizowanego ataku]. Nie wiedzieliśmy, co to oznacza, ale byliśmy ciekawi, bo nigdy dotąd w pobliżu obozu nie dochodziło do starć. Kiedy już wyjechaliście, wszyscy wrócili do swoich kwater. Ci, którzy z wami rozmawiali, opowiedzieli o wszystkim innym. Po obozie rozeszła się wieść: „Dziennikarze tu byli – ktoś już o nas wie”.

Następnego ranka, 6 sierpnia, jak opowiadał dalej Mujagić:

– Po obozie rozeszła się pogłoska, że wyjeżdżamy. Wszyscy wyszliśmy na plac. Pamiętam, jak patrzyłem w niebo i myślałem: zobaczę słońce poza tym przeklętym miejscem. Ale autobusy nie przyjechały. Kazano nam wrócić do środka. Zastanawialiśmy się, czy to tylko jakaś dziwna gra. Kazano mi przejść do Garażu, były tam sto siedemdziesiąt cztery osoby. Było tak ciasno, że kiedy jeden z mężczyzn umarł, zawisł tylko bezwładnie między innymi, ale nie upadł, bo nie było na to miejsca. Słyszeliśmy warkot silników, a potem się dowiedzieliśmy, że wywieziono tysiąc dwieście osób.

Okazało się, że obozy są zamykane. Jednak w Omarskiej z niewiadomych przyczyn zatrzymano stu siedemdziesięciu czterech więźniów.

– Powiedzieli, że potrzebują pięciu ochotników do sprzątnięcia Białego Domu – wspominał Mujagić. – Byłem jednym z nich. Zobaczyłem swojego tatę na placu, czekał na transport. Chciałem się z nim pożegnać, powiedziałem: „Tato, to już chyba koniec, zostaję tu”. Zdjąłem łańcuszek, żeby mu go oddać, ale zmieniłem zdanie. Pomyślałem: nie, nie chcę umierać. Oddam ci go, kiedy zobaczymy się następnym razem. Więc zatrzymałem łańcuszek i poszedłem sprzątać Biały Dom. Wszędzie było pełno krwi, na podłodze leżały zakrwawione koszulki i ludzkie włosy. Od tej pory warunki życia więźniów pozostałych w obozie znacznie się poprawiły. Komendant Mejakić tłumaczył, że odwiedzą nas dziennikarze: „Dostaniecie dwa posiłki dziennie i będziecie spać w łózkach. Powiecie im, jak jest, a nie jak było. Jesteście tu od pięciu do piętnastu dni, jasne?”.

12 sierpnia do obozu przyjechali pracownicy Czerwonego Krzyża, by zarejestrować więźniów, rozdać papierosy i zabrać listy. Jednak przed każdą ich wizytą władze ukrywały pięć kobiet, które zostały jeszcze w obozie.

– Prosiłem ludzi z Czerwonego Krzyża, żeby zarejestrowali też kobiety – opowiada Mujagić. – Ale jakaś Szwajcarka powiedziała mi, że nie może tego zrobić, dopóki ich nie zobaczy.

Te kobiety – a właściwie te z nich, które przeżyły – były ostatnimi więźniami obozu w Omarskiej. Ponieważ nie zostały zarejestrowane, trzy z nich zabito: Velidę Mahmudin, Mugbilę Beširović i Hajrę Hadżić. Ich śmierć opisał później anonimowy świadek podczas procesu Željka Mejakicia.

– Pamiętam, jak wyprowadzili Hajrę Hadżić, która wcześniej przez cały czas była w Białym Domu, na asfaltowy plac, razem z mężczyznami. Myli ich wodą z węża, wszyscy byli nadzy. Hajra się wstydziła, próbowała zasłaniać się rękami.

Ważący zaledwie pięćdziesiąt kilogramów Satko Mujagić został 18 sierpnia przewieziony do Manjačy, potem do miejscowości Karlovac w Chorwacji i w końcu, 7 stycznia, do Holandii.

– Nagib Mahmudin został zabity razem z trzydziestoma sześcioma mężczyznami, których zabrali pod koniec lipca – dodaje Mujagić. – Mieliśmy nadzieję, że przeżyją, ale przepadli bez wieści. Radia nigdy

nie znaleziono.

Początki Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii (International Criminal Tribunal for the former Yugoslavia), utworzonego przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, sięgają dwóch różnych źródeł o bardzo odmiennym, wręcz przeciwstawnym charakterze. Z jednej strony MTKJ wyrażał ducha czasów: był częścią ruchu sięgającego korzeniami procesów norymberskich i konwencji genewskich, który przerodził się w szersze zainteresowanie prawami człowieka (czy wręcz przemysł humanitarny), humanitaryzmem i prawem wojennym. Podobno bezpośrednią rolę w utworzeniu Trybunału odegrał również szok wywołany odkryciem obozów przez naszą grupę. Z drugiej strony, równoległe do MTKJ oraz innego doraźnego trybunału, stworzonego specjalnie do sądzenia zbrodni popełnionych w Rwandzie, rodził się Międzynarodowy Trybunał Karny, powstały ostatecznie w 2002 roku, także w Hadze, który ma działać stale i zajmować się wszystkimi zbrodniami wojennymi oraz naruszeniami praw człowieka. Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, przed którym mogły się sądzić całe państwa, istniał od 1945 roku.

Trybunał do spraw byłej Jugosławii powstał jednak również z innej przyczyny. Rada Bezpieczeństwa podjęła uchwałę o utworzeniu tej instytucji w maju 1993 roku, gdy zdrada i zaniedbania ONZ wobec ofiar wojny nie mogły być pełniejsze ani bardziej oczywiste. To właśnie w takiej atmosferze Narody Zjednoczone, wspierane przez zniecierpliwioną Amerykę, powołały do życia Trybunał, który miał zrównoważyć haniebną bezczynność tej organizacji. Stworzenie Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii było drugą stroną tej samej monety, za którą ONZ sprzedała Bośnię na rzeź, a tym samym wyrazem skruchy i ambicji zarazem. Cele Trybunału, określone przez ONZ, wykraczały poza ukaranie winnych łamania praw człowieka i praw międzynarodowych. Miały również obejmować oddanie sprawiedliwości „ofiaram” – a więc potencjalnie coś bardzo odmiennego. Działalność nowej instytucji miała „zapobiec międzynarodowym zbrodniom w przyszłości” i „przyczynić się do przywrócenia pokoju poprzez zachęcanie do »pojednania« w byłej Jugosławii”. Były to więc cele bardzo szczytne, ambitniejsze niż zwykłe osądzanie winnych i być może nawet bardziej dalekosiężne, niż przypuszczała Rada Bezpieczeństwa. Cała ta mieszanka skruchy i ambicji przywodziła na myśl coś, co Peter Maguire, autor książki o dziedzictwie procesów norymberskich, nazywa „sprawiedliwością terapeutyczną”.

Lecz pomimo tej wielości zadań – a może dzięki niej – Trybunał był początkowo prężnym i sprawnie działającym organizmem, który w niczym nie przypominał późniejszej, rozdętej maszyny biurokratycznej. Grupa prokuratorów i pracowników obsługi technicznej wprowadziła się do budynku zajmowanego wcześniej przez firmę ubezpieczeniową Aegon przy Churchillplein i zabrała się do pracy pod kierunkiem Richarda Goldstone’a, byłego powiernika Nelsona Mandeli. Wśród prokuratorów znajdowali się ludzie, którym z pewnością nie brakowało motywacji, jak choćby oskarżyciele w procesie Tadicia: pułkownik amerykańskiej piechoty morskiej Michael Keegan oraz Alan Tieger, były obrońca z urzędu z San Francisco. Tieger, nieustępliwy drapieżnik i potomek więźniów Oświęcimia, został później członkiem haskiej „drużyny marzeń” z niezmordowanym Markiem Harmonem, z którym wcześniej współpracował w Kalifornii. Prokuratorzy w równej mierze angażowali się w misję sądowniczą i polityczną Trybunału. Podczas długich rozmów, które odbywałem z nimi jako świadek, przekonałem się wielokrotnie, że bardzo poważnie traktują swoje sprawy i swoich świadków. W długie letnie wieczory godzinami przesiadywaliśmy w kawiarniach przy Frederik Hendriklaan, analizując historię tej wojny. Jednak w tym

towarzystwie nie byłem dziennikarzem. Jak powiedział Albert Camus, odbierając Nagrodę Nobla w 1957 roku: „Bycie pisarzem to zaszczyt, bo niesie w sobie zobowiązanie: robić coś więcej, niż pisać”. Właśnie dlatego zeznawałem przeciwko Tadiciowi i brałem później udział w wielu innych procesach.

Nie miałem wówczas pojęcia, jak liczne kontrowersje ani jak silny sprzeciw w obrębie środowiska dziennikarskiego wzbudzi moja decyzja, by zeznawać przed Trybunałem. Wielu moich kolegów po fachu nie zgodziło się występować przed sądem. Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał się usprawiedliwiać, ale zrobiłem to, a przynajmniej próbowałem.

Powody, dla których postanowiłem brać czynny udział w procesach, z upływem czasu stawały się coraz bardziej złożone. Na początku wystarczało mi jednak tyle: uważałem, że sprawcy tych zbrodni powinni być osądzeni, i chciałem pomóc. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłby to być jakiś rodzaj zdrady ideałów zawodowych (o co zostałem później oskarżony). Łączyła się z tym kwestia odpowiedzialności obywatelskiej: gdybym zobaczył, jak ktoś napada na ulicy na staruszkę, bije ją i okrada, zeznawałbym w procesie sprawcy. (Tyle że w tym przypadku chodziło o obywatelstwo międzynarodowe, które zawsze było dla mnie ważniejsze niż okładka mojego paszportu).

Haga była również zadośćuczynieniem za karygodną neutralność „społeczności międzynarodowej”. Moim zdaniem decyzja o odmowie zeznań, podjęta przez niektórych dziennikarzy, jest odzwierciedleniem tej neutralności. Nadaje im status swego rodzaju kapłaństwa, którego nie mogłem – i nadal nie mogę – zrozumieć, jakby czwarta władza stała w jakiś sposób ponad prawem. Wydaje mi się, że moi krytycy myślą ze sobą dwa pojęcia: obiektywizm i neutralność. Obiektywizm to wierność faktom, a reporterzy zawsze muszą być obiektywni: nie możemy i nie powinniśmy wypaczać faktów. Neutralność to jednak zupełnie co innego, co powie wam każdy szwajcarski bankier obracający złotem. Są takie momenty w historii, gdy neutralność nie oznacza bezstronności, lecz współudział w zbrodni. Stojąc pomiędzy strażnikiem obozu a więźniem, między gwałconą kobietą a bestią, która ją gwałci, nie chcę być neutralny.

Postrzegałem wojnę również jako serię osobistych niepowodzeń: zawiodłem, bo nie umiałem znaleźć języka, który mógłby ją należycie opisać, i zawiodłem, bo nie zdołałem przyciągnąć uwagi czytelników w takim stopniu, by doprowadzić do zmiany polityki i zakończenia tej masakry – nie wspominając już o innych niepowodzeniach, jak choćby w sytuacji, gdy nie biegłem dość szybko, by donieść na czas siedmioletnią dziewczynkę, postrzeloną w głowę przez snajpera w Bosanskiej Krupie, do lekarza, który mógłby jej pomóc. Miotała się z bólu niczym ryba wyrzucona na brzeg, nim znalazła ukojenie w śmierci. Zeznawanie było dla mnie ostatnią szansą na choćby częściowe zadośćuczynienie za te wszystkie niedociągnięcia.

W pierwszym okresie działalności Trybunału w Hadze odniesienia do procesów norymberskich były wszechobecne.

– Podczas procesów norymberskich uznano – mówił główny oskarżyciel Goldstone, gdy spotkaliśmy się przed otwarciem procesu Tadicia – że społeczność międzynarodowa ma prawo, jeśli nie obowiązek, karać sprawców wszystkich zbrodni przeciwko ludzkości. Chodziło o to, by nigdy już nie trzeba było prowadzić takich procesów. Ale nadzieja „nigdy więcej” zamieniła się w rzeczywistość „jeszcze raz i jeszcze raz”.

Początkowo nie byłem nawet skłonny nazywać Omarskiej i Trnopolja „obozami koncentracyjnymi” ze względu na liczne unikatowe aspekty Holokaustu oraz na jego skalę. Tanie hasła tytułów prasowych w rodzaju *Belsen 1992* doprowadzały mnie do furii. Jednak po namyśle doszedłem do wniosku, że bez

wątpienia były to obozy koncentracyjne, choćby w świetle pierwotnej definicji powstałej w czasie wojen burskich: były to miejsca, gdzie „koncentrowano” niewinnych cywilów, którzy w oczekiwaniu na deportację padali ofiarą masowych mordów i tortur – jeśli rzeczywiście jakaś deportacja w ogóle miała nastąpić, co w przypadku Omarskiej wydaje mi się wątpliwe. Wciąż jednak nie byłem pewien, jakiego słownictwa używać, mówiąc o bośniackich obozach w zestawieniu z Holokaustem. Skonsultowałem się z Thomasem Buergenthalem, prezesem Komisji Sumienia w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, oraz z dyrektorem muzeum Walterem Reichem, prosząc o pomoc w znalezieniu terminologii, która nie umniejszałaby Shoah ani nie wyolbrzymiała tego, co stało się w Bośni. Spytałem, czy właściwe będzie w tym przypadku słowo „echo”, na co Reich odpowiedział: „Echo czyste i głośnie”. W tym momencie stało się jasne, że nie mogę uniknąć wizyty w najmroczniejszym z miejsc, by usłyszeć pierwotny dźwięk, którego echo przejmowało stopniowo kontrolę nad moim życiem. I powinienem je odwiedzić w towarzystwie kogoś, kto przeżył to piekło.

Antrakt

Echa Trzeciej Rzeszy: Auschwitz-Birkenau

Więc wróciłam. Nie wiedzieliście, że stamtąd można wrócić, prawda?¹⁰

Charlotte Delbo, była więźniarka obozu w Oświęcimiu

Wieje lodowaty wiatr, jest siedemnaście stopni poniżej zera, lecz to nie zimno wywołuje dreszcze. Nie wywołują ich też duchy, bo w Auschwitz nie ma żadnych duchów: one też umarły. Ten dreszcz przychodzi gdzieś z przekłętej ziemi przykrytej warstwą śniegu – z nierównych krawędzi kamieni i betonu, ostrych, okrutnych ruin powstałych, gdy naziści wysadzili wszystko w powietrze, próbując ukryć to, co się tutaj stało. Krematorium II zapadło się w siebie, zamieniło w skupisko kanciastych kształtów rozrzuconych na wszystkie strony. Boczne ściany się zawaliły, odłamki betonu odpadły od stalowej siatki, ale żelazne dźwigary wciąż podtrzymują centralny fragment sufitu krematorium. Ocalała również tylna ściana – nie licząc trzech otworów wybitych w murze, które przywodzą na myśl wielkie wizjery. Nie te niesławne wizjery ukryte w komorach gazowych, przez które naziści obserwowali, jak umierają ich ofiary, lecz raczej takie dla ciekawskich oczu pamięci lub historii. Bo naziści nie dokończyli dzieła: eksplozje, które miały ukryć ich zbrodnie, odsłoniły tylko wnętrza metalowego systemu nerwowego komór gazowych i krematoriów; poskręcane, wykrzywione pręty zbrojeniowe wyglądają jak węże, które wypełzły z rumowiska w przerażającą ciszę. Nawet kolory są tu wyciszone: biel i czerń, metal i śnieg. Czerń: pająki wież strażniczych z pochyłymi dachami i nogami z czarnych pali, czarne ogrodzenie umocowane na czarnych słupach, a w tle śnieżna, sypka biel. Biel i czerń, ale nie taka jak na fotografiach, nawet na fotografiach z Auschwitz, gdzie są też półcienie, rozmyte krawędzie. W rzeczywistym Auschwitz (przynajmniej w zimie) czerń jest zbyt czarna, a biel zbyt biała, wyjątkiem jest tylko niepojęta, niezdrowa żółć, która nie przynależy do fizycznego krajobrazu, ale sączy się w przedziwny sposób ze zmiernych, otula drzewa, które same w sobie wydają się chore. Czarna metalowa brama z żelazną kratą, jedyny ruchomy element w tym krajobrazie, kołysze się na zawiasach, zaprasza na drogę strzeżoną przez kolejne pająkowate wieże strażnicze, prowadzącą do kwadratowej, spiczastej wieżyczki. Patrząc na rozkołysaną bramę, można odnieść wrażenie, że zaledwie przed chwilą przeszła tędy milcząca kolumna ludzi.

Ale ile trwa chwila w Auschwitz? Odeszli stąd pięćdziesiąt pięć lat temu, bo dziś jest 19 stycznia 2000 roku. Jednak w Auschwitz nie ma „rzeczywistego czasu”: on również umarł, razem z duchami. Tu istnieje tylko czas rozpadu, ciężki jak te prochy ukryte w zamrażniętym małym stawie, szczątki, jak głosi napis, około miliona ludzkich istnień. „Pamięci mężczyzn, kobiet i dzieci, ofiar nazistowskiego ludobójstwa – głosi inskrypcja. – Niech spoczywają w pokoju”. To miejsce jest straszne i święte jednocześnie, to czarna dziura w Europie, epicentrum.

Na metalowym stojaku umieszczona jest fotografia, która łączy przeszłość z teraźniejszością. Pokazuje grupę żydowskich kobiet i dzieci z Węgier, które właśnie przyjechały pociągiem i wysiadają na peronie, na którym teraz stoję. Tory, które ich tu przywiodły, prowadzą pod łukiem bramy wjazdowej przez serce obozu, aż do morderczego kompleksu na jego tyłach. Tam nagle się urywają, niczym stalowe żyły ucięte skalpelem. Koniec linii.

Wizyta w Auschwitz-Birkenau powinna być swego rodzaju hadżem dla każdego Europejczyka mojego pokolenia, obowiązkową pielgrzymką, którą należy odbyć choć raz w życiu. Wszyscy wiedzą, że aby zrozumieć swoją epokę, trzeba pojąć, co ją poczęło, a żeby zrozumieć, co poczęło drugą połowę dwudziestego wieku w Europie, trzeba odetchnąć zimnym, bezlitosnym powietrzem tego miejsca. Przybyłem tu z kimś, kto stał się dla mnie swego rodzaju mentorem: Thomasem Buergenthalem, niezwykłym człowiekiem, który przeżył likwidację getta w Kielcach, Auschwitz, marsz śmierci z tego obozu i Sachsenhausen, jednym z wielkich obrońców praw człowieka naszych czasów. Do ludzi ocalonych z Holocaustu mówi się i słucha się ich w określony sposób – a także, oczywiście, na pewne sposoby się nie mówi i nie słucha – a ja musiałem przyjechać tu z Buergenthalem między innymi po to, by nauczyć się rozmawiać zarówno z nim, jak i ze znanymi mi więźniami Omarskiej.

Poznaliśmy się w Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie podczas konferencji zorganizowanej tam w 1998 roku. Gdy wszedł na mównicę, uśmiechał się promiennie, a jego twarz wydawała się niemal dobroduszną. Kiedy jednak zaczął przemawiać, w jego zachowaniu pojawiła się zdumiewająca ambiwalencja, ta charakterystyczna cecha ludzi ocalałych z Auschwitz. Jego oczy były przyjazne i gniewne zarazem, nieustraszone i smutne – życzliwe i szelmowskie, jak oczy sowy, w których tuż pod powierzchnią siatkówki kryje się warstwa hartowanej stali. Był drobnym mężczyzną, ale zamknięta w nim moc przywodziła na myśl łaskę dynamitu.

– Przypominają mi się słowa pewnej piosenki w jidysz, którą słyszałem w kieleckim getcie – powiedział. – Ono płonie, płonie / Nasze miasto płonie, a wy stoicie z założonymi rękami / Patrzycie i nic nie robicie.

Konferencja (na której ja również miałem przemawiać) odbywała się w pięćdziesiątą rocznicę przyjęcia przez ONZ Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, co miało miejsce w 1948 roku. Buergenthal mówił dalej:

– Zawsze, gdy słyszę te piosenki, mam przed oczami śpiewających je ludzi w getcie. Ich przekaz jest dobrze znany ofiarom z Bośni i Rwandy oraz miejsc, których nazw już nie pamiętamy. Nazwy się zmieniają, ale nie zmienia się ludzkie cierpienie ani obojętność społeczności międzynarodowej. Nim w końcu podejmiemy jakieś działania, jeśli w ogóle je podejmujemy, giną tysiące niewinnych ludzkich istnień. – Buergenthal odchrząknął i mówił dalej, odnosząc się jednak nie do Holocaustu, lecz do teraźniejszości i przyszłości: – Jak wytłumaczymy dzieciom i wnukom, że w naszym świecie potrafimy szybko zorganizować czterdzieści miliardów dolarów, by ratować gospodarkę tego czy innego dalekiego kraju, bo jej upadek może źle wpłynąć na notowania na giełdzie, ale guzdrzemy się niemiłosiernie, gdy trzeba ratować ludzi przed śmiercią i cierpieniem zadawanymi przez bezlitosny reżim? Och, znam wszystkie odpowiedzi na to pytanie. Usprawiedliwiają naszą beczynność, umacniają kłamstwa, które sobie wmawiamy. Ale dzieci nie dadzą się oszukać, przynajmniej dopóki są dziećmi, i rozumieją cierpienie innych.

Tego wieczora zebrałem się na odwagę i podszedłem do Buergenthala, zamierzając mu powiedzieć, jak bardzo poruszyło mnie jego przemówienie.

– Witam – powiedział, a potem ku memu zdumieniu dodał: – Wiem, kim pan jest.

Zostaliśmy przyjaciółmi i wkrótce potem – wraz z angielską żoną Toma, Peggy, oraz moją partnerką Caroline – wsiedliśmy do dwusilnikowego dwupłata, który przewiózł nas z Wiednia do Krakowa, stamtąd zaś ruszyliśmy do Auschwitz.

Wynajęliśmy samochód i pojechaliśmy przez mokrą breję wąską drogą prowadzącą do skrzyżowania, na którym stał wyblakły, rdzewiejący drogowskaz z nazwami trzech miejsc: Katowice, Kraków i Oświęcim.

– Auschwitz – wyszeptał do siebie Buergenthal. Zaczął opowiadać o swoich wspomnieniach z obozu, napomknął nawet o doktorze Josefie Mengelem, choć nie pamiętał jego twarzy.

– Nigdy nie patrzyliśmy im w twarz, nie ważyliśmy się – mówił. – Gdybyś spojrział im w oczy, mogliby to zauważyć i powiedzieć: „Na co się gapisz, brudny Żydzie?”. Dałbyś im w ten sposób pretekst, żeby cię pobili albo zamordowali. Patrzyłeś przez nich, nigdy na nich. Nie mieli twarzy, Mengele szczególnie – tłumaczył Buergenthal, gdy przejechaliśmy przez miejscowość Zator niedaleko Auschwitz i zatrzymaliśmy się, by kupić czekoladę.

Historia Buergenthala jest zbyt długa i niezwykła, by ją tu przytaczać, opisał ją sam w autobiografii zatytułowanej *Dziecko szczęścia* (2008). Wystarczy tylko wspomnieć, że to jedna z najbardziej niezwykłych opowieści, jakie kiedykolwiek słyszałem, począwszy od likwidacji getta w Kielcach, kiedy to mały Buergenthal wystąpił z szeregu dzieci czekających na eksterminację i zaproponował komendantowi obozu, że będzie dla niego pracował, ten zaś, zdumiony, przystał na tę propozycję. Dotarliśmy na obrzeża Oświęcimia, minęliśmy stację benzynową, sklep i basen miejski oraz małą tablicę z napisem: „Muzeum Auschwitz”. Buergenthal nie zwracał na to wszystko uwagi, wpatrzony przed siebie:

– Jedźmy dalej – powiedział. – Prosto na miejsce.

Droga wyprowadziła nas na pustą, posępną, skutą lodem równinę. Po pięciu kilometrach z białej mgły niczym otwarta paszcza wyłoniła się brama Auschwitz-Birkenau. Na parkingu stały trzy samochody i budka telefoniczna.

– Jesteśmy na miejscu – wyszeptał Buergenthal.

Krematorium III, wysadzone przez nazistów w powietrze 20 stycznia 1945 roku, gdy opuszczali obóz. Szpetny kształt na tle bieli. W pobliżu nie ma nikogo, kto zatrzymałby gości, którzy łamią przepisy i wchodzą po tych samych schodach co skazańcy, powoli i z drzeniem, wsuwają się do przedpokoju, gdzie Żydzi zdejmowali ubrania i składali je albo wieszali na wieszakach. Często jako pierwsze szły tędy kobiety i dzieci, a dopiero za nimi mężczyźni, których zazwyczaj było mniej. Dach nad przebieralnią został zniszczony przez eksplozję, teraz nad naszymi głowami jest otwarte niebo, pod nogami skrzypi biały śnieg – ale mimo to brakuje tu powietrza, trudno oddychać. Patrząc na te wyszczerbione krawędzie kamieni, na poskręcane macki żelaza, na czerwone cegły ścian zatłoczonej komory gazowej, chce się zapytać: „Co widziałyście? Co słyszałyście?”. Potem wyobraźnia cofa się szybko w obawie przed tym, co mogłaby usłyszeć.

Wróciłam spośród zmarłych i uważałam, że to daje mi prawo, by rozmawiać z innymi, ale gdy stanęłam z nimi twarzą w twarz, nie miałam nic do powiedzenia, bo nauczyłam się tam, że nie można rozmawiać z innymi¹¹.

Charlotte Delbo

Ci, którzy uszli stąd z życiem, zapewne wycofują się i ukrywają swoje wspomnienia w podobny sposób, co być może jest dla nich koniecznym warunkiem przetrwania. Holokaust istnieje teraz w ruinach pamięci tych nielicznych, którzy jeszcze żyją i nie zapomnieli. Ale ocalałszy, nie mają innego wyjścia, jak tylko dalej walczyć o przetrwanie. Wielu z tych, którzy ocaleli fizycznie, przez lata prowadziło wewnętrzną walkę o przetrwanie tylko po to, by przekonać się, że w głębi serca nie zdołali ocaleć. Należeli do nich twórcy tacy jak Primo Levi, Tadeusz Borowski, Jean Améry i niezliczona rzesza innych,

k którzy na pozór uszli z życiem, lecz potem sami jesobie odebrali. Inni jednak, wybrawszy raz życie, trzymają się tego wyboru – nawet jeśli wszelkie próby pogodzenia pamięci o Auschwitz z „normalną” egzystencją skazane są z góry na niepowodzenie. To ci, którym udaje się zachować wolę życia, którzy mają w sobie dość sił, dość gniewu i dość pustego śmiechu ocalonych. Thomas Buergenthal jest jednym z nich.

Tamtego popołudnia 19 stycznia 2000 roku Buergenthal stanął wysoko ponad przygnębiającym krajobrazem, spojrzął na Auschwitz z miejsca, do którego z pewnością nie miałby dostępu jako chłopiec przybyły tu w sierpniu 1944 roku, w tym samym czasie, co Węgrzy ze zdjęcia. Wyjrzał przez okno pokoju obserwacyjnego ss, umiejscowionego nad łukiem bramy, pod którym przechodzą tory kolejowe. Pod tym łukiem Buergenthal przeszedł na piechotę, opuszczając Auschwitz dokładnie pięćdziesiąt pięć lat temu jako uczestnik procesji skazańców, którą historia nazwała potem oświęcimskim marszem śmierci.

Buergenthal przeżył w dużej mierze także dlatego, że o tym właśnie mówił mu jego ojciec – któremu nie udało się ocaleć – przez długie miesiące spędzone razem w obozie.

– Pewnej bezchmurnej nocy – wspominał Buergenthal – zabrał mnie na zewnątrz i pokazał mi gwiazdy, opisywał poszczególne konstelacje. Chciał mnie nauczyć tylko jednego: że jedynym prawdziwym zwycięstwem jest przeżycie. Że moim obowiązkiem jest przeżyć. My mieliśmy ocaleć, a oni mieli przegrać wojnę. Jednak teraz, kiedy patrzę na to miejsce, nie pojmuję, jak udało mi się przetrwać – powiedział cicho, spoglądając na pusty, zasypany śniegiem obóz. – Nie wszystko pamiętam i to jest właśnie mój ratunek. Kiedy jesteś tak blisko krawędzi, lepiej nie patrzeć w dół. Wciąż mam wrażenie, że to przydarzyło się komuś innemu, nie mnie. To nie ja byłem w tym obozie. Pierwszej selekcji dokonywano tutaj, na peronie – kontynuował Buergenthal, schodząc na dół i strącając śnieg ze stopni. – Zaraz po przyjeździe transportów. Starców i dzieci natychmiast odprowadzano na bok i posyłano do komór gazowych. – Szliśmy teraz wzdłuż torów. – Transporty przyjeżdżały dzień po dniu, naziści wyprowadzali ludzi z wagonów na peron, na rampę, i tam przeprowadzali selekcję. – Na metalowym stojaku znajdowała się fotografia, przedstawiająca tłum wystraszonych ludzi o ciemnych oczach, prowadzony przez esesmanów. – Tak właśnie wyglądaliśmy po przyjeździe – powiedział Buergenthal bardziej do siebie niż do nas.

Buergenthal został oddzielony od swojej matki, która zdążyła tylko zdjąć buty i przekazać je synowi.

– Była tak drobna, że pasowały na mnie.

Potem, gdy odprowadzono już Gerdę, chłopiec stanął w szeregu, przytulony do swego ojca, i pomaszerował wraz z innymi mężczyznami do łaźni, gdzie więźniów myto i tatuowano im numery. Pierwszy poszedł jego ojciec, Mundek, który otrzymał numer B2930, Thomas dostał numer B2931. Obaj trafili do grupy baraków oznaczonych przez władze obozu jako B-IIe.

– Krematoria dymiły bez ustanku, nocą niebo było czerwone od ognia, w powietrzu unosił się straszliwy smród palonych ludzkich ciał. Wciąż słyszeliśmy krzyk ludzi prowadzonych do komór gazowych. Dręczyły mnie okropne koszmary.

Barak Buergenthala znajdował się na tyłach obozu i podobnie jak większość pozostałych zamienił się z czasem w stertę gruzu, z której sterczały jedynie kominy.

– Jak nagrobki – stwierdziła żona Buergenthala, Peggy.

Zatrzymaliśmy się przed drewnianymi drzwiami jednego z baraków.

– Wygląda dokładnie tak, jak nasz – powiedział Buergenthal. – Tak właśnie mieszkaliśmy, po

dziesięciu na jedną piętrową pryczę. W barakach kobiecych prycze wykonane były z cegieł, w naszych z drewna. – We wnętrzu baraku unosił się zapach ziemi i wilgotnego drewna. – Zawsze panował tu idealny porządek – wspominał Buergenthal. – I zawsze było tu zaskakująco cicho, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, ilu ludzi zamkniętych było w jednym takim pomieszczeniu. To wynikało ze strachu, wszechogarniającego strachu. – Podniósł wzrok na napis sporządzony wyblakłym już gotykiem. *Reden ist Silber, Schweigen ist Gold* – mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Buergenthal przeżył też selekcje przeprowadzane przed barakami, gdzie właśnie staliśmy.

– Uzbrojeni w karabiny strażnicy z psami ustawiali nas w szeregu. Staliśmy tu na zimnie, a cała sztuka polegała na tym, żeby podczas selekcji znaleźć się jak najbliżej ściany, na końcu szeregu, przy drzwiach, a potem, kiedy odliczali od drugiej strony szeregu, wślizgnąć się do środka. – Z szelmowskim błyskiem w oku, który nieco rozjaśnił ponure otoczenie, Buergenthal pokazał nam ten manewr, wsuwając się chyłkiem do baraku.

Trudno doszukać się logiki w próbach ucieczki Thomasa Buergenthala, zwłaszcza tej, którą podjął, kiedy został rozdzielony z ojcem. Buergenthal wspominał ją, zapatrzonego w przeszłość, oślepionego niemal przez płatki śniegu, które pokryły szkła jego okularów.

– Mojego ojca zabrano wraz ze wszystkimi ludźmi z Kielc, którzy wciąż jeszcze żyli. Ustawiono nas w szeregu, przygotowując do transportu, ale zabierali tylko tych, którzy byli dość silni, by pracować. – Do takich ludzi należał ojciec Toma, ale nie dziecko, które miało trafić do komory gazowej. Ojciec Buergenthala odwrócił się do swojego syna i „uśmiechnął się przelotnie”, nim popędzono go dalej. – Widziałem, jak jego plecy znikają w tłumie, podczas gdy nas, przeznaczonych na śmierć, przeprowadzono do tymczasowego aresztu. Kazano nam tam czekać, ale drzwi na tyłach sali były otwarte. Zacząłem przemykać się w tamtym kierunku, lecz inni, starsi ludzie z Kielc, którzy znali mnie od lat, zawołali strażników, mówiąc: „Hej, a ty dokąd się wybierasz?”. Choć i tak czekała ich śmierć, nie chcieli, żebym ja uciekł. Gdyby nie zdradzili mnie moi towarzysze niedoli, udałoby mi się. Raz zdarzyło się, że pomyślałem: to już koniec. Przegrałem. Umrę. Pamiętam, że ogarnął mnie wtedy wielki spokój. Byłem gotów odejść. Nie buntowałem się. Kiedy w grę wchodzi przeżycie, nie wdajesz się w bezsensowne kłótnie. Było nas wtedy zbyt mało, około trzydziestu, by opłaciło się zużyć na nas całą porcję gazu. To byłaby rozrzutność. Zabrali nas więc do izby chorych i kazali czekać do następnego dnia. Zasnąłem, a kiedy się obudziłem, byłem sam. Wszyscy pozostali poszli do komór gazowych.

Jeden z lekarzy zlitował się nad nim i podmienił kartę zawieszoną na jego szyi, kierując go do szpitala zamiast do komory. Od tej pory Thomas Buergenthal nie miał w Auschwitz nikogo – nie licząc dwóch przyjaciół – i został przeniesiony do obozu dla dzieci, *Kinderblok*, gdzie zajmował się „głównie pchaniem wózka ze śmieciami”.

Ostatni apel w Auschwitz odbył się 17 stycznia, gdy dokoła grzmiała już artyleria Armii Czerwonej. O pierwszej w nocy 18 stycznia rozpoczęła się ewakuacja: wyprowadzanie kobiet, w tym matki Thomasa, zaczęło się przed świtem i trwało przez prawie cały dzień. Wśród ostatnich więźniów wyprowadzonych z obozu były dzieci z *Kinderblok*, które miały za zadanie niszczyć dowody i cegła po cegle rozbierać komory gazowe i krematoria.

– Ale radzieckie wojska były już blisko – wspominał Buergenthal. – A pracy zostało jeszcze mnóstwo.

Małe rączki więźniów *Kinderblok* nie radziły sobie z tym zadaniem, więc władze obozu postanowiły wysadzić wszystko w powietrze i odejść, zabierając ze sobą tych, którzy pozostali jeszcze przy życiu.

Thomas Buerenthal i – jak szacują historycy – około tysiąca innych osób zostali ustawieni w kolumnie i wyprowadzeni przez bramę na drogę za obozem. Tu dołączył do nich inny „transport” około dwóch i pół tysiąca więźniów z głównego obozu Auschwitz I oraz grupa jeńców z Armii Czerwonej. Czekali na lodowatym wietrze, każdy okryty jedynie więzienną „pizamą”, jak nazywał je Buerenthal, i jednym kocem. Thomas wciąż nosił buty, które dała mu matka tuż po przyjeździe do obozu, za skarpetki służyły mu kawałki szmat owinięte wokół stóp.

– Stały tu tysiące ludzi – opowiadał, gestykulując. – Zajmowali całą drogę, jak okiem sięgnąć.

W górze, w promieniach wschodzącego słońca przelatowały z głuchym pomrukiem radzieckie bombowce, aż wreszcie, jak opisywał to potem Buerenthal:

Byliśmy gotowi do wymarszu. Esemmani popędzali kolumny ludzi odzianych w biało-niebieskie pasiaki. Odwróciłem się i zobaczyłem kanciasty komin Krematorium IV na tle czystego zimowego nieba. Był to niezwykle kojący, niemal idylliczny widok. Przez łzy, które napłynęły mi do oczu, widziałem, że po raz pierwszy od lat nie wypływa z niego dym. Przez wiele nocy patrzyłem w stronę krematorium, widziałem dym i ogień podsycany ciałami tysięcy ludzkich istnień. Nagle dostrzegłem stado ptaków przelatujących wysoko nad zaśnieżonym obozem. To były pierwsze ptaki, które widziałem od przybycia do Auschwitz. Ich obecność była kolejnym znakiem, że krematorium zostało zamknięte. Przez długie lata ptaki trzymały się z dala od Auschwitz ze względu na zanieczyszczone powietrze. Odwróciłem wzrok. Nie myślałem o ludziach, którzy tu zginęli. Miałem poczucie zwycięstwa, a jakiś głos w moim wnętrzu powiedział: znów was pokonałem!

Niezwykła – i zwycięska – historia Thomasa trwała dalej. Kiedy naziści mordowali jego współwięźniów, ukrył się pod zwłokami w wagonach kolejowych. Został uwięziony w Sachsenhausen, gdzie amputowano mu odmrożony palec u nogi i gdzie trafił pod skrzydła norweskiego więźnia, Odda Nansena. Gdy Rosjanie wyzwolili obóz w Sachsenhausen, rozpoczęła się dla Thomasa swoista przygoda: przydzielono go do polskiego pułku podlegającego Armii Czerwonej. Został od razu maskotką pułku – uszyto dlań specjalny mundur i podarowano mu kucyka. Z Polakami czternastoletni Thomas nauczył się, „jak pić wódkę i strzelać do porcelanowych izolatorów na słupach telegraficznych”. Potem wkroczył wraz z nimi do zniszczonego Berlina, pamięta, jak uczył tam jakiegoś rosyjskiego żołnierza jeździć na zrabowanym rowerze. Gdy wojna wreszcie się skończyła, trafił do sierocińca w Otwocku, przekonany, że choć jego matka zapewne zginęła, ojciec musiał przeżyć. Okazało się, że było odwrotnie.

Gerda Buerenthal została przewieziona z Auschwitz najpierw do Ravensbrück, potem do obozu pracy w Mecklenburgu i w końcu do Dachau. Później została wysłana w błędny marsz śmierci kobiet, które wędrowały bez konkretnego celu wśród trupów między rosyjskimi i niemieckimi liniami, podczas gdy wokół rozpadała się Trzecia Rzesza. Zostały w końcu porzucone we wsi Elbe – esesmani zniknęli i nie pojawili się nigdy więcej. Przypadkiem zobaczyła w niemieckiej gazecie zdjęcie brytyjskiego żołnierza prowadzącego za rękę grupę dzieci w zrujnowanym Berlinie. Była pewna, że jedno z tych dzieci to jej syn. Wiedzioną tym błędnym przekonaniem, Gerda dołączyła do setek tysięcy kobiet, które wędrowały po Europie, nosząc ze sobą zdjęcia swoich dzieci, pokazując je wszystkim i pytając, pytając. Szukała oczywiście także swojego męża.

Gerda przeglądała listy i rejestry przygotowane przez organizacje humanitarne. Wróciła do Polski z grupą innych wycieńczonych, zniechęconych Żydówek, które również poszukiwały swoich krewnych. Jednak w Kielcach Gerda zachorowała i – dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności – trafiła pod opiekę lekarza, który poprzednio pracował w Sachsenhausen. Opowiedział jej o poznanym tam chłopcu imieniem Tomek, który mówił płynnie po polsku i niemiecku. Gerda nie musiała się długo zastanawiać, kim było to dziecko, i postanowiła natychmiast wrócić do Niemiec. Jak na ironię, znajdowała się zaledwie kilka kilometrów od sierocińca, w którym przebywał jej syn.

Wróciła do Berlina i Sachsenhausen, ale przez długie miesiące nie zdołała niczego ustalić: wiadomości przekazywane przez Czerwony Krzyż nie przynosiły niczego nowego, a stan jej zdrowia się pogarszał. Gerda wezwała na pomoc wieloletniego przyjaciela rodziny, doktora Leona Riettlera, i wspólnymi siłami podjęli ostatnią próbę odszukania Mundka i Thomasa. W Boże Narodzenie 1945 roku pojechali do Bergen-Belsen, gdzie Gerda, jako jedna z tysięcy osób poszukujących informacji, dowiedziała się o śmierci swojego męża: Mundek został przewieziony do Flossenbürga, jednego z bardzo nielicznych obozów, w których wykonano ostatni rozkaz Himmlera i zabito wszystkich więźniów. Jak często zdarzało się w życiu ocalonych z Holokaustu, Gerda związała się z kimś, kto rozumiał jej udrękę i osobiście znał jej krewnych – doktorem Riettlerem. Poszukiwania jej syna, które prowadzili teraz we dwoje, ciągnęły się przez kolejnych dziewięć wyczerpujących miesięcy, podczas których – czasem walcząc ze zwątpieniem – Gerda wróciła do Getyngi.

Jednak w październiku 1946 roku otrzymała z Jerozolimy telegram o następującej treści: „Miło nam panią poinformować, że pani syn Thomas przebywa w żydowskim sierocińcu w Otwocku”. Natychmiast wysłano odpowiedź do sierocińca, ale chłopiec początkowo nie chciał wierzyć, że rzeczywiście pochodzi od jego matki. Nie przekonał go też następny list, napisany po polsku przez doktora Riettlera. Potem jednak zaczął się jego „marsz życia”, jak nazywa go Buergenthal: został wyprowadzony przez syjonistyczne podziemie z sierocińca i przemycony nocą przez granice i punkty kontrolne – tym razem komunistyczne – za cichym przyzwoleniem przekupionych wcześniej żołnierzy. Po dwóch tygodniach nocnej wędrówki przez komunistyczną Europę, jak mówi:

– Minęliśmy ostatni punkt kontrolny i weszliśmy do amerykańskiej strefy. Tam czekała już na mnie moja matka.

*

Tego styczniowego wieczora w 2000 roku, gdy odwiedziliśmy Birkenau, po powrocie do hotelu okazało się, że Buergenthala znów dopadł temat, który poruszył podczas swojego przemówienia w Muzeum Holokaustu w 1998 roku. Spóźnił się na kolację, zatrzymany telefonem z amerykańskiego Departamentu Stanu, a gdy wrócił do jadalni, miał dla nas niezwykłą wiadomość: został wyznaczony na przedstawiciela Stanów Zjednoczonych w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości w Hadze, a jego nominacja została tego samego dnia zatwierdzona przez sekretarz stanu Madeleine Albright. Wyglądało na to, że wszystkie drogi prowadzą do Hagi, gdzie teraz zmierzał również Buergenthal. Wkrótce po tym, jak został przeniesiony do Holandii, Holokaust i Bośnia, które połączył w swoim wystąpieniu, zbiegły się w jednym miejscu i czasie. Pewnego wieczora jadłem kolację z nowym sędzią, jego żoną Peggy oraz Alanem Tiegerem, ówczesnym prokuratorem prowadzącym, z którym zdążyłem się do tej pory zaprzyjaźnić. W Holokauście straciło życie także wielu członków jego rodziny, więc ta kolacja nad kanałem w Hadze była naprawdę niezwykłym wydarzeniem. Co więcej, okazało się, że niektórzy krewni Tiegera przeżyli (a niektórzy zginęli) nie tylko w Auschwitz, ale i w Kielcach, gdzie był więziony Buergenthal. Jedliśmy, piliśmy wino i rozmawialiśmy o rozlegających się wokół nas „echach” Trzeciej Rzeszy – o sędzię, w którym miał zasiąść Buergenthal, o zeznaniach składanych podczas procesów, w których uczestniczył Tieger, o przemówieniu Buergenthala w Muzeum Holokaustu i o „żywej historii”.

Rozmawialiśmy również o jeszcze jednej kwestii, która wdarła się w dyskurs o obozach w Bośni, tak jak wcześniej wtargnęła w dyskurs o nazistowskich obozach: o ludziach, którzy – wtedy i teraz –

ośmielali się umniejszać znaczenie obozów lub w ogóle zaprzeczać ich istnieniu.

Kłamstwo

Szerokie masy ludu [...] łatwiej ulegają wielkiemu kłamstwu niż małemu.

Adolf Hitler

W maju 1997 roku Duško Tadić został uznany za winnego i skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia (choć ostatecznie został zwolniony w 2008 roku) – był to pierwszy, choć pomniejszy wyrok Trybunału, który z czasem sięgał po coraz wyższych rangą dowódców Serbów, Chorwatów, Bośniaków i Albańczyków. I mimo że proces Tadicia został wkrótce przyćmiony przez inne, dał początek czemuś, co niebezpiecznie przybierało na sile: kampanii, która zmierzała do podania w wątpliwość istnienia bośniackich obozów.

Obrońcy Tadicia powołali na świadka między innymi niemieckiego „eksperta do spraw mediów”, Thomasa Deichmanna. Deichmann, który nie miał żadnej styczności z wojną, twierdził z przekonaniem, że obozy, w szczególności Trnopolje, były mistyfikacją. Przeanalizował materiały nakręcone przez ITN oraz przez samych bośniackich Serbów i przedstawił swoje tezy w niemieckim czasopiśmie „Novo”. Jego artykuł w mętny i pogmatwany sposób odnosił się do drutu kolczastego, za którym stał straszliwie wychudzony Fikret Alić. Deichmann dowodził, że więźniowie, przywiezieni właśnie z Keratermu, stali za ogrodzeniem – byli wolni – a sfilmowano ich ze środka. Nie byli więźniami, jak twierdził, lecz uchodźcami.

Argumentacja Deichmanna była celowo powierzchowna, ale tak właśnie działa rewizjonizm. Artykuł zatytułowany *The Problem of the Gas Chambers* [Problem komór gazowych], opublikowany w 1980 roku przez Roberta Faurissona, który od lat neguje autentyczność Holocaustu, skupiał się obsesyjnie na fałszywych „badaniach” dowodzących rzekomo, że komory gazowe były zbyt małe, by umożliwić zabijanie na skalę, o jakiej mówią historycy. Inżynier egzekucji gazowych w Ameryce, Fred Leuchter, w 1988 roku napisał książkę *The End of a Myth: A Report on the Alleged Execution Gas Chambers at Auschwitz, Birkenau and Majdanek, Poland by an Execution Equipment Expert* [Koniec mitu: Raport o rzekomych egzekucjach w komorach gazowych w Auschwitz, Birnekau i Majdanku sporządzony przez znawcę sprzętu używanego do egzekucji], by dać twierdzeniom Faurissona pseudonaukowe oparcie. Szerszym celem powierzchowności jako taktyki jest ewidentnie – zarówno w przypadku Holocaustu, jak i zbrodni w Bośni – wrzucenie wystarczającej ilości trucizny do zbiornika historii i zaprzeczanie, że obozy i ich zbrodnicze cele w ogóle istniały. Tym samym wspiera się sprawę tych, którzy za obozami stali.

Absurdalną koncepcję Deichmanna podchwyciła działająca w Wielkiej Brytanii grupa o nazwie Living Marxism (Żywy Marksizm), wydająca czasopismo o takim samym tytule. Living Marxism był dzieckiem małego ruchu, Rewolucyjnej Partii Komunistycznej, i zyskał sobie w pewnych kręgach sławę, wspierając niedorzeczne i przewrotne idee: potępiał na przykład kampanię bezpiecznego seksu prowadzoną ze względu na epidemię AIDS, nazywając ją „homofobiczną”, sprzeciwiał się również wezwaniom do ograniczenia dostępu do broni palnej po masakrze w szkole podstawowej w szkockiej

miejsowości Dunblane w 1996 roku, gdzie uzbrojony bandyta zabił szesnaścioro dzieci. Większe kontrowersje wywołał przygotowany przez zwolenników grupy film *The Great Global Warming Swindle* [Wielkie oszustwo globalnego ocieplenia], wyświetlony przez telewizję Channel Four w 2007 roku. Organizacja wciąż zmienia nazwy, teraz występuje jako „Instytut Idei”. Choć to marginalny ruch, jego członkowie doskonale radzą sobie w internecie, z powodzeniem też penetrują mainstreamowe media. Na początku 1997 roku magazyn „Living Marxism” opublikował tekst Deichmanna, opatrując go tytułem *The Picture That Fooled the World* [Zdjęcie, które oszukało świat]. Był to jeden z artykułów wspierających sprawę Serbów w Bośni; inny, również autorstwa Deichmanna, nosił tytuł *Karadžić: War Criminal or Whipping Boy?* [Karadžić: zbrodniarz wojenny czy chłopiec do bicia?]. Nietrudno zgadnąć, jak odpowiedział na to pytanie autor tekstu.

W zdrowym społeczeństwie takie usprawiedliwienia masowych zbrodni zostałyby odrzucone jako obrzydliwe i absurdalne, jednak w Wielkiej Brytanii twierdzenie, że bośniackie obozy to jedynie mistyfikacja, zaczęło zyskiwać na popularności, stało się modne i przyciągało uwagę mediów. Ku niedowierzaniu prokuratorów w Hadze i psychicznie okaleczonych więźniów obozów cały ten zgiełk przybrał jeszcze na sile, gdy telewizja ITN zdecydowała się pozwać Living Marxism i autorów *Zdjęcia, które oszukało świat*. Cała grupa brytyjskich „intelektualistów” – głównie szanowanych i nagradzanych pisarzy oraz dziennikarzy – podpisała petycję wyrażającą wsparcie dla pozwanej organizacji. Było to wyjątkowo odrażające ze względu na dyplomatyczne działania Wielkiej Brytanii na rzecz Serbów: prawica zdradziła Bośnię w czasie krwawej wojny, a teraz ci, którzy uważali siebie za lewicę, stawali po stronie Douglasa Hurda i pozostałych, zatruwając pamięć popełnionych zbrodni.

Living Marxism pogrywał bardzo sprytnie, ale ułatwiała mu to zgnilizna ogarniająca brytyjskie społeczeństwo. Zwolennicy ruchu twierdzili, że „nie stają po żadnej ze stron” tej wojny, ale oczywiście było, kto cieszy się ich poparciem. Z trudnego do wyjaśnienia powodu osiã ich działań w głównym nurcie była ciesząca się skądinąd powszechnym szacunkiem „Economist Intelligence Unit” (EIU), dział „The Economist”. Wśród nowo przyjętych członków organizacji było dwoje pracowników EIU, Serb Laza Kekić oraz jego dziewczyna Joan Hoey, która pisała również do „Living Marxism” pod pseudonimem Joan Philips. Oto treść e-maila, który Kekić napisał do Hoey po natowskich bombardowaniach z 1995 roku, które doprowadziły do podpisania porozumienia w Dayton:

Serbowie wychodzili w przeszłości ze znacznie gorszych opresji. Na razie powinni wszystko zaakceptować i przełknąć, skonsolidować też to, co im zostało. Mogą nawet przyłączyć się do tych europejskich bredni o pokoju i współpracy na Bałkanach. Ale potem, w przyszłości, wyeliminujemy wszystkich Muzułmanów, Albańczyków, a na końcu Chorwatów. Tak to widzę. I niewiele można tu dodać.

Rzeczywiście, niewiele. Wiadomość została wysłana z adresu Kekicia na portalu EIU 14 sierpnia 1995 roku o dziesiątej jedenaście rano. Inne wiadomości dotyczą korzystnych kontaktów z brytyjskimi politykami i urzędnikami związanymi z Bośnią oraz przychylnymi dziennikarzami z BBC i tygodnika „The Observer”. Nie istnieją dowody na to, że Joan Hoey/Philips podzielała poglądy Kekicia przytoczone w powyższym e-mailu, ale wiadomo, że była zwolenniczką teorii Deichmanna.

Szczerzącym trafem wydawcą w ITN był odważny Richard Tait, który zdawał sobie sprawę, że należy walczyć o dwie rzeczy: reputację jego korespondentów oraz jednoznaczne potwierdzenie prawdziwości tego, co wydarzyło się w obozach. Podczas gdy wydawca i były redaktor naczelny „The Sunday Times”, Harry Evans, widział rozwiązanie w „medialnej debacie” nad twierdzeniami opublikowanymi w „Living Marxism”, Tait nie mógł znieść „odrażającej sugestii, że istnieją różne »prawdy« dotyczące obozów,

o których trzeba rozmawiać. Straszliwa prawda została pokazana w naszej relacji”. Uważał też, iż ze względu na jej wagę należy tę prawdę utwierdzić z całą mocą prawa. W odróżnieniu od zepsutych kręgów brytyjskiej burżuazji, które domagały się, by odpowiedzieć na te skandaliczne twierdzenia jedynie za pośrednictwem mediów i dyskusji przy herbatce, Tait miał jasno określone i – jak się okazało – właściwe poczucie dobra i zła. W końcu, trzy lata po złożeniu pozwu, sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, a telewizja ITN oczywiście jednoznacznie ją wygrała. Tak się złożyło, że w 2000 roku toczyły się aż trzy powiązane ze sobą procesy i we wszystkich wygrała prawda: ITN pokonała Living Marxism, w Hadze zaś przed sądem stanęło czterech strażników z Omarskiej oskarżonych o wyjątkowo okrutne zbrodnie – rok później wszyscy zostali uznani za winnych i skazani. Jednocześnie w Londynie zamknięto sprawę, którą nazistowski rewizjonista David Irving wytoczył historyczce Deborah Lipstadt, autorce książki *Denying the Holocaust* [Negowanie Holokaustu] (1993). Lipstadt również wygrała ten spór.

Podczas procesu w Sądzie Najwyższym telewizja ITN powołała tylko jednego świadka z Bośni, Idriza Merdžanicia, lekarza, który potrafił powiedzieć tak wiele przy użyciu tak niewielu słów. Tamtego pamiętnego dnia w 1992 roku, gdy Penny Marshall zadawała pytania, a ja sporządzałem notatki, to właśnie on balansował na ostrzu noża – nie mógł powiedzieć nam tego, co chciał, wykorzystał więc inne środki, za pomocą których przekazywał nam informacje.

Urodzony w Sarajewie Idriz Merdžanić był zapalonym pilotem amatorem, biegłym w akrobacji lotniczej, który podczas służby wojskowej znalazł się w jugosłowiańskich siłach powietrznych. Ukończywszy studia medyczne w Banja Luce, przeniósł się do Prijedoru, by leczyć ludzi w Trnopolju i okolicznych miejscowościach. W jego rewirze znajdowała się stacja pogotowia ratunkowego w Trnopolju, które zapamiętał jako społeczność złożoną z aż siedemnastu grup etnicznych. Gdy trafił do tamtejszego obozu, znał niemal wszystkich strażników i większość współwięźniów z okolicy – wcześniej byli oni jego pacjentami. W Kozaracu doktor Idriz pracował na stacji pogotowia z innym lekarzem, Jusufem Pašiciem.

Doktor Idriz powiedział Sądowi Najwyższemu, że Pašić został „zabrany do Omarskiej” z Trnopolja i „został zabity w Omarskiej”. Opowiadał spokojnie i drobiazgowo o „przychodni”:

– Strażnicy przyprowadzali więźniów na przesłuchanie i bili ich [...]. Słyszeliśmy krzyki i odgłosy bicia. Niektórych pobitych kierowali potem do nas. – Mówił również: – Zdarzały się też gwałty na kobietach, a dochodziło do nich najczęściej w nocy. [...] Część z tych kobiet przychodziła do mnie na badanie.

Pokazywano zdjęcia pacjentów Idriza, w tym mężczyzny, który potem zmarł. Pod koniec przesłuchania sędzia Moorland zwrócił się do obrony Living Marxism:

– Nie ma pan żadnych pytań, panie Millar?

– Nie, wysoki sędzie.

Living Marxism nie znalazł ani jednego świadka, który w ogóle byłby w Trnopolju, gdzie ich zdaniem nie istniał żaden obóz. Właściwie wcale nie powołał świadków. Sąd uznał więc, że Penny Marshall i Ian Williams (a tym samym ja) mówili prawdę, gdy ujawnili tę zbrodnię, i że to Living Marxism i jego dyletanccy zwolennicy próbowali „oszukać świat”.

W pewnym momencie podczas procesu ITN przedstawiciele Living Marxism pokazali film nagrany przez, jak twierdzili, bośniacko-serbską telewizję. Jednak jak okazało się później w Hadze, te obrazy nie

zostały nagrane przez żadną ekipę telewizyjną: pochodziły z kamery, którą trzymał mężczyzna w mundurze polowym. Dobrze go pamiętam. Wydawało się oczywiste, że Living Marxism korzysta z usług serbskiego wywiadu wojskowego i że temu wywiadowi służy. Zapewne właśnie dlatego, mimo porażki w brytyjskim Sądzie Najwyższym i mimo niezliczonych werdyktów w Hadze, Wielkie Kłamstwo wciąż żyje. Właściwie w chwili, gdy zbliżamy się do dwudziestej rocznicy rozpoczęcia wojny, wydaje się, że Kłamstwo jest bardziej rozpowszechnione niż kiedykolwiek dotąd – w internecie jest go pełno. Trzy lata po wygranej ITN to samo oszczerstwo ponownie ukazało się drukiem w szwedzkim czasopiśmie „Ordfront”. Tym razem autorką była Diana Johnstone, Amerykanka blisko związana z kręgami Karadžicia w Belgradzie, która kwestionowała ustalony podczas procesów w Hadze przebieg masakry w Srebrenicy oraz autentyczność zdjęcia Fikreta Alicia. W rozmowie z „The Guardian” sławny lingwista profesor Noam Chomsky, chwalać artykuł pani Johnstone, powiedział: „Ed Vulliamy jest bardzo dobrym dziennikarzem, ale wplątał się w historię, która prawdopodobnie nie jest prawdą”. Komplement sprawił mi przyjemność, ale znany językoznawca nie wyjaśnił, co właściwie „nie jest prawdą”. W 2011 roku profesor Chomsky napisał do pewnego znajomego naukowca z Sarajewa, że po moich pierwszych relacjach z obozów moje „kolejne twierdzenia były mistyfikacją”.

Ostatnio kłamliwa propaganda bardziej niż na obozach skupia się na Srebrenicy. Podważanie prawdy o masakrze, modne na Zachodzie wśród „ekspertów” i naukowców, z których żaden nie był w Bośni w czasie wojny, zaczęło się od dokumentu opublikowanego we wrześniu 2002 roku przez Biuro Rządu Republiki Serbskiej do spraw relacji z Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze, który to dokument stwierdza w rozdziale zatytułowanym *Rzekoma masakra*, że „mniej niż stu” Muzułmanów zostało zabitych przez „siły bośniackich Serbów w akcie osobistej zemsty lub ze względu na nieznaną przyczynę prawa międzynarodowego”. Praca amerykańskich naukowców Eda Hermana i Davida Petersona (z przedmową Chomsky’ego) powtarza część argumentów z tego raportu, podważając, jak nazywają ją autorzy, „oficjalną” wersję masakry w Srebrenicy – choć wersję tę potwierdzili w Hadze niektórzy z jej sprawców – a także dane dotyczące masowych mordów Tutsi w Rwandzie. Ich polemika została uznana za wartą opublikowania na łamach „The Guardian”.

Oczywiście tego rodzaju prace przyjmowane są z ogromną wdzięcznością przez zbrodniarzy wojennych, jako że doskonale służą ich sprawie i im samym. Twierdzenia Deichmanna – choć nie były wysuwane w czasie samej wojny – zostały wykorzystane przez oskarżonych w Hadze, najpierw przez Milana Kovačevicia, potem przez Milomira Stakicia, Slobodana Miloševicia i Radovana Karadžicia, który powiedział nawet: „Nie wiem, jak Penny Marshall może spać w nocy”, odnosząc się do jej rzekomo fałszywej relacji z obozów. Jednak za każdym razem, gdy owa teoria jest konfrontowana z dowodami, zostaje odrzucona zarówno przez prokuraturę, jak i przez sędziów.

Jeden aspekt całej tej zatrutej kampanii porusza mnie o wiele bardziej niż wszystkie pozostałe: ludzie, którzy znaczą w tej sprawie najwięcej, a których naukowcy siedzący przy komputerach oraz członkowie Living Marxism i ich zwolennicy najwyraźniej nie chcą zobaczyć, a tym bardziej poznać. Najstraszliwiej znieważeni zostali oczywiście zdumieni więźniowie obozów oraz krewni pomordowanych. Ci ludzie nie proszą o wiele, ale uważam, że zarówno ocalonym z obozów, jak i osieroconym należy się przynajmniej jedno: powinni odzyskać swoje życie, a do tego konieczne jest uznanie tego, co się stało. Jeśli mają pozostać przy zdrowych zmysłach, historia musi przyjąć i zapisać prawdę o zbrodniach popełnionych przeciwko nim i ich bliskim. To właśnie jest najpodlejsze w działaniach rewizjonistów. Kiedy spytałem

doktora Idriza Merdžanicia, jaki jest jego stosunek do ludzi piszących na nowo historię obozów, w których pracował i próbował ratować życie innych więźniów, odpowiedział łagodnie, ale ze smutkiem:

– Trudno opisać moje uczucia. Brak mi słów dla takiego zachowania. Z jednej strony staramy się poradzić sobie jakoś z tym, co się stało. Z drugiej mamy do czynienia z tymi ludźmi, którzy mówią nam, że to kłamstwo, że to się nie wydarzyło. Trudno znaleźć słowa, by opisać obozy i to, co nas w nich spotkało, ale na to, by nazwać to, co robią ci ludzie, brak słów.

Siwe włosy, czerwone pelargonie i dziewczyna z perłą

Latem 1997 roku postanowiłem uwolnić się na jakiś czas od Bośni i Omarskiej. Albo przynajmniej odsunąć je trochę od siebie. I z pewnością chciałem uciec z Wielkiej Brytanii. Działania rządu podczas wojny ogromnie mnie zniesmaczyły. „Intelektualiści” popierający Living Marxism mówili wielkim głosem, a powrót z bośniackiego frontu był w tej atmosferze poważnym stresem. Premierem został Tony Blair, w kraju panowała atmosfera niezrozumiałego podniecenia. Nie ufałem Blairowi i – z braku lepszego kandydata – poparłem jednego z niewielu polityków, którzy przejmowali się losem Bośni, Paddy’ego Ashdowna. Przeniosłem się do Stanów Zjednoczonych, by zacząć od nowa, i natychmiast otrzymałem pierwsze zadanie: miałem pojechać do Nowego Meksyku i napisać o pobycie D. H. Lawrence’a w Taos dla działu literackiego tygodnika „The Observer”. Pewnego pięknego poranka, w pierwszym tygodniu pobytu w Nowym Świecie, jechałem przez obojętny bezkres pustyni, wystawiając twarz do słońca. Włączyłem wiadomości w publicznym radiu. Spiker poinformował słuchaczy, że żołnierze z brytyjskiej jednostki specjalnej SAS zastrzelili szefa policji w bośniackim mieście Prijedor – niejakiego Drljačę – gdy ten stawiał opór podczas aresztowania, a także aresztowali innego mężczyznę w miejscowym szpitalu. Nazwisko drugiego mężczyzny nie zostało jeszcze podane do wiadomości publicznej, ale ja dobrze wiedziałem, o kim mowa. Czułem, że wkrótce zostanę wezwany do Hagi.

Proces w sprawie Milana Kovačevicia zaczął się dopiero po roku. W tym czasie rzeczywiście zostałem wezwany do Hagi i musiałem uważnie przejrzeć wszystkie zapiski w swoim notesie. Kiedy nadeszła pora, bym przeszedł przez salę i zajął miejsce na niebieskim krześle dla świadka, Kovačević obrzucił mnie spojrzeniem pełnym nienawiści, którego nigdy nie zapomnę. Zmienił się: był ponury, miał niezdrową cerę, wydawał się wychudzony i blady. I był sądzony za ludobójstwo – był pierwszym człowiekiem oskarżonym o to przed międzynarodowym trybunałem, odkąd zbrodnia ta została zdefiniowana na mocy konwencji genewskich i konwencji dotyczących ludobójstwa.

Ja również się zmieniłem. Po zakończeniu wojny pracowałem na terenie całej Bośni, odkrywając kolejne zbrodnie. Sądowi nie chodziło o moją „ekspertyzę”. Byłem pierwszym i głównym świadkiem w grze o bardzo wysoką stawkę: krótko mówiąc, chodziło o wyznanie dręczzonego wyrzutami sumienia Kovačevicia, które spisałem kilka lat wcześniej. Prawnicy Kovačevicia powiedzieli Marlise Simons, reporterce z „The New York Times”, że ich klient został aresztowany i oskarżony tylko z powodu podłej prowokacji pana Vulliamy’ego (co oczywiście było bzdurą – prokurator miał masę dowodów i wielu świadków). Zapewnili ją również, że ten konkretny świadek zostanie „upieczony na wolnym ogniu, by nikt już nie uwierzył w ani jedno słowo, które napisze”.

Pracowałem w Bośni sam albo w towarzystwie Gustinčicia, z którym przebyłem górską drogę przez Vlašić, a nie jako członek sarajewskiego korpusu prasowego. Nigdy nie należałem do ludzi, których fascynuje wojna – wręcz przeciwnie, nienawidziłem jej. Przez te lata wiele razy doświadczałem strachu i samotności, ale w pewnym sensie te dwa dni intensywnych i często nieudolnych przesłuchań były

trudniejsze od wszystkich moich wojennych doświadczeń. Obrońcy z równą determinacją bronili samej sprawy Serbów, jak i swojego klienta. Podczas przygotowań do procesu inny oskarżony, niejaki Dokmanović – uznany za winnego masakry w szpitalu w Vukowarze – w oczekiwaniu na wyrok popełnił samobójstwo. W odpowiedzi przewodniczący zespołu obrońców Kovačevića, Vučićević, zamieścił w ekstremistycznym serbskim czasopiśmie pean na cześć tego masowego mordercy i pisał o jego miejscu w „Niebiańskiej Serbii”. Właśnie tacy to byli ludzie.

Podczas przesłuchania, które prowadził prokurator Michael Keegan, raz jeszcze musiałem dokładnie odtworzyć treść notatek, które sporządziłem tamtego ranka w Prijedorze. Kovačević wpatrywał się we mnie płomiennym wzrokiem, ja jednak starałem się skupić wyłącznie na dobrze mi znanych zapiskach ze swojego notesu. Potem pytania zadawał potężnie zbudowany Serb z Chicago, John Ostojić, którego często można było zobaczyć (i usłyszeć jego tubalny głos) podczas przerw w budynku Trybunału z wielkim cygarem w ręce. W pewnym momencie sędzia zażądał, bym na zamkniętym spotkaniu przeczytał cały zapis swojej rozmowy z Kovačevićem. Przenieśliśmy się do mniejszego pokoju: Ostojić, Keegan, ja i sekretarz sądu. Jednak prawnicy Kovačevića chcieli, jak to określili, „ustalić kontekst”. Wkrótce zrozumiałem, co ma to oznaczać w rozumieniu obrony: skopiowanie i dostęp do wszystkich stron mojego notatnika, do zapisków sprzed rozmowy z Kovačevićem i po niej, co pozwoliłoby ustalić, z kim jeszcze rozmawiałem w Prijedorze i innych miejscach. Keegan sprzeciwił się temu wnioskowi. Ja milczałem. W końcu sędzia orzekł, że Ostojić może zobaczyć jedynie te strony, na których znajdował się zapis rozmowy z oskarżonym, ale amerykańskiemu Serbowi i tak udało się wypatrzeć numer telefonu i adres zanotowany na marginesie jednej z tych stron.

– Co to za adres? Czyj? – dopytywał się Ostojić, podekscytowany. Potem, pochylając się do sekretarza sądu, dodał z ponurą miną: – Wiemy, kto to jest.

Sprawa przybierała niebezpieczny obrót. Tak się składało, że był to adres pewnego Serba z Prijedoru, który robił wszystko, co w jego mocy, by umożliwić Muzułmanom ucieczkę z miasta lub ukryć ich jako swoich pracowników pod fałszywymi serbskimi nazwiskami.

W momencie, który miał być punktem kulminacyjnym tych przesłuchań, Ostojić sięgnął po teorię „z ogrodzeniem” opisaną przez „Living Marxism”. „O nie – pomyślałem. – Znow się zaczyna”. Ale prokurator oczywiście to wykpił. Mimo wszystko czułem się straszliwie osamotniony, atakowany ze wszystkich stron przez ludzi, którzy chcieli mnie załatwić.

W ciągu tych dwóch dni nie spałem dłużej niż przez trzy godziny. Ani na moment nie zmrużyłem oka w nocy, którą spędziłem w swoim pokoju 202, w cudownym, starym hotelu Corona przy małym placu w centrum miasta. Uznałem, że tutaj, przed przesłuchaniem czy po nim, mogę przynajmniej popatrzeć na stare mury, napić się kawy, pospacerować nad jeziorem w drodze do muzeum Mauritshuis, spojrzeć tam w oczy *Dziewczynie z perłą* Vermeera i podziwiać światło na *Widoku Delft* jego pędzla. Patrząc na dziewczynę, zastanawiałem się, czy zwraca głowę ku rozmówcy, by coś mu powiedzieć, czy też odwraca się od niego po skończonej rozmowie. Powitanie czy pożegnanie? Być może odpowiedź zależy od nastroju patrzącego. W końcu doszedłem do wniosku, że sądząc po ułożeniu chusty na jej głowie, robiła obie te rzeczy jednocześnie i dlatego tematem obrazu jest w gruncie rzeczy czas. Może tak jest w istocie, a może po prostu popadałem w obłąd.

Nagle zdałem sobie sprawę, że rozumiem już trochę stan ducha tych ludzi, którzy bez przerwy wyglądali przez okno pokoju dla świadków w hotelu Bel Air i palili papierosy. Nigdy nie płakałem

w Bośni, choć widziałem ludzi rozszarpanych na strzępy przez szrapnele, ale płakałem w hotelu Corona – nad bezsensownym smutkiem tego wszystkiego. W skrzynce na parapecie mojego pokoju rosły czerwone pelargonie, wpatrywałem się w nie, gdy prawnicy zapewne smacznie spali. Rozmyślałem o Kovačeviću i zastanawiałem się, czy on także śpi – w odróżnieniu od roku 1996, gdy miał białe włosy. Teraz przybrały bardziej żółtawy odcień, może z powodu nikotyny. Myślałem o znanych mi ludziach, których życie zniszczyli ten człowiek i jego podwładni, o szaleństwie, na potrzeby procesu ubranym w drobiazgowość i historyczną fantazję. Patrzyłem na ładne, podpite i rozszczebiotane dziewczęta, które wychodziły z kubańskiego baru po drugiej stronie placu, beztroskie i radosne. Zazdrościłem im i pragnąłem chyba, by któraś z nich znalazła się w pokoju 202 i choć na chwilę odciągnęła mnie od czerwonych pelargonii i wspomnień z Omarskiej.

Po trzech dniach mogłem wreszcie opuścić miejsce dla świadków, a Marlise Simons zabrała mnie do paskudnego baru w paskudnym nowym hotelu, wzniesionym niedawno naprzeciwko Trybunału, i postawiła mi osiem kufli piwa Grolsch. Co więcej, dała mi tabletkę nasenną. Obudziłem się wyjątkowo późno, poszedłem jeszcze raz odwiedzić *Dziewczynę z perłą* i następnego ranka wróciłem do Nowego Jorku.

Dowody zebrane przeciwko Kovačevićowi ostatecznie nie posłużyły do wydania werdyktu. Kilka miesięcy po wyjeździe z Hagi, w dniu moich czterdziestych czwartych urodzin, słuchałem porannych wiadomości w radiu. Tym razem głównym tematem była śmierć Milana Kovačevića, który zmarł w areszcie na atak serca. W serbskiej prasie wdowa po nim nazwała to morderstwem i stwierdziła, że miałem w nim swój udział. Ale wojna i jej konsekwencje mają dziwny wpływ na sumienie człowieka: wsłuchałem się w głos swojego i zrozumiałem, że nawet gdyby ta kobieta miała rację – a nie miała – to wcale mnie to nie obchodzi.

Od czasu procesu Duška Tadicia Trybunał znacznie się rozrósł, poddawany nieustannym naciskom ze strony ONZ. Najlepsi i najgorsi pracowali ramię w ramię: Tieger wrócił wkrótce z urlopu, a nieustępliwy Mark Harmon urabiał sobie ręce po łokcie, ale dołączyło do nich mnóstwo innych ludzi, których bardziej niż sądenie zbrodniarzy wojennych interesowały nieopodatkowane zarobki ONZ. Ci najlepsi byli mi bliżsi niż wielu dziennikarzy, którzy doświadczyli wojny na własnej skórze. Jednak Trybunał wyraźnie się rozdymał, biurokracja tępiła jego czyste niegdyś ostrze. Pewnego dnia w 1997 roku grupa Albańczyków z Kosowa zorganizowała przed budynkiem Trybunału demonstrację, by zwrócić uwagę na to, co miało stać się czwartą w ciągu dekady wojną na Bałkanach. Pracownikom natychmiast rozesłano instrukcję, by pozostali w środku, żeby przypadkiem „nie nawiązali kontaktu z demonstrantami”, co wielu z nich na pewno wyszłoby na dobre.

Tymczasem kwestia składania zeznań przez dziennikarzy stała się znacznie bardziej kontrowersyjna niż w czasie procesu Tadicia i niż kiedykolwiek się spodziewałem. Temat ten trafił na czołówki gazet na całym świecie, gdy Trybunał próbował wezwać świetnego reportera „The Washington Post”, Jonathana Randal, na świadka w procesie wiceprezydent Republiki Serbskiej, Biljany Plavšić. Randal odmówił, odwołał się od decyzji Trybunału do sądu i wygrał, co zaostrzyło jeszcze spór wokół tej kwestii. Jednym z głosów w dyskusji był artykuł opublikowany na łamach „The New York Times”, w którym pojawiło się także moje nazwisko. W artykule napisano, że „amerykańscy dziennikarze byli zbulwersowani, gdy na polecenie sądu Ed Vulliamy oddał swoje notesy i przez kilka dni odpowiadał na pytania obrony, która spisała z marginesów adresy i telefony kontaktów Vulliamy’ego”. Był to niemiły i daleki od prawdy opis

tęgo, co wydarzyło się w rzeczywistości i co zostało przedstawione autorce tekstu, niejakię Ninie Bernstein, której nigdy nie spotkałem. Prokurator Keegan zadał sobie wiele trudu, by wyjaśnić, że obrona nie miała dostępu do wszystkich notatek, których zażądała, a jedynie do stron związanych bezpośrednio ze sprawą. Jednak Amerykanie wyruszyli już na krucjatę przeciwko dziennikarzom zeznającym w Trybunale. Mój kolega po fachu, niegdyś redaktor naczelny „International Herald Tribune”, którego darzę wielką sympatią i szacunkiem, powiedział mi później:

– Ed, moim zdaniem decydując się na złożenie zeznań, dobrowolnie zrzekłeś się prawa do miana reportera.

Choć zrobił to z uśmiechem, podając mi drinka, przekaz był jednoznaczny.

Trybunał chwycił coraz grubsze ryby z wojskowej hierarchii: sceptycy z 1996 roku musieli przyznać, że się mylili. Mark Harmon z „drużyny marzeń” kierował oskarżeniem przeciwko generałowi Radislavowi Krsticiowi, jednemu z głównodowodzących podczas masakry w Srebrenicy.

Sprawa Krsticia była jedną z tych nielicznych, w których prokuratura wśród świadków miała jednego ze sprawców. Był nim żołnierz serbskiej armii Dražen Erdemović, który dobrowolnie przyjechał do Hagi i zgodził się złożyć zeznania w zamian za złagodzenie wyroku. Opowiadał sądowi o nieustannych egzekucjach po upadku Srebrenicy; ciągnęły się tak długo, że plutony egzekucyjne musiały pracować na zmianę, a on sam poprosił, by zwolniono go z tego obowiązku. Co najważniejsze, Erdemović zaprowadził głównego śledczego, Jeana-René Rueza, na miejsce egzekucji, o której świat do tej pory nie wiedział, w Ośrodku Kultury w miejscowości Pilica.

– Nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli, gdyby Erdemović nam nie powiedział – przyznał później w wywiadzie Harmon. – Jean-René Ruez pojechał z nim do Ośrodka Kultury w Pilicy i zobaczył tam makabryczne miejsce kaźni. Ściany wysmarowane były krwią, pod sceną ośrodka wisiały stalaktyty zakrzepłej krwi.

Jednocześnie Harmon i zespoły śledczych lokalizowali masowe groby ośmiu tysięcy mężczyzn zamordowanych w okolicy Srebrenicy, co umożliwiły zdjęcia satelitarne udostępnione przez amerykańską sekretarz stanu Madeleine Albright.

– Na zdjęciach widzieliśmy świeżo wykopane doły i ślady działań Serbów, którzy przenosili części ciał z jednego masowego grobu do drugiego, próbując w ten sposób ukryć dowody i utrudnić ekshumację – tłumaczył potem Harmon.

Jednak to dzięki świadkom Harmona można było poznać ludzki krajobraz Srebrenicy. Jedna z kobiet błagała, by pozwolono jej zadać generałowi Krsticiowi pytanie.

– Generale – zaczęła. – Chcę spytać tylko o jedno. Nie o to, dlaczego pan zrobił te rzeczy, ani nawet, czy naprawdę je pan zrobił. Proszę mi jedynie powiedzieć, gdzie jest pochowany mój mąż, żebym mogła zabrać jego ciało albo przynajmniej położyć kwiaty na jego grobie. To wszystko, o co proszę, błagam pana.

Generał, jeden z najkrwawszych zbrodniarzy końca dwudziestego wieku, spojrział na nią oniemiały i wzdrygnął się. Inna kobieta miała obsesję na punkcie dłoni. Straciwszy wszystkich mężczyzn w rodzinie, nie mogła patrzeć na swoje dłonie ani o nich myśleć.

– Wciąż przypominam sobie, jak trzymał mnie za rękę mój mały synek, jak trzymał mnie za rękę mąż.

Jej świadectwo było tak poruszające, że nawet zaprawiony w bojach prokurator Harmon nie był w stanie przeczytać go głośno podczas podsumowania. Odtworzył więc z taśmy jej przejmujące zeznanie:

– Jako matka wciąż mam nadzieję. [...] Jak to możliwe, że istota ludzka zrobiła coś takiego, jak mogła wszystko zniszczyć, zabić tylu ludzi? Wyobraźcie sobie tylko mojego najmłodszego synka, jego małe rączki, jak one mogą być martwe? Wyobrażam sobie, jak te rączki zbierają truskawki, jak trzymają książki, chodzą do szkoły, jeżdżą na wycieczki. Gdy budzę się co rano, zakrywam oczy, żeby nie patrzeć, jak inne dzieci idą do szkoły, trzymając się za ręce.

W następnym roku haskie śledztwo przeciwko sprawcom zbrodni w Prijedorze przyniosło nowe efekty. 23 marca 2001 w Serbii został aresztowany Milomir Stakić, były burmistrz i przewodniczący Sztabu Kryzysowego w Prijedorze. Wróciłem do Hagi, do hotelu Corona i do *Dziewczyny z perłą*. W tym czasie wydarzyło się coś wspaniałego: w Mauritshuis wystawiono retrospektywę Vermeera, a ja zarezerwowałem bilety na lot do Rotterdamu oraz pokój 202 tym razem dla moich rodziców, by również mogli obejrzeć te arcydzieła. Później się okazało, że była to ostatnia zagraniczna podróż mojego ojca.

Znacznie mniej przyjemne były zajęcia związane z procesem Stakicia, prowadzonym na szczęście przez człowieka wielkiego kalibru i bardzo zaangażowanego w sprawę, choć w odróżnieniu od Tiegera realizował swoje zadania ze zdumiewającym spokojem, którego mnie z pewnością brakowało. Nazywał się Nick Koumjian i był Amerykaninem ormiańskiego pochodzenia z Los Angeles. Stakicia bronił John Ostojić, dawny obrońca Kovačevicia. To było naprawdę niezwykle doznanie – *déjà vu* procesu Kovačevicia i *déjà vu* Prijedoru.

Podczas naszego trzeciego spotkania Stakić zachowywał się z większą pewnością siebie niż Kovačević; podobnie było w Prijedorze. Patrzył na mnie z odrazą, gdy ponownie sięgałem do swojego mocno już wysłużonego notesu i przeglądałem zapiski z tamtego dnia w 1992 roku i z naszego drugiego spotkania w roku 1996. Stakić wypuścił głośno powietrze i odsunął się z krzesłem, gdy prowadzący zwrócił uwagę na sprzeczności w naszej rozmowie z 1996 roku, kiedy najpierw usłyszeliśmy, że w Omarskiej nie było żadnych Muzułmanów, a potem, że przebywający tam Muzułmanie byli jeńcami wojennymi. Tym razem w zapiskach nie było żadnej „spowiedzi”, z której przepytowałby mnie Ostojić, zrezygnował również ze świadków z *Living Marxism*, bo ich argumenty zostały uznane podczas poprzednich procesów za absurdalne.

Stakić otrzymał bezprecedensowy wyrok dożywocia – zmniejszony po apelacji do czterdziestu lat – za akty eksterminacji, morderstwa i prześladowania. To był prawny triumf sprawy. Za niepowodzenie można uznać fakt, że Stakić nie został skazany za ludobójstwo. Podobnie jednak jak wcześniej Tieger i Keegan, Koumjian zebrał świadków, którzy opowiedzieli przed Trybunałem o przemocy, której dopuszczano się w Prijedorze i w obozach w 1992 roku, a ich niezwykle historie zostały zapisane w aktach. Najbardziej poruszające było świadectwo doktora Idriza Merdžanicia, lekarza, którego spotkaliśmy w Trnopolju i który zeznawał na rzecz ITN w Londynie. Doktor Idriz mówił cicho, często z ociąganiem, swoje odpowiedzi poprzedzał chwilą milczenia; podobnie było kiedyś w obozie. W pewnym momencie sąd musiał zarządzić przerwę, gdy doktor Idriz nie był w stanie kontynuować zeznania, zbyt poruszony wspomnieniem sytuacji, w której próbował ratować dziecko ranne podczas ataku na Kozarac. Zaczął opowiadać, jak błagał serbskiego dowódcę, z którym udało mu się nawiązać kontakt:

– Przedstawiłem mu się i powiedziałem, że mamy zesobą dwoje dzieci. Jednym z nich była mała dziewczynka, miała całkiem roztrzaskane nogi poniżej kolan. Umierała. Było też drugie dziecko... – Doktor Idriz przerwał, a sąd zarządził przerwę. Przesłuchanie wznowiono pół godziny później.

– Doktorze, zdaję sobie sprawę, że opisywanie tych wydarzeń jest dla pana bardzo stresujące – zaczęła dość obcesowo prokurator Joanna Corner. – Więc być może załatwimy to bardzo szybko. Czy pozwolono panu zabrać te dzieci z Kozaraca?

– Nie, nie pozwolono – odparł doktor Idriz. – Nie mogłem ewakuować dzieci ani innych rannych, którzy tam byli. Otrzymaliśmy niezbyt konkretną, ale jednoznaczną odpowiedź. Powiedzieli nam: „Możecie tu wszyscy pozdychać, *balije*. I tak was zabijemy”.

Płyn, Drino, płyn i opowiedz swoją historię

W miejscu, w którym droga skręca na północ od oblężonego niegdyś miasta Goražde we wschodniej Bośni, w pobliżu rzeki Driny, na ścianie szczytowej jednego z domów jest wymalowane sprayem graffiti: *Teci, Drino, teci, i pričaj*: Płyn, Drino, płyn i opowiedz historię. Ta historia może dotyczyć trzech lat oblężenia, gdy okrażone Goražde było bezlitośnie ostrzeliwane przez serbską artylerię. Może się też odnosić do wydarzeń, które miały miejsce w innym mieście nad rzeką, Višegradzie, skąd tysiące ludzi uciekło właśnie do Goražda.

Most przerzucony nad wartkim nurtem Driny w Višegradzie to dla Bośniaków ważny symbol. Taki właśnie tytuł – *Most na Drinie* (1945) – nosi wielkie dzieło literackie najśłynniejszego bośniackiego pisarza, Ivo Andrića, laureata Nagrody Nobla. W książce Andrića most jest jednocześnie tłem i milczącym świadkiem bośniackiej historii. To potężna i imponująca budowla łącząca brzegi rzeki w miejscu, gdzie urwiste skały ustępują na moment miejsca porośniętej bujną zielenią dolinie. Woda płynąca pod eleganckimi łukami mostu skrzy się odcieniami turkusu i jadeitu.

Most na Drinie zbudowano, jak głosi z dumą wyryty w kamieniu napis, w 1571 roku. „Spośród wszystkich rzeczy, które człowiek z konieczności wznosi i buduje – pisał Andrić – żadna nie jest moim zdaniem tak cenna, jak mosty. [...] Mosty nie służą żadnym tajemnym ani podłym celom”. Gdyby autor żył w latach dziewięćdziesiątych, musiałby cofnąć te szlachetne słowa. Bo most na Drinie został krwawo zhańbiony.

Stał się rzeźnią – miejscem masowych egzekucji nadzorowanych przez człowieka, którego poznałem w marcu 1996 roku jako jednego z najbrutalniejszych zabójców tej wojny. Ten potwór, wówczas jeszcze niepostawiony w stan oskarżenia przez Trybunał w Hadze, sprawił, że wody Driny stały się czerwone od krwi setek Muzułmanów. Nazywał się Milan Lukić.

Część ciał wyłowił z rzeki pewien nastolatek, którego zeznania w 1996 roku były pierwszym krokiem do odkrycia prawdy o masakrze na moście. Spytano mnie, czy chcę przyjechać do Irlandii, by spotkać się z grupą ocalonych z bośniackich enklaw Srebrenicy i Žepy, które wpadły potem w ręce Serbów. Jeden chłopak nazywał się Jasmin, a jego niewinna młodzieńcza twarz zdawała się przeczyć temu, co widział i przeżył. Jasmin został ewakuowany do Dublina w Boże Narodzenie 1995 roku z obozu w Serbii, do którego uciekł ze zniszczonej bośniackiej enklawy w Žepie we wschodniej Bośni, gdzie z kolei schronił się po ucieczce z Višegradu w 1992 roku. Podczas trzyletniego pobytu w Žepie, do której trafił jako czternastolatek, Jasmin był zbyt młody, by walczyć. Odesłano go do osady o nazwie Slap, położonej w pobliżu ujścia Žepy do Driny. Tam jego zadaniem było wyciąganie rozdętych ciał spływających Driną z Višegradu, przewożenie ich małą łodzią na brzeg, często pod serbskim ostrzałem, i organizowanie im godnego pochówku.

– Kopaliśmy groby – opowiadał spokojnie. – Pogrzebaliśmy stu osiemdziesięciu ludzi. Niektórych znałem osobiście, byli moimi sąsiadami w Višegradzie.

W tej pracy pomagał Jasminowi Mersud C., który w 1996 roku przebywał w koszarach dla byłych

obrońców Žepy, na zboczu góry w środkowej Bośni.

– Ciała spływały niemal codziennie – opowiadał Mersud. – Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Przed śmiercią byli bici i torturowani, niektórym obcięto głowy. Tak, były tam też dzieci. W większości dziesięcio-, dwunastoletnie, ale zdarzyły się też dwa półtoraroczne maleństwa.

Przed wojną Mersud spędzał letnie wieczory z przyjaciółmi na moście.

– Spotykaliśmy się tam, a potem szliśmy na kawę. Czytałem książkę Andricia, była szkolną lekturą.

Świat długo nie wiedział nic o rzezi Muzułmanów dokonanej na początku wojny we wschodniej Bośni.

Jednak 5 sierpnia 1994 roku serbski żołnierz z Višegradu, niejaki Milomir Obradović, więziony w miejscowości Goražde, opowiedział swoim strażnikom historię pewnego człowieka, Milana Lukicia. Policjant ONZ, sierżant T. Cameron, robił notatki. Obradović opowiadał, jak Lukić paradował po Višegradzie z megafonem, krzycząc: „Bracia Serbowie, czas wykończyć Muzułmanów!”, i o tym, jak wprowadzał swój plan w życie. Lukić zamykał mężczyzn, kobiety i dzieci w domach i palił ich żywcem. Przyjeżdżał do fabryk, wyprowadzał pracowników i rozstrzeliwał ich – przez jakiś czas więził żonę jednego z zamordowanych robotników, Igbalę Raferović, jako niewolnicę seksualną. Członek bandy Lukicia o pseudonimie „Wilk” zgwałcił jedną z dziewczyn, które więzili w hotelu Vilina Vlas, tak brutalnie, że gdy potem chcieli ją wykorzystać jego towarzysze, Jasna Ahmedspahić wołała wyskoczyć przez okno i zginąć. Zdarzyło się również, że Lukić przywiązał pewnego mężczyznę do swojego samochodu liną holowniczą i włókł go po ulicach miasta dopóty, dopóki mężczyzna nie umarł.

Obradović mówił, że dwie masakry miały miejsce w maju 1992 roku. We wsi Prelevo Lukić wywłókł mężczyzn z autobusów, które miały wywieźć Muzułmanów z Višegradu, kazał im położyć się na ziemi i zastrzelił wszystkich. Podobną zbrodnię popełnił we wsi Dragomilje, gdzie zatrzymał konwój uchodźców i rozstrzelał wszystkich mężczyzn. Obradović opowiadał również o rzeziach dokonywanych na moście i o ludziach zamykanych w domach i palonych żywcem. W 1995 roku Obradović został uwolniony w ramach wymiany jeńców i zniknął.

Na początku 1996 roku, podążając krwawym śladem Lukicia, zdołałem zrekonstruować te wydarzenia dzięki zeznaniom świadków z Višegradu rozproszonych po całej Bośni i Europie. Ich opowieści spletały się ze sobą niczym nici arrasu. W Višegradzie nie ma Muzułmanina, który by nie wiedział, czego Milan Lukić dopuścił się na moście, i niewielu jest takich, którzy nie opłakiwaliby kogoś z jego powodu.

Lukić, który w 1992 roku miał dwadzieścia pięć lat, urodził się w wiosce Rujšta i jak opowiadał Mersud, „wydawał się porządnym facetem”. Inny z jego sąsiadów, Omer, mieszkający obecnie w Sarajewie, powiedział mi, że krewni Lukicia „w czasie drugiej wojny światowej byli zagorzałymi czetnikami”. Ukończywszy szkołę średnią, Lukić przeniósł się do Serbii, by prowadzić kawiarnię w Obrenovacu, niedaleko Belgradu, ale wrócił wiosną 1992 roku, gdy chmury zaczęły się już zbierać nad Bośnią. Lukić zebrał bandę złożoną z piętnastu zabijaków, w tym jego krewnych, i wkrótce popełnił w Višegradzie pierwsze morderstwo.

Mirsada K. była w swoim domu, gdy usłyszała strzał u sąsiada. Po chwili przybiegła stamtąd mała dziewczynka, mówiąc, że jej matka Bahra Žukić nie żyje, a jej ojciec Džemal został porwany. Człowiekiem, który zabił Bahrę strzałem w plecy, był Milan Lukić. Spodobał mu się nowy czerwony volkswagen passat Džemala, więc zabrał go razem z właścicielem. Džemal Žukić przepadł bez wieści, ale samochód widywany był wszędzie. Od tego dnia, jak powiedziała Fehida D.:

– Jeśli przed twoim domem pojawił się czerwony passat, wiedziałeś, że spotka cię coś strasznego.

W ten sposób Milan Lukić rozpoczął orgię przemocy, dzięki której Višegrad został oczyszczony z czterestu i pół tysiąca Muzułmanów.

Most nie był jedynym miejscem kaźni. Wojnę przeżyły kobiety, które były świadkami innych straszliwych zbrodni Lukicia. Zehra Turjačanin jako jedyna ocalała z masakry dokonanej 27 czerwca w miejscowości Bakovica. Lukić i jego ludzie zamknęli wówczas w domu siedemdziesiąt jeden osób i spalili je żywcem. Rozmawiałem z Zehrą zaledwie przez kilka minut, widziałem jej twarz i dłonie zniekształcone przez ogień niczym roztopiony wosk. Zdołała uciec przez wybite okno w garażu, ale w środku została cała jej rodzina.

– To był dom Meha Aljicia – wspominała cicho. – Wcześniej Lukić wszedł do środka i zabrał ludziom wszystkie cenne rzeczy, w tym mój złoty łańcuszek. Najpierw rzucali kamieniami. Potem strzelali w stronę domu i wrzucali granaty. Później usłyszałam, jak Lukić mówił: „Czas puścić ich z dymem”. Wtedy zaczął się pożar. Ludzie krzyczeli... Płonęłam... Tylko mnie udało się uciec. Próbowałam wyciągnąć swoją siostrę, ale nie dałam rady.

Gdy w końcu Lukić został postawiony w stan oskarżenia, najbardziej przejmującym i szokującym dokumentem dotyczącym podpaień była licząca wiele długich stron lista ofiar. „Nazwisko: Kurspahić” – brzmi jedna z pozycji na liście. „Imię: nieznane. Wiek: około dwóch dni”.

Most widać niemal z każdego okna i balkonu w Višegradzie, bo zabudowania tego miasta znajdują się głównie na zboczach po obu stronach doliny. Bruk mostu stanowi więc swego rodzaju scenę olbrzymiego amfiteatru: egzekucje z założenia miały być spektaklem przeznaczonym dla jak największej liczby widzów. Fehida D. widziała je ze swojego balkonu. Czerwony passat Lukicia i towarzyszące mu ciężarówki przyjeżdżały na most co wieczór. Bandyty wyładowywali ludzki ładunek i przystępowali do zabijania.

– Widzieliśmy ich za dnia albo w blasku latarni, czasami zabijali mężczyzn, kiedy indziej kobiety i dzieci. Trwało to zwykle około pół godziny, czasem dłużej.

Serbowie zazwyczaj najpierw dźgali swoje ofiary nożami, a dopiero potem, oszołomione i bliskie śmierci, wrzucali je do wody.

– Czasami od razu zrzucali ludzi z mostu i jednocześnie do nich strzelali – wspominała Fehida. – Czasem też pozwalali im przepłynąć kawałek i dopiero wtedy zaczęli strzelać.

Jeden ze świadków, Admir H., opowiadał, jak Lukić puszczał muzykę z radia w swoim passacie, wrzucając jednocześnie ofiary do rzeki.

– Nie umiem pływać! – protestował Muzułmanin Samir, gdy Lukić strzelał w wodę.

Pod koniec czerwca inspektor policji z Višegradu, Milan Josipović, otrzymał makabryczną skargę od zarządu hydroelektrowni z Bajinej Bašty, położonej w dole rzeki, tuż za serbską granicą. Dyrektor prosił uprzejmie, by odpowiedzialne za to osoby nie wrzucały tylu ciał do Driny. Zwłoki zatykały przepusty jego tamy w takim tempie, że pracownicy elektrowni nie nadążali z wyciąganiem ich na brzeg.

Hasena M. mieszkała w Višegradzie, na pierwszym piętrze bloku oddalonego o sto pięćdziesiąt metrów od brzegu rzeki. 15 czerwca minęło już dwanaście dni, od kiedy zaginął jej mąż Nusret. Wyprowadzony przez jednego z sąsiadów, Dragana T., którego znał dobrze od lat, przepadł bez wieści. Hasena jak zwykle o wpół do siódmej rano wyszła do pracy i przechodząc przez most, zastała tam o tej niezwyklej porze Lukicia.

– Przy dźwiękach muzyki z radia w samochodzie wykonywano egzekucję na dwóch młodych

mężczyznach, którzy mieli związane ręce.

W porze obiadu Lukić przyjechał do fabryki Haseny; stwierdził bez ogródek, że nadszedł czas, by „wykończyć Muzułmanów”, którzy zostali jeszcze w Višegradzie. Hasena i jej trzy boszniackie koleżanki wyszły wcześniej, wybierając okrężną drogę do domu. Gdy spojrzały w górę, na stary most, zobaczyły egzekucję piętnastu mężczyzn ustawionych w szeregu. Prerażona Hasena przez cztery dni ukrywała się w domu ze swoimi dwiema córkami, ośmioletnią Nusretą i sześcioletnią Nerminą. Po południu 19 lipca czerwony passat zatrzymał się przed blokiem Haseny, do której wcześniej wprowadzili się jej rodzice i siostra. Milan i Miloš Lukić, uzbrojeni w karabiny maszynowe, wyważyli kopniakami drzwi. Dzieci Haseny bawiły się w tym czasie na zewnątrz. Nadeszła ich kolej.

– Milan Lukić zapowiedział, że w ciągu kwadransa zabije nas wszystkich – wspominała Hasena. Oprawcy wysłali ją po dzieci. Błagała swoich serbskich sąsiadów, by je ukryli, ale na próżno. Hasena przemknęła się więc z dziećmi obok drzwi własnego mieszkania i ukryła w innym, pustym lokalu na trzecim piętrze. Stamtąd słyszała głos Lukicia:

– Gdzie jest ta trzecia kobieta?

Słyszała też, jak woła ją jej matka, Ramiza, ale milczała. Potem zobaczyła przez okno, jak Lukić prowadzi jej matkę i siostrę do passata i odjeżdża z nimi w stronę mostu. Wyszła na zewnątrz i zatrzymała się przy szkole, skąd był dobry widok.

Most rozszerza się na środku, tworząc urokliwy występ nazywany sofą. To ławka z kamieni, na której można wygodnie usiąść i oprzeć się o odchyloną balustradę. Hasena nieraz zatrzymywała się tam na pogaduszki z przyjaciółkami. Ale nie 19 lipca 1992 roku.

– Widziałam, jak kazali mojej matce i siostrze usiąść na balustradzie okrakiem, jak na koniu – opowiadała. – Słyszałam, jak obie krzyczały, dopóki nie strzelono im w brzuch. Spadły do rzeki, a mordercy patrzyli na to i się śmiali. Woda zrobiła się czerwona od krwi.

Hasena spędziła tę noc z córkami w pustym domu, wróciła do swojego mieszkania o świcie, by odszukać niepełnosprawnego ojca, który nie mógł chodzić o własnych siłach.

– Ojciec powiedział: „Idź. Zabierz dziewczynki i uciekaj. Mnie nie możesz zabrać. Poczekam tutaj, aż po mnie przyjdą. Idź”. Spojrzałam na niego, a potem na dziewczynki. Zrobiłam mu śniadanie, a on powiedział: „Chodź tu do mnie, córeczko, chcę cię ostatni raz pocałować”. Pocałował mnie i dziewczynki, a potem poszłyśmy, zostawiając go tam samego.

Kiedy Serbowie schwytali Hasenę z córkami, zabrali je do domu pełnego innych muzułmańskich kobiet, gdzie przetrzymywali je przez dwa miesiące. W tym czasie Hasena „gotowała dla czetników”. Wiele kobiet z Višegradu mówi, że tego lata „mieszkały w jednym domu z innymi kobietami” i „gotowały dla czetników”; za tym hasłem często kryje się wymuszony seks i gwałty. Wiele ofiar używa takiego właśnie kodu, chcąc – co rozumiały – uniknąć pewnych słów. Czasami mówią nawet, że „gotowały im mięso”, co jest jeszcze bardziej obrazowym określeniem. 13 sierpnia Hasenę i jej córki przeniesiono gdzie indziej. Tutaj właśnie w jej opowieści pojawia się kolejna, nowa nazwa na ponurej liście serbskich obozów w Bośni: Uzamnica.

Hasena przez trzy lata była więziona w zatłoczonym hangarze w opuszczonych koszarach, gdzie jej córkom skradziono dzieciństwo.

– Patrzyłam na nie co rano, uwięzione, gdy na zewnątrz świeciło słońce, i gorzko płakałam.

Uzamnica była obozem pracy przymusowej, często odwiedzanym przez członków grup paramilitarnych,

k którzy bezkarnie torturowali więźniów. Nawet małe dzieci były tu zmuszane do pracy i wykorzystywane. Hasena i jej córki, nawet sześciolatka Nermina, pracowały od świtu do nocy, sadząc pomidory czy karmiąc bydło. Lukić był w Uzamnicy stałym gościem.

– Przychodził codziennie, mówił: „Pozabijam was, wy cygańskie brudasy”, bił więźniów i robił z nimi, co tylko chciał.

Hasena mówiła, że krzyki bólu dochodziły głównie z kwater mężczyzn. W październiku 1995 roku Hasena i jej dzieci zostały wymienione za serbskich jeńców i wyjechały do Sarajewa.

Sześć miesięcy później, w 1996 roku, Višegrad był złowrogim, ponurym miastem – i nadal tak jest. Patrząc z sofy na wodę przepływającą pod mostem, trudno oprzeć się przerażającej myśli, że była to ostatnia rzecz, jaką widzieli przed śmiercią ci przerażeni, zmaltretowani ludzie. Jednak w 1996 roku w Višegradzie wciąż mieściła się Biblioteka Ivo Andrića, najwspanialsza kolekcja książek Andrića na świecie. Bibliotekarka Stojka Mijatović podarowała mi jedną z nich.

– Zabraliśmy z domów Muzułmanów tyle książek, że nie wiemy, co z nimi zrobić – powiedziała, wzruszając ramionami.

Pani Mijatović sama przekazała niegdyś to samo wydanie najwierniejszemu i najbardziej lubianemu użytkownikowi biblioteki – Muzułmaninowi. Teraz trafiło tu z powrotem, zagrabione z domu zabitego czytelnika.

– Chce pan, żebym wykreśliła jego nazwisko? – spytała.

– Nie, dziękuję.

Szukanie Milana Lukicia było w roku 1996 niebezpiecznym zajęciem. Dowiedziałem się pocztą pantoflową, że przebywa w Serbii, w mieście Obrenovac, gdzie całkiem dobrze mu się żyje. Była to ponura, bezbarwna miejscowość – równie ponuro i pusto było w przeszklonym od frontu barze Viski, lokalu zarządzanym niegdyś przez Lukicia. Rozbrzmiewał w nim teraz „turbofolk”, okropna mieszanka folku i disco. Pytanie o miejsce pobytu Lukicia spotykało się zwykle z groźnym, lodowatym spojrzeniem rozmówcy, więc rozsądek nakazywał nie zadawać go zbyt często. Dowiedziałem się jednak, że widziano go nieco wcześniej, w 1995 roku. Pewien boszniacki żołnierz z Žepy, obecny przy upadku tej enklawy i przeniesiony później, podobnie jak Jasmin, do szpitala psychiatrycznego w Dublinie, widział Lukicia wśród żołnierzy armii bośniackich Serbów, gdy przechadzał się wzdłuż szeregów boszniackich jeńców i cywilów. Wypatrywał znajomych twarzy i krzyczał:

– Jeśli jest tu ktoś z Višegradu, niech wystąpi! Wszyscy z Višegradu wystąpić!

Wydawało się, że wciąż chce dokończyć dzieło, które rozpoczął na moście na Drinie.

Tekst ten ukazał się w nieco innej wersji w marcu 1996 roku na łamach „The Guardian” i od tej pory zaczął żyć własnym życiem. Najpierw drobiazg, rzecz absurdalna, lecz oburzająca w moim zawodzie – artykuł został „ściągnięty” i przedrukowany niemal słowo w słowo na pierwszej stronie dziennika „The New York Times”, który powinien był poinformować czytelników, że jest to przedruk. Potem, co istotniejsze, poznałem pewną młodą kobietę, Nermę Jelačić, która pracowała dla „The Guardian” i „The Observer” w Londynie. Pochodziła z Višegradu i wraz z rodzicami uciekła stamtąd przez Serbię mniej więcej w tym czasie, gdy Lukić rozpoczął swą bestialską działalność. Trafiła do Northampton w Anglii, gdzie do tej pory mieszkają jej rodzice. Tak się złożyło, że i ja odegrałem pewną rolę w ich życiu: kiedy rok po opublikowaniu mojego artykułu brytyjski rząd zamierzał deportować rodzinę Jelačićów – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uznało bowiem, że mogą już bezpiecznie wrócić do

Višegradu – podczas procesu apelacyjnego powołano się właśnie na treść mojego tekstu. Sprawa zakończyła się pomyślnie – Jelačićowie zostali w Anglii. Nerma i ja zaprzyjaźniliśmy się, kiedy wróciła do Sarajewa, by stworzyć tam prężną dziennikarską organizację o nazwie Bałkańska Sieć Reporterstwa Śledczego (Balkan Investigative Reporting Network, BIRN), która odegrała znaczącą rolę w historii Milana Lukicia.

Od tej pory Nerma była moim przewodnikiem, „organizatorem” i tłumaczem podczas niemal wszystkich bośniackich wypraw i przygód; dzięki temu mogliśmy razem podróżować i dając ujście naszej wspólnej obsesji, tropić zbrodniarzy wojennych. Wydawało się, że Nerma jest najszcześniejsza w towarzystwie przerażających zabójców, którzy mogli ją doprowadzić do jeszcze bardziej przerażających zbrodniarzy. Często planowaliśmy wspólne eskapady w „jej” barze w Sarajewie – jednym z moich ulubionych na całym świecie – należącym do Serba Dragana „Koża” Koževicia, który w czasie wojny walczył po muzułmańskiej stronie w 17. Krajińskiej Brygadzie pod dowództwem Mehmeda Alagicia. W jego lokalu noszącym nazwę „Nostalgija” stoją szeregi pamiątkowych butelek po winie i piwie poświęconych marszałkowi Ticie. Było to – i wciąż jest – miejsce, gdzie spotyka się sarajewska bohema, muzycy, towarzysze broni, buntownicy i które z pewnością przypadłoby do gustu Bertoltowi Brechtowi, gdyby natknął się na nie w Berlinie, gdy wszystko inne schodziło na psy.

Nie znam nikogo, kto byłby bardziej zdeterminowany niż Nerma. Kocha Višegrad, kocha go nienawidzić i często się zastanawia, co mogłoby ją spotkać, gdyby jej ojciec w porę nie zabrał stamtąd całej ich rodziny. Kiedyś spędziła całą noc w znanym z gwałtów ośrodku Vilina Vlas, w jednym z łóżek, które mogłaby zajmować podczas wojny, „pod nacięciami na wezgielciu, które pozostawiali Serbowie za każdym razem, gdy zgwałcili daną dziewczynę”. Innym razem pokazała mi dom, w którym się wychowała – teraz zamieszkały przez Serbów – i huśtawkę, na której bawiła się jako dziecko. Pewnego dnia wszędzie chodził za nami jakiś mężczyzna w garniturze. Obserwował nas z mostu, gdy siedzieliśmy w kawiarni nad rzeką. Niegrzeczni serbscy kelnerzy udawali, że nie wiedzą, o co jej chodzi, gdy zamówiła tam kawę „po bośniacku”.

– Zwykła kawa? Kawa po bośniacku! – poprawiała ich Nerma dla zasady.

Na długo przed tym, jak Milan Lukić został postawiony przez Trybunał w Hadze w stan oskarżenia, Nerma gotowa była znaleźć go za wszelką cenę. Kierowała nią dziennikarska pasja, ale i osobiste porachunki – Lukić zniszczył jej miasto.

Trzecim efektem ubocznym publikacji mojego artykułu był fakt, że w końcu został wytoczony proces przeciwko Milanowi Lukiciowi – głównie za morderstwa popełnione w palonych domach. Jednak przez długie lata ani władze Serbii, ani Republiki Serbskiej nie były skłonne wydać go Trybunałowi, choć widywano go w Višegradzie i Serbii, miał też mieszkanie w Belgradzie. Wielokrotnie oskarżano go o wymuszenia i inne przestępstwa, był trzy razy aresztowany w Serbii, za każdym razem wypuszczano go jednak na wolność.

Oprócz Trybunału w Hadze Lukicia szukała również BIRN, w tym czasie już bardzo sprawna organizacja złożona wyłącznie z młodych dziennikarek i prowadzona przez Nermę: „Aniołki Nermy”, jak nazywali je zagraniczni reporterzy, którym nieodmiennie kradły serca, zwykle bez wzajemności. W kwietniu 2004 roku BIRN opublikowała listę wszystkich zbrodni Lukicia, opartą na materiałach wywiadu bośniackich Serbów i potwierdzoną przez wywiad Bośni. Raport wskazywał na powiązania Lukicia z ukrywającym się wówczas Radovanem Karadžiciem, i to na dwa sposoby: po pierwsze, był

członkiem grupy przemytników związanej z siecią interesów Karadžicia, a po drugie, był związany z opłacaną przez te nielegalne interesy nieuchwytną i zbrojną organizacją Preventiva, która ochraniała samego Karadžicia i pomagała również Lukiciowi. Lukić mógł się zresztą cieszyć podwójną ochroną: jego krewny i mecenas Sreten Lukić był zastępcą ministra spraw wewnętrznych Serbii, a tym samym szefem policji państwowej, która rzekomo poszukiwała Milana Lukicia.

Jednak w styczniu 2003 roku doszło do konfliktu między Lukiciem a Preventivą – podobno wywiązała się nawet strzelanina z ochroniarzami Karadžicia. To oznaczało, że Lukić nie może się już czuć bezpieczny w Bośni, nawet w Višegradzie. W marcu dosięgnął go drugi cios. Jego krewny Sreten został oskarżony przez Trybunał w Hadze o zbrodnie popełnione w Kosowie, usunięty z ministerstwa i przewieziony do Hagi (skazano go na siedemnaście lat więzienia). Zaledwie miesiąc później, w kwietniu, policja Republiki Serbskiej przypuściła szturm na rodzinny dom Lukiciów w Višegradzie, podobno by aresztować Milana. Jednak zamiast niego zastrzelono jego niewinnego brata, Novicę – do tej pory nie wiadomo, czy była to pomyłka, czy też ostrzeżenie. Milan Lukić, wstrząśnięty tymi wydarzeniami, skontaktował się podobno z Hagą, proponując, że w zamian za gwarancję bezpieczeństwa odda się w ręce sprawiedliwości i będzie współpracować w poszukiwaniach Karadžicia. Dwukrotnie nie przybył jednak na umówione spotkanie z zespołem śledczym z Hagi. We wrześniu 2003 roku – gdy ze względu na trwające negocjacje w sprawie przystąpienia Serbii do Unii Europejskiej zwiększyły się naciski Hagi na władze serbskie – sąd w Serbii zaocznie skazał Lukicia na dwadzieścia lat więzienia za zabicie szesnastu Boszniaków wyprowadzonych z autobusu na granicy bośniacko-serbskiej w 1993 roku.

Nim w kwietniu 2004 roku ukazał się raport BIRN autorstwa Nermy Jelačić, Lukić zniknął z Višegradu, nie było go też w jego ulubionych kryjówkach w Serbii. Pojawił się znów, przysyłając hardy e-mail z serwera w Brazylii. Napisał w nim, że ludzie, którzy twierdzą, iż „zdradził Radovana Karadžicia”, dopuszczają się „bezwstydneho i pozbawionego skrupułów kłamstwa”. Choć utrzymywał, że „nigdy [...] nie był dość blisko [Karadžicia], by znać jego ruchy”, twierdził również z przekonaniem, że ukrywający się wówczas „Ratko Mladić zawsze był i na zawsze pozostanie prawdziwym bohaterem i idolem, a Karadžić przywódcą mojego narodu”. Ten południowoamerykański trop pozwolił na nowo podjąć poszukiwania Lukicia. Grupa agentów serbskiego wywiadu pojechała za jego żoną do Ameryki Łacińskiej i w końcu w 2005 roku Lukić został aresztowany w Argentynie, ulubionej kryjówce nazistów zbiegłych z Europy w 1945 roku.

Lukić powiedział argentyńskim sędziom, że wcześniej przebywał w Brazylii i wjechał do Argentyny, posługując się fałszywym paszportem na nazwisko Gorana Đukanovicia. Mówił, że planował dobrowolnie udać się do Hagi, sugerując, że chciał to zrobić dla własnego bezpieczeństwa, w obawie przed ludźmi Karadžicia. Zeznał przed sądem:

– Wiem o wielu rzeczach, które wydarzyły się w czasie wojny, i bałem się, że mnie zabiją, bo wielu ludzi nie chciałoby, żeby te rzeczy kiedykolwiek wyszły na jaw. Jak to się mówi: lepiej trzymać język za zębami.

Kiedy Lukić przyjechał do Hagi, prokurator Carla Del Ponte postanowiła spotkać się z nim osobiście. Stał przed nią i jej zespołem prokuratorskim ubrany w elegancki garnitur, „próbując sprawiać wrażenie *homme de lettres*”, jak ujął to Mark Harmon. Podczas przywitania Lukić pocałował Del Ponte w rękę.

– To było jak pocałunek diabła – powiedziała potem prokurator. – Musiałam wyjść i umyć rękę.

W lipcu 2009 roku Lukić został uznany za winnego dwunastu zbrodni przeciwko ludzkości i skazany na

dożywocie. Wykazując się niezwykłą odwagą, Zehra Turjačanin postanowiła zeznawać przeciwko niemu nie jako chroniony, anonimowy świadek – co jej oczywiście proponowano – lecz zajmując zwykłe, widoczne dla wszystkich miejsce, by świat zobaczył, jak cierpiała i jak została okaleczona w płonącym domu, z którego udało jej się uciec. Była teraz elegancką dorosłą kobietą o uderzająco pięknej twarzy i splecionych włosach przerzuconych przez ramię. Ubrana w czerń, powiedziała sądowi, że nigdy nie wróciła do Bośni. Składała zeznania po francusku, w języku „swojej nowej ojczyzny”.

Zehra chodziła z Lukiciem do szkoły; należeli do grupy, która razem paliła ukradkiem papierosy. Dom został podpalony po tym, jak uwięzionych w nim ludzi ostrzelano i obrzucono granatami, dlatego „ogień rozprzestrzeniał się bardzo szybko, niezwykle szybko. [...] Ludzie w środku płonęli żywcem. Wyli, krzyczeli. Tego, co słyszałam, nie da się opisać”. Zehra trzymała przy sobie swoją niepełnosprawną siostrę Aidę i „zaczęłam się naprawdę palić – to było nie do zniesienia”. Pamiętała, gdzie znajdują się drzwi, przez które weszła, i próbowała wydostać się przez nie razem z Aidą. Ale utrudniały jej to „metalowe drzwi garażu, które opierały się o drzwi wyjściowe i je blokowały”, co miało zapobiec ucieczce. Zehra zdołała przecisnąć się przez wąską szparę.

– Była pani w stanie zabrać ze sobą swoją siostrę? – spytał adwokat.

– Nie, absolutnie – odparła Zehra. – Została w środku.

Zehra opisywała dalej swoją śmiałą i niezwykłą ucieczkę, choć jak powiedział jeden ze świadków, który próbował ją opatrywać, „jej górna część ciała była spalona na węgiel”. Dotarła do serbskiego posterunku, gdzie się poddała i prosiła, by ją zastrzelono, ale serbski żołnierz ulitował się nad nią i pomógł jej się ukryć wraz z czterema starszymi kobietami. Miejscowy lekarz założył jej prowizoryczne opatrunki, ale powiedział, że nie może do niej wrócić ani zabrać jej do szpitala, bo jest Muzułmanką. Dowiedziawszy się, że Lukić na nią poluje, Zehra znów musiała uciekać. Wyruszyła samotnie, na piechotę, do miejscowości Okrugła. Tu uzbrojeni w strzelby partyzanci z muzulmańskiego ruchu oporu, którzy wrócili z terenów kontrolowanych przez bośniacki rząd, by ratować pozostałych przy życiu Muzułmanów w Višegradzie, zorganizowali jej transport w bezpieczne miejsce.

Później w trakcie procesu świadkowie wspominali zapach palonych ciał rozchodzący się wokół domu. Jeden z nich zeznał, że widział „tłące się czaszki i ciała”. Zehra powiedziała:

– [W spalonym domu] były głównie młode matki z małymi dziećmi. Było tam też kilkoro starszych ludzi, dwóch lub trzech starszych mężczyzn i kilka starszych kobiet. Ale niestety w domu znalazło się dużo dzieci.

Gwałt

W mieście Zenica, w obecności swojej matki, dziewczyna opowiadała o tym, jak została wybrana z grupy więzionej w hali sportowej przez dowódcę jednostki w Fočy.

– Spytał mnie: „Pieprzyłaś się kiedyś?”. A ja odpowiedziałam: „Proszę, niech pan tego nie robi”. Błagałam go, ale on mnie pchnął, uderzył i krzyknął: „Kładź się!”. Potem zdarł ze mnie sukienkę i znów uderzył, potem zakrył mi usta dłonią...

Reszta „nie da się wypowiedzieć”. Jej matka pamięta, jak komendant krzyczał: „Masz dość, dziwko?”. Potem znalazła swą córkę „prawie nieprzytomną”.

Przerażająca i oburzająca historia gwałtu jako zbrodni wojennej dotyczyła przede wszystkim wschodniej Bośni i obrzeży Sarajewa. O gwałtach, które stosowane były jako metoda odczłowieczenia więźniów w Omarskiej, nie wiadomo było zbyt wiele, dopóki w 1996 nie powstał niepokojący, ale odważny film w reżyserii Mandy Jacobson z Nowego Jorku i Karmen Jelinčić, Amerykanki chorwackiego pochodzenia, zatytułowany *Calling the Ghosts* [Wywoływanie duchów]. Dwie kobiety, Jadranka Cigelj i Nusreta Sivac, po raz pierwszy mówiły w nim o przestępstwach seksualnych w obozie i o działaniach, które podjęły w celu udokumentowania podobnych zbrodni w innych miejscach. Film na nowo rozbudził dyskusję o gwałcie, nie tylko w odniesieniu do zbrodni popełnianej podczas wojny, i pośrednio doprowadził do procesu z powództwa cywilnego, który odbył się w 2000 roku na Manhattanie. Jednak za tym wszystkim – zarówno nowojorskim procesem, jak i kwestią gwałtu jako broni używanej podczas wojny w Bośni – kryła się głębsza i dłuższa historia.

Już w trakcie wojny główne obozy gwałtu okryły się powszechną i ponurą sławą: hotel Kod Sonje w miejscowości Vogošća pod Sarajewem, hala sportowa klubu Partizan, szkoła średnia i inne miejsca w Fočy oraz ośrodek wypoczynkowy Vilina Vlas na obrzeżach Višegradu. Akty przemocy w Fočy jako pierwsze stały się przedmiotem procesów o gwałt w Trybunale w Hadze: skazano za nie ośmiu bośniackich Serbów, w tym szefa policji, który zezwolił na utworzenie obozów i sam z nich korzystał. Wśród ofiar zeznających podczas procesu była dziewczyna, którą uwięziono tam jako piętnastolatkę i przetrzymywano przez osiem miesięcy, poddając torturom i gwałtom zbiorowym; często przystawiano jej wtedy pistolet do głowy. W jednym z domów gwałcono nawet dwunastoletnie dziewczynki.

W czasie wojny odbyłem długą rozmowę z jedną z ofiar, Nezirą, która pochodzi z miejscowości Rogatica i była więziona w Fočy. Złożyła „długie zeznanie” w centrum kryzysowym do spraw gwałtów w Zenicy i wyjaśniła, że „nie zamierza ponownie wdawać się w szczegóły, bo choć takie rzeczy drukowane są w dobrych zamiarach, mogą inspirować niektórych ludzi, którzy je czytają i mają taką samą mentalność jak czetnicy”. Nezira opowiadała, jak „ci łagodniejsi zapewniali mnie, że nie muszę się niczego obawiać, jeśli tylko będę robić, co mi każą; inni byli ordynarni i brutalni, fizycznie i seksualnie”. Kobiety i młode dziewczyny wracały do swoich kwater w klasie „pobite i wycieńczone, czasami po godzinie, a czasami dopiero rano”. Serbowie „puszczali głośno radio albo magnetofon, żeby inni nie słyszeli, co się tam dzieje, szczególnie gdy były u nich młode dziewczyny”. Nezirze udało się w końcu

„zupełnie zamknąć w sobie”.

W Nowym Jorku do sądu wystąpiły prawniczki i aktywistki, pozywając samego Karadžicia jako przywódcę bośniackich Serbów. Aby proces doszedł do skutku, musiały jednak najpierw znaleźć odpowiednią jurysdykcję. Feministki złożyły pozwy, gdy Karadžić przyleciał w 1993 roku na negocjacje do Nowego Jorku, i powołały się przy tym na *Alien Tort Statute*. Ustawa ta, uchwalona przez rewolucyjny rząd Stanów Zjednoczonych w 1789 roku – w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej – pozwalała obywatelom innych państw wnosić oskarżenia o łamanie praw międzynarodowych za pośrednictwem USA, jeśli te skargi będą rozpatrywane na amerykańskiej ziemi. Przebywający w ukryciu Karadžić wyznaczył na swego przedstawiciela byłego prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych, Ramseya Clarka, który w jego imieniu złożył odwołanie. Jednak sędzia Person z Sądu Okręgowego na Manhattanie odwołanie odrzucił i sprawa toczyła się dalej. Co ciekawe, ze względu na rozbieżne interesy obrońców praw człowieka i organizacji feministycznych odbywały się jednocześnie dwa procesy: *Kadić vs Karadžić*, w którym oskarżenie w imieniu kobiet z Omarskiej wniosła badaczka prawa Catharine MacKinnon, oraz *Doe vs Karadžić*, w którym w imieniu większej liczby ocalonych występowało Centrum Praw Konstytucyjnych (Center for Constitutional Rights) z Nowego Jorku. Zostałem powołany na świadka i muszę przyznać, że czułem się dość dziwnie – abstrahując od tego, że sprawę gwałtów w Omarskiej rozpatrywano na dziewiątym piętrze gmachu sądu w Nowym Jorku – dwukrotnie składając przed tym samym sędzią takie same zeznania i odpowiadając na pytania różnych prawników w obecności dwóch różnych ław przysięgłych.

Pierwszy proces – z oskarżenia MacKinnon – rozpoczął się od wystąpienia adwokat Marii Vullo, która pełniła tę funkcję nieodpłatnie, poza godzinami pracy w znanej firmie prawniczej Paul, Weiss. Amerykańscy przysięgli słuchali w osłupieniu opowieści o kobietach więzionych w Omarskiej, które na pozór zajmowały się jedynie gotowaniem dla więźniów, strażników i dowództwa obozu oraz sprzątaniem. Jednak nocą przetrzymywano je w pokojach przesłuchań, o czym mówiła była sędzia z Prijedoru, Nusreta Sivic.

– W obozie przebywało trzydzieści siedem kobiet – opowiadała. – Poza tym był to obóz męski. W ciągu dnia pokojów tych używano do przesłuchiwania i bicia mężczyzn, więc wszędzie zostawały plamy krwi. Zanim poszłyśmy spać, musiałyśmy najpierw zmyć krew i usunąć włosy ze ścian, mebli i podłogi.

Z sypialni wzywano kobiety do jednego z większych pokojów na końcu korytarza i tam je gwałcono, zwykle na macie na podłodze. Gdy kobiety wracały do swoich towarzyszek, zeznawała Nusreta, rzadko opowiadały o szczegółach, nawet swoim najbliższym przyjaciółkom.

– Wszystkie bałyśmy się mówić.

Z zeznań wynikało, że kadra obozu ustaliła absurdalną hierarchię kobiet, która miała odpowiadać randze gwałcących je oprawców: komendant Omarskiej, Željko Mejakić, którego przedstawiono nam podczas naszej wizyty w obozie w sierpniu 1992 roku, zarządził, że do niego „należć” będzie Jadranka Cigelj jako ważna postać z wrogiej chorwackiej partii nacjonalistycznej. Zeznania były wyjątkowo drastyczne – ku zdumieniu i zniesmaczeniu samych kobiet.

– Te zeznania to pornografia – narzekała Jadranka. – Są znacznie bardziej szczegółowe i osobiste niż wszystko, co mówiłyśmy w Hadze.

Każdą z nich pytano: Czy [nazwisko strażnika] w pani wszedł? Tak. Czy miał w pani wytrysk? Tak.

I tak dalej w tym stylu...

Wydawało się, że liderką tych kobiet była właśnie Jadranka Cigelj, którą miałem okazję bliżej poznać. Pomimo lat straszliwej udręki udało jej się zachować urodę: była krucha, ale nieustępliwa, delikatna, ale najwyraźniej niezniszczalna, bystra i obdarzona poczuciem humoru. Urodziła się w Zagrzebiu wkrótce po zakończeniu drugiej wojny światowej, była córką żołnierza Wehrmachtu walczącego na wschodnim froncie. Ze względu na swoją przeszłość ojciec przeniósł się z całą rodziną do prowincjonalnego Prijedoru, gdy Jadranka miała siedem lat. Była prawniczką, wyszła za mąż i urodziła syna, ale małżeństwo się rozpadło.

– Po rozwodzie byłam w pewnym sensie nietykalna. Niebrzydka, ale trochę oschła i skupiona tylko na swoim synu. Szczególnie oschła byłam wobec ludzi bez wykształcenia, którzy się mną interesowali, a Stakić i Kovačević z pewnością nie należeli do wykształconych! A na pewno byli nieokrzesani. I dlatego właśnie próbowali mnie złamać. Byłyśmy przykładem dla naszego narodu i miałyśmy coś, czego oni nigdy mieć nie mogli: inteligencję, maniery i pozycję w społeczeństwie. Poza tym jestem Chorwatką. Gdy w obozie podchodzili do mnie strażnicy, gwizdali chorwacką piosenkę wojenną. Wiele razy myślałam, że ta piosenka będzie mnie kosztować życie.

Jadranka opowiedziała, co wydarzyło się rankiem tego dnia, gdy przywieziono je do Omarskiej:

– Zabrali nas do restauracji i powiedzieli, że nie mamy już imion. Kazali nam rozdawać substancję, którą nazywali jedzeniem, a potem zaczęli przychodzić mężczyźni uwięzieni w obozie: byli przerażeni, ranni i pobici. Śmierdzili krwią i własnymi ekskrementami.

W pokojach, w których spałyśmy, znajdowałyśmy wybite zęby, plamy krwi i narzędzia tortur, w tym bicz z kabli. Prawdę mówiąc, ja też posmakowałam takiego bicia. Wieczorami strażnicy podchodzili pod drzwi naszych kwater, wywoływali nas i zabierali. Należałam do starszych kobiet i przez jakiś czas mniej się nami interesowali; na to zresztą liczyłam. Aż pewnego wieczora, koło wpół do dziesiątej, otworzyły się drzwi kwatery, a w progu stanął dowódca strażników, Željko Mejakić, i wymienił moje nazwisko. Weszłam za nim do pokoju, do którego mnie poprowadził. Było tam sześciu albo siedmiu mężczyzn. Najpierw mnie obrażali, a potem Mejakić kazał mi się położyć na podłodze i robił ze mną, co chciał. Trwało to cztery godziny, aż w końcu zaprowadzono mnie z powrotem do mojego pokoju. Nie mówiłam nikomu, co mnie spotkało, nikt mnie też o to nie pytał; to była nasza niepisana zasada, po prostu nie opowiadałyśmy, co działo się z nami, kiedy nie było nas w pokoju. Rano wchodził do nas sam Mejakić i mówił: „Któraś została zgwałcona? Jeśli tak, to śmiało, mówcie”.

Jadranka planowała napisać książkę, której tytuł podsunęła jej jedna z towarzyszek niedoli, Mugbila Beširović, później zamordowana.

– W obozie ciągle pisałam – wspominała Jadranka. – Mugbila mówiła, że jeśli kiedykolwiek opublikuję te wspomnienia, powinny nosić tytuł *Sala 102* od numeru pokoju.

Gdy książka rzeczywiście wyszła drukiem, znalazł się w niej następujący fragment: „Z głośników ryczała muzyka, która docierała do najdalszych zakątków obozu [...], [ale] zagłuszające ją krzyki tylko pogłębiały grozę. Z pochylonymi głowami, jak nam przykazano, siedziałyśmy na grzejniku. Mimo to widziałyśmy za oknem wynoszone ciała. Tego ranka nie były owinięte w koce. Nie mieli już koców. [...] Siedziałyśmy na karuzeli śmierci z obluzowanymi fotelami. Kręciłyśmy się w rytm muzyki, która znaczyła to miejsce piętnem swego piekielnego rytmu. Koło zębate obracało karuzelą, jęcząc, krzycząc, śpiewając, a my mogłyśmy w każdej chwili wypaść z niej i zniknąć na nieznanym polach. Tak to wyglądało”¹².

W czasie nowojorskiego procesu poznawałem codzienne życie kobiet w Omarskiej przy papierosach i kawie, siedząc z nimi przy stole w holu hotelu na Manhattanie, gdzie wszystkie się zatrzymały. Odwiedzałem je wieczorami, uzbrojony w czekoladki z likierem – gdy miały już za sobą całodzienne przesłuchania w sądzie, w których czasami udawało mi się uczestniczyć – w wypełnionym dymem zakątku Bośni pośród ulic i alej Nowego Jorku. Opowiadały, jak każdego dnia w obozie musiały nieustannie kalkulować, by zachować siłę fizyczną i psychiczną, manewrując między kuchnią, sypialniami, pokojami gwałtów i miejscem, które nazywały „separatką” – dobudówką, gdzie mieściły się kwatery żandarmerii wojskowej i gdzie wszystko mogło się zdarzyć.

– Była tam kobieta o imieniu Suada – wspominała Jadranka. – I inna, młodsza dziewczyna, która poszła do separatki. Pytałyśmy je, jak tam było. Powiedziały, że cudownie i że je nakarmiono. Więc kilka dni później, kiedy szukali ochotniczek do sprzątnięcia separatki, zgłosiłam się z jeszcze jedną kobietą o imieniu Fikreta. Ale Fikretę zabrali i zgwałcili, a ja, choć mam lęk wysokości, uciekałam na drabinę strażacką, żeby mnie nie spotkało to samo. Kiedy Fikreta wróciła, spytałam ją, co się stało. Milczała, ale widziałam, że ma oczy zapuchnięte od płaczu. Powiedziałam: „Chodźmy do kuchni”, bo miałam nadzieję, że dostaniemy tam coś do jedzenia dla siebie i dziewczyn. Ale odesłano mnie do mycia sztućców; umyłam wtedy chyba wszystkie noże i widelce w Bośni. I czułam zapach obiadu żandarmów: był pyszny. Miałam nadzieję, że dostanę coś do jedzenia, ale strażnik powiedział: „Chodźmy stąd”. Poprosiłam o jedzenie dla dziewczyn, a on dał mi kawałek chleba twardy jak kamień i pozwolił nam zerwać trochę zieleniny po drodze do sypialni. Kiedy wróciłam, spytałam Suadę: „Powiedz, jak mam cię zabić?”. Nigdy nie pracowałam tak ciężko na kawałek czerstwego chleba.

W tym czasie obchodziłem czterdzieste szóste urodziny i urządziłem w swoim mieszkaniu małe przyjęcie, na które zechciała przyjść także Jadranka. Patrzyłem na nią z podziwem – choć tego samego dnia zeznawała w procesie, opowiadając o gwałtach w obozach koncentracyjnych, teraz z kieliszkiem wina w ręce gawędziła swobodnie na inne tematy z moimi przyjaciółmi, między innymi z Markiem Rothem, meksykańskim fryzjerem, egzystencjalistą i wyznawcą guevaryzmu, oraz moją współlokatorką Stacy Sullivan, która zdobywała dziennikarskie szlify w Sarajewie, a teraz pisała w kuchni książkę o Kosowie. Jadranka wyszła jako jedna z ostatnich gości tego wieczora; podarowałem jej oprawne w skórę wydanie dzieł Szekspira, które miałem od dzieciństwa, a ona dała mi coś, co od tej pory jest dla mnie bardzo cenną pamiątką: srebrny medalik z wizerunkiem Świętej Rodziny, który w Omarskiej trzymała w bucie dla ochrony przed siłami zła.

– Przeżyliśmy dlatego, że byliśmy szaleni, a może dlatego, że byliśmy dzielni. Albo jedno i drugie – powiedziała mi wtedy.

Jadranka miała w Omarskiej szczególną przyjaciółkę: Hasibę „Bibę” Harambašić, szwagierkę byłego wiceprezydenta Jugosławii, Hamdii Pozderaca.

– Gdybym wiedziała, że jesteś komunistką, nawet bym się do ciebie nie zbliżała! – żartowała Jadranka, lojalna chorwacka katoliczka, a Biba też śmiała się z tej ironii losu.

– Jej ojciec walczył po niemieckiej stronie pod Sewastopolem – mówiła Biba. – Mój był po właściwej, patriotycznej stronie, był partyzantem!

Biba była drobna, niezwykle energiczna i pełna humoru.

– Byłam zadziorną dziewczyną, a teraz jestem zadziorną kobietą – mówiła, zaciągając się papierosem. – Pochodzę z politycznej rodziny z politycznymi koneksjami. Żyłam na luzie, można

powiedzieć, że byłam trochę zmanierowana. – Urodziła się w mieście Cazin w północno-zachodniej Bośni, gdzie podobno rodzą się prawdziwe Bośniaczki. – Kobiety z nożem w zębach, jak to się u nas mówi.

Biba była dentystką, pracowała w Prijedorze.

– Kiedy zabrali mnie do Omarskiej, nie miałam pojęcia, co się dzieje i gdzie się tak naprawdę znalazłam. Byłam ze swoją przyjaciółką Złatą, poszliśmy na górę obejrzeć pokoje, spotkałyśmy Jadrankę i pytamy ją: „Możemy spać w twoim pokoju?”. Jakby to był hotel! Ona odpowiedziała: „Lepiej się spytajcie”. Poszliśmy więc do strażnika, który nazywał się Kvočka, i mówimy: „Czy możemy tam spać?”. A on też się zachowywał, jakby to był hotel. „Możecie sobie same wybrać pokoje” – powiedział.

Jedną z form znęcania się nad uwięzionymi Bośniaczkami były wizyty kobiet ze wsi Omarska, które wyśmiewały się i szydziły z więźniarek.

– Przychodziły tu dla rozrywki, jak do kina – opowiadała Jadranka. – Przychodziły, żeby się z nas śmiać i upokarzać nas, bawiło je to.

– Zawsze były wtedy ładnie ubrane – dodała Biba. – Chciały podkreślić w ten sposób, że my ciągle chodzimy w tych samych ciuchach.

– Tylko jedna z nich nam współczuła – mówiła Jadranka. – Pochodziła z Omarskiej, ale wyszła za biednego Serba i mieszkała w Prijedorze, w tym samym budynku co ja. Pewnego dnia przyniosła nam sirnicę, ciasto ze słonym serem. Ryzykowała wtedy życie. W naszym pokoju panowała zasada, że dzielimy wszystko między sobą, na siedemnaście równych części, nawet jeśli zostawały wtedy tylko okruszki.

– Oddałam swoją część mężczyznom – podkreśla Biba. – Oni dostawali znacznie mniej niż my.

Biba nosiła w obozie workowate spodnie z białego lnu i jedwabiu, do których chowała skradziony chleb.

– Bardzo sprytnie kradła ten chleb, ale okropnie się bałyśmy, bo każdy bochenek mógł nas kosztować życie – opowiadała Jadranka. – Część z nas uzgodniła między sobą, że będziemy oddawały całe nasze racje mężczyznom, a same żywiły się tym, co ukradniemy.

Między kobietami, które oddawały mężczyznom jedzenie, a tymi, które tego nie robiły, panowały napięte, nieprzyjemne stosunki.

Inna kobieta zeznająca w Nowym Jorku, Nusreta Sivac, przed pobytem w Omarskiej zasiadała na ławie sędziowskiej, co widać również w jej zachowaniu na co dzień. Nusreta zawsze zachowuje dystans, jest trochę oficjalna, woli rozmawiać o konkretach, niż gawędzić. O procesie w Nowym Jorku mówiła:

– To niemal zabawne! Wszyscy ci studenci, prawnicy, dziennikarze. Ale w sumie to dość prymitywne, przesłuchania są wręcz wulgarne. Prawdę mówiąc, myślałam, że nie tkną kobiet – mówiła Nusreta. – Ale oskarżyli mnie o stosowanie szariatu, co było oczywiście absurdem, i to właśnie ja byłam pierwszą kobietą z Prijedoru, która trafiła do Omarskiej. Nie wiedziałam, dokąd mnie zabierają, ale gdy zbliżaliśmy się do bramy obozu, ogarnęły mnie okropne przeczucia. I oczywiście zadawałam sobie pytanie: dlaczego tu jestem? Kiedy połączyłam elementy układanki, wszystko stało się jasne. Kobiety, które wybierali do Omarskiej, żeby je gwałcić, były intelektualistkami, należały do wyższych warstw społecznych. Znalazły się wśród nich kobiety różnych profesji i w różnym wieku, do tego dla postrachu dorzucili kilka innych, które po prostu wyciągnęli z domów.

Nusreta opowiedziała mi historię rodziny, która była tragicznym symbolem tego, co działo się

w Omarskiej.

– To była noc świętego Piotra – wspominała. – Strażnicy się upili i podpalili opony, śpiewali swoje piosenki i wrzeszczeli, wyciągali więźniów, skakali po nich, przypalali ich i tłukli na śmierć. Jednym z nich był Bečir Medunjanin. Jego żona, Sabaheta, widziała przez okno naszego pokoju, jak strażnicy po nim skaczą. „Co oni mu robią?”, krzyczała, a ja próbowałam ją uspokoić, żeby jej też nie zabrali. Kiedy umierał, zakryłam jej oczy, żeby na to nie patrzyła.

Sabaheta trafiła potem na listę „więźniów na wymianę” i wsiadła do autobusu, przekonana, że odzyska wolność.

– Okazało się, że to była wymiana ze śmiercią – opowiadała Nusreta.

Szczałki nieszczęsnej Muzułmanki znaleziono potem w masowym grobie. Sabaheta i Bečir mieli dwóch synów, jeden z nich zginął podczas ostrzału Kozaraca. Sabaheta, jak wspominała Nusreta:

– Zawsze mówiła, że odnajdzie ciało syna i wyprawi mu godny pogrzeb.

Niestety, nie było jej to dane. Jej drugi syn, Anes, przeżył wojnę jako jedyny członek tej rodziny.

– Oddał swoje DNA do organizacji z Sanskiego Mostu, zajmującej się identyfikacją zwłok – mówiła Nusreta. – Pojechałam z nim zidentyfikować ciało Sabahety. „To jest moja matka”, powiedział, patrząc na kości.

Inną kobietą, która siadywała przy wspólnym stole w hotelu na Manhattanie, była Tesma Elezović, mieszkająca w Perth w Australii. Niegdyś Tesma prowadziła wraz ze swoim mężem Samirem schronisko w Parku Narodowym Kozara, do którego „przyjeżdżali goście z całego świata”. Przyjeżdżali też z okolicznych miejscowości, jak choćby mieszkaniec Trnopolja, Kružević.

– Utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie z całą jego rodziną. Często bywał w Kozaracu, bardzo go lubiliśmy. W Dzień Kobiet, 8 marca, tuż przed wybuchem wojny, jego dzieci przyjechały do nas z kwiatami.

Ale miesiąc później Kružević był komendantem obozu koncentracyjnego w Trnopolju.

– Ci grubi żołnierze z Prijedoru, którzy odwiedzali nas w obozie, zawsze domagali się specjalnego jedzenia – opowiadała Tesma. – Musieli mieć białe nakrycie, mięso i warzywa, a nam ślinka ciekła z głodu. Kobietom udało się kiedyś ukraść cebulę i zabrać ją na górę. Weszłam do pokoju i poczułam jej zapach. Poprosiły, żebym ją podzieliła, mówiąc: „Jeśli Tesma ją pokroi, będzie sprawiedliwie”. Więc pokroiłam ją na szesnaście równych części. Miałyśmy trochę soli do smaku. Maczałyśmy te kawałki w soli, były naprawdę pyszne. Zachowywałyśmy się, jakby to była pieczona jagnięcina, wychwalałyśmy tę cebulę jak najdoskonalsze danie na świecie.

Tesma wyjaśniła mi, że pobyt w Omarskiej nie był jej największym zmartwieniem. Najbardziej zasmucał ją fakt, że jesienią w Kozaracu zaginął jej syn i dotąd nie odnaleziono nawet jego szczątków.

– Był policjantem, został w mieście po atakach, żeby strzec szpitala przed czetnikami, którzy chcieli zabić rannych.

Rodzina Tesmy została „rozproszona w ciągu jednego popołudnia”, 24 maja, po którym wszystkim muzułmańskim rodzinom kazano „wywiesić białe prześcieradła” i przygotować się do deportacji.

– Policjanci przyjechali o piątej rano, kazali nam zrzec się domu i schroniska. Zabrano mnie do Keratermu, ale okazało się, że obóz jest już pełny, więc po trzech godzinach przewieźli nas do Omarskiej. W naszej grupie było około piętnastu osób. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, oddzielili kobiety od mężczyzn. Mężczyzn od razu zaczęli bić. Nas, kobiety, zaprowadzili do restauracji i odebrali nam

wszystko, co miałyśmy przy sobie. Zabrali nas na górę, gdzie mieszkaliśmy do zamknięcia obozu, czyli do 6 sierpnia.

O tym, co działo się w tym czasie, słyszeliśmy wszyscy w sądzie.

W pierwszym procesie, *Kadić vs Karadžić*, sędzia Person nakazał, by nieobecny Karadžić zapłacił siedemset czterdzieści pięć milionów dolarów kary i odszkodowań. W sprawie *Doe vs Karadžić*, w której powódek było więcej, zasądzono na ich korzyść aż cztery i pół miliarda dolarów – choć ostatecznie Karadžić nie zapłacił ani centa z orzeczonych kar. Ostatniego wieczora, który spędzały w Nowym Jorku, kobiety pozostawiono same sobie. Siedziały osamotnione w hotelowym holu ze swoją chorwacką tłumaczką, Verą Kondić, moją przyjaciółką z czasów wojny.

– Drogie panie – zagadnąłem. – To jest Nowy Jork, stolica jazzu. Musimy gdzieś się wybrać.

Kobiety były wyczerpane, a mnie opadły wątpliwości, czy rzeczywiście powinienem zabierać je do klubu Lenox Lounge w Harlemie – postanowiliśmy jednak spróbować. Problem polegał na tym, że w siedmioro nie mogliśmy się zmieścić do jednej taksówki, więc niczym pasterz zagnałem wszystkie kobiety do miejskiej kolejki, która zawiozła nas do Harlemu, na 125. Ulicę – co samo w sobie z pewnością było dla nich niecodziennym doświadczeniem. Jak na ironię, ściany w holu klubu Lenox były wyłożone tapetą w czarno-białe paski. Znałem ojca i syna, którzy prowadzili to miejsce, choć tylko powierzchownie, jako Alvina Seniora i Alvina Juniora. Okazało się jednak, że wejściówki na koncert o dziewiątej są już wyprzedane. Alvin Junior przekazał nam złe wieści: nie ma żadnych wolnych stolików, a już na pewno nie dla siedmiu osób. Wiedział jednak co nieco o moim pobycie w Bośni, choć bez szczegółów, wydawał się więc poruszony moją desperacką prośbą:

– Posłuchaj, był tam ten obóz, pamiętasz? Gwałcono tam kobiety. To pięć z nich. Właśnie skończyły zeznawać w procesie w Nowym Jorku. Potrzebuję stolika. Bardzo proszę!

Alvin uśmiechnął się tylko w odpowiedzi, przeszedł do sali i zrobił coś wielkiego – powiedział grupie japońskich turystów, że jest mu bardzo przykro, ale przy rezerwacji doszło do pomyłki. Chwilę później wprowadziłem kobiety do środka i usiedliśmy przy zwolnionym stoliku.

Zespół występujący tego wieczora był większy i bardziej ekscentryczny niż zwykle w Lenox, grał głośną atonalną muzykę, a kobiety spoglądały po sobie niepewnie. Czy to naprawdę był dobry pomysł, by po ostatnim, podsumowującym dniu procesu o gwałty w obozach koncentracyjnych przyjść właśnie tutaj? Jednak dwie kolejki drinków później zabawa rozkręcała się już w najlepsze. Kilka pań przyniosło ze sobą w torebkach swój ulubiony koniak Stock, który teraz ukradkiem dolewały do kieliszków. Gdy skończył się koncert i poproszono, by osoby, które pragną zostać na występ o jedenastej, nie opuszczały swoich miejsc, wszyscy przy stoliku byli zgodni, że tak właśnie zrobimy.

Kobiety, które wytoczyły proces w Nowym Jorku, opuściły Omarską dwa dni przed naszą wizytą, 3 sierpnia 1992 roku. Nie były jednak ostatnimi ofiarami przemocy seksualnej, które stamtąd wyjechały. Pięć innych zmuszono do pozostania – trzy z nich były ostatnimi więźniami zamordowanymi w tym obozie, dwie pozostałe opuściły obóz 21 sierpnia. Zamordowane zostały: przyjaciółka Jadranki Mugbila Beširović, Hajra Hadžić i Velida Mahmudin. Jedna z pozostałych przy życiu kobiet niedawno zmarła, a drugą jest Sabiha Turkanović.

Sabiha prowadziła kawiarnię i restaurację Crvene Ruže (Czerwone Róże) w Kozaracu, jedną z najpopularniejszych w całym mieście „spośród dwudziestu ośmiu kawiarni, które działały przy głównej ulicy”.

– Goście przychodzili od południa do wieczora, by zjeść pieczoną jagnięcinę i posłuchać muzyki. Nikt nie wiedział, kto jest Serbem, kto Chorwatem, a kto Muzułmaninem. Obchodziliśmy tu razem wszystkie święta.

Jednym z kelnerów w kawiarni był Enver Dautović, który obecnie mieszka w Luton.

– Och, to wszystko moi chłopcy, ci Bośniacy, którzy są teraz u was w Anglii – powiedziała mi Sabiha. Sefer Haškić, cieśla, który mieszka obecnie w Bolton, był i nadal jest oczkiem w głowie Sabihy, a jego rodzina traktuje ją jak ciotkę.

– Sefer był bardzo przystojny – wspomina tęsknie. – Przychodził do nas, grał na gitarze i śpiewał. Jego żona Mirela i moja córka chodziły razem do szkoły, a jego córka Melisa i moja wnuczka są najlepszymi przyjaciółkami. Sefer był bardzo młody, gdy trafił do Omarskiej. Gdy tylko mogłam, dawałam mu dodatkowy kawałek chleba, ale czasami przystawiali mi pistolet do pleców i pytali: „Dlaczego zawsze dajesz chleb tej samej osobie?”.

Sabiha, córka taksówkarza, w wieku szesnastu lat poszła do szkoły gastronomicznej. Zawsze była przebojowa i wysportowana, należała do sztafety, która zdobyła złoty medal podczas zawodów zorganizowanych w Sarajewie dla uczczenia urodzin marszałka Tity. Wyszła za kierownika hotelu w Prijedorze i jako kobieta sukcesu, zdolna bizneswoman, była kolejnym oczywistym celem gwałcicieli w Omarskiej.

– W ten sposób mogli realizować swoje chore fantazje. Gwałcąc kobiety należące do elity, zdobywali to, co w normalnym życiu było dla nich niedostępne, fizycznie i psychologicznie. Chcieli nas w ten sposób poniżyć, umniejszyć, odebrać nam dumę z naszych osiągnięć. Byli malutkimi mężczyznami, którzy chcieli upokorzyć silne kobiety.

Niezwykły zbieg okoliczności – jednym z największych wielbicieli kawiarni i restauracji Sabihy był Milan Kovačević, ten sam, który spowiadał nam się przy rakii.

– Oczywiście, że go znałam! – wykrzyknęła Sabiha. – Byłam kimś w rodzaju matki chrzestnej basenu, którym zarządzał [wcześniej nie miałem pojęcia, że Kovačević prowadził basen], a on zawsze był w szpitalu, gdy mój mąż miał operację, pilnował, żeby wszystko było zrobione jak należy. Kovačević zawsze był bardzo uprzejmy dla mnie i mojego męża, traktował mnie jak królową. Przywoziliśmy mu do szpitala różne mięsa, a na mój widok żartował: „Idzie szefowa!”. Często był gościem w naszej restauracji, w Bajram zawsze przychodził na baklawę. Siedzisz na jego ulubionym miejscu, Eddie.

Udręczony zarządca gułagu w radosnym nastroju pod koniec ramadanu – nie do wiary.

– Tak – kontynuowała Sabiha. – Moja córka studiowała medycynę i pracowała z doktorem Kovačeviciem, ale jej mąż został zamordowany w Omarskiej.

W dniu, w którym nasza dziennikarska ekipa przybyła do obozu, Sabiha i pozostałe cztery kobiety zaprowadzono do separatki.

– Słyszałyśmy, jak przyjechaliście. Słyszałyśmy wasze głosy. Byliście po jednej stronie ściany, a my po drugiej, kaszlałyśmy najgłośniejszym, jak się dało, żebyście nas usłyszeli. Po 6 sierpnia, gdy do obozu przyjeżdżał Czerwony Krzyż, zawsze nas chowali. Mężczyźni mówili pracownikom Czerwonego Krzyża, że tam jesteśmy, ale oni nie chcieli denerwować Serbów. Wiem, że wiedzieli, bo gdy mój mąż opuścił Omarską 6 sierpnia, powiedział im, że w obozie zostały jeszcze kobiety.

Sabiha potwierdziła to, co Jadranka i Biba mówiły o wizytach żon strażników w obozie.

– Przychodziły, żeby na nas popatrzeć, trochę z ciekawością i współczuciem, a trochę dla zabawy,

wszystkie wymalowane i wystrojone, ale te serbskie żony z zapadłej wsi Omarska nie mogły się z nami równać. Wiedziały, że są niczym w porównaniu z silnymi kobietami z Kozaraca, i z pewnością nie przyszło im do głowy, że pewnego dnia wrócimy i spojrzemy im prosto w oczy.

Epilog

Historia wojennych gwałtów ma swój niepokojący epilog: świetny i wstrząsający film zatytułowany *Niewygodna prawda* (*The Whistleblower*) z 2010 roku z Rachel Weisz w roli głównej. Choć nie widzimy tortur zadawanych za karę jednej z dziewczyn, która próbowała uciec od swoich oprawców – widzimy łzy jej towarzyszek, zmuszonych do oglądania tej kaźni. Widzimy też żelazny pręt porzucony na podłodze piwnicy po zakończeniu tortur, więc wiemy, co się wydarzyło.

Jako film *Niewygodna prawda* nie oszczędza widza. To opowieść o jednej z najgorszych zbrodni: handlu kobietami, które są zmuszane do seksu, gwałcone, a nawet zabijane. Jednak jako portret rzeczywistości to „dzień na plaży w porównaniu z tym, co działo się naprawdę” – mówi reżyserka Larysa Kondracki.

– Pokazujemy to, co wolno nam pokazać. Nie moglibyśmy opowiedzieć w filmie prawdy o trzytygodniowym okresie znieczulania, gdy oprawcy przypalali dziewczyny w określonych miejscach. Nie bylibyśmy w stanie oddać beznadziei życia tych kobiet.

Film opowiada o zniewoleniu i gwałtach w Bośni, nie w czasie wojny, lecz w późniejszym okresie pokoju, a także o pracownikach sił pokojowych. Co gorsza, żołnierze i policjanci ONZ byli nie tylko „klientami” zniewolonych kobiet, ale i handlarzami, mogli zatem liczyć na ochronę sił pokojowych w Bośni.

Kanwą filmu jest prawdziwa historia Kathryn Bolkovac z Nebraski, która współpracowała przy jego tworzeniu jako konsultantka. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Kathryn zgłosiła się na ochotnika do pracy w bośniackich siłach pokojowych. Została zwerbowana przez firmę DynCorp – największego podwykonawcę amerykańskiego Departamentu Stanu – której zlecono nadzór nad utrzymaniem porządku w Bośni (w filmie, w zbeletryzowanej wersji historii Bolkovac, główna bohaterka pracuje dla firmy Democracorp). Bolkovac przyjechała do Bośni pełna najlepszych chęci i zajęła się przypadkami przemocy domowej, pracując w schroniskach dla kobiet będących ofiarami agresji – w kraju, gdzie jest ona tolerowana w niewybaczalnym stopniu. Poznała tam dwie dziewczyny z Ukrainy, które opowiedziały jej odmienne, lecz równie przerażające historie: obie zostały uwięzione i sprzedane jako niewolnice seksualne.

Bolkovac pisze:

Najbardziej szokującym aspektem tych spraw w Bośni był fakt, że policjanci i pracownicy organizacji humanitarnych nie tylko ułatwiali seksualne niewolnictwo i wykorzystywanie dzieci oraz młodych kobiet w burdelach, ale w wielu przypadkach także uczestniczyli w handlu ludźmi poprzez wymuszenia, łapówki i fałszowanie dokumentów dla większych organizacji przestępczych.

Bolkovac starała się zdemaskować i powstrzymać handlarzy, ale znalazła tylko dwie osoby, które gotowe były ją wspierać w tych działaniach: holenderskiego oficera o imieniu Jan, za którego później wyszła, oraz główną ekspertkę do spraw równouprawnienia UNHRC (United Nations Human Rights Council), Madeleine Rees, graną w filmie przez Vanessę Redgrave. W rzeczywistości Rees współpracowała z bośniackimi dziennikarzami, urzędnikami, stowarzyszeniami ofiar wojennych gwałtów i z miejscową policją. Wspólnie z Bośniakami stworzyła „system służący ochronie i interesom kobiet i ofiar, zapewniający im doradztwo i nietykalność niezależnie od tego, czy zdecydują się zeznawać, wizy

oraz w razie potrzeby azyl. Jednak gdy tylko te wszystkie działania zostały zinstytucjonalizowane i zaczęły przynosić rezultaty, pojawiły się naciski z zewnątrz, zmuszające nas do skupienia się na wszczynaniu postępowań sądowych i repatriacji, a spychające na drugi plan kwestię niezależności samych kobiet, co w bardzo znaczący sposób odbiło się na skuteczności całej operacji”.

Rees tłumaczy w swojej pracy, na czym polega obłęd międzynarodowej interwencji i obecności w Bośni: „Poszczególne kraje ocenia amerykański *Raport o handlu ludźmi* (Trafficking in Persons Report) na podstawie dokumentacji dotyczącej walki z handlem żywym towarem, trzeba się zatem w tej dokumentacji wykazać konkretnymi wynikami. Jeśli nie ścigasz i nie odsyłasz do domu dostatecznej liczby osób, twoja ocena spada, a tym samym zmniejsza się wsparcie finansowe. Kiedy więc organizowano naloty na burdele, dziewczyny przekazywano Międzynarodowej Organizacji do spraw Migracji i wywożono na Ukrainę czy do innych krajów, prawdopodobnie tylko po to, by potem po cichu przywieźć je tutaj z powrotem. To była prawdziwa repatriacyjna fabryka, kierowana przez ludzi, którzy byli przeciwni imigracji i zależało im tylko na tym, żeby kobiety nie przyjeżdżały do Europy Zachodniej, a prawa tych kobiet w ogóle ich nie obchodziły. My z kolei działaliśmy powoli, ale nasza strategia zaczynała przynosić efekty, więc trzeba było nam przeszkodzić”. Oczywiście ścigano jedynie miejscowych przestępców, podczas gdy pracownicy organizacji pokojowych korzystali – i nadal korzystają – z immunitetu dyplomatycznego. Dlatego też ani jeden żołnierz czy policjant powiązany z tą zbrodniczą działalnością nie został pociągnięty do odpowiedzialności.

Zarówno w filmie, jak i w prawdziwym życiu Bolkovac sięga coraz wyżej, próbując doprowadzić przed sąd handlarzy, wśród których są również jej współpracownicy. Jednak jej wysiłki są w najlepszym wypadku lekceważone, w najgorszym sabotowane, a w końcu obawiając się o swoje życie, musi nocować u znajomych. Ukrainka, która jako pierwsza opowiedziała Bolkovac o tym koszmarze, zginęła z rąk swoich oprawców, a jej los miał być ostrzeżeniem dla pozostałych niewolnic. Scena, w której zniewolone kobiety muszą stroić się dla następnej „zmiany” żołnierzy i policjantów ONZ, to jeden z najbardziej wstrząsających momentów filmu.

Bolkovac została unieszkodliwiona, wyrzucona z misji i zwolniona. Podczas serii spotkań ze swoimi zwierzchnikami z ONZ oraz z firmy, która ją zatrudniła, Bolkovac dowiaduje się, że nie stawiała się w pracy, nie informując o tym przełożonych, w dniu, gdy burza zatrzymała ją na lotnisku w Wiedniu, i w dniu, gdy przebywając w swojej rodzinnej miejscowości w Nebrasce, poszła na mecz koszykówki drużyny, w której grała jej córka.

Film kończy się w momencie, gdy główna bohaterka zostaje zwolniona, ale książka napisana przez Bolkovac ma ciąg dalszy. Po jej odejściu Rees zauważyła, że choć DynCorp to firma amerykańska, Bolkovac podpisywała umowę z jej biurem w Wielkiej Brytanii i tym samym „podlegała prawodawstwu angielskiemu”. Rees skontaktowała Bolkovac ze swoją znajomą prawniczką z Birmingham, Karen Bailey.

– To była prosta sprawa dotycząca szykan stosowanych przez pracodawcę w odwecie za ujawnienie jego bezprawnych działań – mówi Bailey. – Zarzuty były bardzo poważne, a przeciwnik potężny, ale sama sprawa nie była wcale skomplikowana.

2 sierpnia 2002 roku sąd uznał jednomyślnie, że szef Bolkovac „prześladował powódkę i robił wszystko, by usunąć ją ze stanowiska”.

– Sędziowie nie mieli wątpliwości, że [Bolkovac] została zwolniona, bo podniosła kwestię handlu żywym towarem. Sąd w żaden sposób nie sugerował, że jej zarzuty i podejrzenia są nieprawdziwe.

W ostatnim dniu kwietnia 2003 roku firma DynCorp zrezygnowała z odwołania od wyroku sądu, a trzy dni później ogłosiła, że Departament Stanu zlecił jej utrzymywanie porządku w Iraku.

Wydział Kryminalny amerykańskiej armii (Criminal Investigation Department, CID) otworzył śledztwo w sprawie zarzutów Bolkovac, lecz jego ustalenia nigdy nie zostały upublicznione. Jednak przed premierą filmu firma DynCorp, przemianowana w tym czasie na DynCorp International (DI), wydała komunikat zawierający „oświadczenie agenta specjalnego CID, z którego wynika, że »ani DynCorp, ani jej pracownicy nie byli zamieszani« w handel ludźmi”. W komunikacie napisano również: „Firma DI nie tylko współpracowała w śledztwie z CID, ale także prowadziła własne dochodzenie. Ponadto nie znalazła żadnych dowodów świadczących o jej współudziale w handlu ludźmi, natrafiła jednak na obszary, których działanie można usprawnić. W rezultacie rozwiązano kontrakty z kilkoma osobami”. W podsumowaniu stwierdzono: „Od czasu zatrudnienia [Bolkovac] firma zmieniła właściciela i zarząd; opracowała surowy *Kodeks etyki i postępowania biznesowego*, obejmujący politykę zerowej tolerancji dla handlu ludźmi”. Firma oświadczyła, że „jest dumna z agresywnych działań, które podjęła w celu wzmocnienia swoich procedur i polityki od momentu, gdy ponad dziesięć lat temu pojawiły się te zarzuty pod jej adresem”.

W wydanym później komunikacie wewnętrznym, który trafił w ręce Bolkovac, przemianowana firma ponownie zaprzecza, jakoby jej pracownicy byli zamieszani w handel ludźmi, mimo że przegrała sprawę w Wielkiej Brytanii. Kierownictwo tłumaczyło swoim podwładnym: „Naszym celem jest informowanie was o faktach, nim dowiecie się o nich z innych źródeł. [...] Zdecydowanie odrzucamy zarzuty pani Bolkovac dotyczące okoliczności jej zwolnienia, nie zgadzamy się także z korzystnym dla niej orzeczeniem brytyjskiego trybunału z 2002 roku”.

Film poddał również krytyce Organizację Narodów Zjednoczonych. Do reżyserki Larisy Kondracki dotarł wewnętrzny komunikat ONZ, w którym część członków kierownictwa napisała, że „ONZ powinna aktywnie zareagować i potępić niedopuszczalne praktyki w Bośni”. Jednak inni członkowie uważali, iż „zdecydowana reakcja oraz [...] publiczne projekcje filmu w ONZ połączone ze szczerą dyskusją przyniosą efekt odwrotny do zamierzonego i wzmocnią tylko jego oddziaływanie”. W końcu woleli więc zbagatelizować film i jego przekaz.

W komunikacie napisano również, że sekretarz generalny ONZ, Ban Ki-moon, był „zszokowany przedstawioną przez jego doradców oceną udziału niektórych narodowych kontyngentów, działających niegdyś na terenie Bośni i Hercegowiny, w handlu ludźmi oraz kilkoma innymi kwestiami, które zostały poruszone”. Był zszokowany na tyle, że zorganizował specjalny pokaz filmu dla zaproszonych gości w siedzibie głównej ONZ w Nowym Jorku. Jednak Bolkovac i Rees otrzymały zaproszenia dopiero na sześć dni przed datą projekcji (Bolkovac nie mogła przyjechać ze względu na ślub syna). Kondracki zwróciła się do kierownictwa ONZ: „Chciałabym powiedzieć, że ten pokaz doprowadzi do autentycznej dyskusji i analizy udziału pracowników ONZ w handlu ludźmi i innych przestępstwach. Chciałabym to powiedzieć, ale mam pewne obawy. Wiem, że usłyszymy mnóstwo zapewnień o działaniach podjętych od czasu wydarzeń przedstawionych w filmie, ale sama retoryka nie wystarczy. Problem tylko się nasilił”.

Rees również została zwolniona ze stanowiska w ONZ, rzekomo za słabe wyniki, wygrała jednak sprawę w trybunale odwoławczym organizacji. Później została sekretarzem generalnym Międzynarodowej Ligi Kobiet na rzecz Pokoju i Wolności (Women's International League for Peace and Freedom), organizacji walczącej o prawa kobiet i sprawiedliwość społeczną, założonej w czasie

pierwszej wojny światowej.

O znaczeniu filmu *Niewygodna prawda* Rees mówi:

– Nie wystarczy, żeby ONZ powiedziała: „Och, jest u nas kilka czarnych owiec, których musimy się pozbyć”. Muszą zrozumieć, że ta oburzająca i okrutna praktyka jest typowa dla zdominowanego przez mężczyzn zmilitaryzowanego środowiska; pojawia się w chwili, gdy wysiadasz z samolotu transportowego, rodzi się z solidarności grupy facetów skazanych na siebie przez dłuższy czas, z presji otoczenia, z odurzenia walką. To także kwestia przywództwa: ci ludzie mają tych samych dowódców, którzy mogą wsadzić ich do paki, jeśli nie wyglansują należycie butów! Jeśli nikt nie powie wyraźnie: „Nie rób tego, bo inaczej zostaniesz ukarany”, to znaczy, że dajemy na to przyzwolenie. Trzeba naprawdę rygorystycznie stosować politykę zerowej tolerancji. Teraz wygląda to tak, że podczas misji za granicą możesz popełniać najgorsze przestępstwa, za które u siebie zostałbyś ukarany długoletnim więzieniem, ale nic się nie dzieje, dopóki ofiarą tego przestępstwa jest cudzoziemiec. Wracasz potem do domu, zatrudniasz się przy kolejnej misji i jedziesz gdzie indziej, żeby robić to samo. Zanim cokolwiek się w tej sprawie ruszy, dowody przypadną, kobiety zostaną odesłane do domu przez podstępny system, fabrykę repatriacji, a potem prawdopodobnie sprzedane gdzie indziej. Obecnie to zakłęte koło: przestępcy, państwa członkowskie i instytucje międzynarodowe, wszyscy celowo podtrzymują tę sytuację i dbają o to, by rzecz nie została nagłośniona. Żeby rzeczywiście rozwiązać ten problem, po pierwsze, ONZ musi uznać prymat ofiar: kobiet, które są przedmiotem handlu. W Bośni osiągnęliśmy konkretne rezultaty, byliśmy skuteczni i w końcu zostaliśmy powstrzymani właśnie dlatego, że słuchaliśmy kobiet i umieszczaliśmy popełnione na nich zbrodnie we właściwych ramach prawnych. Po drugie, ONZ musi wymagać od krajów członkowskich, by ludzie schwytani podczas misji i odesłani do domu zostali aresztowani, należycie osądzeni i ukarani. Tych przestępstw dopuszczają się konkretni ludzie, którzy za granicą gwałcą i torturują dziewczyny, a potem wracają do swoich żon. To będzie się powtarzać, dopóki któregoś dnia nie usłyszą pukania do drzwi i nie zostaną aresztowani na oczach swoich żon i dzieci.

Film *Niewygodna prawda* poruszał kwestię nie tylko gwałtów wojennych, ale także zdrady i zaniedbań ze strony misji międzynarodowej obecnej w Bośni. Madeleine Rees mówi:

– Instytucje takie jak ONZ mają głęboką potrzebę, by chronić same siebie, a jej funkcjonariusze siebie nawzajem – tak to właśnie jest. Oczywiście niektórzy uczciwi obserwatorzy i inni pracownicy krytykowali to, co się tam działo, zostali jednak zbojkotowani.

Zdaniem Rees o ogólnym nastawieniu organizacji świadczył fakt, że nawet najlepsi obserwatorzy nie wyłamali się z szeregu. Tymczasem sami Bośniacy, jak mówi:

– Przez długi czas handel ludźmi i gwałty postrzegali jako cudzy problem: te dziewczyny pochodziły w większości spoza Bośni, były więzione i wykorzystywane seksualnie również przez ludzi spoza Bośni, nikt więc nie palił się do interwencji. Jednak potem, po niezwykłych demaskatorskich publikacjach magazynu „Dani” [sarajewskiego tygodnika publicystycznego] z 2001 roku, to nastawienie się zmieniło. Ludzie – dobrzy ludzie – połączyli te historie z krzywdą i traumą wojennych gwałtów.

W 2011 roku podczas prestiżowego festiwalu filmowego w Sarajewie do miasta zawitała megagwiazda, Angelina Jolie, by promować tu *Krainę miodu i krwi*, inny świetny film o Bośni, który sama wyreżyserowała. Była to historia miłosna, osadzona częściowo w obozach koncentracyjnych, która wzbudziła oburzenie niektórych organizacji byłych więźniów i krewnych ofiar, zdobyła sobie sympatię innych i rozwścieczyła Serbów – w Republice Serbskiej zakazano dystrybucji tego filmu. Jednak na

festiwalu nie wspomniano nawet o *Niewygodnej prawdzie*, którą wyświetlano w tym czasie w Ameryce, Australii, Azji i znacznej części Europy i która zdobyła liczne nagrody na różnych festiwalach filmowych, a także była stałym punktem programu festiwalów organizowanych przez Human Rights Watch w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Kiedy skonsternowany pytałem o przyczyny tej nieobecności różnych ludzi pracujących dla społeczności międzynarodowej – Bośniaków i cudzoziemców – ci wzruszali tylko ramionami lub traktowali mnie z powściąganą wrogością. Madeleine Rees kwituje to słowami:

– Przyjechałam tu pracować z kobietami, które padły ofiarą gwałtów podczas wojny, ale później poznałam równie wiele kobiet, które zostały tu sprowadzone siłą oraz zgwałcone przez żołnierzy i policjantów przysłanych do utrzymania pokoju.

Część druga

Gołobie serca

Środkowy palec dla Prijedoru: Największe miasteczko na świecie

[...] zdążyć będzie człowiek do swego wiecznego domu i kręcić się już będą po ulicy płaczki¹³.

Księga Koheleta 12,5

– Trudno zarobić tyle, żeby odbudować nasze domy – powiedział Edin Kararić w Kozaracu. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy to miejsce, ale latem 2004 roku był tu już z kolejną wizytą. – Żeby je odbudować, pracujemy na całym świecie, ile się tylko da. Ale zawsze znajdują arabskie pieniądze na odbudowę meczetów. Nie chodzę do meczetu, ale cieszę się, gdy je odbudowują, bo każdy minaret to środkowy palec pokazywany tym skurwielom w Prijedorze! Kiedy przyjechałem po raz pierwszy, nikogo tu nie było – wspominał Edin, który wrócił do Kozaraca w 1999 roku. – Tylko jakiś chory pies, który dziwnie mi się przyglądał. Wyczuwał chyba, że coś się tutaj dzieje.

Siedzieliśmy nad kawą w „barze-kawiarni-dyskotece” o nazwie Mustang, w który Edin zainwestował i który po części sam również odbudowywał. Był to pierwszy lokal otwarty we wskrzeszonym z gruzów mieście. Kiedy przyjechałem tu w 1992 roku, a potem w 1996, Kozarac był upiorną, osmaloną ruiną, nad którą unosił się zapach śmierci. Jednak poprzedniego wieczora miasto tętniło życiem, młodzi bawili się na swoich głośnych imprezach, starsi spotykali się ze znajomymi. Gdy latem wracała tu diaspora, Kozarac – odbudowywany cegła po cegle, płytką po płytce, dachówka po dachówce – zamieniał się w centrum życia towarzyskiego, niemal desperackie w swej żywiołowości. Rodziny zbierały się w pizzerii Mexx, byli więźniowie obozów pili piwo w barze Picadilly, większe grupy krewnych zasiadały na obiad przy długich stołach na dziedzińcu restauracji Stara Bašta, gdzie Sefer Haškić z Bolton i bośniacka gwiazda folkowa Hanka Paldum bawili tłumy swym śpiewem. W górę wąskiej głównej ulicy pięły się samochody z tablicami rejestracyjnymi krajów, do których los zagnał ich właściciele: Niemiec, Szwecji, Finlandii, Austrii, Francji, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii. Przepastne wnętrza coraz liczniejszych dyskotek – co roku przybywała co najmniej jedna – przyciągały dziewczyny na niebotycznie wysokich obcasach i chłopców z nażelowanymi włosami, którzy znikali rodzicom z oczu, by pić, tańczyć, całować się i może nawet zakochać. Wieczorem to, co było niegdyś zniszczonym miastem, wracało do życia. Wbrew przeciwnościom losu Kozarac się odradzał. Patrząc na powolne spacerujące starszych i tłumne procesje młodych, trudno wyobrazić sobie, że zgodnie z planem wszyscy ci ludzie mieli umrzeć lub zniknąć stąd na zawsze. A spacerujące z rodzicami dzieci poniżej dwunastu lat miały się w ogóle nie narodzić.

Jest jednak i druga strona medalu. Kozarac to wyspa grupy wygnańców, którzy wrócili tu na stałe, wzmacniana latem kilkutyśniczną diasporą. Miasto znajduje się na terenie Republiki Serbskiej. Nad heroicznym wysiłkiem tych, którzy próbują odbudować swoją przeszłość, unosi się znak ich niedysyjszych oprawców: krzyż z czterema cyrylicznymi literami „S”). Ten sam symbol, niczym biurokratyczne napomnienie, widnieje na wszystkich oficjalnych dokumentach. „Tylko jedność ocali Serbów” to pieczęć autoryzująca owoce ich pracy za granicą: domy, ubezpieczenia, status prawny.

Właściciel motelu przy głównej drodze opowiadał, do czego posuwał się miejscowy „inspektorat”, by utrudnić mu prowadzenie interesu. Władze Prijedoru zatroszczyły się o to, by w powojennym herbie znalazł się serbski krzyż, a flaga Republiki Serbskiej powiewa nad najwyższym punktem Kozaraca, na szczycie góry przy wjeździe do miasta, gdzie powracający z wygnania postawili także dwa drewniane znaki z napisem „Największe miasteczko na świecie”. Serbowie je ścięli, więc Muzułmanie postawili dwa następne – te również zostały ścięte, a potem ustawione na nowo. Na razie wciąż tkwią na swoim miejscu, ale przy wjeździe do miasta ktoś napisał sprayem: *balija*.

Kozarac był osmańskim centrum regionu Krajina, a gdy ktoś mówi, że pochodzi z Kozaraca, może mieć na myśli którąkolwiek z okolicznych wiosek.

– W Kozaracu był meczet z 1486 roku, zniszczony w 1962, gdy próbowali wymazać historię – mówił Edin. W 1968 roku Kozarac przestał być stolicą regionu i został włączony do gminy Prijedor.

– Nigdy nas nie lubili – twierdził Edin. – Bo nadal nazywaliśmy tę gminę Kozarac. Mieliśmy swoją remizę, szpital i komisariat. Sami sobą rządziliśmy, realizowaliśmy swoje plany i byliśmy szczęśliwi, i za to właśnie nienawidzili nas bardziej niż za religię. Ludzie, którzy próbowali nas zniszczyć, nie rozumieli nas. Nie potrafili zrozumieć, że o nic ich nie prosimy. Tęskniliśmy po prostu za domem, chcieliśmy być w domu.

Jednak na powrocie Karariciów do domu najbardziej zależało nie Edinowi, lecz jego matce Zumrze. Niemal wszystkie opuszczone domy Muzułmanów w ich rodzinnej miejscowości, Trnopolju, zostały zajęte przez Serbów, a powracający zamieszkali w namiotach rozbitych w tym samym miejscu, gdzie niegdyś był obóz koncentracyjny, w którym wielu z nich było więzionych.

– Serbowie robili wszystko, co mogli, by nas powstrzymać – mówiła Zumra. – Blokowali drogi, żeby zatrzymać autobusy, nękali nas w miasteczku namiotowym.

Zumra Kararić męczyła się w Watford i w 1999 roku podjęła w końcu decyzję. Jej dom nie został na szczęście spalony ani zbombardowany.

– Był jednak w okropnym stanie – wspominała, gdy siedzieliśmy w ciepły letni wieczór na werandzie, sącząc kawę i delektując się pomidorami z jej ogrodu. – Tam, gdzie rośnie ta jabłoń, było tylko błoto i brud, po podwórku wałęsały się świnie.

Jednak nie to stanowiło największy problem: w domu mieszkał wyjątkowo brutalny, okryty złą sławą Serb. Nawet Edin, który nie jest słabeuszem, radził, by go nie prowokowała. Ale pani Kararić nie zamierzała się poddawać. Wróciła do Trnopolja i wprowadziła się do swojego domu.

– Spałam na sofie, tam – mówiła, pokazując mi łóżko. – Dzieliliśmy ten sam dom, prawie się do siebie nie odzywaliśmy. On chyba nie mógł w to uwierzyć. Próbował wszystkiego, żeby się mnie stamtąd pozbyć, groził mi na wszystkie możliwe sposoby, ale ja się nie wyprowadziłam. [Po trzech latach] nie mógł już dłużej tego znieść i przeniósł się do tamtego budynku. – Wskazała na szopę za starą żelazną pompą. – Miałam cały dom dla siebie, ale nie mogłam wygonić go z tej szopy. W końcu, w 2004 roku, wyniósł się i stamtąd.

– Kiedy wróciliśmy odbudowywać dom, byliśmy pierwsi na całej ulicy – mówiła żona Envera Dautovicia, Kelima, w Luton. – Nie dostaliśmy ani grosza od gminy, ani centymetra rur kanalizacyjnych czy kabli elektrycznych. Wszystko robiliśmy sami, za swoje pieniądze: latarnie, asfalt, wszystko. Właściwie gdyby nie kłótnie i korupcja po naszej stronie, zrobilibyśmy to jeszcze szybciej. Odbudowa Kozaraca pokazała, czym właściwie jest to miasto i kim my jesteśmy. Jesteśmy dumnym narodem

pogranicza i wróciliśmy do siebie.

Konwój samochodów piął się dzielnie na zbocze góry Kozara, przez serbskie wioski, z których pochodziło wielu zabójców. Trąbiąc i wymachując flagami, kawalkada sunęła powoli za zaprzężonym w konie wozem, na którym siedzieli Ena Dautović, najstarsza córka Envera i Kelimy, oraz pan młody, Suad Sulejmanović z miejscowości Kamičani, położonej po drugiej stronie drogi. Ena ukończyła kryminologię na Uniwersytecie Roehampton, ale postanowiła odłożyć na jakiś czas karierę, gdy pewnego lata poznała w Kozaracu Suada. Po ślubie miała wyjechać z nim do Szwajcarii, gdzie Suad pracował w zarządzie transportu publicznego w Bazylei. Suad jest zamkniętym w sobie, ale silnym młodzieńcem, wychowanym przez matkę i ciotki po tym, jak jego ojciec wraz ze swoimi trzema braćmi został zamordowany w Omarskiej i podczas czystek w miejscowości Kamičani.

Jednak w dzień ślubu nikt nie oddawał się takim wspomnieniom. Nad zuchwałą kawalkadą powiewała flaga Bośni z sześcioma liliami – ku osłupieniu serbskich wieśniaków, zdumionych taką bezczelnością. Wcześniej w rodzinnym domu podano pyszny obiad, w ogrodzie rozstawiono stoły na kozłach dla dwustu osób, a wuj Suada strzelił w powietrze, przyjmując Enę do swojej rodziny. Enver, podobnie jak inni mężczyźni z nowo połączonych rodzin, ubrał się w uszyty specjalnie na tę okazję kremowy jedwabny garnitur i koszulę oraz kamizelkę i fular z jadesitowego jedwabiu. Cieszył się szczęściem swojej córki, a zarazem przeżywał jak każdy ojciec jej odejście z rodzinnego domu (choć mówił o tym z przymrużeniem oka). Na wesele nie trzeba było wynajmować muzyków: tą kwestią zajął się Sefer Haškić z Bolton, który akompaniował sobie na akordeonie, my tymczasem tańczyliśmy z pełnymi żołądkami, przygotowując się do prawdziwego przyjęcia na szczycie góry.

– Ena trafiła do Luton, gdy miała zaledwie siedem lat – opowiadała Kelima w przeddzień wesela, sprawdzając listę spraw do załatwienia u krawca i w kwiaciarni. – Przyjechała tym samym autobusem co jej matka, troje kuzynów i babcia, dorastała już w Anglii, planując tam karierę. – Dopóki nie dosięgła jej strzała Kupidyna.

Victoria-Amina, pierwsze dziecko bośniackich uchodźców urodzone w Anglii, a obecnie smukła nastolatka, była druhną panny młodej. Przed wieczorem panieńskim przygotowała dla wszystkich zaproszonych dziewczyn koszulki z różowymi napisami „Panna młoda” lub „Pan młody”.

Enver i Kelima po raz pierwszy przyjechali do Kozaraca w 2000 roku, by pogrzebać matkę Envera, która zmarła na uchodźstwie w Dubrowniku. Rodzina gotowa była kupić jej dom i podróżować między Luton a chorwacką perłą Adriatyku. Jednak Ena, wówczas czternastolatka, skłoniła ich do zmiany planów.

– Kiedy tu przyjechaliśmy, nasz dom był zniszczony – wspominała Kelima. – Bardzo to przeżywaliśmy. Ale nagle Ena zaczęła skakać po gruzach, szczęśliwa, że wróciła do siebie. Mówiła: „Tato! Mamo! Proszę, nie bierzmy tego domu w Dubrowniku! Odbudujmy ten!”. Wcześniej w ogóle nie braliśmy pod uwagę powrotu, ale właśnie to zrobiliśmy. Kupiliśmy dom z prefabrykatów i już: byliśmy u siebie.

– Myślę, że wartość domu w Dubrowniku wzrosła bardziej – zauważył Enver.

– Jestem wściekła – mówiła Kelima – gdy słyszę, jak serbscy politycy opowiadają w międzynarodowej telewizji, że są dumni ze swojego wielokulturowego społeczeństwa, i podają przykład Kozaraca [faktycznie tak jest], choć dobrze wiedzą, że w rzeczywistości robili wszystko, żeby się nas stąd pozbyć, a potem utrudnić nam powrót. Nie chcieli nas tutaj i nadal nas nie chcą, nie licząc faktu, że jesteśmy ludźmi sukcesu i wspieramy gospodarkę, którą oni doprowadzili do ruiny. Wszyscy

dobrze wiemy, że gdyby tylko mogli, chętnie znów by nas wszystkich pozabijali.

Sefer Haškić z Bolton jechał główną drogą z Prijedoru do Kozaraca.

– Spójrz tutaj – powiedział, gdy wyjechaliśmy zza zakrętu, wskazując na największy z trzech głazów na szczycie góry Kozara, widocznej teraz na północnym horyzoncie. – Nie masz pojęcia, co czuję, kiedy widzę Kozarački Kamen. To sięga gdzieś w głąb mojej duszy.

Zatrzymał się przed domem, który odbudował wraz z rodzicami swojej żony, Mireli; teściowie zamieszkali na dole, a Sefer, Mirela i dziewczynki – Melisa i Lejla – na piętrze.

– Wyobraź sobie, jak muszą się wkurzać, kiedy tu wracamy – mówił Sefer po angielsku z silnym akcentem z Lancashire. – Nienawidzą nas jeszcze bardziej niż kiedyś, szczególnie że to my napędzamy teraz gospodarkę, a oni pracują jako kelnerzy w naszych kawiarniach, zmywają nasze naczynia!

To była odpowiedź Sefera na fakt, że, jak uważał:

– Nigdy nie przyjdą do nas i nie powiedzą: „Przepraszamy za to, co zrobiliśmy”, jak Niemcy powiedzieli Żydom. Pewnie dlatego, że wcale tego nie żałują i gdyby mieli taką możliwość, zrobiliby to jeszcze raz. Gdybyśmy czekali, aż zaproszą nas tu z powrotem, nigdy byśmy tu nie wrócili. Gdybyśmy czekali na pomoc przy odbudowie domów, nigdy byśmy się nie doczekali. Dlatego nie prosiliśmy o żadne pozwolenia, po prostu zaczęliśmy budować, a oni nie mogli zrobić nic, żeby nas powstrzymać.

Serbowie otrzymali też wyraźny sygnał, czego mogą się spodziewać, jeśli jednak spróbują przeszkodzić powracającym uchodźcom:

– Jednym z pierwszych, którzy tu wrócili, był pewien uchodźca z Norwegii. Jego dom ocalał, mieszkał w nim teraz Serb, ale nasz człowiek go wygonił. Ten czetnik wrócił i groził mu, więc facet z Norwegii go zastrzelił. Od tej pory zostawili nas w spokoju.

Równie trudna do zaakceptowania dla niedawnych wykonawców czystek etnicznych musi być niefrasobliwa natura Sefera i jego żarty, jak choćby ten, na który pozwolił sobie przy fontannie w centrum Prijedoru, gdzie ustawiono w szeregu kilka kranów z pitną wodą.

– Szedłem tędy ze swoim bratem z Finlandii i zobaczyliśmy tę fontannę. Przypomina fontanny, których my, muzułmanie, używamy do *abdestu*, rytualnego obmycia przed modlitwą. Podszedłem wtedy do jednego z Serbów i powiedziałem: „To bardzo miłe z waszej strony, że wydaliście pieniądze na specjalną fontannę do muzułmańskich modłów!”.

Z balkonu swojego nowego domu Sefer ma widok na nową cerkiew, którą Serbowie zbudowali obok znacznie mniejszej, pięknej, ponad stuletniej świątyni, popadającej obecnie w ruinę. To irracjonalne przedsięwzięcie, bo populacja Serbów w Kozaracu zmalała niemal do zera, ale cerkiew ma znaczenie symboliczne – podobnie jak środkowy palec minaretu Edina Kararicia.

– Chcą wytrącić nas z równowagi, ale mnie to wcale nie przeszkadza – stwierdził Sefer. Potem dodał od niechcienia coś, w co trudno uwierzyć: – Rzecz w tym, że bez Serbów to nie jest Bośnia. To nasz problem: oni chcą się nas pozbyć i dołączyć się do Serbii, a my potrzebujemy ich w Bośni, do której chcemy należeć!

*

Powracającym uchodźcom pomaga strona internetowa Kozarac.ba, pełniąca funkcję wirtualnego ratusza i kawiarni, w której mieszkańcy wymieniają się wiadomościami i plotkami. Powstała w 2003 roku, „pod koniec pierwszej fazy powrotów”, mówił Ervin Blažević, były więzień Omarskiej, który opiekuje się tą

stroną.

– Od tego czasu diaspora organizuje większość rzeczy właśnie przez sieć. Sprawy takie jak zbieranie funduszy na boisko do koszykówki i siłownię, brukowanie dróg: robimy to wszystko w internecie. Ale dzięki tej stronie ludzie mieszkający w miejscach tak odległych jak Szwecja czy Ameryka mogą rozmawiać o tym, co właśnie gotują. Kobiety piszą swoim dawnym sąsiadkom: „Ja piekę dzisiaj pyszny burek”. I wymieniają się przepisami. Dostajesz takie informacje od ludzi z całego świata, kiedy wstają rano i przeglądają najświeższe wiadomości przed wyjściem do pracy.

To także za pośrednictwem strony Kozarac.ba zebrano wśród członków diaspory fundusze na pomnik, który stanął na końcu głównej ulicy. Pomnik ma kształt wielkiego cylindra z cętkowanym betonem, do którego można wejść i odczytać wypisane na ścianie imiona i nazwiska 1126 osób zabitych lub zaginionych w okolicy Kozaraca. W uroczystości odsłonięcia pomnika brał udział prezydent Republiki Serbskiej, Milorad Dodik, co wywoływało ambiwalentne odczucia. Z jednej strony było to ważne świadectwo, oficjalne uznanie przez władze tego, co stało się w Kozaracu, z drugiej jednak budziło wściekłość żałobników, między innymi Kelimy Dautović, która tak tłumaczyła swoją reakcję:

– Przypisują sobie w ten sposób zasługę w powstaniu pomnika, który wybudowaliśmy sami, bez najmniejszej pomocy władz, a jednocześnie sprzeciwiają się wzniesieniu pomnika w Omarskiej.

Co znamienne, pomnik powstał w Kozaracu, a nie w Prijedorze: w bastionie powracających uchodźców, a nie w stolicy regionu.

– Naszym największym problemem jest tutaj Republika Serbska – stwierdził Ervin Blažević: – Kozarac.ba daje nam poczucie niezależności, dzięki tej stronie czujemy się jak w wiosce Asterixa otoczonej przez Cesarstwo Rzymskie.

Satko Mujagić, prawnik z Lejdy, miał w lodówce jeszcze dwie butelki białego wina. Nazajutrz miał wracać do Holandii, a ja musiałem wyjechać przed świtem, żeby zdążyć na poranny lot z Zagrzebia. Nie pozostało nam nic innego, jak wypić to wino, co też uczyniliśmy, siedząc na dziedzińcu jego odbudowanego domu, oparci plecami o ścianę. Wspominał budowę domu, mówił z czułością o swojej babci i o okrutnej ironii losu:

– Nie miała pieniędzy, ale latami oszczędzała na swój pogrzeb. Jedyne, na czym jej zależało, to godny pochówek, za który nie musielibyśmy płacić. Odkładała wszystkie oszczędności na specjalny fundusz. A nie miała żadnego pogrzebu. Ostatni raz widziałem ją tutaj, w tym domu, potem wszelki ślad po niej zginął. Nigdy nie znaleziono jej ciała. Może jest gdzieś pod nami, a może wiele kilometrów stąd. Tak czy inaczej to głęboka rana w naszej rodzinie, bo jej największe pragnienie za życia nie spełniło się po jej śmierci.

Satko wrócił tu po raz pierwszy w 1998 roku, na pogrzeb innej krewnej.

– Wszystko było zniszczone, nie sądziłem, że ktokolwiek wróci tu na stałe. Rok później przyjechałem z ojcem, to była jego pierwsza wizyta po wojnie. Serbska policja na granicy dała nam się mocno we znaki, a kiedy zbliżaliśmy się do Kozaraca, obaj zamilkliśmy na dobre. Kiedy mój ojciec zobaczył wszystkie te zniszczenia, odezwał się w końcu: „Pierdolić to wszystko. Załatwimy, co mamy do załatwienia, a potem wrócimy do Holandii i nigdy więcej tu nie przyjedziemy”. Później spotkał jakiegoś starszego faceta, który odbudowywał swój dom, i zmienił zdanie: „Skoro on może, to czemu nie ja?”. I tak podjął ostateczną decyzję.

Wcześniej Satko zdążył się na dobre zadomowić w Holandii. W 1997 roku znalazł pracę w służbie

imigracyjnej, w dziale ministerstwa sprawiedliwości, a od 1999 roku pracował z Holenderką o imieniu Marliese.

– Na początku nic nas nie łączyło, ale potem spojrzeliśmy na siebie w inny sposób, zamieszkaliśmy razem i się pobraliśmy.

W 2002 roku urodziła się ich pierwsza córka, Lejla, a dwa lata później mała Mila.

– Nagle przydarzyło mi się to holenderskie życie – mówił Satko. – Ale mój dom zawsze będzie tam, gdzie tamtego strasznego dnia zostawiłem babcię.

Wysoko nad Kozaracem, w miejscowości Brđani, z której rozciąga się widok na odległe góry na południu i na masyw Kozara na północy, złożyłem wizytę w domu odbudowanym przez Džemala Paratušicia, człowieka, który nie mógł mi powiedzieć prawdy w 1992 roku. Po raz pierwszy wzniósł ten dom, gdy ożenił się z Rubiją. Wciąż miał zdjęcie ślubne, które zachowało się w zbiorach jego szwagierki: on był szczupłym dwudziestolatkiem, Rubija nie skończyła jeszcze nawet siedemnastu lat. Jego matka wróciła do Bośni ze Szwajcarii. Ubrana w tradycyjny strój zachowywała milczenie, ale wyglądała na zadowoloną. Piekła pyszną pitę i kręciła się bezgłośnie po podwórzu. Posiedziałem trochę przy stole na zewnątrz, gawędząc o piłce nożnej z Harrym, teraz już bystrym nastolatkiem z Borehamwood. Gdy po dolinie rozeszło się wołanie muezina, sprzecaliśmy się właśnie żartobliwie, który klub jest lepszy: Liverpool czy Manchester United.

Kiedy latem w Kozaracu pada, zwykle jest to prawdziwa ulewa. Właśnie w takiej ulewie Džemal oprowadzał mnie po swojej działce i pokazywał domy sąsiadów.

– Gdy przyszli tu czetnicy, niemal każdy z nas stracił co najmniej jednego członka rodziny, albo tutaj, albo w Omarskiej – mówił Džemal, przedstawiając mnie swojemu sąsiadowi, którego brat, ojciec i syn zostali zamordowani. Z drugiej strony posiadłości mieszkał kuzyn Džemala, Salih, który wrócił tu z Francji i zamierzał zbudować trzypiętrowy dom dla rodziny swojej i brata.

Jednak dom, w którym Džemal spędził dzieciństwo, stał wyżej na zboczu góry, na tyłach działki. To z tego domu wygnano jego matkę i tam zabito jego ojca. Budynek nie został odbudowany, ale Džemal miał zamiar się tym zająć w przyszłości.

– Dzieci są jeszcze małe. Aldijana ciężko pracuje w kolegium nauczycielskim. Nie wiem, czym dla nich będzie to miejsce. Ale wiem, że chcę odbudować ten dom. Chcę, żeby zobaczyła go matka. I sam chciałbym tam zamieszkać pewnego dnia, z dala od wszystkiego i wszystkich, otoczony tylko przez przyrodę.

Sabiha Turkanović, ostatni więzień Omarskiej, nie próbowała odbudować restauracji Crvene Ruže w jej pierwotnej lokalizacji.

– Niektórych rzeczy nie da się wskrzesić, nie da się ich nigdy zastąpić – mówiła. – Kiedy tu wróciłam, zachowywałam się jak wariatka, łykałam tabletki na uspokojenie. Dom był zniszczony, zarosnięty zielskiem.

W miejscu restauracji Sabiha zbudowała dom, a dwie działki dalej postawiła nowy lokal, który nazwała „Złoty”. Dom stoi naprzeciwko zardzewiałych straganów, tu w czwartkowe poranki odbywa się cotygodniowy targ, gdzie wieśniacy sprzedają jajka i warzywa. Romowie sprzedają różne bibeloty, a mieszkańcy Kozaraca spotykają się na pogawędki i papierosa. Przed wojną siłą rzeczy w dni targowe w jej restauracji panował największy ruch. Sabiha powiedziała mi jednak:

– Teraz nie lubię tego rynku, nie podobają mi się te stragany. – Przez większość tygodnia stoją puste, szeregi rdzewiejących konstrukcji ogrodzonych siatką. – Za każdym razem, gdy spoglądam na nie przez okno, przypominają mi obóz i przyprowadzają mnie o zimny dreszcz.

Nie obawiała się jednak tych, którzy niegdyś gwałcili ją w obozie.

– Kiedy ich spotykam, to oni spuszczaają wzrok, zawstydzeni swoim bestialstwem.

Zupełnie inaczej wyglądało życie kobiet, które wróciły do Prijedoru. To miasto, zamieszkałe teraz w przytłaczającej większości przez Serbów, w niczym nie przypominało „wioski Asterixa” w Kozaracu. Gdy do Prijedoru powróciła Nusreta Sivac, sędzia, musiała zamieszkać u brata:

– Okazało się, że moje mieszkanie zajęła była maszynistka z sądu, Ankica. Zaprosiła mnie na kawę. To było niewiarygodne: wróciłam prosto z Omarskiej i byłam gościem we własnym domu. Siedziałam na swojej sofie. Ankica, w moich ubraniach, zrobiła mi kawę w moim dzbanku i podała mi ją w porcelanowych filiżankach, które odziedziczyłam po mamie, a potem spytała: „Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz?”. Mówiła, że mieszkanie jej się podoba. Zawsze chciała takie mieć.

Gdy Nusreta w końcu odzyskała swoje mieszkanie na mocy odwołania zgodnego z prawodawstwem uchwalonym w Dayton – „Dobrze, że znam prawo!” – Ankica obiecała jej, że zostawi wszystko w idealnym porządku.

– Ale gdy w końcu ją stamtąd wyeksmitowałam, wszystko zniknęło. Wszystko, co odziedziczyłam po mamie. Nawet moje zdjęcia. Zrobiła to z czystej złośliwości, żeby pozbawić mnie przeszłości.

Gdy Nusreta wprowadziła się w końcu z powrotem do swojego mieszkania, ktoś wydrapał na jej drzwiach słowo „Omarska”.

– W okolicy mieszka mnóstwo byłych strażników z obozu. Widuję ich niemal codziennie. Jeden z nich, Vokić, ma mieszkanie w sąsiednim bloku, tuż obok. Widuję ludzi, którzy prowadzili przesłuchania, a nawet tego, który kazał mnie zamknąć w Omarskiej. Jest menedżerem w banku i jeździ mercedesem. Próbuję spojrzeć mu w oczy, ale odwraca wzrok. Inny strażnik, który mnie gwałcił, został niedawno wypuszczony z więzienia w Hadze; nazywa się Kvočka. Po raz ostatni udało mi się spojrzeć mu w twarz, gdy siedział na ławie oskarżonych w Hadze. Ale teraz jest na wolności, a ja widuję go często na ulicy. Widziałam go nawet w dniu, w którym poszliśmy kupić kwiaty na pogrzeb pięciu kobiet ekshumowanych w Omarskiej. Stał w kwaciarni i kupował bukiet dla swojej żony. Powiedziałam wtedy do przyjaciółki: „Patrz, za tobą stoi Kvočka!”. W dniu, w którym grzebiemy umarłych, a tysiący innych wciąż nie odnaleziono, on jest na wolności.

Powrót do Omarskiej: Walka o pamięć

Sierpień 2004

Ocaleni jadą w stronę koszmaru, w którym niegdyś żyli, obok łąk pokrytych kobiercem letnich kwiatów: żółtych, białych i błękitnych jak niebo. Sznur samochodów mija pola i domy, które okalają miejsce, gdzie niegdyś znajdował się obóz koncentracyjny, po czym wjeżdża na wiadukt nad torami kolejowymi. Oczom podróżnych ukazuje się wielki rdzawy hangar z białym napisem: *Rudnik Omarska* – Kopalnia Omarska – a serca na moment zamierają. Sznur samochodów opuszcza główną szosę i wzbijając tumany pyłu, kluczy po gruntowych drogach wokół kopalni, obok instalacji przemysłowych i taśmociągów – okropny widok – podczas gdy w żywopłotach dzwonią cykady.

Samochody z tablicami rejestracyjnymi z całej Europy jadą kilka kilometrów główną drogą z Kozaraca, skręcają w prawo za Caffè Bar Elite i nowym hotelem, kierując się żółtym drogowskazem do Omarskiej. Jadą przez wioskę, gdzie przyglądają im się ludzie, którzy znają ich historię i wiedzą, co ich tu sprowadza – ale znają tę historię od strony prześladowców, a teraz patrzą z obojętnością lub pogardą na tych, którzy mieli zostać unicestwieni, lecz powrócili, by oddać cześć swym zmarłym.

W końcu dojeżdżają na miejsce, parkują i idą grupkami złożonymi z rodzin, przyjaciół i sąsiadów – niektórzy prowadzą za ręce dzieci – kilka tysięcy osób, które wracają do swej przerażającej historii. Większość mężczyzn to byli więźniowie Omarskiej lub innych obozów, a większość kobiet straciła tu swoich mężów, synów lub ojców. Idą w milczeniu między budynkami, potem wchodzi do kwater, w których przebywali więźniowie słoczeni niczym w kurniku bateryjnym, skąd wywoływano ich po nazwisku na śmierć. Gdy popełniano te zbrodnie, niektórych dzieci nie było jeszcze na świecie lub były niemowlętami; te starsze i nastolatki są smutne i zamyślane jak ich rodzice, młodsze bawią się w tym samym miejscu, gdzie torturowano ich ojców lub mordowano wujów czy dziadków. Ocaleni próbują im to wytłumaczyć.

Niektórzy rozglądają się dokoła z przerażeniem, inni płaczą – ocaleni mężczyźni, wdowy, pozbawione ojców córki, gwałcone kobiety – a wszystko to pod czujnym okiem ochroniarzy postawionych tu przez lokalne serbskie władze. Kładą kwiaty w miejscach, gdzie zginęli ich najbliżsi – zastrzeleni, zakłuci, pobici. Zatrzymują się na asfaltowym placu i stoją w milczeniu w Białym Domu, z którego tylko nieliczni uszli z życiem.

Jest 6 sierpnia 2004 roku, w ciągu dwunastu lat od zamknięcia obozu nic się tu nie zmieniło: powietrze jest gęste od niewypowiedzianych sekretów, cisza upiorna, uroczysta i przerażająca. Wydaje się, że więźniowie wyszli stąd wczoraj, zostały tylko duchy pilnujące warstwy kurzu na stołach w kantynie, gdzie Džemal Paratušić nie mógł powiedzieć prawdy. Dwanaście lat po tym, co w innym miejscu nazwałem „czasem rozkładu”, wszystko wygląda tak samo jak w dniu, gdy to widmowe miejsce opuścił ostatni więzień.

W końcu udaje mi się wejść do wielkiego hangaru, do którego nie wpuszczono nas w 1992 roku.

Spczywają tu w bezruchu szczątki wielkiego zakładu. Nad nimi są pomieszczenia zaludnione niegdyś przez tysiące posiniaczonych, spoconych mężczyzn; dziś zamieszkują je tylko duchy zmarłych i krzyki, które zdają się odbijać od ścian. Byli więźniowie chodzą w grobowej ciszy po tych pokojach, z których kilkanaście lat temu niektórych wywołano na tortury, innych na śmierć. Sefer Haškić zagląda do sali, w której go więziono, teraz wypatroszonej i pustej.

– Próbowałem przypomnieć sobie ludzi, których zabili – mówi. – Ale tutaj nagle mam kompletną pustkę w głowie.

Satko Mujagić wygląda przez to samo okno, przez które w 1992 roku co rano widział ciała ofiar kaźni minionej nocy, ułożone na ziemi w oczekiwaniu na ciężarówkę, która wywiezie je w nieznane.

W pokoiku nad jadalnią Nusreta Sivac kładzie wieniec dla swych zamordowanych przyjaciółek, szczególnie dla Sabahety Medunjanin. Pamięta widok z tego okna w noc świętego Piotra, orgię przemocy – stosy, śpiewających strażników, którzy wymachiwali butelkami piwa lub brandy i skakali na plecy więźniów, łamiąc im kręgosłupy. W Białym Domu stoi kobieta o twarzy ściągniętej smutkiem, Fehida Jakupović. Wpatruje się w podłogę, w miejsce, gdzie zmarł jej mąż Alem.

– Mam dwunastoletniego syna – mówi cicho. – Wtedy był niemowlęciem.

Jakieś dwie godziny później ochroniarze dają znać, że czas już wychodzić. Pozostaje jednak pytanie: jaka jest przyszłość tego miejsca? W obozie nic się nie zmieniło – sama pustka jest tu requiem dla zmarłych. Tylko pomnik ciszy mówi o tym, co się tutaj działo.

Jednak serbskie władze przymierzają się podobno do sprzedaży tego terenu zagranicznym „inwestorom”. Wychodząc, zauważam wraz ze swoją towarzyszką, Nermą Jelačić, coś niepokojącego: kawałki kolorowej taśmy znaczące granice tego obszaru, linki przywiązane do słupków. Zgadza się ze sobą, że to ważne, że to ma znaczenie. Wcześniej żartowałem z Satkiem, który prowadzi organizację charytatywną Optimisti, że ja mógłbym założyć podobną organizację, ale moja nazywałaby się Pesimisti. Teraz, gdy patrzę na taśmy i słupki, rzeczywiście ogarnia mnie pesymizm, jakby lada moment ktoś miał naruszyć ten spokój, przegonić duchy i zniszczyć pomnikową ciszę. Ktoś szuka tutaj zarobku; kimkolwiek jest ten człowiek, ma władzę nad nadziejami ocalonych i osieroconych, nad ich spokojem i zdrowiem psychicznym. Dlaczego właściwie miałyby przejmować się nimi bardziej niż ci wszyscy, którzy dotąd ich zdradzili?

Pytanie wydawało się palące, a odpowiedź otrzymaliśmy kilka tygodni później. Prawo do ponownego otwarcia i prowadzenia kopalni w Omarskiej nabył najbogatszy mieszkaniec Wielkiej Brytanii, hinduski potentat Lakshmi Mittal, który w październiku 2004 roku został największym producentem stali na świecie. Zbił fortunę, kupując w krajach rozwijających się i postkomunistycznych stare huty, które potem modernizował i którym przywracał rentowność. Mittal z wielu powodów stał się postacią znaną powszechnie w Wielkiej Brytanii. W tym samym miesiącu, w którym kupił Omarską, wyprzedził na liście najbogatszych mieszkańców kraju Romana Abramowicza – właściciela klubu piłkarskiego Chelsea – który do tej pory zajmował w tym rankingu pierwszą pozycję. Rok po zakupieniu obozu Mittal znalazł się na trzecim miejscu opracowanych przez „The Sunday Times” i „Forbes” list najbogatszych ludzi świata. Osiągnął to, przejmując US International Steel Group, a potem swego ostatniego rywala, firmę Arcelor z Luksemburga. Mittal nie był już zatem jednym z trzech światowych gigantów na rynku stali, ale jedynym. W tym czasie przeprowadził refinansowanie swoich firm i stworzył nową olbrzymią jednostkę, Mittal Steel, później ArcelorMittal, w której miał osiemdziesiąt osiem procent udziałów.

– To współczesny Carnegie – mówił Robert Jones, redaktor naczelny branżowego czasopisma „Metal Bulletin”. – To największy ryzykant w branży, ale jak na razie to ryzyko mu się opłacało. Zmienił oblicze przemysłu stalowego.

Większe zainteresowanie opinii publicznej wzbudził jednak kolejny zakup Mittala, powiązany z tak zwanym skandalem „cash for favours” (pieniądze za przysługi), w który zamieszany był również ówczesny premier Tony Blair. W 2001 roku poseł z ramienia nacjonalistycznej Partii Walii (Plaid Cymru) ujawnił, że dwa miesiące wcześniej Mittal ofiarował Partii Pracy sto dwadzieścia pięć tysięcy funtów (po kampanii wyborczej, która odbyła się w tym roku), premier zaś poparł Mittala w wygranym przezeń przetargu na zakup gigantycznej rumuńskiej firmy produkującej stal, Sidex. Poseł podkreślał, że w tym samym roku sześćdziesiąt tysięcy walijskich górników straciło pracę, podczas gdy Blair wysłał do rumuńskiego premiera, Adriana Năstasego, prywatny list, w którym pisał, że wybór, jak to nazywał, brytyjskiej firmy – Mittal – na nowego właściciela Sidex pomoże Rumunii w staraniach o przyjęcie do Unii Europejskiej. Blair musiał jednak wiedzieć, że imperium Mittala nie jest zarejestrowane w Wielkiej Brytanii: prowadzi swą księgowość w rajach podatkowych na Antylach Holenderskich, a na Wyspach Brytyjskich zatrudnia tylko jeden procent spośród wszystkich stu tysięcy pracowników swoich firm. Mittal należy do grupy bardzo bogatych ludzi, którzy cieszą się w Wielkiej Brytanii specjalnym statusem i są zwolnieni z opodatkowania. Tak czy inaczej, rumuński minister spraw zagranicznych przyznał, że list Blaira ułatwił transakcję.

Mittal wzbudził jeszcze większą ciekawość Brytyjczyków, gdy w 2004 roku kupił od potentata powiązanego z Formułą 1, Berniego Ecclestone’a, najdroższą na wyspach, wartą siedemdziesiąt milionów funtów rezydencję w Kensington Palace Gardens w Londynie. Znowu zrobiło się o nim głośno, gdy nabył większość udziałów w klubie piłkarskim Queens Park Rangers, w który zainwestowali również Ecclestone oraz inny magnat Formuły 1, Flavio Briatore, przyjaciel premiera Włoch, Berlusconiego. I nagle w tym zupełnie odmiennym uniwersum pojawiła się Omarska.

Na początku 2004 roku Mittal zasygnalizował chęć wznowienia wydobywania w Omarskiej, należącej do kompleksu trzech kopalni w pobliżu Prijedoru, podlegających Republice Serbskiej i gminie Prijedor. 30 kwietnia 2004 roku Mittal kupił pakiet kontrolny w postaci pięćdziesięciu jeden procent udziałów w kompleksie. Czterdzieści dziewięć procent pozostało w rękach firmy RŽR Ljubija, należącej do Republiki Serbskiej. Mittal zobowiązał się zainwestować czterdzieści milionów dolarów, by unowocześnić i rozwinąć działalność kopalni w regionie o wysokim poziomie bezrobocia. Miliarder kupił również większościowe udziały w hucie w miejscowości Zenica położonej na terenie Federacji Bośni i Hercegowiny, która była zaopatrywana przez kopalnię w Omarskiej, zanim został tam zorganizowany obóz.

Po obchodach w 2004 roku, gdy do mediów wyciekły informacje o nowym nabytku Mittala, byli więźniowie obozu oraz krewni setek zabitych tam ludzi zaczęli go prosić, by kiedy przystąpi do przebudowy kopalni, zachował część starej infrastruktury jako pomnik wydarzeń, które miały tu miejsce.

Sabahudin Garibović ze Stowarzyszenia Byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych powiedział latem 2004 roku:

– Bylibyśmy zadowoleni, gdyby stanął tam jakiś pomnik. Najlepiej byłoby zachować w niezmiennym stanie miejsca, gdzie więziono i mordowano ludzi. Chcemy tylko mieć pewność, że w jakiś sposób zostanie tam zachowana pamięć o tych ofiarach, zarówno ze względu na ich krewnych, jak i dla

pobudzenia sumień Serbów. To bardzo ważne, bo jeśli nie obudzimy ich sumień, równie dobrze możemy o wszystkim zapomnieć. A to byłoby najsmutniejsze – zapomnieć, co się stało, by jutro mogło się to wydarzyć ponownie.

W trzech oddzielnych petycjach ocaleni prosili, by budynki, w których mordowano więźniów, zostały zachowane w niezmienionej postaci jako hołd dla zmarłych i świadectwo historii – oraz przyczynek do rozrachunku. W pierwszej prośbie, przedstawionej przez grupy reprezentujące ocalonych z obozu i krewnych zmarłych, napisano: „To ważne, by szczególnie wyróżnić obóz w Omarskiej i uczcić w ten sposób pamięć Boszniaków i Chorwatów więzionych i pomordowanych w tym miejscu, nie tylko ze względu na naszą przyszłość, ale także ze względu na przyszłość Bośni, na proces pojednania”. Drugą petycję wysłała diaspora z Birmingham w Wielkiej Brytanii, a trzecią fundacja Optimisti Mujagicia. „Weszliście w posiadanie miejsca o znaczeniu historycznym – pisał Mujagić. – Choć nie jesteście odpowiedzialni za to, co się tutaj wydarzyło, mamy nadzieję, że potraktujecie naszą prośbę ze zrozumieniem i nie pozwolicie, by przeszłość została zapomniana”. Mujagić dodawał: „Chcemy, aby ci Serbowie, którzy nie wiedzą o wszystkim, co się tu stało, poznali całą prawdę. Wtedy będziemy mogli ruszyć z miejsca jako społeczności. Jednak władze bośniackich Serbów uparcie twierdzą, że zarzuty dotyczące zbrodni popełnionych w Omarskiej są bezpodstawne lub w ogóle nie chcą o tym rozmawiać”. Garibović powiedział: „Piłka jest teraz po stronie pana Mittala. Czy pójdzie na ustępstwa i pozwoli nam symbolicznie oznaczyć miejsce, w którym popełniano zbrodnie?”.

Firma Mittal Steel ograniczyła swą odpowiedź do krótkiego oświadczenia: „Jesteśmy gotowi wysłuchać uważnie wszystkich prośb. Jako nabywcy zarówno kopalni rudy, jak i huty jesteśmy znaczącym inwestorem w tym regionie i chcemy mu zapewnić pomyślną przyszłość”. Tymczasem rzecznik Mittal powiedział w prywatnej rozmowie: „Jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji. W tym rejonie mieszka bardzo wielu Serbów. To właśnie z nimi mamy teraz do czynienia i nie chcemy zrobić nic, co mogłoby ich urazić”. Dyrektor przedsiębiorstwa górniczego Ljubija, Ranko Cvijić, nie odpowiadał na moje telefony. Kontakt odmówił również przedstawiciel bośniackich Serbów odpowiedzialny za prywatyzację, Zoran Došen – jego zastępca powiedział mi, że pytania o upamiętnienie zbrodni są „nieistotne”.

W tym czasie informacje o zbrodniach w Omarskiej stały się już powszechnie dostępne i znane. Zostały udokumentowane podczas procesów w Hadze i potwierdzone wyrokami sądów. W 2002 roku, gdy skazano Stakicia i innych, prezydent bośniackich Serbów, Biljana Plavšić (zastępczyni Radovana Karadžicia), przyznała się do winy wobec oskarżenia określającego zbrodnie w Omarskiej jako część programu prześladowań. Prokurator Alan Tieger uznał, że zadaje to ostatecznie kłam wszelkim próbom zacierania przeszłości – wyznanie winy padło z ust polityka na najwyższym szczeblu. Rok później zakończył się proces poświęcony wyłącznie Omarskiej, w wyniku którego skazano czterech strażników. W podsumowaniu sędziowie powiedzieli:

– Sąd jest przekonany, że od maja do sierpnia 1992 roku w obozie Omarska zabito kilkuset więźniów, a kilkuset innych zniknęło bez śladu.

Sędziowie mówili o miejscu, w którym „systematycznie dopuszczano się aktów wyjątkowego okrucieństwa”, gdzie „ciała zmarłych pozostawiano na wiele dni, by ulegały rozkładowi, a straszliwy smród i strach przenikały obóz”. Stwierdzili, że miało tam miejsce „nieprzerwane pasmo morderstw, tortur oraz innych form przemocy fizycznej i psychicznej” i że panowały tam „trudne do zniesienia warunki, które mogły doprowadzać więźniów do szaleństwa”.

Kolejny problem pojawił się wraz z szokującym odkryciem, którego dokonano wkrótce po wysłaniu listów do Mittal w miejscu odległym o kilka minut marszu od Omarskiej. We wsi Kevljani znaleziono jeden z największych z ujawnionych do tej pory masowych grobów. Gdy eksperci medycyny sądowej zabrali się do pracy, wkrótce stało się jasne, że to przerażające odkrycie jest pod wieloma względami przełomowe w procesie rozrachunku: wiele rodzin odnalazło szczątki swoich krewnych, a skala zabójstw po raz kolejny się potwierdziła. Ostatecznie okazało się, że grób zawiera szczątki czterystu pięćdziesięciu sześciu zamordowanych (inny grób, w którym pochowano ciała stu czterdziestu siedmiu osób, znaleziono niedaleko w 2000 roku). Z czasem, gdy dzięki badaniom DNA potwierdzono tożsamość zmarłych, można było z pewnością orzec, że wielu z nich zabito w Keratermie i Omarskiej. Grób miał cztery metry głębokości, a wykopanie tak dużego dołu wymagało ciężkiego sprzętu i ludzi: nie dało się zrealizować takiego przedsięwzięcia bez udziału wielu osób i bez świadków. Właściwie wymagało to złożonych zabiegów logistycznych, by przetransportować tak dużą liczbę ciał i złożyć je w tak ogromnym grobie – a jednak nikt nie wspominał o nim ani słowem. Sprawę utrzymywano w całkowitej tajemnicy na przestrzeni wielu lat i wielu kilometrów.

Ponieważ nawet po tym odkryciu ponad tysiąc osób w okolicy Prijedoru uznaje się wciąż za zaginione, natychmiast pojawiły się obawy, że ich ciała mogą znajdować się na terenie zakupionym przez Mittal. Pierwszy do działań przystąpił niezamordowany Amor Mašović, przewodniczący bośniackiej Komisji do spraw Poszukiwania Zaginionych.

– Nie ma wątpliwości, że na terenie kopalni i w jej okolicach są jeszcze pogrzebane ciała ofiar. I nie mówimy tu o kilkudziesięciu, lecz o kilkuset ciałach. – Mašović, człowiek, którego poznałem właśnie za sprawą prowadzonych przezeń poszukiwań masowych grobów i dla którego żywię ogromny szacunek, dodał uwagę o szerszym i bardziej fundamentalnym znaczeniu: – To oczywiste, że zadajemy sobie pytanie, czy obozy koncentracyjne powinno się zamieniać w kopalnie rudy, parkingi, centra handlowe i tak dalej. Powinni przynajmniej jakoś oznaczyć Omarską jako miejsce, gdzie tysiące ludzi cierpiały, a setki zginęły.

Jednym z podstawowych pragnień człowieka jest upamiętnianie zmarłych za pomocą fizycznych obiektów: pomników, nagrobków czy choćby kopców ziemi. Wznoszenie takich obiektów jest równie stare, jak sam gatunek *Homo sapiens*; ludzie sypali kurhany lub układali sterty kamieni, odkąd pierwsza małpa człekokształtna z afrykańskich równin stanęła na dwóch nogach i zaczęła chodzić. Pomniki zmarłych są częścią skomplikowanego procesu żałoby, a odbieranie innym prawa do stawiania takich pomników jest przeciwne naturze, destrukcyjne na głębokim poziomie historycznym i mitycznym. Tego rodzaju zakaz jest dla pograżonych w żałobie tak samo upokarzający, jak splunięcie w twarz. Co równie istotne, budowa pomnika poświęconego pamięci zamordowanych w Omarskiej jest nieodzownym elementem rozrachunku. To głęboka i magiczna potrzeba, historyczne uznanie tragicznych wydarzeń i świadectwo prawdy.

*

Satko Mujagić stał się centralnym punktem kampanii na rzecz budowy pomnika. Postrzegał tę kwestię jako „część powrotu do swojej przeszłości w Bośni”.

– Mieszkając w Holandii, śledziłem uważnie działania Trybunału. Uświadomiłem sobie, jak wielkie miałem szczęście, że udało mi się przeżyć, i chciałem coś zrobić. Krótko mówiąc: chcemy, żeby tam coś

powstało, miejsce, w którym moglibyśmy złożyć kwiaty i które moglibyśmy pokazać naszym dzieciom. W żadnym innym kraju na świecie nie byłoby z tym problemów, a w Bośni są. Wstyd.

Abstrahując od imperatywów historycznych, Satko dojrzał też okazję na poziomie politycznym: pod rządami prezydenta Dragana Čavicia w Republice Serbskiej nastąpiło (jak się okazało, tylko chwilowe) odejście od twardej polityki zaprzeczania zbrodniom. Prezydent Čavić wzbudził gniew własnego narodu, przyznając, że Serbowie są sprawcami masakry w Srebrenicy, zgodził się również – pod naciskiem krewnych ofiar oraz Amerykanów – na wzniesienie pomnika w Potočarach w pobliżu Srebrenicy. Wielka szkoda, że lord Ashdown, który tak szybko zareagował na odkrycie obozów w 1992 roku, nie postarał się, by w podobny sposób upamiętniono pomordowanych w Omarskiej, gdy miał jeszcze moc, by to sprawić. Żaden z jego następców na stanowisku wysokiego przedstawiciela nie zainteresował się tym problemem, ale zarówno Satko, jak i ludzie z jego otoczenia mieli nadzieję, że szacunek dla ofiar i ich krewnych weźmie górę.

Co istotne, w sprawę zaangażowano korporację Mittal. Kiedy w „The Guardian” ukazały się moje teksty o listach ocalonych, zostałem zaproszony przez rzecznika prasowego firmy, Paula Weigha, oraz jego współpracownika na lunch w pobliżu siedziby głównej Mittal w ekskluzywnej dzielnicy Belgravia w Londynie. Obaj mówili, że byli zszokowani, gdy poznali przerażającą historię kopalni. Biorąc pod uwagę, jak wiele uwagi poświęcały tej historii media, czułem się nieco zaskoczony ich ignorancją, ale mniejsza z tym: wydawało się, że mieli dobre intencje. 14 stycznia 2005 roku Mujagić został zaproszony do Rotterdamu na spotkanie z szefem Mittal na Europę, Roelandem Baanem.

– Próbowałem odgrywać twardziela, kogoś w rodzaju nieugiętego przedstawiciela żydowskiej diaspory – żartował Satko. – Zachowywałem się tak, jakby on był nam winien pomnik. Spytał: „Czego chcecie?”. A ja odpowiedziałem: „Nie bój się ich. Mamy problem z tym miejscem. Kiedyś był tam obóz koncentracyjny, a my potrzebujemy waszej pomocy, bo zarządzacie tym miejscem, jesteście bogaci i potężni, możecie z tym coś zrobić. To dla waszej firmy szansa, żeby zrobić coś dobrego i pochwalić się tym przed światem”. Baan był dobrym człowiekiem, chyba rzeczywiście chciał nam pomóc.

Mittal zrobił dwie rzeczy. Po pierwsze, firma zgodziła się, że gdy podejmie na nowo wydobywanie, wyłączy Biały Dom z przebudowy kopalni. Jednak podczas ogólnych porządków zmieniono wygląd tego miejsca, nienaruszonego od czasu zamknięcia obozu. Jeszcze w 2004 roku na ścianach widać było ślady krwi, do których czasem przyklejone były ludzkie włosy – teraz wszystkie zniknęły, pozostała jedynie plama czerwonej farby na oknie, której nie udało się zmyć, na farbie zaś wydrapany był serbski krzyż z literami „S”. Generalne porządki to jednak nic w porównaniu z tym, co nastąpiło później: jadalnia, którą odwiedziliśmy w 1992 roku, została wyposażona w nowe stoły i plastikowe krzesła. Niższy poziom hangaru, w którym więziono i zabijano ludzi, pełnił teraz funkcję magazynu, a w pokojach na górze, z których wywoływano więźniów na śmierć, urządzono biura – odmalowano ściany i wyposażono je w nowe meble i komputery.

Firma powołała również do życia organizację o nazwie Dusza Europy, prowadzoną przez anglikańskiego pastora, wcześniej zarządzającego kościołem pod wezwaniem Świętego Marcina przy Trafalgar Square. Wielebny Donald Reeves pojechał do Banja Luki ze swoim asystentem Peterem Pelzem, by prowadzić tam działalność ekumeniczną. Historia wysiłków Reevesa i Pelza w Omarskiej została opisana w książce ich autorstwa, zatytułowanej *The White House: From Fear to a Handshake* [Biały Dom. Od strachu do uścisku dłoni] (2008). Osiągnięto niewiele, ale problemy poruszone przez

organizację i jej niedociągnięcia były znamienne. Mujagić miał rację: w każdej innej sytuacji kwestia pomnika w Omarskiej nie budziłaby żadnych sporów, na tej jednak cieniem kładła się zachodnia doktryna „moralnej równoważności”. Trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek miejsce na świecie, gdzie śmierć tak wielu brutalnie zamordowanych ludzi (co najmniej czterystu osiemdziesięciu, ale być może nawet tysiąca dwustu) nie zostałaby w żaden sposób upamiętniona.

Spotykałem się z Reevesem w hotelach w pobliżu Lancaster Gate, gdzie zatrzymywał się podczas wizyt w Londynie. Konsultował się z wieloma osobami – zdaniem niektórych ze zbyt wieloma – między innymi z burmistrzem Prijedoru Paviciem, szefem policji w Prijedorze, z całą masą serbskich prawosławnych duchownych oraz z Miloradem Dodikiem, liderem nacjonalistycznego Sojuszu Niezależnych Socjaldemokratów, który później objął władzę w Republice Serbskiej. Reeves stracił poparcie wielu osób, gdy na jakimś spotkaniu nazwał Dodika swoim drogim przyjacielem. Zorganizował „Okrągły stół” i „Zespół projektowy Omarska”, którym kierowali wspólnie młody Serb i młody Bośniak. W żadnej z tych grup nie było więźniów z Omarskiej, choć oczywiście konsultował się również z niektórymi z nich. Byli jednak i tacy, którzy uważali, że konsultacje były niewystarczające, nie obejmowały bowiem ludzi, których Reeves podczas naszej rozmowy określił jako „muzułmańską prawicę”, choć nie było dla mnie jasne, kogo właściwie miał na myśli.

Reakcja Serbów była łatwa do przewidzenia. Według relacji Donalda Reevesa burmistrz Pavić powiedział mi, że pomnik w Omarskiej z wielu powodów nie jest dobrym pomysłem. Po pierwsze, najpierw musi powstać pomnik poświęcony pamięci pięćdziesięciu Serbów zabitych w Sarajewie pod koniec wojny. Po drugie, pomnik w Srebrenicy wystarczy. Po trzecie, monument w Omarskiej zakłócałby pracę kopalni. Po czwarte wreszcie, rząd Republiki Serbskiej postanowił, że będą wznoszone wyłącznie pomniki ku czci poległych żołnierzy, a nie cywilów¹⁴. Rajko Vasić, sekretarz generalny Sojuszu Niezależnych Socjaldemokratów Dodika, który wkrótce miał objąć władzę w Republice Serbskiej, opisał stanowisko Sojuszu z godną podziwu jasnością, mówiąc Instytutowi Raportowania na rzecz Pokoju (Institute for War and Peace Reporting):

– Tworzenie miejsc pamięci to element patriotycznej strategii Boszniaków. Jej jedynym celem jest przedstawienie Serbów i narodu serbskiego jako ludobójców. – Dodał też: – Nie łudźmy się, że wznoszenie pomników utrudni albo wspomóże proces pojednania czy też pogłębi wzajemne zrozumienie w kraju. Służyłoby ono tylko Boszniakom.

Trzeba przyznać, że Reeves pomimo niechętej postawy burmistrza Pavicia nie poddawał się, a jego grupy robocze przedstawiły projekt – poparty, co ważne, przez serbskiego dyrektora kopalni – utworzenia wokół Białego Domu Ogrodu Pokoju z drzewami, ławkami i murem, na którym znalazłyby się nazwiska zmarłych. Pomysł ten przedstawili podczas konferencji prasowej 30 listopada 2005 roku w Banja Luce dwaj byli więźniowie Omarskiej, znane postacie miejscowych mediów i polityki: Rezak Hukanović i Muharem Murselović. Przedstawiciel Mittal Steel, dyrektor Will Smith, przedstawił w skrócie „długoterminowe” plany firmy na tym terenie, podkreślając:

– Ta inwestycja niesie ze sobą odpowiedzialność. [...] Nie uchylamy się od niej.

Ale tak to się właśnie skończyło. Plany spełzły na niczym. Każdy tłumaczył to niepowodzenie inaczej. Wystarczy jednak powiedzieć, że opór miejscowych władz w Prijedorze okazał się przeszkodą nie do pokonania, byli jeńcy i krewni ofiar nie mogli przystać na propozycję Reevesa, a firma Mittal Steel chciała, jak powiedział na konferencji prasowej Weigh, „mieć pewność, że wszyscy członkowie

społeczności będą zadowoleni [z pomnika]”, co oczywiście było niemożliwe. Mittal nie zamierzał podejmować inicjatywy ani „wysuwać się przed szereg”, jak ujął to Weigh, zależało mu bowiem, by utrzymać serdeczne stosunki z miejscową władzą w postaci burmistrza Pavicia.

Osobą, o której Reeves mówił ze szczególną pogardą, był „sabotażysta”, który protestował przeciwko konsultacjom wielebnego z władzami w Prijedorze. Gdy pewnego razu przyjechałem do Kozaraca, by wziąć udział w kolejnym spotkaniu dotyczącym budowy pomnika, do sali wszedł rzeczony „sabotażysta”. Był to nie kto inny, jak Edin Ramulić, żołnierz, którego poznałem w okopach w 1995 roku, z którym wypaliłem swojego ostatniego papierosa i którego ojciec oraz brat zostali zamordowani w Keratermie. Nie stracił nic z tej surowości i zawziętości, które kazały mu wtedy wezwać nas do zachowania minuty ciszy; jednak na mój widok się rozpromienił.

Edin organizował teraz w Prijedorze grupę o nazwie Izvor, działającą na rzecz krewnych zaginionych. Organizował również marsze i uroczystości rocznicowe, jako jeden z nielicznych, którzy w czasie wojny ani na chwilę nie opuścili Bośni. Współpracował też ściśle z Hagą i nowymi sądami powstałymi w Sarajewie, które zajmowały się sprawami zleconymi przez Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii, gdyż Haga skupiała się teraz na ściganiu przywódców.

– Najważniejszym aspektem naszej działalności jest współpraca ze świadkami zbrodni – mówił. Izvor podawał również władzom nazwiska zbrodniarzy, którym nie postawiono zarzutów, i domagał się śledztwa w ich sprawie. – Staram się być obiektywny – opowiadał Edin. – Wszystkie strony konfliktu robiły złe rzeczy. Ale Omarską trzeba upamiętnić w całej Europie i na całym świecie jako najgorszy obóz od czasu upadku Trzeciej Rzeszy, miejsce tortur i mordów na skalę, jakiej nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. – Jednak Edin sprzeciwiał się stanowczo konsultacjom z miejscowymi władzami i przedstawicielami Omarskiej, gdzie wciąż mieszkało wielu sprawców zbrodni. – O tej sprawie nie mogą decydować władze Prijedoru. To nasza rzecz. Nie obchodzi mnie, pod czyimi auspicjami powstanie ten pomnik, może to być nawet Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, ale to my powinniśmy o tym zdecydować, a nie firma zarządzająca tym terenem. – Edin frustrowało jeszcze coś: – Po naszej stronie jest mnóstwo ludzi, których to wcale nie obchodzi, a inni nie potrafią się ze sobą dogadać.

Jednak największą hańbą było co innego, co nie miało nic wspólnego z pomnikiem: Serbowie wiedzieli, gdzie leżą ciała zaginionych, grzebali je masowo, ale nikt nie chciał o tym mówić.

– To doprowadza nas do szaleństwa. Ludzie, którzy zajmowali się logistyką, transportem, kopaniem grobów – oni znają prawdę, ale nie wyznaczono nikogo, by spróbował zmusić ich do mówienia.

Edin znalazł i pogrzebał szczątki swojego ojca, który został zabity w osławionej masakrze w Hangarze Trzecim w Keratermie – opisanej najpierw przez Fikreta Alicia w Trnopolju, a potem podczas procesów w Hadze – ale nazwisko jego starszego brata wciąż znajduje się na liście zaginionych.

Trzy lata później, w 2007 roku, wróciłem do miejscowości Kevljani na skromną uroczystość konsekracji tablicy pamiątkowej w miejscu masowego grobu – płyty z białego marmuru umieszczonej na niepozornej, ukwieconej łące. W tłumie stał człowiek, który wrócił tutaj przed laty, by odbudować dom stojący w pobliżu miejsca pochówku. Był to Šerif Velić, którego poznałem w Omarskiej, gdy był świeżą ofiarą pobicia, a spotkałem ponownie w okopach w 1995 roku – w tym samym dniu, w którym poznałem Edina Ramulicia. Jak mi powiedział, był jednym z pierwszych, którzy zauważyli tu coś niepokojącego.

– Zobaczyliśmy krąg trawy, jaka nigdy wcześniej tu nie rosła. Wydawała się dziwna, niesamowita,

a nam zaczęła świtać w głowach myśl, że pod ziemią znajduje się coś straszego. Poinformowaliśmy o tym bośniacką Komisję do spraw Poszukiwania Zaginionych, a oni zaczęli kopać...

Co za niezwykła myśl: kości zmarłych poddają mutacji ziemię i roślinność, by ujawnić, że w tym miejscu kryje się grób.

Tego samego ranka spotkałem znów Šerifa na corocznych obchodach w Omarskiej. Kiedyś był tam jako więzień, patrzył z asfaltowego placu na gołębie, do których strzelali strażnicy. Co ciekawe, okazało się, że Velić jest wujkiem Kelimy Dautović z Luton. Choć wciąż pełen energii, Velić wydawał się wymizerowany i zniedołężniały.

– Byłem bliski śmierci – wyjaśnił, nie chodziło mu jednak o sam pobyt w obozie, lecz o jego następstwa. Określenie „bliski śmierci” wcale nie było przesadzone: Šerif, który mieszkał teraz w Jönköpingu, pięknym szwedzkim miasteczku położonym nad jeziorem w prowincji Smalandia, miał wylew i kilka guzów na mózgu, co było rezultatem urazów, których doznał w wyniku wielokrotnych pobić w Omarskiej. Zanim wrócił do walki w czasie wojny, był przez jakiś czas częściowo sparaliżowany.

– Pewnie tego nie zauważyłeś, ale byłem cały pokrzywiony, w takim właśnie stanie wróciłem tu jako żołnierz – opowiadał.

Najgroźniejsze guzy pojawiły się w 2000 i 2004 roku; Velić musiał się wtedy poddać operacji.

– Przez półtora roku byłem przykuty do łóżka, dostawałem duże dawki morfiny, spędziłem dwanaście dni na oddziale intensywnej terapii, podłączony do różnych maszyn. W pewnym momencie zdiagnozowali u mnie zakażenie krwi i powiedzieli mojemu synowi, że została mi godzina życia.

Z opowieści Velicia wynika, że był nie tylko bliski śmierci, ale być może znalazł się w gronie tych nielicznych, którzy na jakiś czas przeszli na drugą stronę. Człowiek, który nazywał siebie „najlepszym filozofem wśród metaloplastyków” i vice versa, wspominał:

– W ciągu tych dwunastu dni co jakiś czas odzyskiwałem przytomność, a potem znów zapadałem w śpiączkę. I coś się wydarzyło: gdy zamknąłem oczy, przez ściany i okna sali szli do mnie nadzy ludzie, bez głów, niektórzy też bez kończyn, tylko tułowia bez rąk i nóg. Podchodzili i przystawali wokół mojego łóżka, gromadzili się tam. Kiedy otwierałem oczy, znikali, ale gdy je zamykałem, znów zbliżali się do mnie przez okna i ściany.

Przenieśliśmy się na kawę do jego domu, już prawie odbudowanego. Cegły spajała świeża zaprawa, na podwórku leżały materiały budowlane i narzędzia.

– Kiedy spotkaliśmy się w okopie, w dziewięćdziesiątym piątym, powiedziałem ci, że walczymy o powrót do domu – mówił Velić. – No więc jestem tutaj. Człowiek zawsze jest najsilniejszy u siebie. Szwedzi są mili, nie znalazłbyś lepszych ludzi, ale w Jönköpingu jestem numerem. Tutaj jestem człowiekiem. Walczyliśmy wtedy o prawo do życia w swoim środowisku, z którego nas wygnano. – W Jönköpingu znalazł się ktoś, kto rozumiał Velicia i pozwolił mu się wyzalic. – Nazywał się doktor Sven Erik Andersen. Powiedziałem mu, że czuję się w Szwecji jak więzień, a on spojrzał na mnie ze zdziwieniem: „Naprawdę?”. Wy tłumaczyłem mu wszystko, powiedziałem, że moja teściowa umarła, a ja nie mogę pojechać na pogrzeb, bo mam tutaj azyl polityczny. Wtedy on podpisał jakiś dokument i podał mi go, mówiąc: „Kiedy wrócisz do Bośni i po raz pierwszy nakryjesz do stołu, narwij trochę polnych kwiatów i powiedz swojej rodzinie, że to prezent od doktora Svena Erika Andersena”.

Velić pochylił się do przodu i spojrzał na mnie zza szkieł okularów.

– Są u nas takie słowa, których, o ile mi wiadomo, nie ma w innych językach: *inat*, czyli rodzaj siły

woli, oraz *toprak*, czyli coś więcej niż rodzinny dom. To ziemia, na której stoi ten dom i na którą, jak gołębie na dachu, musimy wrócić.

Jednak gdy fala powrotów do Kozaraca i okolicznych miejscowości przybrała na sile, to największe miasteczko na świecie nabrało wyjątkowego charakteru ze względu na świat, jaki wracał tu do życia. Choć odbudowany, Kozarac pozostał okaleczonym miejscem, miasteczkiem byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Prócz ran powstałych podczas wojny są również te, które zadano już po wojnie. Jednak wraz z nimi pojawiła się szczególna siła, determinacja, która narastała nieustannie w ciągu lat wygnania i powróciła tu wraz z ocalonymi. Wydawało się, że Kozarac funkcjonuje zgodnie z newtonowską zasadą: każda siła działająca przeciwko Kozaracowi spotykała się z równie dużą siłą oporu.

Na górskim zboczu w Parku Narodowym Kozara, otulony lasem, stoi piękny kościół. Według niektórych źródeł znajduje się on w tym miejscu już od XIII wieku. Obecny wystrój sięga czasów Habsburgów, a o pochodzeniu budowli mówi miejscowa legenda: pewien Austriak, właściciel pobliskiego tartaku, miał córkę, która została kochanką muzułmanina z sąsiedztwa i urodziła mu dziecko, synka o imieniu Mehmet. Jednak tak bardzo obawiała się gniewu ojca, że owinęła niemowlę w papier i zostawiła je na pewną śmierć. Kiedy właściciel tartaku dowiedział się o losie swojego wnuczka, opadły go tak ogromne wyrzuty sumienia, że wznosił kościół, by uczcić jego pamięć, dlatego budowlę nazywa się teraz kościołem Mehmeta. Jadranka Cigelj, żarliwa katoliczka, nazywa tę legendę „bzdurą”, ale w 1992 roku nie liczyło się to, w jaką wersję kto wierzył. Żądza niszczenia wszystkiego, co nie wydawało się dość serbskie, była tak wielka, że Serbowie wysłali do lasu czołg, który zburzył kościół. Jednak latem 2011 odbudowa i renowacja dobiegały już końca – poprawiano jeszcze ostatnie stiuki przed rychłą ponowną konsekracją i otwarciem świątyni.

Gdyby ktoś wam powiedział, że mężczyzna, który stał na drabinie opartej o fasadę kościoła, zajęty ostatnimi poprawkami przy oknie rozetowym, wrócił tu niedawno z San Francisco, gdzie dorastał na ulicy i dopóki nie zastrzelono jego młodszego brata, należał do młodocianego gangu, pomyślelibyście zapewne, że to kłamstwo albo że świat oszalał. Senad Joldić był właśnie tym dzieciakiem, a świat rzeczywiście stanął na głowie.

Senad przesunął stronę na ekranie swojego iPhone'a, otwierając informację zamieszczoną w tym tygodniu przez „The San Francisco Examiner”. Dotyczyła skazania sześciu członków powstałego w Salwadorze gangu MS-13 albo „Mara”, oskarżonych o liczne morderstwa i wymuszenia. Trzej z nich zostali skazani za morderstwa – w tym Erick „Straszny” Lopez. Co to ma wspólnego z Kozaracem? Według raportu jedną z ofiar Lopeza był zastrzelony 29 marca 2009 roku dwudziestojednoletni Ernad Joldić, „wzięty omyłkowo za członka *Norteños*”, czyli konkurencyjnego gangu. Jak mówi Senad, jego brat zginął, bo nosił koszulkę w niewłaściwym kolorze na terenie gangu MS-13. Śmierć Ernada była dla ich rodziców kolejnym ciosem – jego matka przeżyła Trnopolje, a ojciec Keraterm i Omarską – porzucili więc amerykański sen (a raczej koszmar) i wrócili do miasteczka, które opuścili w 1992 roku.

Senad miał osiem lat, gdy Serbowie zaatakowali Kozarac.

– Uciekliśmy między drzewa, ale nie przestawali strzelać, więc wróciliśmy do domu, wymachując białymi flagami na znak kapitulacji.

Senad i inni zostali zapędzeni na boisko piłkarskie.

– Podzielili nas na dwie grupy, A i B, potem zaczęli strzelać do tej drugiej pociskami artyleryjskimi. Ja na to wszystko patrzyłem – człowieku, miałem wtedy osiem lat! – na ciała zabitych i rannych leżących na

ziemi.

Jego grupę załadowano do autobusów i przewieziono do Trnopolja. Inny los spotkał jego ojca:

– Szedł z rękami założonymi za głowę w stronę Keratermu. Następnym razem zobaczyłem go dopiero po wojnie.

Senad miał serbską babkę, którą również zabrano do Trnopolja. Jej rodacy szydzili z niej, gdy prowadzono ją do obozu.

– Krzyczeli do niej: „Co ty robisz z tymi pierdolonymi Cyganami?”. Ale ona odgryzała się najlepiej, jak umiała, wrzeszcząc: „Mieszkałam tutaj, zanim wy byliście jeszcze myślą w jajach waszego ojca!”.

Senad opowiedział, jak było po jego przyjeździe do San Francisco:

– Zbierałem cięgi tylko dlatego, że byłem inny. Nie znałem ani słowa po angielsku ani hiszpańsku. Ale jak każdy dzieciak próbowałem się dopasować, próbowałem robić dobrze, próbowałem robić źle.

Rodzina Senada radziła sobie jednak coraz lepiej, w „The Examiner” opisano historię jego ojca, który kupił właśnie ich pierwszy amerykański dom. Na zdjęciu, które towarzyszyło tekstowi, bośniackie małżeństwo śmieje się radośnie, a mały Ernad w okularach ściska swojego starszego brata, uśmiechniętego szelmowsko od ucha do ucha, w koszulce z napisem „San Francisco”. Jak wynikało ze zdjęcia, Senad nauczył się poruszać po opanowanych przez gangi ulicach miasta.

– Wszystko sprowadzało się do tego, że na północy rządzą *Norteños*, a na południu *Sureños*. Uwielbiałem buty Air Jordan. Były w moim stylu. Miałem czternaście par, ale kiedy zobaczyłem po raz pierwszy parę XIV w sklepie, powiedziałem sobie: będę je miał, choćby nie wiem co. I moja mama wygrzebała skądś pieniądze na te buty. Pewnego dnia miałem je na sobie, kiedy szedłem 14. Ulicą. A te buty nosiło się na północy. Jakiś facet próbował mi je zabrać. Kopnąłem go wtedy prosto w twarz. Pobili mnie za to, byłem potem trochę spuchnięty, ale zachowałem buty. Nie zamierzałem pozwolić, żeby jakiś palant zabrał mi adidas, które mama kupiła mi, odejmując sobie jedzenie od ust. Walczyłem więc dość długo, by mnie zauważyli.

Trzymałem głównie z czarnymi. Oni akceptowali mnie w większym stopniu niż Meksykanie. Podobało im się, że nie boję się bójek. Nie wiedziałem, co to strach. Co to jest strach? Przeżyłem piekło Kozaraca, więc dlaczego miałbym się bać jakiegoś punka? Spędzałem więc czas w tej murzyńskiej dżungli, a oni byli wobec mnie naprawdę OK.

Tymczasem Ernad wybrał całkiem inną drogę i rozpoczął studia na Uniwersytecie Stanowym w San Francisco.

– Wiesz, że nawet nie wiedziałem, co on właściwie studiuje – mówił Senad ze smutkiem. Tamtego tragicznego wieczora 2008 roku Ernad został zabity, gdy siedział w samochodzie. – Mój mały braciszek i ten walnięty Chińczyk? Bo nosił na terenie MS-13 koszulkę w niewłaściwym kolorze? To się nie trzyma kupy, jego koszulka była czerwona, a czerwony to właśnie kolor MS-13, więc to kompletna bzdura. Po śmierci Ernada moja mama powiedziała: „Nie możemy tu zostać, musimy wyjechać”. Spytała mnie, co chcę zrobić: zostać czy pojechać z nimi. Spytała mnie, a nie prosiła, jak to mamy: „Tak bardzo byśmy za tobą tęsknili, proszę, odwiedzaj nas!”. Ale jak mógłbym puścić ich samych? Tyle przecież dla mnie zrobili, uratowali mnie przed tym, co się tutaj działo. Ale rzecz w tym, że ja żyję, a mój brat nie. On nie był taki jak ja. Był młodszy i studiował. Najdziwniejsze jest to, że wszyscy przeżyliśmy wojnę, a on tam zginął.

Senad był „najlepszym motocyklistą w promieniu wielu kilometrów”. Sięgnął ponownie po

iPhone'a i pokazał mi zdjęcia stadionów i ulic zamkniętych dla ruchu, by zgromadzone wokół tłumy mogły oglądać akrobacje i wygłupy motocyklistów, którzy jedną ręką trzymają kierownicę pojazdu, a drugą kręcą nad głową niczym w rodeo. Ponieważ Senad jest jednym z tych akrobatów i mieszka tu przez cały rok, spotyka się z młodymi ludźmi także poza Kozaracem i większość jego znajomych i przyjaciół to siłą rzeczy Serbowie.

– W ogóle nie rozmawiamy o tym gównie – opowiada. – Stary, mam tatuaż z bośniacką lilią, idę do ich baru w Prijedorze, ściągam koszulę i tańczę z dziewczyną na rurze, ale nikt mnie nie rusza.

Gdy kończy się lato, diaspora wyjeżdża, a Kozarac pustoszeje.

– Zimą jest ciężko – stwierdził Senad. – Mówię ci, nic się tu nie dzieje, naprawdę nic. Budzisz się rano i masz nadzieję, że wydarzy się choćby coś złego, bo lepsze to niż nic. – Jednak Senad jest dumny z Kozaraca. – Spójrz tylko na to miejsce. Odbudowane z popiołów. To jedyne miasto w Republice Serbskiej, które wraca do życia, bo ma siłę. Ale na innym poziomie to porażka. Tak naprawdę na nikogo nie możesz liczyć. W Ameryce w kulturze gangów mówi się, że gdy jeden śpi, drugi trzyma straż. Ale tutaj nie odważyłbym się zasnąć, gdyby ktoś inny stał na straży. – Senad dotknął przykrew prawdy, mówiąc: – My, Bośniacy, już tak mamy. W pojedynkę każdy z nas jest świetny, razem jesteśmy do niczego. – Dlatego też, pomimo gorzkości i smutku związanych ze śmiercią swego brata, Senad dodał na koniec: – W Ameryce byłem kimś. Szanowano mnie tam. Nie mogłem pozwolić mamie, by wróciła tu bez swojego jedyne dziecko, nie mogłem zostawić ojca, który przyjechał do San Francisco bez grosza przy duszy. Ale Ameryka to dobre miejsce dla Bośniaków i może gdy już uporam się jakoś z całym tym gównem, a rodzice się tu urządzają, wykorzystam swój amerykański paszport i przeniosę się tam z powrotem.

Pokój, miłość i obywatelstwo

Psychoterapeutka rozpoczęła podsumowanie, zwracając się do kobiet, które siedziały na dwóch sofach ustawionych w kształt litery L w rogu pokoju w St. Louis w stanie Missouri. Jak stwierdziła, chodziło przede wszystkim o to, by „kobiety mówiły same za siebie”, po czym sama zabrała głos, pomagając sobie kolorowymi diagramami i wykresami oraz słownictwem, które łączyło w sobie psychodynamikę grupy z uproszczoną wersją buddyźmu. Mówiła o „dzieleniu się” tym i „dzieleniu się” tamtym, więziach międzyludzkich, pozytywnym myśleniu, celebrowaniu życia i różnych balsamach na traumy. A tych osiem kobiet, które słuchały jej w upartym milczeniu, z pewnością doświadczyło dość traum, by obdzielić nimi osiemdziesiąt innych osób. Niektóre straciły bliskich w masakrze w Srebrenicy, inne zostały zgwałcone w Omarskiej – choć terapeutka nie wiedziała, co spotkało którą z nich. Była to już ostatnia sesja, zaproszono więc gości, by przekonali się, jakie postępy uczyniły pacjentki. Na stole czekały przekąski. Pod koniec na prośbę terapeutki każda z kobiet zapaliła świeczkę, po czym wszystkie ustawiły się w kręgu i połączyły płomień, tworząc z nich coś w rodzaju pochodni. Wydawało się, że są tym mocno zakłopotane i robią to jedynie z uprzejmości wobec psycholożki. Ta udzieliła im na koniec pożegnalnego błogosławieństwa:

– Życzę wam pokoju – mówiła. – I życzę wam miłości. Co jeszcze chciałybyście wynieść z tych sesji? Czego jeszcze potrzebujecie, by spełniły się wasze nadzieje?

W pokoju zapadła na moment cisza, którą przerwała była więźniarka z Omarskiej siedząca obok mnie.

– Obywatelstwa – burknęła z bośniackim akcentem.

W St. Louis w Missouri mieszka największa na świecie społeczność bośniackich uchodźców, licząca około osiemdziesięciu tysięcy osób, które przybyły tu z całego kraju – część przez Niemcy, część bezpośrednio z Bośni. Znaczącą część tej społeczności stanowią krewni zabitych w Srebrenicy i byli więźniowie z Krajiny. Pierwsi uciekinierzy pojawili się tutaj już w 1993 roku, ale prawdziwy boom nastąpił pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy Niemcy zmienili przepisy wizowe wobec uchodźców przyjętych w czasie wojny i uznali, że niektórzy mogą już bezpiecznie wrócić do domu i powinni to zrobić. Dla wielu powrót do Republiki Serbskiej wcale jednak nie był bezpieczny – a w najlepszym wypadku niepożądany. Tymczasem administracja Billa Clintona otworzyła granice dla wszystkich, którzy mieli tu krewnych, i dla innych. St. Louis chętnie podporządkowało się woli prezydenckiej administracji i przydzieliło bośniackim przybyszom lokale w ubogiej dzielnicy w południowej części miasta, w budynkach komunalnych, które od lat stały puste albo pełniły funkcję narkotykowych melin. Choć miejsce to wydawało się zaniedbane, nieprzytulne i zupełnie obce w porównaniu z sytuacją wielu grup w Europie, społeczność uchodźców miała całkiem sprawnych przywódców, znalazła się tu też niewielka, ale skuteczna grupa gościnnych Amerykanów, którym zależało na poprawie losu nowo przybyłych. Burmistrz miasta, Francis Slay, szybko uświadomił sobie, że z tej sytuacji wszystkie strony mogą odnieść korzyści: warto przecież zapewnić sobie wdzięczność ludzi, którzy za jakiś czas pójdą na wybory.

Wkrótce dzięki swej pracowitości oraz wsparciu życzliwych grup kościelnych i organizacji

imigranckich Bośniacy zaczęli zmieniać oblicze getta i doprowadzili do rozkwitu dzielnicy przy Morganford Road – na tyle, na ile było to możliwe.

– Do drugiej wojny światowej mieszkali tutaj Niemcy, potem cała okolica zamieniła się w getto, a jeszcze później w miasto duchów, dopóki Bośniacy nie zaczęli przywracać go do życia – powiedział Patrick McCarthy, jeden z tych, którzy pomagali bośniackiej społeczności zadomowić się w nowym miejscu. To jedyna na świecie zintegrowana „Mała Bośnia”: otwierasz szeroko oczy, gdy jedziesz przez typowo amerykańskie miasto, obok typowo amerykańskich reklam, a potem nagle widzisz witryny sklepów przeniesione żywcem z Bośni: Restoran Stari Grad (Restauracja Stare Miasto należąca do pary z Prijedoru), Mesnica Iriškić (sklep mięsny), Pekara (piekarnia), Pierwsza Bośniacka Agencja Ubezpieczeniowa, biuro podróży BiH Travel i restauracja, w której serwowane były ćevapčići, przeniesiona ze Srebrenicy.

Mój pociąg wyjechał z Kansas City w ulewnym deszczu, niebo zasnuły ołowiane chmury. Zatrzymywaliśmy się na podrzędnych stacyjkach w małych miasteczkach, aż tuż przed Jefferson City ujrzeliśmy szerokie wody Missouri. Niedaleko przed dworcem w St. Louis znajduje się stacja Kirkwood. Tam, chroniąc się przed deszczem pod dachem niewielkiego budynku dworcowego, stali Azra Blažević, weterynarz z Trnopolja, oraz jej mąż Ermin Striković. Żartowaliśmy z Azrą, że chociaż jest to nasze czwarte spotkanie, po raz pierwszy byliśmy umówieni: pierwszy raz widzieliśmy się w obozie, drugi raz przy śniadaniu w holenderskim hotelu, po raz trzeci natomiast, gdy przyjechałem tu trzy lata wcześniej na otwarcie wystawy o Prijedorze. Śmialiśmy się teraz, że gdybyśmy postanowili uciec od siebie w dwa najodleglejsze zakątki świata, zapewne spotkalibyśmy się po drodze.

Mieliśmy sobie sporo do opowiedzenia. Edina, siedmioletnia dziewczynka, która kręciła się przy wejściu do centrum medycznego w Trnopolju, wyrosła na pełną życia, inteligentną młodą kobietę, która kończyła już stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie St. Louis oraz miała za sobą projekt dotyczący ludobójstwa w Rwandzie i zajęcia terenowe w Afryce. Jak mi powiedziała, wybór tematu był oczywisty, ale badania wydarzeń w bośniackiej Krajnie wydawały jej się „nieco zbyt osobiste”. Nie miałem okazji poznać w Trnopolju jej młodszego brata – wówczas półtorarocznego – ale poznałem go tutaj. Był wysokim siedemnastolatkiem, kończył naukę w szkole średniej, a teraz wybierał się właśnie do miasta na spotkanie z przyjaciółmi, ubrany w koszulkę z wizerunkiem jakiegoś zespołu heavymetalowego. Ermin, podobnie jak wielu innych Bośniaków, którzy układali sobie życie na nowo, został kierowcą ciężarówki. Azra prowadziła zespół specjalistów na wydziale badań medycznych Uniwersytetu St. Louis, gdzie zajmowała się immunologią.

W domu Azry i jej męża zwykle nie piło się kawy po bośniacku, ale ja właśnie o taką poprosiłem. Dlaczego zdecydowali się wyjechać z Niemiec? Jako świadkowie w procesach w Hadze prawdopodobnie mogliby tam zostać.

– Jakoś nigdy nie widziałam siebie w roli gastarbeitera – wyjaśniła Azra. – Trwaliśmy tam w stanie zawieszenia. Nie byliśmy jak ludzie, którzy mają domy w Polsce albo Turcji i przyjechali do Niemiec tylko do pracy: byliśmy uchodźcami żyjącymi niedaleko miejsca, z którego nas wygnano.

– Wszyscy tkwiliśmy w tym zawieszeniu – dodał Ermin. – Byliśmy ludźmi bez swojego miejsca na ziemi. Co kilka tygodni jeździliśmy do Kozaraca, zniszczonego i spalonego. Więc tak naprawdę nie wiedzieliśmy, gdzie jest nasz dom. Powiedziałem sobie: skoro nie mogę przestać jeździć do Bośni, to po prostu wyjadę daleko stąd!

– Nie chciałam wychowywać dzieci w miejscu, które nazywa się Republika Serbska – stwierdziła Azra. – To tragedia w tragedii. To już nie było moje życie, pożegnałam się z nim jeszcze w 1992 roku. Chciałam się gdzieś osiedlić dla dobra dzieci.

Azra jest jedną z nielicznych Bośniaczek, które po ślubie nie przyjęły nazwiska swojego męża. Ermin wspominał:

– W Prijedorze byliśmy sąsiadami, ale choć mieszkaliśmy może z dwieście pięćdziesiąt metrów od siebie, nie mieliśmy wspólnych przyjaciół. Mniej więcej w 1983 roku po raz pierwszy spojrzałem na nią inaczej. Zaprosiłem ją na parę randek i nim się obejrzałem, byliśmy małżeństwem. Miała w Kozaracu duże, ładne mieszkanie blisko swojej pracy, więc jako człowiek z natury grzeczny wprowadziłem się do niej. W Kozaracu mieszkali dobrzy ludzie, wykształceni i pracowici. To nigdy już nie wróci.

Ermin urodził się w Zenicy i po ukończeniu studiów został inżynierem budownictwa wodnego i lądowego. W 1992 roku pracował jako kierownik transportu i logistyki w kopalni w Omarskiej. Podczas ataku na Kozarac, gdy Azra opatrywała rannych, próbował zawieźć tych w najcięższym stanie do szpitala w Prijedorze. Został jednak aresztowany i osadzony najpierw w Keratermie, a potem w Omarskiej. Podczas pierwszej nocy w tym obozie, gdy siedział wciśnięty między innych więźniów w Garażu, widział, jak jego przyjaciel Ahul „został uderzony kolbą karabinu”, a potem wywleczony na zewnątrz – jego nieruchome ciało leżało później na ziemi przed Białym Domem.

– Wszyscy doświadczyliśmy w Omarskiej tego samego – mówił w Hadze podczas procesu Milomira Stakicia. – Nie musieliśmy niczego widzieć, wystarczyło, że słyszeliśmy krzyki, jęki, odgłosy uderzeń. Ludzie, którzy spali obok nas, mieszkali w tym samym pokoju, wychodzili i nigdy nie wracali.

Zeznając przed sądem, Ermin opisał szczegółowo swoje przeżycia w Omarskiej, teraz jednak wołał do tego nie wracać i nie dopuszczać obozu do swojej kuchni w Missouri.

– Mógłbyś poświęcić całe życie poszukiwaniu prawdy o tym, co się tam stało, ale nigdy byś tego nie zrozumiał. Każdy jest inny. Niektórzy ludzie mogą o tym mówić. Ja nie mogę. Niektórzy wracają tam na różne obchody i uroczystości. Ja nie mogę. Niektórzy czują, że muszą tam wrócić i pokazać tym chorym ludziom: jestem tu. Żyję. Ja nie należę do tego gatunku. Mój najlepszy przyjaciel, który mieszka teraz w Monachium, napisał książkę. On ma potrzebę mówienia o tym, chce przekazać tę prawdę innym ludziom. Zacząłem czytać jego książkę, ale powiedziałem sobie: „Nie chcę tego” i ją odłożyłem. Czas w Omarskiej płynął inaczej. Jeden dzień był jak dziesięć lat. Myślimy o tym miejscu od dwudziestu lat i co dzień coś nowego przychodzi nam do głowy. Nigdy nie mógłbym wrócić do obozu koncentracyjnego zmarłych.

Jednak Azra opisywała kolejne szczegóły swego niezwykłego życia w Trnopolju. Mówiła, jak weszła do pustego domu, w którym dorastał Edin Kararić – obecnie mieszkał w Watford – szukając lekarstw do swojego centrum medycznego.

– Po raz kolejny uświadomiłam sobie tam, jak szybko ludzie musieli opuszczać własne domy – na stole stał niedokończony posiłek.

Spytałem Azrę o film, który przekazała nam ukradkiem tamtego dnia w Trnopolju, w sierpniu 1992 roku.

– Udało mi się wnieść aparat do Trnopolja. Dałam wam drugi film; na pierwszym były zdjęcia moich dzieci w domu, chciałam wykorzystać resztę klitek w obozie, ale dałam te negatywy swojej mamie. Bałam się, że jeśli ktoś znajdzie na tej samej błonie fotografie rannych i moich dzieci, dzieci mogą na tym

ucierpieć. Potem zdobyłam nowy film i ten właśnie oddałam wam. – Azra opowiedziała o mężczyźnie ze zdjęcia, Nedžadzie Jakupoviciu, którego poznałam w Watford: – Był pobity tak strasznie, że nie można go było rozpoznać. Rozmawiałam z nim długo o tym, co go spotkało; mówił, że w którymś momencie ból stał się tak straszny, że nie czuł już kolejnych uderzeń. Wtedy zaczęłam się przygotowywać. Wszyscy byliśmy nastawieni na przetrwanie, ale chciałam uniknąć chwili, gdy musiałabym ich błagać o życie. Chciałam być na to gotowa, a skoro człowiek, którego tak brutalnie pobito, czuł ból tylko przez pierwsze pięć minut, mogłam to jakoś wytrzymać.

Pewnego wieczora znaleźliśmy Nedžada w internecie, na czacie: mieszka teraz w Des Moines w stanie Iowa i podobnie jak Ermin jest kierowcą ciężarówki. Od tego czasu utrzymuję z nim kontakt; Nedžad mówi, że poznał dziewczynę, której szukał przez całe życie, uciekinierkę z Sarajewa.

Azra opowiedziała o tym, jak po naszej wizycie w Omarskiej do Trnopolja zaczęto zwozić mężczyzn z tamtego obozu:

– Musieliśmy kraść z wioski paski do spodni, bo wszyscy byli tak wychudzeni, że spadały z nich ubrania. Najpierw przyjechali najstarsi, powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia, i najbardziej chorzy. Powinnam była znać tych ludzi, ale ich nie poznawałam, mieli dziwne, przerażające twarze. Nie potrafiłam połączyć ich z nazwiskami. Mówili: „Cześć, Azra! Możesz wysłać wiadomość do mojej rodziny?”. Ale byli tak wyniszczeni, że ich nie rozpoznawałam. Prosiłam, żeby coś napisali, bo wtedy mogłam przypomnieć sobie ich nazwisko. Potem musiałam im powiedzieć: „Wyglądacie jak więźniowie z Auschwitz. W ogóle nie jesteście do siebie podobni, nie poznaję was”.

Byłem bardzo ciekaw wiadomości o doktorze Idrizie Merdžaniciu, z którym Azra pracowała w centrum medycznym w Trnopolju. Przeprowadził się do Kilonii na północy Niemiec i pracował tam w swoim zawodzie.

– Kiedy rozmawiam z Idrizem – mówiła Azra – uświadamiamy sobie, że potrzebowaliśmy wielu długich lat, by pogodzić się z tym, czego nie udało nam się zrobić. Zawsze mieliśmy nadzieję, że uda nam się zrobić więcej. – Nawet teraz, tak daleko od Bośni, jak powiedziała: – Wszystko to wydaje się niezwykle realne. Czasem mam wrażenie, że wszystko to tylko wyśniłam. Kiedy o tym rozmawiamy, czuję się tak, jakbym opowiadała o jakimś filmie. Ale to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Los sprawił, że Azrę i Idriza połączyła nie tylko ich wspólna praca w obozie. Idriz ożenił się z Amirą Rizvić, córką dobrych znajomych Azry: lekarza Faruka Rizvicia i siostry innej przyjaciółki Azry. Po zwolnieniu z Keratermu Rizvić, jego żona i jej siostra zostali brutalnie zamordowani we własnym domu. Ciała znalazła ich córka, Amira.

Ermin, któremu wyraźnie nie podobały się te rozmowy, podziękował za drugą filiżankę kawy po bośniacku i wypalił papierosa przy otwartych drzwiach patio, jak zrobiłby to typowy Amerykanin. Wkrótce miał znów pojechać w trasę swoją ciężarówką, a jak zwykle na początku wstępował do Dunkin’ Donuts na kawę, która smakowała mu bardziej niż ta domowa. W tym tygodniu przewoził towary, jakie można znaleźć tylko w Ameryce. Pierwszym z nich była partia wybrakowanych monet ćwierćdolarowych, które musiał zabrać z sejfu wielkości hangaru w Pensylwanii i zawieźć do przetopienia.

– Powinieneś zobaczyć, jakie tam mają zabezpieczenia – mówił. – Prosiłem, żeby pozwolili mi zobaczyć tę górę pieniędzy, ale nawet nie chcieli o tym słyszeć.

Choć spędziłem masę czasu w Ameryce, dopiero teraz dowiedziałem się, że ćwierćdolarówki bije się albo w Filadelfii, albo w Denver, więc na każdej z nich obok głowy George’a Washingtona widnieje

małe „P” (Philadelphia) lub „D” (Denver). Na monetach przewożonych przez Ermina nie było podobno żadnej litery i dlatego właśnie musiały zostać zniszczone. Drugim ładunkiem były łuski naboju, które miał zabrać z Wheeling w Wirginii Zachodniej. Tymczasem Azra i ja przenieśliśmy się do pobliskiej pizzerii, lokalu o takiej renomie, że podczas kampanii wyborczej w 2008 roku zjadł tutaj lunch sam Barack Obama. Azra wyjaśniła mi przy pizzy, że ich rodzina postanowiła zamieszkać z dala od „Małej Bośni”, by uczestniczyć w życiu diaspory, ale na odległość.

– Kirkwood funkcjonuje tutaj jak oddzielne miasteczko – mówiła. – Wszędzie mogę dojść na piechotę, mam pod nosem bibliotekę i wszystkie sklepy, których potrzebuję, mogę też pojechać pociągiem prosto do Kansas City. Nigdy tego nie robię, ale miło wiedzieć, że mam taką możliwość.

Azra przywiozła do St. Louis swoją polityczną inteligencję i wrażliwość. Zainteresował ją fakt, że jeden z najstarszych afroamerykańskich cmentarzy zachowanych na terenie Missouri, Quinette Cemetery, jest właśnie w Kirkwood. Chętnie opowiadała o tym, że jej córka Dina chodzi po przedmieściach w koszulce z podobizną Martina Luthera Kinga.

– W Ameryce wszystko jest beztłuszczowe z wyjątkiem ludzi – mówiła ze śmiechem. – To „naród błyskawiczny”, chcą wszystkiego natychmiast, szczególnie jedzenia i kalorii. Uwielbiają pojęcie postępu; są zadowoleni, jeśli mówi im się, że na świecie jest coraz lepiej. Lubią szczęśliwe zakończenia. Niedawno zostałam zaproszona na przedświąteczne przyjęcie, na którym ktoś mnie spytał: „Co wydarzyło się w Bośni?”. Odpowiedziałam: „Naprawdę chcesz, żebym opowiedziała ci o tym w ciągu pięciu minut, przy herbacie i ciastkach? Nie mogę, ale wszystko skończyło się na tyle szczęśliwie, że jestem tutaj i bawię się z wami. Mniej szczęśliwe jest to, że trafiłam tu, bo wygnano mnie z mojego domu”.

Jesienią 2007 roku Muzeum Pamięci Holokaustu w St. Louis gościło wystawę poświęconą zbrodniom popełnionym w Prijedorze i okolicy. Ekspozycja zatytułowana „Prijedor: Obrazy bośniackiego ludobójstwa” była pierwszym tego typu wydarzeniem zorganizowanym poza Bośnią, ukazywała i objaśniała historię ataków na Kozarac, obozów, czystek etnicznych i zniszczeń dokonanych w tym regionie. Otwarcie zaplanowano na ostatni dzień weekendu Święta Dziękczynienia, a pracownicy muzeum przestali liczyć odwiedzających, gdy ich liczba przekroczyła czterysta – w dużej mierze byli to Bośniacy, ale nie brakowało też zaciekawionych Amerykanów. Wstęgę podczas uroczystości otwarcia przecięła piętnastoletnia Zerina Musić, która urodziła się w obozie Trnopolje. Kiedy odwiedziłem później jej rodzinny dom, matka Zeriny, Erzena, powiedziała mi, że przed porodem obozowi strażnicy ostrzegali ją otwarcie, że pozwolą jej zatrzymać dziecko tylko wtedy, jeśli będzie to dziewczynka – chłopca natychmiast by jej odebrano.

W sali stali Bośniacy w różnym wieku; wszyscy mieli łzy w oczach. Na wystawie znalazło się również zdjęcie tułowia pobitego Nedžad Jakupovicia z podpisem: „To zdjęcie wykonała Azra Blažević więziona w Trnopolju. Fotografia została przemyciona poza teren obozu i wykorzystana później podczas procesu Milomira Stakicia”.

Często przemawiam na różnego rodzaju imprezach w Bośni, ale to było coś innego. Miałem wygłosić mowę na otwarcie wystawy i bardzo się tym denerwowałem – być może miało to coś wspólnego z sąsiednią, stałą wystawą poświęconą Holokaustowi. Wybrałem się tam wcześniej i teraz nie mogłem się uwolnić od myśli o lodowatym wietrze sunącym nad równinami Polski. Podczas ostatniego przemówienia dotyczącego Holokaustu, którego miałem okazję wysłuchać, Thomas Buergenthal mówił o konieczności tłumaczenia naszym dzieciom, jak doszło do tych zbrodni i dlaczego na nie pozwolono.

Pragnąłem, by dzieci tych, którzy przetrwali i dotarli tutaj, tak daleko od Bośni, nauczyły się stąpać po cienkiej linii dzielącej ich przyszłość od korzeni. Ci młodzi ludzie o radosnych twarzach, ubrani w typowo amerykańskim stylu, będą osamotnieni w wysiłkach, by historia nigdy nie zapomniała udręki ich rodziców. Chciałem, by myśleli o miejscu swojego pochodzenia jako o kraju niezwyklej urody, pełnym gór i rzek, i by byli z niego dumni.

Nazajutrz ja i jeden z kuratorów wystawy, Patrick McCarthy, otrzymaliśmy cudowny list. Jego autorką była Alisa Gutić, dziewczyna z Kozaraca, której ojciec został zamordowany, nim dotarła do Niemiec, skąd przyjechała potem do USA. Alisa pisała: „Przez lata przeklinałam swój los i nienawidziłam siebie za to, że jestem Bośniaczką, bo miałam zaledwie trzy lata, gdy straciłam ojca. Do dziś nie znaleziono jego ciała, a ja wciąż przeklinam wszystko, co wiąże się z wojną”. Jednak teraz, jako studentka Uniwersytetu St. Louis, pisała:

Widzę swoje życie inaczej. [...] Przez lata szukałam samej siebie i próbowałam zrozumieć, kim naprawdę jestem, a wasza wystawa i piękne przesłanie prowadzą mnie we właściwym kierunku. Dziś mogę w końcu powiedzieć to, na co nie mogłam się zdobyć jeszcze tydzień temu – że jestem bardzo dumna, że jestem Bośniaczką, i że pewnego dnia moja nienawiść zniknie, gdy odkryję, kim jestem i dlaczego żyję właśnie tutaj, a nie zginęłam jak wielu innych ludzi w Bośni.

Umówiłem się na lunch z Azrą Blažević, tym razem w lokalu o nazwie Triumph – hołd dla starych brytyjskich motocykli, w muzeum tuż obok stały klasyczne modele tej marki – gdzie Azra spotyka się czasem ze swoją najlepszą przyjaciółką, Jasminką Hadžibegović. Jasminka była jedną z trzydziestu siedmiu kobiet uwięzionych w Omarskiej i jednym z pierwszych uchodźców, którzy przybyli do St. Louis. Trafiła tu ze swoim mężem Dževadem, również byłym więźniem obozu. Kiedy usiedliśmy, wyjaśniłem, że od czasu wojny nie mogę siedzieć odwrócony plecami do drzwi.

– W porządku – odpowiedziała Jasminka z bolesnym uśmiechem na swej ślicznej twarzy. – Do mnie najgorsze w życiu rzeczy nadeszły z przodu.

Jasminka była oskarżycielem publicznym w Prijedorze, a tym samym oczywistą kandydatką do uwięzienia w Omarskiej. Obdarzona głęboką wrażliwością, a zarazem ogromną odwagą, pracowała teraz dla ludzi przechodzących przez to, czego sama doświadczyła po przyjeździe do St. Louis – zajmowała się doradztwem ogólnym i prawnym w ośrodku o nazwie Catholic Immigration Law Project, gdzie trafiają nowo przybyli imigranci, obecnie głównie z Somalii, Azji oraz Ameryki Południowej i Środkowej. Pomagała im w znalezieniu mieszkania, uzyskaniu zasiłków, opieki medycznej i ubezpieczenia – a na końcu obywatelstwa. Jasminka opowiedziała o tym, jak po krótkim pobycie w Australii przyjechała tu z mężem w lutym 1993 roku:

– Mieszkaliśmy w brudzie, wśród karaluchów. Umieścili nas wszystkich w jednym domu, trzy rodziny na piętrze. Spałam w butach Dževada, a za łóżko służył mi płaszcz. Chciałam natychmiast wrócić do Bośni. To było smutne: przez całe życie słuchałam amerykańskiej muzyki, myślałam, że potraktują trochę lepiej ludzi, którzy przyjeżdżają do nich w takim stanie. Dževad zaczął się uczyć angielskiego, ale ja nie mogłam siedzieć długo w klasie; wciąż odczuwałam bóle spowodowane urazami, których nabawiłam się w Omarskiej.

Na szczęście poznali Patricka McCarthy’ego, który pomógł im znaleźć wygodniejsze lokum, a Dževad dostał pracę w piekarni.

– Przyjeżdżałem o czwartej rano i śpiewałem im starą piosenkę Željka Bebeke ze słowami: „A gdybym był piekarzem, co całą noc pracuje / Czy wciąż byś mnie chciała?”

Rodzice Jasminki zostali w Prijedorze aż do chorwackiej ofensywy w 1995 roku. Kiedy opuszczali miasto w jednym z ostatnich konwojów wywozących stamtąd nie-Serbów, „Serbowie już wynosili dywany z naszych domów, żeby zdążyć przed innymi” – mówiła Jasminka. Jej ojciec musiał „połknąć różaniec – i zinternalizować w ten sposób swoją wiarę”. Zatrzymali się w Travniku, gdzie ojciec Jasminki wkrótce zmarł, a jej matka, Hasiba, postanowiła dołączyć do reszty rodziny w St. Louis. Jej przyjazd i spotkanie z córką na lotnisku były niezwykłym przeżyciem, o którym długo opowiadano sobie w St. Louis, zawsze ze łzami wzruszenia w oczach.

– To było jak radosny zew dzikich zwierząt – mówiła Azra. – Wszyscy w hali przylotów patrzyli w ich stronę, ciekawi, co się tam dzieje.

Podczas spotkań z Azrą i Jasminką rzadko rozmawialiśmy o wojnie – Jasminka nie mówiła o niej wcale – a jeśli już podejmowaliśmy ten temat, Azra wspominała mroczne absurdy związane z funkcjonowaniem obozu koncentracyjnego. Pewnego razu dwaj pijani strażnicy zostali ranni w wypadku samochodowym i przyszli do Azry po pomoc, gdy w klinice była położna, Sabiha Islamović.

– Słuchała ich wrzasków. Stwierdzili, że Bóg ocalił ich z tego wypadku, bo są Serbami. „Tak – odpowiedziała. – Bóg w swoim miłosierdziu ratuje najgłupszych ludzi”. Żołnierz mówił dalej: „Och, zrobiłem tyle złych rzeczy, zabijałem ludzi i niszczyłem ich domy, ale nigdy nie zgwałciłem kobiety”. A położna odpowiedziała: „Jesteś młody, masz jeszcze czas”.

Pewnego deszczowego popołudnia poszliśmy do centrum badawczego w kampusie Uniwersytetu St. Louis, gdzie Azra prowadziła zespół naukowców specjalizujący się w immunologii (jako jedyna z założycieli zespołu wciąż w nim pracowała). Przedstawiła mi najmłodszego, bardzo obiecującego rekruta, Asmira Selimovicia. Asmir urodził się we Vlasenicy, gdzie przeprowadzono jedne z najbardziej krwawych czystek etnicznych; do tej pory nie zostały one jednak udokumentowane. Rodzina Asmira uciekła do „strefy bezpieczeństwa” w Srebrenicy, jedyne miejsce, które w 1992 roku wydawało się w miarę pewne:

– Od piątego do ósmego roku życia, gdy inne dzieci bawiły się zabawkami, ja siedziałem zamknięty w klatce. Musiałem się nauczyć, jak się odseparować od otoczenia, od codziennego widoku ludzi rozrywanych kulami, a ta umiejętność stała się częścią mnie, czymś intuicyjnym. Najlepszym sposobem na oderwanie się od rzeczywistości była gra w piłkę nożną, przy czym piłka wykonana była ze zrolowanej srebrnej taśmy klejącej, a funkcję bramki pełniła bela siana.

Trzy lata później ośmioletni Asmir szukał u holenderskich żołnierzy schronienia przed plutonami egzekucyjnymi generała Mladicia.

– Nigdy nie zapomnę tego dnia: krzyków chłopców, których zabierano od ich matek i rodzin i prowadzono na śmierć.

Wyrzucono go z obozu holenderskich żołnierzy.

– Mama przebrała mnie wtedy za dziewczynkę, założyła mi chustkę na głowę, żebym mógł wsiąść do autobusu. Mówiła mi, żebym podczas podróży pochylał nisko głowę, żebym nie patrzył. Ale ja patrzyłem. Widziałem mężczyzn ustawionych w szeregu na boisku piłkarskim, czekających na egzekucję. Wszyscy mieli pochylone głowy, ręce związane za plecami. Mama krzyczała: „Nie patrz, proszę, nie patrz!”.

Asmir pojechał do Kladanja, a potem do Tuzli. Tam spotkał się ze swoim ojcem, który przygotował dokumenty potrzebne do wyjazdu do Niemiec.

– W Niemczech świętowałem nadejście nowego, 1996 roku. Ale w 1999 Niemcy powiedzieli, że

musimy wrócić do Vlasenicy, która była spalona i zrównana z ziemią. Ojciec przygotował dokumenty na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, ale nie zdążyliśmy na lot do Grand Rapids, gdzie mieliśmy pierwotnie polecieć, i trafiliśmy w końcu do St. Louis.

Tutaj Asmir z doskonałymi wynikami ukończył studia biologiczne na Uniwersytecie St. Louis, a potem dołączył do zespołu badawczego Azry, przygotowując się do obrony doktoratu.

– Zamierzam tu zostać. To mój czwarty dom i chciałbym, żeby był już ostatni. Ale ponieważ byłem w Srebrenicy, nie mogę zatracić swojej tożsamości. Ten temat zawsze wywołuje napięcie. Niektórzy mówią: „Hej, daj spokój, zostaw to”, a inni: „Nigdy nie zapomnij”. Ale jeśli machniemy na to ręką, zaakceptujemy wszystko, co zrobili. Jeśli nie będę opowiadał o tym bratu i siostrze, nigdy się nie dowiedzą, co się tam stało. Myślę, że gdybym był wtedy w jakimś mniej ważnym miejscu, nie podkreślałbym teraz tak mocno, że jestem Bośniakiem.

Jednak to raczej piłka nożna, a nie akademickie osiągnięcia, są „środkowym palcem, który pokazujemy światu” – jak ujął to Asmir. Rzeczywiście, futbol łączy i jednoczy diasporę pokolenia Asmira ze skutecznością, którą trudno przecenić. Nigdy nie mogłem zrozumieć ludzi mojej profesji, którzy ignorowali znaczenie futbolu, jego metafor i inspiracji.

Rozmawialiśmy więc długo o bośniackiej drużynie narodowej, temacie równie ważnym i interesującym dla nas obu. Piłka nożna jest w Bośni alegorią wielu rzeczy, dobrych i złych. Te złe są naprawdę bardzo złe: w ciągu ostatnich dwóch lat regularnie dochodziło do zamieszek – zdarzyło się nawet morderstwo – na meczach wszystkich trzech drużyn z Sarajewa (dwie są w dużej mierze boszniackie, jedna serbska), serbskiego zespołu Borac Banja Luka oraz głównie chorwackiego Široki Brijeg. Do tej pory bośniaccy Chorwaci kibicowali Chorwacji, bośniaccy Serbowie Serbii, a prezydent Republiki Serbskiej Milorad Dodik powiedział, że będzie kibicował narodowej reprezentacji tylko w meczu przeciwko Turcji.

Można jednak powiedzieć, że bośniacka reprezentacja – na boisku i tylko na nim – jest jedynym sprawnie działającym wieloetnicznym organizmem w kraju. Nikt nie zawetuje podania na skrzydło albo dośrodkowania w pole karne.

– Boisko to miejsce, gdzie Bośnia naprawdę istnieje – mówił Asmir. – To maleńki promyk nadziei, który pokazuje, kim naprawdę jesteśmy. Nie można zabrać ze sobą na boisko całego tego gówna.

Rzeczywiście, najbardziej doświadczony gracz reprezentacji, Zvezdan Misimović, jest Serbem, obrońca Boris Pandža jest Chorwatem, a gwiazda zespołu, Edin Džeko z Manchester City, to Boszniak. Inny gwiazdor, Vedad Ibišević, nie tylko jest Boszniakiem z Vlasenicy, jak Asmir, ale także nauczył się grać w piłkę w St. Louis.

– Dla nas ten zespół jest Bośnią – mówi Asmir. – Taka właśnie powinna być Bośnia: wszystkie trzy narodowości razem. Jeśli Serbowie albo Chorwaci nie chcą nam kibicować, to ich problem. Ale kiedy Misimović gra dla Bośni, dopingujemy go równie głośno jak każdego innego gracza.

Organizacja rozgrywek do 2011 roku była odzwierciedleniem dziedzictwa wojny. Bośniackim związkiem piłki nożnej rządili ludzie z klucza politycznego, którzy nie znali się na piłce, ale pilnowali, by służyła ona interesom etnicznym. Ostatnio stanowisko prezesa związku dzielili „rotacyjnie”: były boszniacki minister spraw wewnętrznych, chorwacki generał oraz człowiek Dodika. Kibice reprezentacji, działając przeciwko tej farsie i bośniackiemu związkowi piłki nożnej, ale na rzecz swojego zespołu, doprowadzili do rewolucji. Organizowali demonstracje, bojkotowali mecze i przygotowywali

własne rozgrywki; rzucając flary, na godzinę przerwali mecz w Oslo – i wygrali. W kwietniu 2011 roku UEFA i FIFA wykluczyły Bośnię z międzynarodowych rozgrywek do czasu, aż tamtejszy związek nie zostanie zreformowany. Wykluczenie dobiegło końca, gdy w miejsce politycznych marionetek związkciem zaczął zarządzać komitet „normalizacyjny” złożony ze znanych i zasłużonych postaci sportu. Jednocześnie Safet Sušić, futbolowa legenda drużyny Jugosławii i FK Sarajewo, został trenerem reprezentacji narodowej i ściągnął do niej kluczowych graczy, którzy nie chcieli występować pod poprzednim reżimem. Bośnia z walecznym Džeką w składzie była bliska zakwalifikowania się do mistrzostw Europy w 2012 roku, dopiero w meczach barażowych uległa Portugalii.

Trudno przecenić znaczenie Džeki w ikonografii rozbitej, rozproszonej Bośni. Miałem okazję oglądać na żywo jego pierwszy gol w meczu międzynarodowym, strzelony na stadionie Koševo w Sarajewie w 2007 roku, w meczu przeciwko Turcji.

– Džeko jest naszym idolem narodowym – mówił Asmir w St. Louis. – Naszą dumą i radością. Kiedy strzela Džeko, strzela każdy bośniacki uchodźca na świecie. On jest naszym przykładem, naszą nadzieją.

Dzieje się tak nie tylko dlatego, że Džeko jest świetnym graczem: jak twierdzi Asmir, kariera tego piłkarza jest kluczowa dla aspiracji i tożsamości młodej bośniackiej diaspory oraz dla tych, którzy zostali w kraju.

W 2003 roku Džeko grał w sarajewskiej drużynie FK Željezničar, pierwotnie zespole pracowników kolei. Jednak żaden z klubowych decydentów ani nawet kibiców drużyny nie doceniał talentu Džeki – z wyjątkiem czeskiego menedżera zespołu, Jiříego Plíška, który zamierzał zrezygnować ze swojego stanowiska ze względu na, jak stwierdził: „zbyt wiele negatywnych interesów blokujących system, który chciałem stworzyć”. Jednak Plíšek „zachował bośniackie serce”, jak sam mi potem powiedział. Został potem menedżerem rywala Željezničara z innej części miasta, FK Sarajewo. Gdy opuszczał Željezničar w 2005 roku, chciał zabrać ze sobą tylko jednego gracza.

– Džeko miał to szczególne podejście do gry, które czyni zawodnika wyjątkowym. Musiał je tylko zastosować w praktyce, nadrobić brak wytrwałości, więc przesunąłem go do drugiego zespołu. Był wściekły, podobnie jak jego rodzice. Ale podziałało: zrozumiał, pokazał swą wewnętrzną siłę, oznaki wyjątkowego talentu. Uważam, że nie wszystko może stać się natychmiast i że nie ma reguły dotyczącej tego, kiedy gracz osiągnie swoją szczytową formę. Ale widziałem, że Džeko zmierza we właściwym kierunku.

Plíšek wrócił do ojczyzny, by objąć kierownictwo nad czeskim klubem Ústi nad Labem, siostrzaną drużyną pierwszoligowego FK Teplice. Nakłonił władze Teplic, by kupiły Džekę za dwadzieścia pięć tysięcy euro, bo tyle żądał za niego Željezničar.

– Choć były to naprawdę marne grosze, ludzie z Teplic pytali: „Jak to możliwe, żeby dobrzy gracze przenosili się stamtąd tutaj?”. Powiedziałem, że jeśli nie zdecydują się na ten zakup, pożyczę skądś pieniądze i sam za niego zapłacę. To ich przekonało.

Kiedy Džeko przyjechał grać do Teplic, zaoferowano mu czeskie obywatelstwo i szansę gry w reprezentacji narodowej. Odmówił. Gdy za cztery miliony euro przeszedł do drużyny Wolfsburga w niemieckiej Bundeslidze, zaoferowano mu niemieckie obywatelstwo, co oznaczało również grę w reprezentacji kraju, który zawsze należy do grona faworytów mistrzostw świata. Ponownie odmówił. Gdy odkupiony za trzydzieści pięć milionów funtów trafił do Manchester City, tego rodzaju propozycje nie miały już sensu – w 2010 roku, gdy City podnosiło w triumfalnym geście Puchar Anglii, Džeko

wymachiwał bośniacką flagą.

Jego wytrwała lojalność wobec Bośni była głównie wynikiem osobistych przekonań i zaangażowania, ale i filozofii oraz porad Pliška, człowieka niezwykle skromnego i życzliwego.

– Ci chłopcy stają na rozdrożu, gdy muszą zdecydować, kim właściwie są. Niektórzy z nich rozumieją, że sława i pieniądze to nie wszystko – mówił Plišek. – Wybierając Bośnię, Džeko odpowiedział sobie na kluczowe pytanie: „Kim jestem?”, a zarazem wysłał ważny sygnał do swojego kraju, swoich rodziców i dzieci. Moim zdaniem tak właśnie rodzą się naprawdę wielcy gracze.

– Więc Džeko wybrał Bośnię zamiast najwyższego szczytu w piłce nożnej – powiedział Asmir w St. Louis. – Jest naszą bajką.

Inna bajka wydarzyła się w życiu samego Asmira. Była nią gwałtowna i głęboka miłość do Aminy Turnadzić. Amina, która studiowała radioterapię na Uniwersytecie St. Louis, nie była zwykłą dziewczyną.

– Nasi rodzice wychowywali się razem we Vlasenicy. Byli przyjaciółmi – opowiadał Asmir. – Jako małe dzieci wiedzieliśmy o swoim istnieniu, ale w amerykańskiej szkole średniej obracaliśmy się w różnych kręgach. Potem poszliśmy do tego samego meczetu na terenie kampusu: ja miałem dziewczynę, ona miała chłopaka, ale w głębi duszy od razu wiedzieliśmy, że to jest na zawsze. Tak jak Vlasenica, choć jest tak daleko.

Jednak nie każdy bośniacki uchodźca w St. Louis dostaje pracę w laboratorium immunologicznym. Mniej szczęścia miały Mejra Sejfić i jej matka Ramiza z Žepy, które mieszkały na piętrze starego drewnianego domu w getcie, gdzie do tej pory przebywało wielu Bośniaków. Ramiza i Mejra przyjechały najpierw do Charlotte w Karolinie Północnej, gdzie trafiły po ucieczce z oblężonej przez trzy lata Žepy, która po kapitulacji na szczęście nie podzieliła losu pobliskiej Srebrenicy. Ramiza miała sześćdziesiąt dwa lata, ale wyglądała na więcej. Nosiła „tradycyjne” ubranie starszych Bośniaczek z doliny Driny: długą spódnicę, chustę na głowę – strój gór i łąk w amerykańskim mieście. Mimo że jasne słońce rzucało na ulice getta cienie rodem z obrazów Hoppera, zasłony w oknach były zaciągnięte, a pokój wypełniał niebieski blask jarzeniówek. Po przyjeździe do Ameryki Ramiza znalazła pracę jako sprzątaczką.

– Bardzo się starała – opowiadała Mejra – ale zrobiła złe wrażenie. Nie znała angielskiego, nie wiedziała, czego od niej chcą. Przełożony wrzeszczał na nią: „Szybciej, szybciej!”. Któregoś dnia pchnął ją tak mocno, że się przewróciła. Wtedy odeszła z tej pracy.

– Więc od tej pory siedzę w domu jak w więzieniu – dodała Ramiza. – Chciałabym wyjść do miasta, ale od razu się denerwuję. Wolałabym, żeby to wszystko wyglądało inaczej, ale jest, jak jest.

– I tak jest lepiej, niż było – powiedziała Mejra w imieniu swej matki, która wolała raczej podawać sok i ciasto, niż brać udział w tej rozmowie. – Panicznie bała się ludzi sprzedających narkotyki albo tych, którzy spali pod drzwiami domów, czekając, aż diler otworzy drzwi. Nie robią jej krzywdy, przeciwnie, czarni są mili i często jej pomagają, ale to wszystko po prostu ją przeraża.

W rzeczywistości to nie nowe otoczenie powoduje u Ramizy bezsenność i koszmary.

– Mam przed oczami wiele rzeczy z czasów wojny. Ciągłe dokuczają mi różne lęki z nią związane; boję się pocisków, granatów. Codziennie czuję strach.

– Czasem te lęki są naprawdę bardzo silne – dorzuciła Mejra.

Jednak Mejra i Ramiza miały sporo szczęścia, bo trafiły pod skrzydła organizacji Places for People (Miejsca dla ludzi), która służy pomocą nowo przybyłym z Bośni. Tutaj zajęła się nimi specjalistka od

prawa imigracyjnego, Courtney Manus, która niestrudzenie pomaga uchodźcom przebrnąć przez labirynt przepisów dotyczących amerykańskiej służby zdrowia, opieki społecznej i starań o obywatelstwo. Warunkiem uzyskania tego ostatniego jest dobra znajomość języka angielskiego.

– Ramiza nie umie czytać nawet we własnym języku – powiedziała Courtney. – Nie wspominając już o angielskim.

Opieka zdrowotna i leczenie nerwicy to w tej chwili największe problemy stojące przed tą rodziną.

– Mój mąż opłaca ubezpieczenie zdrowotne – powiedziała Mejra. – Ale to sporo kosztuje, długi rosną, a dochodzą jeszcze różne rachunki do opłacenia.

– To wszystko jest zorganizowane tak, by zniechęcić ludzi do pracy – twierdziła Courtney. – Zmusza ich do korzystania z zasiłków i ubiegania się o Medicare^[10].

Mejra przedstawiła niezbyt romantyczny, ale prawdziwy obraz funkcjonowania bośniackiej diaspory:

– Pod pewnymi względami stanowimy bardzo zwartą grupę. Jeśli bardzo potrzebujesz pomocy, zorganizują jakąś imprezę połączoną ze zbiórką pieniędzy. Ale jeśli chcesz znaleźć pracę albo potrzebujesz przysługi z tym związanej, będą się bać, że zmniejszysz ich szanse. Jeśli robisz wszystko, jak należy, społeczność ci pomoże, ale jeśli rozejdziesz się plotka, że bierzesz narkotyki, możesz o tym zapomnieć. Jeśli zażywasz antydepresanty, nigdy nie mów o tym Bośniakom: uznają to za oznakę słabości.

W bałkańskim społeczeństwie choroby umysłowe nie mają prawa istnieć.

Zadałem Ramizie proste pytanie; odpowiedziała na nie równie krótko i jasno.

– Czego pani tu najbardziej brakuje, kiedy myśli pani o Žepie, pani Sejfić?

Zastanawiała się tylko przez chwilę.

– Skał.

Jakiś czas później rozmawiałem z mężem Azry, Erminem, o Bośniakach w Ameryce.

– Ilu Bośniaków uważa się za Amerykanów? – pytał sam siebie, gdy spotkaliśmy się podczas przerwy między jego długimi podróżami po międzystanowych autostradach. – Ilu prawdziwych przyjaciół mają wśród Amerykanów? Ani jednego. Amerykanie są uprzejmi, gościnni, mili, ale nie będą naszymi przyjaciółmi. Twój przypadek, Brytyjczyk w Nowym Jorku, to co innego. W Nowym Jorku jest cały świat, a poza tym, z jakiegoś dziwnego powodu, wszyscy kochają Brytyjczyków. Ostatnio byłem na ślubie: dziewczyna przez dziesięć lat pracowała w agencji federalnej, a pan młody przez osiem lat w szpitalu. Na przyjęciu nie było ani jednego Amerykanina. Więc ilu Bośniaków chce mieć amerykańskich przyjaciół? Ilu z nich zostaje na wakacje w Ameryce? Czy jadą na tanią wyprawę do Wielkiego Kanionu? Nie: wydają fortunę, żeby pojechać do takiego gównianego miasta jak Prijedor! O to mi właśnie chodzi: jesteśmy na to skazani i jesteśmy skazani na siebie, bo nikt nas od tego nie uwolni. Rzecz w tym – kontynuował, dotykając czułego punktu – że nie jesteśmy jak żydowscy czy irlandzcy imigranci w Ameryce. Oni zachowują się jak jedno plemię, a my nie. Po pierwsze dlatego, że nie mamy takiej historycznej tożsamości jak oni, a po drugie dlatego, że o tym, co nas spotkało, oficjalnie się nie mówi. Nikt tak naprawdę nie wie, co się stało w Bośni, coraz mniej ludzi to obchodzi. Więc łączy nas jedynie doświadczenie obozów i masakr, o których większość ludzi w ogóle nie wie. A w tej sytuacji nie jest to chyba najlepsze spoiwo.

Podczas mojego kolejnego pobytu w St. Louis, w 2011 roku, do miasta zawitał również inny gość, podróżujący po całej Ameryce Edin Ramulić z organizacji Izvor, który chciał tu zabiegać o wsparcie dla

swoich rozmaitych przedsięwzięć, wzmocnić więź uchodźców z rodzinnymi stronami i opowiedzieć na katolickim Uniwersytecie Fontbonne o sytuacji w Prijedorze. Zainteresowanie Uniwersytetu sprawami Bośni było wynikiem osobistego zaangażowania rektora tej uczelni, nowojorczyka Dennisa C. Goldena – potężnego mężczyzny o uścisku dłoni przywodzącym na myśl imadło. I nic w tym dziwnego – Golden należał do drużyny futbolu amerykańskiego Dallas Cowboys, brał udział w rozgrywkach przedsezonowych w zespole New England Patriots i dosłużył się stopnia kapitana w amerykańskiej piechocie morskiej, nim zamienił karierę w futbolu amerykańskim na pracę w szkolnictwie. Gdyby tylko na świecie było więcej Dennisów C. Goldenów: zawadiacki rektor, który po wykładzie zaprosił nas wszystkich na piwo do swojego domu, otworzył na uczelni kursy o wojnie w Bośni, prowadzone z zapalem przez wykładowcę Bena Moore’a. Na kursy zapisywali się Amerykanie, którzy właściwie nie mają nic wspólnego z Bośnią i konfliktem na Bałkanach.

– Jeśli dzieciaki nie będą się uczyć o tych rzeczach – mówił Golden – i nie nawiążą kontaktów z ludźmi, którzy żyją między nami, to po co właściwie uczyć ich czegokolwiek o świecie?

W uczelnianej auli zebrało się kilkaset osób – połowę stanowili studenci, połowę diaspora – by w ten wiosenny wieczór posłuchać Edina Ramulicia. Jakież to dziwne uczucie widzieć tutaj, w Missouri, człowieka, którego poznałem w okopie obok masywu Vlašić, z kałasznikowem w ręce.

Edin zajął miejsce na mównicy, ascetyczny jak zawsze, i rozpoczął swój wykład od zdania: „Wszystko, co wydarzyło się podczas wojny, ma swój ciąg dalszy po wojnie”. Opisał historię Prijedoru od momentu zakończenia walk, ale nie omawiał samej wojny. Podzielił tę historię na kilka etapów. Pierwszy z nich, obejmujący lata od 1996 do 1998, był czasem, gdy „władze stawiały barykady utrudniające powrót do Prijedoru” tym, którzy zostali stamtąd wygnani w 1992 roku. W drugiej fazie, trwającej od 1999 do 2005 roku, „uchodźcy pobudzali miejscową gospodarkę”, ale „wciąż dochodziło do ataków, szczególnie w 2002 roku, gdy Serbia wygrała mistrzostwa w koszykówce”, a uchodźców aresztowano „za rozdawanie ulotek o zaginionych”. Od roku 2005 trwa trzeci etap: „Władze dławią społeczność Boszniaków i Chorwatów, którzy wrócili do miasta, młodzi ludzie zaczynają wyjeżdżać, a miejscowe media powracają do retoryki sprzed wojny, szerząc nienawiść”. Zaatakowano biura jego organizacji, wybito szyby w oknach i odcięto prąd.

– Izvor jest w Prijedorze osamotniony – mówił Edin, dodając ironicznie: – Oskarża się nas o podżeganie do wojny. Jednocześnie murale dają nam jednoznacznie do zrozumienia, że powracający nie są tu mile widziani. – Kończąc pierwszą część wykładu, Edin oświadczył: – Nasza społeczność w Prijedorze znów zagrożona jest eksterminacją.

Potem przeszedł do liczb: w rejonie Prijedoru zaginęło lub zostało zamordowanych 3178 cywilów, z czego 1099 wciąż uznaje się za zaginionych. Wśród odnalezionych dotąd ciał ofiar było 101 dzieci i 262 kobiety; najmłodsze dziecko, Velid Softić, miał trzy miesiące, najstarsza kobieta, Hanka Alić, dziewięćdziesiąt trzy lata. Wśród wszystkich zabitych i zaginionych było 3016 bośniackich Muzułmanów, 138 Chorwatów, dwunastu Albańczyków, ośmiu Romów, do tego jeden Serb, jeden Czech, jeden Ukraińiec i jeden obywatel Pakistanu. O zaginionych Edin mówił:

– W Prijedorze są ludzie, którzy wiedzą, gdzie leżą ich ciała, którzy te ciała ukrywają lub boją się o nich mówić. Sytuacja w tym rejonie się zaostrza, a nam coraz trudniej wykonywać swoją pracę, choć powinno być coraz łatwiej.

Edin pokazywał slajdy pomników poległych Serbów, zaczynając od tego, który postawiono przy

obozie w Trnopolju.

– W tym obozie więziono trzydzieści tysięcy cywilów z regionu Prijedoru, a ten pomnik stoi zaledwie dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie ładowano ich na ciężarówki i wywożono. – Pokazywał również zdjęcia innych pomników, poniżających dla ofiar. – Nam pozwolono tylko zamontować tę małą tablicę pamiątkową w Keratermie, a i to przy bardzo silnym sprzeciwie władz.

Omawiając kampanię na rzecz budowy pomnika w Omarskiej, Edin przedstawił prezentację w PowerPoint. Tytuły poszczególnych slajdów były bardzo wymowne: „Negocjator popełnia błąd – Pojednanie. Własność Mittal Steel. Brak zgody między ofiarami. Projekt zawieszony”.

– Jedną z rzeczy, które możecie zrobić na odległość, jest pomoc w budowie pomników – apelował do diaspory Edin. – Jeśli zabraknie takich świadectw przeszłości, nasze dzieci będą miały fałszywy obraz historii, a wszystko, co nas spotkało, zostanie zapomniane. – Na koniec Edin dorzucił przejmujący osobisty komentarz do wykładu: – W listopadzie moja córka musi zacząć naukę w szkole. Problem w tym, że w Prijedorze wszyscy mnie znają, więc nie wiem, czy będę mógł wtedy nadal zajmować się tą działalnością.

Czterdzieści osiem godzin później Edin wygłosił ten sam wykład dla uczniów szkoły średniej Melville, w większości Bośniaków. Powiedział im, że podczas czystek etnicznych w Prijedorze zabito stu jeden uczniów, ale pomnik, który stoi przed szkołą, nie jest poświęcony ich pamięci.

– To pomnik poległych Serbów, ludzi walczących po tej samej stronie, co mordercy tych dzieci.

Kiedy Edin zakończył wykład, z przodu sali zebrała się grupa uczniów, która chciała z nim porozmawiać. I tu spotkała mnie miła niespodzianka. Trzy lata po tym, jak wraz z Patrickiem McCarthym otrzymałem list od Alisy Gutić, spotkałem ją znowu. Wyglądała promiennie i była spokojna – nie bez przyczyny. Od czasu naszego ostatniego spotkania w 2008 roku pojechała do Kozaraca, by odwiedzić swoją rodzinę, i poznała tam przypadkiem pewnego chłopca, Arnela Halaka, kapitana drużyny piłkarskiej w Kozaracu. Ostatecznie Arnel przeniósł się do St. Louis i ożenił z Alisą.

– Nasi krewni, ciotki i wujkowie, znali się – mówiła Alisa z nieskrywaną radością. – Więc Kozarac wciąż żyje, choć daleko od Bośni.

Nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem:

– Twój ojciec byłby bardzo szczęśliwy, gdyby wiedział, że tak to się ułożyło.

Alisa spojrzała na mnie wymownie, uśmiechnęła się, a potem odwróciła i odeszła, trzymając Arnela za rękę.

Edin Ramulić przebywał w St. Louis już niemal od tygodnia, ale doszliśmy z Azrą do wniosku, że nie widział jeszcze prawdziwej Ameryki. Jadł ćevapčicie przygotowane przez diaspore, słyszał bośniacki akcent ze wszystkich zakątków ich kraju, bez końca mówił i słuchał – ale zawsze po bośniacku. Postanowiliśmy więc zabrać Edina na trzygodzinną wycieczkę do „Stanów Zjednoczonych”, poczynając od kolacji w restauracji o nazwie Blueberry Hill, modnym lokalu, jaki można znaleźć w każdym amerykańskim mieście, gdzie zamiast ćevapčici podaje się oczywiście burgery. Powoli, niemal ukradkiem, naszym oczom zaczął ukazywać się inny Edin, gdy Azra rzuciła od niechcenia:

– Tutaj, na tej małej scenie, grał Keith Richards.

Młody partyzant, którego poznałem w błotnistym okopie, rozpromienił się. Zjadł swojego burgera, poprosił, byśmy zrobili mu zdjęcie przy plakacie festiwalu w Woodstock i przy zdjęciach Janis Joplin oraz Jimiego Hendrixa, a potem słuchał opowieści Azry o innych czasach:

– B. B. King grał za darmo w klubie o nazwie River Splash. Kiedy byłam mała, B. B. King był tylko odległym marzeniem. Znałam go jedynie ze zdjęcia z jugosłowiańskiej gumy do żucia, wklejonego do albumu. A tutaj zobaczyłam go na żywo podczas koncertu nad Missisipi.

Edin wyjawiał nam z kolei, że przed wojną pracował w lokalnej rozgłośni radiowej w Prijedorze, gdzie puszczał między innymi muzykę Deep Purple.

Tak się złożyło, że miałem wtedy ważne spotkanie w sklepie Vintage Vinyl, następstwo pewnej katastrofy w życiu osobistym, z której zwierzyłem się Edinowi i Azrze. Cała moja kolekcja około tysiąca sześciuset płyt długogrających, które zbierałem i pieczołowicie przechowywałem od dwunastego roku życia, została „przekazana do zniszczenia” przez amerykański urząd celny w Phoenix w stanie Arizona i podobno zniszczona przez United Airlines ze względu na braki w dokumentacji dostarczonej podczas nieudanej przeprowadzki realizowanej przez pewną podejrzaną firmę z siedzibą w Hammersmith w Londynie. Kolekcja zawierała pierwsze wydania płyt Beatlesów, Boba Dylana, Hendrixa (jedna płyta z autografem), Buffalo Springfield, Jefferson Airplane i wiele innych rarytasów: czułem się tak, jakby wraz z tym zbiorem pozbawiono mnie również części mojej przeszłości. Próbując więc odtworzyć ten utracony skarb, kupiłem w Vintage Vinyl archiwalne płyty Neila Younga i Grateful Dead.

– Mam je – oznajmił Edin spokojnie. Okazało się, że jego płyty należały do tej niewielkiej części jego majątku, która przetrwała wojnę: przeleżały całą zawieruchę nietknięte w garażu. Wyglądało na to, że do serbskiej wrażliwości nie przemawiała muzyka z płyty *Meddle* Pink Floyd czy *Greatest Hits* The Byrds.

– Są trochę porysowane i bardzo zakurzone.

Aż skreśliło mnie w środku z zazdrości. Jego kolekcja przetrwała całą wojnę, a moja przegrała w starciu z bandą idiotów z firmy przeprowadzkowej przy Shepherds Bush Road! Ale nie dręczyłem się tym zbyt długo. Poszliśmy obejrzeć olbrzymi pomnik nad rzeką, Gateway Arch.

– Hm, pomnik ludobójstwa Indian – to był jedyny komentarz Edina. Kupił jednak dla swojej córki koszulkę z wizerunkiem pomnika, nim przeszliśmy do następnego punktu wycieczki: włoskiej lodziarni o nazwie Crown Candy, która jakimś cudem przetrwała w sercu zubożałej dzielnicy St. Louis. Po drodze Edin zobaczył instalację artystyczną w kształcie olbrzymiej ławki i zażartował:

– Aha, ławka na amerykańskie tyłki.

Jakże miło było widzieć go wreszcie w takim nastroju. Po drugiej stronie rzeki na szarym niebie pojawiła się tęcza, a Edin powiedział – tym razem po angielsku:

– Uwielbiam tęcze.

Jechaliśmy przez ulice kontrolowane przez gangi, gdzie niemal każdy dom był albo całkiem obmurowany, albo splądrowany i zniszczony, często przez ogień (nie wydaje mi się, by Edin zdawał sobie z tego sprawę), minęliśmy stację benzynową, gdzie podczas nocnej zmiany przyjaciółka Azry padła ofiarą napadu z bronią. I właśnie tutaj, na rogu 14. Ulicy, znajdowała się lodziarnia Crown Candy. Wnętrze błyszczało bielą kolumn, stał tu lśniący saturator, automat z gumą do żucia z lat sześćdziesiątych i szafa grająca, w powietrzu unosił się słodki, śmietankowy zapach lodów. Później, gdy oddalaliśmy się od tego neapolitańskiego azylu w środku getta, Edin rozmyślał głośno:

– A gdybym tak zginął na masywie Vlašić albo w obozie, jak mój ojciec i brat? Nigdy nie zobaczyłbym, ile pięknych rzeczy jest na świecie.

Najczarniejsze stronicie historii: Srebrenica 2005

Noż, żica, Srebrenica

hasło skandowane przez serbskich kibiców piłkarskich podczas meczów od czasu masakry w Srebrenicy w 1995 roku: „Nóż, drut, Srebrenica”

Blask słońca odbijał się od grubej warstwy śniegu, było bezwietrznie, temperatura sięgała minus siedmiu stopni. Przeklętą ziemię okrywała warstwa dziewiczej bieli, która otulała również ten zniechęcony budynek i zamknięte w nim wspomnienia: porzucony magazyn przy wiejskiej drodze przecinającej miejscowość Kravica, kilka kilometrów na zachód od Srebrenicy.

Była zima 2005 roku, minęło już niemal dziesięć lat, odkąd spędzono tu około tysiąca dwustu mężczyzn i chłopców, których potem zabito strzałami z karabinów maszynowych i granatami wrzucanymi do budynku. Kravica była tylko jednym z miejsc egzekucji, które przeszły do historii jako masakra w Srebrenicy. W ciągu sześciu dni serbscy żołnierze i członkowie oddziałów paramilitarnych zamordowali ponad osiem tysięcy bośniackich mężczyzn i chłopców. Była to najgorsza zbrodnia dokonana na terenie Europy od czasów Trzeciej Rzeszy. Jej brutalność i skala były nie do opisania.

– To sceny z piekła rodem – powiedział sędzia Fouad Riad w Hadze – zapisane na najczarniejszych stronicach ludzkiej historii.

W ciągu dziesięciu lat magazyn w Kravicy prawie się nie zmienił. Zewnętrzne ściany budynku upstrzone były dziurami po kulach – wypełniono je co prawda cementem, ale ten gest nie zdał się na nic. Podobnie wyglądały ściany w środku; stały tu również sterty skrzyń, maszyny i urządzenia, a na kanistrze z krezotem widniała data 1992 – rok, w którym serbskie wojska otoczyły Srebrenicę. Nad doliną niosło się pianie koguta, gdzieś zaszczekał pies. W domu serbskiego rolnika po drugiej stronie bocznej drogi, na balkonie, z którego rozciągał się widok na magazyn, wisiało świeże pranie.

Nieco dalej w górę drogi znajdowała się wieś Glogova. Tutaj niektóre domy wciąż były w ruinie. Inne zostały odbudowane – niczym pomniki godnego podziwu, lecz ryzykownego powrotu Boszniaków w tę okolicę, pomiędzy katów ich krewnych. Tuż przy drodze, w Glogovej, znajduje się inne miejsce, w tej chwili również pokryte śniegiem, gdzie zakopano ciała zabitych w Kravicy. Zardzewiały samochód był teraz jedynym szkieletem na powierzchni ziemi, choć kości ofiar – wiele z nich połamano i zgnieciono, gdy buldożery przenosiły ciała, by ukryć zbrodnię – wciąż poddawane były ekshumacji oraz długiemu i żmudnemu procesowi identyfikacji.

11 lipca 1995 roku generał Ratko Mladić i jego żołnierze wkroczyli do górniczego miasteczka Srebrenica. Prerażeni mieszkańcy uciekali w stronę holenderskiej bazy w miejscowości Potočari, szukając pomocy u oddziałów Sił Ochronnych ONZ. Po drodze cywile i resztki bośniackich wojsk podzieliły się na dwie grupy. Około dwudziestu tysięcy ludzi nie ufało ONZ i tuż przed północą ruszyło wielką kolumną w góry, licząc, że uda im się przedrzeć przez lasy na serbskim terytorium i dotrzeć do kontrolowanej przez rząd Tuzli. Tę właśnie opcję wybrała większość bośniackich żołnierzy, którzy

prowadzili ze sobą cywilów, dzieci i zwierzęta domowe trasą nazwaną potem Drogą Śmierci. Pozostałe dwadzieścia tysięcy dotarło do Potočarów w nadziei na obiecaną „ochronę”. Jednak holenderscy żołnierze przegnali tych, którzy schronili się pod ich skrzydłami, i obserwowali beczynnie, jak Serbowie oddzielają mężczyzn i chłopców od kobiet i dzieci. Profesjonalni żołnierze Sił Ochronnych ONZ (UNPROFOR) stacjonujący w Bośni od trzech lat nie zrobili nic. Siedzieli z założonymi rękami, podczas gdy kobiety, dzieci i starcy jechali w ciężarówkach i autobusach na zachód, ku bośniackiej linii frontu w Kladanju, a chłopców i mężczyzn w wieku od jedenastu do sześćdziesięciu pięciu lat transportowano na miejsca masowych egzekucji. Tymczasem uciekinierzy na Drodze Śmierci padali ofiarą kolejnych ataków i zasadzek; tysiące osób zginęło podczas marszu do Tuzli, wielu innych ostatecznie trafiło do miejsc takich jak Kravica i tam zginęło.

W ciągu następnych dziesięciu lat wychodziły na jaw kolejne fakty dotyczące masakry w Srebrenicy. Najpierw okazało się, że generał Janvier zrezygnował z obrony „stref bezpieczeństwa”, za które odpowiadał. Podczas spotkania z generałem Mladiciem 4 czerwca 1995 roku ustalił, że nie wezwie NATO do przeprowadzenia zmasowanych ataków powietrznych na Serbów. Jak wynika z protokołów spotkania w Splicie, które odbyło się kilka dni później, Janvier uparcie twierdził, że Serbowie „chcą zmienić postępowanie” i „potrzebują międzynarodowego uznania”. Protokoły kolejnego spotkania, które odbyło się w Zagrzebiu podczas kryzysu w Srebrenicy, dowodzą, że Janvier obstawał twardo przy swoim stanowisku – i cieszył się wsparciem swojego cywilnego szefa z ONZ, japońskiego wysłannika Yasushi Akashi. W ten sposób wydano Srebrenicę na rzeź¹⁵.

Serbowie niemal od razu zaczęli wszystkiemu zaprzeczać. Jovan Zametica, urzędujący czasowo w Londynie rzecznik Radovana Karadžicia, odnosząc się do pierwszych raportów o masakrze, powiedział, że „żadne z tych oskarżeń nie ma konkretnych podstaw”. W listopadzie sam Karadžić oświadczył, że w Srebrenicy „nic się nie stało”, a doniesienia o masakrze to „chwyt propagandowy przygotowany na potrzeby negocjacji w Dayton”. Potem w raporcie Biura Rządu Republiki Serbskiej znalazł się rozdział zatytułowany *Rzekoma masakra*, w którym napisano, że zginęło „mniej niż stu” Boszniaków. Według innych serbskich relacji, przedstawianych między innymi przez świadków obrony w Hadze oraz przez rewizjonistyczne „studia” na Zachodzie, Boszniacy albo zginęli w walce, albo walczyli między sobą, albo popełnili masowe samobójstwo, albo w końcu zostali zabici przez najemników z Francji, Bośni i innych krajów, by zdyskredytować Serbów.

W 2003 roku, po orzeczeniu Izby Praw Człowieka (Human Rights Chamber) w Sarajewie, Paddy Ashdown nakazał Republice Serbskiej utworzyć komisję, która zajęłaby się kwestią masakry. Ustalenia komisji powtórzyły jedynie najbezczelniejsze zaprzeczenia. Ashdown był wściekły. Nazwał raport „skandalicznym oskarżeniem” Republiki Serbskiej i nakazał powtórzyć śledztwo. Tym razem, w czerwcu 2004 roku, bośniaccy Serbowie po raz pierwszy i jedyny naprawdę stawili czoła swojej przeszłości i się do niej przyznali. W bezprecedensowym i jak dotąd jedynym tego rodzaju dokumencie komisja stwierdziła, że „między 10 a 19 lipca 1995 roku zlikwidowano kilka tysięcy Boszniaków w sposób stanowiący poważne naruszenie międzynarodowego prawa konfliktów zbrojnych”. Nigdy wcześniej ani później Serbowie nie zdobyli się na podobny gest; co więcej, Milorad Dodik starał się odciąć od raportu, mówiąc w kwietniu 2010 roku: „Bośniaccy Serbowie nigdy nie uznają, że Srebrenica była ludobójstwem”.

Tymczasem wydarzenia w Hadze nabierały tempa. W sierpniu 2001 roku Mark Harmon doprowadził

do skazania oskarżonego o ludobójstwo generała Krsticia, prawej ręki Mladicia. Ten proces był kamieniem milowym w historii haskiego Trybunału, gdyż po raz pierwszy wykorzystano w nim materiał dowodowy w postaci wyników badań z ekshumacji masowych grobów. (Po apelacji kwalifikację czynu zmieniono na „pomoc w ludobójstwie i podjudzanie do niego”, ale sąd apelacyjny „nazywa tę masakrę po imieniu: ludobójstwem”). W maju 2003 roku dwie kolejne sprawy potwierdziły prawdę. Dwaj wysocy rangą bośniaccy Serbowie, również oskarżani przez Harmona – Momir Nikolić, były szef wywiadu w Brygadzie Bratunac, oraz Dragan Obrenović, szef sztabu Brygady Zvornik – przyznali się do udziału w masakrze. Nikolić powiedział, że „od tłumy Muzułmanów oddzielano zdrowych, sprawnych mężczyzn [...], których wkrótce potem zabijano. Miałem pomóc w koordynacji i organizacji tej operacji”.

Wyjątkowość historii Srebrenicy przejawiała się również na inne sposoby. Potočari, scena straszliwej tragedii, stały się jednocześnie pierwszym miejscem w Republice Serbskiej, gdzie – w odróżnieniu od „neutralnej” postawy Mittala w Omarskiej – zbrodnia Serbów została upamiętniona w widomej, fizycznej postaci. Obok byłej holenderskiej bazy znajduje się pomnik poświęcony pamięci zabitych oraz cmentarz, na którym pochowano szczątki odnalezionych i zidentyfikowanych ofiar. Jedno i drugie powstało dzięki inicjatywie cierpiących, lecz nieustępliwych kobiet, Matek Srebrenicy, które straciły tutaj swoich mężczyzn. Kiedy przyjechały do Potočarów po raz pierwszy od czasu masakry, przywitał ich wrogi tłum, serbskie pozdrowienia i plucie. Jednak w 2001 roku dzięki naciskom społeczności międzynarodowej oddano ten teren do ich dyspozycji. W 2003 roku, w obecności tłumów oblegających zbocze góry, odbyły się pierwsze pogrzeby, a we wrześniu tego samego roku do Srebrenicy przyjechał Bill Clinton, by uroczystie otworzyć cmentarz.

Garstka mężczyzn – od ośmiu do piętnastu – ocalało z miejsc masowych egzekucji, do których autobusami i ciężarówkami przewożono skazanych na śmierć. Jednym z nich był Mevludin Orić, który opowiedział mi swoją niesamowitą historię podczas naszego siedmiogodzinnego spotkania w jego skromnym mieszkaniu na przedmieściach Sarajewa. Wydawało się, że w ciągu tych kilku godzin minęły całe wieki. Mevludin, wymizerowany i chudy, relacjonował wydarzenia sprzed lat spokojnie i metodycznie, szczególnie po szczególe.

Kiedy na początku wojny Srebrenica została otoczona przez Serbów, Mevludin przedostał się tam przez wrogie terytorium z Tuzli, bo w mieście została jego żona z małą córeczką. Podczas oblężenia służył w bośniackiej armii, przenosząc amunicję z Tuzli. Gdy Srebrenica padła, Mevludin należał do tych, którzy zdecydowali się na ucieczkę Drogą Śmierci. Jednak na górskim zboczu w pobliżu wioski Konjević Polje zostali otoczeni:

– Nikt z nas nie miał broni, więc trafiliśmy do niewoli.

Najpierw Mevludin pojechał autobusem do Kravicy, gdzie przetrzymywano więźniów w magazynie:

– Wielu mężczyzn było też na zewnątrz, siedzieli ciasno obok siebie, z rękami założonymi za głowę.

Potem jego autobus, do którego dołączyło jeszcze kilka innych, pojechał do Bratunaca, do szkoły imienia Vuka Karadžicia, miejsca masakry Muzułmanów w 1992 roku.

– Słyszeliśmy strzały i krzyki dobiegające ze szkoły. Nie mogliśmy się tam zmieścić. Kazali nam czekać w autobusie, bo nie było już miejsca. Modliłem się, żeby wreszcie nadszedł świt i żebyśmy ruszyli dalej.

Konwój pojechał na północ, przez miasteczko Zvornik, a potem opuścił główną drogę. Pięć autobusów

i sześć ciężarówek pełnych mężczyzn dotarło w końcu do wsi Grbavci, gdzie zapędzono wszystkich do sali gimnastycznej.

– Było strasznie gorąco, ludzie mdleli. Dawali nam wodę, ale biliśmy się o nią, więc się wylewała, niektórzy zlizywali ją z podłogi.

Potem do sali wszedł sam generał Mladić, „roześmiany, w towarzystwie swoich ochroniarzy”, i poinformował mężczyzn, że zostaną przewiezieni do obozu. Wybrano dwóch więźniów, którzy stanęli przy drzwiach i zawiązywali oczy swoim towarzyszom, gdy ci wracali do autobusów i ciężarówek.

– Byłem ze swoim siostrzeńcem, Harisem – opowiadał Mevludin. – Przyłgnęliśmy do siebie, żeby trafić razem do jednego obozu. Wyprowadzili nas na pole i kazali ustawić się w szeregu. Wiedziałem już, na co się zanoszą. Słyszałem, jak odbezpieczają broń. Wziąłem Harisa za rękę. Spytał: „Czy oni nas zabiją?”. Powiedziałem, że nie. Potem zaczęli strzelać. Haris został trafiony. Trzymałem go, gdy uderzył w niego pocisk, obaj upadliśmy. Mnie nic się nie stało: rzuciłem się na ziemię, mój siostrzeniec upadł na mnie, wstrząsnął nim dreszcz, umarł.

Mevludin przeleżał cały dzień na ziemi, twarzą w dół.

– Kiedy skończyli strzelać, poszli po następne grupy. Słyszałem krzyki i błagania, ale oni nadal strzelali. To trwało do wieczora.

W pewnym momencie serbscy żołnierze zaczęli strzelać w głowy zmarłych i rannych mężczyzn, ale Mevludin przeżył i to. Stracił na jakiś czas przytomność.

– Kiedy się ocknąłem, było ciemno, mżyło. Ciało mojego siostrzeńca wciąż na mnie leżało. Nie mogłem ruszyć nogą, ale zdjąłem opaskę z oczu. Widziałem reflektory buldożerów, które kopały groby. Czetnicy byli już zmęczeni i pijani, ale ciągle strzelali w światło reflektorów. Podchodzili do rannych i drwili z nich. Pytali: „Żyjesz?”. Jeśli ktoś potwierdził, strzelali do niego i znów pytali: „Żyjesz?”. Jeśli ktoś znów się odezwał, strzelali ponownie. W końcu wyłączyli światła. Zaczęłem się powoli poruszać. Zsunąłem z siebie zwłoki siostrzeńca. Wstałem i zobaczyłem pole pełne ciał, leżały wszędzie, jak okiem sięgnąć. Zaczęłem płakać. Nie mogłem się powstrzymać. – Choć trudno w to uwierzyć, masakrę przeżył jeszcze jeden człowiek. – Myślałem, że to mi się śni, że mam przywidzenia. Podeszedłem do niego; musiałem deptać po ciałach, bo ziemia była cała pokryta zwłokami. Uściskałem go i ucałowałem. Nazywał się Hurem Suljić.

Mevludin i Suljić dotarli przez las do Tuzli, wielokrotnie unikając pułapek i ocierając się o śmierć. Ich wędrówka trwała jedenaście dni.

W 2005 roku Mevludin, wówczas trzydziestopięcioletek, mieszkał w kwaterach zbudowanych przez holenderski rząd i dzierżawionych przez miejscowe władze w miasteczku Ilijaš pod Sarajewem. Żył z części emerytury swojej matki, z której utrzymywał czwórkę dzieci i swoją żonę Hadżirę, cierpiącą na schizofrenię. Codziennie chodził do urzędu pracy i codziennie słyszał, że nic dla niego nie ma.

– Czas nigdy nie zatrze tych wspomnień – mówił Mevludin. – Pamiętam wszystkie twarze zabitych, które wtedy widziałem. Każdego dnia coraz bardziej chudnę, a wspomnienia stają się coraz gorsze.

W mieszkaniu w Vogošci, podmiejskiej dzielnicy Sarajewa, w otoczeniu innych kobiet ze wschodniej Bośni, mieszka ze swoją matką czterdziestodwuletnia Sabaheta Fejzić. Góry, choć nieco niższe, przypominają jej rodzinne strony, gdzie była menedżerką w kopalni cynku w pobliżu Srebrenicy. Ma głęboko osadzone oczy i pełne smutku spojrzenie. Mąż Sabahety, Saban, wybrał Drogę Śmierci.

– Pomachał mi na pożegnanie; nigdy więcej go nie zobaczyłam. – Jednak jej duszę rozdziera ból

wywołany śmiercią syna, Rijada. – Był moim jedynym dzieckiem, miał tylko siedemnaście lat, dlatego zabrałam go do Potočarów. Miałam nadzieję, że Holendrzy nam pomogą, że będzie tam bezpieczniej niż w lesie. W Potočarach, 13 lipca, ustawili nas w kolumnie i kazali przejść obok Holendrów do miejsca, gdzie czekali na nas czetnicy. Odsyłali mężczyzn na prawo, a kobiety na lewo, do autobusów. Powiedzieli Rijadowi, żeby poszedł na prawo, a ja na lewo, ale ich nie posłuchałam. Trzymałam swojego syna za rękę. Powiedziałam, że pójdę z nim. Próbowali mnie odciągnąć, mówili, że nie mogą. Ja na to, że wszędzie z nim chodzę. Przekonywali, że chcą go tylko przesłuchać. Powiedziałam, że on nic nie wie, żeby pytali mnie! Wtedy stracili cierpliwość i znów próbowali mnie odciągnąć. Siłowaliśmy się ze sobą, ja ciągnęłam Rijada w jedną stronę, oni w drugą. Był przerażony, otworzył szeroko oczy i się rozplakał. Oczywiście w końcu oderwali go ode mnie, a ja upadłam na kolana. – Sabaheta zachowuje kamienną twarz, ale jej oczy zachodzą łzami. – Wciąż widzę syna, jego przerażoną twarz, i twarze czetników, którzy go zabrali. Teraz boję się najbardziej, że nigdy nie odnajdę swojego dziecka. Że nie będzie miał grobu, a ja nigdy się nie dowiem, jak go zabili.

Bez dygnitarzy i tłumów, okryte grubą warstwą śniegu, Potočari sprawiają przygnębiające wrażenie – choć można tu znaleźć cichą ulgę, poczucie kojącego, ostatecznego spoczynku. Wokół ciągną się zielone nagrobki, zostało jeszcze sporo miejsca na kolejne.

– Tu jest taka piękna cisza – mówi Kada Hotić, której męża znaleziono i pochowano, choć jej syn Samir nadal jest uznawany za zaginionego. – Powiedziałam swojemu zmarłemu mężowi: masz tutaj dobrych sąsiadów i dobry dom, o wiele lepszych od tych, którzy wciąż leżą w zbiorowych grobach i czekają, aż ktoś ich znajdzie, jak nasz syn. Poszedł przez las. Zawołałam do niego: „Powodzenia, synu!”. Pomachał mi i nigdy go już nie zobaczyłam. Ale mam nadzieję, że kiedyś odnajdę jego ciało. To będzie straszny cios, ale przeżyję to. Znacznie trudniej jest zastanawiać się każdej nocy, jak umarł: czy go zastrzelono, czy torturowano? Niektórzy umierali w tak straszny sposób, że w porównaniu z nimi rozstrzelani mieli szczęście. Kiedy się dowiedziałam, że męża zastrzelono, poczułam ulgę. Ale muszę się też dowiedzieć, co spotkało mojego syna, Samira. Czas ucieka tak szybko, czuję, że jestem w podróży, której celu mogę nigdy nie osiągnąć.

Jednak podczas gdy te kobiety pozostawały na uchodźstwie w obrębie samej Federacji, rozpoczął się niezwykle ruch: powrót bośniackich Muzułmanów do tej najbardziej chyba im wrogiej części Republiki Serbskiej. Boszniacy zaczęli wracać do Srebrenicy mniej więcej dwa lata później niż do Prijedoru i innych miejsc zbrodni. Aby ten nieprawdopodobny scenariusz mógł się urzeczywistnić, konieczna była osobista interwencja Ashdowna oraz międzynarodowe wsparcie finansowe i nadzór – których nie było w innych regionach. Wszystko zaczęło się w odległej górskiej wiosce Sućeska, powyżej Srebrenicy. Zasypana śniegiem trasa wiodła w górę przez zapierające dech w piersiach górskie krajobrazy i głębokie zasypy, które skutecznie utrudniały marsz. Na miejscu czekał już uśmiechnięty mężczyzna w kapeluszu, który zainicjował ten ruch, Hasib Husejnović. Gdy po upadku Srebrenicy serbskie wojska równały miejscowość z ziemią, Hasib uciekł na pole kukurydzy i przyglądał się wszystkiemu z ukrycia.

– Widziałem, jak palili wioskę, jak weszli do mojego domu i podłożyli ogień.

Żona Hasiba, Tima, wraz z większością innych kobiet ze wsi została przewieziona ciężarówką z Potočarów do Tuzli. Ich syn, Fadil, wybrał Drogę Śmierci. Został schwytany, po raz ostatni widziano go w drodze do magazynu w Kravicy. Hasib zdecydował się uciekać na własną rękę, szedł przez las osiemdziesiąt pięć dni i dotarł do Tuzli w dniu urodzin Timy. W czerwcu 2000 roku wbrew woli swojej

żony wrócił do rodzinnej wioski.

– Kiedy tu przyjechałem, byłem załamany – opowiadał Hasib. – Wszystkie domy zostały zniszczone do samych fundamentów, wieś zarosła zielskiem. Tima nie chciała wracać, ale ja byłem zdeterminowany. Przez kilka pierwszych tygodni mieszkaliśmy w namiotach, potem powoli odbudowaliśmy nasze domy, jeden po drugim. – Jednak radosne ożywienie znika z twarzy Hasiba, a w jego jasnych oczach pojawiają się łzy, gdy mówi, dlaczego tak naprawdę musiał tu wrócić. – Chciałem być tu, gdzie dorastał mój syn. Chciałem czuć z nim więź. Ciągle mam wrażenie, że któregoś dnia zobaczę, jak wychodzi z za wzgórze, że po prostu gdzieś wyjechał i wróci do domu.

Powrót Boszniaków do samej Srebrenicy to przedsięwzięcie trudniejsze i bardziej ryzykowne niż ich powrót do okolicznych wiosek. Siedemdziesięciodwuletnia Sija Mustafić, która straciła w masakrze męża Mehmeda i syna Seada, wprowadziła się ponownie do miasta, ale nocą podpiera drzwi deskami, a przy telefonie trzyma numer miejscowego komisariatu. W 2005 roku minęły trzy lata, odkąd Sija jako jedna z pierwszych kobiet wróciła do miasta. Zdjęcie ślubne i fotografia syna zdobią ścianę jej domu, który odebrała serbskiej rodzinie.

– Srebrenica była wtedy w całości serbska – mówi. – A ludzie, którzy tu mieszkali, nie pozwalali mi obejrzeć mojego własnego domu. Powiedziałam im: „Przecież przed wojną siedzieliśmy tu razem i piliśmy kawę, wiecie, że to mój dom”. Mieszkałam na piętrze przez trzy miesiące i w końcu doczekałam się orzeczenia sądu, które zmusiło ich do opuszczenia domu. Zabrali ze sobą wszystko, nawet kable telefoniczne. Ale sprzedałam naszyjnik, żeby kupić parę rzeczy, trochę naczyń i talerzy. Zrobiłam im to na złość. Nie pozwolę im mieszkać w tym domu. Zbudowali go mój mąż i brat, a ja chcę tutaj umrzeć. – Podczas naszej rozmowy pod oknem przechodzi mężczyzna, który sprawdza liczniki prądu. – Teraz tym się zajmuje, ale w czasie wojny palił domy. Wiem, że oni zabili mi męża i syna. Wiem, że brali w tym udział moi sąsiedzi. Ale nie można powiedzieć, że to właśnie ten człowiek spalił ten dom, a tamten kogoś zabił. Wszyscy byli w to zamieszani. Wiem, kto zabijał; chcieli, żebym pojechała do Hagi, ale moja córka powiedziała, że mogą mnie zamordować, więc nie zeznawałam. Nie rozmawiam z nimi. Gdybym zaczęła płakać, pękłoby mi serce, więc nie płaczę. Remontuję po troszku dom, jem coś, piję kawę.

Chyba najbardziej nieprawdopodobny jest powrót rodziny Risanoviciów do domu, który spłonął na ich oczach w 1992, w Glogovej, gdzie grzebano zmarłych z Kravicy. Ich skromne domostwo, teraz już w całości odbudowane, stoi niecałe sto metrów od masowego grobu. Co więcej, Munira Risanović przypuszcza, że tu pogrzebano szczątki jej brata i męża Hasana, zamordowanych w Kravicy.

– Byliśmy tutaj, gdy rozkopywali groby i ekshumowali zabitych – opowiada. – Tu, na tym polu. Żołnierze pilnowali wszystkiego. To było bardzo dziwne i przerażające. Cały czas myślę, że mój mąż i brat mogą być tutaj, w tym miejscu.

Jej dom spowity jest smutkiem, naszą rozmowę przeplatają długie chwile milczenia. Wnuczka pani Risanović, roczna Alma, cierpi na ciężką chorobę oczu. W wojnie straciło życie aż trzydziestu pięciu członków tej rodziny, a garstka ocalałych wróciła tu w 2001 roku.

– Ale tylko z konieczności – mówi pani Risanović. – Nie mieliśmy dość pieniędzy, żeby zostać w Federacji. Wolałabym być tam, z naszymi rodakami. Ale nie mieliśmy nic. Tutaj ciągle nas obrażają, lecz przynajmniej mamy dwie krowy.

Ojciec Muniry Risanović, Meho, widział, jak przed meczetem w Glogovej zamordowano sześćdziesięciu trzech Muzułmanów, a w 1992 roku, przed ucieczką ze Srebrenicy, na jego oczach spłonął

jego dom. Jest przekonany, że syn zginął w Kravicy i został pogrzebany na pobliskim polu. Dlatego wydaje się, że wszystkie rozmowy krążą wokół śmierci – syn i mąż zabici w magazynie przy drodze, pochowani na sąsiednim polu, rodzina, która mieszka w domu tuż obok ich kości. Ci ludzie dławią się śmiercią przenikającą powietrze wokół nich.

– Nie prosiłem o wojnę – mówi Meho. – Zniszczyła nasze życie, zdziesiątkowała naszą rodzinę. Kiedy rozejrzysz się dokoła, wszyscy Serbowie mówią, że oni nie są niczemu winni. Ale skoro to nie oni, gdzie się podziiali ci, którzy zawinili?

Prócz miejscowości tak znanych, jak Sarajewo i Srebrenica, wiele innych miejsc zostało skalanych zbrodnią: Zvornik, Brčko, Vlasenica, Bijeljina, Višegrad, Foča, Ključ, oczywiście Prijedor – ale kto pamięta o nich i o wielu, wielu innych? Srebrenica jest symbolem, jedynym przypadkiem udowodnionego ludobójstwa w całej powodzi zbrodni, która zalała kraj. Wielu ludzi miało nadzieję, że hańba Srebrenicy przyciągnie uwagę do innych miejsc kaźni, ale wygląda na to, że stało się coś przeciwnego – Srebrenica odwraca od nich zainteresowanie świata. Nie z winy tych, którzy utracili tam najbliższych, a teraz z podziwu godną determinacją starają się uczcić ich pamięć, lecz ze względu na to, jak w naszych kapryśnych i nieuważnych czasach pisze się historię. Lipcowe pogrzeby i uroczystości miały ogromne znaczenie dla krewnych zabitych, ale stały się również szansą dla roniących krokodyle łzy polityków i dygnitarzy, którzy chcieli dzięki temu uznać sprawę Bośni za zamkniętą i zapomnieć o współdziałaniu ich rządów i służb dyplomatycznych w tych potwornościach.

Gdy już wyjechali, Srebrenica, niegdyś piękne miasto wtulone między porośnięte lasami góry, w 2005 roku wciąż wyglądała tak, jak dziesięć lat wcześniej – zniszczona, otwarcie pokazująca światu swe rany. Na murach niemal wszystkich domów widać ślady wojny, jakby nikt nie chciał ich usunąć – otwory po pociskach artyleryjskich i karabinowych, których nie zalepiono nawet cementem. Gmachy takie jak biuro firmy Energoinvest nie zmieniły się od 1995 roku – to nadal wypalone, poskręcane szkielety osmalonego żelaza. Kopalnia cynku, w której niegdyś pracowała Sabaheta Fejzić, w końcu została ponownie otwarta przez pewną rosyjską spółkę, ale obecnie zatrudnia tylko Serbów – uznano, że powracający w te okolice boszniaccy uchodźcy nie nadają się do tej pracy. Jedyny oprócz ratusza budynek w mieście, który został już wyremontowany, ozdobiony jest serbskim krzyżem z czterema cyrylicznymi literami „S”.

Jednym z tych, którzy wrócili do Srebrenicy po masakrze, był Miloš Milovanović. Gdy w 1992 roku w mieście rozpoczęły się walki, Milovanović był dowódcą paramilitarnej jednostki o nazwie Serbska Straż: nie wiadomo, co robił w roku 1995, choć był wtedy oficerem w Brygadzie Bratunac, którą zmobilizowano podczas masakry. W 2005 roku zasiadał w radzie miejskiej jako przedstawiciel partii SDS Karadžicia, był również szefem stowarzyszenia weteranów armii bośniackich Serbów i starał się o przywileje dla tych, którzy „wyzwalali”, jak to określał, Srebrenicę w 1995 roku. Milovanović mówił ze śmiertelną powagą, w lodowatym chłodzie hotelowej kawiarni, otoczony przez kilku swoich „wojowników”, którzy grzali się przy elektrycznym piecyku. Opowiadał o tym, jak w 1993 roku podczas zamieszek obrońcy Srebrenicy zabili około czterdziestu serbskich cywilów, co prawdopodobnie rzeczywiście miało miejsce.

– Masakra to kłamstwo – oświadczył krótko. – To propaganda, która ma oczernić naród serbski. Muzułmanie kłamią. Naciągają. Rozdmuchują wszystko. W Srebrenicy zginęło o wiele więcej Serbów niż Muzułmanów. – Co więcej, jak twierdził: – Cmentarz w Potočarach to oszustwo. Zwożą tu i grzebią

swoich zmarłych z całej Bośni. Mamy na to dowody, mamy dokumenty. I prowadzimy śledztwo w sprawie tego oszustwa. Moi ludzie są bardzo rozgoryczeni tą manipulacją, tymi wszystkimi kłamstwami w sprawie masakry.

Milovanović przywołał jednego ze swoich weteranów, Cvetana Petrovicia.

– Świat nie chce poznać prawdy o 1995 roku – mówił Petrović. – Wszyscy mówią, że to my, Serbowie, zabiliśmy tutaj ludzi. A my jesteśmy bezradni wobec tej propagandy.

Takie właśnie poglądy powtarzano w sobotnie wieczory w barze Venera w Srebrenicy, gdzie faceci o groźnym wyglądzie zbierali się, by coś wypić, pogawędzić i sprawdzić wyniki z angielskich, niemieckich i włoskich lig piłkarskich, wyświetlane na ekranie telewizora. Niełatwo rozmawiało się w tym miejscu o masakrze. Nerma Jelačić i ja zaproponowaliśmy, by ze względu na to, co stało się w 1995 roku, zmienić nazwę miasta.

– Nigdy! – odpowiedział Milan, trzydziestodwuletni barman. – Bo masakry nie było. Haga ciągle o tym mówi, żeby się wylansować. Może coś tam złego się zdarzyło, ale oni robią z igły widły. Muzułmanie wymyślili to kłamstwo, żeby dostać arabskie pieniądze i wyjechać z kraju.

Inny mężczyzna, ubrany w czarną skórzaną kurtkę, nie miał ochoty na dyskusje o historii najnowszej, powiedział więc krótko:

– To jest Serbia!

Tak się złożyło, że elegancki album wydany przez agencję Reuters, przedstawiający pierwsze pięć lat nowego tysiąclecia, zgadzał się z nim w tej kwestii: pod piękną fotografią trumien na miejscu masakry widniał podpis: „Potočari, Serbia”.

Jednak nawet ten znamieny błąd Reutersa nie miałby większego znaczenia w szkole średniej w Srebrenicy. Jej dyrektor, Milan Jovanović, tłumaczył nam:

– Nie uczymy historii tego, co się tutaj wydarzyło. Musi upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim będziemy mogli to zrobić. Bo istnieją różne opinie w tej sprawie. Nie wiemy, co właściwie stało się w 1995 roku, a Haga jeszcze nie skończyła śledztwa. Czekamy, co ustali historia, zanim zaczniemy o tym uczyć. I nie będę rozmawiał o polityce.

Potem oznajmił, że osobiście wolałby raczej porozmawiać o swojej wielkiej pasji, czyli o dziełach Fiodora Dostojewskiego, i dodał szeptem:

– To, co się tutaj zdarzyło, było tak straszne, że nie mówię o tym ani nie myślę, nawet gdy jestem sam w lesie, gdzie nikt mnie nie słyszy.

Zagubiony chłopiec

Niezwykle popularny bośniacki piosenkarz, Dino Merlin, zaczyna śpiewać swoją piosenkę. „Czasami nocą słyszę twoje kroki” – brzmi tekst utworu. Można by pomyśleć, że to oda do wiosny lub dziewczyny, ale w rzeczywistości ballada mówi o pokoju po latach przemocy. Publiczność krzyczy z zachwytem, podnosi bośniacką flagę z sześcioma liliami, niegdyś wojenną chorągiew, a teraz symbol desperacji lub oporu – albo jednego i drugiego. Tańczą: dziadek z sześciolatką, młode, czule objęte pary, chłopcy, którzy siadają sobie na ramionach, ojcowie i matki z małymi dziećmi na rękach. Na twarzach maluje się radość wywołana muzyką. „Ukrywam strach pod uśmiechem” – śpiewa Merlin.

Ale to nie jest Bośnia. Nie, to miejsce bardzo odległe i bardzo różne od tamtej krainy rzek, lasów i górskich wąwozów, gdzie ludzie smakują każdą kroplę życia, lecz ziemia wciąż wyrzuca z siebie kości zmarłych. To Salt Lake City w stanie Utah, forteca mormonów, otoczona ośnieżonymi szczytami i bezkresem pustyni. Rozdźwięk między bośniacką społecznością a tym miejscem i jego mieszkańcami początkowo nieustannie wprowadzał w zdumienie Arnela Begovicia, spawacza z doliny Driny. Popijając colę na koncercie, mówił łamaną angielszczyzną:

– Mormon jest szaleniec. Jest chrześcijanin, ma pięć żona i nie pije. Ja jestem muzułman, ma jedna żona i chce pić!

Skoczna muzyka Merlina nie płynie więc przez powietrze i dusze przesycone oparami śliwowicy, płynie pośród brzęku puszek Dr Pepper w „suchym” Utah, nad Redwood Road, do West Valley Auto Plaza. Dla tych ludzi tęsknota zamknięta w muzyce jest również tęsknotą za domem. Merlin, który wiosną 2007 roku jeździł z koncertami po różnych skupiskach bośniackich uchodźców za granicą, śpiewa: „Gdzie teraz jesteśmy? Od Australii do Ameryki. Gdzie jest ten ptak, co zawsze przynosił nam dobre wieści?”. Ci ludzie rozmawiają między sobą w swoim języku, posyłają sobie słodko-gorzkie uśmiechy wygnańców. Ale chłopcy się dzisiaj postarali, nałożyli żel na włosy i wyprasowali koszule, a dziewczyny wystroiły się tak, jakby do tego najmniej chyba zmysłowego miasta Ameryki przyjechała właśnie Fashion TV.

– Ogromnie się cieszę, że mogę dla nich śpiewać – mówi Dino po koncercie. – Ale zawsze jest ten ból.

Prawdopodobnie czuł to samo, gdy śpiewał w Seattle, a potem w Atlancie. Ale w Salt Lake City towarzyszy im jeszcze inne, wyjątkowe cierpienie. Na całym świecie bośniacka diaspora ciężko pracuje, balansuje na cienkiej granicy między integracją i własną tożsamością, zamyka się w sobie i cierpi w milczeniu albo we własnym kręgu. I właśnie za to wszędzie są szanowani. Jednak w Utah jeden z nich zniszczył to wszystko. Nazywał się Sulejman Talović.

Wczesnym wieczorem 12 lutego 2007 roku w centrum handlowym Trolley Square przy 700 East, 500 South jak zwykle nie działo się nic szczególnego poza tym, że ludzie kupowali walentynkowe karty i prezenty, więc w niektórych sklepach ruch był wyjątkowo ożywiony. Talović, osiemnastolatek z maleńkiej górskiej osady o nazwie Talović we wschodniej Bośni, zaparkował swoją zieloną mazdę

626 i ruszył w stronę centrum. Miał na sobie pas z nabojami i plecak wyładowany amunicją, w rękach niósł strzelbę kalibru 12 i pistolet kalibru 38. Niemal od razu spotkał Jeffreya Walkera, lat 52, któremu towarzyszył nastoletni syn AJ, i otworzył do nich ogień. AJ został trafiony w głowę i kostkę, jego ojciec w plecy – Talović dobił go potem strzałem w głowę. Po drodze do centrum handlowego Talović ponownie otworzył ogień, raniąc trzydziestoczteroletniego Shawna Munnsa. Już we wnętrzu centrum zabił dwudziestodwujęcioletnią Vanesę Quinn, która wychodziła właśnie ze sklepu Bath and Body Works. Potem przeszedł do sklepu Cabin Fever z kartkami i upominkami, gdzie zabił Teresę Ellis, lat 29, Brada Franza, lat 24, i Kirsten Hinckley, lat 15. Matka Hinckley, Carolyn Tuft, została ranna, ale zdołała doczołgać się do swojej córki i towarzyszyć jej w ostatnich chwilach. W sklepie była również pięćdziesięcioletnia Stacy Hanson, która została ranna.

Strzelanina trwała już od trzech minut, gdy Ken Hammond, policjant po służbie, który zamierzał zjeść ze swoją żoną kolację w restauracji Rodizio Brazilian, wyciągnął broń i wdał się w wymianę ognia z Talovićem. Zamachowiec ukrył się w sklepie Pottery Barn, gdy do centrum przybyła duża grupa policjantów, wezwana przez przerażonych klientów, którzy kryli się teraz za ladami i drzwiami lokali. Trzej funkcjonariusze zaszli Talovicia od tyłu i kazali mu rzucić broń, ale zamachowiec obrócił się tylko w miejscu i po krótkiej strzelaninie zginął. „Pierdolcie się!” – krzyknął podobno tuż przed śmiercią. Sześć osób zabitych i cztery ranne w ciągu siedmiu minut, tragedia, która spadła na senne Utah niczym grom z jasnego nieba.

– To była prawdziwa kanonada – wspominał Barrett Dodds, właściciel sklepu z antykami w centrum. – Ten facet wydawał się bardzo spokojny, niemal dumny z siebie.

– Biorąc pod uwagę jego zachowanie w ciągu pierwszych trzech minut, nie ma wątpliwości, że strzelałby dalej – powiedział szef policji w Salt Lake City, Chris Burbank. – Nic nie świadczyło o tym, że zamierza przestać.

Talović nie posługiwał się biegle bronią, ale w chwili śmierci miał przy sobie jeszcze dziewięćdziesiąt naboarów. Sprawą zajęło się FBI, które ustaliło, że zamachowiec zakupił śrutówkę legalnie, w sklepie myśliwskim, kilka tygodni wcześniej. Pistolet był przedmiotem serii nielegalnych transakcji, która miała swój początek poza stanem Utah.

Przez wiele dni Salt Lake City nie mogło otrząsnąć się z szoku i żałoby. Organizowano nocne czuwania przy świecach, bito w dzwony. Niektóre pogrzeby odbyły się na miejscu, pozostałe w innych częściach Ameryki. Przerażone społeczeństwo natychmiast sięgnęło do precedensów, szczególnie do szkolnych masakr w Jonesboro w stanie Arkansas i w Columbine w Colorado (pisałem o tych wydarzeniach, gdy pracowałem w Ameryce). Dopiero gdy wyszło na jaw, że zamachowiec był Bośniakiem, zmienił się ton dyskusji: to mógł być akt terroru zadany przez wojującego islamistę. Pożegnalne „Pierdolcie się!” Talovicia na forach internetowych zamieniło się w „Allah akbar”, sięgnięto do rodzinnej historii zamachowca, przywoływano przeszłość ojca Talovicia w służbie, jak twierdzono, „mudżahedinów” (w rzeczywistości walczył w bośniackiej armii). Burmistrz Rocky Anderson apelował o tolerancję dla pokojowo nastawionej bośniackiej społeczności, a ambasador Bośni w USA, Bisera Turković, przyleciała specjalnie z Waszyngtonu, by powiedzieć, że „Talović nie był z naszego kraju” (mimo że był). Emocje podsycane żałobą po ofiarach podzieliły Amerykanów na tych, którzy współczuli Bośniakom, i tych, którzy odnosili się do nich z niechęcią. Podczas gdy w sieci dominowały gniew i rozgoryczenie, na progu rodzinnego domu Talovicia nieznajomi składali kwiaty. W lokalnej prasie pojawiały się listy

oburzonych czytelników, gdy wyszło na jaw, że Talović dwukrotnie stawał przed sądem dla nieletnich za agresywne zachowanie wobec innych dzieci i kradzież fajerwerków z miejscowego sklepu.

Policja starała się stworzyć „portret psychologiczny” zabójcy i ustalić jego motyw, w końcu jednak z podziwu godną szczerością przyznała się do porażki.

– Coś w nim, w jego doświadczeniach, we wszystkim innym, kazało mu dojść do wniosku, że w taki właśnie sposób poradzi sobie ze swoimi problemami i emocjami – powiedział szef policji, Burbank. – Obawiam się, że nie zdołamy znaleźć jednej konkretnej rzeczy i powiedzieć: to właśnie pchnęło go do tego kroku.

Mogło to być, jak mawia amerykańska policja – „samobójstwo z rąk policjanta”. W oficjalnych komunikatach odrzucono spekulacje blogerów, którzy pisali o fanatyzmie religijnym czy terroryzmie, zdementowano też doniesienia prasy, jakoby Talović chwalił się powiązaniem z gangami. Wśród „prawdopodobnych czynników” wymieniano fakt, że zamachowiec był „samotnikiem” i „próbował dopasować się do nowej kultury”, wspomniano również o jego trudnym „dzieciństwie w rozdartej wojną Bośni” – ale to samo przeżyło wielu innych Bośniaków mieszkających w Salt Lake City. Różniło się to jednak od wydarzeń w Columbine i Jonesboro czy też od późniejszej masakry w Virginia Tech. To było coś zupełnie innego. Świadczy o tym opowieść, która zaczyna się od pełnej konsternacji notatki w policyjnych dokumentach i ukazuje długą drogę Sulejmana Talowicia z odległej wioski Talović do Trolley Square.

Wiosną 1992 roku Serbowie otoczyli trzy słynne „strefy” w Bośni: Goražde, Žepę i Srebrenicę. Istniała jednak jeszcze czwarta, maleńka „strefa” Cerska, w której leżą Talović i w której schroniły się tysiące uchodźców z innych części wschodniej Bośni. W marcu 1993, po roku morderczych bombardowań, Serbowie zajęli Cerską i wypędzili Boszniaków, niszcząc wszystkie budynki. Rodzice Sulejmana – Suljo i jego żona Sabira, wtedy dwudziestoczteroletnia i ciężarna – uciekli ze wsi Talović ze swoim czteroletnim synkiem, szukając schronienia w rzekomo bezpiecznej Srebrenicy. Podróżowali z siostrą Sulja, Ajką Omerović, jej dziewięciomiesięcznym dzieckiem Saferem oraz ojcem Sulja i Ajki, dziadkiem Sulejmana, Nehem Talowiciem. Historia tej podróży zostanie opowiedziana później. Na razie wystarczy wspomnieć, że ucieczka z Cerskiej do Srebrenicy była przeżyciem krwawym i przerażającym. Kiedy już znaleźli się w Srebrenicy, dziadek Sulejmana, Neho, został zabity na oczach rodziny. Sabira Talović urodziła córkę, Medinę, i dlatego pozwolono jej przyłączyć się do konwoju, który opuścił oblężoną enklawę w 1993 roku, a potem dołączył do dziesiątek tysięcy innych uchodźców w Tuzli, podczas gdy ojciec Sulejmana służył w bośniackiej armii. W 1998, gdy po zakończeniu wojny wieś Talović stała się częścią Republiki Serbskiej, rodzina wyjechała najpierw do Chorwacji, a potem dołączyła do ciotki Ajki, która przeniosła się wcześniej do Salt Lake City.

Po strzeleniu rodzice Sulejmana wyprowadzili się ze swojego domu i jakby zapadli się pod ziemię; nie chcieli już rozmawiać z nikim o synu. Wcześniej jednak zaufanie Sulja zdobył jeden przenikliwy i wrażliwy dziennikarz – Joe Bauman z „Deseret Morning News”. Suljo mówił mu o swoim wstydzie i zdumieniu:

– Nie, nie mam nic. Bardzo mi żal wszystkich, którzy zginęli. Przepraszam wszystkich. Bardzo mi przykro. Nie mam już serca. Płacę nad wszystkimi.

Ciotka Talowicia – siostra Sulja, Ajka Omerović – mieszkała na wysokim parterze w skromnym domu w South Salt Lake. Była menedżerem w Delta Center, siedzibie drużyny koszykarskiej Utah Jazz.

– Odpowiadam za jedzenie dla kibiców i drużyn – wyjaśniła. – Organizuję też imprezy firmowe.

Ajka odkryła, że pani Tuft, która doczołgała się do swojej umierającej córki w Trolley Square, również pracuje w Delta Center.

– Poprosiłam kierowniczkę, żeby powiedziała jej, kim jestem, że w tym samym miejscu co ona pracuje ciotka chłopca, który zabił jej córkę, i że chciałabym się z nią spotkać i powiedzieć jej, jak bardzo mi przykro. Odmówiła, a ja się jej wcale nie dziwię. Po tym wszystkim, co przeszliśmy w Bośni, dobrze wiedziałam, co czuje.

Ajka opowiadała o podróży rodziny ze wsi Talovići, ostrzeliwanej niemal od roku przez serbskie wojska, i o ucieczce ze zrujnowanej Cerskiej.

– Gdy próbowaliśmy przedostać się przez las do Srebrenicy, mój brat i jego żona z małym Sulejmanem, dokoła ciągle ginęli ludzie, którzy wpadli w ręce nieprzyjaciela. Serbowie zabijali ich w lesie i w mieście Konjević Polje, przez które przechodziliśmy; zginął tam jeden z sąsiadów z naszej wsi. Gdy w końcu dotarliśmy do Srebrenicy, okazało się, że to prawdziwe piekło, codziennie ostrzał, a w końcu ta masakra. – Ajka była tam, gdy Serbowie oddzielali mężczyzn od kobiet, by później wszystkich ich zabić. – Sulejman był w Srebrenicy tylko przez kilka miesięcy, ale dość długo, by widzieć śmierć swojego dziadka, mojego ojca. Staruszek grał wtedy w karty przy stoliku przed domem. Sulejman miał szczęście. – Wyjaśniła dalej, że francuski generał Philippe Morillon wynegocjował chwilową przerwę w oblężeniu Srebrenicy. – Wywozili stamtąd kobiety, które niedawno urodziły. Sabira miała małą córeczkę, dlatego dołączyli ją do konwoju do Tuzli, na wolność.

Jednak same konwoje, jak opowiadała matka Sulejmana, Sabira, były podobno podróżą przez piekło:

– Serbowie zatrzymywali albo przejmowali niektóre ciężarówki i zabijali lub gwałcili, kogo tylko chcieli.

Ajka powtarzała jedynie zasłyszane historie, ale inni świadkowie z Bośni potwierdzili prawdziwość jej słów.

Ciotka Ajka straciła kontakt ze swoim bratem i bratankiem, ale rodzina spotkała się ponownie w Salt Lake City, gdy Sulejman miał dziewięć lat.

– Był dziwnym chłopcem – wspominała. – W szkole próbował być jak inne dzieci, ale nigdy mu się nie udawało. Tutejsze szkoły są inne niż w Jugosławii. Tutaj nie uczą szacunku ani odpowiedzialności; sam musisz się o siebie zatroszczyć, a Sulejman tego nie umiał.

Jak wynikało z policyjnych raportów, Talović chodził do różnych szkół, nie radził sobie, często wagarował i – zdaniem ciotki Ajki – padał ofiarą przemocy ze strony rówieśników, szczególnie po atakach z 11 września 2001. W listopadzie 2004 roku rodzice zabrali go ze szkoły średniej Horizonte, gdzie podobno grożono mu kiedyś nożem. Jedną z nauczycielek, Virginia Lee, która uczyła Talovicia matematyki i angielskiego, wspominała:

– Chciał być częścią klasy, próbował, ale często podczas zajęć wydawał się nieobecny. Pochłonięty myślami. Udręczony.

Nieco później, już przed strzelaniną, Talović pracował w firmie Aramark produkującej mundury. Jej szef, Trent Thorn, powiedział tylko:

– Był raczej zamknięty w sobie.

– Chciał mieć przyjaciół – opowiadała ciotka Ajka. – Próbował znaleźć sobie przyjaciół, ale chyba nie miał żadnych, nawet jako osiemnastolatek. Denerwował się w towarzystwie. Drżał z niepokoju.

Oglądał filmy, zawsze pełne przemocy. Grał w gry, w których ludzie strzelają do siebie. Oglądał te strzelaniny jak wszystkie tutejsze dzieciaki, choć to ostatnia rzecz, na jaką my, Bośniacy, chcemy patrzeć. Myślę, że Sulejman zrobił to, co zrobił, bo sądził, że zostanie wtedy prawdziwym Amerykaninem, jak w tych grach i filmach. Myślał: będę sławny. Pokażą mnie w telewizji.

Siedzieliśmy przy kawie po bośniacku w ich domu przy przyjemnej ulicy w ubogiej, ale nie nędznej dzielnicy. Radik, mąż Ajki, był mniej wyrozumiały dla Sulejmana.

– Uważałem, że ten chłopak jest po prostu głupi – wtrącił. Podczas walk w Srebrenicy Radik został ranny w nogę, która wciąż mocno mu dokuczała, nie mógł więc znaleźć pracy i pozostawał na utrzymaniu swojej żony, choć wcale mu się to nie podobało. – Miał osiemnaście lat, ale wydawał się opóźniony w rozwoju. Nie rozumiem, jak można zrzucić winę na wojnę. Przeżyłem Srebrenicę, moi trzej bracia zginęli, ale nie chodzę po mieście i nie strzelam do Amerykanów. On miał coś z głową i oglądał za dużo tutejszej telewizji: ciągle tylko strzelaniny i strzelaniny. Myślę, że ta amerykańska obsesja na punkcie broni miała duży wpływ na to, co się stało.

Czy tylko amerykańska obsesja? A może „strzelaniny” w czasie wojny również?

– Pewnie jedno i drugie po trochu – mruknął Radik, spoglądając na pustą ulicę zalaną ostrym blaskiem słońca. – Ale po strzelaninie powiedzieli: „Ojciec Sulejmana walczył dla mudżahedinów, a on zabił, bo prowadził dżihad”. Co za bzdura, cały ten „dżihad”, jak mogą twierdzić, że my mieliśmy z tym coś wspólnego?

– Początkowo nie mogliśmy w to uwierzyć – mówiła ciotka Ajka o ich reakcji, kiedy dowiedzieli się o masakrze w centrum handlowym. – Poprosiliśmy o nagrania z kamer ochrony, chcieliśmy zobaczyć jego ubrania, żeby się upewnić, ale nie pokazali nam ich. Potem trzeba było znaleźć kogoś, kto przechowa jego ciało i przewiezie je do Bośni. Żaden przedsiębiorca pogrzebowy nie chciał zabrać ciała z kostnicy. W końcu udało nam się zorganizować wszystko tak, żeby samolotem przewieźć trumnę do domu. – Oczy kobiety wypełniły się łzami. – Wiem, że był zabójcą, ale mimo wszystko brakuje mi go. Wciąż widzę jego oczy, kiedy był jeszcze małym dzieckiem w Bośni. Część z nas nienawidzi go za to, co zrobił tym biednym ludziom. A także naszej rodzinie i naszym rodakom.

Pierwszy mąż Ajki, Nasir Omerović, po rozwodzie opuścił Salt Lake City i pojechał do pracy w Teksasie. On również uciekł z Cerskiej z resztą rodziny, ale nie chciał rozmawiać o wojnie, z wyjątkiem Srebrenicy.

– Ja też przeszedłem przez to piekło, ale nikogo nie skrzywdziłem.

Był gotowy rozmawiać o Sulejmanie i zgadzał się z drugim mężem Ajki:

– Moim zdaniem on był umyślowo chory, ciągle sprawiał kłopoty, nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Kiedyś powbił w śnieżkę kawałki szkła i rzucił nią w mojego syna, w głowę. Wyobrażał sobie chyba, że może być jednym z tych sławnych amerykańskich dzieciaków, które zabijają mnóstwo ludzi, jak w tej szkole w Colorado, a potem trafiają do telewizji. Na pewno nie myślał o rodzinach zabitych ani o Bośniakach, którzy mają dość zabijania i przyjechali tutaj, żeby zacząć od nowa i żyć w zgodzie z Amerykanami.

Po przyjeździe do Salt Lake City rodzina Taloviciów wynajmowała mieszkanie od Musta Redžovicia, Albańczyka z Czarnogóry, który potem przeniósł się na Florydę. Dobrze pamiętał Sulejmana.

– Dziwny dzieciak, nikomu nie ufał, zawsze się czegoś bał, zawsze był sam. – Redžović pamiętał, jak pewnego dnia pracował na swojej działce. – Chłopak wyzwiał mnie do walki, miał wtedy ledwie

dziewięć lat i trzymał nóż w ręce! Zachowywał się, jakby kogoś bronił, swoją matkę albo kogoś innego, był wystraszony, ale agresywny. Nie rozumiał, że jestem właścicielem ich mieszkania, nie wiedział, co to znaczy. Nie jestem psychiatrą, ale byłem pewien, że potrzebuje pomocy. Szkoda, że nie miałem wtedy dość wiedzy, żeby powiedzieć o tym jego rodzicom. Ale wszyscy jesteśmy mądrzy po szkodzie, prawda? Skąd mogę wiedzieć, czy to była wina wojny, czy czegoś innego? Nigdy się tego nie dowiemy. Mimo wszystko trochę mi go szkoda, ale gdyby wszyscy, którzy przeżyli wojnę, zachowywali się w ten sposób, do czego by nas to doprowadziło?

Odnalazłem też pewną osobę, która znała Talovicia od zupełnie innej strony. Monika – nie chciała ujawniać swojego nazwiska – była bośniacką uchodźczynią mieszkającą w Amarillo w stanie Teksas. Pracowała w restauracji Burger King w czasie, gdy Sulejman Talović nazywał ją swoją dziewczyną. Nigdy się nie spotkali, ale Talović został Monice „przedstawiony” telefonicznie przez jednego z krewnych. Przez ponad dwa tygodnie bezpośrednio przed masakrą w centrum handlowym Talović dzwonił do siedemnastoletniej Moniki i rozmawiał z nią godzinami. Zamierzali się pobrać, choć nigdy się nie widzieli. W czasie, który poświęcał na rozmowy, Talović mógłby dojechać do Teksasu, wydaje się jednak, że bał się spotkać dziewczynę, której wyznał miłość, tak samo jak bał się samego życia.

Monika była oszczędna w słowach; rozmawiała ze mną przez telefon tylko dlatego, że poręczył za mnie Joe Bauman, któremu ufała. Ukryta gdzieś w okolicach Lubbock w Teksasie, opowiadała, że Talović – jak sam jej mówił – miał „jednego lub dwoje przyjaciół”, których poznał w meczecie. Sprawiał wrażenie „szczęśliwego faceta”, który „nigdy nie mówił o broni”.

– Opowiadał, że widział straszne rzeczy na wojnie, ciała leżące wokół dołów w ziemi, widział, jak żołnierz zastrzelił kobietę i jej dziecko, strzelił jej w głowę, a potem do dziecka, kiedy szli przez las. – Stało się to zapewne podczas podróży z Cerskiej do Srebrenicy albo ze Srebrenicy do Tuzli. – Opowiadał, jak szli przez las i nie mieli niczego do jedzenia, szukali grzybów. – Powiedział jej, że stracił na wojnie brata (co było nieprawdą) i małą siostrzyczkę (co było prawdą). Monika dodaje jednak: – Mówił, że właśnie dlatego cieszy się, że jest w Ameryce, bo tutaj jest inaczej.

Monika wyznała mi, że sama straciła w wojnie czterech wujów.

Wieczorem 11 lutego Talović powiedział jej:

– „Jutro będzie szczęśliwy dzień”. Martwiłam się trochę, że może będzie miał dziecko z inną dziewczyną. Tak sobie pomyślałam.

Kiedy spytała go, co się stanie, odpowiedział: „To będzie dotyczyło wszystkich prócz ciebie”. I dodał: „Ty też powinnaś być jutro zadowolona”. 13 lutego, gdy jej narzeczony nie odzywał się drugi dzień z rzędu, zadzwoniła na jego komórkę. Odebrał agent FBI.

Jak zauważył pan Begović podczas koncertu Merlina, w Salt Lake City alkohol można legalnie kupować i sprzedawać jedynie w prywatnych klubach – co z pewnością nie budzi entuzjazmu wśród zdecydowanej większości Bośniaków, nie licząc może tych najpobożniejszych. Dlatego też przy State Street otwarto wkrótce Cafe Boss – tylko dla członków – gdzie, jak to często bywa w Ameryce, po przekroczeniu progu gość przenosi się w jakiś odległy od Stanów Zjednoczonych zakątek świata. Za drzwiami tego przybytku rozbrzmiewała bośniacka muzyka i bośniacki język. Przy barze siedział mężczyzna o imieniu Sefer, były więzień obozu koncentracyjnego w Keratermie. Ojciec innego klienta przeżył Omarską, a matka znała Milana Kovačevicia, zarządcę obozu. Za barem stał kierownik lokalu, Dženan Kasumović z miejscowości Prozor w centralnej Bośni, pierwszego miasta, które zostało oczyszczone z Boszniaków –

dokonali tego w ciągu jednej nocy bośniaccy Chorwaci.

Dženan oraz organizator imprez towarzyskich dla Bośniaków w Salt Lake City, Janet Komić, rozmyślali głośno przy zeljanicy (cieście ze szpinakiem) o następstwach masakry w Trolley Square.

– Potem musieliśmy ukrywać, że jesteśmy Bośniakami – mówił Janet. – Udawaliśmy, że jesteśmy z Chorwacji albo z Niemiec. Trochę ze wstydu, a trochę z obawy przed reakcją. Jestem tutaj od dziesięciu lat, ale gdy ktoś mnie pyta, skąd pochodzę, nie mogę już odpowiedzieć, że z Bośni. Nie mówię tu o wszystkich – niektórzy Amerykanie, normalni ludzie, byli bardzo wyrozumiali. Ale inni, w internecie, w miejscowej telewizji... To było straszne.

– Przygotowaliśmy specjalne ulotki – dodał Dženan. – Pisaliśmy w nich, że nie mamy nic wspólnego z islamskim fundamentalizmem. Próbowaliśmy wyjaśnić, że bośniacka armia nie miała związku z islamem, że broniła tylko naszych miast i wsi. Niewielu przyjmowało to tłumaczenie, uważali, że ten szalony Talović był dowodem na to, że było inaczej.

Tragedia dotknęła szczególnie boleśnie tych członków bośniackiej społeczności, którzy kochali Amerykę. Mirsad Sabić umówił się ze mną w pobliżu domu, który remontował. Wciąż się spieszył, bo „czas to pieniądz, kolego”. Nosił ogrodniczki i jeździł pick-upem. Spotkaliśmy się przy parkingu na przedmieściach przy autostradzie międzystanowej numer 15, a Mirsad podczas rozmowy pochłonął zestaw siódmy w restauracji sieci Arby's: burgera, frytki i napój.

– Ameryka to wspaniały kraj, kolego, uwielbiam ją – mówił. – Wiele bym dał, żeby historia z tym dzieciakiem nigdy się nie wydarzyła.

W logo jego firmy malarskiej i remontowej znajduje się bośniacka lilia, a nasza rozmowa zaczęła się od wspomnień z jednego z najbardziej przerażających miejsc, jakie odwiedziłem w czasie wojny, rodzinnej miejscowości Mirsada, Bosanskiej Krupy w pobliżu Prijedoru.

– Staram się zapomnieć o tamtych dniach – powiedział Mirsad – ale ciągle mam to poczucie... – W tym momencie zmienił temat, wracając do teraźniejszości i wgryzając się w burgera. – Po prostu pracuję – wyjaśnił krótko – dla siebie, dla żony i dzieci. Świetnie radzą sobie w szkole, lepiej niż Amerykanie, a interesy idą dobrze. Do końca życia będę malarzem, mój syn zaś zostanie prawnikiem. Miałem w Bośni piękne życie, ale zostało zniszczone, teraz boję się o nim myśleć, więc nie myślę. Tu też dobrze mi się żyje. Nie mam nic wspólnego z tym dzieciakiem, Talovićem. Nigdy go nie spotkałem i cieszę się z tego. Ameryka mnie przygarnęła, a jeśli wchodzisz do czyjegoś domu, musisz przestrzegać jego zasad, a nie strzelać do ludzi.

– Oto, co nas spotkało – podsumowała ciotka Talovicia, Ajka. – Najpierw przeszliśmy przez piekło w Bośni i przyjechaliśmy tutaj jako uchodźcy. Ale przechodziliśmy przez ten koszmar z dumą. Teraz, po Sulejmanie, znów przechodzimy przez piekło, ale tym razem robimy to ze wstydem, jako społeczność i jako jego rodzina. To wstyd, tak samo jak utrata syna, zniszczył rodziców Sulejmana, jego rodzinę, reputację tutejszych Bośniaków. – Westchnęła głęboko, przygotowując się do wyjścia do pracy. – Wydaje się, że minęło tyle czasu, odkąd mieszkaliśmy w Talovićach. To było tak dawno i tak daleko...

Trudno dostrzec drogowskaz do wsi Talović przy głównej drodze, która niczym kręgosłup przecina Republikę Serbską, biegnąc w stronę miejscowości Han Pijesak, gdzie generał Mladić umieścił swoją kwaterę główną. W 1992 roku Serbowie planowali oczyścić ten region z Muzułmanów stanowiących większość tutejszej ludności, jednak wielu z wypędzonych powróciło, by odbudować swoje domy – niektórzy robią to tylko dlatego, że nie mają się gdzie podziać. Podobnie jak w przypadku nieodległej

Srebrenicy powrót tu jest ryzykowny, towarzyszy mu większa niepewność niż w Kozaracu, a obok niepewności również głęboka uraza.

Drogowskaz do wioski Talovići pojawia się przy bocznej drodze prowadzącej do miasteczka Cerska, wskazuje na wąską, wysypaną żwirem szosę, która jakieś trzy kilometry dalej dociera do rodzinnej wioski Sulejmana Talovicia. Większość budynków to teraz tylko zgliszcza, na których wyrosły gęste krzaki, nawet drzewa. Jednak sześć domów zostało odbudowanych, a gdy w wiosce pojawia się obcy samochód, wychodzą z nich ludzie. Jako pierwsi przy drodze pojawiają się Enes Talović, kuzyn Sulejmana, oraz jego żona Admira, matka Sehrija i ciotka Zemina Talović. Witają nas zdumieni, a potem zapraszają na kawę.

Dwudziestosześcioletni Enes, energiczny mężczyzna o bystrych niebieskich oczach, opowiedział o początkach wojny:

– W wiosce mieszkało szesnaście rodzin, około stu dwudziestu osób. – Pamiętał, że przez część roku mężczyźni pracowali na budowach poza wioską, jak ojciec Sulejmana, Suljo, by zdobyć pieniądze dla społeczności, która poza tym żyła z rolnictwa albo pracowała w pobliskim miasteczku Cerska.

– Ja miałem wtedy jedenaście lat, Sulejman tylko cztery, był jeszcze małym dzieckiem. Oczywiście, że go pamiętam, jak każdego innego dzieciaka z naszej wioski.

– Byliśmy biedni, ale nie nieszczęśliwi – powiedziała jego matka, Sehrija. – Życie było proste, ale na swój sposób doskonałe. Mieliśmy swoje owce i krowy, sprzedawaliśmy plony, a mężczyźni przywozili pieniądze z zagranicy. Przez wiele pokoleń to się nie zmieniało i nie sądziliśmy, że kiedyś się zmieni.

W kwietniu 1992 roku rozpoczął się serbski ostrzał. Trwał prawie przez rok.

– Mówią, że codziennie na naszą wieś i na Cerską spadało około tysiąca pocisków – opowiadał Enes. – Noc stała się dniem, a dzień nocą. Całymi dniami siedzieliśmy w schronach, nocą zbieraliśmy owoce z drzew, zanosiliśmy rannych do Cerskiej i grzebaliśmy zmarłych. Nigdzie w okolicy nie było szpitala – kontynuował. – W Cerskiej pracował tylko ratownik medyczny, teraz jest w Ameryce. Jeśli ktoś został ranny, miał małe szanse na przeżycie, ale niektórzy trafiali do niego, a on robił, co mógł. Zamiast bandaży używał kawałków prześcieradeł, a amputacje robił piłą, bez znieczulenia. Nie mogliśmy grzebać zmarłych za dnia, bo wtedy do nas strzelali. Więc chowaliśmy ich nocą, zwykle pod drzewami, dlatego kiedy wróciliśmy tutaj w 2001 roku, wiedzieliśmy, gdzie kto leży, i przenieśliśmy wszystkich na cmentarz.

– Pamiętam okropny wypadek w tamtym domu; Mina Sakić siedziała przed wejściem – wspominała ciotka Zemina Talović. – W środku było pełno ludzi, kiedy w budynek uderzył pocisk. Wszyscy zostali ranni, nawet małe dziecko Miny, Admir, a Mina zginęła, urwało jej ramię. Pochowaliśmy ją w lesie, a dopiero potem znaleźliśmy jej rękę.

Resztki ścian zniszczonego domu poznaczone były dziurami po pociskach artyleryjskich i karabinowych.

W innym odbudowanym domu, należącym do Sevka Talovicia, gospodarz i jego żona poczęstowali nas dżemem i jogurtem. Oboje dobrze wspominali Sulejmana i jego rodziców.

– Suljo ciężko pracował, a Sulejman był jak laleczka – mówiła Mina. Ich synowie, trzydziestoletni Mujo i dwudziestopięcioletni Vahidin, wspominali wydarzenia rok przed upadkiem Cerskiej.

– Pierwszą ofiarą był mój wujek – opowiadał Mujo. – Był prawdziwym wojownikiem, przedstawiono go do odznaczenia Złotą Lilią, najwyższym orderem wojskowym. Drugą ofiarą był mój koń, Vranac,

zabity pociskiem artyleryjskim. – Mujo był uprzejmy i łagodny, wspominając, patrzył w zamyśleniu w dal. – Pamiętam te amputacje piłą, jako znieczulenie podawano łyk rakii, kobietom, dzieciom, wszystkim.

– Tak – potwierdził Ibrahim Talović, inny kuzyn, który dołączył do nas później. – Nieśliśmy drogą rannych na deskach albo drabinach, nocą, oczywiście.

– Nie mieliśmy żadnych lekarstw – dodał Mujo – a malutka siostra Sulejmana Talovicia umarła. – Nagle przypomniał sobie o Salt Lake City. – Nie dlatego, że została ranna; po prostu zachorowała, a nie było lekarstw.

– Kiedy czetnicy weszli na górę – mówił Sevko – wiedzieliśmy, że jeśli zejda tutaj, będzie masakra, jak dwa lata później w Srebrenicy. Mieli nas jak na talerzu.

– Pojawili się na tym grzbiecie – opowiadała Sehrija, matka Enesa – i krzyczeli przez megafony: „Balije! Idziemy zabić waszych mężczyzn i zgwałcić wasze kobiety!”. Krzyczeli i palili sukienki, które zabrali z poprzedniej wioski.

Spoglądałam na górski grzbiet, okryty teraz łagodnym blaskiem słońca i cieniami pierzastych chmur.

– Kiedy ich zobaczyliśmy, sołtys naszej wioski, Osman Talović, powiedział, że musimy pożegnać się z domami i próbować przedostać się do Srebrenicy. Z wioski wyszło trzysta osób, dwieście nigdy nie dotarło na miejsce.

Enes, wówczas jedenastoletni, przyłączył się do tej przerażającej przeprawy (brał w niej udział również Sulejman Talović).

– Szliśmy z naszymi zwierzętami przez Konjević Polje, gdzie zaatakowali nas czetnicy, wielu z nas zginęło – wspominał. – Zostaliśmy tam piętnaście dni, potem znów ruszyliśmy przez lasy. Byłem tak zmęczony, że trzymałem się krowiego ogona, żeby nie upaść. – Sulejman i jego matka także byli w tym konwoju: – Ale nie pamiętam, żebym ich widział. Byłem zbyt przejęty śmiercią swojego ojca, który zginął w lesie. Wielu innych wpadło w ręce Serbów i nigdy nie dotarło do Srebrenicy.

W 2001 roku niektórzy członkowie rodziny Taloviciów zaczęli wracać do wioski, podczas gdy rodzice Sulejmana urządzali się w Utah.

– Droga zarosła – wspominał Enes. – Wszystkie domy były spalone. Wśród gruzów rosły drzewa, jak tu na wzgórzu, gdzie nikt nie wróci, bo wszyscy zginęli. To dziwne, w ogóle nie śpiewały tu ptaki, jakby wiedziały, że nie powinny się zbliżać do tego miejsca. Spaliśmy na zewnątrz i odbudowywaliśmy nasze domy, kamień po kamieniu. – Dwuletni synek Enesa, Ernes, wspinał się na kolana ojca. – Nie wiem, czy on tu zostanie. Trudno powiedzieć, po co miałby zostać.

A co z pytaniem, które wciąż pozostawało bez odpowiedzi? Co z kuzynem Sulejmanem i Utah?

– Nie wierzyliśmy w to, dopóki nie przywieźli trumny – powiedział Mujo Talović. – Kiedy dowiedzieliśmy się z wiadomości, że to Bośniak, było nam okropnie wstyd. Ale źle zapisali jego nazwisko, więc nie przypuszczaliśmy, że chodziło o Sulejmana. Nawet gdy powiedzieli nam już, skąd go przywiozą, wydawało nam się, że to nie może być prawda, dopóki nie zobaczyliśmy trumny.

Czy to możliwe, że winna była temu wojna? Odpowiedź brzmiała tak samo, jak dziesięć tysięcy kilometrów stąd.

– Skąd mogę wiedzieć? Pomyśl tylko, co nas wszystkich spotkało, i zobacz, kim jesteśmy: nikogo nie zabijamy. Sulejman powinien być tutaj, powinien grać z nami w piłkę.

Latem w wolne wieczory kuzyni Talović chodzili do Cerskiej grać w piłkę na asfaltowym boisku

w cieniu spalonej szkolnej sali gimnastycznej.

– Nazywamy je Highbury, a teraz, gdy wyburzyli to w Londynie, to jedyne takie boisko na świecie – żartował Enes. Na piłkę przychodzili też inni chłopcy i młodzi mężczyźni z miasteczka, między innymi przystojny młodzieniec w koszulce klubu FK Sarajewo. Okazało się, że to miejscowy imam, Ismar Ibrić, jeden z trzech duchownych, którzy grzebali Sulejmana Talovicia, gdy przywieziono tu jego ciało. Grał dobrze, a potem zgodził się ze mną porozmawiać.

– Moja posługa – mówił – obejmuje grzebanie chorych i starych. Ale nigdy nie sądziłem, że będę odprawiał pogrzeb i modlił się o wybaczenie dla chłopca w tym wieku, który zrobi coś podobnego tak daleko stąd. Nikt nie mógł w to uwierzyć. Że to Bośniak, w dodatku chłopiec stąd, którego znaleźliśmy jako dziecko, syn tak dobrze nam znanych rodziców.

Potem Ismar wrócił do gry.

Kiedy krewni z rodziny Taloviciów mówili, że teraz w rodzinnej wsi „nic” dla nich nie ma, to oznaczało to dosłownie nic. W tętniącym życiem serbskim mieście Milići, położonym przy głównej drodze, otwarto kopalnię boksytu.

– Ale nie chcą zatrudniać tam Muzułmanów – mówił Enes.

– Trzymamy się jakoś tutaj – dorzucił Mujo. – Ale to nie jest prawdziwe życie.

Opowiedział, jak kuzyni znaleźli niedawno stary traktor, rozebrali go na części i zawieźli do skupu złomu w Sarajewie. Sevko zbierał w lesie grzyby na sprzedaż. Mieli kilka owiec i krów, sprzedawali mleko i ser, jeśli tylko znaleźli kupców – i na tym koniec.

– To wstyd – stwierdził Mujo. Żyją tu zdrowi dwudziestokilkuletni mężczyźni o silnych ciałach. – Ale oczywiście nie ma tu żadnych dziewczyn. A jeśli jakieś przychodzą, to należą do rodziny, więc co możemy zrobić?

Podobnie jak wielu ich rodaków, tutejsi gospodarze nie chcą przyjąć pieniędzy za jedzenie i gościnę. Jednak w ciągu ostatnich kilku dni rozmawialiśmy sporo o piłce nożnej, spytałem więc mimochodem, czy ktoś nie wybiera się w przyszły weekend na mecz kwalifikacyjny do Euro 2008 między Bośnią a Turcją. Głupie pytanie – żadnego z nich nie stać przecież na bilet. Pojawiła się więc szansa, by odwdzięczyć się swoim gospodarzom w inny sposób. Tak oto w sobotę wieczorem czterej kuzyni zabójcy z Trolley Square, Nerma Jelačić i ja wybraliśmy się razem na mecz. Popijaliśmy kawę w zabytkowym centrum Sarajewa, gdy miasto przygotowywało się do wieczornego święta. Dokoła przechadzały się dziewczyny w butach na wysokich obcasach, a chłopcy z wioski Talovići wpatrywali się w nie szeroko otwartymi oczami.

– W Sarajewie mają karnawał każdego dnia – powiedział Mujo. – W Cerskiej mamy jeden taki dzień w roku. I u nas nie ma dziewczyn.

Mijając dziewczęta w sukienkach bez pleców i wojenne cmentarze, przeszliśmy na stadion. Chłopcy rozwinęli transparent z napisem „Cerska” i przymocowali go do balustrady, obok innych flag z całej Bośni, z miejsc o podobnej historii. Wynik otworzyli Turcy, ale Bośnia wyrównała. Potem Turcja znów wyszła na prowadzenie, jednak tuż przed końcem pierwszej połowy debutant w drużynie Bośni, niejaki Edin Džeko, strzelił pięknego gola na wyrównanie, przyjmując najpierw długie dośrodkowanie, a potem pakując piłkę prawą nogą tuż pod poprzeczkę tureckiej bramki. Gdy zdyscyplinowana drużyna turecka myślała już o końcu meczu, Bośniacy zamienili rzut rożny w zwycięskiego, trzeciego gola. Zapłonęły race, tłum eksplodował radością, kuzyni Talović, rozebrani do pasa, ściskali się i tańczyli w tej oazie

radości – nim na powrót zniknęli wśród wzgórz.

W Taloviciach wspięliśmy się po stromej ścieżce na cmentarz nad wioską, otoczony nowym zielonym płótem ze zdobieniami w kształcie srebrnych lilii. Enes zerwał z drzewa garść czereśni i poczęstował nimi wszystkich.

– Widzisz, jak jadamy? – spytał półzartem.

Stanęliśmy przy długim grobie człowieka, który na początku dziewiętnastego wieku założył wioskę.

– To musiał być wysoki, potężny mężczyzna – powiedział Mujo.

W rogu cmentarza leżał kopczyk świeżo usypanej ziemi i nagrobek z pomalowanego na zielono drewna, zwieńczony gwiazdą i półksiężycem. Poniżej widniał napis: „Talović Sulejman, 1988–2007”.

Jakaś kobieta zbierała ziemniaki na polu obok cmentarza. Nieco dalej, w zarośniętym ogrodzie kolejnego spalonego domu, pyszniły się stokrotki. Między nagrobkami rosły poziomki, były smaczne. Stąd do Salt Lake City i z powrotem, w trumnie – tak wyglądała podróż Sulejmana Talovicia. W innym świecie zgasło kolejne życie, a wraz z nim życie pięciorga Amerykanów, którzy znaleźli się tamtego dnia w centrum handlowym, dziesięć tysięcy kilometrów stąd.

Ludobójstwo: Kadra kierownicza najwyższego szczebla

Haga 2002

Slobodan Milošević nie przywykł, by ktoś stawiał ograniczenia czasowe jego wywodom i tyradom. Ogłosił z ławy oskarżonych w Hadze, że będzie potrzebował dziesięciu dni, by opisać wszystkie zbrodnie Zachodu wobec narodu serbskiego. Jednak po dwóch dniach jednostajnego monologu człowiek oskarżony o to, że stał za masowymi zabójstwami w Chorwacji w 1991 roku, w Bośni w latach od 1992 do 1995 i w Kosowie w 1998 i 1999 roku, został poinformowany, że musi podsumować i zakończyć swoje wystąpienie do lunchu następnego dnia.

Po kilkunastu latach na stanowisku prezydenta Serbii, a potem Jugosławii, w 2000 roku Milošević został obalony w wyniku nieprzekonującego pastiszu rewolucji, które wstrząsnęły Europą Wschodnią w 1989 roku – spóźnionej „belgradzkiej wiosny”. Milošević musiał ustąpić nie z powodu tego, co robił w Chorwacji, Bośni i Kosowie, lecz ze względu na fatalny stan serbskiej gospodarki. Został aresztowany przez nowych reformatorów i w styczniu 2001 roku przekazany do Hagi.

Milošević spędził w swoim luksusowym więzieniu kilka miesięcy, grając w gry planszowe, słuchając Franka Sinatry i czytając Hemingwaya, był więc spragniony publiczności. W swoim wystąpieniu były prezydent wykorzystał wszystkie chwytły z bogatego repertuaru. Pławił się w rzekomym męczeństwie – „ukrzyżowany”, jak twierdził, przez prokuratorów. Pozwalał sobie na przebłycki humoru i na gwałtowne wybuchy gniewu, ściągał twarz w gadzim grymasie, wygłaszał oskarżenia, wymachiwał groźnie palcem albo okularami, podkreślając wagę swych słów.

Teraz była to już sprawa osobista: mroczne spojrzenie Miloševicia nie odrywało się ani na chwilę od jego nemezis, prokurator Carli Del Ponte, w której znalazł godnego siebie przeciwnika (i vice versa). O ile poprzednie przemówienia Miloševicia były długimi, dręczącymi symfoniami, tym razem zaczęło się od moderato, od stwierdzenia, że sąd „oskarżył Serbię [...], ludzi, naród”, a nie tylko jego – co oznaczało, że Milošević i naród to jedno. Potem nastąpiło largo, długie i drastyczne, które poniosło mówcę, uwiodło go coraz krwawszymi opisami zmasakrowanych zwłok – ofiar, jak twierdził, bombardowań NATO w Kosowie. Krótkie scherzo miało postać sardonicznego żartu: „Pani prokurator jest chyba znudzona. Widzę, jak ziewa”. I wreszcie druzgocące, zjadliwe finale: paranoiczna, dzika, niewiarygodna wizja Serbów jako ofiar nowego *Ostplan* wskrzeszonego przez Niemcy, „które muszą zawładnąć Serbią, by spełnić swe ambicje i sięgnąć dalej na wschód”, i wspieranego przez amerykański głód światowej dominacji. Krótko mówiąc, powstał międzynarodowy spisek, który „wymagał ludobójstwa na Serbach”.

Milošević miał pod ręką plik notatek, ale rzadko do nich sięgał, doprawiając kolejne dramatyczne opisy szczyptą melodramatycznych komentarzy. Wyraz jego twarzy zmieniał się od urażonej niewinności – Kto, ja? – do gniewnej agresji, która zaciskała mu usta i zwiężała nieprzeniknione oczy.

Gdzieś w tych pokrętnych wywodach krył się zarys jego linii obrony. Stanowczo zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek istniał „plan stworzenia tak zwanej Wielkiej Serbii”. Jednoznacznie oddzielił „armię

„i policję jugosłowiańską”, które „broniły swojego kraju w rycerski i honorowy sposób”, od nikczemnych „oddziałów paramilitarnych” niepodlegających jego dowództwu, które „paliły, rabowały i zabijały” – z czego wynikało, że te ostatnie przeznaczył na kozły ofiarne, winne, jak to nazywał, „tragedii”.

Milošević skupił się na dwóch centralnych punktach oskarżenia, twierdząc, że oba są mistyfikacją. Pierwszym z nich, jak można było przewidzieć, była nasza „sfabrykowana” wizyta w obozach, a były prezydent powtórzył wszystkie oklepane argumenty – Deichmann, Living Marxism i tak dalej – choć tym razem korzystał ze wsparcia ze strony sławnego dramaturga Harolda Pintera, który powołał nawet do życia Międzynarodowy Komitet Obrony Slobodana Miloševicia. Drugim punktem poddanym przez oskarżonego podobnej krytyce było wydarzenie równie często kwestionowane przez rewizjonistów: masakra kosowskich Albańczyków w wiosce Račak w 1999 roku. Początkowo twierdzono – podobnie jak w przypadku Trnopolja – że Račak to wymysł francuskich dziennikarzy poinstruowanych odpowiednio przez francuskie służby specjalne. I tutaj pojawiły się różne teorie dotyczące rzekomego fałszerstwa, powtarzane z powagą przez Miloševicia: że ofiarami byli albańscy bojownicy albo że ciała zwieziono z różnych stron kraju. Niezależne śledztwo potwierdziło jednak, że masakra była w istocie tak przerażająca, jak się tego obawiano.

Rzadko spotyka się ludzi takich jak Milošević, a obserwowanie kogoś takiego z odległości zaledwie kilku metrów to niepokojące doświadczenie. Nieuchronnie nasuwa się wtedy pytanie: Czy on wierzy w to, co mówi? Hitler podobno wierzył, a Goebbels podobno nie. Czy Milošević naprawdę uważał, że bronił w Bośni społeczności, „między którymi nigdy nie dochodziło do sporów etnicznych [...] i właśnie dlatego musiały zostać zniszczone” przez „piromanów” z Niemiec i Ameryki, podpalaczy spokojnego dotąd kraju?

Często jest tak, że gdy ludzie pokroju Miloševicia patrzą w lustro, widzą tam swojego wroga. Były prezydent Serbii opisał siebie i swój naród dokładnie takim samym językiem, jakim sformułowano oskarżenia w jego sprawie. Sprawca staje się ofiarą i vice versa. Tuż przed finalną mową, w której przedstawił światową konspirację i jej mordercze zamiary wobec Serbów, Milošević oświadczył:

– Wszystko, co dzieje się w tej sali, to odwrócenie argumentów. [...] Stawiacie sprawę na głowie, a szczegóły przesłaniają wam istotę rzeczy.

Nikt chyba nie mógłby lepiej podsumować dwóch dni pełnego samozachwytu monologu oskarżonego.

Milošević zmarł w areszcie w 2006 roku, pozbawiając sąd szansy na wydanie wyroku. Pozostając wierną serbskiej skłonności do dramatyzmu, żona Miloševicia porównała jego luksusową celę w obozie w Scheveningen do „komory gazowej”, a sam były prezydent próbował przed śmiercią wycofać się z wcześniejszych zeznań, twierdząc, że wymuszono je na nim torturami. Nieuniknione w tej sytuacji zarzuty, że Milošević został zamordowany przez Trybunał, przycichły nieco, gdy sekcja zwłok wykazała, iż śmierć nastąpiła w wyniku zawału serca. Milošević odszedł, ale Radovan Karadžić i jego generał, Ratko Mladić, pozostawali na wolności. Wydawało się, że Zachód na razie zrezygnował ze ścigania Mladicia, ale poszukiwania Karadžicia zamieniły się w przedziwną zabawę w kotka i myszkę, do której dołączyłem i ja wraz z Nermą Jelačić z Višegrada.

Wiosna 2008; gęsta poranna mgła uniosła się nad ziemię, odsłaniając rozległe łąki nad nadrzecznym miastem Foča we wschodniej Bośni, odległe górskie grzbiety i wioski otoczone stogami siana. Jednak poranne słońce nie wskazało nam miejsca pobytu człowieka, który podobno ukrywał się gdzieś w tej okolicy, pełnej zamkniętych drzwi, niezliczonych skalistych ścieżek i ludzi tak nieczułych, jak

bezgraniczny jest tutaj horyzont. Radovan Karadžić już od dwunastu lat wymykał się pościgowi prowadzonemu rzekomo przez najlepsze agencje wywiadowcze i najlepszych żołnierzy, jakich mógł zatrudnić do tego zadania Zachód. Był on – podobnie jak generał Ratko Mladić – oskarżony o ludobójstwo i całą krwawą litanię zbrodni wojennych popełnionych na niewinnych cywilach podczas nawałnicy mordów, masakr, masowych gwałtów, obozów koncentracyjnych i czystek etnicznych.

Według licznych raportów wywiadu właśnie w tym surowym kraju – pięknym, ale pod każdym względem niegościnnym – już od dłuższego czasu ukrywał się Karadžić, wędrując od domu do domu, od klasztoru do klasztoru, klucząc po labiryncie dróg i ścieżek, wspomagany przez całą sieć zwolenników i wielbicieli, którzy prowadzili go przez zbocza okryte lasem i milczeniem jego popleczników. Droga z Fočy pięła się między górami na południowy wschód, w stronę granicy Bośni z rodzinnym krajem Karadžicia, Czarnogórą, by w końcu dotrzeć do wioski Čelebići. W tym miejscu, które wydawało się szczytem świata, choć zasłoniętym przed jego oczami, 1 marca 2002 roku, gdy nad wioskę nadleciały wojskowe helikoptery, ukrywał się ponoć Karadžić. Z maszyn wyskoczyli odziani na czarno amerykańscy i niemieccy komandosi; otwierali kopniakami drzwi budynków, przeszukując wszystkie domy, stodoły i stajnie, a nawet chlewiki. Żołnierze znaleźli masę broni i amunicji, ale ani śladu Radovana Karadžicia. Okazało się później, że był wówczas dwa kilometry dalej.

Kiedy wjechaliśmy do wioski Čelebići, mieszkańcy po prostu weszli do swoich domów i zamknęli przed nami drzwi. Podobnie zachował się miejscowy pop. Dokoła zapadła wyzywająca i groźna cisza. Konkretniejszy sygnał otrzymaliśmy w drodze powrotnej, gdy opuściliśmy wioskę. Poboczem drogi toczył się powoli granatowy volkswagen golf z wyłączonym silnikiem. Nerma Jelačić i ja zatrzymaliśmy się obok auta, by spytać kierowcę, czy nie trzeba mu w czymś pomóc.

– Pierdolę ciebie i twoje muzułmańskie okulary! – usłyszała w odpowiedzi zdumiona Nerma, która zajmowała miejsce pasażera.

Pojechaliśmy dalej, a już po chwili golf – z przerobionym układem wydechowym, który wydawał dźwięki godne harleya-davidsona – pojawił się tuż za nami. Dodawał głośno gazu i stukał nas w tylny zderzak. Przejechał tak za nami dobre pięć kilometrów, aż w końcu nas wyprzedził. Kilka kilometrów dalej jadący przed nami renault zatrzymał się, by zabrać pasażera w mundurze leśnika, niosącego podłużną torbę, w której mogła kryć się strzelba albo wędka. Wciąż nie mogliśmy zapomnieć o wariacie w golfie, który jechał za nami w dziczy nazywanej przez Bośniaków *vukojebina* – „gdzie pieprzą się wilki” – więc jakiegokolwiek normalne towarzystwo było mile widziane. Czekaliśmy przez jakiś czas na renault, ale samochód zniknął, wrócił natomiast golf. Kierowca znów najeżdżał na nasz zderzak i obrzucał nas przekleństwami. Popędziliśmy do najbliższej miejscowości, dołączając do bardzo wąskiego grona ludzi, którzy kiedykolwiek ucieszyli się na widok ponurego miasteczka Foča. Przesłanie, jakie kryło się za tym pościgiem, było oczywiste: „Wiemy, dlaczego tu jesteście, więc wynoście się stąd i nie wracajcie”. Tak, to był kraj Karadžicia.

Fakt, że Karadžić i Mladić pozostawali na wolności, był powodem do głębokiego wstydu dla całej międzynarodowej społeczności. Już w 1998 roku zachodni dyplomata odpowiedzialny za utrzymanie pokoju w Bośni, Carlos Westendorp, oświadczył na spotkaniu w Brukseli, że Karadžić podda się „w tym miesiącu”.

– Pętla się zaciska – zapewniał sekretarz generalny NATO lord Robertson trzy lata później, po nalocie na wioskę Čelebići, ale nic się nie wydarzyło.

– Ci ludzie zostaną doprowadzeni przed oblicze sprawiedliwości – obiecywał amerykański generał Michael Dobson po kolejnej nieudanej akcji w 2001 roku. – Coraz trudniej im uciekać. – A jednak rezultatów wciąż nie było.

– Jak najpotężniejszy sojusz świata może nam mówić, że nie jest w stanie odnaleźć dwóch Serbów? – zastanawiał się Jacques Klein w 2002 roku, gdy był koordynatorem misji ONZ w Bośni i nemezis Kathryn Bolkovac w kwestii handlu kobietami. W 2007 roku farsa w postaci poszukiwań Karadžicia stała się tematem hollywoodzkiego filmu zatytułowanego *W pogoni za zbrodniarzem* (scenariusz powstał na podstawie dość niemądrego artykułu z „Vanity Fair”). Richard Gere grał w nim rolę reportera, który chciał zdobyć wynoszącą pięć milionów dolarów nagrodę za głowę Karadžicia. Nawet Gere zaczął się zastanawiać nad odpowiedzią na pytanie Kleina, sięgając po kilka prawdopodobnych teorii. „Przypuszczamy, że zawarto jakiś układ – mówił. – I być może poszukiwania utknęły w martwym punkcie; nie wywołujemy wilka z lasu. Ale to na pewno nie sprzyja zabiłnianiu ran”. Rzeczywiście, z pewnością temu nie sprzyjało – o ile rany w ogóle mogły się zabiłnić.

Uwolnwszy się szczęśliwie od namolnego golfa, zatrzymaliśmy się w Fočy, mieście oddanym Karadžiciowi w równym stopniu w roku 2008, jak i w 1992. Kilku młodych mężczyzn zgodziło się w końcu porozmawiać z Nermą i ze mną, bo w telewizji pokazywano właśnie mecz (grała ich drużyna, Crvena Zvezda Belgrad), nie wypadało im więc odmówić drinka i pogawędki o rozgrywkach. Mimo to domyślali się, dlaczego tam jesteśmy, i dali nam to wyraźnie do zrozumienia:

– Gadamy z wami tylko dlatego, że nie pytacie o Karadžicia.

Starsi mężczyźni w wojskowych mundurach, siedzący przy sąsiednim stoliku, w ogóle nie chcieli z nami rozmawiać, a na wszelkie próby nawiązania kontaktu reagowali szyderczym uśmiechem. Z pewnością mieli dość lat, by dobrze pamiętać, co działo się tutaj w 1992 roku. W takich miejscach, kiedy spotykam się z zimnym wzrokiem potężnych mężczyzn o wygolonych głowach, ubranych w mundury wojskowe, zawsze mimowolnie zadaję sobie pytanie: Co robiliście wtedy, gdy z takim zapalem oczyszczano te tereny z Boszniaków?

W czasie drugiej wojny światowej Foča była sceną masowych mordów na Muzułmanach, dokonywanych przez serbskich rojalistów. Podobny scenariusz miał miejsce w latach dziewięćdziesiątych, gdy Karadžić odwołał się do czetnickiej przeszłości miasta. W rezultacie niemal wszystkie muzułmańskie domy zostały spalone, a ich mieszkańcy wymordowani lub wysiedleni. Jednak Foča okryła się złą sławą przede wszystkim ze względu na masowe gwałty, stosowane tu jako narzędzie zniewolenia. Zeznania licznych świadków potwierdzają, że do regularnych, zbiorowych gwałtów na kobietach i dziewczętach dochodziło w takich ośrodkach jak szkoła średnia i sala gimnastyczna klubu Partizan. Szczególnie okrutnie traktowano najładniejsze i najinteligentniejsze dziewczyny, w tym nawet dwunastoletnie dzieci, które dręczono co noc, od wieczora do rana.

– Bezpieczne były tylko kobiety po pięćdziesiątce – wspominała sklepikarka, którą nazwę tutaj po prostu M. Została zgwałcona przez grupę umundurowanych żołnierzy w hali sportowej.

– Naliczyłam dwadzieścia dziewięć gwałtów – mówi – a potem straciłam przytomność.

– Chyba do końca życia będę czuła ten ból, który czułam wtedy – powiedziała inna ofiara, która miała wówczas piętnaście lat.

Kiedy Bakira Hasečić, szefowa Stowarzyszenia Kobiet Ofiar Wojny, próbowała umieścić na hali sportowej pamiątkową tablicę, natychmiast zebrał się tam tłum, który rozbił ten skromny pomnik. Jednak

podobnie jak w Trnopolju, tak i w tym mieście, gdzie widziano i ukrywano Karadžicia, wzniesiono nad rzeką Driną wielki betonowy monument poświęcony „Bohaterom i ofiarom [...] wojny wyzwoleniczej 1991–1995”. „Z waszych prochów rodzi się świt serbskiego narodu – głosi napis na pomniku. – Dzwony znad ołtarza obwieszczają, że zapłaciliście krwią za wolność”. Te słowa odnoszą się oczywiście do Serbów. Kiedy okryty złą sławą zbrodniarz wojenny i gwałciiciel, Radovan Stanković, został przeniesiony z Hagi do więzienia w Fočy, wkrótce stamtąd uciekł, korzystając między innymi z pomocy straży więziennej i policji. W 1995 roku, po utworzeniu Republiki Serbskiej, triumfujący Serbowie z Fočy zmienili nazwę miasta na „Srbinje”. Trybunał Konstytucyjny kazał im powrócić do starej nazwy, ale ta nowa została utrwalona w napisie na pomniku: „Od mieszkańców Srbinja”. Na plakatach z twarzami Karadžicia i Mladicia widniało z kolei hasło: „Nie ruszajcie ich!”.

Przedłużające się poszukiwania Karadžicia i Mladicia stanowiły coraz poważniejszy problem nie tylko ze względu na fakt, że dwaj domniemani przestępcy pozostawali na wolności. Jako symbole masowych mordów, uwielbiani przez swych licznych zwolenników, stali się również symbolami innego typu. Ciesząc się swobodą, wciąż utrzymywali przy życiu i szerzyli swoje idee. Ci nieliczni obcokrajowcy, którym rzeczywiście leżało na sercu dobro Bośni – jak Paddy Ashdown – desperacko pragnęli schwytać Karadžicia, póki mieli taką możliwość.

Radovan Karadžić urodził się we wsi Petnjica, położonej na terenie obecnej Czarnogóry, niedaleko przygranicznej Fočy. Jego nazwisko widnieje na większości nagrobków na okolicznym cmentarzu, ale jego ojciec został odrzucony przez miejscową społeczność po tym, jak zgwałcił i zamordował kuzynkę, jego dziadek natomiast zabił sąsiada podczas kłótni o bydło. Teraz jednak krewni i sąsiedzi Karadžicia otaczają go uwielbieniem, a w 2008 roku planowali zorganizować festiwal literacki poświęcony jego poezji. To dziwne wiersze, jak choćby ten zatytułowany *Sarajewo*: „Słyszę, jak kroczy nieszczęście / zmienione w robaka. Kiedy przyjdzie czas: / zgniecie robaka, tak jak starego śpiewaka / przygniata cisza i zmienia go w głos. / Miasto płonie jak kadzidło. / W dymie pełza nasza świadomość”^[11].

Ale to nie poezja doprowadziła młodego i pracowitego Karadžicia z tej zapadłej dziury do Sarajewa. Chłopiec ze wsi skończył w stolicy Bośni psychiatrię, ale nigdy nie został do końca zaakceptowany przez kosmopolityczne kręgi tego miasta. Przez jakiś czas pracował jako trener psychologiczny z drużyną FK Sarajewo, wciąż jednak nade wszystko pragnął być podziwiany. Szansa na spełnienie marzeń pojawiła się w chwili, gdy Milošević zaczął realizować swoją zbrodniczą wizję podziału Jugosławii i zjednoczenia Serbów w jedną etnicznie czystą społeczność, zajmującą teren Serbii oraz większość Bośni, Chorwacji i Kosowa.

Karadžić, który chętnie prezentował światu swoją twarz i charakterystyczną fryzurę, zachowując pozory wyrafinowania i ogłady, prawdopodobnie był zleceniodawcą i nadzorcą rzezi dokonywanych na terenie byłej Jugosławii. Dzielnie sekundował mu w tym dziele sadystyczny generał Mladić. Jednak mimo że na całym świecie pojawiały się kolejne relacje dotyczące tych zbrodni, Radovan Karadžić, jak wspomniano wcześniej, przez całe trzy lata traktowany był jako równorzędny i mile widziany partner przywódców światowej dyplomacji – szczególnie przez Brytyjczyków i Francuzów, a także ONZ – z którym warto się układać i ubijać interesy. W książce specjalistki od prawa międzynarodowego, Carole Hodge, Karadžić z kolei chwali „wyrafinowaną dyplomację” Wielkiej Brytanii.

O ile Slobodana Miloševicia i brytyjskich dyplomatów łączyły wspomniane również wcześniej wspólne interesy, o tyle powojenne relacje Karadžicia z Zachodem miały charakter bardziej polityczny

i trwały jeszcze długo po 1995 roku, kiedy to Trybunał w Hadze oskarżył go o ludobójstwo. Pojawiły się liczne pogłoski, że asystent sekretarza stanu, Richard Holbrooke, który uczestniczył w rokowaniach w Dayton, zawarł z Karadżićem układ i obiecał mu, że nie zostanie skazany w Hadze, jeśli ustąpi ze stanowiska i wycofa się z życia politycznego. Holbrooke kategorycznie zaprzeczył tym doniesieniom, ale w takiej właśnie niejednoznacznej atmosferze rozpoczęły się poszukiwania serbskiego przywódcy. Przez pierwsze dwa lata, do 1997 roku, choć Bośnię patrolowało sześćdziesiąt tysięcy zagranicznych żołnierzy, Karadżić mieszkał spokojnie w miejscowości Pale i jeździł po całym kraju nie niepokojony przez oddziały NATO. Sam widziałem jego kuloodporny samochód z rejestracją 001 zaparkowany przed hotelem w Banja Luce w 1996 roku. Po roku 1999, gdy sprawę zaczęto traktować poważniej, o czym świadczyły naloty na rodzinę Karadżića i sankcje nałożone na jej interesy, sam poszukiwany zaczął się ukrywać. Widziano go w różnych miejscach: na balkonie w Fočy, w restauracji w Belgradzie. Ktoś zadzwonił z informacją, że Karadżić przebywa w prawosławnym klasztorze Ostrog, który tak hojnie obdarował podczas swojej prezydencji. Przechwytywano korespondencję między zbiegiem a jego rodziną. W 2002 roku widziano go w wiosce Zaovine przy granicy Bośni z Serbią, na północ od Višegradu, w labiryncie skalistych leśnych dróg, na których zagubiliśmy się z Nermą – co rzuciło pewne światło na nerwową reakcję Serbów z okolicy.

Tymczasem tak zwana Preventiva, czyli sieć ochraniająca Karadżića, miała swoich ludzi nie tylko w oficjalnych strukturach Republiki Serbskiej, ale i w środowiskach przestępczych skupionych wokół Milana Lukicia, co może tłumaczyć obecność Karadżića w Zaovinach. Jednak redaktora naczelnego czasopisma „Slobodna Bosna” (Wolna Bośnia), które zawsze wątpiło w determinację instytucji poszukujących Karadżića, najbardziej martwił fakt, że te wszystkie informacje i naloty nie przynosiły żadnych konkretnych rezultatów.

– Dowiedzieliśmy się – mówił – że informacja o obecności Karadżića we wsi Zaovine została potwierdzona w wielu raportach grupy poszukiwawczej w Hadze. Wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Dlaczego nie przeprowadzono nalotu na wioskę? O ile nam wiadomo, Haga prosiła o pomoc przedstawicieli NATO w Brukseli i Sarajewie, ale żądano dodatkowych informacji, jakichś bzdur, na przykład: „Ile okien jest w tym domu?”, a w tym czasie Karadżić zniknął. Człowiek zaczyna wtedy podejrzewać, że te połączone wysiłki najważniejszych stolic świata zmierzają do tego, żeby nie schwytać Karadżića.

Trudno w tej sytuacji nie zadać pytania, dlaczego Karadżić tak długo pozostawał na wolności. Przez lata zarówno biuro prokuratora w Hadze, jak i członkowie zespołów poszukiwawczych w terenie skarżyli się na coś, co jeden z prokuratorów nazwał „złym duchem” prac poszukiwawczych, graniczącym niemal z sabotażem. Czasami, opowiadał ów prokurator, niechęć do działania była tak duża, że poszukiwania przekazywano prywatnym firmom, takim jak DynCorp, która musiała opuścić Bośnię po skandalu pokazanym w filmie *Niewygodna prawda*. Być może wynikało to z faktu, że Karadżić za dużo wiedział – o układach z ważnymi dyplomatami, o obietnicach składanych przez tych dyplomatów w czasie wojny i po niej. Uznaliśmy z Nermą, że możemy się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób: rozmawiając z ludźmi z jego najbliższego otoczenia. Biorąc pod uwagę nasze dotychczasowe działania w tym kraju, z pewnością nie było to łatwym zadaniem.

Latem 1992 roku Karadżić wysłał wiadomość – odnaniezoną potem przez jedną z poszukujących go grup – przeznaczoną dla Milovana Bjelicy, szefa Sztabu Kryzysowego w miejscowości Sokolac

położonej na wschód od Sarajewa. W wiadomości gratulował mu całkowitego i bezlitosnego oczyszczenia okolicy z Muzułmanów. Bjelica był bliskim współpracownikiem Karadžicia i po wojnie został burmistrzem Wschodniego Sarajewa, jak nazwano zamieszkały wyłącznie przez Serbów region, w którego skład weszły Pale. Pełnił tę funkcję do 2003 roku, kiedy to właśnie ze względu na bliskie stosunki z poszukiwanym został zdymisjonowany przez ówczesnego wysokiego przedstawiciela, Paddy'ego Ashdowna. Bjelica, człowiek o groźnym wyglądzie i podobnej reputacji, zaintrygowany naszą prośbą, zgodził się na spotkanie w zupełnie nowym – ale pustym – hotelu. Znany pod pseudonimem *Čičko* – który pasuje raczej do małego kotka – były burmistrz wspominał z kamienną twarzą zachowanie zachodnich dyplomatów podczas wojny:

– Zawsze traktowali Radovana poważnie i z szacunkiem, jako prezydenta małego kraju [sic!]. Odwiedzali go ludzie na najwyższych stanowiskach; i Radovan, i oni dobrze wiedzą, jak się umawiali. Na pewno obiecali mu wiele rzeczy, których nie chcieliby ujawnić światu, gdyby Radovan trafił do Hagi.

Bjelica opisywał, jak Karadžić zwołał spotkanie swoich najbliższych współpracowników, by powiedzieć im o układzie z Holbrookiem. Udanie naśladując gesty Holbrooke'a, powtarzane przez Karadžicia, przytaczał również jego zapewnienia wobec serbskiego prezydenta, obietnice, że „dla niego Haga nie istnieje”, jeśli tylko zgodzi się odejść i przekazać przywództwo w Serbskiej Partii Demokratycznej ówczesnej serbskiej pupilce Zachodu, Biljanie Plavšić (która wkrótce potem przyznała się do zbrodni wojennych).

– Dlaczego Radovan miałby to robić, gdyby nie obiecano mu czegoś w zamian? – pytał retorycznie Bjelica. – My jako przywództwo partii byliśmy przeciwni temu układowi i chcieliśmy, żeby został, ale Karadžić powiedział, że już się zgodził.

Trudno powiedzieć, czy była to tylko umowa ustna, czy też została spisana. Bjelica mówi, że były dwa etapy: najpierw ustne ustalenia podczas spotkania twarzą w twarz w Belgradzie, a następnie umowa w formie dokumentu, który z miejscowości Pale zabrał do Belgradu szef ochrony Miloševicia, Jovica Staničić.

Ambasada wspólnoty międzynarodowej w Bośni, czyli Biuro Wysokiego Przedstawiciela, zdecydowanie odrzuciła wszelkie teorie spiskowe, przyznała jednak, że sprawa jest problematyczna.

– Chciałbym, żeby to był jakiś spisek – zżymał się Rafi Gregorian, zastępca wysokiego przedstawiciela. – Nie mogę się doczekać, kiedy go dopadniemy i będziemy mogli wreszcie zapomnieć o tych wszystkich głupich błędach. Im dłużej to trwa, tym mniejsza jest nasza wiarygodność. Jasne, ciągnie się to tak długo, że na miejscu Bośniaków, którzy stracili w czasie wojny kogoś bliskiego, też węszyłbym w tym jakiś spisek. Doskonale to rozumiem, ale niestety w rzeczywistości nie kryje się za tym żadna konspiracja. – Gregorian szczerze mówił o katastrofalnym błędzie, który popełniono zaraz po zakończeniu wojny: – Zaczęli od podstawy piramidy, ściągając najpierw tych najniższych rangą, w przekonaniu, że w ten sposób będą wywierać coraz większy nacisk na Karadžicia i Mladicia. Niesłusznie – powinni byli od razu zabrać się za tych dwóch, a potem iść coraz niżej.

Oczywiście powstaje pytanie, czy mieliby wtedy wystarczające dowody przeciwko tym zbrodniarzom, ale to już inna kwestia. Gregorian powiedział nam również, że pomoc finansowa dla Karadžicia i innych uciekinierów jest znacznie większa niż fundusze przeznaczone dla wdów i sierot:

– Dawno już przestałem się tym interesować. Nasze kontrole ujawniły, że to obecnie biznes na dużą skalę. Właściwie można by uznać całą Republikę Serbską za jeden wielki związek przestępczy (*Joint*

Criminal Enterprise, określenie stworzone przez Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii, umożliwiające skazywanie członków grup odpowiedzialnych za zbrodnie wojenne, nawet jeśli brak dowodu, że dana jednostka uczestniczyła w konkretnym wydarzeniu), który bez ograniczeń wspiera Karadžicia i Mladicia. Kontrole wykazały – kontynuował Gregorian – jak pieniądze trafiają do nich w postaci pożyczek dla fikcyjnych firm i serbskich partii politycznych.

Ten proceder utrwalił się po bezproblemowym przekazaniu władzy w Republice Serbskiej z rąk partii SDS Karadžicia do równie wojowniczego Sojuszu Niezależnych Socjaldemokratów pod przewodnictwem prezydenta Republiki Serbskiej, Milorada Dodika.

– Robiła to z pewnością SDS – mówił Gregorian – ale robi to również obecny rząd. Pieniądze wyprowadzane są z rządu do partii. Istnieją dowody na to, że cały ten system został odtworzony pod kierownictwem Dodika i że w ten proceder zamieszanych jest wielu ludzi. Teraz nie chodzi już tylko o Karadžicia i Mladicia, ale o nabijanie kabzy ludziom, którzy wykorzystują ich jako przykrywkę dla swoich podejrzanych działań.

Jeśli chodzi o rodzinę Karadžicia – kontynuował Gregorian – ścigamy ich nie dlatego, że są spokrewnieni, ale dlatego, że należą do siatki wspierającej poszukiwanego, są z nim w kontakcie i mogliby nakłonić go do oddania się w ręce sprawiedliwości, a w rzeczywistości tylko utrudniają nam pościg. Karadžić nie jest jedynie pisarzem i lekarzem, nie jest tylko bratem i synem; a ci ludzie wcale nie są mili, to z pewnością nie jest miła rodzina.

Gregorian podzielił się z nami swoją opinią na temat miejsca pobytu najważniejszych zbrodniarzy wojennych ściganych przez Hagę:

– Większości, a może i wszystkich, nie ma w Bośni, choć może przyjeżdżają tu od czasu do czasu. Nie jest to dla nich obszar zakazany, ale dość niebezpieczny. Moim zdaniem mieszkają w Serbii. Znamienny i oburzający jest tutaj przypadek Mladicia: wciąż otrzymuje emeryturę, a do 2002 roku, nim przeszedł w stan spoczynku, pobierał pensję generała jugosłowiańskiej armii. I tego człowieka nazywają uchodźcą? Zaryzykowałbym też stwierdzenie, że Karadžić przebywa często, jeśli nie stale, w Belgradzie.

Okazało się, że Gregorian miał rację.

*

Belgrad jest na pozór normalną wschodnioeuropejską stolicą, w której jednak wciąż lamentuje się głośno nad krótkim okresem bombardowań NATO podczas kryzysu w Kosowie, umieszcza serbski krzyż na wszystkich paragonach – nawet za filiżankę kawy – i zupełnie nie pamięta o krwawych czystkach, inspirowanych i organizowanych właśnie z tego miejsca. Milošević nie cieszy się już sympatią mieszkańców Belgradu, bo doprowadził do ruiny serbską gospodarkę, ale w pasażach handlowych wciąż sprzedaje się znaczki z wizerunkami Karadžicia i Mladicia. Rozmowa z serbskim ministrem odpowiedzialnym za kontakty z Hagą, Rasimem Ljajiciem, właściwie nie wniosła nic nowego. Podczas naszego spotkania Ljajić wyglądał przez okno i od czasu do czasu spoglądał na zegarek, by w końcu przyznać, że przyjął tę posadę tylko dlatego, że jest serbskim Muzułmaninem z Sandżaku, a „nikt inny nie chciał tego robić”.

– Nienawidzą mnie tutaj – wzdychał. – Ludzie uważają, że wydaję serbskich bohaterów Hadze. Większość mieszkańców Serbii nie ufa Trybunałowi, a trzydzieści do czterdziestu procent ludności jest

przeciwne jakiegokolwiek współpracy z Hagę, nawet jeśli oznacza to sankcje wobec naszego kraju.

Podczas gdy Ratko Mladić korzystał z hojnego wsparcia serbskiej armii i bośniackich Serbów, Karadžić mógł liczyć – prócz innych źródeł dochodu – na skromne tantiemy ze swoich książek. Wydawało nam się, że będzie to dobry punkt zaczepienia, a Nerma Jelačić zdołała jakoś przekonać jego wydawcę, Miroslava Toholja, by spotkał się z nami w pizzerii o nazwie Orzeł. Toholj, czytany dżentelmen z kucykiem, był w czasie ludobójstwa ministrem informacji w rządzie Karadžicia. Teraz tylko wydaje jego książki i oczywiście, jak twierdzi, nigdy nie spotyka się z autorem. Miał sporo do powiedzenia na temat rzekomego układu z Holbrookem – Karadžić wyznał mu podobno, że „Haga to tylko kwestia retoryczna”. Toholj dodał z drwiącym uśmieszkiem:

– Ludziom takim jak Holbrooke i innym politykom niełatwo przyznać, że wchodzą w układy z człowiekiem oskarżonym o zbrodnie wojenne i masakry. Dobrze znałem Radovana i wiem, że przez cztery lata był w stałym kontakcie z dyplomatami, nie tylko z Holbrookem, ale i z przedstawicielami Wielkiej Brytanii i Francji. Wszyscy zwracali się wtedy do niego per „panie prezydencie”. Francuzi i Brytyjczycy byli wyjątkowo układni. Wiemy, co powiedział Holbrooke, ale nie możemy wykluczyć, że padły także inne obietnice, dotyczące gwarancji dla Republiki Serbskiej.

To fascynujące; jakich gwarancji? Związanych ze Srebrenicą i innymi „strefami bezpieczeństwa” we wschodniej Bośni?

– Wiem tylko tyle, że w dyplomacji obowiązują szczególne zasady – odpowiedział nasz rozmówca, uśmiechając się chłodno.

Toholj zaprosił Nermę i mnie na spotkanie przy drinku „z kilkoma przyjaciółmi” – coś w rodzaju stypy po matce Vojislava Šešelja, zagorzałego serbskiego nacjonalisty, który w owym czasie sądzony był w Hadze. Niewiele brakowało, by zaproszenie zostało cofnięte, gdy wstając do wyjścia, podałem Toholjowi swoją wizytówkę – był to dość niezręczny moment.

– Ach, to pan! Nie skojarzyłem... – Potem jednak postanowił podjąć wyzwanie, najwyraźniej wietrząc w tym sposobność do dobrej zabawy. – Och, nieważne, chodźmy tak czy inaczej.

Pojechaliśmy taksówką do zamkniętej specjalnie na tę okazję restauracji. Zaprowadzono nas do stolika w rogu sali, przy którym zebrało się już niezwykle towarzystwo. Zdaje się, że była to ta sama restauracja, w której widziano niegdyś Karadžicia. To byli jego ludzie. Jeden z nich, emerytowany pułkownik Jovan Đogo, brał wówczas udział w procesie, oskarżany o udzielanie schronienia Mladiciowi, do czego się przyznał, twierdząc równocześnie, że nie robił nic sprzecznego z prawem. Inny, pisarz Brana Crnčević, rozprawdzał podobno broń wśród serbskiej diaspory, w czym pomagały mu służby Stanišicia, został też członkiem gabinetu Miloševicia. (Miał dziwną narośl na powiece). Kolejny z naszych współbiesiadników, Branislav Puhalo, był niegdyś ochroniarzem Mladicia; z dumą opowiadał, że dowodził wojskami serbskimi podczas „oczyszczania doliny Driny” w 1992 roku, jakby było to wspomnienie jakiegoś dobrego filmu, który kiedyś widział.

– Walczyliśmy dzielnie za ojczyznę – mówił Puhalo wesoło.

Jeszcze inny gość, Miša Sekulović, który dziwacznie gestykułował sparaliżowaną częściowo ręką, był doradcą politycznym wydawnictwa Pašić, gniazda skrajnie nacjonalistycznej propagandy serbskiej zarówno w czasie ludobójstwa, jak i obecnie.

Niektórzy mieszkańcy Belgradu mogliby uznać tę zbieraninę za gabinet osobliwości z czasów wojny, o której wielu Serbów wolałoby raczej zapomnieć. Jednak ich wpływy i ideologia pozostawały bardzo

żywotne w kraju, który Zachód z uporem nazywał „zreformowaną” Serbią, przesiąkniętym i zaślepionym miazmatami szalonego nacjonalizmu. Tamten wieczór, dryfujący pośród coraz bardziej surrealistycznych dyskusji, był prawdziwym alkoholowym wyzwaniem – goście opróżniali kolejne butelki piwa lub słodkiego białego wina na zmianę ze szklaneczkami whisky. Wszyscy prócz Toholja ubrani byli w czarne garnitury i nosili krawaty. Pułkownik Đogo, drobny mężczyzna o oficjalnych manierach, mówił z żalem o tym, jak młodzi Serbowie „zakochują się w Ameryce”, potem ukłonił się grzecznie i wyszedł. Crnčević opowiedział, jak zrezygnował z udziału w rządzie Miloševicia, powołując się na „problemy ze zdrowiem psychicznym”, jak napisał do prezydenta: „ale nie moim, tylko Pańskim”. Uśmieśliśmy się serdecznie. Co ciekawe, wszyscy obecni przy stole chwalili Dianę Johnstone, rewizjonistyczną pisarkę.

– Zawsze spotyka się z nami, kiedy jest w Belgradzie – twierdził Toholj.

Około trzeciej w nocy szef sali poprosił nas, byśmy opuścili już jego restaurację, zatem nasza belgradzka grupa wsparcia dla Karadžicia i Mladicia przeniosła się do innego, całodobowego lokalu. Sekulović dowodził, uciekając się do długiej i obrazowej paraboli z udziałem otomańskiego paszy, że Ivo Andrić w swoim pisarstwie wspierał sprawę serbską, choć sam był Chorwatem. Sporo dyskutowano o serbskiej historii, o tureckich prześladowaniach, a także o polityce i literaturze. Z pijackim przekonaniem mówiliśmy o tym, że amerykańsko-niemieckie dążenia do ogólnoświatowej dominacji rozpoczęły się od zniszczenia Serbów, czego dowodził fakt, że Holbrooke pracował dla Henry’ego Kissingera (w rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca). Oprócz dzieł Dostojewskiego najwspanialszą literaturą na świecie były serbskie poematy epickie (szczególnie gdy deklamowano je przy akompaniamencie zawodzących jednostrunowych gęśli), tak ukochane przez Radovana Karadžicia, którego dziełami zajęliśmy się w następnej kolejności.

– Kiedy zobaczyłem jego ostatnią powieść – zachwycił się Toholj – natychmiast przyszło mi do głowy porównanie z *Ulissesem* Joyce’a. Radovan używa podobnego stylu i podobnie odwołuje się do podświadomości.

O tak, a Crnčević z entuzjazmem porównywał „język naszych ojców” z tekstów Karadžicia do Czechowa. Tak właśnie fałszywa inteligencja mieszała literaturę z dogmatyzmem w sposób typowy dla serbskiego ekstremizmu – jakże odległe mogły się wydawać te bzdury od spalonych wiosek, od okrutnych mordów w Višegradzie, od tortur w Omarskiej i masowych egzekucji w Srebrenicy. A jednak było inaczej, bo wszystkie te zbrodnie nosiły kostium pseudofilozofii, która uwiodła nie tylko mieszkańców tych stron, ale i wielu ludzi na Zachodzie. W końcu zrobiło się całkiem jasno, wychyliliśmy ostatnie kieliszki i odjechaliśmy prosto w świt, na spotkanie z bratem Radovana Karadžicia, Luką.

„Koniec z tyranią Hagi!” – głosił napis na chodniku przed hotelem Moskwa, obok stoiska, przy którym zbierano pieniądze i podpisy poparcia dla Šešelja. To właśnie jego oddziały dopuściły się wyjątkowo okrutnych zbrodni w północno-wschodniej Bośni^[12] i to właśnie jego matkę „opłakiwaliśmy” minionej nocy. Luka – z ogoloną głową, ubrany w skórzaną kurtkę – podszedł do nas, długo rozmawiał przez telefon, a w końcu uznał, że wolałby przenieść się gdzieś indziej. Księgarnia prowadzona przez wydawnictwo, któremu doradzał poznany wczoraj pan Sekulović z częściowo sparaliżowaną ręką, wydawała się idealnym miejscem, pełnym tomów szalonej historii i książek dla dzieci o znamiennych tytułach, takich jak *Serbia ukrzyżowana*. Luka Karadžić, potężny mężczyzna, mówił z przekonaniem o swoim bracie:

– To lekarz, poeta i humanista, a Zachód dobrze wie, że nie jest zbrodniarzem wojennym. Gdyby nim

był, dlaczego przez tyle lat prowadziliby z nim rozmowy? – Słuszna uwaga. – Był twardym negocjatorem, wiem to, bo uczestniczyłem w niektórych spotkaniach. Rozumieli się nawzajem, szczególnie mój brat, Vance i Owen.

Rozmowa przeszła na masakrę w Srebrenicy.

– Zorganizowali to Francuzi, żeby oczernić Serbów – oznajmił Luka Karadžić, sięgając po jeden z najwstrętniejszych argumentów wykorzystywanych przez generała Krsticia w Hadze. Mówił to wszystko z niepokojącym błyskiem w oku. W końcu zaczął opowiadać o „koszmarnym życiu”, jakie było teraz udziałem jego samego i innych członków rodziny Karadžicia: naloty, przesłuchania, sankcje nałożone na ich rodzinne interesy.

– Zatrudniłszy ekspertów od prawa międzynarodowego – powiedział Luka – żeby udowodnić, że to zbrodnia przeciwko jednej rodzinie.

Nie było więc ludobójstwa w Srebrenicy, ale jest zbrodnia przeciwko rodzinie Karadžicia. Luka spytał Nermę, kim jest, na co ona odpowiedziała:

– Jestem Bośniaczką.

– Ale jaką Bośniaczką? – nie ustępował.

– Ludzie mogą mnie nazywać Muzułmanką, ale ja mówię o sobie po prostu Bośniaczka.

Luka Karadžić najpierw się zirytował, a potem uśmiechnął do siebie.

– Dlaczego się nas nie boisz? Dlaczego nie boisz się mnie?

– A powinnam? – odpowiedziała pytaniem Nerma.

Luka milczał.

Nazajutrz przy tym samym stole w księgarni siedział Vladimir Nadaždin. Za czasów Miloševicia był wysokiej rangi dyplomatą i przedstawił nam fascynujący obraz kontaktów Karadžicia z zachodnimi przywódcami. Opowiadał między innymi:

– Dyplomaci traktowali nas początkowo jak Afrykańczyków, z którymi układali się w Zimbabwe. Jednak w miarę rozwoju negocjacji [Brytyjczycy] zrozumieli, że Radovan jest poważny i że wspieranie Muzułmanów nie leży w ich interesie. Holbrooke był inny; nazywali go buldożerem i tak się właśnie zachowywał. Uważam, że rolę [Brytyjczyków] trzeba rozpatrywać w oderwaniu od roli Holbrooke’a; ci pierwsi byli dżentelmenami, którzy traktowali nas z szacunkiem.

Podobnie jak poprzedniego dnia Luka, Nadaždin musiał nas dość szybko opuścić, ale Sekulović miał jeszcze sporo do powiedzenia. Zabrał z szafki całą stertę starych książek i map z 1454 roku „dowodzących”, że Kosowo należało do Serbów i tylko do Serbów. Najwyraźniej szykował się do bardzo długiego wykładu. Poprzednio byłem w Belgradzie w 1992 roku i zapomniałem już, ile mogą trwać tego rodzaju rozmowy. Napędzała je mania prześladowcza połączona z żądzą zemsty, prócz samej dyskusji obejmowały również przeglądanie niezliczonych starych map, doszukiwały się ofiary nawet w zwycięstwach, nieodmiennie prowadziły do odkrycia światowego spisku przeciwko „niezrozumianej” Serbii. Tchnęły nienawiścią do Zachodu, a zarazem pragnieniem, by stać się jego częścią. Przed wszystkim jednak łączyła je całkowita niezdolność do uznania za rzeczywiste – nie wspominając już o wzięciu za nie odpowiedzialności – straszliwych zbrodni popełnionych w imię tego, co Radovan Karadžić nazywał „Niebiańską Serbią”. Wszystko to przypominało zwłaszcza tamto popołudnie spędzone w miejscowości Pale w towarzystwie Karadžicia, człowieka, który uważał za swój obowiązek zamienić te marzenia w koszmarną rzeczywistość.

Pale zmieniły się od 1992 roku. Choć stolica Republiki Serbskiej została przeniesiona do jedyne go dużego miasta na terytorium kraju, czyli do Banja Luki, narciarski kurort Pale stanowił centrum państwa dość długo – i wystarczająco długo prano przepływające tędy pieniądze – by obrosnąć lasem współczesnych budynków i stacji benzynowych. Jednak niektóre rzeczy się nie zmieniają. Sonja Karadžić – córka Radovana – wciąż tu mieszkała, tak jak przez całą wojnę, kiedy to prowadziła biuro prasowe swojego ojca. Nie pamiętała, kim jestem, więc zgodziła się spotkać ze mną przy lunchu w restauracji Jet Set, gdzie traktowano ją jak cesarzową i obsługiwano przy specjalnym stoliku oddzielnym od reszty lokalu zasłonami. Nerma, która towarzyszyła mi jako tłumaczka, wzbudziła ciekawość Sonji, ale nie pogardę. Sonja wychwalała inteligencję swego ojca, nazywała go „jednym z największych uczonych w historii Serbii”, mówiła również o jego „wielkiej miłości do wszystkich członków rodziny”; nie miała jednak ochoty rozwodzić się długo na ten temat, wolała od razu przejść do sedna. Wspominała spotkanie w Atenach wiosną 1995 roku, które miało zagwarantować jej ojcu nietykalność, układ z Holbrookem zaś opisywała jako „tak oczywisty, że niemal nudny”. Powiedziała, że jej ojciec wezwał do swojego gabinetu całą rodzinę i oznajmił, iż zrezygnuje ze stanowiska w zamian za gwarancję wolności. Mówiąc o politykach, którzy pertraktowali z jej ojcem w czasie wojny, Sonja zauważyła:

– To często ludzie, którzy chwalą się w książkach swoimi sukcesami dyplomatycznymi, ale przemilczają fakty, które potwierdzają nasze słowa, nie chcą się przyznać do wielu umów zawieranych z moim ojcem. Tylko ojciec i oni wiedzą, o co chodzi, a nie ma pilniej strzeżonej tajemnicy niż ta, którą wszyscy wciąż próbują odgadnąć.

Podróż samochodem z miejscowości Pale do Sarajewa zajmuje tylko piętnaście minut. W czasie wojny mogła jednak trwać cały dzień i oznaczała przenosiny do innego świata, towarzyszyły jej ogromne emocje. Tak się złożyło, że spotkanie z Sonją odbyło się w pierwszy dzień Bajramu, trzydniowego okresu na koniec ramadanu, kiedy to dobiega końca post, świętujący zaś odwiedzają najpierw swoich zmarłych, a potem sąsiadów. Kiedy więc Sonja wychwalała ojca w kawiarni Jet Set, wielu mieszkańców Sarajewa przebywało na cmentarzach, rozmyślając o zbrodniach, które popełniono w czasie wojny zapewne na jego właśnie rozkaz. Z pochylonymi nisko głowami, elegancko ubrani, młodzi i starzy, przeciskali się między białymi nagrobkami wokół stadionu piłkarskiego i na otaczających miasto wzgórzach, które niegdyś rozbrzmiewały hukami dział; teraz otulała je cisza. W Sarajewie był to dzień kwiatów i grobów. Tymczasem córka Radovana Karadžicia biadała w byłej kwaterze głównej swego ojca nad tym, jak „łatwo usunąć dziś niewinnego człowieka z życia publicznego”, a na kalendarzu z podobiznami Karadžicia i Mladicia widniało przekleństwo rzucone na każdego, kto zechciałby pomóc w poszukiwaniach tych dwóch: „Jeśli ktoś zdradzi tych bohaterów – głosił napis – niech mu pęknie serce. Jeśli ktoś powie, gdzie oni są, niech zje własne kości. W jego rodzinie nie będzie wesel i świąt, ani mężczyzn, którzy nosiliby broń”.

Długo czekałem na tę wiadomość, aż wreszcie dostałem sms-a od Nermy, zaledwie kilka miesięcy po naszej przygodzie w Belgradzie: „Dr K aresztowany”. Okoliczności aresztowania były zaskakujące: Karadžić został namierzony w 2008 roku, gdy udawał lekarza medycyny alternatywnej. Wyglądał jak skrzyżowanie bohatera dziewiętnastowiecznej rosyjskiej powieści z gitarzystą ZZ Top – miał długie, siwe włosy i brodę. Przewieziony do Hagi, stanął przed sędziami dziesięć dni później, w ostatni dzień miesiąca. Do tego czasu zgolił brodę i ściął długie loki, wracając do starej fryzury i dobrze wszystkim

znanego wizerunku.

Gdy tylko dotarła do mnie ta informacja, pojechałem do Kozaraca. Jako pierwszy komentarza udzielił mi Šerif Velić, który wrócił właśnie ze Szwecji.

– Bardziej mnie cieszy poranny deszcz, który spadł na moją trawę, niż aresztowanie tego człowieka po tylu latach, odkąd popełnił te zbrodnie – oznajmił. – Dziś? Jakie to ma dziś znaczenie? To za mało, za późno. Chcę sprawiedliwości, ale nie umiem przebaczyć. Jak mogę przebaczyć komuś, kto nie okazuje żadnej skruchy, jak sam Karadžić i ci mali Karadžicie dokoła, którzy dopuścili się tych wszystkich rzeczy? Tu są setki takich małych Karadžićów, jego idee wciąż żyją.

Dżemal Paratušić też wrócił do Kozaraca na lato, przywożąc tu z Borehamwood całą swoją rodzinę.

– To ważne, że Karadžić został aresztowany – mówił, spoglądając na piękny krajobraz, który ciągnął się w stronę Omarskiej. – Uważam go za drugiego Hitlera, człowieka, który myślał, że może robić z nami, co tylko zechce, i tak właśnie postępował. Świat prowadził z nim negocjacje, ale ja uważałem go za człowieka, z którym nie wolno negocjować. Dobrze zatem, że w końcu został aresztowany i że powiedziano głośno, kim jest naprawdę. Ale co nam to daje? Możemy odbudować nasze domy, możemy im pokazać, że wróciliśmy, że to nasz kraj, ale nasze życie już nigdy nie będzie takie jak kiedyś. Aresztowanie Karadžicia nie wskrzesi naszych zmarłych.

Satko Mujagić, aktywista działający na rzecz budowy pomnika, powiedział po powrocie z Holandii:

– Dobrze się stało, ale aresztowanie Karadžicia to jedno, a powstrzymanie głoszonych przez niego idei to zupełnie co innego.

Za szybą z hartowanego szkła podniosła się biała zasłona. Dopiero wtedy go zobaczyłem, choć siedział zaledwie metr dalej, ubrany w szarą marynarkę i fioletowy krawat ze spinką w kształcie herbu Serbii – dwugłowego orła i serbskiego krzyża z cyrylicznymi literami „S”: Tylko jedno uratuje Serbów.

Miejsca przeznaczone dla gościa i oskarżonego w sali Trybunału w Hadze były bardzo ciasne. Rozdzielała je gruba kuloodporna szyba z otworami, przez które mogliśmy rozmawiać. Po jednej stronie tej szyby, przy małym stoliku, siedział Radovan Karadžić ze swoim prawnikiem Peterem Robinsonem, po drugiej zaś ja oraz Ann Sutherland, oskarżyciel publiczny z ramienia Trybunału, która nazajutrz miała prowadzić moje przesłuchanie w imieniu prokuratury podczas procesu przeciwko Karadžićowi. Potem musiałem jeszcze odpowiadać na pytania obrońców oskarżonego.

Najpierw jednak brałem udział w tym „wywiadzie”, zorganizowanym przed właściwym przesłuchaniem na prośbę Karadžicia, który miał do tego prawo. Jak na ironię, przypadek sprawił, że kiedy w sierpniu 2011 roku niespodziewanie poinformowano mnie o prośbie oskarżenia, jechałem właśnie zamgloną górską drogą w Bośni na poświęcenie małego pomnika znaczącego odległy masowy grób: skalną szczelinę, do której wrzucono zwłoki stu dwudziestu czterech mężczyzn, a następnie przykryto je kamieniami. Byli to więźniowie z Omarskiej i Keratermu, wyprowadzeni z tych obozów dokładnie w dniu naszego przyjazdu, 5 sierpnia 1992 roku. Wywieziono ich autobusami do lasu, gdzie wywleczono ich z pojazdów i zastrzelono, jednego po drugim. Ciało wrzucano do skalnej jamy, nazywanej Hrastova glavica, dlatego też odnaleziono je i ekshumowano dopiero po piętnastu latach. Sprawa dotyczyła więc bezpośrednio odkrycia obozów, o którym miałem mówić w Hadze, zeznając przeciwko człowiekowi, który pozwolił nam je wtedy odwiedzić: doktorowi Karadžićowi.

Zgodziłem się na ten wywiad dlatego, że telefon z Hagi kompletnie mnie zaskoczył, ale też dlatego, że przez sąd było dobrze widziane, by świadek oskarżenia współpracował z obroną. Oczywiście byłem

zaciekawiony i zdenerwowany. W głowie wciąż kołatała mi myśl o tym, jak surrealistyczne jest to spotkanie po latach. Nie były to jednak miejsce i czas odpowiednie do tego typu błahych rozważań. Stawka była zbyt wysoka, kwestie zbyt poważne, a spotkania z Karadżiciem w ciągu najbliższych dwóch dni zbyt istotne – zresztą miałem poczucie, że skala tragedii i cierpień spowodowanych zbrodniami, o które oskarżano Karadżicia, była zbyt porażająca, by mówić tu o jakichkolwiek osobistych refleksjach. Poza tym miałem grypę i gorączkę, wydałem więc swoją dzienną dietę ONZ na paracetamol i holenderskie tabletki o nazwie Fluimucil oraz pastylki do ssania Trachitol, które ułożyłem na stole między sobą, szklanym przepierzeniem i człowiekiem uznawanym za jednego z największych zbrodniarzy wojennych końca XX wieku.

Prawnik Karadżicia, Robinson – Amerykanin o mocno kręconych, ciemnych włosach – zaczął od oświadczenia, że jego klient jest zmęczony po całym dniu pobytu w sądzie, więc to on zacznie zadawać pytania. Najpierw poprosił, bym szczegółowo opisał spotkanie z doktorem Karadżiciem, które odbyło się w miejscowości Pale 3 sierpnia 1992 roku. Opowiedziałem więc o dziwnej podróży, która tamtego lata doprowadziła mnie i ekipę ITN do kwatery głównej Karadżicia, a rozpoczęła się od jego wystąpienia w brytyjskiej telewizji i zachęty, byśmy „zobaczyli obozy na własne oczy”.

Karadżić został oskarżony o „osobistą” i „zwierzchnią” odpowiedzialność za ludobójstwo, eksterminację, prześladowania, morderstwa, wysiedlenia, bezprawne ataki na cywilów i użycie przemocy – „których zasadniczym celem było sianie terroru”. Ten proces był kulminacyjnym punktem osiemnastoletniej działalności Trybunału. Jeden z prokuratorów stwierdził wówczas, że „Karadżić i Mladić postąpili wyjątkowo głupio, nie poddając się w momencie, gdy zostali oskarżeni. Mieliśmy wtedy dość dowodów, by postawić im zarzuty, ale za mało, by ich skazać”.

Karadżić, który do tej pory siedział nieruchomo po drugiej stronie szyby, nieco się ożywił. Był uprzejmy, niemal wesoły, choć nie sprawiał wrażenia sympatycznego. Pamiętałem, że często właśnie tak się zachowywał – podczas lunchu tamtego sierpniowego dnia, w telewizji i – podobno – w towarzystwie dyplomatów i polityków, których próbował oczarować. Robinson skomplementował uprzejmie artykuł, który napisałem na dziesiątą rocznicę wrześniejących ataków na Nowy Jork.

– Jestem Amerykaninem – powiedział – i doceniam to, co pan napisał.

– Pewnie obwinia pan o te ataki Serbów! – wtrącił Karadżić półzartem. Potem spytał: – Czy odniósł pan wrażenie, że byłem dostępny [w czasie wojny]?

– Tamtego dnia tak, z pewnością. – Ale po odkryciu obozów nie pozwolono mi podróżować po jego terytorium. Powiedziałem mu, że odmówił mi tego ktoś bardzo mu bliski (miałem na myśli jego córkę Sonję), ale nie wiem, czy mnie zrozumiał. Pierwsza seria pytań dotyczyła samego obozu Omarska. Czy wiedziałem, że był to „tymczasowy ośrodek śledczy” przeznaczony dla podejrzanych muzułmańskich bojowników?

– Tak, słyszałem takie twierdzenia – odpowiedziałem.

Czy wiedziałem, że połowa więźniów w Omarskiej została odesłana do obozu dla jeńców wojennych, a drugą połowę „zwolniono do Trnopolja”?

– Nie, nie wiedziałem – odparłem. Dopiero później uświadomiłem sobie, że Karadżić odnosił się prawdopodobnie do nagłego opróżnienia Omarskiej po tym, jak znaleźliśmy to miejsce.

Czy zajmowałem się obozami, w których przetrzymywano serbskich więźniów?

– Tak – potwierdziłem. Kilka dni po wizycie w Omarskiej pojechałem do Čapljiny, odkryłem też obóz

dla serbskich więźniów w Dretelju. Czy wiedziałem, że „w swych ostatnich dniach” bośniacki prezydent Alija Izetbegović przyznał w rozmowie z francuskim dyplomatą Bernardem Kouchnerem, że „wszystkie te historie o obozach zostały zmyślane”?

– Nie, nie słyszałem o tym.

Po godzinie i piętnastu minutach „wywiad” osiągnął zaplanowany punkt kulminacyjny, kiedy adwokat zaprezentował nam materiały na swoim komputerze. Doktor Karadžić sięgnął po wyświechtany argument rewizjonistów: ogrodzenie w Trnopolju. Ostatnio znów podniósł tę kwestię profesor Chomsky, twierdząc, że „sfabrykowałem” wszystko, co napisałem o obozach od czasu pierwszego artykułu z 7 sierpnia 1992 roku. Teraz doktor Karadžić raz jeszcze próbował się do tego odwoływać. Na potwierdzenie swoich argumentów odtworzył pocięty materiał telewizji bośniackich Serbów. Odpowiedziałem, że byłem wówczas i nadal jestem przekonany, że ludzie pokazani na zdjęciach to więźniowie przywiezieni pod strażą z Omarskiej i Keratermu, a obozy nie były żadną mistyfikacją.

*

W noc przed przesłuchaniem nie mogłem zasnąć. Administracja Trybunału była uprzejma zarezerwować mi ponownie mój szczęśliwy pokój 202 w pięknym niegdyś hotelu Corona w centrum Hagi. Ale hotel został „odnowiony” – ergo zniszczony, a czarujące staroświeckie wnętrza zamieniono w coś, co przypominało halę odlotów: w barze grała muzyka techno, a czerwone pelargonie zniknęły. Z zewnątrz jednak nadal dobiegał turkot tramwajów, a bezsenna noc wypełniona oparami Fluimucilu i pastylkami do ssania Trachitol ustąpiła w końcu przed świtem.

Wydawało się, że wszystkie lata działalności Trybunału doprowadziły w końcu do punktu przełomowego. Tym razem oskarżony był sam Karadžić, który przywitał mnie uprzejmym skinieniem głowy, gdy wszedłem do sali (ani Kovačević, ani Stakić nie zdobyli się na taki gest). Potem Karadžić założył słuchawki, uniósł brwi i wskazał głową na ekran swojego komputera, jakby chciał powiedzieć: „No to bierzmy się do roboty”. Zachowywał się niczym gladiator, który wchodzi ze swym towarzyszem na arenę. Całe lato spędziłem z ludźmi, którzy przeżyli pobyt w obozie albo stracili tam najbliższych. To właśnie zachęta z ich strony w postaci SMS-a, który dostałem podczas śniadania, dodała mi sił i pozwoliła zapomnieć o grypie, gdy padły słowa: „Proszę wstać, sąd idzie”.

Na ławie zasiadało czterech sędziów, którym przewodniczył Koreańczyk Kwon. Aby nie powtarzać wszystkiego od początku – i oszczędzić na czasie, co ze względu na liczbę i długość procesów stało się koniecznością – Ann Sutherland przedstawiła dowody z procesu Stakicia. Opisała pokrótce nasze spotkanie z Karadžićem z 1992 roku i odkrycie obozu, prezentując przy tym fragmenty relacji ITN. Film z Omarskiej pokazywał, jak próbujemy obejrzeć cały obóz, ale spotykamy się z odmową. Na nagraniu jest też pani Balaban, która mówi do nas: „Powiedział, że możecie zobaczyć to i to, ale tamtego nie”. Teraz sędziowie zwrócili się do człowieka, który podobno wydał te rozkazy, i poinformowali go, że może rozpocząć przesłuchanie świadka.

Karadžić od razu ruszył do ataku.

– Czy uważa pan, że udało się panu zachować obiektywizm?

Próbowałem wyjaśnić sędziom, że w przeszłości niewłaściwie używałem słowa „obiektywizm”, gdy miałem na myśli „neutralność”.

– Kiedy mowa o konkretnych faktach, pozostaję obiektywny – powiedziałem – ale nie próbuję być

neutralny. Nie jestem neutralny, stojąc między obozowymi strażnikami i więźniami, między zgwałconymi kobietami i gwałcicielami. [...] Jeśli mam być uczciwy wobec sądu, to nie mogę powiedzieć, że jestem albo chcę być neutralny w przypadku takich aktów przemocy.

Karadzić zaprotestował przeciwko określeniu „rasistowski”, którego użyłem w opisie jego programu. O bośniackich Muzułmanach powiedział:

– To Serbowie, którzy przeszli na islam. I tak też uważa lord [David] Owen.

Odparłem, że ja znacznie częściej słyszałem, jak bośniackich Muzułmanów nazywano obraźliwym słowem *balija*. Dodałem również:

– Więźniami obozów byli albo bośniaccy Muzułmanie, albo Chorwaci, a nadzorowali je bośniaccy Serbowie. [...] Tam, skąd pochodzę, uznaje się, że jeśli jedna grupa etniczna chce oczyścić dane terytorium z członków innej grupy etnicznej i zatrzeć po niej wszelkie ślady, to jest to właśnie rasizm.

Pojawiły się również pytania, które przypominały ogólną dyskusję o polityce. Karadzić o dążeniach zarówno Serbów, jak i Chorwatów mówił:

– Opowiadają się za zdecentralizowaną Bośnią złożoną z trzech grup etnicznych, podczas gdy strona muzułmańska chciała Bośni jednolitej.

Zgodziłem się z jego analizą, musiałem jednak dodać, że istnieje „ogromna różnica między ogólną strategią a masowymi morderstwami”. Sędzia Kwon na szczęście położył kres tym jałowym rozważaniom: czas na pierwszą przerwę, kolejną porcję paracetamolu i kawę podaną przez miłą dziewczynę z obsługi. Potem z powrotem na arenę. Nie miałem czasu, by zastanawiać się nad znaczeniem tego spotkania. Liczyły się tylko szczegóły i fakty – i ich zgodność z prawdą. Gdy weszliśmy ponownie do sali, Karadzić nie przywitał mnie już jak towarzysza niedoli z cyrkowej areny; jego wyraz twarzy i spojrzenie były twardsze.

W jego głosie również pojawiły się ostre tony: Czy pamiętałem, że doktor Karadzić zaakceptował niektóre z planów pokojowych? Tak, pamiętałem „niekończące się plany i traktaty, które w rzeczywistości niczego nie zmieniały. Wciąż zabijano niewinnych ludzi”. Czy wiedziałem o „walkach” w okolicach Prijedoru? W pierwszym artykule na temat obozów przytaczam słowa więźnia, który brał w nich udział. Powiedziałem, że nim tam przyjechaliśmy, wszelki opór został stłumiony. Dyskusja na ten temat trwała przez dłuższą chwilę.

Potem Karadzić spytał o Omarską, cytując mój artykuł:

– Nie było tam żadnych widocznych dowodów aktów przemocy, nie mówiąc już o planowej eksterminacji.

Odpowiedziałem, że próbowaliśmy wejść do hangaru.

– Podejrzewaliśmy, że dzieją się tam straszne rzeczy. Czas pokazał, że mieliśmy rację.

– Skąd pan to wie? – spytał Karadzić.

– Słyszałem od wielu ludzi, którzy byli w Omarskiej, że dochodziło tam do morderstw. [...] Myślę, że wystarczą tu dowody zgromadzone na przestrzeni lat przez Trybunał.

Karadzić kwestionował prawdziwość słów chłopca, który mówił o masakrze, podczas której zamordowano dwustu mężczyzn w Keratermie. Odpowiedziałem:

– Pomylił się co do liczby, ale masakra rzeczywiście miała miejsce.

Potem doktor Karadzić spytał:

– Gdybym panu powiedział, panie Vulliamy, że to wszystko nieprawda i że wszyscy ci ludzie, którzy

opowiadali panu o tych morderstwach, widzieli jedynie śmierć jednego, chorego psychicznie człowieka, komu by pan uwierzył? [...] Wydaje się, że zdecydował się pan wierzyć w informacje, które są krzywdzące dla Serbów.

„Śmierć jednego człowieka”? Czy on naprawdę w to wierzył?

– Nie zdecydowałem się wierzyć w informacje krzywdzące dla jednej czy drugiej strony, to nie jest kwestia wyboru. Nie wierzę, że w Omarskiej i Keratermie zginęła tylko jedna osoba. [...] Jestem przekonany, że zabito tam o wiele więcej niż jednego, psychicznie chorego człowieka. [...] Z całym szacunkiem, ale jeśli twierdzi pan, że chodziło o tylko jednego człowieka, nie wierzę panu. To nic osobistego. [...] A kwestia opinii, jaką wystawia to Serbom, nie ma tu znaczenia. Nie taką miarą mierzę te rzeczy.

– Z całym szacunkiem – odparował Karadžić – ale miałoby to znaczenie, gdyby było prawdą. Powiedziałem panu jednak, że wszyscy widzieli tylko jedno zabójstwo. Rozmawiali o wielu, ale widzieli tylko jedno.

Potem przeszedł do kwestii Trnopolja. Zauważył, że w mojej pierwszej relacji słusznie stwierdziłem, iż Trnopolja nie można nazywać obozem koncentracyjnym, ale potem zmieniłem zdanie. Sędzia Baird poprosił o wyjaśnienie.

Próbowałem wytłumaczyć, że w pierwszych tygodniach po naszym odkryciu uważałem, że odwoływanie się przez media do Holokaustu przynosi szkodę naszym relacjom, a użycie terminu „obozy koncentracyjne” zachęcało do takich właśnie porównań, jednak później, gdy zastanowiłem się nad tym i „skonsultowałem się z władzami Muzeum Holokaustu [w Waszyngtonie], szukając właściwych terminów do opisu tych miejsc”, doszliśmy do wspólnego wniosku, że słowo „echo, potwierdzone ich autorytetem, jest tutaj właściwe”.

– Postanowiłem zatem – tłumaczyłem ławie sędziowskiej – wraz z ludźmi z Muzeum Holokaustu oraz tymi, którzy przeżyli [Holokaust], używać tego terminu, odwołując się do jego pierwotnej definicji z czasów wojen burskich w Afryce. Można śmiało stwierdzić, że Trnopolje było właśnie takim obozem [koncentracyjnym], gdzie zgromadzono tysiące cywilów przygotowanych do deportacji.

Karadžić drażył ten temat. Czy wiedziałem, że cywile zostali „ewakuowani ze strefy walk” do Trnopolja?

– To nie była deportacja [...], to była ewakuacja [...] przeprowadzona na prośbę tych ludzi.

Odpowiedziałem, że byłem w jednym z takich konwojów deportacyjnych, prowadzonym przez uzbrojonych żołnierzy.

– Byli w nim ludzie, którzy mówili mi coś zupełnie innego [...], że żołnierze i policjanci przyszli do ich domów i kazali im je opuścić [...], że nikt nie robił tego dobrowolnie. – Przypomniałem też, że cztery dni później, na tej samej trasie: – Wyprowadzono dużą liczbę osób i rozstrzelano je na górze Vlašić, Trybunał zna te wydarzenia jako „masakrę na masywie Vlašić”. Więc nie, proszę pana, nie wiedziałem, że to właśnie z takich powodów kierowano te konwoje na Vlašić.

Karadžić nie próbował już nawet być dla mnie miły, mówił ostrym, agresywnym tonem. W słuchawkach słyszałem tylko początek i koniec jego wypowiedzi, ale niewidoczny tłumacz udanie oddawał brzmienie jego głosu, jego napastliwość.

– Dobrze pan wie dzięki dyskusji, która wywiązała się między panem a organizacją Living Marxism [...], że to wszystko było mistyfikacją.

Znów to samo. Karadžić odtworzył fragment materiału telewizji bośniackich Serbów, która kręciła o nas film.

– Zgodnie z naszą teorią na filmie widzieliśmy ogrodzenie wokół narzędzi budowlanych. [...] Pan temu zaprzecza, tak?

– Owszem. Ta teoria, jak ją pan nazywa, powstała w roku 1996 lub 1997, wcześniej, po roku 1992, nikt o niej nie wspominał. [...] Ci ludzie byli uwięzieni, pilnowali ich uzbrojeni strażnicy.

Karadžić nie rezygnował.

– Widzi pan taczki?

– Wtedy ich nie zauważyłem; patrzyłem na inne rzeczy. [...] Powtarzam, wiele razy już dowiedziono, że określanie tych ludzi jako więźniów jest zgodne ze stanem faktycznym.

Karadžić pokazał słynne zdjęcie wychudzonego Fikreta Alicia za drutem kolczastym.

– Skąd pan wie, że on nie wygląda tak zawsze?

– Wiem, że nie wygląda tak zawsze. [...] Spotkałem go w Słowenii rok później i wyglądał normalnie, jak każdy mężczyzna.

Kusiło mnie, by dodać, że minionego lata oglądałem w jego towarzystwie relację telewizyjną z meczu, w którym Bośnia pokonała Białoruś dwa do zera, uznałem jednak, że byłoby to niepoważne.

– Chce pan powiedzieć, że w ciągu dwóch miesięcy jego stan pogorszył się tak bardzo, że był bliski śmierci? – spytał Karadžić.

– Tak. [...]. Być może warunki w Keratermie były tak straszne, że jego stan pogorszył się do tego stopnia w ciągu dwóch miesięcy.

– Czy podczas spotkania w Lublanie widział go pan rozebranego od pasa w górę?

– Nie, był ubrany.

Karadžić kwestionował użyte przeze mnie określenie „masowe morderstwo”.

– Czy doszedł pan do tego sam, czy też usłyszał pan to od innych i uwierzył im?

– Poznałem dziesiątki, jeśli nie setki, ludzi, którzy przeżyli obozy, i dziesiątki, a może setki ludzi, którzy stracili w nich swoich bliskich.

– Wierzy pan, że ludzie ginęli również w walce?

– Tak, niewątpliwie.

W ciągu całej rozmowy Karadžić wielokrotnie podkreślał moją „antyserbską” postawę. Podniesionym głosem zapytał:

– Serbowie uważają, że jest pan stronniczy, bardzo stronniczy, zgadza się?

Odpowiedziałem:

– Cóż, jeśli rzeczywiście tak jest, to bardzo mi przykro. Jak już próbowałem wyjaśnić, gdy rozmawialiśmy o neutralności, jestem stronniczy w przypadku aktów przemocy i zbrodni. Nie jestem uprzedzony do żadnej rasy, grupy etnicznej czy czegokolwiek w tym rodzaju. Właściwie jestem bardzo uprzedzony do rasizmu. Nie jestem więc wrogiem Serbów: jestem wrogiem tego, czego się dopuszczono w ich imieniu.

Podkreśliłem też:

– Bardzo poważnie traktuję zarzuty o antyserbskie nastawienie. Natychmiast pojechałem obejrzeć obozy dla serbskich więźniów. [...]. Zależy mi na bezstronności przekazu, ale jestem stronniczy wobec praktyki zamykania ludzi w obozach.

W tym momencie zainterweniował sędzia Morrison.

– Jak pan wie, doktorze Karadžić [...], w tym procesie oskarżonym nie jest serbski naród ani państwo serbskie. To pan jest oskarżony i musi pan skoncentrować się na tym fakcie.

Karadžić odpowiedział:

– Dziękuję, wysoki sędzie. Jednak sytuacja wygląda tak, że zostałem oskarżony [...] o wszystkie okropności, których dopuszczono się w trakcie wojny. Próbuję dowieść, że nie miałem nic wspólnego z tym systemem.

Powrócił do tego tematu po raz trzeci, kwestionując kontrowersyjne zdanie, które znalazło się w mojej relacji. W zdaniu tym napisałem, że serbskie pogromy są „echem” nazistowskich zbrodni, ich „błada, lecz jednoznaczna imitacja”.

– Będę przy tym obstawał – powtórzyłem. – Jeśli chodzi o słowo „echo”: ustaliłem z pracownikami Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, że takie właśnie określenie będzie właściwe. Błada, tak. Jednoznaczna, też. Wracamy do kwestii internowania i mordowania ludzi z powodu przynależności do danej grupy etnicznej. Do masowych wysiedleń ze względów etnicznych.

– Czy uważa pan teraz, że między innymi dlatego niektórzy Serbowie twierdzą, że ma pan antyserbskie poglądy? – pytał Karadžić.

– Jeśli rzeczywiście niektórzy tak uważają, to być może popierają oni zbrodnie dokonywane w ich imieniu. [...] Jeśli mamy trzymać się tego tematu, to warto wspomnieć, że wielu Niemców było przerażonych czynami, które popełniono w ich imieniu; byli gotowi rozliczyć się z przeszłością swojego kraju i stawić jej czoła.

W ostatnich słowach Karadžić powrócił do tematu obozów i rzekomej mistyfikacji: twierdził, że przedstawiłem opis straszliwego stanu więźniów w Omarskiej dopiero wtedy, gdy prezydent George H. W. Bush wyraził przerażenie naszym odkryciem. Odpowiedziałem, że w swojej pierwszej relacji opisałem, iż więźniowie byli „straszliwie wychudzeni, niektórzy przypominali szkielety [...]”. Domyślałem się już jednak, do czego zmierza doktor Karadžić: żądny sławy, udramatyzowałem swój artykuł, żeby udzielać wywiadów w mediach i zdobywać nagrody. Zabolalo mnie to i musiałem wyjaśnić, że nie zależy mi na wywiadach ani nagrodach.

– Czy chciałbym, żeby obóz w Omarskiej nigdy nie powstał? Tak.

Komplementując mój pierwszy raport z obozów, Karadžić dodał z naciskiem:

– Cała reszta jest wyssana z palca i naprawdę przykro mi, że postawił się pan w takiej sytuacji i ostatecznie został uznany za uprzedzonego do Serbów.

To była złośliwa uwaga, a sędzia Kwon uważał ją za niepotrzebną. Spytał jednak, czy nie chcę się do niej odnieść. Chciałem.

– Pragnę tylko powiedzieć, że nie mam nic przeciwko narodowi serbskiemu. Występuję wyłącznie przeciw temu, co zrobiono w jego imieniu.

Gdy przesłuchanie dobiegło końca, wstałem i podziękowałem sędziom. Idąc w stronę wyjścia, miałem ochotę się odwrócić i spojrzeć na Radovana Karadžicia, ale nie zrobiłem tego. Wróciłem do pokoju dla świadków, podziękowałem pracownikom sądu i zażyłem kolejną porcję lekarstw, wściekły i urażony w imieniu wszystkich tych dobrych ludzi, których spotykałem przez lata, ludzi w straszliwy sposób pokrzywdzonych przez obozy i kierujących nimi oprawców. To właśnie ze względu na nich starałem się zachować w sądzie chociaż pozory spokoju. Czułem się dotknięty twierdzeniem, że „wyssałem wszystko

z palca”. Choć byli więźniowie obozów i krewni tych, którzy tam zginęli, w ogromnym stopniu mnie wzbogacili, byłbym naprawdę szczęśliwy, gdyby mogli nadal prowadzić normalne, spokojne życie na jugosłowiańskiej wsi – a ja nigdy bym ich nie poznał i nie postawił stopy w Trybunale.

Wybrałem się w to chłodne, szare popołudnie na spacer wokół jeziora przy holenderskim parlamencie, w zabytkowym centrum miasta, zły na siebie, że nie powiedziałem tego w sądzie. Oszołomiony gorączką i grypą, poszedłem raz jeszcze popatrzeć na *Dziewczynę z perłą* Vermeera, ale zawędrowałem do portretu starego Homera pędzla Rembrandta. Znów czułem się jak sędziwy marynarz, kompletnie rozbity. Ale przynajmniej mogłem cieszyć się wolnością. Doktor Karadžić nie miał takiej możliwości. Podobno po powrocie do więzienia grał w tenisa z Gotoviną, chorwackim generałem sądzonym za zbrodnie wojenne na Serbach^[13].

Rozrachunek: Haga

Mandat Trybunału, udzielony przez Radę Bezpieczeństwa ONZ w 1993 roku, nakazywał mu wymierzenie sprawiedliwości „ludziom odpowiedzialnym za poważne naruszenia prawa międzynarodowego dokonane w byłej Jugosławii od roku 1991”. Tym samym sąd miał za zadanie „przyczynić się do przywrócenia i utrzymania pokoju w regionie”, co wydawało się o wiele trudniejszym i ambitniejszym zadaniem.

Pomimo wszystkich swoich braków i niedociągnięć Trybunał w Hadze osiągnął bardzo wiele, zarówno w perspektywie prawnej, jak i historycznej. Ustalił, na czym polegała wina oskarżonych, odtworzył hierarchię służbową, udokumentował fakty i ujawnił świadectwa pokrzywdzonych całemu światu. Jednak mandat Trybunału wykraczał poza proces prawny, nakładał nań zadania, które miały przyczynić się do wprowadzenia i umocnienia pokoju na obszarze byłej Jugosławii. W przypadku sądu to rzecz wyjątkowo trudna. Trybunał jest postrzegany jako instytucja działająca z dala od tych, którzy przetrwali wojnę. Operuje na poziomie prawa, a nie rozrachunku. Tylko jedna z ofiar wojny, opisana na kartach tej książki, twierdzi, że jest zadowolona z pracy Trybunału, choć wszystkie z nim współpracują – jeśli zostaną do tego wezwane – i z uwagą śledzą jego działania. W każdej rozmowie o Hadze nieodmiennie pojawiają się pytania o to, ile zarabiają pracujący dla Trybunału prawnicy i dlaczego nie płacą podatku, czemu procesy trwają tak długo i „dlaczego w kółko przesłuchują tych samych świadków”, jak ujęła to Azra Blažević, lekarz weterynarii.

Po aresztowaniu Karadžicia w 2008 roku na ulicach bośniackich miast zaroilo się od trąbiących samochodów, lecz gdy w maju 2011 roku zatrzymano generała Ratka Mladicia, zabrakło manifestacji radości. Główny prokurator Trybunału w Hadze, Serge Brammertz, oświadczył wówczas:

– Te ofiary doznały niewyobrażalnych cierpień – mówię tu również o ludobójstwie w Srebrenicy – a zadośćuczynienie za ich krzywdy jest bardzo spóźnione. [...] Wierzimy, że może to mieć pozytywny wpływ na proces pojednania w regionie.

Media twierdziły, że aresztowanie Mladicia „w końcu pozwoli ofiarom zamknąć ten rozdział”. Jednak Sabaheta Fejzić, która straciła w Srebrenicy syna i męża, powiedziała mi wprost:

– Nie widzę powodów do radości. Wiele razy rozczarowały mnie działania Trybunału.

Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii stał się częścią rosnącego przemysłu procesów zbrodniarzy wojennych – i dobrodziejstwem dla tych, którzy mieli ich oskarżać lub bronić. Dotarły do mnie informacje, że jeden z brytyjskich adwokatów, który pracował podczas dwóch procesów w MTKJ, zarabiał nawet sto tysięcy dolarów miesięcznie za obronę i wspieranie radą ludzi oskarżonych o zbrodnie wojenne na całym świecie. Praktyka „podziału honorarium” między hojnie opłacanych obrońców i ich

klientów stała się do roku 2002 tak powszechna i tak lukratywna, że wywołała protesty amerykańskiego Departamentu Stanu. W czasach, gdy każda korporacyjna lub polityczna inicjatywa opatrzona jest jakimś banalnym sloganem, MTKJ również wymyślił takie hasło: „Oddajemy zbrodniarzy w ręce sprawiedliwości. Oddajemy sprawiedliwość ofiarom”.

Wśród krytyków Trybunału znajdują się ludzie, którzy mają swój interes w podważaniu celowości jego działań. Jednak wielu innych życzy mu jak najlepiej i uważnie śledzi jego poczynania. Do tych ostatnich należy znawca tematu procesów norymberskich, które pod wieloma względami były inspiracją dla MTKJ, Peter Maguire, autor książki *Law and War* [Prawo i wojna] (2000) dotyczącej właśnie Norymbergi (druga książka autorstwa Maguire'a jest o ludobójstwie w Kambodży).

Rozmawiałem z Maguire'em podczas konferencji o ściganiu zbrodni wojennych, zorganizowanej przezeń w Bard College w Nowym Jorku (Peter zasiada w zarządzie tej uczelni).

– Największy problem wszystkich działających obecnie sądów ONZ polega na tym – mówił – że w latach pięćdziesiątych obrońcy praw człowieka wyolbrzymiali ich możliwości i zalety. Procesy dotyczące zbrodni wojennych w najlepszym wypadku mogą doprowadzić do skazania winnych i oczyszczenia z zarzutów niewinnych w jakimś przyzwoitym horyzoncie czasowym. Domaganie się od nich, by uczyły społeczeństwo historii lub zapewniały coś w rodzaju terapeutycznego legalizmu, to ogromna przesada.

Maguire był uczniem jednego z prokuratorów uczestniczących w procesach norymberskich. Powołując się na jego rady, powiedział:

– Mój były nauczyciel, nieżyjący już Telford Taylor, uważał, że ściganie zbrodni wojennych – bez względu na okoliczności – zawsze jest świadectwem porażki. Mówiąc prościej, procesy nigdy nie zadośćuczynią za haniebny brak działania w obliczu zbrodni, którym można było zapobiec. Nikt przy zdrowych zmysłach nie sprzeciwia się karaniu zbrodniarzy wojennych, ale czy po najkrwawszym stuleciu w historii ludzkości wystarczy szukać ratunku w nowych kodeksach prawa międzynarodowego i światowych sądach?

Pewien człowiek, który pracował w Trybunale od początku i wiedział o nim wszystko, w 2011 roku przeszedł na emeryturę. Mark Harmon, były obrońca z urzędu w Kalifornii, uczestniczył w procesach, które sięgały coraz wyżej piramid władzy w Bośni, od początku tej stromej drogi, gdy po raz pierwszy ubłocił sobie buty w ziemi masowych grobów w Srebrenicy, po sam szczyt, czyli proces Karadžicia. Harmon wiedział lepiej niż ktokolwiek inny (podobnie jak inny „weteran”, który wciąż pracuje w biurze prokuratora, Alan Tieger), jak zaczęła się i przebiegała wojna, o której przewodzenie oskarżono Karadžicia i Mladicia, jak gromadzono dowody przeciwko nim, zaczynając od samego dna. Harmon zadomowił się w Hadze: jego dzieci wychowały się i studiują w Holandii, a on mieszka tam nawet na emeryturze. Spotkałem się z nim, by wysłuchać jego refleksji przy filiżance mocnej kawy, na przyjemnym brukowanym placu w zabytkowym centrum, w mglisty szary dzień na wybrzeżu Morza Północnego.

Harmon zastanawiał się głośno nad znaczeniem pierwszego procesu z 1996 roku, sprawy Duška Tadicia, oraz nad krytyką, z którą się wtedy spotkał: wątpliwości budziły koszty sądenia takiej płotki, mało kto też wierzył, że na miejscu Tadicia na ławie oskarżonych kiedykolwiek zasiądą Karadžić lub Mladić.

– Sprawa Tadicia była jedną z najważniejszych – mówił Harmon. – Pozwoliła stworzyć ogromną listę zbrodni wojennych, określiła jurysdykcję Trybunału i potwierdziła, że te przestępstwa odnoszą się do

wewnętrzny konflikt zbrojny. Proces Tadića zmienił paradygmat obrony w międzynarodowym konflikcie zbrojnym na wewnętrzny konflikt zbrojny. Prawo zostało ustalone, określono podstawę umożliwiającą nam rozpatrywanie spraw, które nam zlecano.

Harmon wspominał sprawę generała Krsticia, opowiadał też, jak w Hadze stawiał się dobrowolnie Dražen Erdemović, by przyznać się do roli, jaką odegrał w masakrze w Srebrenicy, i zeznawać przeciwko swojemu byłemu dowódcy.

– Sprawa Krsticia miała ogromne znaczenie – wspominał Harmon. – To był czas, gdy Serbowie stanowczo wypierali się masakry w Srebrenicy. A tu nagle pojawia się Erdemović i siedząc w kawiarni i popijając kawę, mówi, że nie może już dłużej zabijać, podczas gdy po drugiej stronie drogi, kilka metrów dalej, ginie właśnie pięćset osób.

Jednak kiedy już sporządzono listę zbrodni, a Trybunał sięgał coraz wyżej, coraz bliżej Karadžicia i Mladicia, sprawy stawały się jeszcze bardziej zależne od „dostępu do odpowiednich dokumentów, a nie krwi i ciała”. We wrześniu 2011 roku Harmon doprowadził do skazania Momčila Perišicia, byłego szefa sztabu generalnego jugosłowiańskiej armii w Belgradzie. Była to sprawa szczególnie istotna, dowodziła bowiem, że wojnę w Bośni kierowano z Serbii. Wyrok skazujący był też swego rodzaju drwiną ze sprawy rozpatrywanej w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości, gdzie odrzucono oskarżenie Bośni przeciwko Serbii. Jednak proces Perišicia sięgał na tyle wysoko, że wymagał innego materiału dowodowego niż ten, który przedstawiano do tej pory. Jak mówił Harmon:

– Ta sprawa pokazywała, jak człowiek kieruje wojną zza biurka w Serbii i nie ma żadnego kontaktu z ofiarami. Budując tę piramidę – tłumaczył – w mniejszym stopniu polegaliśmy na zeznaniach świadków z poprzednich procesów, a w większym musieliśmy zmagać się z trudnościami, które nieustannie piętrzył przed nami rząd.

„Dojrzałość” procesów sięgających coraz wyższych szczebli dowództwa nieuchronnie oddzielała je od ludzi bezpośrednio doświadczonych przez wojnę. Jak stwierdził Harmon:

– Ofiary straciły głos w Trybunale, gdy procesy pięły się w górę piramidy. Dlatego też odczuwalny dystans między ofiarami jest strukturalny. Ofiary przychodziły tu wielokrotnie tylko po to, by potwierdzać zeznania, które złożyły już podczas wcześniejszych procesów, co miało przyspieszyć procedury. Ale ci ludzie mają już dość tych powrotów: czują się wykorzystywani przez obronę. Procesy stają się coraz bardziej sterylne i ginie gdzieś głos ofiar, bo w sprawach dotyczących najwyższych rangą funkcjonariuszy, takich jak Karadžić, chodzi przede wszystkim o udowodnienie związków ze zbrodniami, które badano już wcześniej.

Harmon odniósł się też do zarzutu formułowanego przez wielu krytyków z Bośni, którzy twierdzili, że Trybunał przesadził w dążeniu do bezstronności, osądzając również przywódców boszniackiego ruchu oporu.

– Jeśli chodzi o skalę, nie ma tu żadnych wątpliwości – mówił Harmon. – Z dowodów wynika jednoznacznie, że liczba zbrodni popełnionych przeciwko Boszniakom jest dużo większa niż w przypadku jakiegokolwiek innej grupy etnicznej, a sprawcami byli zarówno Chorwaci, jak i Serbowie. Nie wolno nam jednak ignorować zbrodni popełnianych przez Boszniaków. To nie jest laboratorium, świat nie jest czarno-biały. Przypomina mi to tych Amerykanów, którzy mówią, że zachodnie mocarstwa nie mogą popełniać zbrodni wojennych: spójrzmy tylko na Wietnam i Mý Lai, na Irak i Abu Ghraib. Musimy stosować te same standardy, bez żadnych filtrów etnicznych.

Spytałem Harmona, czy takie stanowisko nie jest tym samym, co doktryna „moralnej równoważności” stosowana przez społeczność dyplomatyczną ONZ w czasie wojny, której miał zresztą zadośćuczynić właśnie ten Trybunał.

– Nie – odparł. – To nie jest równoważność. Moim zdaniem to określenie oznacza, że każda z grup dopuściła się mniej więcej takiej samej liczby zbrodni, co w rzeczywistości nie jest prawdą.

„Dydaktyczna funkcja” Trybunału, jak nazwał to Harmon, polegała na wprowadzaniu i umacnianiu pokoju i pojednania:

– Jest ona wpisana w podstawową działalność Trybunału, ale to idea bardzo optymistyczna, utopijna. Ludzie nie zmieniają swoich serc i dusz, patrząc na opisy spraw sądowych. Ale myślę, że Trybunał może się przyczynić do pojednania. Są na to dowody.

W czasie między procesami w Norymberdze i Tokio a tymi w Hadze nie istniały międzynarodowe instytucje umożliwiające osądzanie zbrodni wojennych. W ślad za Hagą powstały podobne trybunały dla Rwandy, Kambodży, Timoru Wschodniego i Libanu – a przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym z siedzibą również w Hadze rozpoczęły się pierwsze procesy. Harmon był umiarkowanym optymistą w kwestii historycznej spuścizny Trybunału jako czynnika, który powstrzyma przyszłych zbrodniarzy. Jak mówił:

– Trudno to określić. Nie da się zmierzyć takiego wpływu, więc nie powinniśmy popadać w przesadę. Ale z pewnością była to pionierska instytucja: musieliśmy się sporo nauczyć, żeby pociągnąć do odpowiedzialności ludzi popełniających zbrodnie wojenne. I nie sądzę, by Karadżićiowi i Mladiciowi przyszło do głowy, gdy robili te rzeczy, że trafią tu, gdzie są dzisiaj.

Doktor Lara Nettelfield, amerykańska wykładowczyni brytyjskiej uczelni Royal Holloway College, jest autorką poważnego i przekonującego studium skuteczności Trybunału w odniesieniu do szerokiego zakresu jego zakładanych działań. Doktor Nettelfield pisze, że „Trybunał postawił bolesne pytanie, z którym muszą się zmierzyć wszystkie kraje dotknięte wojną: co zrobić z przeszłością? Międzynarodowa społeczność wysłała Bośni bardzo niejednoznaczny sygnał. Nagrodziła zachowanie, które pogwałciło międzynarodowe normy ludzkiej godności, a zarazem je ukarała”¹⁶. Autorka uznaje również, że negatywne „obiegowe sądy” dotyczące MTKJ powstały głównie za sprawą „uczonych krytyków instytucji broniących praw człowieka”, a w samej Bośni ich autorami są „rozczarowane ofiary oraz nieprzejednani politycy”¹⁷. Jednak dokonawszy z pewnością najdokładniejszej analizy dokonań Trybunału oraz nastrojów panujących we współczesnej Bośni, doktor Nettelfield kwestionuje te „obiegowe sądy”. Po konsultacjach z wieloma organizacjami zrzeszającymi ofiary wojny, z „grupami społeczeństwa obywatelskiego” oraz uchodźcami wracającymi do kraju doszła do wniosku, że w miarę upływu czasu „sąd cieszył się coraz większym autorytetem, a coraz większa liczba organizacji pozarządowych przyznawała, że ich zdaniem Trybunał przyczyniał się do ważnych aspektów demokratyzacji, w tym powrotu uchodźców”. Ważna grupa społeczna złożona z „organizacji, które służyły jako pośrednik między państwem a jego obywatelami, czuła, że sąd robi postępy w realizacji zadań rozszerzonego mandatu. Zmianie w podejściu – dodaje doktor Nettelfield – towarzyszyła zmiana w samym sądzie dotycząca kroków niezbędnych do realizacji rozszerzonego mandatu”¹⁸.

Trybunał stworzył w bośniackim społeczeństwie przestrzeń, w której dyskutuje się o przeszłości, a jego działania zachęciły do udziału w życiu politycznym przedstawicieli stowarzyszeń rodzin i grup społeczeństwa obywatelskiego, które w innym wypadku być może nie miałyby takiej możliwości. Dostarczył również tym grupom i elitom politycznym środków wyrazu dotyczących odpowiedzialności, a w niektórych przypadkach zestawu narzędzi – mianowicie prawa – które pozwalają im zabiegać o dalsze formy zadośćuczynienia¹⁹.

Kobietą, która dźwiga na swych barkach ciężar realizacji znaczącej części pozaprawnych zadań Trybunału, jest nie kto inny, jak moja była towarzyszka podróży, Nerma Jelačić z Višegradu, która w 2010 roku została szefową działu komunikacji i działań pomocowych MTKJ. Po wszystkich tych przygodach spotkaliśmy się przy pizzy i piwie w jej mieszkaniu w zabytkowym centrum Hagi, a potem przenieśliśmy się do pobliskiego baru wraz z jej psem Dixie, który dwukrotnie już był na obchodach rocznicowych w Omarskiej i na wielu innych podobnych wyprawach.

Jelačić zamierzała wcielić w życie założenia mandatu Trybunału w kraju, który był rozdarty bardziej niż w czasie wojny.

– Trzeba w tym celu wzmocnić istniejące już biura i przenieść całą operację z Hagi na Bałkany: nie tylko do Sarajewa, Zagrzebia, Belgradu i Prisztiny, ale do mniejszych miast i wiosek. Gdybym miała to robić po swojemu, stałabym na ulicach i placach mojego dawnego kraju i wykrzykiwała prawdę na całe gardło! – mówiła półzartem. Przyznawała jednak również: – Przyszła ocena Trybunału musi bazować na realistycznych oczekiwaniach dotyczących jego możliwości. Oczekiwania ludzi tuż po wojnie są bardzo duże, a ich potrzeby jeszcze większe. Trybunał nie może przywrócić do życia zmarłych, odnaleźć zaginionych i odtworzyć tego, co zniszczone, nawet gdyby skazał tysiąc ludzi. Ale może wymierzyć sprawiedliwość, karząc przynajmniej niektórych sprawców, ustalając fakty, szczegółowo opisując kolejne fragmenty historii konfliktu. Ale to tylko sprawiedliwość w sensie prawnym. Ocaleni, ci najbardziej doświadczeni przez wojnę, potrzebują znacznie więcej. Przede wszystkim ich ból musi zostać uznany przez społeczeństwo, a nie tylko przez sąd. Trybunał wymierza sprawiedliwość, ale nie wszyscy rozumieją sprawiedliwość w ten sam sposób. Działania Trybunału – kontynuowała – wciąż są podważane przez te grupy społeczne, które mogą i powinny działać leczniczo, ale tego nie robią: przez polityków, media, przywódców religijnych; niektórzy nadal utrzymują podziały w społeczeństwie. To wszystko tworzy jedną wielką maszynę, z którą należy walczyć. Podziały są bardzo głębokie i trzeba będzie wielu lat, by te społeczeństwa choć częściowo zaleczyły traumy, które stały się ich udziałem. Prawda jest taka, że żaden naród w obrębie byłej Jugosławii nie jest gotów spojrzeć na własne odbicie: zaakceptować to, co zobaczy, i pogodzić się z własną przeszłością.

Trybunał wykonał ogromną, bezprecedensową pracę i dzięki temu zmienił historię. Ale jeśli spytasz kogoś: „Czy Trybunał doprowadził do pojednania?“, odpowiedź będzie oczywiście przecząca. Sam z siebie nigdy nie mógłby tego zrobić. Jeśli mnie jednak zapytasz, czy zamierzam zabrać się do roboty na tej nieurodzajnej glebie i spróbować przekonać ludzi o ogromie i znaczeniu pracy wykonanej przez ten sąd, szczególnie w porównaniu z innymi skonfliktowanymi krajami i uwagą, jaką poświęcał im świat w latach dziewięćdziesiątych, odpowiem: „Tak”. Dlatego właśnie chciałabym przenieść działania sądu w miejsca, gdzie popełniano zbrodnie i gdzie wciąż nie uznaje się, że te zbrodnie zostały popełnione.

Tydzień po moim przesłuchaniu w procesie Radovana Karadžicia łagodna, jasna złota jesień w Hadze zamieniła się nagle – z dnia na dzień – w mglistą, wilgotną nadmorską zimę. W ciągu tych dwóch dni na miejscu świadka, naprzeciwko Karadžicia, zasiadał Idriz Merdžanić, lekarz z Trnopolja. Rozmawiał z nim zupełnie inny Karadžić niż ten, który przesłuchiwał mnie: był o wiele agresywniejszy, wojowniczy, napastliwy. Idriz, który w przeszłości dał się poznać jako nieśmiały świadek, nie pozwolił się jednak zastraszyć, okazywał wręcz coś w rodzaju wyniosłej urazy – był stanowczy, skupiony, niemal pedantyczny. Na grad szybkich pytań reagował równie szybkimi odpowiedziami, za którymi nie mogli nadążyć tłumacze.

Karadžić po raz kolejny wrócił do teorii ogrodzenia.

– Do czego służyło to ogrodzenie?

– Zrobiono je dla więźniów przywiezionych z Keratermu, tuż przed przyjazdem dziennikarzy.

I znów to samo... Następnego ranka ponownie spotkaliśmy się w sądzie. Karadžić utrzymywał, że doktor Idriz był normalnie zatrudniony w obozie i otrzymywał za swoją pracę wynagrodzenie.

– Zostałem tam przywieziony siłą i byłem przetrzymywany siłą – odpowiedział doktor Idriz. – Mówili: „Jesteś w obozie. Nie potrzebujesz pieniędzy”.

– Wróćmy do kwestii bicia – nalegał Karadžić. – Pana nie bito. Nie widział pan też nigdy, jak bito kogoś innego, słyszał pan tylko krzyki strażników?

– To jakaś chora interpretacja – odparował doktor Idriz. – Osobiście badałem więźniów, którzy zostali pobici, rozmawiałem z nimi. Nie trzeba było wyjątkowej przenikliwości, żeby zrozumieć, co się stało.

Chwilę później, odnosząc się do gwałtów w Trnopolju, Karadžić powiedział:

– Dla nas liczy się prawda, doktorze Merdžanić.

– Otóż to – zgodził się z nim doktor Idriz. – Dochodziło do gwałtów. [...] Kobiet, które były badane w Prijedorze, nazajutrz szukali ich oprawcy.

Podobnie jak w rozmowie ze mną, Karadžić twierdził z uporem, że ludzie trafiali do Trnopolja z własnej woli.

– Gdy na rozkazy SDS [partii Karadžicia] prowadzono czystki etniczne – odpowiadał Idriz – w obozie Trnopolje przetrzymywano cywilów przez kilka dni, potem posyłano ich dalej.

Wkrótce przesłuchanie dobiegło końca. Doktor Idriz wrócił do niemal pustego hotelu w równie opustoszałym o tej porze roku kurorcie Scheveningen na wybrzeżu Morza Północnego i przebrał się w dżinsy. Zanim pojechał na lotnisko do Amsterdamu, by stamtąd wrócić do domu, wypiliśmy jeszcze razem kawę.

– Haga odegrała pozytywną rolę – stwierdził. – Przestępcy zostaną osądzeni i odsiedzą swoje wyroki w więzieniu. Ale to trwało zbyt długo, a poza tym ciągle się powtarza, że wszystkie trzy strony brały udział w wojnie. Nawet tutaj, w Hadze, pytano mnie: „Czy w Kozaracu byli uzbrojeni ludzie?”. Odpowiedziałem, że tak, byli. Pytano mnie, czy budowali barykady, więc też odpowiedziałem, że owszem, budowali. Ale nikt nie wspomina, że na miejscu zostało bardzo niewiele osób, które odważyły się walczyć, i że ci ludzie bronili swoich rodzin i domów przed batalionami czołgów! Że atakowali ich żołnierze z Banja Luki i Knina! Te barykady natychmiast padły, broń została oddana, a jej właściciele trafili do obozów koncentracyjnych, gdzie wcześniej zgromadzono siłą większość cywilnej populacji. Haga odegrała pozytywną rolę, ale nie można tego uznać za zamknięcie sprawy czy rozrachunek.

Antrakt

Echa Trzeciej Rzeszy:

Terezín i niewłaściwa strona nieba

Rysunek ukazuje koncert tercetu smyczkowego przed niewielką publicznością. Mężczyzna w garniturze opiera głowę na dłoni, jego lewy łokieć spoczywa na poręczy krzesła, na twarzy maluje się skupienie. Obok niego na niskim krzeselku siedzi dziewczynka z podwiniętymi nogami. Widać też od tyłu parę siedzącą na ławce, mężczyzna obejmuje kobietę ramieniem. Twarze muzyków są niewidoczne, ale zachowanie publiczności i nastrój całego rysunku każą przypuszczać, że grają jakiś wzruszająco piękny utwór. Kluczem do pełnego zrozumienia tego sielankowego na pozór obrazu jest fakt, że mężczyzna w garniturze ma na marynarce naszytą gwiazdę Dawida. Ludzie zgromadzeni na tym małym prywatnym koncercie znajdują się w getcie w Terezynie albo Theresienstadt, jak nazywali to miejsce ich niemieccy oprawcy, w osiemnastowiecznym mieście – a niegdyś również twierdzy – położonym na północy Czech, niedaleko Pragi. Miasto to zostało w 1940 roku przejęte przez SS i zamienione w przejściowy obóz koncentracyjny, z którego przewożono więźniów do innych obozów zagłady, zwykle Auschwitz. Można więc powiedzieć, że to muzyka odgrywana w przedśionku ludobójstwa, ścieżka dźwiękowa Shoah.

Rysunek podkolorowany akwarelami wyszedł spod ręki – teraz pomarszczonej, ale delikatnej i wciąż pewnej – Helgi Hoškovéj-Weissovej. Pani Hošková-Weissová, którą poznałem jako osiemdziesięciodwulatkę w 2010 roku, gdy stworzyła ten obrazek, miała dwanaście lat.

– Może ci dwoje po lewej to ja sama i mój tata – powiedziała z tym eleganckim spokojem, pod którym kryje się ogromny ładunek emocji, charakterystycznym dla wielu ofiar Holokaustu.

Terezín był miejscem wyjątkowym, w którym tragizm ludzi skazanych na śmierć przeplatał się z niezwykłym pięknem i wolą życia. Zwożono tu Żydów z całej Czechosłowacji, szczególnie inteligencję i wybitne postacie świata sztuki, a później również członków żydowskich elit kulturalnych z całej Europy. Potem transportowano ich do komór gazowych w innych obozach. W rezultacie – pomimo codziennego reżimu, szalejących chorób zakaźnych, niedożywienia, głodowych racji, ciasnoty i śmierci ponad trzydziestu dwóch tysięcy osób, których nie zdążono nawet wywieźć do Auschwitz – Terezín odróżniało od innych obozów bogate życie kulturalne: rysunki i obrazy, teatry i kabarety, wykłady i szkolenia, a przede wszystkim wspaniała muzyka. Wśród więźniów znalazł się wybitny uczeń Leoša Janáčka, Hans Krása, a także jeden z najbardziej obiecujących kompozytorów z kręgu Arnolda Schönberga, Viktor Ullmann.

– Sporo osób pochodziło z muzycznych rodzin, było wśród nas wielu wspaniałych muzyków – wspominała pani Hošková-Weissová. – Każdemu pozwolono zabrać pięćdziesiąt kilogramów bagażu, więc wielu ludzi przemyciło do obozu instrumenty muzyczne, choć Żydom nie wolno było ich posiadać. Nic więc dziwnego, że w tym piekle na ziemi rozkwitało piękno muzyki i sztuki. Ojciec mówił mi, że cokolwiek się wydarzy, musimy pozostać ludźmi, żebyśmy nie umarli jak bydło. Myślę, że wola tworzenia była wyrazem woli życia i przetrwania, zachowania ludzkiej godności.

Początkowo, gdy w listopadzie 1941 roku do getta trafiły pierwsze transporty więźniów, przewożone

tutaj pociągami z odległej o półtorej godziny jazdy Pragi, życie kulturalne Terezína rodziło się z niepohamowanej żywotności zamkniętych tu talentów, w proteście przeciwko – i często w ukryciu przed – SS, które zarządzało obozem. Z czasem naziści zaczęli tolerować koncerty, kabarety, sztuki teatralne, nauczanie i wykłady, uznawszy, że dzięki tym formom aktywności łatwiej im utrzymać porządek wśród więźniów – później nawet ich do nich zachęcali. W 1944 roku SS „upiększyło” horror stworzony w Terezynie i zaprosiło przedstawicieli Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża do odwiedzenia obozu i obejrzenia dziecięcego spektaklu operowego *Brundibár* autorstwa Krásky. Nakręcono wówczas film propagandowy zatytułowany *Führer daje Żydom miasto w prezencie*, w którym pokazano to przedstawienie.

Czerwony Krzyż był zachwycony przedstawieniem i wystawił obozowi dobre świadectwo. Jednak niemal natychmiast po premierze opery i pamiątkowym zdjęciu prawie wszystkie – prócz dwojga – dzieci z obsady spektaklu zostały wysłane do komór gazowych Auschwitz. Podczas całego pobytu w Terezynie Hošková-Weissová, podobnie jak inni więźniowie, obserwowała selekcję do transportów wysyłanych „na Wschód”. Nikt nie wiedział dokładnie, czym jest ten Wschód, wiadomo było jedynie, że żaden z wysłanych tam Żydów nie dał już później znaku życia. Spośród około piętnastu tysięcy dzieci, które przeszły przez bramy obozu (obecnie to wspaniale utrzymane muzeum w niezwykle pięknym mieście), przeżyło tylko sto trzydzieścioro.

Helga Hošková-Weissová jest jednym z nich. Mieszka w szarej, lecz przytulnej kamienicy w robotniczej dzielnicy Pragi, Libeň, na czwartym piętrze, na które wspina się codziennie po betonowych schodach.

– Przez całe życie otaczali mnie muzycy – mówiła mi. – Ja jedyna zajmowałam się malarstwem.

Jej ojciec, Otto Weiss, był urzędnikiem bankowym z zawodu i pianistą z zamiłowania. Nieżyjący już mąż pani Helgi, Jiří Hošek, którego poślubiła po wojnie (stąd drugie nazwisko – Hošková), grał na kontrabasie w orkiestrze symfonicznej praskiego radia. Jego zdjęcie stoi w jej mieszkaniu na pianinie, które, jak mówi pani Hošková-Weissová, „jest teraz jedynie pamiątką”. Biblioteczkę zdobi zdjęcie wnuczki, Dominiki Hoškovej, grającej na wiolonczeli.

– Urodziłam się w tym mieszkaniu – mówi moja gospodyni. – To nic wielkiego, na pewno są miejsca, gdzie żyje się lepiej, ale tu jestem u siebie, tu są moje korzenie.

Właśnie stąd zabrano ją do Terezína w styczniu 1942 roku i tu też wróciła w roku 1945.

W Terezynie młodziutką Helgę Weissową oddzielono od ojca, zamieszkała najpierw ze swoją matką, a potem w barakach dla dzieci. Namalowała tam obrazek przedstawiający dwoje dzieci ubierających bałwana i przemyciła go do ojca, do męskich baraków. Odpowiedział jej krótkim liścikiem: „Rysuj, co widzisz”. Prosił ją w ten sposób, by wykorzystując swój talent, dokumentowała Holokaust – tragedię, której rozmiarów nikt w Terezynie nie znał, nawet gdy zaczęły się już transporty na Wschód.

Jej rysunki przypominają wczesne prace wspaniałego artysty, który również zajmował się tematyką wojenną, Edwarda Ardizzone’a: wprawne linie i kolory wydają się nieco rozmyte, sugestywne postacie i sytuacje mają niemal komiksowy charakter, kolorytu dodają też starannie oddane detale.

– Widziałam rzeczy, na które dorośli nie zwracali uwagi – opowiadała. – Uwielbiałam patrzeć na guziki kobiecych ubrań, na kapelusze i czapki, na drobiazgi.

Dziewczynka malowała również choroby i wychudzone, ściągnięte smutkiem twarze; tworzyła przejmujące kartki podarunkowe: jedną na rocznicę ślubu rodziców, inną na czternaste urodziny swojej

przyjaciółki Franzi – ten ostatni obrazek pokazywał obie dziewczynki najpierw jako niemowlęta, potem jako więźniarki, a na koniec jako kobiety w bliżej nieokreślonej przyszłości, pchające wózki z dziećmi. Ostatni rozdział miał się nigdy nie zdarzyć: Franzi została zamordowana w Auschwitz. Jest jednak wśród tych rysunków taki, który pani Hošková-Weissová uważa za wyjątkowy. Przedstawia dzieci pchające karawan wyładowany bochenkami chleba i opatrzony napisem *Jugendfürsorge* [W trosce o młodych].

– Ten obraz jest syntezą naszego nędznego życia w Terezynie – powiedziała. – Pokazuje też, w jak podły sposób naziści wykorzystywali słowa. Mamy tu karawan, używany w Terezynie jako główny środek transportu, co było elementem wojny psychologicznej z więźniami: miało nam pokazywać, że już jesteśmy martwi. Karawanów używano do przewożenia wszystkiego prócz zmarłych, w dodatku nie ciągnęły ich konie, lecz pchały dzieci, które zrównywano w ten sposób ze zwierzętami.

I to słowo *Jugendfürsorge*.

– Troska o dzieci, które miały co do jednego zginąć w Auschwitz.

Twarz pani Hoškovéj-Weissovej stężała, a jej łagodny dotąd głos wypełnił się typową dla ocalałych mieszkanką wściekłości, żalu i pogardy.

– To była esencja Terezína.

Późniejsze dzieła młodej Helgi Weissowej powstałe w Terezynie były wyraźnie przygaszone, kolory przybrały ciemniejszy odcień, kreska stała się ostrzejsza, bardziej nerwowa.

– Jako podkładu używałam brudnej wody – powiedziała. – Tego nigdy nam nie brakowało!

Pod koniec jej pobytu w obozie, w 1944 roku, narysowała przyjazd dzieci z Białegostoku, chorych i niedożywionych. Gdy zabrano je pod prysznic, dzieci wpadły w panikę i zaczęły krzyczeć: „Gaz! Gaz!”.

– Wiedziały o Wschodzie to, czego my jeszcze nie wiedzieliśmy, ale zaczęliśmy podejrzewać – mówi Helga Hošková-Weissová. – Były przerażone: rozumiały.

Po rysunku przedstawiającym polskie dzieci powstały dwa jeszcze bardziej przerażające, utrzymane w podobnej kolorystyce: oba ukazywały oddzielenie tych, którzy jechali w transportach na Wschód, od tych, którzy zostawali w Terezynie i którym nie wolno było rozmawiać z „wyselekcjonowanymi”.

– Wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy; dziś dobrze wiemy, co przedstawiają te sceny – powiedziała artystka. – To chwila ostatniego pożegnania.

Jeszcze przed wyjazdem na Wschód jej ukochanego ojca, a później i jej samej, Helga Weissová miała obsesję na punkcie tych chwil, pisała w swoim pamiętniku, że „dudniące kroki, wrzaski strażników, walenie do drzwi i histeryczny szloch zawsze brzmią tak samo i zawsze zapowiadają to samo”.

4 października 1944 roku Weissová i jej matka zostały przewiezione do Auschwitz i poddane selekcji prowadzonej przez samego doktora Josefa Mengelego, który kierował nowo przybyłych albo na lewo, do komór gazowych, albo na prawo, do baraków i pracy przymusowej. „Szeregi przed nami przesuują się do przodu” – pisała piętnastoletnia wówczas Helga w pamiętniku, który został opublikowany po wojnie. Od razu zauważyła, że dzieci wysyłane są na lewo, do komór gazowych. „Wkrótce nadejdzie nasza kolej [...], kolejne szeregi szybko znikają, piątka ludzi przed nami już idzie [...], jeszcze tylko dwie osoby, potem my. Na miłość boską, a jeśli mnie zapytają, kiedy się urodziłam? Szybko, w 1929 i mam piętnaście lat, więc jeśli mam mieć osiemnaście... 28, 27, 26. Mama stoi przed esesmanem – posyła ją na prawo. O Boże, pozwól nam zostać razem. Na prawo! – ryczy na mnie esesman i wskazuje ręką. Hurra, jesteśmy po tej samej stronie”.

– Jak udało się pani przeżyć? – spytałem Hoškovą-Weissovą.

– Co to za pytanie? – odparowała. – Nikt nie wiedział, jak tego dokonać. To była wyłącznie kwestia szczęścia. A może ręka opatrności? Tędy, na lewo, do komór gazowych. Tędy, na prawo, do pracy i wszystkiego, co mnie jeszcze spotkało, przez co musiałam przejść. Nie było żadnej konkretnej przyczyny ani... Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Kto wie, dlaczego ktoś przeżył, a ktoś inny nie. Jak mówię na tym obrazie: „Dlaczego?”.

Wskazała na obraz:

– Uważam go za swoją najważniejszą pracę. Wisiał przez jakiś czas nad pianinem, ale go zdjęłam.

Obraz pokazuje stertę dziecięcych butów i wznoszące się nad nią smugi dymu, w których osadzone są oczy z pytaniem – nie, z krzykiem – Dlaczego? Primo Levi napisał: „Nie sądzicie, że buty to czynnik o drugorzędym znaczeniu w życiu obozów koncentracyjnych. Śmierć zaczyna się od butów”.

Pani Hošková-Weissová została przeniesiona z Auschwitz do obozu pracy tworzącego część kompleksu Flossenbürg. Był to jedyny obóz koncentracyjny, w którym wykonano rozkazy Heinricha Himmlera i zgładzono wszystkich więźniów. Jednak Helga Weissová ocalała po raz drugi: nim Himmler wydał rozkaz, została zmuszona do podjęcia szesnastodniowego „marszu śmierci” (narysowała potem przerażające obrazy tego marszu) do obozu pracy w Mauthausen, gdzie doczekała się wyzwolenia, by w końcu wrócić do tego właśnie mieszkania przy ulicy Kotlaskiej w Pradze.

Pani Hošková-Weissová wskazała na zdjęcie przedstawiające jej wnuczkę, wiolonczelistkę Dominikę, jako niemowlę w dziecięcym łóżeczku. Pod łóżeczkiem leży para małych, czerwonych pantofelków.

– Rzecz w tym – wyznała moja gospodyni – że widząc pantofelki bezpiecznego, szczęśliwego dziecka, nie umiem nie myśleć o innych butach. O tych butach. – Odwróciła się ponownie do obrazu butów i dymu. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, jedząc kanapki, które była uprzejma zrobić. Działo się to w letnie popołudnie, ale dzień był wyjątkowo szary i ponury, jakby słońce w ogóle nie weszło od samego rana. Spadł deszcz, zza okien dobiegało dzwonienie tramwajów, słychać było dźwięki muzyki z jakiegoś odległego radia. Byłem już gotów do wyjścia, ale pani Hošková-Weissová chciała pokazać mi jeszcze kilka ostatnich prac. Otworzyła plik grafik, drzeworytów lub linorytów. Większość z nich poruszała tę samą tematykę co obrazy, były jednak czarno-białe, wyglądały, jakby żywcem przeniesiono je z Auschwitz.

– Wciąż tam jestem – powiedziała. – Jeśli ktoś kiedykolwiek był więźniem obozu, zawsze w nim zostanie. Właściwie im człowiek jest starszy, tym mocniej w nich tkwi. Za każdym razem, gdy spotykamy się w gronie ocalonych, rozmawiamy, śmiejemy się, żartujemy, wymieniamy się wiadomościami o muzyce, dzieciach, wnukach, o naszym obecnym życiu. Ale zawsze wracamy do tego samego. Do obozów. Do Terezína. Do Auschwitz. Zawsze wracamy do środka.

15 października 1944 roku do Auschwitz przyjechał z Terezína pociąg, który przywiózł między innymi kompozytorów Hansa Krásę i Viktora Ullmanna, Gideona Kleina, głównego dyrygenta koncertów w Terezínie, pianistę Raphaela Schächtera, który akompaniował często chórowi, oraz świetnego młodego muzyka, Karela Ančerla. W pociągu była również dwudziestotrzylatka, która grała główne role kobiece w wielu przedstawieniach teatralnych i kabaretowych w Terezínie, Zdenka Fantlová, ze swoją matką i młodszą siostrą. Schächter wyjął z torby puszkę sardynek.

– Siedział naprzeciwko mnie – opowiadała Fantlová. – Wyjął sardynki i ostatni kawałek chleba. Sardynki były symbolem: za sardynki mogłeś kupić papierosy, wszystko; były najcenniejszym towarem na

czarnym rynku. [Schächter] włożył je do garnka, wymieszał z chlebem i powiedział: „To będzie moja ostatnia wieczerza”. Pomyślałam, że się wygłupia: skąd mógł wiedzieć, co się wydarzy? Ale przyjechaliśmy do Auschwitz i okazało się, że to rzeczywiście była jego ostatnia wieczerza.

W końcu transport ustawił się w szeregu przed doktorem Josefem Mengelem, który jednym ruchem swojej laski kierował nowo przybyłych albo do przymusowej pracy, albo do komór gazowych. Ullmann, Krása i Schächter poszli pierwsi, potem Ančerl, a za nim młoda Zdenka, jej matka i siostra. Ullmann, Krása, Schächter i Klein zostali wysłani na lewo, do komór. Ančerl, który później został szefem filharmonii czeskiej oraz jednym z najwybitniejszych interpretatorów muzyki w drugiej połowie dwudziestego wieku, jak opowiada Fantlová, stał tuż przez nią:

– Był z żoną, gdy dotarliśmy do końca kolejki, przed Mengelem. [Ančerl] niósł swoje dziecko. Strażnicy z psami odebrali mu dziecko, podali je jego żonie, a jego przewrócili na ziemię. Karel wstał i się otrząpał. Mengele z całkowitą obojętnością wysłał żonę i dziecko Karela na lewo, a jego samego na prawo. Nie wiedzieliśmy, co to oznacza; Ančerl zniknął w tłumie, oglądając się na swoich bliskich.

Potem przyszła kolej na Zdenkę Fantlovą.

– Byłyśmy następne. Przyszłyśmy z pociągu. Młoda matka z dzieckiem tulącym lalkę i ja. Moja siostrzyczka spytała: „Mamo, będziemy już niedługo na miejscu?”. „Tak, już za moment”, odpowiedziała moja mama. Siostra podskoczyła z radości. Stanęłyśmy przed Mengelem. Skierował je na lewo, zniknęły w tłumie, siostra wciąż trzymała w ramionach lalkę. Nigdy się nie dowiem, jak brzmiało ostatnie pytanie mojej siostrzyczki. Ja nie czekałam. Dołączyłam do kolejki po prawej.

Sześćdziesiąt siedem lat później w słoneczny poranek w zachodnim Londynie Zdenka Fantlová obchodzi osiemdziesiąte dziewiąte urodziny, a ja dokładam swój bukiet do całej kolekcji kwiatów, które leżą na stoliku przy oknie w kamienicy z widokiem na Hyde Park. Wykuszowe okno wygląda teraz jak wystawa kwiaciarni. Panią Zdenkę otaczają książki po angielsku i czesku. W rogu pokoju stoi pianino, na nim stojak z nutami utworu Brahmsa. Przy maszynie do pisania leżą starannie ułożone dokumenty. Wydaje się, że nawet kurz został przeniesiony do Londynu z kulturalnego, muzycznego domu w środkowej Europie. Pani Fantlová podaje kawę i ciastka, tłumacząc, że nie pije już alkoholu, ale może zechcą wysączyć z nią kropelkę becherowki, ziołowego likieru, tradycyjnego czeskiego „napoju na wzmocnienie”, który pani Fantlová popija „dla zdrowia”.

Zdenka Fantlová, która wręcz tryska energią życiową i wygląda na trzydzieści lat mniej, wróciła niedawno z podróży po Mołdawii z Helgą Hoškovą-Weissová. Wspólnie opowiadały tamtejszym dzieciom o Holokauście. Zdenka opisała historię swojego życia w książce zatytułowanej *Cynowy pierścionek* (2010). Tytułowy pierścionek był prezentem od jej ukochanego z Terezína, chłopca o imieniu Arno, symbolem miłości, który przechowywała jako swoisty amulet, gdy Arno trafił do komory gazowej. Zdenka wychowała się w miejscowości Blatná, jako mała dziewczynka straciła matkę i zmuszona była przedwcześnie wydorosnąć, ratując swoją rodzinę przed katastrofą, jaką byłoby z pewnością planowane przez jej ojca samobójstwo.

Młodą Zdenkę „ocaliła” z kolei muzyka, nauka gry na pianinie, znajomości w artystycznych kręgach i pewien starszy mężczyzna w Pradze, który zabierał ją na koncerty, do teatru i restauracji. Później jednak na rodzinę padł cień Trzeciej Rzeszy, która wkroczyła do Rokycan w 1938 roku: rejestracja Żydów, wydalenie ze szkoły (i krótki okres nauki w British Institute) oraz aresztowanie jej ojca za słuchanie BBC. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie Zdenka zrobiła w domu swojego późniejszego dzieciństwa przed

wywiezieniem do Terezína w styczniu 1942 roku, było odegranie walca D-dur Dvořáka.

Jej pobyt w Terezínie zakończył się ucieczką przed pewną śmiercią w Auschwitz, gdy jej najlepsza przyjaciółka, Marta, w dniu wyjazdu załatwiła jej strój pielęgniarki. Jednak przez większość wojny Zdenka, jak to sama ujęła, „tańczyła pod szubienicą” – występowała w sztukach takich jak *Ostatni cyklista* Karela Švenka, alegorii Holokaustu, czy *Grzegorz Dyndała* Moliera. Oglądała również wystawienia *Brundibára* i wysłuchiwała wstrząsającej podobno interpretacji *Requiem* Verdiego; na fortepianie grał Schächter, a dyrygował Ančerl.

– Dla dziecka to było niemal jak przygoda: co się wydarzy jutro? Jak to się potoczy? Byliśmy w obozie, ale widywaliśmy się z przyjaciółmi, dyskutowaliśmy, braliśmy udział w próbach. Pamiętam koncerty i spektakle, pamiętam pracę w kuchni, ale nie pamiętam spania.

Zdenka miała latarkę „Dynamo”, wspomina, jak pewnego dnia zabrała ją na zewnątrz, w „kompletną ciemność i kompletną ciszę sześćdziesięciu tysięcy wystraszonej ludzi, śpiących i czuwających”.

Jej opis życia w Auschwitz jest równie porażający, jak opowieści innych ocalałych; są w nim obrazy „pryszniców”, bicia batami, tęsknych spojrzeń w niebo, głodu, racji żywnościowych i wyimaginowanych uczt – i kominów, z których stale unosił się dym.

– Żyliśmy w stanie nieustannego napięcia i czujności. Ciągłe coś się działo, więc kiedy przychodziła kolej na ciebie, musiałeś być przygotowany i sobie z tym poradzić. Przetrwanie wymagało trochę odwagi i trochę szczęścia. Czasami robisz coś śmiałego, mówisz sobie „Naprzód!” w odpowiedniej chwili; to inny poziom myślenia. Kiedy walczysz o przetrwanie, bierze w tobie górę coś innego, większość ludzi nawet nie wie, że to w sobie ma i że tego potrzebuje. To jak apteczka, zestaw pierwszej pomocy, choć ja nazwałabym go „zestawem ostatniej pomocy”. Coś w twoim mózgu ma tylko jedno zadanie: uratować ci życie. Dzięki temu nie czujesz głodu, kiedy jesteś głodny, nie drżysz z zimna, kiedy jest ci zimno, nie odczuwasz bólu, choć cię boli. To umiejętność podejmowania decyzji bliska swego rodzaju szaleństwa.

Podobnie jak Helga Hošková-Weissová, Zdenka Fantlová została przeniesiona do Mauthausen, a w 1949 roku, po wyzwoleniu, przeprowadziła się do Australii:

– Była to wtedy pusta kolonia na końcu świata. Przeszkadzała mi świadomość, że księżyc jest po niewłaściwej stronie nieba i że nie mogę tego zmienić.

Potem rozpoczęła karierę aktorki, a w 1956 roku do Melbourne przyjechał Karel Ančerl z czeską orkiestrą filharmoniczną.

– Siedziałam w pierwszym rzędzie – opowiadała pani Fantlová – więc nie dzieliła nas żadna żelazna kurtyna. Był przede mną, starszy mężczyzna z siwymi włosami. Pomyślałam: nikt nie może zobaczyć tego, co ja widzę. Ostatni raz widziałam Ančerla, gdy Josef Mengele rozdzielił go z jego żoną i dzieckiem. Grali wtedy dziewiątą symfonię Dvořáka, a ja tak się popłakałam, że musiałam wyjść.

Na początku lat sześćdziesiątych Zdenka Fantlová przeprowadziła się do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka do dziś – pełna energii, niezłomna, na tyle silna fizycznie, by wygrać w 2010 roku walkę z guzem mózgu, który pojechała leczyć do Czech.

– Myślę, że gdybym leczyła się tutaj, nie poradziłabym sobie z tym – stwierdziła.

Mówiła też:

– Każdy reaguje inaczej na następstwa tego doświadczenia. Jeśli weźmiemy stu ocalałych, otrzymamy sto odpowiedzi. Dla mnie Terezín i Auschwitz to było poprzednie życie. Jakbym umarła i urodziła się ponownie. To drugie życie, po obozach, jest łatwiejsze. Pozbawione strachu. Doceniam proste rzeczy.

Wciąż traktuję każdy dzień jak dar. Jako ocalony miałeś okazję poznać samego siebie: kim jestem? Ile zniosę? Moja pamięć jest całkiem wolna, nie zamykam jej przed niczym, ale i o tym nie myślę. Jest tam jakiś zawór bezpieczeństwa, który mówi mózgowi: nie zastanawiaj się nad tym! Nie możesz sobie na to pozwolić. – Jednak sama dodała: – Czasami to wraca w najmniej oczekiwanych momentach. Tej zimy stałam na stacji metra South Kensington, a przez peron przeszedł podmuch zimnego powietrza. Nagle przypomniał mi o tamtym zimnie. Czułam, że do tego wracam, ale powstrzymałam się w porę. Powiedziałam sobie: „Zdenka, nie jest wcale tak zimno. Masz płaszcz i rękawiczki”. Wzięłam głęboki oddech i powtórzyłam, że wcale nie jest mi zimno. Jeśli tego nie zrobisz, możesz źle skończyć.

Choć w odczuciu Fantlovej obozy należały do „innego życia”, jedno wspomnienie sprawia jej ból. W 1965 roku spotkała się w Ameryce po latach ze swoją przyjaciółką z obozów, Martą.

– Między nami była ściana. Marta powiedziała, że nie chce rozmawiać o tamtych czasach. Odrzuciła je. Rozpłakałam się. Bo jeśli odrzuciła to wszystko, odrzuciła też mnie. Zamknęła to w naczyniu ciśnieniowym i miała nadzieję, że pokrywka nie odleci. – Podczas wszystkich naszych niezwykłych rozmów tylko w tym jednym momencie w oczach Zdenki pojawiły się łzy. – Uratowała mi życie. I ja uratowałam ją. Połączyła nas nierozzerwalna więź, ale to właśnie może spotkać ludzi, którzy dzielą takie doświadczenie.

Zdenka jeździ po Europie, opowiadając o Terezynie, Auschwitz i pamięci. W 2009 roku brała udział w weekendowej dyskusji dotyczącej muzyki skomponowanej w obozie-getcie: kompozycje te grał zespół Nash Ensemble, występujący na co dzień w Wigmore Hall w Londynie. W pewnym momencie, gdy na scenie była zarówno Zdenka, jak i Helga, spytano tę ostatnią, czy w Terezynie urodziły się jakieś dzieci. Pani Hošková-Weissová opowiedziała o dziecku, które przyszło na świat na peronie, gdy pociąg z transportem dojechał do Mauthausen. Wtedy wstała jakaś kobieta siedząca na widowni.

– Ja jestem tym dzieckiem – oznajmiła.

Inna niezwykła historia wydarzyła się, gdy Zdenka opowiadała o swoim życiu w Niemczech.

– Wieczorem, gdy skończyłam wykład w pewnym niemieckim mieście, podszedł do mnie młody mężczyzna. „Czy mogę z panią porozmawiać?”, spytał. „Oczywiście”, odpowiedziałam. Wyjął z kieszeni zdjęcie kobiety w niemieckim mundurze, która miała wąskie, mocno zaciśnięte usta. Powiedział mi, że to jego matka, a on niedawno odkrył, że była sadystyczną strażniczką w Bergen-Belsen. Gdy wyzwolono obóz, była z nim w ósmym miesiącu ciąży, więc Brytyjczycy ją wypuścili. Wkrótce potem umarła. Spytałam go, jak zapamiętał swoją matkę, a on odpowiedział: „Pamiętam, że w nocy często krzyczała przez sen. Co mam zrobić?”. Wzięłam go za rękę i powiedziałam: „Idź do domu. Zapomnij o swojej matce. Żyj swoim życiem”. Podziękował mi, odwrócił się i wyszedł.

Przez szyby wykuszowego okna wpadają promienie słońca, w dole widać autobusy, które jadą w stronę Marble Arch, i kwitnące jawory.

– Jeżdżę z tymi pogadankami – mówi Zdenka – żeby opowiedzieć ludziom, co się stało, ale to nie jest jedyny powód. Mówię im też na różne sposoby, że to może wydarzyć się ponownie.

Część trzecia

Bez rozrachunku: Niech żyje wojna

Każdy obraz przeszłości, który teraźniejszość odrzuci jako dla niej nieistotny, może bezpowrotnie zniknąć.

Walter Benjamin

Aresztowanie Mladicia pozwoliło bośniackim ofiarom wojny w pewnym sensie zamknąć ten rozdział ich życia.

telewizja CNN, 26 maja 2011

Bez rozrachunku: Kamienny świat

6 sierpnia 2011

Jak co roku ustawiamy się na głównej ulicy Kozaraca w konwoju złożonym z kilkuset samochodów, by razem ruszyć do Omarskiej. Obok przejeżdża serbskie wesele, jak zawsze zaplanowane specjalnie na tę godzinę, goście weselni trąbią i wymachują flagą: Tylko jedność uratuje Serbów. Jedziemy główną drogą, za kawiarnią Elite skręcamy w prawo, na most, za którym ukazuje się główna brama kopalni – *Rudnik Omarska*. Prawdę mówiąc, byłem tu już zbyt wiele razy, by reagować w szczególnie emocjonalny sposób, ale wkrótce pomimo trzydziestopięciostopniowego upału przebiega mnie zimny dreszcz, gdy przejeżdżamy pod mackami wielkich maszyn, obok bocznic kolejowych i wagonów, które dziewiętnaście lat temu wiozły ludzki ładunek pod mostem ozdobionym nowym graffiti: „Południowy Bronx”. Okropne uczucie, zwiastun śmierci.

Jesteśmy zaledwie kilka metrów za Białym Domem, na betonowym placu, gdy spotykam kogoś, kogo widuję tylko tutaj, co roku – pogodną, delikatną Lejlę Mujakić z Prijedoru, obecnie mieszkającą w Szwecji; został tu zamordowany jej wujek. Fikret Mujakić był szanowanym nauczycielem chemii. Gdy zabierano go z domu, mówił do swojej rodziny: „Nie martwcie się, nie jesteśmy niczemu winni”. Lejla twierdzi, że zabił go jeden z jego uczniów. Jej ojciec pracował tutaj, w kopalni, przygotowywał ulepszenia, które wprowadzano w Białym Domu, a trzy miesiące później został w nim uwięziony. Spytałem Lejli, czy z roku na rok wraca jej się tu łatwiej, czy trudniej.

– Trudniej – odpowiada bez wahania. – Za każdym razem ból sięga coraz głębiej.

Nedžad Softić, mężczyzna mieszkający w Coventry, w Anglii, to kolejna osoba, którą widuję tutaj co roku. Jednak mijające lata nie pomogły Nedžadowi oswoić wspomnień.

– Nie wiem, co się stało – mówi. – Dawniej ta wizyta nie sprawiała mi problemów. Ale tym razem nie mogę nawet chodzić. Gdy tylko wysiadłem z samochodu, ugięły się pode mną nogi. Nie mogę już normalnie oddychać w tym miejscu.

Wraz z Penny Marshall spacerujemy wokół hangaru, do którego nie pozwolono nam wejść przed dziewiętnastu laty. Śledzi nas czujny wzrok strażników, uważny i obojętny zarazem. Hangar pełni teraz swoją pierwotną funkcję, jest magazynem instalacji i urządzeń przemysłowych. Pokoje na górze, gdzie niegdyś przetrzymywano więźniów, zostały odnowione i wyposażone w eleganckie meble biurowe, jakby nigdy nie wydarzyło się tam nic nadzwyczajnego. Choć wygląda to jak typowy korporacyjny twór, wszędzie unosi się smród zła.

Potem idziemy z Penny do stołówki, w której widzieliśmy wychudzonych mężczyzn pochłaniających łapczywie wodnistą zupę i kawałki chleba. Tu także wszystko jest odnowione, przy stołach z laminowanymi blatami stoją kolorowe plastikowe krzesła, pracownicy kopalni mogą tu zjeść obfity i pożywny lunch. Idziemy nad stołówkę, gdzie szef policji Drljača informował nas o procedurach obowiązujących w „ośrodku zbiorczym”. Teraz tu również mieszczą się biura, na nowych biurkach stoją komputery, na których oblicza się wydobycie rud żelaza i zyski. W końcu trafiamy ponownie na betonowy

plac, gdzie w 1992 roku wyprowadzono nas z obozu. Ekipa filmowa Penny chce nakręcić ostatnie ujęcia i złożyć sprzęt.

– To niemożliwe – warczy strażnik. – Musicie stąd odejść.

Wymieniamy z Penny porozumiewawcze spojrzenia, rozbawieni i zirytowani jednocześnie, oboje przypominamy sobie stanowcze polecenie pani Balaban z 1992 roku: „Powiedział nam, że możecie zobaczyć to i tamto, ale tamtego nie”.

Dużo mówi się obecnie o „powojennych rozwiązaniach”, to modne określenie stało się wręcz synonimem lukratywnego międzynarodowego przemysłu. Ale w Bośni nie ma ani takich rozwiązań, ani rozrachunków. Dwie dekady po zakończeniu wojny wszystko utknęło w martwym punkcie. Republika Serbska zachowuje pozory, uznając oficjalnie zbrodnie z przeszłości na tyle, na ile jest to konieczne ze względów dyplomatycznych; wyroki Hagi są akceptowane, oskarżeni o zbrodnie wojenne przekazywani do Trybunału, bo bez takich działań Serbia nie mogłaby się starać o członkostwo w Unii Europejskiej, a Republika Serbska nigdy nie przeciwstawi się Serbii. Jednak w codziennym życiu, w otoczeniu zwykłych członków społeczeństwa Republiki Serbskiej, ofiary wojny nie tylko nie mogą liczyć na uznanie swej tragicznej historii, ale także skazane są na życie w środowisku pozbawionym wszelkich śladów tej historii, przypominającym odnowione biura i stołówkę w Omarskiej.

Ważnym elementem tej sytuacji, braku rozwiązań i rozrachunku, jest kwestia zrzównania: wymazania z historii nie poprzez zaprzeczenie, lecz za pomocą metody subtelniejszej i skuteczniejszej, polegającej na powtarzaniu, że wszyscy byli jednakowo źli. „Doktryna równoważności” uspokajała – a może i zachęcała do działania – sprawców zbrodni w czasie wojny i wydaje się, że taką samą rolę odgrywa również w czasie tak zwanego pokoju.

Wojenna ekwiwalencja obowiązuje także w czasie pokoju. Każda próba wzniesienia pomnika ku czci ofiar zbrodni na terenie Republiki Serbskiej spotyka się z agresywnym pytaniem: a co z drugą stroną? Pomnik w pobliżu obozu w Trnopolju nie jest jedynym tego rodzaju monumentem upamiętniającym niewielką liczbę zabitych Serbów i ulokowanym tak, by zrobić na złość ich ofiarom. Również pomnik w Fočy, miejscu mordów i masowych gwałtów na Muzułmankach, poświęcony jest nielicznym Serbom z tego miasta, którzy zginęli, jak to określa napis na obelisku, w „wielkiej wojnie ojczyźnianej”. Podobny monument stoi w Višegradzie, niedaleko mostu, na którym brutalnie mordowano Muzułmanów. Jednocześnie prace niezwykle rzetelnej Międzynarodowej Komisji do spraw Osób Zaginionych, która wciąż poszukuje aż 1099 osób uznawanych za zmarłych z okolic Prijedoru oraz około czternastu tysięcy osób na terenie całego kraju, i to dwadzieścia lat po zakończeniu wojny, wciąż są sabotowane oburzającymi oskarżeniami o brak należytej staranności w poszukiwaniu ofiar po serbskiej stronie.

Wszystko to dzieje się przy milczącej zgodzie Zachodu. Potężna korporacja ArcelorMittal nie zaangażuje się w budowę pomnika w Omarskiej, dopóki nie uzyska „zgody miejscowej społeczności”, a wszystkim wiadomo, że nigdy do tego nie dojdzie. Serbskie władze pozwolą na to tylko wtedy, jeśli na terenie Federacji stanie las pomników poświęconych poległym Serbom, choć liczba ofiar po obu stronach jest nieporównywalna, a w obrębie Federacji nie wydarzyło się nic, co można by porównać z Omarską. To wszystko, jak zawsze, uderza najbardziej w byłych więźniów. Jak mówi doktor Idriz Merdžanić:

– Ostatecznie wychodzi na to, że sami jesteśmy w równym stopniu winni. Współodpowiadamy za własną zagładę.

Dochodzimy ponownie do oburzającej koncepcji wymazania przez zrównanie oraz odrzucenia ofiar nie tylko z przestrzeni fizycznej, jako uchodźców rozsianych po całym świecie, ale i z przestrzeni historycznej.

Dalsza część tego rozdziału to refleksja nad tym, czym jest w tych okolicznościach ocalenie z obozu koncentracyjnego i co to ocalenie oznacza. To jednocześnie podsumowanie i raport z tego, jak wspomnienia traumy z 1992 roku oraz brak powojennych rozwiązań i rozrachunków wpłynęły na życie ocalonych. Aby to ocenić, latem i wiosną 2011 roku przejechałem dwanaście tysięcy kilometrów i odwiedziłem diasporę na terenie Europy oraz w St. Louis.

Najpierw jednak warto ustalić odpowiednie ramy – punkt odniesienia – w oparciu o książki, które zabrałem ze sobą. Ich autorami są ludzie, którzy podobnie jak Zdenka Fantlová przeżyli najstraszliwszą z ludzkich tragedii, Holokaust. Oczywiście musimy zachować rozsądek, szacunek i ostrożność, odnosząc się do Shoah, wydarzenia pod wieloma względami wyjątkowego. Znajdziemy tu jednak wiele wniosków i obserwacji dotyczących ocalenia i życia ocalonych – możemy też zobaczyć, w jaki sposób Niemcy dokonali podziwu godnego rozrachunku z Holokaustem i jak dzięki temu rozrachunkowi osiągnęli status lidera demokracji i lokomotywy gospodarczej współczesnej Europy.

Satko Mujagić, który od lat zabiega o wzniesienie pomnika w Omarskiej, ujął to trafnie:

– Niedawno czytałem książkę o Auschwitz i oczywiście nie ma żadnego porównania. W Auschwitz zabijanie było przemysłem, i to na ogromną skalę, w Omarskiej nie. Auschwitz działało przez kilka lat, Omarska tylko przez trzy miesiące. To była wojna światowa, zwożono tam ludzi z całej Europy, tu mieliśmy lokalną wojnę. Uważam, że ludzie na całym świecie powinni wiedzieć i rozumieć, co wydarzyło się w Auschwitz, ale nie oczekuję, by cały świat dowiedział się o Omarskiej. Sądzę jednak, że powinni to wiedzieć i rozumieć ludzie w Banja Luce, Belgradzie, Sarajewie, Wiedniu, Londynie, Paryżu i Nowym Jorku, bo Omarska wydarzyła się we współczesnej Europie, która miała wyciągnąć odpowiednie lekcje z Holokaustu. I w naszej małej, lokalnej wojnie, dla tych, którzy ocaleli, Omarska była naszym Auschwitz.

Wśród olbrzymiej liczby książek o Holokauście – sam zgromadziłem siedem półek takich publikacji – pięć ma szczególne znaczenie w dyskusji o rozrachunku, pamięci i ocaleniu. Cztery z nich wyszły spod pióra byłych więźniów: *La Mémoire et les Jours* [Pamięć i dni] autorstwa Charlotte Delbo, działaczki francuskiego ruchu oporu, *Poza winą i karą* Jeana Améry'ego, austriackiego Żyda, który walczył w belgijskim ruchu oporu, opowiadania polskiego pisarza Tadeusza Borowskiego oraz *Pogrążeni i ocaleni*, wielka mowa pożegnalna Prima Leviego, wydana już po jego śmierci. Piąta to jedno z najwybitniejszych dzieł pośród setek książek poświęconych pamięci Shoah, *Świadectwa zagłady. W rumowisku pamięci* Lawrence'a Langer.

Charlotte Delbo w swoich wstrząsających wspomnieniach, w których obozowe opowieści są przeplatane wierszami i przemyśleniami, rozróżnia dwa rodzaje pamięci obecnej w umysłach ocalonych. Pierwsza to *mémoire ordinaire*, pamięć obecnego „ja”, utrzymująca, że „»ja«, które było w obozie, nie jest mną, nie jest osobą, która siedzi tu obok ciebie”²⁰. Z kolei według *mémoire profonde*, pamięci głębokiej, Auschwitz wcale nie jest przeszłością i nigdy się nią nie stanie. „Gdyby nie to rozszczepienie, nie byłabym w stanie wrócić do życia”²¹ – pisze Delbo. Gdzie indziej tłumaczy:

Skóra powlekająca pamięć o Auschwitz jest gruba. Czasami jednak pęka i zwraca swoją zawartość. We śnie wola jest bezsilna. I w tych snach widzę znowu samą siebie, mnie, tak, mnie, taką, jaka wtedy byłam: ledwie trzymającą się na nogach, przemarznątą, brudną, wychudzoną, i ten ból jest tak nieznośny, tak bardzo przypomina tamten, że znowu odczuwam go fizycznie, czuję go całym ciałem,

które staje się jedną wielką bryłą bólu, i czuję, jak osacza mnie śmierć, czuję, że umieram. Na szczęście w swojej udęce zaczynam krzyczeć. Ten krzyk mnie budzi i wydobywam się z koszmaru, wyczerpana. Musi minąć kilka dni, zanim wszystko wróci do normy, zanim pamięć ponownie „się wypełni”, a jej skóra zablizni. [...] Kiedy opowiadam ci o Auschwitz, moje słowa nie pochodzą z pamięci głębokiej; pochodzą, by tak rzec, z pamięci zewnętrznej [*mémoire externe*], pamięci intelektualnej, pamięci refleksyjnej²².

W krótkiej, lecz przejmującej książce *Poza winą i karą*, w rozdziale zatytułowanym *Tortury*, Jean Améry pisze:

Ktoś raz torturowany, na zawsze pozostaje torturowanym. [...] Kto doznał tortur, nie może się już zadowolić w świecie. Hańba unicestwienia nie da się już wymazać. Zaufania do świata, które wali się w gruzy po części już z chwilą otrzymania pierwszego ciosu, a całkowicie dopiero w trakcie tortur, nie da się już odzyskać²³.

W późniejszym rozdziale zatytułowanym *Resentymenty* Améry zwraca też uwagę na naciski wywierane na byłych więźniów obozów, od których wymaga się, by wraz ze swymi prześladowcami „odcięli się od przeszłości”, oraz na uczucia, jakie budzą w nim takie naciski. Autor pisze:

My, prześladowani, jak twierdzi ów szybujący na niedosiężnych wyżynach człowiek, musimy zinterioryzować doznane w przeszłości krzywdy i przyjąć je na siebie w emocjonalnej ascezie, tak jak nasi dręczyciele biorą na siebie swoją winę. Pozwolę sobie wyznać, że brak mi do tego ochoty, zdolności i przekonania. Za nic nie mogę zaakceptować paralelizmu, który każe mojej drodze bieć równoległe z drogami zbirów okładających mnie bykowcem. Nie życzę sobie stać się współnikiem moich dręczycieli, co więcej, domagam się, żeby to oni zanegowali siebie i w tej negacji dołączyli do mojej osoby. Wydaje mi się, że to nie w procesie interioryzacji trzeba zniwelować leżące pomiędzy mną a nimi góry trupów, tylko raczej wprost przeciwnie, w drodze aktualizacji, a mówiąc jeszcze ostrzej: rozgrywając ów nierozstrzygalny konflikt na polu oddziaływania praktyki historycznej.

Doszło już do tego, że człowiek musi się bronić, mając takie przemyślenia. Wiem, ktoś mi może zarzucić, że to, co tutaj prezentuję, to tylko ubranie w piękne, a może i niepiękne, lecz w każdym razie wysublimowane słowa barbarzyńsko-prymitywnej żądy zemsty, przewycięzonej już szczęśliwie przez postępową moralność. [...] [Ale] skoro nie wypieram się moich resentymentów, skoro przyznaję, że w przemyśleniach naszego problemu jestem „stronniczy”, to wiem przecież, że jestem więźniem moralnej prawdy tego konfliktu. Postulat obiektywizmu wydaje mi się w przypadku polemiki z moimi dręczycielami, z tymi, którzy im pomagali, i tymi jeszcze innymi, którzy tylko patrzyli w milczeniu, kompletnie pozbawiony logiki²⁴.

Améry dodaje również przekonująco: „Przeżycie, jakim było prześladowanie, okazało się koniec końców przeżyciem ekstremalnej samotności”²⁵.

Wspomnienia Borowskiego z Auschwitz zamyka opowiadanie *Kamienny świat*, w którym opisuje świat byłego więźnia słowami poetyckiej pustki charakterystycznej dla jego udęconego pisarstwa:

Od razu muszę wyznać, że chociaż bardzo rzadko zmuszam się po wojnie do oczyszczenia butów i prawie nigdy nie wyskrobuję błota z mankietów spodni, że chociaż wiele wysiłku kosztuje mnie co drugi dzień ogolenie moich policzków, brody i podgardla, że choć dla oszczędności czasu gryzam paznokcie zębami i nie poszukuję rzadkich książek ani kochanek, wiążąc przez tę rezygnację sens mego losu z losem wszechświata, to jednak dopiero od niedawna z lubością wychodzę z domu w skwarne popołudnia na długie, samotne przechadzki po robotniczych dzielnicach swego miasta. [...] i z wielkim wysiłkiem intelektualnym pragnę uchwycić prawdziwy sens widzianych rzeczy, zdarzeń i ludzi²⁶.

Uważa się nie bez powodu, że Primo Levi stworzył najbardziej poruszające literackie świadectwo Holokaustu, lecz wielu ocalałych, między innymi Améry, oskarżało go o „wybaczenie” niewybaczalnego. Jednak w wydanej już po jego śmierci książce *Pogrążeni i ocaleni* Levi pisze jednoznacznie o Niemcach i Niemcach:

Nikt nigdy nie zdoła ściśle ustalić, ilu funkcjonariuszy we władzach nazistowskich mogło nie wiedzieć o tych wstrząsających okrucieństwach, które popełniano; ilu z kolei coś wiedziało, ale mogło udawać, że nie wie o niczym; i w końcu ilu miało możliwość wiedzieć o wszystkim, ale wybrało drogę najpewniejszą i nie chciało o niczym wiedzieć ani słyszeć (a przede wszystkim zmuszało się do milczenia). Niezależnie od tego, jak w istocie było, skoro nie można założyć, że większość Niemców z lekkim sercem akceptowała masowe mordy, można uznać, że brak powszechnej wiedzy o obozach stanowi jedną z największych zbiorowych win narodu niemieckiego²⁷.

Na końcu książki Levi zamieszcza rozdział pełniący funkcję epilogu, zatytułowany *Listy Niemców*,

który powstał w reakcji na publikację niemieckojęzycznej wersji jego innego dzieła, *Czy to jest człowiek*. Ten tekst daje nam obraz – z jednym wyjątkiem, który Levi zbywa krótko – narodu próbującego dokonać rozrachunku ze zbrodniami popełnionymi w jego imieniu. Śledzimy ostrożny tok myślenia Leviego, który z jednej strony stara się zaakceptować rozrachunek Niemców, a z drugiej zachować własne „resentymenty”. Pewna bawarska uczennica czuje się zobowiązana skontaktować z Levim jako „potomek i współnik”²⁸. Lekarz z Wirtembergii stara się zestawić i zrównoważyć „szlachetne dzieła pokojowe” z przedsięwzięciami „demonicznie groźnymi”, które w równej mierze definiują niemiecką historię: „Z tego zespolenia wszystkich tak różnych okresów naszej historii wnioskuję, że jestem uwikłany zarówno w wielkość, jak i w winę mojego narodu. Dlatego wobec Pana czuję się jak współnik tych, którzy dopuścili się przemocy na Panu i na Pańskim narodzie”²⁹. Pewna kobieta z Westfalii pisze: „[...] zdarzało mi się, przynajmniej przed wojną, spotykać czasem osoby z gwiazdą żydowską, lecz nie brałam ich do domu, nie gościłam, jak pewnie gościłabym innych, nie zainteresowałam się, czy może czegoś potrzebują. Tak przedstawia się moja wina”³⁰. Levi zauważa, że jego książka „wywołała oddźwięk w Niemczech, ale raczej wśród tych, którzy najmniej potrzebowali jej lektury; pełne skruchy listy napisali do mnie niewinni, a winni się nie odezwali. Ci, co zrozumią, milczeli”³¹. Ale tak czy inaczej, toczy się tam otwarta dyskusja, rozrachunek jest faktem, a sam Levi pisze: „To, że nie odczuwam nienawiści do Niemców, wielu ludzi zdumiewa, a nie powinno”³².

Książka Lawrence’a Langer’a wyróżnia się spośród ogromnej masy tekstów dotyczących pamięci Holokaustu. Autor bada setki świadectw, by zdefiniować kategorie pamięci. Początkowo posługuje się określeniem „pamięci głębokiej”, stworzonym przez Charlotte Delbo, by omówić „[miażdżącą] realność tego miejsca, ból, wycieńczenie, zimno, które później zlały się w twardą skórę pamięci”³³, na poziomie, na którym „Dzisiejsze próby uwolnienia się od *dédoublement* są równie daremne, jak ówczesne próby ucieczki od rzeczywistości w wyobrażoną przyszłość”³⁴. Langer stwierdza, że ocalenie jako pojęcie definiowane jest poprzez zagładę innych, a później dodaje: „Nie ma domknięcia, ponieważ ofiary, które nie przeżyły – pod wieloma względami najważniejsi »bohaterowie« tych narracji – nie mogą mówić za siebie”³⁵. Gdzie indziej trafnie zauważa: „Napięcie między wymuszoną izolacją a pragnieniem wspólnoty, między odkryciami pamięci głębokiej a konsolacją ze strony pamięci zwykłej, nie słabnie”³⁶. W rozdziale poświęconym „pamięci upokorzonej” Langer zajmuje się pojęciem „monumentalnej wizji przeszłości”. „Zapotrzebowanie na nią jest wyrazem wiary w ludzkość, w siłę indywidualnej woli oraz indywidualnego czynu, w triumf ducha”³⁷. Ocaleni mają obowiązek przeobrazić „osobiste historie o niewybaczalnym okrucieństwie w triumfalne opisy ocalenia. [...] Ale pamięć upokorzona obnaża (niechętnie, ma się rozumieć) daremność takich prób”³⁸. Co więcej, „Pamięć upokorzona jest zapisem momentów, w których historia zawiodła jednostkę ludzką”³⁹ – wzmacniając tym samym poczucie samotności, o którym pisał Jean Améry. Spośród wymienionych tu czworga ocalonych trzech odebrało sobie życie.

Uzbrojony w gorzką mądrość, którą przesiąknięte są stronice tych książek, odwiedziłem ponownie St Conis i latem 2011 roku wyruszyłem w długą podróż do rozszanych po całej Europie członków bośniackiej diaspory, by przekonać się, jak wygląda rozrachunek z pokłosem Omarskiej i innych obozów z 1992 roku.

Šerif Velić

Šerif Velić, obserwator gołębi w Omarskiej, który ukrył prawdę o swoich obrażeniach, gdy spotkaliśmy

się w obozie w 1992 roku, postawił przybudówkę przy swoim domu w miejscowości Kevljani, położonego nieopodal masowego grobu. Chciał, wyglądając przez wielkie okna przybudówki, witać długie letnie dni. Mieszka tutaj od maja do października, kiedy to wraca do Szwecji – „migrując w przeciwnym kierunku niż ptaki”, jak sam zauważa. Serbscy sąsiedzi Velicia dają mu wyraźnie do zrozumienia, że nie odczuwają żadnej skruchy.

– Codziennie czuję tę wrogość – mówi. – Wystarczy spojrzenie, gest, popchnięcie. Kiedy dwa dni temu wracałem z meczetu, tuż za mną pojawił się samochód; miał zapalone długie światła i jechał za mną do samego domu. Ten dramat trwa, każdego dnia przypomina nam, jak bardzo nas nienawidzą. Oni nigdy się nie zmieniają ani nie zaakceptują tego, co zrobili, już na to za późno.

Velic używał słowa *toprak*, oznaczającego ziemię, na której stoi dom. Jest tak bardzo przywiązany do tego miejsca, że zamierza zakopać szczątki swojego starego domu w specjalnym grobie, „grobowcu mojego starego życia”, jak to określa.

– Nie rozumiem ludzi pozbywających się kamieni, z których zbudowane były ich domy – mówi. Nie rozumie też tych, którzy chcą usunąć stary minaret miejscowego meczetu. Został wysadzony w powietrze w 1992 roku i do tej pory leżał w ogrodzie, gdzie runął. – Po co go stamtąd zabierać? To tak, jakbyśmy sami chcieli wymazać pamięć o tym, co się stało! Czasami my, Bośniacy, jesteśmy jak pies, który wraca do swojego pana nawet po tym, jak ten pan uciął mu ogon. Każą im udawać, że nic się nie stało, więc udają. Czy można sobie wyobrazić lepszy pomnik niż minaret wysadzony w powietrze? Będzie jak w Omarskiej; powinni byli zostawić to miejsce w spokoju. To wstyd, że teraz znów przerobili je na kopalnię i biura.

Mówi dalej:

– Kiedy opuściłem Omarską, zabrałem ze sobą wszystkie traumy związane z tym doświadczeniem: tortury, które mi zadawano, świadomość, że byłem kompletnie bezsilny, a oni mogli mnie w każdej chwili zabić. Mam prawo do zemsty i nienawiści. Nie pojmuję ludzi, którzy mówią o przebaczeniu i zapomnieniu, odbieram to jako jeszcze jedną obrazę, a poza tym te dwie rzeczy są sprzeczne, jak można przebaczyć coś, o czym się zapomniało? I jak mogę przebaczyć coś, co cały czas trwa? Serbowie są tutaj jak dzikie zwierzęta, które pochowały się do swoich jaskiń. Gdyby tylko mogli, znów zrobiliby to samo, choćby jutro, i dlatego nic się tutaj nie skończyło, bo trauma nie minęła.

Jednak pomimo bólu i wściekłości coś się wydarzyło. Widziałem Velicia jako wychudzonego więźnia i później jako bardzo chorego człowieka cierpiącego na guza mózgu, który omal go nie zabił. Teraz jednak wygląda piętnaście lat młodziej niż przed piętnastu laty. W jego zachowaniu daje się wyczuć pewien spokój i ascetyzm.

– To wiejskie powietrze – mówi, ale chodzi o coś więcej: Šerif Velic stał się głęboko wierzący.

– Moje życie uległo gruntownej przemianie – mówi, a przez okna wlewają się promienie słońca. – Teraz widzę, że ten proces zaczął się, gdy opuściłem Omarską, i trwa do dzisiaj. Podczas bezsennych nocy myślę o nienawiści, zemście, przebaczeniu. Jeśli kogoś nienawidzę, bez względu na to, kim on jest, jaką mam z tego korzyść? To tylko dodatkowe brzemienie, od którego nie mogę się uwolnić. Mógłbym coś osiągnąć, tylko dokonując zemsty, ale na kim? Musiałbym znaleźć kogoś, na kim bym się mścił! Jeśli zemszczę się na Serbach jako narodzie, niczym nie będę się od nich różnił. Jeśli zemszczę się na strażnikach, którzy mnie bili, ugrzęznę w emocjonalnych miazmatach, zamknę się w błędnym kole. Postanawiam więc zostawić osąd i sprawiedliwość Bogu; pozostać obojętnym wobec tych, którzy mnie

prześladowali, i dzięki temu odnieść nad nimi moralne zwycięstwo.

Velić mówi, że wioska Kevljani niczym Feniks powstała z popiołów, i dodaje, że „tak właśnie postrzega Boga, jako odradzającego się Feniksa”. Mówi też o marności człowieka „zmuszonego ponosić konsekwencje swojej chciwości” i o nieszczęściach związanych z katastrofą w japońskiej elektrowni atomowej w Fukushima – jakby jego uzdrowienie wynikało z przekonania o nadchodzącej apokalipsie, która będzie rozrachunkiem nie tylko dla Omarskiej, ale i dla całej ludzkości.

Velić napisał wiersz po obchodach rocznicy masakry na masywie Vlašić, gdzie 21 sierpnia 1992 roku zamordowano dwustu czterdziestu mężczyzn. Opowiedział o uroczystościach rocznicowych.

– Ktoś rozpoznał wśród policjantów pilnujących porządku człowieka, który brał udział w tej masakrze. Nie posiadałem się z oburzenia. Stałem na krawędzi rozpadliny, przy której zabijali tych ludzi, i sam miałem ochotę się w nią rzucić. Ale wycofałem się, milimetr po milimetrze, i postanowiłem coś napisać.

Wiersz nosi tytuł *Zaćmienie duszy*, a Velić recytuje go głośno:

– Strach i panika, rozszerzone źrenice / To wszystko się dzieje, bo dusza odeszła w ciemność, i patrz: jeźdźcy Apokalipsy / Przybyli: nadszedł ich czas, rządy miecza i kosy / Czwarty jeździec układa ciała w stosy / niesprawiedliwość przyzwala na to milczeniem; sprawiedliwości nie ma. / Oto nadchodzą złoczyńcy: idą z podniesionymi głowami i zatruwają wszystko, co spotykają na swej drodze / Docierają do prawdy przez kłamstwa / Obsadzili trawniki uciętymi głowami, zbudowali przyszłość na naszych nieszczęściach / niesprawiedliwość przyzwala na to milczeniem; sprawiedliwości nie ma / Oto nadchodzą złoczyńcy, niosą swe książki jak naszyjniki / I boją się nawet własnego sądu.

Velić zastanawia się nad sprawcami.

– Powinniśmy zapytać samych siebie, kim oni są. Dlaczego to robią? Niektórzy z powodów ideologicznych, inni z chęci zysku, niektórzy w poszukiwaniu przygód, jeszcze inni z pobudek patriotycznych. Wydaje mi się, że Serbowie mieli także jakiś kosmiczny powód, jak Hitler, jakąś uniwersalną ideę. I dlatego, że czują się dzięki temu panami, władcami; więksi, niż są naprawdę. Ale cokolwiek ich napędza, tworzą system, układ kół zębatach. Główne koło się obraca i wprawia w ruch małe kółeczka, wszystkie są częścią tej samej maszyny. Wielu z nich nie robi nic, zachowują tylko milczenie, ale ich milczenie też jest trybikiem w maszynie. Jedno, czego naprawdę nie rozumiem, to przyjemność, jaką z tego czerpali. To jakiś dodatek do tej maszyny. Nie rozumiem tego, co robili w noc swojego świętego patrona, kiedy podpalali opony do maszyn budowlanych i palili ludzi żywcem. Wyjmowali z ognia płonące drągi, przytrzymywali ludzi i wypalali im znaki na skórze, jak bydło. Widziałem więźniów po pobycie w Białym Domu, mieli porozrywaną skórę, skóra zwisała im z pleców, ropa sączyła się z ran. Kiedyś [Serbowie] wzięli armatkę wodną, jakiej policja używa do rozpędzania demonstracji. Kazali jednemu z więźniów polewać wodą jego kolegów, aż strumień rozerwał jednemu z nich plecy i przewrócił go na ziemię, a oni wszyscy się śmiali. Przyglądałem im się: śmiali się głośno, ubrani w nowe, eleganckie mundury, które właśnie dostali, i ciemne okulary. Nigdy nie zrozumielem radości, jaką z tego czerpali.

Edin i Kadira Karariciowie

Znów jadę przez północno-zachodnie przedmieścia Londynu, samochód czeka na mnie w Chorleywood. Kariera Edina się rozwija: przestał już przewozić niebezpieczne materiały zakorkowanymi arteriami Wielkiej Brytanii i prowadzi teraz wypożyczalnię luksusowych limuzyn.

Siedzimy w ogrodzie na tyłach domu – jest chłodny letni wieczór – a Edin sam przygotowuje sobie

posiłek, bo Kadira ma grypę.

– Jeśli mówię coś komuś pięć razy, a on mnie nie słyszy, po szóstym razie muszę mu przyłożyć – tłumaczy Edin. – To było w dziewięćdziesiątym piątym, kiedy wróciłem do walki. Ale co zrobić, jeśli po siedemset pięćdziesiątym szóstym razie do tej osoby nadal nic nie dociera? Po siedemset pięćdziesiątym szóstym razie zaczyna mnie trafiać szlag, bo ten ktoś bierze mnie za idiotę. A czasami o trzeciej nad ranem zaczynam myśleć, że może się mylę. Ale nie mylę się. Naprawdę byłem taki chudy. A tych ludzi rzeczywiście zamordowano. Byłem więźniem w tamtym obozie i teraz, kiedy śpię (jeśli uda mi się zasnąć), zawsze muszę mieć otwarte okno, choćby nie wiem jak zimno było na dworze. Kiedy jem, ciągle robię to w ten sposób. – Pochyla się do przodu, trzyma nisko głowę, niczym dziki kot, który nie wie, kiedy (i czy w ogóle) zdobędzie następny posiłek. – Odruchowo bronię swojego jedzenia i staram się je zjeść, póki jest ciepłe. Dlaczego nie mogą się przyznać do tego, co zrobili? Mówimy tu o pierwszych obozach koncentracyjnych od czasów drugiej wojny światowej, o stu tysiącach zabitych, o trzydziestu pięciu procentach wymordowanych mieszkańców Kozaraca, o milionie siedmiuset tysiącach deportowanych. Więc co mamy robić? Jedziemy do Omarskiej, wypłakujemy oczy, potem wracamy do Kozaraca i upijamy się do nieprzytomności, słuchając śpiewu jakiejś półnagiej dziewczyny. Co innego mamy robić? Możesz postąpić właśnie tak albo śmiać się sam z siebie, albo rzucić się z dachu. Ja nie mogę jeździć do Omarskiej. Mógłbym tam pojechać tylko z karabinem, ale mówię sobie: nie, bez sensu byłoby tam teraz zginąć. Pojechałem raz, wtedy gdy spotkaliśmy się w kawiarni, w 2004 roku, i naprawdę niewiele brakowało. Miarka się przebrała: dłużej tego nie zniosę. Nie mogę już z tym walczyć. Nie obchodzi mnie sprawiedliwość czy pojednanie, bo nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość i pojednanie.

Mam kłopoty z wątrobą i trawieniem, żyję w stanie permanentnej wściekłości. Kiedy stoję w korku, mam ochotę docisnąć gaz i przejechać po wszystkich. Lekarz mówi: „Minęło ponad piętnaście lat. Teraz to wszystko zaczyna się burzyć, gotować w pańskiej głowie. Musi pan uważać”. Psychiatra dużo mówił o ocalonych z Holokaustu: o tych, którym się udało i przeszli jakoś przez to wszystko, i o tych, którzy sobie nie poradzili, może się nawet zabili. Pytał, czy pamiętam swoje sny. Powiedziałem, że nie. Budzę się o trzeciej nad ranem, zlany zimnym potem, idę na dół, wypalam paczkę papierosów, ale nie pamiętam, co mnie obudziło. Psychiatra mi mówi, że udaje się właśnie tym, którzy nie pamiętają snów. Ci, którzy pamiętają, którzy jeszcze raz przechodzą przez to wszystko i pamiętają swoje sny po przebudzeniu, mogą mieć poważne kłopoty.

Życie dzieci Edina nabiera coraz wyraźniejszych kształtów: dwoje z nich zajmuje się angielskim futbolem. Najstarsza córka Alena zdobyła pracę w dziale prawnym Związku Piłki Nożnej, a młody Dino został zawodnikiem klubu Watford. Melisa, środkowa, zaskoczyła swoich rodziców, oświadczając w wieku siedemnastu lat, że zamierza wyjść za mąż za swojego ukochanego z czasów dzieciństwa w Kozaracu. Wydaje się, że Anglia pozostanie już ich domem, ale ich ojciec wciąż się waha, zawieszony między Wielką Brytanią i Bośnią.

– Pamiętam dzień, kiedy miałem nadzieję na lepszą przyszłość dla swojego kraju – mówi. – To było wtedy, gdy wnieśli mnie na noszach do samolotu lecącego do Anglii, 15 września 1992 roku. Miałem wtedy nadzieję, bo myślałem, że teraz będziemy mogli o wszystkim wam opowiedzieć. Znaleźliście obozy, a my uszliśmy z życiem i mogliśmy powiedzieć o tym światu, a kiedy świat się dowie, sytuacja w Bośni się zmieni. Ale już po kilku dniach pobytu w Anglii zrozumiałem, że oprócz kilku aniołów, które

chciały się nami opiekować, nikogo nie obchodzi nasz kraj. Wtedy zacząłem oglądać telewizję i słuchać polityków: Hurda, Rifkinda, Owena, wszystkich, i zdałem sobie sprawę, że nie tylko gówno ich to obchodzi, ale że wkrótce całkiem znikniemy.

Wcześniej korespondowaliśmy z Edinem mailowo i planowaliśmy wyjście na koncert Johna Mayalla w Watford. Edin pisał:

Bardzo często przylapuję się na chwilach głębokiej zadumy; żyję wtedy w czasach niewyobrażalnych dla zwykłego człowieka. Przeszłość i teraźniejszość zlewają się ze sobą. [...] Nigdy nie jestem sam, ale gdy w pobliżu jest pusto, okropnie się boję. Wydaje mi się, że mam na wszystko tak mało czasu. [...] Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek mógł prowadzić normalne życie. Wszystko przypomina mi czasy, gdy ludzie zamieniali się w zwierzęta i bawili się moim bólem. Jak mogę wybaczyć tym, przez których tak bardzo się bałem? Przez których zapomniałem, jak wyglądają twarze moich dzieci? Ludzie mówią, że pamiętają pierwsze słowa wypowiedziane przez ich dzieci, ich pierwsze kroki, pierwszy dzień w szkole. Chowam się wtedy w swoim świecie i płaczę, bo ja nie pamiętam żadnej z tych pięknych chwil. Potem wpadam w złość i pytam sam siebie: dlaczego jesteśmy dla siebie tacy okrutni? [...] Za dużo pytań i za dużo odpowiedzi dla zwykłego, prostego człowieka. [...] Muszę zobaczyć, jak te zwierzęta cierpią, chcę, żeby żyli daleko od swoich dzieci, nie widzieli, jak wypowiadają pierwsze słowa, jak stawiają pierwsze kroki. Nieważne, co inni o mnie pomyślą. Wcale mnie to nie obchodzi. Przestańmy udawać, że oskarżenie garstki Serbów i skazanie ich na dwadzieścia pięć lat więzienia to wystarczająca kara za odebranie nam naszej tożsamości, naszego kraju. Teraz jestem nikiem, bez swojego kraju nie mam nigdzie swojego miejsca – utrata przyjaciół to zbyt duża cena za zachodnie obietnice.

Po niedawnej wizycie u Edina w Watford, gdy obaj mieliśmy już trochę w czubie, Kadira była uprzejma podwieźć mnie na stację. W zacisznym wnętrzu samochodu, gdy ustała wreszcie męska paplanina, Kadira powiedziała:

– Ostatnio to ze mną nie jest najlepiej. Znow chodzę do psychiatry i zażywam leki. To wszystko do mnie wraca. Porozmawiajmy o tym w Bośni.

Na tym skończyliśmy rozmowę, a ja wysiadłem z auta, żeby złapać pociąg z Watford Junction.

Jedną z najprzyjemniejszych rzeczy związanych z Bajramem w Bośni, oprócz picia w przypadku tych, którzy zachowywali abstynencję w czasie ramadanu, jest zwyczaj odwiedzania znajomych – tylko na chwilę, żeby zjeść (jeszcze trochę) bakławy i wypić (jeszcze jedną) kawę. Ale moja wizyta u Kadiry i jej teściowej, Zumry Kararić, w domu, który odzyskała po latach, przegoniwszy natrętnego intruza, trwa nieco dłużej, a rozmowa, na którą umówiliśmy się kilka tygodni wcześniej przy stacji Watford, przebiega inaczej, niż przypuszczałem: mniej mówimy o demonach, a więcej o powrocie do domu, który pozwala je przegnać. Łagodny, popołudniowy blask słońca pieści róże w ogrodzie pani Kararić, gałęzie drzew uginają się pod ciężarem jabłek. Gospodyni upiekła ciasto z tymi owocami, są tak słodkie, że nie ma potrzeby dodawać cukru. Kadira wyjaśnia, że bakława zrobiona jest z orzechów z drzewa rosnącego przy bramie. Wzdłuż ściany przybudówki maszeruje stadko kaczek, obok bawią się koty. Po rozmowie telefonicznej z Edinem, który aż skręca się z zazdrości, idziemy na spacer wzdłuż szeregu domów; każdy z nich ma swoją niezwykłą historię.

– Ten człowiek wyjechał do Szwecji, był w obozie Batkovići. Serb, który zajął tamten dom, zabił się z powodu tego, co zrobił; szkoda mi tego domu!

Kadira tłumaczy, dlaczego jej zdaniem ostatnio tak nagle się załamała:

– Kiedy jesteś zajęty, kiedy budujesz nowe życie na wygnaniu, nie zastanawiasz się nad sobą, nie chcesz o tym myśleć i nie masz na to czasu. Ale potem nagle okazuje się, że dzieci dorosły, a do ciebie wszystko zaczyna wracać. Lekarz opowiadał mi o ludziach, którzy latami świetnie sobie radzą, a potem nagle następuje załamanie. Ostrzegał mnie przed tym. Miałam dwanaście sesji z psychoterapeutką; była beznadziejna. Czasami myślę, że mogę zrobić tylko jedno, jeśli chcę przeżyć: wrócić do domu... Spójrz!

Na kablu telegraficznym przysiadło stadko jaskółek, padały na nie pomarańczowe promienie

zachodzącego słońca. Przyglądamy im się przez chwilę z zachwytem i zazdrością: oto piękna, wyższa forma życia, gatunek, który w odróżnieniu od naszego rozumie swoje środowisko, troszczy się o przetrwanie i sukces reprodukcyjny, udanie ze sobą współpracuje i nie wdaje się w brutalne spory będące właśnie przedmiotem naszej rozmowy. Zerkam na Kadirę i uświadamiam sobie, że ona również wygląda zupełnie inaczej niż osoba, którą nie tak dawno widziałem w Watford.

– Spójrz tylko na mamę Edina – mówi Kadira. – Jest niesamowita! Gdyby została w Watford, już by nie żyła. Na całym świecie starsze Bośniaczki umierają tylko dlatego, że nie mogą wrócić do domu.

Podczas mojej poprzedniej wizyty pani Kararić zabrała mnie na spacer po swoim ogrodzie, pokazywała mi olbrzymie bakłażany, papryki i pole, na którym pasła się jej krowa. Teraz, w czasie spaceru z Kadirą, dostrzegamy panią Kararić, która kroczy zamasyście przez łąkę, korzystając z ostatnich promieni słońca. Kończy się lato, powoli nadciąga jesień, ale jest jeszcze dość czasu, by zgromadzić drewno na zimę. Starsza pani Kararić przyspiesza kroku i zmierza do lasu, dzierżąc w dłoni siekiere.

Sefer Haškić

Sefer wraca do Kozaraca ze swoją najmłodszą córką Lejlą na Bajram i towarzyszące mu atrakcje. Największą z nich jest jego występ w restauracji Stara Bašta w centrum miasta. Próbuje ująć to taktownie, by nie urazić pozostałych członków rodziny, ale każdy tata zna to uczucie:

– Nie ma nic lepszego od wakacji tylko we dwoje, ojciec i córka.

Nazajutrz, po kilku godzinach snu, zastanawia się nad pytaniem, które trudno było zadać człowiekowi o tak łagodnym usposobieniu.

– Nie mam problemów z Omarską, naprawdę – mówi. – Gdybym miał za dużo wolnego czasu, pewnie myślałbym o tym więcej. Omarska zawsze siedzi gdzieś w głowie, zawsze będzie częścią mnie, ale staram się mieć dużo zajęć, więc nigdy mnie to nie przytłacza. – Problemy pojawiają się we śnie. – Mam złe sny, ale budzę się i mówię sobie: spierdalaj! Nie chcę śnić o tych rzeczach. Odkładam je z powrotem do skrzynki i zamykam ją na klucz. Na początku chodziłem do lekarza, a on przepisywał mi wszystkie te śmiecie; może w pierwszej chwili rzeczywiście mi pomagały, ale ratunek musi przyjść stąd [stuka palcem w głowę] i stąd [przykłada pięść do serca]. Mam przyjaciela w Bolton, który schudł dziesięć kilo, myśląc o wojnie. Ja sobie na to nie pozwolę, muszę oddzielić się od Omarskiej: nie jestem obozem, a obóz nie jest mną.

Czasami jednak obóz odnajduje Sefera albo Sefer odnajduje obóz – bo nie rezygnuje z udziału w corocznej uroczystości, jak wielu innych. Rankiem pierwszego dnia Bajramu w 2011 roku jest w Kamičanach, po porannych modlitwach w Kozaracu.

– Imam poradził, żebyśmy poszli z meczetu w mieście do małej wioski i zbiorowego grobu ludzi zabitych w obozach. I wtedy coś we mnie pęka. Widzę nazwiska na kamieniu, imiona swoich przyjaciół sprzed wojny. I czuję... cóż, radość, że żyję, jestem dumny, że żyję, bo kiedy znajdowałem się w obozie, byłem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że mnie zabiją, czekałem tylko na śmierć. Mój przyjaciel Meho Bešić mawiał: „Sefer, nie wyglądaj przez okno”, a ja pytałem dlaczego. „Bo zabijają nas wszystkich”, odpowiadał. Tak się złożyło, że on też przeżył, mieszka teraz w Szwajcarii. Ale kiedy stoję przy kamieniu, nie mogę powstrzymać płaczu nad tymi, którym się nie udało. Bardzo się cieszę, że była wtedy ze mną Lejla. Ona rozumie. Jest w tym dobra. I umie się bawić: na tych wakacjach cały czas była gdzieś w mieście, prawie jej nie widywałem. Ale rozumie, o co w tym wszystkim chodzi, i tym się

właśnie pocieszałem, patrząc na te nazwiska.

Meho Bešić, sąsiad Sefera z obozu, pozostaje jego najlepszym przyjacielem. A mnie przydarzyło się coś niezwykłego: w czerwcu 2011 roku jeździłem z Seferem po Bolton i rozmawiałem jednocześnie przez telefon ze swoją najstarszą córką Elszą, organizując nasz wspólny wyjazd na Florydę, na konwent miłośników Harry'ego Pottera. Ten wyjazd miał być spełnieniem marzeń Elsy, a jednocześnie moimi wakacjami przed letnim objazdem diaspory w Europie. Po przylocie do Miami wybraliśmy się z Elszą prosto na plażę – jakąż to radość oderwać się wreszcie od tego wszystkiego, zostać tylko w towarzystwie córki. Jak powiedział Sefer, nie ma nic wspanialszego. Nie minęło jednak dwadzieścia minut, gdy podeszły do nas dwie dziewczyny.

– Przepraszam, skąd jesteście?

– Właściwie dopiero co przylecieliśmy z Londynu – odparłem zaskoczony.

– Och, myślałyśmy, że jesteście z Bośni – powiedziała dziewczyna. Zauważyła wcześniej jeden z moich tatuaży: godło Bośni, które kazałem sobie wytatuować podczas wojny. Reszta poszła szybko.

– Z której części Bośni jesteście? – spytałem, choć przypuszczałem już, co usłyszę.

– Z Prijedoru – padła odpowiedź.

– Z Kozaraca?

– Tak.

W dalekim Miami, po zaledwie dwudziestu minutach wspólnych wakacji z córką, znów pojawił się w moim życiu Kozarac. Nie ma przed tym ucieczki: właśnie poznałem Imrę, córkę przyjaciela Sefera, Meha Bešicia, osiem tysięcy kilometrów od jej domu.

Jadranka Cigelj i Hasiba Harambašić

Pociąg z Zagrzebia wjeżdża na dworzec w Prijedorze. Kiedy rusza w dalszą drogę, Jadranka Cigelj przechodzi przez tory i halę dworca, by wkroczyć do miasta, gdzie dorastała, pracowała jako prawniczka i wyszła za mąż, a potem została aresztowana i wywieziona do Omarskiej. Zdecydowanie odróżnia się od otoczenia: elegancko ubrana i starannie umalowana, *nouvelle arrivée* w zapuszczonym Prijedorze. Nie wygląda na kogoś, kto szuka tu swego dawnego życia, które zostało brutalnie przerwane.

– Chcę zobaczyć, co tutaj zostało, bez brzemienia nienawiści – mówi wprost. – Ci ludzie nie są wari mojej nienawiści.

Idziemy przez chwilę zamkniętą dla samochodów promenadą, a potem docieramy boczną alejką do budynku, w którym wychowywała się Jadranka. Oto i jest – narożne mieszkanie na drugim piętrze, z werandą, niegdyś elegancką i ładnie utrzymaną, teraz zaniedbaną i brudną. Na pierwszy rzut oka wydaje się puste.

– O nie – parska Jadranka z pogardą. – Oni tu mieszkają, jasne.

Choć nie chce tego okazywać, Jadranka jest wyraźnie poruszona, prowadzi mnie z powrotem na promenadę, gdzie przysiadamy w jakiejś cukierni serwującej paskudną, pozbawioną smaku kawę z ekspresu, popularną obecnie w Bośni (kraju znanego z wyśmienitej, świeżo parzonej kawy).

– Po obozie – wspomina Jadranka – pojechałam do Dachau. Chciałam zobaczyć, jak to wyglądało. Odbywały się tam: konferencja, wykład i dyskusja. Podeszła do mnie jakaś kobieta i dała mi bransoletkę z koralami, mówiąc, że ocaliła ona jej babkę przed zesłaniem do następnego obozu. Przyjęłam ten prezent z radością, ale nie noszę go. Mam wrażenie, że mógłby mnie sparzyć, choć rzeczywiście był to niezwykle podarunek. Ta podróż pozwoliła mi zrozumieć, w jak dużym stopniu Niemcy zamknęli ten rozdział swojej

historii: z jednej strony mają go już za sobą, a z drugiej są go świadomi. – Jadranka mówi głośno, z pewnością siebie, tutaj, w centrum Prijedoru, skąd została wygnana. – Ale tu nic takiego się nie dzieje! To jakaś psychoza, budowanie wszystkich tych pomników stronie, która popełniała zbrodnie! To arogancja małych ludzi, dla których wszystko musi być serbskie, czy to kiełbasa, czy Bóg, który na pewno też jest Serbem. – Trudno zachować powagę, słuchając tych prowokacyjnych uwag upokorzonej niegdyś kobiety, która wróciła, by zagrać na nosie swoim prześladowcom.

Nie oznacza to, że Jadranka jest lojalną Bośniaczką. Niedawno pojechała do Sarajewa, by ubiegać się o rentę w wysokości dwustu trzydziestu euro, do której uprawnieni są byli więźniowie obozów i ofiary gwałtów.

– Ale tylko jeśli mieszkasz w Federacji – piekli się Jadranka. – Jakby mieszkańcy Republiki Serbskiej byli w 1992 roku na wakacjach. Wszystko kręci się wokół przynależności etnicznej, a ofiary nikogo nie obchodzą. SDA, HDZ, te partie zachowują się tak samo, jak serbscy nacjonaści. Dlatego właśnie lubię Bibę [chodzi o jej najlepszą przyjaciółkę, Bibę Harambašić], choć spieramy się ze sobą, bo ja nie jestem komunistką. Ona urodziła się komunistką i dlatego nigdy nie uległa temu katastrofalnemu nacjonalizmowi. A ja owszem! – dodaje, żartując z samej siebie.

Jadranka, która jest katoliczką, przyjechała do Prijedoru między innymi właśnie po to, by zobaczyć się z Bibą, swoją przyjaciółką i była współwięźniarką. Podrzucamy ją na miejsce i wracamy wieczorem, gdy mają już za sobą kłótnie polityczne i rozmowy na ważniejsze tematy.

Biba chce rozmawiać o Omarskiej; Jadranka chce rozmawiać o teraźniejszości i o swojej karierze politycznej w kierownictwie chorwackiej partii HDZ, o której mówi:

– Byłam idealistką zdradzoną przez własny idealizm. Uświadomiłam to sobie w 1993 roku. Zobaczyłam, co moi rodacy robili Muzułmanom w obozie Heliodrom w Mostarze: to była niemal kopia Omarskiej. Tej nocy siedziałam w ogrodzie hotelu w Medjugorju, niedaleko Mostaru, i wypłakiwałam swoją ideologię. W 1995 roku, gdy nasi generałowie na powrót zjednoczyli się z Muzułmanami, byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie. Uznałam, że powinnam dać HDZ drugą szansę. – Po wojnie Jadranka znalazła się w kierownictwie partii w Chorwacji. – Ci ludzie wybrali jednak głupie gierki zamiast poważnej polityki i wyrzucili mnie. – W tym momencie Jadranka przerywa i wychodzi na balkon, by cieszyć się pięknym wieczorem w tym okropnym miejscu i patrzeć, jak zmierzchnięta otula Prijedor.

– Pod koniec wojny – mówi Biba – byłam kompletnie rozbita, jakby żyło we mnie sto różnych osób. Ale miałam cudownego męża. Czekał na mnie trzy lata w ukryciu, jako jeden z nielicznych zdołał przeżyć cały ten czas w Prijedorze. Dowiedział się, że gdy zabrano mnie do Omarskiej, Milan Kovačević [udręczony wiceprezydent Prijedoru] powiedział: „Zostawcie go na razie w spokoju. Jeśli mamy Bibę w Omarskiej, on już nie żyje”. – Jusif Harambašić, milczący, łagodny mężczyzna, wychodzi z pokoju, jak mają to w zwyczaju mężowie, gdy damy mówią o gwałtach w Omarskiej; a może po prostu dlatego, że w telewizji trwa właśnie relacja z meczu piłkarskiego Bośni z Białorusią. Biba niezrażona kontynuuje: – Skrzywdzili mnie najgorzej, jak mogli. Nie odebrali mi dumy, gdy byli wobec mnie brutalni i zmuszali mnie do ciężkiej pracy. Ale kiedy mnie zgwałcili, poczułam się odarta z resztek godności. Kiedy mi to zrobili, pomyślałam: to koniec. Jestem martwa w środku.

Po tym wyznaniu następuje niezwykle spontaniczna wymiana zdań w gęstniejącym wieczornym mroku.

– W moim przypadku było inaczej – mówi cicho Jadranka z głębi pokoju. – Nigdy nie odebrali mi dumy. Nawet gwałtem. Byłam przedmiotem, a nie podmiotem, a podmiot zachował godność i dumę.

Duma patrzy prosto na swojego oprawcę, by wiedział, co zrobił i kim jest. Gdybym pozwoliła mu to zrobić za kawałek chleba, czułabym się pozbawiona godności. Ale nie w sytuacji, gdy zrobił to siłą.

Czy udało im się jakoś poradzić sobie z tym doświadczeniem?

– Od pięciu lat znoszę dotyk innych osób – odpowiada Jadranka. – Wcześniej wystarczyło, by ktoś uściskał mnie na powitanie, a ja zamierałam, wpadałam w panikę, wycofywałam się.

– Tylko mój mąż i moje dziecko wiedzieli, co mnie spotkało – wtrąca Biba ze swojego fotela po drugiej stronie stołu.

– Ale wciąż nie mogę znieść jednego – kontynuuje Jadranka. – Nie cierpię, gdy ktoś podnosi głos. Nie tylko na mnie, na kogokolwiek. Po prostu tego nie toleruję.

– Myślę, że Jadranka i ja przeżyłyśmy po części dlatego – mówi Biba – że pochodziłyśmy z rodzin, w których nigdy niczego nie brakowało, i poświęcałyśmy mnóstwo czasu na rozmowy o tym, co zjemy, co będziemy nosić i co sobie kupimy po wyjściu z obozu. Po prostu nie chciałyśmy uwierzyć, że naprawdę nas zabijają, choć wszystko na to wskazywało; elitę zabijali w pierwszej kolejności, dlatego tam właśnie trafiłyśmy!

– Otóż to! – zgadza się z nią Jadranka. Wyciąga dowód tożsamości z tamtego okresu: wyniosłe spojrzenie, wysokie kości policzkowe, kruczoczarne włosy, piękna twarz: – Pół roku po tym, jak zrobiono to zdjęcie, zabrali mnie do Omarskiej. Byłam atrakcyjna, rozwiedziona, inteligentna i spełniona zawodowo – winna!

Nusreta Sivac

Była sędzia Nusreta Sivac spotyka się ze mną nad rzeką w Sanskim Moście, gdzie teraz pracuje – na terytorium Federacji, bo w Republice Serbskiej nie może wykonywać swojego zawodu. Rozmawiamy w kawiarnianym ogródku nad Saną, a potem odwożę ją do domu, do Prijedoru, przez wewnętrzną granicę Bośni. Nusreta nie zdejmuje ciemnych okularów. Jako posłanka Socjaldemokratycznej Partii Bośni i Hercegowiny niemal codziennie spotyka się z miejscowymi serbskimi politykami. Podsumowując te spotkania, mówi:

– Po wszystkich tych latach, procesach i wyrokach, po wszystkich książkach i filmach, dokumentach z nazwiskami tysięcy ofiar, zabitych i zaginionych, wciąż nie potrafią tego z siebie wydusić i przyznać się. Początkowo byłam naiwna. Nigdy nie przypuszczałam, że tak uparcie będą się wszystkiego wypierać. Ale przestałam już czekać – oświadczają z goryczą. – Mówią, że nie wiedzieli, co się działo, jakby przespali cały ten czas! To niemal zabawne, że Serbowie w Prijedorze wiedzą wszystko o zbrodniach popełnionych na Serbach w Tuzli, ale nie mają pojęcia o zbrodniach popełnionych w ich własnym mieście przez ich rodaków. To prawda, że burmistrz przychodzi teraz na nasze zbiorowe pogrzeby i że na poziomie urzędowym sytuacja trochę się zmieniła. Ale w głowach ludzi, których widuję codziennie na ulicy czy w ratuszu, wszystko jest po staremu. W pierwszych miesiącach po naszym powrocie – wspomina – strzelali do mieszkań, do których wróciliśmy, ścigali nas na ulicach. Pytałam wtedy samą siebie: czy to jest naprawdę tego warte? Czasami w nocy ogarnia mnie strach, boję się, że ktoś zapuka do drzwi albo wrzuci cegłę przez okno. Sił dodaje mi tylko myśl, że dzięki naszemu powrotowi Serbowie nie dostaną tego, czego chcieli. Ale nigdy już nie będę szczęśliwa.

Wydaje się jednak, że od czasu pobytu w Nowym Jorku Nusreta wyraźnie okrzepła, stwardniała, czy to ze względu na wymogi polityki, czy dzięki wewnętrznej odporności. Mówię jej o tym.

– O, mam też chwile słabości – odpowiada, zamawiając gałkę lodów w szklanej miseczce. – Walczę

z tym jak wszyscy inni. Każdy z nas przeżywa to w inny sposób, bywa, że idę sobie ulicą i nagle ni stąd, ni zowąd dopada mnie kryzys. Niektóre kobiety nigdy nie chcą o tym rozmawiać, oddzielają to grubą kreską i dzięki temu jest im łatwiej. Ja mogę o tym otwarcie dyskutować, nigdy nie sprawiało mi to problemu. Ale czy głośno, czy po cichu, rozmowa z samym sobą nigdy nie ustaje.

Sabiha Turkanović

Nie bez powodu restauracja Czerwone Róże cieszyła się uznaniem i sławą. Sabiha, ostatni więzień Omarskiej, który uszedł stamtąd z życiem, przygotowuje lunch, o którym długo nie da się zapomnieć: bakłazany, które rozpływają się w ustach, papryki nadziewane ryżem, pomidorami i czosnkiem. Potem siedzimy na jej tarasie, naprzeciwko straganów, które wciąż budzą w niej traumatyczne skojarzenia. Z dumą i goryczą zarazem mówi, że jako „oficjalna” ocalona ma w Bośni potrójny status – „ofiara gwałtu, świadek w Hadze i były więzień obozu” – ale jest już zmęczona.

– Ta ciągła wędrówka po urzędach, w których muszę udowadniać przed zdrowymi młodymi mężczyznami swoją krzywdę. Po kilku dniach takiej włóczęgi po Sarajewie trafiłam do człowieka, który zaoferował mi dwieście marek [sto euro] na mieszkanie. Powiedziałam mu: „Nie jestem Cyganką, niech pan sobie zatrzyma te pieniądze”. W Republice Serbskiej z dnia na dzień jest coraz gorzej – zauważa, opisując krajobraz polityczny. – Przejeżdżają tędy pijani chłopcy, pozdrawiając się po serbsku. Ale prawdę mówiąc, nie byłabym w stanie przejść przez to wszystko jeszcze raz. Gdyby doszło do następnej wojny, co nie jest wykluczone, kupiłabym broń, zabiła kogo się da, a potem sama się zastrzeliła. Albo po prostu zostałabym w Niemczech.

Sabiha nadal spędza połowę życia w Monachium, w mieszkaniu, do którego wieziemy ją pewnej nocy. Wyjeżdżamy z Bośni i docieramy na miejsce wczesnym rankiem następnego dnia. Sabiha prowadzi nas umiejętnie przez labirynt dróg i tuneli Monachium niczym żywy GPS. To była niezwykła podróż przez Chorwację, Słowenię, Austrię i część Bawarii, Sabiha przegadała znaczną część drogi, a co pięćdziesiąt kilometrów częstowała nas przekąskami, które wyjmowała ze swej przepastnej torby.

– Nigdy nie mogłabym wrócić do Kozaraca na stałe. Gdyby żył mój mąż, to owszem, ale w tej sytuacji samotność i smutek byłyby nie do wytrzymania. Przez dwa lata nie opowiadałam nikomu o tym, co mi zrobili – mówi. – Nie wspominałam, że byłam gwałcona. Potem, w 2002 roku, pojechaliśmy z Nusretą do Omarskiej. Bałam się, ale odłączyliśmy się z Nušką od grupy i poszliśmy zobaczyć pokoje, w których nas trzymali. Serce waliło mi jak szalone. – Sabiha rytmicznie uderza pięścią o pierś. – Nic się tam nie zmieniło. Wciąż stały te same lampy, w oknach wisiały te same stare zasłony. Na podłodze leżał cienki styropian, na którym spałyśmy, na nim wojskowe koce. Była metalowa szafka dla strażników i książki, które tam trzymałyśmy. Dla mnie to był pomnik wszystkiego, czego się tam dopuszczono. Kiedy idziemy tam teraz, widzimy ładnie odnowione biura, w których pracują ludzie z Omarskiej; nowe podłogi, nowe zasłony, nowe biurka, żeby ludzie mogli zarabiać pieniądze. Od razu staje się jasne, ile nasza krzywda znaczy dla świata. To wyraz pogardy i braku szacunku, lekceważenia wszystkiego, co się tam stało. Powinni postawić się na naszym miejscu, pomyśleć o tym, przez co przeszliśmy w tych pokojach. Ale oni przerobili je na biura, chcą to wszystko ukryć, żeby ludzie zapomnieli.

Pojechałam do Auschwitz i choć to coś innego, przypominało mi trochę Omarską. Zostawili to dokładnie tak, jak wyglądało kiedyś. To jest prawdziwe muzeum, wyraz szacunku dla ludzi, których tam zabito. Tak powinien wyglądać nasz pomnik w Omarskiej. Ale nikomu na tym nie zależało.

Sabiha opowiada, jak prowadziła kampanię na rzecz budowy pomnika w Omarskiej:

– Próbowaliśmy spotkać się osobiście z burmistrzem Paviciem. Znałam go przed wojną i powiedziałam o tym jego sekretarce. Ale on nie zgodził się na rozmowę.

Ja miałem więcej szczęścia niż Sabiha i zostałem przyjęty przez burmistrza.

Burmistrz

Do tej pory wchodziłem na te schody dwukrotnie. Po raz pierwszy w 1992 roku, by w drodze do Omarskiej spotkać się z Drljačą, Stakiciem i Kovačeviciem, a potem w roku 1996, gdy szukałem Drljačy. Na stopniach leży teraz elegancki dywan, a w holu na pierwszym piętrze umieszczono podium, za którym widnieje nowy herb miasta i gminy Prijedor: most na rzece Sanie i serbski krzyż z czterema cyrylicznymi literami „S”, na wypadek gdyby ktoś miał wątpliwości, do której grupy etnicznej należy to miejsce od 1992 roku.

Marko Pavić nigdy nie został oskarżony przez Trybunał w Hadze, choć jego nazwisko pojawia się w dokumencie zatytułowanym *Raport z Prijedoru*, przygotowanym dla Rady Bezpieczeństwa ONZ w 1994 roku. Znajduje się tam następujący ustęp:

W Prijedorze Marko Pavić był alfą i omegą w SDS [partia Karadžicia]; wcześniej pełnił funkcję burmistrza miasta. [...] Pracował dla policji i Urzędu Bezpieczeństwa Wewnętrznego [służb specjalnych Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii], która miała bliskie związki z JNA [Jugosłowska narodna armija, czyli Jugosłowiańska Armia Ludowa]. W czasie gdy Serbowie przejęli władzę w gminie Prijedor, był dyrektorem Poczty, Telefonu i Telegrafu w tym regionie. Podobno odegrał decydującą rolę w przejęciu władzy, a serbska kontrola nad pocztą ułatwiała dokonywanie transakcji finansowych w tym czasie. Uważa się, że pocztę kierowaną przez Marka Pavicia wykorzystywano między innymi do przekazywania i prania brudnych pieniędzy w okresie przejmowania władzy przez Serbów i potem.

Na ścianie tego samego pokoju, do którego zaproszono nas w 1992 roku, wisi nowa kolekcja oprawionych w ramy dyplomów. Jeden z nich, wystawiony przez Porozumienie między Burmistrzami Unii Europejskiej, chwali region za osiągnięcia w „podnoszeniu jakości życia obywateli”. Inny, z Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, docenia „skuteczną administrację w regionie”. Z kolei Kongres Władz Lokalnych i Regionalnych Rady Europy w 2009 roku wyróżnił Prijedor w „uznaniu za zaangażowanie w obronę praw człowieka i [...] propagowanie różnorodności w życiu społecznym”.

– Zwykle nie zgadzam się na te wywiady – zaczyna burmistrz. – Przyjeżdża tu mnóstwo dziennikarzy, którzy potem wracają do siebie i piszą to, co od początku zamierzali napisać. – Dziewiętnaście lat wcześniej, siedząc na tym samym miejscu, podobny argument przedstawił Milan Kovačević. – Utrzymujemy tu bardzo dobre stosunki między trzema narodowościami – mówi burmistrz Pavić. – I bardzo dobre relacje między wyznaniem. Prijedor to miasto wieloetniczne – oświadczają z naciskiem. – Większość stałych mieszkańców to Serbowie, ale są także Boszniacy i Chorwaci, którzy zostali w Prijedorze. – Można to ująć i w taki sposób. – Jest też dwadzieścia pięć tysięcy Boszniaków, którzy wrócili z uchodźstwa, i osiemnaście tysięcy Serbów, którzy uciekli z innych miejsc w Bośni i Chorwacji. Stoi więc przed nami bardzo trudne zadanie: znaleźć wszystkim pracę.

Na razie brzmi to bardzo pięknie. Burmistrz mówi przez chwilę o czystkach etnicznych – o Serbach z Sanskiego Mostu po wojnie. Potem przechodzę do tematu pomnika w Omarskiej.

– Prawda jest taka – mówi burmistrz – że łatwo być Boszniakiem w Kanadzie czy Londynie, przyjeżdżać na parę dni do Prijedoru i wygłaszać swoje zdanie, nie biorąc pod uwagę tutejszych realiów. – Jakie są realia? – Inne prawo obowiązuje w Federacji, gdzie uwzględnia się krzywdy Boszniaków i mudżahedinów, a inne w Republice Serbskiej.

Zatem Republika Serbska powinna zezwalać na wznoszenie pomników pomordowanych Boszniaków,

ale od Federacji nie oczekuje się zgody na pomniki dla poległych Serbów.

– Jeśli chodzi o pomnik: wiem, co mówi większość cudzoziemców o niedobrych intencjach oraz Boszniacy mieszkający za granicą. Mówią, że to ja stoję na przeszkodzie budowie pomnika w Omarskiej. Ale ja domagam się tylko, by w całej Bośni obowiązywało jednolite prawo dotyczące pomników. [Federacja] nie akceptuje pomników na cześć naszego narodu. W Tuzli nie doczekaliśmy się żadnej reakcji na prośbę o upamiętnienie Serbów zabitych w tym mieście. Pomnik w Omarskiej nie powstanie, dopóki na terenie całej Bośni i Hercegowiny nie będzie obowiązywało jednolite prawo.

Burmistrz twierdzi z uporem, że to, co stało się w Omarskiej, nie różniło się niczym od krzywd, jakie spotkały Serbów w Tuzli. Oczywiście, że powinien powstać pomnik poświęcony Serbom zabitym w Tuzli. Ale tego, co stało się w Tuzli, nie da się porównać z Omarską; i znów następny ruch należy do ofiar.

W rozmowie pojawia się jednak ważny – i niejednoznaczny – sygnał. Pytam, czy wokół wydarzeń w Omarskiej toczy się jakaś debata.

– W Prijedorze nie ma żadnej debaty – odpowiada burmistrz Pavić. – Nie negujemy tego, co stało się w Omarskiej, i akceptujemy wyroki z Hagi. Ale musimy też brać pod uwagę konsekwencje wzniesienia pomnika w tym miejscu. Nie zgadzamy się na to. Należeliśmy do wrogich armii, a do pojednania może dojść tylko wtedy, gdy wszystkich będą obowiązywały te same standardy.

Innymi słowy, chodzi o wyrównanie szans w grze, której wynik dawno już został przesądzony.

Kilka dni później byłem umówiony na spotkanie przy wielkim pomniku poległych Serbów z Prijedoru, na placu pod oknami gabinetu burmistrza Pavicia. Przyszedłem trochę wcześniej i wdałem się w pogawędkę z przechodniem.

– Och, to było straszne – mówił mężczyzna w średnim wieku, który również czekał tu na kogoś. – Muzułmanie zabili tu setki Serbów. Pan jest dziennikarzem, więc szkoda, że pan tego nie widział. – W odpowiedzi zagryzłem tylko wargi.

Tego samego dnia Penny Marshall kręciła film dokumentalny w wioskach w okolicy Omarskiej.

– W Omarskiej nikt nie zginął – twierdził stanowczo bezzębny Serb. Można się tylko zastanawiać, czy ci ludzie są naprawdę szaleni, czy tylko udają.

ArcelorMittal

Tuż za budynkiem urzędu miejskiego, gdzie pracuje burmistrz Pavić, znajduje się miejscowa siedziba firmy ArcelorMittal. Pavić i przedstawiciel Mittal w tym regionie, Muhari Mukherjee, są więc sąsiadami. W kwietniu 2011 odbyłem telekonferencję z Mukherjeem, Arnem Langerem, rzecznikiem prasowym ArcelorMittal, oraz Felicidad Cristobal, szefową Mittal Foundation, odpowiedzią firmy na Bill and Melinda Gates Foundation, znaną ze swej działalności w Afryce. Pani Cristobal koniecznie chciała opowiedzieć mi o projekcie prowadzonym przez mojego przyjaciela Kemala Pervanicia, łączącym dzieci byłych więźniów obozów z dziećmi miejscowych Serbów, między innymi obozowych strażników. Przyznałem, że to rzeczywiście wspaniała inicjatywa, ale bardziej interesowało mnie, co dzieje się w kwestii najważniejszej dla niemal wszystkich ocalałych, czyli upamiętnienia zbrodni dokonanych w Omarskiej. Na ten temat pani Cristobal wypowiadała się ze znacznie mniejszym entuzjazmem, zarzuciła nawet kampanii prowadzonej przez Satka Mujagicia „szerzenie nienawiści” w regionie. Pan Mukherjee, który łączył się z nami z Prijedoru, podchodził do sprawy z większym dystansem i zgodził się ze mną, że dawno już powinniśmy byli się spotkać osobiście, umówiliśmy się

więc wstępnie na lunch w Prijedorze latem tego samego roku. We wrześniu zadzwoniłem do biura pana Mukherjeego, by zaprosić go na wspomniany wcześniej lunch, jeśli tylko będzie miał czas i ochotę. W odpowiedzi otrzymałem e-maila i to nawet nie od niego osobiście, lecz od Arnego Langerera, który pisał:

Dostałem dziś z Prijedoru wiadomość, że prosił pan o spotkanie z tamtejszym dyrektorem, panem Mukherjeem. Obawiam się, że jego harmonogram [sic] jest obecnie bardzo napięty i że w najbliższym czasie nie znajdzie wolnego terminu. Poza tym z naszego punktu widzenia kwestia pomnika w Omarskiej nie podlega dyskusji. Stanowisko ArcelorMittal jest jednoznaczne: o sprawie pomnika w tym miejscu powinna rozstrzygać lokalna społeczność w porozumieniu z odpowiednimi władzami. ArcelorMittal nie bierze udziału w tej dyskusji i nie zajmuje żadnego stanowiska w tej kwestii. Jesteśmy gotowi w pełni współpracować przy realizacji rozwiązania, które zostanie zaakceptowane przez lokalną społeczność.

Parę miesięcy wcześniej, 9 maja, kiedy w Bośni świętuje się dzień zwycięstwa nad faszyzmem, byli więźniowie obozów przygotowali uroczystości rocznicowe w Omarskiej. Wywołało to sprzeciw miejscowych serbskich organizacji charytatywnych, które wydały oświadczenie, że obóz był jedynie „ośrodkiem zbiorczym” (tego samego terminu używał Sztab Kryzysowy w 1992 roku). Co istotne, w uroczystościach uczestniczyła grupa młodych Serbów z Belgradu, współpracująca z artystką Milicą Tomić oraz serbską organizacją pokojową o nazwie Kobiety w Czerni. Kobiety w Czerni otrzymały od pana Mukherjeego list dotyczący pomnika w Omarskiej. Treść listu brzmiała następująco:

Od początku naszych działań w Prijedorze dawaliśmy jasno do zrozumienia, że nasza firma jest gotowa współuczestniczyć w realizacji rozsądnego rozwiązania dotyczącego przyszłego statusu Białego Domu, ale forma takiego rozwiązania może być wyłącznie wynikiem uzgodnień miejscowej społeczności. Firma ArcelorMittal nigdy nie angażowała się w tę sprawę. Co więcej, firma nigdy nie zajmuje stanowiska w kwestiach politycznych i religijnych na terenach krajów, w których działa.

Z powodów uzgodnionych w sali konferencyjnej ArcelorMittal niezwykła, przerażająca historia kopalni w Omarskiej oraz fakt, że na zakupionych przez firmę terenach mieścił się obóz koncentracyjny, zostały sprowadzone do „kwestii politycznej i religijnej”, w której firma nie zajmuje „stanowiska”.

W styczniu 2006 roku organizacja Amnesty International opublikowała raport dotyczący „poważnych i trwałych naruszeń praw człowieka”, za jakie uznano dyskryminację Boszniaków wracających po wojnie do swojego kraju. W części raportu poświęconej kompleksowi górniczemu Ljubija/Omarska – zatrudniającemu przed wojną setki Muzułmanów – stwierdzono, że Muzułmanie, którzy zostali zwolnieni ze względu na przynależność etniczną i przeżyli wojnę, po ponownym otwarciu kopalni przez Republikę Serbską nie mieli możliwości powrotu do pracy, nie otrzymali też renty ani żadnych innych świadczeń. Gdy firma Mittal przejęła kompleks w 2004 roku, obietnice dotyczące bezpieczeństwa zatrudnienia „odnosiły się tylko do pracowników, którzy oficjalnie kontynuowali pracę w zakładzie [...], a nie do byłych pracowników”, czyli tylko do Serbów, którzy po wojnie wrócili do pracy lub zostali zatrudnieni po raz pierwszy. „Nowa firma – czytamy w raporcie – nie bierze odpowiedzialności za nieserbskich pracowników, którzy zostali niesłusznie zwolnieni”. Z powodów ekonomicznych firma dążyła do redukcji zatrudnienia i „nie interesowała się zwolnionymi pracownikami, z których wielu było już bliskich wieku emerytalnego i zdaniem zarządu firmy nie nadawało się do pracy w nowoczesnej kopalni”.

W czasie gdy powstawał raport, do Prijedoru i w okolice wróciło dwadzieścia pięć tysięcy Boszniaków, a Mittal zapewniał Amnesty International, że „w przyszłości pracownicy kopalni będą zatrudniani wyłącznie na podstawie ich zalet i umiejętności, a nie przynależności etnicznej”. Jak jednak napisano w raporcie, „mimo zapewnień przedstawicieli firmy, że nie będą tolerować dyskryminacji etnicznej, Amnesty International nic nie wiadomo o tym, by firma podjęła jakiegokolwiek kroki zmierzające do wprowadzenia jasnych i niedyskryminujących praktyk w procesie zatrudnienia w New Ljubija

Mines”. Raport zalecał, by ze względu na „krwawą historię” wprowadzono „konkretne i jasne środki eliminujące dyskryminację w miejscu pracy”. Zauważono również, że „władze Republiki Serbskiej zarówno w tym przypadku, jak i w wielu innych, nie wywiązały się należycie z obowiązku wprowadzenia w życie istniejących antydyskryminacyjnych przepisów i aktywnej promocji polityki antydyskryminacyjnej, w tym także w dużych przedsiębiorstwach poddanych lub poddawanych prywatyzacji”. Krótko mówiąc, Republika Serbska nie przestrzega przepisów i nadal stosuje dyskryminację, więc inicjatywa należy teraz do sektora prywatnego.

W świetle raportu Amnesty International wydawało się stosowne poprosić ArcelorMittal o reakcję i dane dotyczące przynależności etnicznej pracowników. Rzeczniczka firmy odpowiedziała:

Uważamy, że współpraca z partnerami biznesowymi i dostawcami to skuteczny sposób wspierania praw człowieka. Choć w tym obszarze zostało jeszcze sporo do zrobienia, poczyniliśmy już znaczne postępy. W 2009 roku opublikowaliśmy założenia polityki różnorodności i integracji, a od roku 2011 wdrażamy w życie nasz kodeks odpowiedzialnego zaopatrzenia, który ma na celu promocję praw człowieka – a więc również działania antydyskryminacyjne – za pomocą naszego łańcucha dostaw.

Nie ujawniamy danych dotyczących przynależności etnicznej swoich pracowników, ale nasza polityka praw człowieka w pełni odpowiada wytycznym ONZ dotyczącym biznesu i praw człowieka. [...] Choć olbrzymia większość miejscowej społeczności i naszych pracowników to Serbowie, należy podkreślić, że zgodnie z naszą polityką różnorodności i integracji każdy ma jednakowe szanse na pełne uczestnictwo w udanej działalności biznesowej bez względu na przynależność etniczną i kulturową, wyznanie czy płeć.

Edin Ramulić z organizacji Izvor ujął to nieco inaczej: „Pracuje tam kilku Muzułmanów”.

Chętnie uwierzę Mittal na słowo i uznam, że firma nie wiedziała, w co się pakuje, kupując kopalnię w Omarskiej. Jej kierownictwo bez wątpienia chciałoby w tym widzieć wyłącznie operację komercyjną i nie mieć nic wspólnego z polityką i historią, które wiążą się z tym miejscem. Jednak zarówno w życiu, jak i w biznesie zdarzają się nieprzewidziane wypadki, a miarą człowieka lub firmy jest to, w jaki sposób radzi sobie z problemami. ArcelorMittal kupił Omarską wraz z zamieszkującymi ją duchami i mimo najlepszych chęci nie zdoła się ich pozbyć. Im szybciej kierownictwo firmy pogodzi się z tą prawdą, tym lepiej dla byłych więźniów i krewnych ofiar obozu.

Kemal Pervanić

Wczesnym latem 2011 roku siedziałem z Penny Marshall w swoim mieszkaniu przy Notting Hill Gate w Londynie i oglądałem DVD z jej nagraniem z tamtego dnia 1992 roku w Prijedorze, Omarskiej i Trnopolju. Jest na nim Kovačević: „Nie powinniście dostać zgody na tę wizytę, choć oczywiście jesteście tu mile widziani”. Mówi nam, że decydując się na to przedsięwzięcie, „ryzykujemy życie”. Chce, by powstał „obiektywny film, a nie propaganda”. Ostrzega nas przed „islamskim ekstremizmem” i twierdzi, że Omarska „to nie obóz koncentracyjny – miejsca, które zobaczycie, to obozy przejściowe”. W kantine Nada Balaban mówi opryskliwym tonem o więźniach: „Trudno im z wami rozmawiać. Boją się was”. Boją się nas, dobre sobie! Potem jeszcze uwaga o Trnopolju: „Nikt ich tu nie sprowadził siłą, przyszli szukać schronienia”.

Czekamy z Penny na gościa, który ma zjeść z nami lunch: Kemala Pervanicia. Przyjeżdża autobusem linii numer 52, a wchodząc do mieszkania, mówi z uśmiechem:

– Kto by pomyślał, że znów spotkamy się wszyscy w jednym miejscu.

Kemal prowadzi obecnie w Bośni projekt, który bardzo chciałby nam pokazać. Chodzi o *Most Mira* (Most Pokoju), przedsięwzięcie, o którym mówiła pani Cristobal z Mittal. Kemal nazywa to „bezpieczną przestrzenią”, w której dzieci Boszniaków – w wielu przypadkach byłych więźniów obozów – bawią się z dziećmi Serbów, w tym również byłych obozowych strażników. Przenosimy się na lunch do świetnej

neapolitańskiej restauracji Da Maria, gdzie Kemal będzie mógł nam opowiedzieć więcej o swoim projekcie przy pysznych *melanzane parmigiana*.

– Nie chcę pokoju za wszelką cenę – mówi. – Właściwie gotów jestem walczyć w następnej wojnie, gdyby do niej doszło. Ale proces rozrachunku potrwa kilkadziesiąt lat, kilka pokoleń. Nie możemy na to czekać, bo wtedy rzeczywiście wcześniej może wybuchnąć następna wojna. Spójrzcie na Bośnię: dzieci w szkołach uczą się zafałszowanej historii i nienawidzą siebie nawzajem jeszcze bardziej niż ich rodzice. To nie minie z wiekiem. Albo zaczniemy robić to, co ja już robię, albo przyszłość będzie wyglądała właśnie tak: nienawiść i prawdopodobnie wojna. Serbowie nie prowadzą takich projektów i nigdy nie będą prowadzić, tak jak nigdy nie przeproszą za to, co zrobili. To musi wyjść od nas, to nasza wyciągnięta ręka. – Potem dodaje: – Większe problemy napotkałem po stronie Muzułmanów. To smutny fakt: ludzie, którzy wspólnie doświadczyli strasznych rzeczy, potem się nie znoszą.

Kilka tygodni później na polu za ośrodkiem kultury w miejscowości Kevljani Kemal i długowłose Szkot o imieniu Ian rozpakowują puszkę Pandory – skrzynkę ze sprzętem cyrkowym, którą przywieźli tu starożytną pomarańczową furgonetką Iana z jego domu w Timișoarze, w Rumunii. Z wnętrza skrzyni wyłaniają się monocykle, liny do akrobacji i piłki do żonglowania. Po zabawki sięga grupka dzieci, niezwykła mieszanina małych Serbów i Boszniaków, którzy spotykają się dzięki projektowi Kemala Pervanicia na skrawku ziemi naprzeciwko zgliszczy dwóch domów spalonych w 1992 roku. Dołącza do nich wysoki, brzuchaty mężczyzna w zielonej koszulce i dżinsach. To Miljoša Berić, były strażnik w obozie w Omarskiej, który teraz współpracuje ze swoim byłym więźniem. Berić przyprawdzał tu nawet swoje dzieci, ale dziś nie mogły przyjść, podobno ze względu na wizytę u dentysty. Jak wynika z depesz amerykańskiej ambasady opublikowanych na WikiLeaks, Berić i jego brat notorycznie okradali więźniów z biżuterii i pieniędzy. Dziś, w Kevljanach, unika odpowiedzi na pytanie, jak długo pracował jako strażnik, i twierdzi, że „rzadko bywał” w obozie.

Zaczyna się zabawa. Jeśli miała być metaforą tego, do czego dąży Kemal, to z pewnością pomysł jest trafiony. Pierwsze ćwiczenie polega na przekazywaniu piłek po kole, jak najszybciej – dziecko podaje jedną piłkę prawą ręką, a jednocześnie lewą chwyta kolejną.

– Skupcie się na tym, co dajecie jedną ręką – mówi Ian – a automatycznie dostaniecie piłkę do drugiej ręki.

Brzmi to niemal jak biblijna nauka. Potem przychodzi kolej na chodzenie po linie – trudno chyba o bardziej obrazową metaforę.

– Musicie szeroko rozłożyć ręce, wtedy łatwiej utrzymacie równowagę – tłumaczy Kemal. Robi kilka kroków i spada.

Spotykamy się parę dni później w Kevljanach, w pięknym domu wzniesionym przez brata Kemala, Kasima, który zrezygnował z nowego życia w Newcastle upon Tyne i wrócił do Bośni. Kemal mówi, że on również „musiał wrócić i stawić czoła swoim demonom, bo wciąż tu na niego czekały – i nadal czekają”.

Dom Kasima to nie jakaś prowizorka budowana w pośpiechu, lecz prawdziwe dzieło sztuki w osmańskim stylu. We wnętrzu, wzdłuż ściany z wielkimi prostokątnymi oknami, stoi rząd wygodnych sof. Kasim to fascynujący, małomówny człowiek. Był z młodszym od siebie Kemalem w Omarskiej. Przez większość pobytu w obozie mieszkali w tej samej kwaterze, a starszy brat czasami osłaniał Kemala przed najgorszym. Kasim mówi, że teraz woli towarzystwo zwierząt niż ludzi; ma ptaszarnię, w której

hoduje wspaniałą kolekcję kolorowych azjatyckich ptaków.

Kemal tłumaczy, na czym polega jego projekt.

– Próbuję traktować ich z życzliwością i przekonać się, czy to zadziała na dłuższą metę – mówi. – Chcę, żeby zobaczyli we mnie ludzką istotę, a nie wroga, mam nadzieję, że to ich uczłowieczy, uwrażliwi. Większość mieszkańców Kozaraca chciałaby ich zobaczyć na kolanach, ale to tak nie działa.

– Ludzie z tych wiosek nigdy się nie zmieniają – wtrąca Kasim. – Historię tego miejsca określiły raz na zawsze wydarzenia z dziewięćdziesiątego drugiego roku. Wtedy zdecydowało się nasze przeznaczenie. Nawet rodzice dzieci, które chciały brać udział w tych zabawach, byli temu przeciwni.

– To zależy od tego, jak ich traktujesz, jak pozwalasz im siebie postrzegać – odpowiada Kemal, dodając jednocześnie, że pomimo swego pesymistycznego podejścia jego brat wykonuje całą pracę logistyczną przy projekcie.

– Regularnie jeżdżę do Omarskiej po jedzenie – mówi Kasim, spierając się ze swym bratem. – I mówię ci, trzeba tym gnojom pokazać zęby.

– Ale kiedy ja tam jadę, nie widzą już we mnie Muzułmanina – upiera się Kemal. – Widzą we mnie człowieka, który prowadzi projekt *Most Mira*.

– Ty nie mieszkasz tu przez cały czas – wytyka mu Kasim. – Kiedy jesteś w Anglii, nie widzisz ognia, który znów się tutaj rozpala, nie widzisz dwustu czetników, którzy demonstrują w Prijedorze na wieść o aresztowaniu Ratka Mladicia. Mnóstwo ludzi zrobiłoby nam dziś to samo, gdyby tylko mieli taką możliwość.

– Posłuchaj, to, że komuś przebaczam, nie znaczy jeszcze, że mu ufam. Bo nie ufam – konkluduje Kemal. – Po prostu daję im jeszcze jedną szansę. Zgadzam się z Kasimem, że nigdy już nie będzie tak, jak było przed wojną, ale jeśli pogodzimy się z tym, co nas spotkało, to może nasze dzieci znów będą żyć tak, jak my kiedyś. Przyznaję: nie chciałem sprowadzać dzieci na ten straszny świat przed wojną. Ale czułem, że chcę mieć dzieci po wojnie, bo mimo wszystko to życie jest piękne.

Satko Mujagić

Dawno się tak nie uśmieiałem. Satko i ja siedzimy przy piwie przed barem Dragana Nostalgija w Sarajewie i oglądamy wyświetlany na ścianie naprzeciwko półfinał mistrzostw świata w piłce nożnej, mecz Hiszpanii z Niemcami. To świetne zawody: młodzi, imponujący Niemcy, którzy wcześniej odprawili faworyzowaną Argentynę, pokonując ją aż cztery do zera, teraz nie potrafią odebrać piłki doskonałym taktycznie Hiszpanom (a właściwie w większości Katalończykom), którzy później zdobędą mistrzostwo. Co jakiś czas przechodzą tędy kobiety, które wybierają się do miasta, a ponieważ nie mogą ominąć projektora, obraz siłą rzeczy pada przez moment na nie. Kobiety przepraszają i przemykają pochylone najszybciej, jak potrafią, by nie przeszkadzać zgromadzonym przy stolikach facetom. Jednak gdy tylko dochodzi do takiej sytuacji, sprzed baru Dragana i sąsiedniego lokalu słychać wołanie: *Polako, polako!* – Powoli, powoli! I tak to wygląda przez cały mecz: zachęcane okrzykami mężczyzn kobiety zwalniają kroku i paradują przed nimi niczym na pokazie mody.

Później, gdy przenosimy się do nieco spokojniejszego lokalu, Satko mówi o pomniku w Omarskiej:

– Polityka Republiki Serbskiej jest teraz całkiem inna, znacznie bardziej radykalna. Mittal też jest mniej skłonny do ustępstw niż za czasów Roelanda Baana.

Kolejną przeszkodą może być fakt, że Omarska to bastion serbskiego nacjonalizmu i że pomnik na pewno zostałby zniszczony. Satko odpowiada na ten argument następująco:

– Tym bardziej należy tam postawić ten pomnik: jeśli go zniszczą, będzie to jednoznaczny sygnał, niewypowiedziane zostanie w końcu wypowiedziane i wszyscy będziemy wiedzieli, na czym stoimy. W końcu zacznie się prawdziwa dyskusja.

Po uroczystościach 9 maja 2011 roku w podmiejskiej dzielnicy Prijedoru, Čirkin Polju, pojawił się napis: „Cyganie i Muzułmanie do obozów!”.

Satko napisał zabawny esej zatytułowany „Struś Prijedor”; zaproponował w nim herb, jaki powinny przyjąć miasta, które chowają głowę w piasek, zaprzeczając przeszłości. Podsuwa też w nieco prowokacyjny sposób inne rozwiązanie, opisując, jak Auschwitz znacząco zwiększył ruch turystyczny w okolicach Krakowa. Zwracając się do burmistrza Pavicia – który często mówi o potrzebie tworzenia atrakcji kulturalnych i artystycznych – pisze:

Prijedor, podobnie jak Kraków, mógłby się rozwijać dzięki swojej historii. Miliony turystów z całego świata co roku odwiedzają Kraków, a wielu z nich przyjeżdża tu właśnie po to, by zobaczyć były obóz koncentracyjny w Auschwitz. To prawda, że niczego nie można porównywać z tą fabryką śmierci, ale niewiele jest w naszej historii najnowszej miejsc takich jak Prijedor, który został przystrojony trzema obozami. Zdjęcia z Trnopolja i Omarskiej dały impuls do utworzenia trybunału do spraw zbrodni wojennych w Hadze, a Prijedor mógłby w XXI wieku maksymalnie wykorzystać ten fakt. Dzięki odpowiedniej kampanii reklamującej nasze trzy obozy, te trzy przykłady ludzkiego szaleństwa [...], Prijedor mógłby nawet przyćmić „słynną”, ale nieco już „opatrzoną” Srebrenicę oraz film o snajperach strzelających do cywilów w oblężonym Sarajewie. Pamiętajmy, że w odróżnieniu od mieszkańców Sarajewa nie-Serbowie z Prijedoru nie mogli uciekać do piwnic, bo ich domy zostały ograbione i spalone. Te czynniki, wraz z dobrze znaną skłonnością większości ludzi – szczególnie silną wśród rozpieszczonych europejskich turystów – do zwiedzania miejsc naznaczonych cierpieniem i nieszczęściem, przyczyniłyby się do rozwoju turystyki historyczno-kulturalnej w Prijedorze.

Pozostaje jeszcze kwestia zaginionej babci Satka.

– Ktoś powiedział: jest różnica między żywym a martwym człowiekiem i jest różnica między człowiekiem zmarłym a zaginionym – mówi Satko. – To bardzo trafne i prawdziwe spostrzeżenie.

Enver i Kelima Dautovicowie

Na kratce murowanego rusztu piecze się jagnię, aromatyczny dym snuje się nad trawnikiem. Pod brezentowym dachem czekają przykryte obrusami stoły, przy jednym stoi grupa gawędzących kobiet, przy drugim zebrali się mężczyźni, którzy popijają piwo i w krótkich, oszczędnych słowach chwalą umiejętności kulinarne Envera Dautovicia. W Bośni kuchnia jest zazwyczaj królestwem kobiet, ale grillowaniem zajmują się mężczyźni – nawet jeśli ten fragment Bośni odżywa w Luton, jak tego właśnie wieczora. To ważny dzień, podwójna uroczystość. Po pierwsze dziś przypadają dziewiętnaste urodziny Victorii-Aminy Dautović – pierwsze dziecko bośniackich uchodźców urodzone w Wielkiej Brytanii wyrosło na poważną młodą damę, która chce studiować medycynę sądową na Uniwersytecie West London, między innymi dlatego, że wielu spośród jej rodaków wciąż spoczywa w zbiorowych grobach. Jest na tyle pewna siebie, że kiedy w ogrodzie pojawiają się kamery i aparaty, a większość dziewcząt, już bez makijażu, unika obiektywów, ona mówi:

– Nie ma problemu, ja zawsze wyglądam dobrze.

Drugi powód do świętowania, ubrany w kremową sukienkę i śliniaczek, leży w kołysce w salonie: to Layla Sulejmanović, wnuczka Envera i Kelimy.

Na początku lata do Luton dotarła ze Szwajcarii wiadomość, że Ena, panna młoda jadąca niegdyś na czele kawalkady po górskim zboczu, urodziła dziecko.

– Tylko nie mówcie do mnie „dziadku” – żartował Enver, gdy rodzina pakowała walizki przed lotem do Bazylei, by w tym roku wyjątkowo właśnie tam, a nie w Kozaracu, spędzić letnie wakacje. Ważna zmiana zaszła też w życiu Seada, syna Envera i Kelimy, który z myślą o swojej piłkarskiej karierze

w porę odszedł ze zdegradowanego do niższej ligi zespołu Luton Town i przeniósł się do młodzieżowej drużyny Stevenage, gdy ta awansowała właśnie do trzeciej klasy rozgrywkowej.

Podczas przyjęcia w Luton Kelima mówi:

– Nie wtrącam się do tego, co Kemal robi z dziećmi – jeśli właśnie tego chce, to jego sprawa – ale dlaczego inicjatywa zawsze musi wychodzić od nas? W normalnym społeczeństwie, jeśli w normalnym społeczeństwie w ogóle mogą zdarzać się takie rzeczy, działałoby to w drugą stronę: to oni przychodziliby do nas z inicjatywami pokojowymi. Wszyscy robiliśmy złe rzeczy, zgoda, ale na jaką skalę? Czy to ważne, kto zaczął to wszystko? Zostaliśmy żebrakami: żebrzemy o pokój u ludzi, którzy nas prześladowali. Jeśli chcą z nami żyć, to niech przepraszają. Politycy mówią, że akceptują wyroki z Hagi, bo w przeciwnym wypadku nie dostaliby pieniędzy z Unii Europejskiej, ale to powinna być postawa społeczeństwa, jeśli chcemy stawić czoła prawdzie i razem tworzyć przyszłość. I muszę dodać jeszcze jedno: nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek odzyskali to, co nam zabrano.

O okresie po przyjeździe do Londynu z Omarskiej i obozów mówi:

– Enver był bliski załamania, ale trzymał to wszystko w sobie.

I nadal to robi.

– Powiedział mi o tym – dodaje – ale...

– Mamy dzieci – mówi Enver. – Wiem, że powinno się mówić rodzinie o wszystkim... w swoim czasie.

Nalewa sobie szklaneczkę whisky. Zapada cisza, w mroku otulającym rozległy ogród na tyłach domu w Luton, Enver mówi cicho:

– Wydaje się, że to było wczoraj.

– Czasami wydaje się, że to było wczoraj – zgadza się z nim Kelima. – Ale czasami jest tak, jakby minęło już tysiąc lat, bo każdy dzień, który przeżyliśmy od tamtej pory, był jak nowe życie.

– Nie – szepcze Enver, pogrążony w myślach. – To było wczoraj. Zawsze wczoraj.

Hase Ičić

Primo Levi napisał: „Ci, którzy zaznali niewoli [...], dzielą się na dwie zdecydowanie różne kategorie, z niewieloma wariantami pośrednimi: jedni milczą, drudzy opowiadają”⁴⁰. Hase Ičić jest jednym z tych, którzy musieli się wygadać. Podobnie jak Pervanić przelał swe wspomnienia z Omarskiej na papier i wydał w formie książkowej. Ičića, najlepszego przyjaciela Ermina Strikovicia z St. Louis, spotkałem po raz pierwszy pewnego wrześniowego wieczora 2011 roku, kiedy wraz z córką Ermina, Ediną, pojechałem U-bahnem z Goetheplatz w Monachium do jego mieszkania przy Ridlerstraße. Patrząc na listę nazwisk przy wejściu do kamienicy, można się przez chwilę poczuć jak w starej, przedwojennej Jugosławii: mieszkają tam Imamović, Hašić i Hodžić (to zapewne Boszniacy), a także Jugović, Nikolić i Mihailović (to z pewnością Serbowie).

– Jestem pewien, że planowali nas wszystkich zabić – mówi Ičić. – Masowe zabójstwa zaczęły się pod koniec lipca, mniej więcej w czasie, gdy Ermin uratował mi życie. Zabrano mnie do Białego Domu, a strażnik zażądał trzystu marek niemieckich za moje życie. Ermin rozpytywał wszystkich, czy nie mają pieniędzy, ale nawet jeśli komuś coś jeszcze zostało, to nie chciał się przyznać, bo skoro miałeś trochę, to mogłeś mieć więcej. W końcu namówił kogoś, żeby dał mu sto franków francuskich, i to czetnikowi wystarczyło. – Ičić wyjaśnia, dlaczego napisał książkę: – Głównie dlatego, że musiałem to z siebie wyrzucić w namacalny, fizyczny sposób, jak tylko opuściłem obóz, musiałem coś z tym zrobić. I dlatego,

że nie mogłem znieść ich kłamstw: zaprzeczali wszystkiemu w wiosce i w telewizji, mówili, że nic takiego się nie zdarzyło. Chciałem im odpowiedzieć: owszem, zdarzyło się.

O Omarskiej pisze:

Opadaliśmy z sił, nasz wygląd zmieniał się tak szybko, że nie mogliśmy się nawzajem rozpoznać. [...] Jeśli sąsiedzi przetrzymywani w oddzielnych pokojach spotykali się po kilku dniach przerwy, nie mogli uwierzyć, w jak kiepskim stanie znajduje się ten drugi. [...] Bezczyinnie, niczym sparaliżowani, czekaliśmy na śmierć. Kiedy wywołano człowieka przede mną, dosłownie czułem każdy cios spadający na jego ciało. Wzdrygałem się przy dźwięku każdego uderzenia, wiedząc, że to także mój los. Wydawało się, że to trwa całą wieczność, że razy nigdy się nie skończą. Widziałem, jak wrzucili ofiarę do pokoju naprzeciwko. Przyszła kolej na mnie. [...] Pobici, leżeliśmy w lepkiej mazi krwi i uryny. [...] Gdy próbowałem się poruszyć, czułem tak straszliwy ból, że traciłem przytomność. [...] Niektórzy nigdy nie wracali z tych przesłuchań, innych wrzucano do pokoju, by powoli umierali w bólu i cierpieniu. [...] I ja: jak długo tu jestem? Ilu ludzi zabili do tej pory i dlaczego nie zabiją po prostu nas wszystkich?⁴¹.

Ićić, który pochodzi z Trnopolja, wrócił tam w 1997 roku.

– Spotkałem na drodze jednego ze swoich sąsiadów, Serba. Powiedział: „Cześć, Hase, jak się masz? To był jakiś obłęd, straszna szkoda!”. Włożyłem ręce do kieszeni, żebym nie musiał się z nim witać.

Ićić mówi, że nie może wrócić do Trnopolja ani nawet do Kozaraca.

– Nie mogę tam wrócić i mieszkać w swojej wiosce między Serbami, którzy to zrobili. Albo wśród Muzułmanów takich jak mój sąsiad, którego syna zamordowano w Omarskiej, ale on i tak codziennie pije z Serbami. Nie musimy się bać ani jak on ukrywać tego, kim jesteśmy; nikogo nie zabiliśmy. Nawet ci, którzy próbowali się opierać, oddali broń, zostali zagnani do obozów i zabici, nie zginęli w walce. Jak mógłbym żyć w tej pustce? Mój brat nie żyje, jego syn nie żyje. Obaj sąsiedzi z naprzeciwka nie żyją. Większość moich przyjaciół z miejscowości Kararići, gdzie mieszka Edin, nie żyje. Wiem, że Edin chce wrócić, ale ja nie. Wolę raczej stracić wszystko, co miałem, pożegnać się na zawsze i mieć pewność, że moje dzieci są bezpieczne. Wolę być idiotą niż patriotą.

Rozmawiamy o „listach Niemców” pisanych do Prima Leviego, których autorzy wyrażają skruchę i wstyd z powodu Holokaustu.

– Burmistrz Prijedoru może sobie opowiadać o swoim wieloetnicznym regionie – mówi Ićić – ale nasi ludzie musieli się naprawdę postarać, żeby tam wrócić. I co robi pomnik ku czci ich żołnierzy przy obozie w Trnopolju? Ten widok mnie boli. To jeden z powodów, dla których nie mogę wrócić, i po to właśnie tam stoi. A Omarska, która powinna zostać nienaruszona, jak Dachau? W Dachau zrobili świetną robotę, ale w Omarskiej stoją biurka i komputery, w dodatku mają do nas pretensje, że chcemy postawić tam pomnik. Zawsze wszystko skrupia się na nas. To my musimy walczyć o budowę pomnika, jakby to była nasza wina. Nie, nie oczekuję od Serbów czegoś w rodzaju „listów Niemców”, bo podobno wszyscy zawinili tak samo.

– Więc gdzie jest w takim razie wasze miejsce w historii?

– Nigdzie. Nie ma nas.

Izudin Kahrimović

Wydaje się, że między dwiema skrajnymi kategoriami opisanymi przez Leviego – tymi, którzy mówią, i tymi, którzy milczą – jest jeszcze trzecia, pośrednia grupa: ci, którzy milczą przez dwadzieścia lat, a potem zaczynają mówić. Izudin Kahrimović siedzi przy stole pod pięknym ażurowym daszkiem, który umocował przed swoim odbudowanym domem przy drodze łączącej Kozarac z Trnopoljem. Był jednym z najmłodszych więźniów Omarskiej. Teraz ma trzydzieści siedem lat, a miniony rok był wyjątkowo ciężki dla niego i jego rodziny: jego matka straciła męża, a potem drugiego syna, Safeta. Być może te

właśnie zmartwienia skłoniły Izudina do rozmowy o tamtym przeklętym dniu w Omarskiej – 18 czerwca – choć do tej pory, przez wszystkie te lata, wolał zachować milczenie.

Izudin miał zaledwie siedemnaście lat, gdy 26 maja 1992 roku o siódmej wieczorem zabrano go z domu do Omarskiej i umieszczono w Garażu.

– Staliśmy tam ściśnięci jak sardynki, nie można było usiąść, tylko raz dziennie podawano nam wodę.

Po trzech dniach Izudina przeniesiono do pokoju nad hangarem, gdzie więźniów regularnie bito metalowym kablem.

– Było tam tak ciasno, że gdy dołączył do nas mój brat Safet, nie miał się gdzie położyć, więc spał na moich nogach.

W tym okresie władze Omarskiej pozwalały odwiedzać obóz ludziom z zewnątrz, by ci mogli dla zabawy bić i torturować więźniów. Uciekając z zatłoczonej sali, nastoletni Izudin wymykał się na dół, na parter hangaru, i spał w drewnianych skrzyniach, które tam trzymali. Gdy przechodzili tamtędy strażnicy, ukrywał się w oponie wywrotki.

– [18 czerwca] siedziałem w drewnianej skrzyni, gdy przyszedł tam Duško Tadić z jasnowłosym mężczyzną, który wyjął magazynek ze swojego kałasznikowa i położył karabin między moimi nogami. Powiedział: „Pobaw się tym. Umiesz strzelać?”. Odparłem, że nie umiem, że mam tylko siedemnaście lat, a on wtedy stwierdził: „Wy wszyscy, *balije*, tak mówicie, żaden z was nie umie strzelać. A teraz rusz dupę!”. I posadzili na moim miejscu Emira Karabašicia. Duško Tadić wyjął nóż, włożył go do ust Emira i obrócił ostrze; potem go bili – a on już tracił zmysły – i połamali mu palce u nóg i rąk. Stracił przytomność; kazali mi przynieść wodę, żeby doszedł do siebie i żeby znów czuł ból. Przyniosłem tę wodę, a oni próbowali go ocucić, Tadić przewrócił mnie kopniakiem, kopnął mnie w głowę i stanął mi na plecach. Ten drugi wyciął krzyż na skórze Emira Karabašicia i spytał: „Kto jest lepszy, ty czy ja?”. Potem mnie odesłali, a kiedy wychodziłem, zobaczyłem ciało innego mężczyzny, Jaska Hrnicia, za drewnianą skrzynią. Którejś nocy, gdy spałem w skrzyni, obudził mnie strażnik – kontynuuje Izudin. – Zaprowadził mnie do łazienki, żebym umył sobie twarz. Nie wiedziałem, o co chodzi, bo był dla mnie wyjątkowo miły. Powiedział: „Odśwież się. Idziemy do Białego Domu. Wiesz, co się tam dzieje, prawda?”. Byłem przerażony. Przed Białym Domem płonęło ognisko, stała tam ławka. Strażnik spytał: „Jesteś głodny?”. A ja odpowiedziałem: „Wszyscy jesteśmy głodni”. Przyniósł mi chleb, salami i boczek; byłem zdumiony. Pozwolili mi się najeść i pytali, czy chcę papierosa, wypaliłem jednego. To było niesamowite, wszystko to po raz pierwszy od kilku miesięcy. Potem zabrali mnie do Białego Domu, a tam była Sabaheta Medunjanin [bliska przyjaciółka Nusrety Sivac], stała w małym pokoju, załamywała ręce i błagała mnie: „Synu, nie rób tego, proszę, nie rób tego”. Pomyślałem, że została już zgwałcona, i domyśliłem się, do czego chcą mnie zmusić. Uczyła mnie w szkole geografii, lubiła mnie, a ja lubiłem ją, ale nie w ten sposób. Płakała, a ja zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi. Najwyraźniej tak się właśnie zabawiali: gwałcili kobiety, a potem zmuszali do tego więźniów. Powiedziałem wtedy: „Pani Medunjanin, nawet pani nie dotknę”. Odwróciłem się i powiedziałem do strażników: „Nie zrobię tego”. „ZRÓB TO TEJ SUCE!” – wrzeszczeli. Było ich trzech, stali przy drzwiach, krzyczeli i drwili ze mnie. Ale ja wolałem raczej zginąć, niż zrobić coś takiego. Postanowiłem, że po prostu stamtąd wyjdę, i niech się dzieje, co chce. Wyszedłem z pokoju i wróciłem do hangaru. Nie oglądałem się za siebie, choć byłem pewien, że lada moment strzelą mi w plecy. Ale nic się nie stało. Wróciłem sam.

Pośród wszystkich nazwisk wypisanych na pomniku w Kozaracu, Medunjanin pojawia się najczęściej.

Niemal wszyscy członkowie tej rodziny – w tym, jak wiemy, Sabaheta, nauczycielka geografii – zostali zamordowani.

Izudin walczył przez trzy lata w Krajińskiej Brygadzie, ale teraz mieszka w Ticino, w Szwajcarii.

– Nigdy wcześniej nie mówiłem o tych rzeczach – przyznaje.

Wiatr szeleści w liściach winorośli ponad naszymi głowami, wzdłuż podjazdu przed odbudowanym domem ciągnie się szpaler róż. Jest piękne popołudnie, ale Izudin mówi:

– Z czasem wcale nie robi się łatwiej, wręcz przeciwnie, coraz trudniej mi z tym żyć. Za każdym razem, kiedy tu wracam, te wspomnienia są wyraźniejsze, dlatego ci o nich mówię. Za każdym razem czuję się tak, jakbym wracał tu po raz pierwszy, i wcale nie mam poczucia, że wracam do domu.

Czemu nie? Dom został starannie odbudowany, ogród jest cudowny.

– Bo nigdy nie czuję się tu rozluźniony ani bezpieczny. I nie chodzi o jakieś fizyczne zagrożenie, ale o to, co może się nagle zdarzyć w mojej głowie, osaczyć moją pamięć.

Fahrudin Alihodżić, Ptaszek i seksowne papierosy

Jest leniwe niedzielne popołudnie, nad brzegiem Sany parkuje sznur samochodów, a obok stoją długie drewniane stoły przygotowane do posiłku na świeżym powietrzu. Nasz znajduje się obok chaty przypominającej domek w stylu alpejskim, z czerwonymi różami pnącymi się po okapie stromeego, pochyłego dachu. Siedząc w tym miejscu, popijając piwo Preminger i pogryzając solony owczy ser, przegrywam akurat zakład.

Chata należy do niegdysiejszego przywódcy partyzantów patrolującego drogę ucieczki przez masyw górski Vlašić; to właśnie on pojawił się znikąd tamtej sierpniowej nocy w 1992 roku i zorganizował przemarsz uchodźców tak, by nie ściągęli na siebie ognia artyleryjskiego. Większość spośród tysiąca sześciuset uchodźców z tamtego konwoju została wywleczona ze swoich domów w Sanskim Moście rankiem tego samego dnia. Wydawało się wówczas, że nie ma dla nich żadnej nadziei, że wszystko jest już stracone. Jednak Che Guevara tamtej nocy, Fahrudin Alihodżić, powiedział mi wtedy:

– Pewnego dnia ugotuję ci obiad w Sanskim Moście.

– Niemożliwe – odparłem. – To koniec.

– Chcesz się założyć? – spytał Fahro. I założyliśmy się. Potem jeszcze wiele razy spotykałem Fahrudina w czasie wojny, ale straciliśmy kontakt, nim jego brygada zajęła Sanski Most podczas ofensywy w 1995 roku. Fahrudin nie brał w tym udziału, bo został ranny w nogę w trakcie ataku na masyw Vlašić. Jest tu jednak teraz: cały i zdrowy, z ogoloną głową i potężnymi ramionami; zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku.

Ale w spotkaniu po latach bierze udział ktoś jeszcze. W Travniku był ponadto żołnierz, z którym kopałem kamienie i zabijałem czas – Emir „ptaszek” Tica, który tamtej nocy powitał zmęczonych uchodźców swym promiennym uśmiechem i wsadził ich do autobusów. Utrzymawałem z nim kontakt do końca wojny i później. (Właściwie postanowiłem świętować swoje pięćdziesiąte urodziny w restauracji pod Sarajewem z Emirem, jego żoną Dadą, Nermą Jelačić i moją ówczesną partnerką Caroline).

Teraz nasz triumwirat zebrał się ponownie po raz pierwszy od czasu, gdy kuliliśmy się nad płomykiem świeczki pod ogniem artylerii w Travniku.

– Postanowiłem poszukać Fahra na Facebooku – mówi Emir. – Myślałem, że zobaczę tam groźnego dowódcę z gór, a znalazłem tego wielkiego, grubego faceta z uśmiechem od ucha do ucha!

Emir, który przyjechał z Travnika specjalnie na tę okazję, uczestniczył w wyzwaniu Sanskiego Mostu

w 1995 roku.

– Alagić kazał mi zająć stacje benzynowe, żebyśmy mieli paliwo podczas natarcia – mówi. – Zajęliśmy je i musieliśmy naprawiać wszystkie pompy zepsute celowo przez czetników. Zamiast kabli używaliśmy pończoch i rajstop.

Wspominamy wspólnie „czerwone, czerwone, czerwone światło” Richarda Holbrooke’a.

– I nagle musieliśmy zakończyć wojnę. Polityka, politycy: bla, bla, bla – mówi Emir.

Słyszy to Fahrudin, który dogląda jedzenia.

– Otóż to, politycy i ich gadanie. Jestem szczęśliwy, gdy jakiś polityk umiera. Nie piję teraz dużo, ale jeśli już, to wie o tym całe miasto. I zawsze muszę się napić, kiedy słyszę w wiadomościach, że zmarł jakiś polityk. To muzyka dla moich uszu, naprawdę. – Pogarda Fahra wynika po części z tego, co stało się, kiedy wrócił jako weteran do Sanskiego Mostu: – Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ludzie odwracali się ode mnie tak szybko albo tak szybko zamykali mi drzwi przed nosem tylko dlatego, że mówię wprost, co myślę o naszych przywódcach i bogatej mafii.

W związku z tym Fahro pracuje teraz „na całym świecie”, zajmując się ochroną firm paliwowych i budowlanych w Europie i na Bliskim Wschodzie, szczególnie w Iraku.

– Zatem jak widzisz, wciąż zarabiam na życie karabinem. Kiedy była tu Jugosławia – żartuje – jeździliśmy do Iraku i pracowaliśmy na budowach dla Saddama Husajna. Teraz jest Bośnia i jeździmy do Iraku, żeby pracować na budowach dla Amerykanów.

– Inne przezwiska – dodaje Emir Tica. – Inne bla, bla, bla. – Potem wbija zęby w jagnięcinę i odgryza kawałek, podczas gdy Fahro dmucha w żar, wzniecając większe płomienie.

– Mówiłem ci w dziewięćdziesiątym trzecim, że w tej wojnie chodzi o pieniądze – przypomina, krztusząc się dymem. – Ubijali na niej interesy politycy z różnych krajów i te małe fiuty z Jugosławii.

Pomimo tych ostrych słów i groźnego wyglądu Fahro jest idealnym gospodarzem – troszczy się o gości siedzących przy stole, napełnia kieliszki i nakłada na talerze, sam nic nie jedząc. W ciągu tych dwudziestu lat zmienił się z partyzanta w dżentelmena. Prezentuje swojego dwudziestoletniego syna, którego traktuje z nieskrywaną czułością, zwracając się doń: „Kochanie”.

Szelmowski uśmiech Emira nie zmienił się wcale przez te lata, choć sam Emir dorobił się okularów i niewielkiego brzuszka. Całkiem odmienna przemiana zaszła w wyglądzie jego żony: Dada zawsze miała, powiedzmy, bujne kształty, a teraz mogła się pochwalić figurą modelki. Jak to się stało? Dada podnosi coś, co wygląda jak małe kolorowe opakowanie wkładek higienicznych, a w rzeczywistości jest paczką nowych, ultracienkich papierosów o nazwie Eva.

– Seksowne papierosy – mówi Dada, puszczając do mnie oko.

Emir wraca myślami do czasów, gdy noc w noc witał setki tysięcy ludzi schodzących z gór. Jednej nocy dotarło trzydzieści pięć tysięcy osób z miejscowości Jajce.

– Doszło do tego, że nie mogłem patrzeć im w oczy. Wszyscy wpatrywali się we mnie, ale ja miałem przed sobą tysiące par oczu: zmęczonych, przerażonych, zagubionych. Każda noc była wspomnieniem poprzedniej i przedsmakiem następnej.

Teraz Emir znów czuje w powietrzu napięcie, i to po obu stronach.

– Dodik [przywódca bośniackich Serbów] mówi coś, co odbieram jako osobistą groźbę pod adresem moim i mojej rodziny. Ale kiedy odpowiadają mu moi [boszniaccy] przedstawiciele, czuję, że prowadzą tę samą grę etnicznej wrogości. I że obu stronom się to podoba, bo nienawiść i strach dodają im sił. Ale

jesteśmy zmęczeni i wystraszeni. Może słyszycie słowa nienawiści, ale czy widzieliście jakieś akty nienawiści?

Słuszna uwaga. Nie widzieliśmy. To tylko gadanie.

– Ale w dziewięćdziesiątym drugim na początku też było tylko gadanie – zauważa Fahro.

Emir i Dada wracają do Travnika do swoich córek, a Fahro i ja idziemy do Caffè Cool, lokalu prowadzonego przez jego przyjaciela.

– Szkoda, że nie widzieliście, jak to wyglądało, kiedy wróciliśmy do miasta – mówi Ahmed, nasz gospodarz. – Wszystko wypalone do gołej ziemi. Usiadłem po drugiej stronie drogi, zapaliłem jointa i patrzyłem na to.

Przez kilka ostatnich miesięcy słyszałem w tutejszych barach masę okropnej muzyki – głównie serbski „turbofolk” i bośniacki pop (całkiem inny niż dobra sevdalinka). Odetchnąłem więc z ulgą, gdy z lokalu Ahmeda popłynęły dźwięki The Allman Brothers Band i The Who, wypełniając leniwy niedzielny wieczór w mieście, którego mieszkańców poznałem podczas ich przymusowej podróży przez góry pod eskortą uzbrojonych strażników. Dokoła przechadzają się powoli młodzi ludzie z lodami, ale Fahrudin chce rozmawiać o wojnie.

– Nikt chyba nie rozumie, że ofiara nigdy nie będzie błagać swojego oprawcy o przebaczenie, a jednak tego właśnie się od nas oczekuje, bo wszyscy chcą się przypodobać Unii Europejskiej. Serbowie nigdy nie wyciągną do nas ręki na zgodę, a gdyby doszło tu do następnej wojny, nie byłoby żadnych obozów: od razu zabiliby nas wszystkich. – Fahro, który zawsze celował w apokaliptycznych wizjach przyszłości, pochyła się do mnie i mówi: – Ale następnym razem to będzie część większej wojny na świecie. Zobaczysz: kiedy bogaci staną się jeszcze bogatsi, a biedni jeszcze biedniejsi, i gdy bogaci będą ciągle gromadzić złoto, jak robią to teraz, skończy się to wojną.

Choć wciąż sprawia wrażenie nieprzejednanego twardziela, pamiętam też łagodnego Fahrudina, spędzającego w czasie wojny samotne wieczory na cmentarzu, pośród swoich „chłopców”, których jako dowódca prowadził niegdyś do walki i których opłakiwał potem przy ich grobach, by – jak to ujął – „znowu wszyscy mogli być razem”. Człowiek, który kiedyś zawsze krzyczał, podnosi teraz sześćoletniego synka Ahmeda, Imrana, sadza go sobie na kolanie i mówi:

– Spójrz tylko na to cudo! Spójrz na ten kraj!

Bez rozrachunku:**Spoczywajcie w kawalkach ^[14]/ Desolation Row**

Jest 5 sierpnia 2011 roku, dziewiętnasta rocznica dnia, w którym odkryliśmy dla świata Omarską: droga pnie się przez wilgotną letnią mgłę nad łąkami, przez las nad Sanskim Mostem, w stronę górskiej jaskini Hrastova glavica. Nazajutrz po naszej wizycie obóz w Omarskiej został zamknięty, ale nim się to stało, wczesnym rankiem przejechały tędy trzy autobusy z obozu, mniej więcej o tej samej porze, gdy my budziliśmy się w Belgradzie, by przekazać światu naszą relację. Zanim mężczyźni zamknięci w autobusach dojechali do tego dzikiego miejsca, wiedzieli już zapewne, co ich czeka, ale trudno sobie wyobrazić, jakie były ich ostatnie myśli. Ich oprawcy nie zamierzali dopuścić, by któryś z nich ocalał i dał świadectwo tych wydarzeń, lecz jednemu udało się ująć z życiem: był nim Ibrahim Fehrić, który uciekł z miejsca kaźni i zdążył opowiedzieć, co się stało, nim sam zginął, ukrywając się w lasach w okolicy Kozaraca. W autobusach było łącznie stu dwudziestu pięciu skazańców, więźniów Omarskiej i tych, którzy przeżyli masakrę w Hangarze Trzecim w Keratermie. Mężczyzn z Keratermu przywieziono do Omarskiej nocą po naszej wizycie i – nie wiadomo dlaczego – ostrzyżono. Potem zapędzono ich do autobusów i zmuszono do wejścia na skarpę. Wyprowadzano ich po trzech, krępowano drutem i zabijano po kolei, by łatwiej było wrzucić ich ciała do głębokiej, wąskiej szczeliny skalnej.

Dziewiętnaście lat później nad betonowym fundamentem otaczającym szczelinę widnieją zdjęcia grobu. To terytorium Federacji, więc powstanie tu pomnik, a tego ranka fundamenty ma poświęcić miejscowy imam. Najpierw jednak w wilgotnym powietrzu rozlega się głos, który wita przybyłych krewnych ofiar. Przemawia Edin Ramulić z organizacji Izvor – rzekomy „sabotażysta” planów budowy pomnika w Omarskiej, który doprowadził jednak do powstania tego monumentu i organizuje poszukiwania 1099 zaginionych, w tym swojego ojca.

To krótkie i surowe przemówienie, Edin wygłasza je spokojnym tonem, choć nie potrafi powstrzymać gniewnego grymasu.

– Przed egzekucją częstowali nawet każdego papierosem.

Po zakończeniu uroczystości rodziny zabitych w tej barbarzyńskiej masakrze wracają przez błoto do swoich samochodów.

– Straciliśmy wszystkich – mówi Sada Imsirović, której towarzyszy jedyny ocalały mężczyzna w rodzinie, jej syn Budo. – W obozie i tutaj.

Umawiam się z Edinem na później – jak zawsze ma masę pracy.

Edin Ramulić

– Jeśli chodzi o następstwa wojny, między nami a Serbami nie ma żadnej wspólnej płaszczyzny – mówi Edin, gdy siedzimy już przy kawie. – Ich zaprzeczenia przypominają to, czego dowiedziałem się o Związku Radzieckim i polskich oficerach w Katyniu: Sowieci przez długie lata twierdzili, że zrobili to naziści, a nie oni, choć doskonale znali prawdę. – Edin był w Dachau: – Chciałem zobaczyć, co tam zrobili. Widziałem mnóstwo młodych Niemców, którzy uczyli się o tym, jak powstała partia nazistowska.

Rozmawiałem o tym, jak można połączyć pomnik z centrum badawczym i edukacyjnym. To, co tam zrobili, jest naprawdę imponujące. Udało mi się też porozmawiać z kierownikiem jednego projektu. Wyjaśniał on, jak nie dopuścić do sytuacji, w której ludzie przyjeżdżają do takiego miejsca pamięci i muzeum, by sławić nazistów. Obawiam się, że u nas mogłoby się wydarzyć właśnie coś takiego, że przez pomnik znienawidziliby nas jeszcze bardziej.

Edin zastanawia się nad tym przez chwilę, a potem zamawia sałatkę i następną kawę.

– Staram się jeść zdrowo – tłumaczy. – Posłuchaj, chcę osiągnąć dwie rzeczy. Po pierwsze, pokazać Serbom, co stało się w tej społeczności i co wciąż nie zostało zamknięte: nadal ponad tysiąc osób uznaje się oficjalnie za zaginione. Po drugie, chcę zawstydzić albo wywołać jakąkolwiek inną reakcję tych spośród moich rodaków, których wcale to nie obchodzi. To oburzające. I to wszystko, co mogę zrobić. Nie mam nic innego: jestem rozwiedziony, wynajmuję mieszkanie, nie mam nic do stracenia, więc nie oczekuję od innych, żeby robili to, co ja. Ale chciałbym, żeby ludzie poświęcili choć godzinę swojego życia i wzięli udział w protestach, które organizuję. – A jednak Edin ma coś do stracenia. Ciarki przechodzą po plecach, kiedy przypomina, co mówił o swojej córce w St. Louis: – Chodzi teraz do szkoły. To jedyna rzecz, która naprawdę mogłaby mną wstrząsnąć, gdyby przeze mnie coś jej się stało. Wszystkie inne wydarzenia są mniejszym złem w porównaniu z tym, co już się wydarzyło. Nie boję się o siebie, ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby jej coś się przytrafiło.

Zmieniamy temat. Od tamtego lunchu w Blueberry Hill w St. Louis mamy zawsze jeden wspólny temat, do którego możemy wracać, gdy już obrzydłą nam rozmowy o wojnie. Zawsze jest Janis, Jimi i Bob – „*Desolation Row!* Oto właściwa piosenka dla tego miejsca!” – a ja znów oplakuję utratę swojej kolekcji płyt. Potem staje się coś cudownego. Kilka dni później idę do biura Edina, żeby porozmawiać z nim o planach obchodów dwudziestej rocznicy zamknięcia Omarskiej. Zatrzymuje samochód w parku w Prijedorze i pyta:

– Masz miejsce w bagażniku?

Potem otwiera swój bagażnik, jak się okazuje, wypełniony płytami winylowymi – Springsteena, Pink Floyd, Santany, Led Zeppelin – pozostałościami życia Edina z czasów, nim Prijedor opanowało szaleństwo. Moje płyty bezpowrotnie przepadły, zniszczone przez amerykańskich celników, ale jego przetrwały całą wojnę.

– Weź je sobie – oświadcza. – Przez cały ten czas leżały w moim garażu. Nic im się nie stało, ale są trochę przykurzone, więc przeniesiemy je szybko do twojego auta. W rewanżu za te papierosy w górach Vlašić.

Doktor Eso

Wśród mężczyzn zabitych nad urwiskiem i wtrąconych do jaskini Hrastova glavica znalazł się człowiek, którego nazwisko jest obecnie niemal synonimem planowej likwidacji inteligencji podczas pogromów w Prijedorze. Esad Sadiković był laryngologiem, który prowadził praktykę w mieście, ale pracował również dla UNICEF w Samoa i Libii. Dla społeczności Boszniaków, którzy wrócili po wojnie do swych domów, doktor Sadiković jest symbolem zarówno okrutnych zbrodni dokonanych na ich narodzie, jak i ogromu strat poniesionych przez ten naród. „Doktor Eso”, jak go powszechnie nazywano, był podobno człowiekiem wyjątkowym i bardzo wesołym – do tego stopnia, że w przeddzień corocznych uroczystości w Omarskiej w teatrze w Prijedorze wystawiane jest specjalne przedstawienie na jego cześć. Byłem już na czterech takich spektaklach i muszę przyznać, że każde kolejne było coraz śmieszniejsze. Ostatecznie

nawet bez rozrachunku zawsze zostaje ta niezwykle bośniacka potrzeba – i umiejętność – śmiechu.

Ale tylko ostatecznie. O postawie doktora w obozie Omarska mówili świadkowie w Hadze. Oto wspomnienie Nusreta Sivaca (brata Nusrety) przedstawione podczas procesu Milomira Stakicia:

– To był niezwykle uczynny i życzliwy człowiek. Pomagał wszystkim, bez względu na wyznanie czy kolor skóry. Był ekspertem UNHCR, spędził mnóstwo czasu, pracując gdzieś na Pacyfiku, w Libii, Afryce, pomagając ludziom. Był w Prijedorze osobą znaną i powszechnie szanowaną i był z tego dumny.

Sadiković był swego rodzaju przywódcą w zatłoczonych salach, gdzie gnieździli się więźniowie i skąd wywoływano ich na śmierć. Podnosił innych na duchu, pomagał rannym, jak potrafił, choć nie miał wody ani materiałów, by ich opatrzyć. Jadranka Cigelj pamiętała, jak próbował zaszyć ranę na głowie jednego z więźniów kawałkiem sznurka.

– W obozie Omarska – opowiadał Nusret Sivac przed Trybunałem w Hadze – robił wszystko, co mógł, żeby jakoś pomóc innym. Gdy nikt inny nie chciał, on zawsze się zgłaszał. Pomagał nawet serbskim strażnikom. Często byli kompletnie pijani, kłócili się i bili między sobą o zrabowane pieniądze, niektórzy odnosili przy tym poważne obrażenia. Im też udzielał pomocy.

Potem nadeszła ostatnia noc dla większości więźniów z Omarskiej, noc 5 sierpnia. Nusret Sivac zdał w Trybunale relację z tamtych wydarzeń:

– Kiedy większość lekarzy z Prijedoru, przynajmniej tych, którzy byli w obozie, zginęła, władze wiedziały, że muszą dokończyć dzieła. Nigdy nie zapomnę tej nocy, bo to była ostatnia noc w obozie Omarska. Właściwie początkowo było całkiem spokojnie, ale tuż przed świtem w drzwiach pojawił się strażnik, który powiedział: „Doktorze Sadikoviću, proszę wyjść i zabrać swoje rzeczy”. Byliśmy zaskoczeni, bo choć wcześniej często go wywoływano, po raz pierwszy kazali mu wziąć rzeczy. Wiedzieliśmy więc, że tym razem zabierają go na dobre. Doktor Eso wstał. Podniósł nylonową torbę z papierosami, które zbierali dla niego inni więźniowie. Wziął też swoją brudną koszulę i ruszył do drzwi. Wszyscy podnieśliśmy się z miejsc i staliśmy w ciszy. A potem nagle zaczęliśmy wołać jeden przez drugiego: „Doktorze Eso, dziękujemy, dziękujemy bardzo za wszystko”. On tylko się odwrócił i powiedział: „Dziękuję, przyjaciele, żegnajcie”. Nie wierzyliśmy, że istnieje na świecie zbrodniarz, który byłby w stanie zabić człowieka takiego jak doktor Eso.

Potem wywieziono Esada Sadikovicia na górę, a jego ciało wrzucono do szczeliny, zimnego kamiennego grobu.

Teraz, w 2011 roku, zebraliśmy się w teatrze, w wypełnionej po brzegi sali, by uhonorować Sadikovicia i to, kim był. Zaczynamy od złożenia hołdu ludziom – reprezentowanym licznie również na widowni – „rozsiانym po całym świecie, po morzach i górach, czekającym na synów i mężów, którzy nigdy nie wrócili”. Potem przechodzimy do corocznego konkursu na utwór satyryczny. Po konkursie sopranistka z Sarajewa, Ana Babić, śpiewa arie Donizettiego, a Hasija Borić ze stołecznego Teatru Narodowego wykonuje zabawny monolog dotyczący wojowniczych aspiracji różnych narodowości zamieszkujących Bośnię: Chorwatów, Boszniaków i Serbów. Jednak za tymi przerysowanymi kpiarskimi rymowanymi kryje się szydery, pogardliwy humor, równie krytyczny wobec wszystkich stron konfliktu i samej wojny. Aktorka parodiuje Chorwatów z Hercegowiny i Boszniaków z Sarajewa, ale oczywiście wszyscy czekamy na część trzecią:

– Jestem Republika Serbska! – oświadcza, przyjmując bojową pozę i strzelając z wymyślnego karabinu. Publiczność odpowiada salwami śmiechu.

Doktor Eso Sadiković patrzy na to wszystko z portretu i wydaje się szczerze uradowany rozbawieniem ludzi, którzy mają nieskończenie więcej powodów do płaczu niż do śmiechu. Podjęto starania o poświęcenie pamięci doktora ulicy w Prijedorze. Jak dotąd burmistrz Pavić odpowiedział jedynie nieoficjalnie i wymijająco, że po dwudziestu latach jest jeszcze „za wcześnie” na taki gest.

– A jeśli chodzi o ten zbiorowy grób, to warto wspomnieć jeszcze jedno – mówi Satko Mujagić, który po ekshumacji szczątków doktora zorganizował jego pogrzeb. – Znalezione tam jeszcze ciała dwojga ludzi, których zabito w czasie drugiej wojny światowej. To może oznaczać tylko jedno: ktoś wiedział o tym miejscu, czyjś dziadek wiedział, że to dobre miejsce do zabijania ludzi i ukrywania ciał, że kiedyś już coś takiego się stało. Ale żadna z osób związanych z tą egzekucją, ani z tamtego, ani z naszego pokolenia, nie wspomniała o tym ani słowem.

Pod powierzchnią ziemi w okolicy Prijedoru i Sanskiego Mostu leży jedyny niezbity dowód tego, co się tutaj stało, dowód w postaci ludzkich szczątków. I istnieje tylko jeden sposób, by ostatecznie policzyć wszystkich zmarłych i zorganizować im godny pochówek: trzeba ich odnaleźć. Pod koniec wojny w Chorwacji, Bośni i Kosowie liczba osób zaginionych – najprawdopodobniej zmarłych – wynosiła około czterdziestu tysięcy, z czego trzydzieści tysięcy zaginęło w Bośni między rokiem 1992 a 1995. Sprawa dotyczy więc niemal jednej trzeciej wszystkich ofiar wojny. W regionie Prijedoru 3255 osób uznano oficjalnie za zaginione. Aż 1099 spośród nich to wciąż „otwarte sprawy”, co oznacza, że do tej pory nie odnaleziono ich szczątków – to zaś świadczy o tym, z jaką starannością ukryto ich ciała i jak trwała jest zмова milczenia otaczająca miejsce ich pochówku.

Jeśli istnieje jakaś ludzka potrzeba bardziej pierwotna niż upamiętnianie zmarłych, to jest to zapewne potrzeba ich grzebania – rzecz elementarna, tak jak stawianie pomników, praktykowana od zarania ludzkości. Dlatego też poszukiwania zwłok, dzięki którym rodziny zmarłych będą mogły należycie ich pochować, to niezbędny element rozrachunku. Podobnie jak w przypadku pomników utrudnianie tych poszukiwań jest pozbawione sensu i powoduje jedynie odsunięcie problemu w czasie. Odnalezienie jednak tysięcy zaginionych zmarłych, czego dokonała Międzynarodowa Komisja do spraw Osób Zaginionych i współpracujące z nią lokalne organizacje, to w pewnym sensie najbardziej niezwykły i najmniej doceniany rozdział bośniackich rozrachunków. To jeden z rzadkich sukcesów i bardzo nielicznych kroków na drodze do rozliczenia: oddanie zmarłych żywym, a także fizyczne potwierdzenie prawdy historycznej – ludzkie szczątki pochowane w ziemi. I choć trudno w to uwierzyć, nawet te działania napotykały przeszkody i coraz częściej stają się nowym frontem pełnej obelg i kłamstw walki o wymazanie przez zrównanie.

28 września 2011 roku dyrektor generalna Międzynarodowej Komisji do spraw Osób Zaginionych, Kathrynę Bomberger, wydała oświadczenie:

Możemy teraz powiedzieć, że ciała dwudziestu sześciu spośród czterdziestu tysięcy osób zaginionych w tym regionie zostały odnalezione. Około dwudziestu tysięcy z nich znajdowało się w Bośni. Pod wieloma względami jest to fantastyczne osiągnięcie, ale tempo prac z pewnością teraz spadnie – coraz trudniej dopasować próbki DNA do znalezionych zwłok, a przy tym wiele ciał zostało rozczłonkowanych i znajduje się w różnych grobach.

Spoczywajcie w kawalkach

Na obrzeżach Sanskiego Mostu, przy zjeździe do restauracji Šejkovača, znajduje się hala przemysłowa, w której niegdyś obrabiano drewno. Przed budynkiem stoi znak z trudnym do odczytania, zakrytym przez jakąś płożącą się roślinę napisem. Wśród liści widać wielkie litery „KIP” – Krajina Identification Project, oddział Międzynarodowej Komisji do spraw Osób Zaginionych. Naprzeciwko hali stoi sterta

pojemników, na podwórku dokazują szczeniaki, a wejście niczym się nie różni od wejść do większości tego typu budynków. Jednak za podwójnymi drzwiami i recepcją otwiera się przed przybyszem widok, który może przyprawić o palpitanję serca: w obszernej sali znajdują się – co uzmysławiamy sobie dopiero po chwili – ludzkie szczątki w różnych stadiach rozkładu i na różnych etapach kompletowania.

– Wszyscy ci ludzie pochodzili z Kozaraca – mówi śledczy, który nas tu przyjął, Zlatan Ališić, wskazując znaczną część szczątków, fragment krajobrazu, który trudno ogarnąć umysłem, a co dopiero przetrwać na poziomie emocji. – Znaleźliśmy ich w grobie w miejscowości Gradiška, przy granicy obok Banja Luki.

Kiwam głową, ale mam poczucie, że nim przejdziemy do rozmowy, powinienem najpierw nieco dokładniej obejrzeć to miejsce, nawet jeśli nie uda mi się go pojąć.

Na pierwszym stole leżą kości nóg, fragment dolnego odcinka kręgosłupa i miednica, a obok niebieskie slipy, plastikowa oprawka na dokument i kartka z napisem: *Datum ekshumacije: 09/08/11. Lokalitet: Gradiška*. Na następnym: kręgosłup, dwa żebra, żuchwa i kilka zębów, pęknięta miednica, przy nich sterta ubrań. Na kolejnym kręgosłup, kilka żeber i kości ręki, obok zaś fioletowa bluza dresowa.

Kiedy przechodzę dalej, przy niektórych szczątkach dostrzegam nazwiska. Na jednym ze stołów leży czaszka, niemal kompletna klatka piersiowa, kręgosłup i łopatki. Człowiek, do którego należały – i w pewnym sensie nadal należą – te kości, nazywał się Derviš Karabašić. Na innym blacie leży żuchwa z jednym zębem i kawałek palca – wszystkie części ciała Jasmina Elezovicia, które udało się odnaleźć do tej pory. Obok znajduje się plastikowa torebka z pojedynczą kością – nawet przy niej stoi kartka z odpowiednimi informacjami: *Lokalitet: Hrastova glavica. Datum ekshumacije: 15/06/05* – jedno ze stu dwudziestu czterech ciał wrzuconych do szczeliny. Dalej znajdują się tace pełne małych kości: na jednej kręgi, na innej kości palców i tak dalej.

Przez okno wpada do hali szare, mętne światło, które zdaje się tłumić wszelkie dźwięki. Na pewnym poziomie przechodząc przez to miejsce, poznaję zmarłych, ich śmierć, pochówek i ekshumację. Zlatan wskazuje na szkielet przy drzwiach.

– Widać, że strzelono mu w głowę, tu u podstawy czaszki jest wlot kuli, a tu na górze otwór wylotowy. Postrzelono go również w nogi: spójrz na te golenie. Prawdopodobnie leżał, kiedy ktoś go dobił, strzelił mu w głowę, by mieć pewność, że nie żyje.

Jednak na innym poziomie – jeszcze bardziej przejmującym – przechodzę przez życie tych zmarłych, z przytłaczającą świadomością tego, co im odebrano. Kim był człowiek, który wolał białe skarpetki w niebieskie prążki od innych wzorów? Albo takie, a nie inne kalosze czy też żółto-zielone prążkowane bokserki? Ktoś wybrał ten rudy sweter spośród innych w sklepie czy na targu, by nosić go w chłodne poranki, może w drodze do pracy. Wolał taki właśnie kolor od innych – i przypadkiem miał go na sobie, kiedy został zgładzony.

Panuje tu również atmosfera wytężonej pracy, chłodnej naukowej analizy, które w połączeniu ze specjalistyczną wiedzą i mozolnymi, precyzyjnymi badaniami pozwalają odtworzyć tę przerażającą historię. Dwu- i trzyosobowe zespoły mierzą, odcinają fragmenty kości, badają je, nakłaniają zmarłych, by zdradzili im, kim są i co im się stało, by mogli trafić w końcu do tych, z którymi przebywali za życia. To bolesne słowo również w ogromnej mierze stoi na przeszkodzie rozrachunku: *zagi ni ony*.

Niektórych udaje się jednak odnaleźć: w pomieszczeniu przylegającym do wielkiej hali dwaj stolarze robią trumny. Pod tylną ścianą, przy oknie, stoją gotowe skrzynie, a rzemieślnicy sprawnie mocują w nich

pierwszą, kremową warstwę materiału, a potem drugą, ciemnozieloną. Do sali ktoś wchodzi – potężny, krótko ostrzyżony mężczyzna w skórzanej kurtce, który rozmawia cicho ze Zlatanem, a potem z innym urzędnikiem. Następnie podpisuje jakiś dokument. Kilka minut później niekompletny szkielet przy drzwiach zostaje delikatnie i umiejętnie przeniesiony do trumny ustawionej na kozłach. Mężczyzna podpisuje jeszcze jeden dokument, ociera łzę, poprawia skózaną kurtkę i wychodzi.

– To był jego brat – wyjaśnia Zlatan. – Brakowało kilku części ciała, ale jemu to wystarczyło. Znajdziemy pewnie następne, ale w tym wypadku krewnego satysfakcjonuje to, co zebraliśmy do tej pory. Zwykle wygląda to inaczej: czekają, aż znajdziemy więcej, najlepiej cały szkielet, choć być może nigdy się to nie uda.

Nieco dalej na ścianie ciągnie się kolejny znak hańby: długie szeregi twarzy, w sumie ponad tysiąc. Powyżej widnieje napis: „Zdjęcia osób uznanych oficjalnie za zaginione w regionie Krajiny”. Jest tam babcia Satka Mujagicia, brat Edina Ramulicia, syn Tesmy Elezović i wielu, wielu innych. Policjant, który tego dnia pełni tu służbę, podchodzi do mnie i wskazuje na twarz młodego mężczyzny:

– To mój brat. Był w Keratermie.

Zlatan pracuje przy tym projekcie od dwunastu lat, szuka zbiorowych grobów, korzystając z pomocy policji i doskonałej znajomości regionu (od urodzenia mieszka w Prijedorze). Jego praca obejmuje również ekshumowanie szczątków, ustalanie tożsamości na podstawie badań DNA i informowanie krewnych zidentyfikowanych ofiar.

– To jest prawda – mówi krótko Zlatan, wskazując na szkielet leżący na podłodze przy drzwiach, nad którym pochyła się właśnie trzech mężczyzn z linijkami i notesami.

Ališić wskazuje na zdjęcie z ekshumacji zbiorowego grobu w miejscowości Kevljani – ogromnej operacji.

– To ja – mówi, pokazując na postać w białym fartuchu. – W błocie po kolana. Tutaj próbowali pochować w jednym miejscu wszystkich zabitych, ponad czterystu pięćdziesięciu, po jednej stronie dołu. Ale okazało się, że jest ich za dużo, więc postanowili powiększyć grób w makabryczny sposób: przeciągnęli zwłoki niżej, żeby zrobić miejsce na następne ciała.

Opisując ten zbiorowy grób, mówi:

– Wiele ciał uległo mumifikacji w błocie i trudno je było rozdzielić, a potem oczyścić z tej zmumifikowanej tkanki mięśniowej. – Dodaje: – Pracowałem tam ze znajomym, którego wuj został zabity w Omarskiej, był rzeźnikiem, popisywał się czasem, jak szybko potrafi oprawić jagnię. Zniknął w obozie i nigdy potem go nie widziano. Znalazłem zmumifikowane ciało i kulę. Zrobiłem badania i okazało się, że to właśnie wuj mojego znajomego. – Czasami powstaje inny problem: – Kiedy ciała są ułożone w piramidy, czaszki staczają się na sam dół. Mamy więc stertę kości i warstwę czaszek na dole, które trzeba dopasować do reszty.

Zlatan żyje w świecie zwłok skrywanych nie tylko przez ziemię, ale i znowę milczenia, która stanowi teraz największą przeszkodę na drodze do realizacji jego zadania.

– Rzecz w tym – mówi niemal przeprasającym tonem – że są ludzie, którzy chcą nas powstrzymać.

Opowiada, jak znalazł zbiorowy grób w Gradišće przy pomocy Serba, który widział, jak rozkopywano to miejsce, ale boi się, że gdyby jego współpraca z Międzynarodową Komisją do spraw Osób Zaginionych wyszła na jaw, mógłby stracić życie.

– Musiałem wybrać się w niedzielę na wycieczkę swoją ładą. Obaj mieliśmy ubrania robocze,

jakbyśmy jechali razem po drzewo, bo inaczej nic by mi nie pokazał. Wszystko to dzieło jego sąsiadów, nie chce więc, by widziano go z nami. Nasze działania spotykają się z takim oporem, że wielu ludzi zmuszonych niegdyś przez władze do grzebania zmarłych, teraz za bardzo boi się własnej społeczności, by nam pomóc, choćby tego chcieli. Mam w Prijedorze sąsiada, który woził ciężarówką ciała do jednego z największych grobów; pochowano w nim około trzystu osób. Jeździł tam ciężarówką wyładowaną zwłokami. Spotykam go co rano, a on widzi, jak idę do pracy, ale nie powie mi, gdzie to jest, a w Republice Serbskiej nie mam jak go do tego zmusić. Może liczyć na pełną ochronę ze strony społeczności i władz.

Kierowca ciężarówki wożącej ciała do innego grobu zdecydował się na rozmowę ze Zlatanem.

– Miał kontakty ze służbami wywiadowczymi, mógł przekazać nam pewne cenne informacje. Dwa dni później ktoś podszedł do niego na ulicy i uderzył go w twarz kolbą karabinu.

Ostrzeżenie było jednoznaczne: żywi nie mogą mówić o tym, co się stało; prawda musi pozostać ukryta pod ziemią.

W innym przypadku informacja pochodzi od ofiar, ale zagrożenie ze strony sprawców pozostaje. Chodzi o Hrastovą glaviceę, gdzie zabito doktora Sadikovicia i stu dwudziestu trzech innych.

– Tak, były tam trzy autobusy – mówi Zlatan. – Ekshumowaliśmy pięćdziesiąt trzy ciała w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, potem resztę. Ale teraz pewien starszy mężczyzna twierdzi, że widział wtedy czwarty autobus. Chce z nami o tym rozmawiać, ale boi się, że jeśli ktoś się o tym dowie, zabiją go. [Inni] mieszkają w Prijedorze i boją się mówić, nawet gdy chodzi o członków ich rodziny. Spotkałem się kiedyś z pewnym mężczyzną, który szuka swojego syna, właściwie był już gotów złożyć zeznania. Ale kiedy spytaliśmy: „Kiedy ostatnio widział pan swojego syna? Kto go zabrał?”, zmienił nagle zdanie i odpowiedział: „Nie, nie, nie – nie mogę wam powiedzieć, zabiją mnie”.

Grzebaniem zmarłych często zajmowali się więźniowie, zmuszani do tego przez Serbów, więc czasem świadkowie – a zarazem były ofiary – sami zgłaszają się z informacjami, które prowadzą do bardzo cennych odkryć. Tak było w przypadku sześciu braci Forić, pogrzebanych parami w trzech różnych miejscach, dwieście metrów od obozu w Trnopolju.

– Rodzina przyszła do nas po dokumenty, a zupełnie przypadkowo w tym samym pokoju był wtedy były więzień obozu, którego zmuszano do zakopywania ciał innych uwięzionych. Pojechaliśmy w miejsce, które wskazał, i znaleźliśmy ich: wszyscy zostali zidentyfikowani i czekają teraz na pogrzeb.

W innym wypadku Serb, który grzebał zabitych, dokonał swego rodzaju osobistego rozrachunku, pomagając Komisji ekshumować zakopane dwadzieścia lat wcześniej ciała.

– W pobliżu Sanskiego Mostu – wspomina Zlatan – znaleziono zwłoki dwudziestu dwóch ofiar dzięki temu, że poznaliśmy nazwiska trzech serbskich policjantów, którzy pomagali je zakopywać. Poszliśmy na policję i choć dwaj uparcie milczeli, udało nam się przekonać trzeciego, żeby pokazał nam grób. Zabrał nas w miejsce, gdzie pogrzebał tych ludzi, a my kupiliśmy mu potem obiad. Powiedział, że ulżyło mu dzięki temu, że mógł nam pomóc.

W Bośni żartuje się czasem, że tylko zmarli naprawdę w pełni korzystają ze swobody przemieszczania się po kraju. Zaledwie kilka tygodni po ukryciu ciał swych ofiar w zbiorowych grobach na terenie całej Bośni bośniaccy Serbowie rozpoczęli kolejną makabryczną operację: postanowili wykopać i przenieść ciała, by ukryć w ten sposób dowody swoich zbrodni. Buldożery wypychały rozkładające się zwłoki z ich tymczasowych miejsc pochówku i przenosiły je gdzie indziej. Boczne drogi w okolicach Prijedoru,

a później Srebrenicy zapełniły ciężarówkami, które przewoziły ludzkie szczątki z miejsca na miejsce, by pogrzebać je po raz drugi – a czasem i po raz trzeci – w siatce nowych mogił.

Opowieść o próbach odszukania zwłok od samego początku jest przejmująca, makabryczna i skomplikowana, choć zarazem stanowi jedno z największych współczesnych osiągnięć na polu wykorzystania medycyny sądowej na rzecz realizacji praw człowieka. Już w 1996 roku zespoły ekspertów z Hagi – w tym prokurator Mark Harmon – pod ochroną licznych oddziałów wojska zaczęły odkrywać zbiorowe groby i ekshumować zmarłych, początkowo we wschodniej Bośni. Działania te prowadzono na potrzeby śledztwa – by ustalić przyczynę śmierci i przebieg wydarzeń oraz określić winę sprawców. Ekshumacje wykonywano w sposób profesjonalny, ale ich celem nie było ustalenie tożsamości zmarłych. Odpowiedzialność za ekshumację i identyfikację wszystkich ofiar przekazano bośniackiej Komisji do spraw Poszukiwania Zaginionych. Poszukiwania nadzorował niezmordowany Amor Mašović, szef Komisji, który w swoim biurze w Sarajewie w jeden z tych pochmurnych, szarych dni nieróżniących się właściwie od nocy tłumaczył, na czym polega ogromna trudność z odzyskaniem zwłok zmarłych:

– Każdy pierwotny grób może mieć kilka grobów pochodnych, cztery albo nawet pięć, więc ciała są rozczłonkowane: fragmenty jednej osoby mogą się znajdować w różnych mogiłach na terenie całej Bośni. Powstaje więc dylemat: kiedy uda nam się ustalić, do kogo należała, dajmy na to, kość przedramienia, nie mamy odwagi powiedzieć rodzinie: „Znaleźliśmy waszego syna”. Jak można oddać matce syna w postaci przedramienia? Ale niestety śmierć nie czeka, aż znajdziemy całe ciała. Codziennie umiera ktoś, kto nie zdołał odnaleźć szczątków swoich bliskich. Musimy więc jak najszybciej odszukiwać krewnych, nawet jeśli mamy tylko kilka zidentyfikowanych kości ofiary. To nasz moralny dylemat: Czy kiedy znajdziemy kość o ustalonej tożsamości, powinniśmy mówić o tym rodzinie, czy też milczeć do czasu, aż znajdziemy więcej części ciała?

To makabryczne pytanie daje początek procesowi „składania” szkieletów i identyfikacji ofiar. Gdy komisja odnajdzie zbiorowy grób i ekshumuje szczątki, bośniackie władze przeprowadzają najpierw autopsje, a potem zwracają ciała Komisji lub jej miejscowym partnerom, którzy składają zwłoki, próbując je zidentyfikować, korzystając z próbek DNA przekazanych przez krewnych, a jeśli uda im się ustalić tożsamość, oddają zmarłych rodzinom, by te wyprawiły im godny pogrzeb. (Ta praktyka jest częścią rewolucyjnej i rygorystycznej dyscypliny naukowej zwanej antropologią sądową, stworzonej przez Amerykanina Clyde’a Snowa i wykorzystanej po raz pierwszy przez grupę Argentyńczyków do identyfikacji ofiar masakr dokonywanych podczas „brudnych wojen” USA w Ameryce Łacińskiej. Poznałem kiedyś jedną z tych osób w Nowym Jorku; znajomy przedstawił mnie krótko: to jest Ed Vulliamy, który odkrył obóz w Omarskiej, a to jest MD, która pomagała ekshumować ciała. Uznałem, że to świetny pretekst do zaproszenia jej na kolację, przez jakiś czas byliśmy nawet parą, ale potem ją straciłem).

Najsłynniejsza placówka Komisji, powstała z myślą o identyfikacji ciał ośmiu tysięcy mężczyzn i chłopców zamordowanych w Srebrenicy, nosi angielską nazwę Podrinje Identification Project i mieści się w Tuzli. Kolejną stworzono właśnie w Sanskim Moście, w regionie Prijedoru, który pod względem liczby pochowanych ciał ustępuje tylko Srebrenicy. Początkowo do identyfikacji używano „klasycznych” metod sądowych i antropologicznych, co później doprowadziło do pewnych problemów: niektóre rodziny muszą teraz brać pod uwagę możliwość, że pochowana przez nich osoba w rzeczywistości nie była

jednak ich krewnym. Jednak w 2000 roku Komisja zaczęła eksperyment o rewolucyjnym znaczeniu dla krajów, które muszą radzić sobie z pokłosem zbrojnych konfliktów: badania DNA na masową skalę, zarówno przez porównywanie materiału z różnych szczątków, jak i z próbek pobranych od żyjących krewnych ofiar. To olbrzymie przedsięwzięcie. Początkowo próbki wysyłano za granicę, do laboratoriów w Ameryce, Polsce i Wielkiej Brytanii. Ta praktyka okazała się jednak powolna i kosztowna: na wyniki badań trzeba było czekać wiele miesięcy, a czasami nie wracały w ogóle. W 2002 roku Komisja rozpoczęła zatem własny projekt badawczy w Bośni. Rezultaty były natychmiastowe i spektakularne, co pokazują statystyki dotyczące liczby zidentyfikowanych ciał: 7 w roku 1997, 20 w 2001 – a potem 518 w 2002, 490 w 2003 i 534 w 2004.

Międzynarodowa Komisja do spraw Osób Zaginionych powstała w 1996 roku z inicjatywy prezydenta Billa Clintona jako bezpośrednia reakcja na problem dziesiątek tysięcy zaginionych w Bośni (i choć jej siedziba nadal znajduje się w Sarajewie, ze względu na swoje kompetencje zajmuje się i zajmowała wieloma innymi projektami, identyfikując ofiary konfliktów na Bliskim Wschodzie, ataków terrorystycznych w Nowym Jorku, ofiar azjatyckiego tsunami i huraganu Katrina). Jej działalność początkowo wiązała się ze śledztwami oraz antropologią i medycyną sądową, by potem objąć również obronę praw człowieka i rodzin ofiar oraz dyplomację. Aby realizować swe zadania, Komisja musi współpracować z rządami oraz organizacjami i przywódcami politycznymi.

Poznałem dyrektora generalną Komisji, Kathryne Bomberger, gdy pracowała w miasteczku Lukavac niedaleko Tuzli, w tak zwanym Reassociation Centre, czyli w miejscu, gdzie składa się z kości całe szkielety, przywraca jedność brutalnie rozczłonkowanym istotom ludzkim.

– Składamy w całość części ciał poszczególnych ofiar – powiedziała dyrektor tej placówki, kanadyjska antropolog sądowa Cheryl Katzmarzyk. To miejsce makabryczne, a zarazem bardzo potrzebne i użyteczne. Pierwszy etap to oczyszczanie kości. Meho Islam wyjmował tutaj ludzkie szczątki z worków pełnych błota, sprawdzając dokładnie, czy w brudnej papce nie została najmniejsza choćby cząstka kości.

– Jest w tym naprawdę dobry, szczególnie jeśli idzie o zęby – powiedziała mi Katzmarzyk.

Następnie każda kość jest myta i magazynowana. Na piętrze znajduje się duża sala, w której „składa się” szczątki. Na stołach i arkuszach szarego papieru rozpostartych na podłodze leżały mniej lub bardziej kompletne szkielety – w niektórych przypadkach była to tylko garść elementów, w innych niemal całkowicie odtworzone ludzkie kości.

Pani Bomberger urzęduje teraz w głównej siedzibie komisji w Sarajewie, naprzeciwko ulicznego targowiska i stadionu piłkarskiego. Tutaj właśnie tłumaczy mi, co jest głównym motorem działań prowadzonych w Tuzli czy Sanskim Moście.

– Komisja od lat stara się w humanitarny sposób rozwiązywać problem osób zaginionych podczas konfliktów zbrojnych. Pomagamy w ustalaniu prawdy i ściganiu sprawców, a jednocześnie oddajemy ludziom ciała ich najbliższych. Staramy się również skłonić władze państw, które brały udział w tych konfliktach, do podjęcia właściwych działań. Nie zmuszamy ich do niczego, ale chcemy, by same ustaliły prawdę, licząc swych zmarłych. Dlatego właśnie w 1998 roku zaczęliśmy stosować badania DNA do ułożenia tej ogromnej mozaiki – nigdy dotąd nie używano tych metod na tak ogromną skalę.

Początkowo poszukiwania ofiar prowadzono na potrzeby procesów w Hadze, szczególnie w odniesieniu do Srebrenicy. Jednak gdy liczba odnalezionych ciał rosła, siłą rzeczy w działania Komisji włączono krewnych ofiar.

– Przede wszystkim był to wielki akt odwagi ze strony ludzi, którzy zostali najbardziej dotknięci przez tę wojnę – mówi Bomberger. – Oddając próbki swojego DNA, przyznawali, że ich mąż czy syn nie zaginął, lecz nie żyje: stawiali czoła prawdzie. Musieliśmy wtedy mówić, że to nic pewnego, ale z czasem dla wszystkich stało się oczywiste, że ci ludzie zostali zabici. Działaliśmy więc na różnych poziomach: pomagaliśmy ludziom poradzić sobie z przeszłością, a jednocześnie dostarczaliśmy niezbite dowody tożsamości ofiar ludobójstwa.

W grę wchodzi także inne, bardziej praktyczne kwestie, które również mogą w znaczący sposób odmienić życie osieroconej rodziny.

– Ustalenie tożsamości umożliwia oficjalne potwierdzenie zgonu kogoś, kto tak czy inaczej nie uczestniczy już w życiu pozostawionych bez opieki kobiet i dzieci – bo ogromna większość ofiar to mężczyźni. Ma to istotne znaczenie dla dzieci, dla finansów rodziny, praw spadkowych, statusu mieszkaniowego i tak dalej.

Międzynarodowa Komisja do spraw Osób Zaginionych inicjuje i wspomaga proces polityczny, który inaczej nigdy nie miałby miejsca w dysfunkcyjnym systemie zdeformowanym przez etniczną obsesję i korupcję, a jednocześnie „zmusza rządy do wzięcia odpowiedzialności za zbrodnie wojenne, włączając te rządy w ekshumację ofiar”. Działalność Komisji doprowadziła w 2004 roku do uchwalenia w Bośni prawa dotyczącego zaginionych, które narzucało jednolite zasady i procedury w tej kwestii, a także powołało do życia Instytut do spraw Osób Zaginionych odpowiedzialny za wprowadzenie tych zasad w życie. Instytut przyczynia się w ogromnym stopniu do stabilizacji i pojednania, co przyznają wszystkie grupy etniczne, w tym Serbowie i Republika Serbska.

Jednak być może właśnie ze względu na niepodważalność dowodów, jakimi są ciała pochowane w zbiorowych grobach, opór, który Zlatan Ališić napotyka na poziomie lokalnym, przejawia się również w wielkiej polityce, gdzie kośćmi ofiar żongluje Milorad Dodik i reprezentowana przezeń Republika Serbska. Te właśnie dowody zadały kłam powtarzanym wielokrotnie twierdzeniom, że w Srebrenicy i Omarskiej nie doszło do żadnych zbrodni, serbskie władze próbują więc teraz zablokować proces rozrachunku, uniemożliwiając lub utrudniając poszukiwania zmarłych, nawet własnych rodaków.

– Partia Dodika jest przeciwna temu wszystkiemu – mówi jeden z informatorów zaangażowanych w poszukiwania i ekshumacje – zarówno dlatego, że nie może pogodzić się z perspektywą należycie funkcjonujących instytucji państwowych, jak i dlatego, że nie chce, by znaleziono te ciała. To ci ludzie odpowiadają za większość zbrodni, więc woleliby zachować je w tajemnicy.

Bomberger dodaje:

– Republika Serbska początkowo podpisała się pod tym wszystkim: tworzeniem prawa, powołaniem Instytutu do spraw Osób Zaginionych, ale teraz postanowiła się wycofać i pójść własną drogą. Oskarżyli nas, że szukamy tylko ciał Boszniaków i Chorwatów, co jest kompletnym absurdem, i stworzyli własny „zespół operacyjny”, który ma szukać Serbów na terytorium Republiki Serbskiej. Ofiarami takiego podejścia są głównie rodziny bośniackich Serbów, bo bardzo niewielu Serbów pogrzebano w Republice Serbskiej: większość z nich znajduje się na terenie Federacji. Oczywiście tak naprawdę chodzi o to, że nie mogą ukryć prawdy, i właśnie dlatego im się to nie podoba – liczba ofiar zakopanych w ziemi to dowód, którego nie da się podważyć.

Analiza depech wysyłanych przez amerykańskich dyplomatów i ujawnionych przez WikiLeaks pozwala się przekonać, jak wcześnie międzynarodowa społeczność dowiedziała się o zbiorowych grobach ofiar.

Jedna z depeesz, nadana 27 października 1992 roku z Zagrzebia, cytuje świadka, HC, który „twierdzi, że ciała pogrzebano w wiosce Tomašica, w pobliżu Omarskiej”. Wuj świadka „widział, jak z ciężarówek zrzucono dużą liczbę zwłok do bardzo głębokiego dołu. Potem przykryto je siedmioma lub ośmioma metrami ziemi. Kilka dni później [...] znów przyjechały tam ciężarówki, a do dołu zrzucono wiele martwych zwierząt. Wuj HC przypuszcza, że truchła zwierząt miały odwrócić uwagę od tego, co rzeczywiście kryło się w tym miejscu”. Szesnaście lat później kolejne depesze zamieszczone na WikiLeaks ujawniły, w jakim stopniu obecne władze Republiki Serbskiej utrudniają poszukiwania ofiar. W depeszach nadanych we wrześniu 2008 roku czytamy, że:

władze RS poczyniły kroki, które mają utrudnić Instytutowi do spraw Osób Zaginionych odnajdywanie, ekshumację i identyfikację ofiar wojny 1992–1995. Instytut został powołany do poszukiwania zaginionych osób bez względu na ich przynależność etniczną (w odróżnieniu od organizacji poszukujących ciał w imieniu RS). Jego działalność ma ogromne znaczenie dla procesu pojednania w Bośni. Wcześniej w tym roku, wkrótce po utworzeniu Instytutu, rozpoczęła się w RS głośna kampania prasowa skierowana przeciwko tej organizacji, zarzucająca jej uprzedzenia do Serbów. W czerwcu premier RS Dodik wykorzystał tę nieuzasadnioną krytykę jako pretekst do utworzenia równoległej instytucji na poziomie państwowym [Republiki Serbskiej], Zespołu Operacyjnego RS do spraw Zaginionych (RSOT).

Wyjaśniono wówczas Dodikowi, że takie posunięcie jest „niezgodne z prawem dotyczącym zaginionych”, jako że „państwo ma wyraźnie określone obowiązki w tym zakresie”.

Jednak według późniejszych depeesz RSOT „podejmuje coraz zuchwalsze działania zmierzające do osłabienia Instytutu”, a „przeszkody polityczne i biurokratyczne, niektóre prawdopodobnie stwarzane celowo, przyczyniły się do dwuletniego opóźnienia w działalności Instytutu; problemy tej organizacji w ostatnich miesiącach są bez wątpienia wynikiem działań Republiki Serbskiej”. Umowa najmu laboratorium w Banja Luce, które Instytut „odnowił znacznym kosztem”, została nagle zerwana, a miejsce udostępniono Instytutowi Medycyny Sądowej RS, pojawiły się też żądania, by „archiwa przeniesione zgodnie z prawem do Instytutu” zostały przekazane serbskiej organizacji, co „pozwoliłoby RSOT zatajać przed Instytutem informacje”. W depeszach jest nawet wzmianka o „konfiskacie” materiałów archiwalnych Instytutu. Amerykańscy dyplomaci dostrzegli również ten sam absurd, o którym wspominała Bomberger – że oprócz poszukiwania i ekshumacji ciał Boszniaków, stanowiących przytłaczającą większość ofiar, „Instytut zajmuje się poszukiwaniem, ekshumacją i identyfikacją serbskich ofiar na terenie Federacji”.

Z kolejnej serii depeesz można się dowiedzieć, jak Dodik – wykorzystując frazy doskonale znane wszystkim, którzy mają do czynienia z ludźmi jego pokroju – rozegrał tę sprawę w rozmowie z ambasadorem Stanów Zjednoczonych, Charlesem Englishem, gdy ten „wyraził zaniepokojenie faktem, że mimo wcześniejszych obietnic Dodika RSOT nie zdołał nawiązać skutecznej współpracy z państwowym Instytutem”. W depeszy czytamy także: „Ambasador zauważył, że RSOT skonfiskował ostatnio własność Instytutu, uniemożliwił jego pracownikom dostęp do ich biur, archiwów i prosektorium, odmówił również udzielenia ważnych informacji”. W odpowiedzi Dodik „poskarżył się, że »trudno mu kontrolować zachowanie ludzi w terenie«, i „obiecał zająć się tą sprawą”. I tak dalej, i tak dalej. W październiku 2011 roku Instytut Harrimana na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku poprosił Dodika o wygłoszenie mowy zatytułowanej *Historia sukcesu amerykańskiej polityki zagranicznej: porozumienie z Dayton, Republika Serbska i europejska integracja Bośni*. Uczestnictwo w wykładzie należało wcześniej potwierdzić, ale wielu ludzi o boszniackich nazwiskach po przybyciu na uczelnię przekonało się, że nie ma ich na liście gości, a Uniwersytet bezczelnie odmówił im wstępu.

Timothy Frye, dyrektor Instytutu Harrimana, powiedział uczelnianej gazecie: „Liczba chętnych do wysłuchania wykładu przekroczyła liczbę miejsc, poza tym pojawiły się jakieś problemy techniczne z rezerwacją internetową, które dotknęły sporą grupę osób zainteresowanych tym wydarzeniem”. Spytany o stosowność zaproszenia Dodika na Uniwersytet Columbia, Frye odpowiedział: „W uwagach wstępnych do wykładu podkreśliłem, że zaproszenie na wykład na naszym uniwersytecie w żadnym wypadku nie oznacza akceptacji poglądów czy polityki mówcy”.

Najdziwniejsza spośród moich licznych dyskusji dotyczących zbiorowych grobów w okolicy Prijedoru miała miejsce gdzieś nad środkową Azją, na pokładzie samolotu lecącego z Londynu do Bangaluru, a moim rozmówcą był Bruce Dickinson, wokalista zespołu Iron Maiden. Jako przedstawiciel tygodnika „The Observer” miałem relacjonować koncert Iron Maiden na pierwszym w historii Indii festiwalu rockowym, na który zjechały się tłumy z całego subkontynentu (większość nie miała biletów, więc słuchała koncertów zza ogrodzenia). Wyjazd na tę imprezę obejmował również zaszczyt wspólnej podróży z zespołem – a właściwie podróży na pokładzie tego samego samolotu. Dickinson zjadł posiłek w pierwszej klasie, z przodu samolotu, podczas gdy przedstawiciel firmy fonograficznej EMI, fotograf zespołu, mój kolega po fachu z magazynu „Metal Hammer” i ja zajmowaliśmy miejsca w klasie ekonomicznej. Jednak gdy tylko posiłek dobiegł końca, Dickinson – równy gość – przeszedł do nas, by pogadać i wypić tyle puszek piwa London Pride, ile tylko zdumiony, niemal urażony personel British Airways był mu w stanie podać.

Dickinsona fascynuje wojna i jej konsekwencje (nim został gwiazdą rocka, marzył o karierze pilota myśliwca), więc wcześniej czy później nasza rozmowa musiała zejść na jego legendarny występ w Sarajewie, w okresie najcięższych walk o to oblężone miasto. Był jednym z trojga słynnych międzynarodowych artystów, którzy pracowali tam w czasie wojny – pozostali to Susan Sontag i Joan Baez. Dickinson chciał koniecznie pojechać do Sarajewa z Serious Road Trip, fantastyczną organizacją charytatywną złożoną z Irlandczyków, Brytyjczyków i Nowozelandczyków, którzy przejeżdżali przez serbskie posterunki w ciężarówkach ozdobionych kolorowymi wizerunkami Dennisa Rozrabiaki i smerfów. Opłacani głównie przez grupy solidarnościowe związków zawodowych, wieźli zapas bardzo potrzebnej insuliny i strzykawek, a także góry płyt kompaktowych, dzięki którym sarajewska stacja radiowa Radio Zid mogła nadawać przesłanie rock and rolla i cywilizacji. W ciężarówkach znalazło się też miejsce na zapas pewnego aromatycznego zioła palonego w fajkach i w postaci skrętów. Ekipa Serious Road Trip spotykała się z ostentacyjnym lekceważeniem ze strony poważnych agencji pomocowych, ale była uwielbiana przez młodzież obleganego Sarajewa, szczególnie gdy w 1994 roku przywiozła ze sobą Bruce’a Dickinsona i trzech towarzyszących mu muzyków. Bekim Medunjanin, obecnie mąż największej piosenkarki sevdah swego pokolenia, Amiry Medunjanin, pomógł zorganizować koncert.

– Byłem młody, uwięziony w oblężonym mieście – wspomina. – Mało jadłem i ważyłem tylko czterdzieści pięć kilogramów. Ale nie marzyłem wcale o jedzeniu. Bardziej brakowało mi czegoś, co zrównoważyłoby ciągły ostrzał, ogień snajperów, wiadomości o przyjaciołach, którzy zginęli w mieście albo w obozach koncentracyjnych. Byliśmy spragnieni muzyki, imprez artystycznych, rock and rolla, rzeczy, które utrzymałyby nas przy życiu, dodały nam sił.

Muzyka w oblężonym Sarajewie nie ograniczała się do rock and rolla. Moje czterdzieste urodziny przypadły w dniu szczególnie krwawej masakry, gdy serbski pocisk trafił w ludzi stojących w kolejce po

wodę w oddalonej od linii frontu podmiejskiej dzielnicy Dobrinja. Postanowiłem wtedy zrobić coś wyjątkowego i wybrałem się do Teatru Narodowego na jeden z serii koncertów muzyki kameralnej, który oczywiście odbywał się przy wygaszonych światłach: Sarajewskie Trio Smyczkowe (wcześniej był to kwartet, ale drugi skrzypek został ranny) grało utwory Haydna. Podczas koncertów Serbowie wyjątkowo zaciekle ostrzeliwali teatr, a w pewnym momencie, podczas pięknego, melodyjnego adagio, pocisk artyleryjski eksplodował tak blisko i z takim hukiem, że ściany budynku się zatrzęsły, a stojak z nutami altowiolisty przewrócił się na ziemię. Lider zespołu poczekał, aż muzyk podniesie i ustawi nuty, po czym wszyscy podjęli przerwany koncert. W ramach tego samego festiwalu w Teatrze Narodowym wielka amerykańska pisarka Susan Sontag – którą później miałem zaszczyt nazywać przyjaciółką, początkowo dzięki wspólnym wspomnieniom z Bośni – wystawiła swoją słynną inscenizację sztuki Samuela Becketta *Czekając na Godota*. Gdy zarzucono dyrektorowi Teatru Narodowego, Harisowi Pašoviciowi, że organizowanie takich wydarzeń kulturalnych w czasie, kiedy ginie tylu ludzi, jest niestosowne, ten odparował:

– Ludzie mnie pytają: „Dlaczego robisz festiwal teatralny w czasie oblężenia?”. A ja odpowiadam im na to: „Dlaczego oni prowadzą oblężenie podczas mojego festiwalu teatralnego?”.

Na pokładzie samolotu lecącego do Indii Dickinson mówił o swoim występie w Sarajewie:

– To był jeden z najważniejszych koncertów w moim życiu. Jechaliśmy przez strefę walk, spaliśmy na swoim sprzęcie w ciężarówkach pod brezentem, siedziałem tam w sumie pięć dni. To była naprawdę zajebista wyprawa, a dzieciaki na koncercie były po prostu nie z tej ziemi.

Dickinson nadal utrzymywał kontakty z Bośnią: podróż z Serious Road Trip dała początek innym niezwykłym przedsięwzięciom, choćby takim jak słynna szkoła muzyczna w Mostarze – dzięki której z kolei powstała organizacja charytatywna War Child – i projekt muzyczny Alter Art w Travniku. Dickinson podarował tej ostatniej organizacji swoją kolekcję płyt CD, którą przewiózł na miejsce jeden z organizatorów transportów pomocowych, Simon Glinn, obecnie dyrektor filharmonii w Liverpoolu.

– To było coś: przerzucenie jednej z najlepszych kolekcji muzycznych, jakie kiedykolwiek widziałem, z Chiswick przez całą Europę do centralnej Bośni – mówi Glinn.

Nic dziwnego, że Dickinson chciał wiedzieć, jak rozwija się jego projekt, i pojechał do Bośni, by się o tym przekonać.

– Zatrzymaliśmy się w Sanskim Moście – wspominał, prosząc stewardesę o następną puszkę london pride. – Byłem tam w towarzystwie paru amerykańskich wojskowych, pomyśleliśmy, że miło będzie popływać w rzece. Wtedy ludzie stamtąd powiedzieli nam, że niedawno na wzgórzach w górze rzeki znaleziono ciała trzystu ludzi i że to wszystko oczywiście przedostaje się do wód gruntowych. Pomyśl tylko, pływasz w rzece ze szczątkami swoich rodaków z obozów.

Postanowiliśmy zmienić temat i zaczęliśmy rozmawiać o plastikowych modelach, które sklejał w dzieciństwie. Wkrótce w samolocie zabrakło london pride.

Tesma Elezović

Tesma, którą poznałem w Nowym Jorku podczas procesu o gwałty, skończyła już odbudowywać swój dom w Kozaracu. Częstojuje mnie ciastkami domowej roboty: jeśli powiem, że chętnie skosztuję, podsunie je na talerzu. Jeśli grzecznie podziękuję i odmówię, tak czy inaczej je podsunie. Tesma jest bardzo żywiołowa – to dla niej ważne, by wciąż mieć mnóstwo energii.

Podczas wizyt w Prijedorze Tesma często spotyka swoich starych serbskich przyjaciół.

– Niedawno ktoś zawołał: „Tesma!”. Odwróciłam się i zauważyłam znajomą twarz. Serba, przyjaciela, z którym bawiłam się w dzieciństwie. Zobaczył mnie i powiedział: „Spójrz tylko, co oni nam zrobili”. A ja odparłam: „Jacy oni? Jakim nam? To twoi rodacy nas wygnali i spalili nasze domy”. Mówią o tym tak, jakby to był film Hitchcocka! Wszyscy mówią, że zrobił to ktoś inny, „to nie my”, ale przecież ktoś zabił moje dziecko i robił mi te wszystkie rzeczy w obozach. Skądś się w końcu wzięli. – Tesma mówi, co myśli o mężczyznach, którzy gwałcili ją w Omarskiej. – Kiedy mają karabin albo czołg, są wielkimi twardzielami. Ale kiedy zostaną sami, przyparci do muru, to zwykłe płaksy. Są niczym: gardzę nimi, nigdy im nie wybaczę. W obozie wpadłyśmy kiedyś na pewien pomysł – kontynuuje Tesma, przynosząc kolejny talerz ciastek, o które wcale nie prosiłem (a właściwie ciastek, za które zdecydowanie podziękowałem). – Postanowiłyśmy zrobić planszę ouija na podłodze, wywołać duchy i spytać, co się z nami stanie. Bawiłyśmy się w to we cztery: Jadranka, Biba, Nusreta i ja. Zdobyłyśmy gdzieś plastikowy kubek, kawałek papieru i świecę. Nusreta powiedziała: „Chcę wiedzieć, czy stąd wyjdziemy”. Wskazówka się przesunęła i odpowiedziała: „Tak”. Spytałyśmy: „Kiedy?”. A duch odpowiedział: „Za dwa dni”. Myślałyśmy, że to żart. Nagle w drzwiach pojawił się czetnik. „Co wy tu robicie?”, spytał. Powiedziałyśmy mu, że wywołujemy duchy i pytamy o przyszłość. Wtedy czetnik powiedział: „Spytajcie go o mnie”. A my odpowiedziałyśmy: „Za późno, już przepłoszyłeś tego ducha”. Ale wcale nie żartuję, dwa dni później do obozu przyjechaliście ty i Penny Marshall!

Tesma przez pół roku mieszka w Perth, gdzie – jak mnie zapewnia – panuje idealny klimat.

– Mogłam zostać w Niemczech, ale siostra ciągle przysyłała mi książki o Perth i mówiła: „Nie ma na świecie takiego kwiatu, którego by tu nie było”.

Dzięki temu, że sześć miesięcy mieszka tam, a sześć w Bośni, jej życie to jedno długie lato. Lecz w jej sercu nieustannie panuje zima.

Tesma mówi, że dziś nie będziemy rozmawiać o wojnie, ale wymienimy się wiadomościami o rodzinie. Natychmiast zaczyna:

– Mój syn wciąż się nie znalazł. – Właśnie to, a nie pamięć przemocy i gwałtów, sprawia Tesmie największy ból. Pomimo tylu przebadanych próbek DNA, pomimo wszystkich starań Międzynarodowej Komisji do spraw Osób Zaginionych, pomimo poszukiwań prowadzonych przez samą Tesmę.

– Ani śladu. Nic. Zbadałam dokładnie cały teren, na którym podobno został ranny.

Tesma nagle zupełnie się zmienia, garbi się i pochyla, jej oczy wypełnia smutek.

– Próbowaliśmy wszystkiego: mogłabym cały dom wypełnić rozmowami telefonicznymi w tej sprawie. Zabito go gdzieś tam, ale nie wiem gdzie. Ani jak. Co widział w ostatnich chwilach? Umarł szybko czy cierpiał? Dopóki się tego nie dowiem, sama jestem „zaginiona”.

Mówi, że zaniósła zdjęcie Elvira do projektu o nazwie Ściana Prawdy w Sarajewie, wyjmując z szuflady drugą odbitkę. Nie jest to oprawiona w ramki fotografia, którą trzyma na półce, ale jego zdjęcie ślubne – przystojny, uśmiechnięty młodzieniec.

– Dostałam je od swojej siostry w Zagrzebiu – mówi Tesma. – Na szczęście zachowała jedno zdjęcie, gdy my wszystko straciliśmy. Ale dopóki go nie znajdę, nie będę żyła naprawdę. Możemy zbudować dom, możemy kupić nowy samochód. Ale dopóki nie odnajdę i nie pogrzebię swojego syna, w środku mojego życia zieje wielka czarna dziura.

Dżemal Paratušić

Wychodzę na zbocze góry nad Kozaracem, do domu Dżemala Paratušicia, który w 1992 roku nie chciał

mówić żadnych kłamstw. Jego kuzyn Salih, który na stałe mieszka w Alzacji-Lotaryngii, spełnił obietnicę sprzed trzech lat i rozbudował swój parterowy dom na sąsiedniej działce do wysokości dwóch pięter. Jem na werandzie pyszny posiłek przygotowany przez matkę Dżemala, towarzyszy mi jego syn ze swoją dziewczyną z Kozaraca. Przyjechali tu na lato z Norwegii. Ale Dżemala z nami nie ma.

– Nie jest z nim dobrze – mówi Harry. – To wszystko nie daje mu spokoju.

Więc znów jadę pociągiem przez Londyn do Borehamwood i Elstree.

– Minęło już tyle czasu – mówi Dżemal – przez tyle lat nosiliśmy to wszystko w sobie, przeżywaliliśmy na nowo każdą chwilę wojny, że dla naszego pokolenia już za późno na wyzdrowienie. Dotarliśmy do punktu, w którym nie chcemy zostawić tego za sobą, więc na prawdziwe uleczenie trzeba pięćdziesięciu lat, trzech pokoleń.

Potem Dżemal przechodzi do sedna, mówi z rozbijającą szczerością i odwagą, która po prostu musi wróżyć dobrze.

– Kiedy tu przyjechałem, byłem fizycznie słaby, ale zdrowy na umyśle. I nagle, dwadzieścia lat później... Cóż, pamiętam, jak psychiatra mówił mi, że będę miał problemy za jakiś czas. Zaczęło się, gdy wróciłem do Omarskiej w 2009 roku. Pojechałem tam, zobaczyłem ciebie i nagle wszystko do mnie wróciło, nie mogłem spać; w nocy śpię teraz może przez godzinę, potem znów zasypiam nad ranem i jestem wtedy z powrotem w obozie. Nie mogłem dogadać się z rodziną, mieliśmy naprawdę poważne problemy, zauważyli to nawet w pracy. Chodzę teraz na psychoterapię i cieszę się z tego. Moja terapeutka powiedziała, że jestem trudnym przypadkiem, że to wszystko bardzo mocno mnie dotknęło i dopiero teraz to ze mnie wychodzi. Mówi, że nie ma powodu, żeby wszystko wyszło od razu, ale na przestrzeni lat po prostu musi się to ze mnie wydostać. – Dżemal mówi o tym z przekonaniem i wielką wrażliwością jednocześnie; taki właśnie jest. – Czuję się lepiej, ale od dwóch lat nie mogę jeździć do Kozaraca. Lekarz mówi, że nie zniósłbym tego.

Potem opowiada o człowieku ukrytym w jego wnętrzu, który teraz z niego „wychodzi”.

– Kiedy jesteś w obozie, nie masz czasu się bać. To znaczy po kilku pierwszych dniach, kiedy jesteś przerażony. Zaczynasz traktować to, co się tam dzieje, jako coś normalnego. Myślisz, że takie właśnie jest życie: bicie, ból, zabijanie i strach. Zaczynasz myśleć, że to właściwie nieważne, czy przeżyjesz, czy umrzesz. Strażnik bije cię kolbą karabinu: to nieważne. Zabierają kogoś i zabijają, to też nieważne. Słyszysz krzyki i nie przejmujesz się tym, bo jeśli zaczniesz się przejmować, to już po tobie. Tylko w ten sposób możesz tam przetrwać. Ale potem, po wszystkich tych latach, dociera to do ciebie: kim wtedy byłem, że to wszystko nie miało dla mnie znaczenia? Gdybyś zrobił mi coś takiego teraz, padłbym z bólu. Ale wtedy nie czułem bólu, nie cierpiałem. Teraz często się zastanawiam: co działo się ze mną przez cały ten czas, że nie czułem bólu? Co się stało z moim ciałem, z moją głową? I nagle, po jakimś czasie, coś się załamuje. Nie jestem w tym pierwszy ani ostatni. – Dżemal robi przerwę na złapanie oddechu, potem mówi dalej: – Mój ojciec był chory. Wkrótce i tak by umarł, ale nie o to chodzi. Zabili go, chorego starca. Ale przynajmniej znaleziono jego szczątki. Zrobiłem badania DNA, a oni powiedzieli: „To jest pański ojciec”. Mamy grób, który możemy odwiedzać. Ale ojciec Rubii także został zabity, a do tej pory go nie znaleziono. Dzieciaki pytają: „Dlaczego nie pojedziemy też na grób taty mamy?”. I co mamy z tym zrobić?

– Najgorsze jest właśnie to, że nie wiem, gdzie i co się z nim stało – mówi Rubija. – Nie mogę pogrzebać swojego ojca, nie mogę powiedzieć dzieciom: tu leży wasz dziadek.

Zakładaliśmy wcześniej, że podczas tego spotkania nie będziemy rozmawiać o wydarzeniach z 1992 roku. Ale Džemal opowiada o nocy, kiedy strażnicy przyszli do jego kwatery, pokoju numer piętnaście na pierwszym piętrze hangaru, i spytali: „Czy w Garażu na dole jest twój brat?” – mówili o potwornym pomieszczeniu w pobliżu wejścia do budynku.

– Poszedłem z nimi na dół; mój brat umierał. Przywołał wszystkich, żeby się pożegnać. Powiedział: „Mamy już dość. Jeśli i tak wszyscy mamy umrzeć, zróbmy to razem”. Tak się jednak złożyło, że przeżył, a potem nagle coś się zmieniło: przenieśli nas z Garażu z powrotem do naszych kwater. Szukali ochotników do wymiany jeńców.

Džemal opowiada mi teraz o ważnych wydarzeniach w Omarskiej, o których do tej pory, przez dziewiętnaście lat, nie miałem pojęcia. Pierwsze z nich dotyczy oferty „wymiany jeńców”, jaką czasem składano więźniom. Okazuje się, że była to wymiana ze śmiercią. Żeby potwierdzić prawdziwość tej opowieści i usłyszeć jej pełniejszą wersję, dopijamy piwo i przenosimy się do wujka Džemala, Rama. Cała rodzina grilluje właśnie w ogrodzie na tyłach domu. Ramo potwierdza, że nocą 20 lipca do wymiany jeńców zgłosiło się na ochotnika dwustu siedemdziesięciu mężczyzn.

– Nigdy potem ich już nie widziano – mówi Ramo. Był wśród nich kuzyn Rubii, Hasan, którego szczątki znaleziono w jaskini Hrastova glavica wraz z ciałami doktora Esa Sadikovicia i stu dwudziestu dwóch innych więźniów.

– Spał obok mnie, na piętrze hangaru – opowiada Džemal. – Byłem tam, kiedy zdecydował się pojechać. Mówił, że jego przyjaciel, strażnik, pomoże mu wydostać się na wolność. Powiedziałem mu wtedy: „Nie masz wśród strażników żadnych przyjaciół. W ogóle nie masz tu przyjaciół: w obozie koncentracyjnym przyjaźń nie istnieje. Nie jedź”. Ale pojechał.

Drugie wydarzenie, o którym chcieliśmy porozmawiać z wujkiem Džemala, dotyczy częściowej ewakuacji Omarskiej 6 sierpnia. Nikt nie powiedział mi dotąd, co się stało, kiedy autobusy z więźniami dotarły do Manjačy.

– Wyjechaliśmy z Omarskiej o czwartej po południu, a przyjechaliśmy na miejsce o czwartej rano – mówi Ramo.

– To wariactwo, to było o rzut kamieniem z obozu – zauważa Džemal.

– Musieli przyjechać w środku nocy, bo planowali zabić tych ludzi, których chcieli się jeszcze pozbyć – tłumaczy Ramo. – To była ostatnia szansa, bo potem miał ich zarejestrować Czerwony Krzyż i trzeba by było tłumaczyć, co się z nimi stało. Przechodzili więc przez autobusy, wywoływali ludzi po nazwisku, a potem zabijali ich tuż pod oknami. Widziałem trzech pierwszych: zabrali im ubrania i buty, rozebrali do naga i wykastrowali. To byli ludzie, którzy na samym początku uciekli z Kozaraca do lasu, a potem albo się poddali, albo zostali schwytani. Tak wyglądała ostatnia „selekcja” do egzekucji. Znaleźli już ciała niektórych z nich.

Wśród wywołanych był również najlepszy przyjaciel Sefera Haškicia, Meho Bešić, który według Džemala po prostu milczał, nie reagował na dźwięk swojego nazwiska.

– To uratowało mu życie. Teraz mieszka w Szwajcarii.

Jest ojcem dziewczyny, którą spotkałem w Miami.

Mamy do omówienia jeszcze jedną sprawę. Chodzi o niesławną egzekucję Emira Karabašicia, któremu jądra odgryzł inny więzień, zmuszony do tego przez strażników. W Borehamwood mieszka inny Emir, który do tej pory się nie ujawniał. Należał do grupy więźniów, którym kazano ładować na ciężarówki

ciała ofiar rzezi z 18 czerwca 1992 roku, przewożone potem do zbiorowych grobów. I tu pojawia się zaskakująca informacja: kiedy ładowano go na ciężarówkę, Emir Karabašić wciąż żył.

Jedyne, co możemy teraz zrobić – tak zwykle postępują Bośniacy – to opowiedzieć coś zabawnego. Nie przypuszczałem, że Džemal zakończy wieczór w taki sposób.

– To było w czasie, gdy leżałem w szpitalu w Watford – wspomina. – Po jakimś czasie czułem się już lepiej i wybrałem się na pierwszy spacer. Zjechałem windą na dół i wyszedłem na ulicę, żeby zobaczyć Anglię. Miałem przy sobie trochę pieniędzy, które dostałem wcześniej ze Szwajcarii. Zobaczyłem sklep monopolowy i wszedłem do środka. Nie wiedziałem, co mogę kupić za swoje pieniądze, nie znałem ani słowa po angielsku, ale wziąłem trochę piwa, dałem sprzedawcy trochę pieniędzy i wróciłem na oddział. Wszyscy oszaleli. Džemo ma piwo! – krzyczeli. To był wrzesień, nasze pierwsze piwo od maja i pierwsze w Anglii.

Azra Blažević, Edina Striković

W tej długiej podróży po Bośni i Europie w 2011 roku towarzyszy mi Edina Striković, córka Azry Blažević z St. Louis, lekarki weterynarii w Trnopolju. Poznałem Dinę, gdy miała siedem lat, w korytarzu przed centrum medycznym w obozie, i spotkałem ją ponownie szesnaście lat później, kiedy była studentką w St. Louis. Teraz jest moją koleżanką po fachu, przyjaciółką, wulkanem energii i czarującą młodą kobietą, która podbija serca wszystkich naszych rozmówców – wielu z nich pamięta jej matkę i wspomina ją z rozrzewnieniem i wdzięcznością.

Wiosną, w St. Louis, Azra wspomina pewne wydarzenie, które miało miejsce na masywie Vlašić, gdy wraz z dziećmi jechała w konwoju deportowanych z Trnopolja. W pewnym momencie zatrzymali się przy wodotrysku z pitną wodą w Turbe.

– Usiedliśmy na ziemi, ledwie żywi ze zmęczenia: moja matka, ja, Dina i maleńki Kerim. Była druga w nocy. Ktoś poświecił mi latarką w twarz i spytał: „Ty jesteś Azra z lecznicy weterynaryjnej?”. Potwierdziłam, że to ja. „A to kto?”, spytał wtedy ten człowiek, kierując snop światła na Dinę. A ja zobaczyłam tę istotę; siedziała na plecaku, w środku nocy, owinięta kocem, po prostu wcielony stereotyp dziecka uchodźców. Pomyślałam sobie: to film czy sen? Kiedy to się skończy, kiedy się obudzę? Jedyne, co mogłam wtedy zrobić, to wybuchnąć śmiechem. Dina to pamięta i nie może mi tego wybaczyć.

Potem rozmawiamy o rozrachunku i przetrwaniu.

– Myślę, że należą do tych ludzi, którzy nie będą mieli większych problemów – mówi Azra. – Nie mogę być tego pewna, ale tak sędzę. Nie lubię myśleć o sobie jako o kimś przybitym, bo nie jestem taka. Przetrwanie jest jak rodzicielstwo: gdyby istniał przewodnik uczący skutecznie, jak być dobrym rodzicem, wszyscy bylibyśmy dobrymi rodzicami. Gdyby istniał przewodnik uczący, jak przeżyć w obozie koncentracyjnym, nikt by nie umarł. Wszyscy mówią, że taka trauma zmienia ludzi, ale ja się z tym nie zgadzam. Po prostu zdejmuje ci klapki z oczu: potem nie ma już na świecie bezpiecznych miejsc, nie ma kryjówek. W moim życiu, między 1992 a 1997 rokiem, jest ta straszna czarna dziura, ale nie mogę dołączyć do kultu tej czarnej dziury, który wyznają niektórzy ludzie. Są jednak chwile, kiedy nie wiesz, jak to się potoczy, nie wiesz, do kogo się zwrócić. Poza tym nie możemy pozwolić sobie na nerwicę pourazową, bo tu nie ma żadnego „po”! To się jeszcze nie skończyło.

Azra wraca do naszej rozmowy z pokoju świadków w Hadze.

– Zrobili nam to ludzie, z którymi się wychowaliśmy; nadal nie mogę tego pojąć. Kiedy z Omarskiej przyjechała pierwsza grupa więźniów, rozmawiałam z ojcem tego mężczyzny, któremu odgryziono jądra,

mówił o narzędziach tortur. To nie były rzeczy, po które ktoś sięgał w napadzie złości. Trzeba było przygotować je wcześniej w domu, naostrzyć, wzmocnić. Wszystko po to, żeby torturować i zabijać swoich przyjaciół i sąsiadów.

Potem mówimy o ukrywaniu obozów przed światem.

– Pamiętam, jak mówiłam do Idriza, że ktoś musi wiedzieć, że tu jesteśmy – wspomina Azra. – Ktoś musi wiedzieć o tych miejscach. A od kiedy odkryłam, że rzeczywiście wiedzieli o tym od samego początku, a także po tym, co wydarzyło się w Srebrenicy, nie potrafię już zaufać żadnemu politykowi. Mogli zapobiec tej masakrze, ale nic nie zrobili. Ich zdaniem byliśmy uczestnikami tej wojny i woleli pozwolić, żebyśmy zniknęli z powierzchni ziemi, niż cokolwiek dla nas zrobić. I właśnie w chwilach, kiedy o tym myślę, muszę się od tego zdystansować, w takich chwilach mogłabym się załamać.

To sprowadza naszą rozmowę na temat zrównania win i pojednania.

– Oczywiście, że po bośniackiej stronie też byli szaleńcy – mówi Azra – ale teraz zrównuje się wszystkie trzy strony jako współsprawców, którzy popełniali takie same zbrodnie. A tak wcale nie było. To fałszywa równowaga. My nie organizowaliśmy ludobójstwa. Ale tak to pewnie zostanie zapamiętane w przyszłości.

Właśnie coś takiego Lawrence Langer nazywa „zdegenerowaną historią”.

– Mam ogromny szacunek dla tego, co osiągnęli Niemcy – kontynuuje Azra. – Zbudowali pomniki w Berlinie i Dachau, ich historia jest jasna. Nam każe się tolerować rzeczy niedopuszczalne: Serbowie, którzy nas prześladowali, którzy próbowali nas zniszczyć, mówią nam teraz, że wracamy do wielokulturowego kraju. I że możemy z nimi żyć, ale na ich warunkach. – Azra uważnie śledziła losy batalii o pomnik w Omarskiej. – Mówią do nas językiem, który podoba się Zachodowi: wybaczenie i zapomnijcie. Zostawcie to. Jak mamy to zrobić, skoro oni nie przeprosili nas za to, co mamy zapomnieć i zostawić? Skoro wmawiają nam, że wszyscy robiliśmy sobie nawzajem takie same rzeczy? Można powiedzieć, że przeżyłam do tej pory cztery życia – mówi dalej Azra. – Jedno w Bośni, zakończone przez wojnę, drugie w obozie koncentracyjnym, trzecie jako uchodźca w Niemczech i czwarte tutaj, zapewne jako ocalona. Ale nie jestem w stanie ocenić, jak wielki wysiłek włożyłam w to, co jest w istocie jednym życiem i co doprowadziło mnie tutaj. Chciałabym kiedyś spotkać znowu starą Azrę, kobietę, którą byłam, nim to wszystko się wydarzyło.

„Rozrachunkowa wyprawa”, którą podjąłem latem 2011 roku z córką Azry, Ediną, trwała długie tygodnie; przejechaliśmy w tym czasie wiele tysięcy kilometrów: do Sarajewa i z powrotem, przez Chorwację, Niemcy, po Skandynawię. Dla Ediny była to również niezwykła podróż w czasie, spotkała przyjaciół z przeszłości swoich rodziców, którzy wiele zawdzięczali wysiłkom jej matki w Trnopolju, zobaczyła dom, w którym mieszkała przez pierwsze siedem lat swojego życia. Pokryty obecnie jaskrawozieloną farbą budynek stoi między tartakiem przy wjeździe do Kozaraca a boiskiem piłkarskim. Niegdyś mieszkała tu cała rodzina Azry, tu również mieściła się jej przychodnia weterynaryjna, teraz jednak to tylko zniszczona rudera z napisem „Na sprzedaż”.

– Tam siadywaliśmy w wolnych chwilach, pod winoroślą – opowiada Dina. – A robotnicy z tartaku opierali się o płot i gawędzili z nami. Moja mama zostawiała otwarte drzwi, tak po prostu, potem szła do przychodni na drugą stronę domu i prosiła robotników, żeby mieli na nas oko.

Jak zeznawała w Hadze Azra, to właśnie ci mężczyźni przekazali jej w maju 1992 roku wiadomość, że do Kozaraca zbliżają się czołgi.

Ostatnim etapem „wyprawy” jest przeprawa promem z Frederikshavn w Danii do Göteborga w Szwecji. Na pokładzie promu, w promieniach słońca pieszczącego powierzchnię wody w cieśninie Skagerrak, Edina opowiada o Ameryce, Bośni, Niemczech i życiu, które kazało jej „opuścić dom, by dotrzeć do domu”, jak to ujmuje.

– Ciągłe żyjesz w zawieszaniu – mówi. – Zastanawiasz się: jestem Niemką? Amerykanką? Bośniaczką, z pewnością, ale gdzie? Jak?

Edina mieszkała w Niemczech od siódmego do piętnastego roku życia, potem przeniosła się do Stanów Zjednoczonych.

– W takim wieku niełatwo zaczyna się od nowa. Nie chciałam ograniczać się do diaspory w południowym St. Louis, być super-Bośniaczką. Chciałam mieć własne amerykańskie życie.

Z pewnością jej się to udało. Gdy odwiedziłem St. Louis, była świetną studentką, miała wielu amerykańskich przyjaciół.

– Ale wróciłam do Niemiec na studia i zaczęłam trochę więcej myśleć o swoich korzeniach. Czuję, że muszę zachować bośniacką tożsamość, pielęgnować kulturę i wspomnienia na poziomie osobistym i pokoleniowym. Pokolenie moich rodziców jest zdane wyłącznie na siebie: znikają jako społeczność, bo odebrano im wspólne życie. W pewnym sensie to jest właśnie największa zbrodnia: pozbawiono ich życia, które mogliby prowadzić, tego, co mogliby osiągnąć. Moi rodzice, Jadranka, doktor Idriz i oczywiście ci, którzy zginęli. Tylu ludzi chciałoby wrócić do domu. Mogą legalnie mieszkać za granicą, ale nie chcą. Z miejscem wygnania łączy ich rodzina, opieka społeczna i służba zdrowia w Niemczech, Danii czy gdziekolwiek indziej – i fakt, że nie ufają serbskim lekarzom w swoich rodzinnych stronach. Przeżyli, ale wciąż trwają w zawieszaniu.

Pogryzamy orzeszki na pokładzie, w ciepłym słońcu, osłonięci przed zimnym wiatrem. Obserwujemy, jak mewy nurkują po ryby we wzburzonych przez prom falach.

– Więc to my, którzy zostaliśmy deportowani jako dzieci – kontynuuje Edina – będziemy musieli utrzymywać więź z tym miejscem. Zrobimy to dla nich; ci z nas, którzy mają dość siły woli i wiary. Bo jeśli tego nie zrobimy, to wszystko zniknie, całe ich życie. Ale to nie może być postrzegane jako brzemię. Trzeba to robić z odpowiednią dozą dumy i radości, jako zaszczytny obowiązek. – Edina, sama będąc osobą o nieustępliwym, twardym charakterze, ma jeszcze ważną uwagę. – Ci ludzie są bohaterami – mówi. – Ni mniej, ni więcej.

Jest 10 września 2011 roku, dzień wyjątkowy z dwóch powodów. Po pierwsze, to dwudzieste szóste urodziny Ediny, wypadałoby więc podarować sobie trochę luksusu po tysiącach kilometrów spędzonych w podróży. Wynajmujemy pokoje w renomowanym hotelu Atlantic z widokiem na fiord, w Kilonii w północnych Niemczech. Rankiem raczymy się pysznym śniadaniem podawanym w formie szwedzkiego stołu. Wielu ludzi lubi w dzień urodzin oglądać swoje stare zdjęcia albo filmy – bardzo nieliczni oglądają samych siebie na nagraniu z obozu koncentracyjnego. Jednak na monitorze ustawionym na biurku przy oknie z widokiem na przystań w Kilonii widać właśnie siedmioletnią Edinę w obozie w Trnopolju. Ubrana w żółtą koszulkę, z krótko przyciętymi włosami, stoi przy swojej matce, która trzyma na rękach małego Kerima i rozmawia z Penny Marshall. Potem oglądamy inne niezwykle nagranie: rozmowę Penny z Idrizem Merdżanicem, który w odpowiedzi na jej pytania o znęcanie się i o więźniów z innych obozów wymownie milczy lub kiwa głową, szukając złotego środka między pragnieniem wyznania prawdy a obawą o własne życie. Jednym grymasem, przewróceniem oczu, przekazywał więcej, niż mogłyby

oddać jakiegokolwiek słowa. I to jest właśnie drugi powód, dla którego ten dzień jest wyjątkowy. Czas spotkać się z doktorem Idrizem, po raz pierwszy od 5 sierpnia 1992 roku. Kiedy zatrzymujemy się przed jego domem z czerwonej cegły, z bramy wychodzi dwadzieścia lat starszy doktor Idriz. Nie ruszam się z miejsca, bo doktor chce przede wszystkim powitać córkę swojej partnerki i współpracownicy z czasów rozpaczki i strachu, i to właśnie ją ściska serdecznie na środku ulicy.

Doktor Idriz Merdžanić

Doktor Idriz i jego żona Amira Rizvić odbudowali swoje życie, mieszkają teraz w bogatej dzielnicy Kilonii, w domu z czerwonej cegły z rozległym ogrodem, przy cichej, spokojnej ulicy obok stoczni. Przedstawiają nam swojego trzynastoletniego syna Amara, delikatnego chłopca o bystrym umyśle i nienaganych manierach, który gra na pianinie i uczy się łaciny. Podobnie jak jego rodzice, których przeszłość zna wystarczająco dobrze, ale bez szczegółów, wydaje się łączyć w sobie zewnętrzną wrażliwość z twardym charakterem.

– Dziś jest tu całkiem wygodnie – mówi Amira – ale trzynaście lat temu byliśmy najbiedniejszymi lekarzami w Niemczech!

Idriz i jego żona przebyli długą drogę, zanim dotarli do tego miejsca.

– Jak wszyscy, najpierw szukaliśmy mebli na śmietnikach – mówi Amira.

Idriz początkowo przybył tu ze swoim bratem.

– Żaden urzędnik nic nie wiedział o naszym przyjeździe. Próbowaliśmy się zarejestrować przez kilka dni. – Kiedy już udało im się ta sztuka, zaproponowano im kursy niemieckiego: – Ale nie mieliśmy pieniędzy, żeby za nie zapłacić.

Początkowo mieszkali w koszarach wojskowych, każda rodzina w jednym małym pokoju ze wspólną łazienką. Po dwóch latach, w 1994 roku, Idriz został przyjęty jako „gościnnie” lekarz na oddziale urazowym i ratunkowym szpitala w Kilonii. Ale nie otrzymywał za to wynagrodzenia.

– Byłem na zasiłku i robiłem operacje! – Nasz gospodarz pozwala sobie na lekki uśmiech. Po pięciu latach został zatrudniony na pełen etat z normalną pensją.

Amira znalazła pracę jako lekarz ogólny. Los rozdzielił ją z synem z jej pierwszego małżeństwa, który przyjechał tu jako uchodźca w wieku dziesięciu lat, ale osiem lat później, gdy osiągnął pełnoletniość, automatycznie utracił prawo stałego pobytu i w związku z tym wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

– Rząd niemiecki rozdzielał rodziny zgodnie z prawem uchwalonym w 1998 roku – tłumaczy Amira. – Rodzice mogli zostać, ale ich dorosłe dzieci już nie. Pojechał sam do Ameryki, początkowo było mu tam niełatwo, ale ożenił się, kupił dom w St. Louis i ma teraz małą córeczkę.

Podobnie jak w przypadku Džemala Paratušicia często zastanawiałem się, co spotkało Idriza po naszej wizycie, gdy jego twarz pokazywano w telewizji na całym świecie. Oczywiście prześladował mnie okropny lęk, czy rozmowa z nami nie okaże się dla niego wyrokiem śmierci, bez względu na to, jak ostrożnie i rozsądnie udzielał odpowiedzi – aż ponownie zobaczyłem go w telewizji ITN. Jak blisko był śmierci?

– Za blisko – wtrąca Amira.

– Byłem w obozie do samego końca – opowiada doktor. – Powierzono mi organizację transportu autobusami UNHCR do Karlovaca w Chorwacji.

Kiedy jednak Idriz musiał opuścić Trnopolje, znalazł się w autobusie, którym mieli również podróżować ocaleni (a tym samym świadkowie) z masakry na masywie Vlašić – Serbowie mieli zatem

powody, żeby chcieć pozbawić ich życia.

– Kiedy weszliśmy do środka, dwaj ludzie usiedli za mną, a dwaj przede mną, żeby mnie ukryć. Wiedzieli, że ja również mogę zostać zabity. Czy rzeczywiście były takie plany, nie wiem do dziś. Jeden z żołnierzy powiedział mi – może zgodnie z prawdą, a może tylko, by mnie nastraszyć – że kazano mu mnie zgładzić, ale nie był w stanie tego zrobić.

Idriz w końcu dotarł do Chorwacji, gdzie zapytano go, dokąd chciałby wyjechać.

– Moja siostra i rodzice wyjechali wcześniej do Kilonii, więc poprosiłem, żeby mnie też tam odesłano. Amira uciekła wcześniej do Zagrzebia i przyjechała wtedy do Karlovaca, żeby się ze mną zobaczyć.

Ojciec Amiry, Faruk, jej matka Refika oraz ciotka Fadila Mahmuljin zostali zamordowani we własnym domu w sposób, „który nie da się wypowiedzieć”. To o tej masakrze opowiadała mi kiedyś Azra Blažević. Amira, która po powrocie do domu zobaczyła tę makabryczną scenę, mówi tylko:

– Oni nie zostali zastrzeleni, zostali zarżnięci.

Faruk został przeniesiony z Keratermu do Trnopolja, a potem udało mu się wrócić do domu, do Prijedoru – tylko po to, by zginąć w tak straszliwy sposób wraz ze swoją żoną i szwagierką. W listopadzie 2005 roku w Banja Luce skazano za to morderstwo trzech bośniackich Serbów, rzecz naprawdę rzadka i niezwykła – Republika Serbska skazała własnych obywateli. Ale stało się tak tylko dlatego, że brat Amiry, Adnan, prawnik pracujący w Chorwacji, wytrwale szukał zabójców i nie poddał się, dopóki nie znalazł niezbitych dowodów ich winy.

– W Hadze nie wykluczono, że w Prijedorze doszło do ludobójstwa – mówi Amira. – Ale Niemcy mają trafne określenie na to, co widziałam, co nas spotkało: *Völkermord* – zagłada narodu. Oni toczyli wojnę z określonym narodem, jakkolwiek byś go nazwał. Idriz i ja, nasi przyjaciele, wszyscy przez to przeszliśmy i jedno, czego nie możemy zrozumieć, to przyjemność, z jaką prowadzili tę rzeźnię, brak wyrzutów sumienia, poczucia winy. Byłam tam, obserwowałam ich, widziałam to – to była rozrywka.

Rozmawiamy o absurdalnej roli, jaką wyznaczono doktorowi Idrizowi i Azrze Blažević: władze obozu i strażnicy kazali im leczyć i opatrywać tych, których sami torturowali i gwałcili. Ale Idriz nie rozmawia o szczegółach, jak zrobiłby to na sali sądowej.

– Opowiadam w Hadze o tym, co widziałem, ale nigdy nie przeżywam tego ponownie. Nie rozmawiamy o tym. To mechanizm obronny: odsuwamy to od siebie. Każdy radzi sobie na swój sposób – tłumaczy – i każdy ma inne doświadczenia. Każdy próbuje po swojemu uporać się z tym, co przeżył i zapamiętał z tego piekła.

– To jest z nami przez cały czas – mówi Amira. – I będzie z nami do samego końca. Żeby przeżyć, po prostu nie otwieramy tych drzwi. Jako rodzina, jako jednostki dotknięte traumą obawiamy się, że moglibyśmy przekazać tę traumę naszym dzieciom. Dlatego bardzo uważamy na Amara. Mamy umowę: kiedy będzie już wystarczająco dorosły, powiemy mu o wszystkim, ale nie wolno nam krzywdzić go naszym nieszczęściem.

Amar już wcześniej spytał, czy może pójść do swojego pokoju, odrobić pracę domową. Ale co jakiś czas pokazuje się w drzwiach, raz wraca nawet do stołu. Żaden z nas, dorosłych, nie wie, czy rzeczywiście poszedł do siebie, czy stał na korytarzu i słuchał. Mam wyrzuty sumienia, że sprowadziłem ten temat ponownie do tego domu, ale mam wrażenie, że Amar chłonie każde słowo. Ciekaw jestem, czy wie, że jego ojciec jest jednym z najdzielniejszych mężczyzn swojego pokolenia, a jego matka jedną

z najsilniejszych kobiet.

Idriz mówi, jak zawsze kierując się zasadą, że „mniej znaczy więcej”:

– Jeśli niemal zniknęliśmy, jeśli ludzi nie obchodzi to, co się z nami stało, to dlatego, że jesteśmy małym narodem. Ale nigdy nie mogłem zrozumieć neutralności Europy wobec tego, co się stało, albo raczej jak Europa może twierdzić, że to rzeczywiście była neutralność, i jak mogła pozwolić na to, co nas spotkało. Okazuje się, że politycy byli tacy sami jak ci ludzie w Anglii, którzy uważają, że obozy to kłamstwo. Oni również zapewniają, że są neutralni. Spójrz tylko na embargo na dostawy broni dla naszego narodu. To nie było tak, że zabrali broń wszystkim stronom, Serbowie mieli potężną armię. Kiedy ktoś cię bije, a ktoś inny trzyma ci ręce za plecami, to jak on może twierdzić, że jest neutralny? Skutki takiej neutralności są oczywiste dla każdego.

Nagle uzmysławiam sobie, że Idriz odpowiada na pytania – swobodnie, bez żadnych ograniczeń – w taki sam sposób, jak robił to w obozie koncentracyjnym, poprzedzając każdą swoją wypowiedź chwilą wymownej ciszy. To nie była tylko kwestia okoliczności, to jego zwyczaj, wyraz troski o precyzję i trafność każdego słowa. Podczas tej rozmowy przychodzi mi do głowy jeszcze jedna myśl. O ile przeszłość Amiry jest niewyobrażalnie bolesna, Idriz cierpiał mniej niż inni więźniowie obozów. Jego trauma wynika w głównej mierze z jego altruizmu, jego cierpienie z cierpienia innych, które bierze na siebie, bo jest dobrym człowiekiem. Przypomniałem sobie jego zeznanie podczas procesu Milomira Stakicia, opowieść o małej dziewczynce z połamanymi nogami, którą musiał leczyć w Trnopolju. Szukając właściwych słów, milnąc co jakiś czas na kilka sekund, zanurzał się w szczerym współczuciu – *Mitleid*, jak nazywany jest ten stan w niemieckiej literaturze, współczucie dla cierpienia innych. Jego ocalenie określone jest bólem i rozpaczą innych, a głębokie człowieczeństwo utrudnia mu zrozumienie cynicznego okrucieństwa, którego był świadkiem i z którym walczył.

– Nie możemy więc wrócić do Bośni – mówi doktor Idriz. – Widziałeś, jak wyglądała sytuacja w 1992 roku. Ta sytuacja do dziś się nie zmieniła. Zasadniczo to miejsce wygląda tak samo. Oczywiście byłoby zupełnie inaczej, gdyby ci ludzie przyznali się do wszystkiego, co nam zrobili, i przeprosili za to. Mielibyśmy szansę na odzyskanie zaufania i odnalezienie na nowo swojego miejsca, szansę na nowe życie. Ale wydarzyło się coś zupełnie odwrotnego. Historię piszą zwycięzcy, a my z pewnością nie odnieśliśmy zwycięstwa. Znow wszystko obraca się przeciwko nam. Wygląda na to, że sami jesteśmy winni prześladowań, które nas spotkały, więc nie możemy sobie znaleźć miejsca, nie możemy mieć niczego na stałe. I taki już będzie nasz los.

Epilog

Ponownie z wizytą u Fikreta Alicia

Wrzesień 1993, Słowenia

Rok później mało kto poznałby go w tym potężnie zbudowanym mężczyźnie. Ale ja dobrze zapamiętałem ten szelmowski, hardy uśmiech, ten wyraz oczu, w którym wesołość mieszała się ze smutkiem, tę niesforną czuprynę i ukośne pęknięcie na przednich zębach. Minął pełny rok, odkąd poznałem Fikreta Alicia, a on sam stał się chyba najbardziej znanym Bośniakiem na świecie – za sprawą zdjęcia z sierpnia 1992 roku, na którym chudy jak kościotrup stoi za ogrodzeniem z drutu kolczastego w Trnopolju. Wtedy odbyliśmy krótką i emocjonalną rozmowę o jego przyjeździe z Keratermu. Teraz uściskaliśmy się serdecznie, a Fikret spojrzał mi głęboko w oczy, jakby chciał powiedzieć: Czy naprawdę muszę to tłumaczyć słowami?

Spotkaliśmy się w holu hotelowym w Lublanie, a potem przenieśliśmy się szybko do baru, gdzie Fikret opowiedział mi, kim właściwie jest – znałem go jedynie jako chudzielca z obozu, poza tym praktycznie nic o nim nie wiedziałem. Urodził się jako syn drwala w małej osadzie o nazwie Alići, której urodę opisywał z czułym smutkiem, przekonany, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Stracił ojca jako dziecko i wraz z dwoma braćmi musiał zarabiać na utrzymanie rodziny. Opuścił szkołę w wieku czternastu lat i szkolił się na tkacza, potem zaś służył w wojsku i pracował jako ochroniarz. Jego serbski szef ostrzegł go pewnego dnia, że zbliża się najgorsze i że „nie jest już bezpieczny”. Tu przerwaliśmy rozmowę, by pójść na obiad: Fikret rzucał się na jedzenie jak wygłodzone zwierzę.

Nazajutrz wybraliśmy się na długi spacer wzdłuż jeziora, pod ołowianym niebem, wśród żółknących liści. Fikret opowiadał, że atakiem na jego wioskę dowodził bezwzględny zbir skazany potem podczas procesu w Hadze, Zoran Žigić, którego dom Fikret widział ze swoich okien, „dokładnie po drugiej stronie doliny”. Rodzina Aliciów uciekła, poza dziadkiem Fikreta, który zginął w swoim domu. Leżał na podłodze, dosłownie przecięty na pół kulami wystrzelonymi z bardzo małej odległości.

– Znaleźliśmy go w kałuży krwi. Kazali mu się położyć na brzuchu, a potem przejechali po nim serią z karabinu maszynowego wzdłuż kręgosłupa, od głowy do krocza, po prostu go przepołowili. Kiedy odwróciliśmy go na plecy, okazało się, że w jego ciele pełno było pocisków.

Serbowie schwytali Fikreta, gdy ich wojska dotarły do sąsiedniej wioski o nazwie Sivići. Wszystkich starszych ludzi wymordowano, a pozostałych przy życiu mężczyzn zabrano do Keratermu.

Fikret nauczył mnie pewnego słowa w języku, który wtedy jeszcze nazywano serbsko-chorwackim: *iživljavanje*, co przetłumaczył jako „wyżywianie się, zadawanie bólu i czerpanie z tego przyjemności”. Jego zdaniem to właśnie słowo najlepiej opisywało Keraterm.

– Nie mieliśmy czym zająć myśli w obozie – powiedział. – Myśleliśmy tylko o tym, kiedy zobaczymy wschód słońca i kiedy przyjdzie nowa zmiana, bo wtedy właśnie zaczynało się piekło. [Žigić] przyszedł na drugi dzień, wywołał pięciu z nas z nazwiskiem Alić, bo byliśmy jego sąsiadami, i pobił nas. To mogliśmy jeszcze znieść, ale gorzej było, gdy zaczęli nas dźgać nożami. Potem zaczęli zabijać: rano na asfalcie leżało mnóstwo ciał. Często włączali w nocy reflektory i strzelali do ludzi. [...] Potem

obmywali zwłoki zimną wodą, ładowali na ciężarówki jak worki z cementem martwych i rannych, po czym ich wywozili.

Fikret opowiedział mi historię, którą słyszałem już w Trnopolju, o tym, jak po masakrze w Hangarze Trzecim kazano mu ładować ciała zabitych.

– Ale kiedy zobaczyłem wszędzie dokoła zwłoki, załamałem się. Zacząłem płakać, a jakiś starszy mężczyzna zaproponował, że mnie zastąpi.

Fikret został przeniesiony do Trnopolja rankiem tego dnia, kiedy się poznaliśmy, gdy zamknięto obóz w Keratermie – być może miało to związek z naszym przyjazdem. Czułem się naprawdę dziwnie, słysząc, że to był „najszcześniejszy dzień w jego życiu”. Po naszym wyjeździe z Trnopolja Fikret się ukrywał.

– Nie wiedziałem, czy ujdę z tego z życiem. Ukrywałem się, kiedy do obozu przyjeżdżało wielu innych dziennikarzy z moim zdjęciem w gazetach, więc nie miałem o tym pojęcia, dowiedziałem się dopiero dużo później. – Fikret przebrał się za kobietę, by wsiąść do autobusu. – Nie znalazłem się w grupie kobiet, które potem zgwałcili, bo okropnie śmierdziałem. – Dołączył do konwoju jadącego do miejscowości Smet na masywie Vlašić, skąd przedostał się na piechotę do Travnika. – Niewiele z tego zapamiętałem, ale przypominam sobie, jak szliśmy po skalistym gruncie. – Po przybyciu do Travnika Fikret został skierowany do żandarmerii wojskowej tworzącej się dopiero 17. Krajińskiej Brygady. – Jakiś mężczyzna uśmiechnął się do mnie i spytał: „Hej, to ty jesteś tym facetem, którego ciągle pokazują w telewizji?”. Ale ja nic nie wiedziałem o tym zdjęciu i nie mogłem uwierzyć, kiedy je zobaczyłem na własne oczy.

Mężczyzną, który pokazał Fikretowi jego fotografię, był Fahrudin Alihodžić, dowódca partyzantów, który zaledwie kilka tygodni wcześniej prowadził naszą kolumnę uchodźców (teraz wydaje czasopisma).

– Wiele mu zawdzięczam – mówi Fikret. – Włożyliśmy mundury, ale Fahrudin stwierdził, że w takim stanie nie nadaję się do walki. Wciąż kaszlałem krwią, więc mnie odprawili. Powiedział, że to żaden problem, że powinienem dołączyć do jednostki z Krajiny, że dostanę tam jedzenie i zakwaterowanie, żebym mógł dojść do siebie, a potem zorganizował mi wyjazd do Chorwacji. Początkowo nie mogłem patrzeć na to swoje zdjęcie. Nie mogłem uwierzyć, że przeszedłem przez to wszystko i przeżyłem, że byłem wolny. Ciągle nie mieści mi się w głowie, że mogę witać się z ludźmi, rozmawiać i pić kawę, że nikt mnie nie bije ani nie kopie. Czuję rozczarowanie, kiedy patrzę na to zdjęcie i mogę powiedzieć, że jestem wolny: to dziwne, że po tym wszystkim jednak żyję... Dlaczego? Bo byłem zwykłym człowiekiem, prowadziłem skromne życie. A teraz nie mam nic i nienawidzę tych ludzi. Nienawidzę Zorana Žigicia, [którego ludzie] zabili mojego dziadka i wujka, choć ci nic im nie zrobili. Nigdy nie widziałem różnicy między Muzułmaninem a Serbem, a teraz nie mógłbym na nich spojrzeć, podać im ręki ani znów mieszkać obok nich. Lubiliśmy się przez czterdzieści pięć lat, a w czterdziestym szóstym się znenawidziliśmy.

2008–2011: Powrót do wsi Alići

Straciłem kontakt z Fikretem, gdy jego sława go przerosła, a pewni ludzie go wykorzystali. Oczywiście dużo o nim myślałem, gdy rewizjoniści kwestionowali jego cierpienie. Twierdzili, że był taki chudy, bo chorował na gruźlicę. Sam Radovan Karadžić żartował, że zazdrości mu takiej szczupłej i młodzieńczej sylwetki. Gdy wróciłem z Ameryki do Europy i w 2004 roku uczestniczyłem po raz pierwszy w uroczystościach rocznicowych w Omarskiej, spotkałem Fikreta. Przywitaliśmy się serdecznie, ale na tym się skończyło. Nie wiem, dlaczego nie spędziliśmy razem więcej czasu: być może obaj obawialiśmy się tej długiej rozmowy, którą wcześniej czy później musieliśmy odbyć. Po uroczystościach Fikret nigdy

nie pokazywał się w mieście. Wszyscy go znali, był symbolem, ale chował się przed światem. W Hadze go pominięto, nigdy nie został powołany na świadka, słyszałem o nim dość lekceważące opinie w Trybunale, co ogromnie mnie irytowało. Przywódcy różnych grup ocalonych również nie traktowali go poważnie – zresztą z wzajemnością. Początkowo czasami odrzucano go jako prostaka, świetnego faceta, ale niezbyt rozgarniętego, który przypadkiem pojawił się na słynnej fotografii. I być może on sam tak o sobie myślał. Jak bardzo wszyscy się mylili!

W lipcu 2008 roku umówiliśmy się wreszcie z Fikretem na dłuższe spotkanie. Mieszkał w Sønderborg w Danii, ale wrócił do Kozaraca i kupił mieszkanie w nieukończonym bloku z widokiem na plac w centrum miasta. Ogromnie się cieszyłem, że znów go widzę. Gdyby nie to, że poznałem go przez ogrodzenie z drutu kolczastego w obozie koncentracyjnym, teraz przywiódłby mi na myśl postać z *Dennisa Rozrabiaki*. Był pełen temperamentu, niefrasobliwy, bezczelny – pyskаты żartowniś. Ożenił się z dziewczyną z Sanskiego Mostu, Aidą, która urodziła mu dwóch synów, Almira i Alena, oraz córkę, małą Minełę. Najpierw więc kupiliśmy dzieciakom zapas czekolady w supermarkecie po drugiej stronie ulicy.

– Wszystko robię teraz dla nich – powiedział Fikret. – Wszystko.

Czekałem, aż w odpowiednim czasie wszystko mi opowie, ale na razie cieszyła mnie po prostu świadomość, że po tylu latach wchodzimy sobie razem po schodach, niosąc torby pełne słodyczy.

Potem zasiedliśmy do rozmowy, którą zaczęliśmy kiedyś przy kawie w kawiarni Stara Bašta po drugiej stronie ulicy. Było to wkrótce po aresztowaniu Radovana Karadžicia, dzięki któremu w pewnym sensie się poznaliśmy.

– Cieszę się i jestem zły równocześnie – powiedział Fikret, kiedy się o tym dowiedział. – Przez trzynaście lat żył jak wolny człowiek. A wcześniej przez trzy lata cały świat wiedział, co on robi, począwszy od mojego obozu w dziewięćdziesiątym drugim, po Srebrenicę w dziewięćdziesiątym piątym, ale nikt nie zrobił nic, żeby go powstrzymać. A co działo się z nami przez cały ten czas? Teraz jestem szczęśliwy, bo żyję i jestem tutaj z żoną i dziećmi, nie zginąłem jak wielu innych. Ale kiedy on cieszył się wolnością, ja byłem załamany.

Okazało się, że rzeczywiście przeszedł wcześniej poważne załamanie. Mieliśmy sobie sporo do powiedzenia. Był piątek wieczór, Kozarac dopiero się ożywiał, ruszyło wesołe miasteczko, dzieci pomimo deszczu pokrzykiwały radośnie, z barów i samochodów na ciepłe, wilgotne ulice sączyła się głośna muzyka. Postanowiliśmy, że poświęcimy ten wieczór na poważną rozmowę, a nazajutrz spotkamy się ponownie, by robić to, na co mieliśmy ochotę, czyli rozsiąść się wygodnie, popijać piwo i gadać o piłce, którą kochamy, i o politykach, których nienawidzimy. Okazało się, że kiedy spotkałem Fikreta w Słowenii, był na skraju załamania nerwowego.

– Zacząłem rozmawiać o obozach z drzewami. Niewiele brakowało, a wsadziliby mnie w kaftan bezpieczeństwa.

Potem nadarzyła się okazja wyjazdu do Danii. W 1996 roku Fikret przeniósł się do Kopenhagi, a zaraz potem rozpoczęła się kampania, która miała doprowadzić do uznania jego słynnego zdjęcia z obozu za fałszerstwo.

– Zdarzyło się to w trudnym dla mnie okresie – opowiadał Fikret – i dobiło mnie. Popadłem w jeszcze większy obłęd niż wcześniej.

Ale na szczęście Fikret nie oszalał całkowicie. W 1997 roku Deichmann zorganizował konferencję

prasową, by propagować swoją wersję wydarzeń.

– Skontaktowali się ze mną ludzie ze środowisk kościelnych – wspominał Fikret. – I spytali: „Czy może pan pojechać do Bonn?”. Zgodziłem się, a oni zorganizowali mi podróż. Poznałem też w Danii ludzi, którzy przeżyli Holokaust. Mieli swoje stowarzyszenie i zaprosili mnie tam jako gościa. Kiedy zaczęło się to całe gówno, dali mi taśmę ze zdjęciami z Auschwitz i powiedzieli: „Weź także to, bo jeśli jedno jest kłamstwem, to drugie też”. Więc pojechałem na tę konferencję, usiadłem w rogu i słuchałem, jak kłamię (tłumaczyli mi wszystko, co mówił), aż nie mogłem już dłużej tego znieść. Wstałem i powiedziałem: „Przepraszam bardzo, ale człowiek z tego zdjęcia jest tutaj: to ja. Wiem, że byłem więźniem, ty skurwielu! Wiem, że to, co mówisz, to nieprawda”. Rozmawiałem z nim potem, był całkiem uprzejmy. Podziękował mi za przybycie, ale wydawało się, że to, co powiedziałem, nie miało dla niego żadnego znaczenia.

Rozmawialiśmy też sporo o czymś, co bardzo irytowało Fikreta: o zyskach z jego fotografii. Pamiętam, jak znajomy fotograf, Steve Connors, z którym pracowałem w Bośni, a później w Iraku, spytał mnie kiedyś: „Ed, nosisz ze sobą aparat?”. Kiedy przyznałem, że nie, powiedział: „Gdybyś zrobił choć jedno zdjęcie tego człowieka tandetnym jednorazowym aparatem, mógłbyś zarobić cztery miliony dolarów w czterdzieści osiem godzin”. Mój ojciec pocieszał mnie potem, że nie chciałbym być znany jako ktoś, kto dorobił się majątku na takim zdjęciu. Powiedziałem o tym Fikretowi. Był wściekły, zresztą słusznie:

– Ty idioto! – zawołał. – Zatrzymałbyś milion dolarów dla siebie, milion przekazałbyś uchodźcom, żeby wszyscy cię kochali, a dwa miliony dałbyś mnie!

Zamiast żyć z pieniędzy za zdjęcie, do czego miałby prawo, Fikret pracował przy załadunku ciężarówek w rzeźni w Danii. W 1999 roku poznał w Sanskim Moście Aidę: „A gdy się obudziłem, byłem żonaty”. Ale ten stosunkowo pomyślny okres skończył się w 2000 roku, gdy dwustukilogramowa tusza spadła Fikretowi na plecy.

Choć nie dostał renty, zdołali uzbierać pieniądze na mieszkanie w Kozaracu i zastanawiali się nad odbudową rodzinnego domu w wiosce Alići, do której zabrał mnie Fikret. Było to naprawdę cudowne miejsce, usadowione na zboczach, wśród gór pokrytych sadami, łąkami i lasami, z których rozciągał się widok na doliny i rozległą równinę w dole – ale z wypalonego domu Fikreta zostały tylko betonowe fundamenty, otoczone zgliszczami innych budynków. To właśnie z tego miejsca, w którym urodził się i wychował, uciekł w 1992 roku w góry, by potem wpaść w ręce Serbów. Większość jego przyjaciół i jego dziadek zostali zabici.

– Później znaleźliśmy ich szczątki – powiedział.

Część byłych mieszkańców już tu wróciła, podobnie jak mordercy i oprawcy, którzy palili ich wioski i zabijali ich krewnych, a teraz ponownie zamieszkali po drugiej stronie doliny – z wyjątkiem tych, którzy siedzieli w Hadze. Fikret mówił teraz o swoich prześladowcach:

– Nikt nigdy nie przeprosił mnie za to, co zrobili. Nie wiem, co jest z tymi ludźmi. Wystarczy, że przejdziemy się chwilę po Prijedorze, a pokażę ci przynajmniej pięciu zabójców. A tam stoi dom Zorana Žigicia. Albo są dumni z tego, co zrobili, albo udają, że nic się nie stało. Czekam, aż ktoś przyzna się do winy lub przeprosi, ale oni tego nie robią. I nigdy nie zrobią. Zbudowali pomnik przy obozie, w którym się poznaliśmy, ale na cześć Serbów, którzy podobno tam zginęli, a nie dla nas. Nic mi nie wiadomo o tym, żeby zginęli tam jacyś Serbowie.

Spotkaliśmy się ponownie wczesnym wieczorem następnego dnia, w sobotę, tym razem na rogu ulicy,

by popatrzeć na świat i pogadać o sprawach osobistych. Nazajutrz, w niedzielny wieczór, pojechaliśmy do wioski Alići na wielką rodzinną imprezę na betonowych fundamentach domu, który zamierzał odbudować Fikret, by kiedyś znów zamieszkać tu z całą rodziną. Jego matka, siostra, żona i dzieci miały przygotować pieczeń z jagnięciny. Zapadł już zmierzch, dokoła dzwoniły cykady, ciemności skrywały dolinę, lecz jej piękno wydawało się niemal namacalne. Węgle żarzyły się jasno, w powietrzu unosił się zapach mięsa. Prócz najbliższych Fikreta zjawiała się również w komplecie rodzina jego starszego brata Ismeta, w sumie było więc kilkanaście osób, wesoła kompania, rozbawiona szczerze faktem, że jestem wegetarianinem. Jagnię obracało się na roźnie, a Fikret częstował nas najlepszą rakiją w okolicy. Ponieważ potem miałem prowadzić, przerzuciłem się ze śliwowicy na piwo. Mogłem wybierać między mocniejszym a takim, które miało 3,8 procent alkoholu. Fikret nazywał je *Hodža pivo* – piwo imama:

– *Hodža pivo* do niczego się nie nadaje! – powtarzał i namawiał mnie na mocniejszy napój.

– Ale co z policją? – zaprotestowałem.

Jego brat, Ismet, pochylił się do mnie z żartobliwie groźną miną, dając mi do zrozumienia, że powinienem wybrać lepsze piwo:

– Ja jestem z policji!

Ismet, policjant pracujący w miejscowości Bosanski Petrovac, poruszył potem temat wpisany już na zawsze w język i historię bośniackiej Krajiny: on także walczył w 17. Krajińskiej Brygadzie i musiał zrezygnować ze zwycięstwa, gdy było w zasięgu ręki.

– Byłem już prawie w domu – opowiadał z irytacją – w hotelu Prijedor. Miałem w rękach broń, a ulice pod moim oknem były puste! [Serbowie] uciekli z Prijedoru, mogliśmy przejąć całe miasto. Nie napotkaliśmy żadnego oporu i byliśmy w domu. Miasto było nasze! Gdyby nie zatrzymali nas w Prijedorze, zajęlibyśmy cały kraj i wszystko wyglądałoby teraz w Bośni inaczej. A tak musieliśmy wrócić na kolanach.

– Nigdy! – sprzeciwił się Fikret. – Ja nie jestem na kolanach. Patrz, stoję znowu w swoim domu.

Następnego ranka pojechaliśmy z Fikretem do małego meczetu, gdzie znajduje się tablica z nazwiskami zmarłych z najbliższej okolicy. Jak łatwo się domyślić, dziewięćdziesiąt procent pogrzebanych w tym miejscu zginęło w 1992 roku.

– To mój młodszy brat – powiedział Fikret. – Zginął w Travniku, w czasie wojny. A to mój dziadek.

Pojechaliśmy dalej, mijając odbudowane budynki, z powrotem do zniszczonego domu, ziemi utraconej i odzyskanej, miejsca wczorajszego przyjęcia. Pochwaliłem cud odbudowy Kozaraca, a szczególnie ambitny projekt Fikreta.

– Och, odbudować dom to żaden problem – odpowiedział skromnie. – Znacznie trudniej wskrzesić zmarłego.

Dwa lata później, w 2010 roku, przyjechałem na uroczystości rocznicowe w Omarskiej z Penny Marshall. Było to wydarzenie niezwykle i wzruszające – Penny wróciła tu po raz pierwszy od 5 sierpnia 1992 roku. Zabraliśmy nawet ze sobą płytę *Sgt. Pepper's...* Beatlesów, by posłuchać jej w drodze powrotnej, tym razem do Sarajewa. Spotkanie z Fikretem pełne było radosnych uścisków i łez, w obozie i innych miejscach, które odwiedziliśmy w ciągu następnych trzech dni. Fikret zawsze nazywał Penny jednym słowem, w którym łączył jej imię z nazwiskiem: „Pennymarshall”. Gościem honorowym uroczystości był tego roku prezydent Bośni Haris Silajdžić, otoczony murem roślących ochroniarzy ze słuchawkami w uszach. Gdy szykował się już do wyjazdu, nagle ktoś go zawołał, niczym zwykły kmieć

domagający się sprawiedliwości od króla.

– Hej, *gospodin president!* – krzyknął Fikret Alić swoim charakterystycznym zachrypniętym głosem, łamaną angielszczyzną, jakby zwracał się do kumpla. Gdyby był to ktokolwiek inny, Silajdžić zapewne zlekceważyłby ten prostacki, poufały okrzyk. Nie mógł jednak zignorować człowieka zza drutu kolczastego.

– Chciałbym, żeby poznał pan moją przyjaciółkę, Pennymarshall!

Ku irytacji członków jego świty, prezydent Silajdžić nadstawił uważniej uszu, odprawił machnięciem ręki eskortę i ruszył na spotkanie ze swoim poddanym ze zdjęcia i kobietą, która to zdjęcie zrobiła.

Wieczorem tego samego dnia ucztowaliśmy dużą grupą w restauracji Sabihy Turkanović, a Fikret i Penny siedzieli obok siebie. Sabiha raczyła Penny swoją opowieścią, podczas gdy Fikret ziewał ostentacyjnie.

– Bla, bla, bla – szepnął Penny do ucha. – Obozy, obozy, obozy. Patrz, żyjemy. Żyjemy! Mówię o obozach już od osiemnastu lat. Teraz chcę wódki i red bulla!

Wieczór po uroczystości w Omarskiej zawsze pełen jest szalonych tańców, picia i jedzenia. Kozarac eksploduje desperacką wesołością i muzyką. Wcześniej czy później mikrofon zawsze przejmuje Sefer z Bostonu, który swoim śpiewem doprowadza większość ludzi do płaczu. W odbudowanej restauracji Stara Bašta tłumy uczujących kładą sobie ręce na ramionach i tworzą wielkiego węża oplatającego salę. To w Bośni obowiązkowy element każdej zabawy. Tego szalonego wieczora do Penny podchodziło wielu wspaniałych, dobrych i dzielnych ludzi, by powiedzieć jej, że uratowała im życie, i pokazać dzieci, które, jak twierdzili, nigdy by się nie urodziły, gdyby tego dnia nie odwiedziła Omarskiej. Ale Fikret nie chciał tego słyszeć.

– Bla, bla, bla, uratowałaś mi życie, Pennymarshall, bla, bla, bla.

Przedrzeźniał ich, krzywiąc się niemiłosiernie, a potem nalewał jej kolejny kieliszek wina, czy tego chciała, czy nie.

– Pij, Pennymarshall, piiiij!

W 2011 roku Fikret znów jest w formie, a przynajmniej tak twierdzi. Z pewnością czuje się na tyle dobrze, by rozmawiać poważnie o ocaleniu i rozrachunku. Ramadan – którego rzeczywiście przestrzega, rezygnując zupełnie z alkoholu i poszcząc od świtu do nocy – mógłby zwarzyć mu humor, ale wcale się tak nie dzieje. Opowiada mi z przejęciem o swoich dzieciach: jedenastoletni Almir jest jednym z najlepszych uczniów w szkole.

– Mamy nazwy na szkolne stopnie – tłumaczy Fikret. – Trójka to jaja, czwórka to ser, a piątka, najlepsza ocena, to serek śmietankowy. Almir dostaje serek śmietankowy.

Siedmioletni Alen objawia zaskakujący talent do uczenia się wierszy na pamięć oraz do rysowania i malowania.

– Nie śpieszy się, ale pamięta wszystko.

Minela ma cztery lata.

– Jest ciekawska jak kot i bardzo podobna do matki: ciągle gada i chce wszystko robić od razu.

Nikt nie powinien spierać się z opiniami ojca dotyczącymi podobieństw w jego własnej rodzinie, ale po kolejnym spotkaniu ze spokojną i pracowitą Aidą dochodzę do wniosku, że pełna życia Minela bardzo przypomina Fikreta w najlepszej formie.

– Dzieci wiedzą o pewnych sprawach – mówi Fikret. – Wiedzą, kim jestem i jakie straszne rzeczy nas

spotkały. Ale są jeszcze małe. Dowiedzą się wszystkiego w odpowiednim czasie.

Co Fikret powie im o tej społeczności, jakiego stosunku do Serbów ich nauczy?

– Ci, którzy przychodzili nas bić i zabijać w Keratermie, nie byli naszymi sąsiadami z Kozaraca, choć jeden z najgorszych zabójców z Omarskiej mieszka niedaleko mojego domu, po drugiej stronie doliny. Ale teraz nie możemy już być tacy jak kiedyś. Nauczę je, że Serbowie są częścią naszego kraju, ale trzeba przestrzegać pewnych granic. Powinny budować przyszłość z Serbami, ale bez takiej zażyłości jak w przeszłości. Żyliśmy z nimi, wierzyliśmy im i zapłaciliśmy za to. Nasze więzi były zbyt bliskie, za bardzo im zaufaliśmy, a moje dzieci nie mogą powtórzyć tego błędu. Chodź, pojedziemy obejrzeć mój dom.

Jak ujmuje to Fikret: „Nie przespałem tego czasu, Eddie”. Zbudował dom w mieście dla siebie i rodziny i nadal pracuje nad domem dla matki w górach. Najpierw jedziemy do domu w mieście. Zatrzymuje samochód i wykonuje pełen dumy gest, niczym kot pokazujący swą zdobycz albo dziecko, które wykonało właśnie kilka pierwszych kroków. Dla ludzi przejeżdżających obok to dom jak każdy inny. Dla Fikreta i dla mnie każda cegła jest świadectwem odrodzenia i wyzwaniem rzuconym tym, którzy go uwięzili i katowali.

– Jeden rok, Eddie, jeden rok! – rozpromienia się i rozkłada ręce. – Zaczęliśmy w 2009, a w 2010 już się wprowadziliśmy. Zaprojektowałem go i zbudowałem od zera, Eddie. Spójrz na moje ręce! Nie spałem, pracowałem!

Przed domem jest mały plac zabaw dla dzieci, z huśtawkami z opon. „Duński system, Eddie, jak widzisz”. W piwnicy „tradycyjny kocioł, spójrz tutaj”, i schody prowadzące do pomalowanego na różowo salonu („O to będziesz musiał spytać moją żonę”). Spoglądając na kominek, Fikret mówi:

– Lubię patrzeć wieczorem na ogień, posiedzieć przy nim z żoną i kieliszkiem rakii.

W sypialni Mineli jest tablica, a na niej rysunek domu, który zbudował tata. W pokoju „łobuza Alena” podpisane imieniem podobizny wszystkich członków rodziny. A u Almira dyplomy ze szkoły.

– Ale martwię się szkołą średnią – wzdycha Fikret. – Szkoła średnia jest w Prijedorze, a tam chodzi mało Boszniaków, jedna, dwie osoby w klasie. Czetnicy napisali na nowo wszystkie podręczniki: na historii uczą się tylko o wielkich wojnach Serbów. Wszędzie tylko Serbowie, Serbowie, Serbowie. Nie wiem, co się tam z nimi stanie. Gdyby Serbowie przyznali się do tego, co zrobili, zabici odzyskaliby wreszcie spokój, a i mnie z pewnością byłoby łatwiej. Przeprosiny są konieczne, bo wtedy w końcu przestano by powtarzać, że wszyscy byliśmy równie źli. Przepraszając, przyznaliby, że doszło jednak do agresji.

Siadamy w cieniu na werandzie, z widokiem na skąpany w słońcu trawnik. Fikret wyjmuje swoje lekarstwa – całkiem spory zestaw, który leczy ból ciała i duszy, ból pleców pozostały po wypadku w rzeźni i coś, co Coleridge nazywa „bólem snu”.

– Mam tu morfinę, środek przeciwbólowy, sól fizjologiczną i... o, jest! To coś, co sami psychiatrzy przepisują sobie na sen: mianseryna! Trzydzieści gramów! Hej, Eddie, wiem, że ty też masz problemy z zasypianiem: spróbuj tego, ale nie więcej niż jedną tabletkę, bo nigdy się nie obudzisz i nie napiszesz swojej książki.

Fikret rozpoczyna rozmowę o tym, kiedy ludzie się załamują, gdy ich umysły nie wytrzymują ciężaru wspomnień i snów przeżartych wspomnieniami z obozu. Smutne wieści dotyczą młodszego brata Fikreta, Sanela, który ostatnio „miał tyle snów” o swoim pobycie w Trnopolju, że naprawdę doprowadziło go to

do szaleństwa.

– Sanel cierpi na schizofrenię – wyjaśnia Fikret. – Miał tylko osiem lat, gdy zamknęli go w Trnopolju, a potem wydawało się, że nic mu nie jest, inaczej niż ze mną. Chodził do szkoły w Danii, był całkiem normalny, nie miał żadnych objawów traumy. Był spokojny, nigdy nie wspominał o obozie. Aż pewnej nocy, całkiem niedawno, opowiedział o całej wojnie, o wszystkim, co widział w obozie. Pamiętał wszystko i powiedział wszystko, śni o tym co noc, ciągle od nowa. Zabraliśmy go do lekarza, w końcu zdiagnozowali u niego uraz psychiczny i schizofrenię. Teraz spędza więcej czasu w szpitalu niż w domu. Wydaje się więc, że to działa na dwa sposoby – mówi Fikret. – Są ludzie tacy jak mój brat, którzy żyją z tym wszystkim przez długi czas, a potem nagle się załamują. Przez piętnaście lat nic mu nie było, nie miał żadnych problemów, i nagle trach, walnęło go z całą siłą i wygląda na to, że nigdy z tego nie wyjdzie. Chował to wszystko w sobie, ale to ciągle w nim siedzi, a potem nagle wychodzi na jaw i go niszczy. Innych z kolei dopada to od razu, a potem muszą długo dochodzić do siebie. Ja jestem jednym z takich ludzi. Trafiło mnie tuż po tym, jak spotkaliśmy się w Słowenii. Wtedy zacząłem mówić do drzew, a ludzie nie mogli uwierzyć, że ktoś chce mieć za towarzystwo tylko drzewa. Potem, gdy aresztowano Tadicia i mówili o tym we wszystkich mediach, załamałem się jeszcze bardziej. Sięgnąłem dna, gdy usłyszałem, że Trnopolje to kłamstwo, a moje zdjęcie jest fałszerstwem. Żadne lekarstwa na sen nie pomagały, próbowali nawet takich środków, które dają tylko żołnierzom, i nic. Ale psychiatra w Słowenii powiedział: „Pogadamy za dziesięć lat – może pan z tego wyjść”. Powiedział też, że bardziej martwi się o tych, którzy załamią się dziesięć lat później.

Dzwoni cholerna komórka. Podnoszę się, żeby ją wyłączyć, ale to Nerma Jelačić z Hagi, więc oczywiście odbieram. Dzwoni z niepokojącą informacją: Milan Lukić napisał w areszcie książkę, w której sugeruje, że Nerma miała związek z jego aresztowaniem. Ta wiadomość skłania Fikreta do wyznania, które dowodzi głębi jego obserwacji dotyczących tej wojny i skromności w odniesieniu do własnych cierpień, co w przypadku ofiar wcale nie jest oczywiste (wiele osób nie interesuje się tym, co działo się w innych częściach Bośni, czasami dochodzi wręcz do cichej „rywalizacji” o to, kto wycierpiał najwięcej).

– Kiedyś mieliśmy zajęcia w grupie terapeutycznej – opowiada Fikret. – I musieliśmy opowiedzieć swoje historie. Była tam dziewczyna z Višegradu, którą gwałcono przez wiele tygodni, gdy miała tylko dziesięć lat. Wszyscy płakaliśmy, gdy o tym opowiadała, a ja uświadomiłem sobie, że niektórych spotkał los o wiele gorszy od naszego. Ale na szczęście ta dziewczyna znalazła męża, który ją kochał i szanował, miała dwójkę dzieci i mieszkanie w Sarajewie. Więc kiedy pojechaliśmy pod Ścianę Prawdy w Sarajewie i poprosili mnie, żebym powiesił tam pierwsze zdjęcie, to, które zrobiła Penny w obozie, odmówiłem. Chciałem, żeby pierwszą fotografię powiesiły zgwałcone kobiety z Višegradu.

Choroba Sanela wydaje się wyjątkowo okrutnym zrzędzeniem losu, nie tylko ze względu na niego samego. Niweczy również plany powrotu do domu, które ułożyła sobie matka Fikreta. Wybudowawszy swój dom w mieście, Fikret był już bliski ukończenia rodzinnego domu, wzniesionego na fundamentach, na których bawiliśmy się w 2008 roku. Tam właśnie miała zamieszkać jego matka, która marzyła o powrocie do miejsca, gdzie urodziła swoje dzieci. Teraz jednak nie może tego zrobić.

– Musi zostać z Sanelem w Danii – tłumaczy Fikret. – Tutaj nie mogą leczyć jego schorzenia, prawdopodobnie nawet nie wiedzą, co to jest. Nie może go zostawić na dłużej niż trzy miesiące, kiedy przyjeżdża tu na lato. Przez resztę roku musi być z nim.

Pani Alić, zmuszona przez wojnę do opuszczenia Kozaraca, dzięki staraniom sławnego syna mogłaby wreszcie powrócić na starość w rodzinne strony, ale nie pozwala jej na to nagły, bezcielesny powrót wojny, która wynurzyła się z otchłani umysłu jej najmłodszego syna. Przyjechała tu teraz, a Fikret chce nam koniecznie pokazać dom, który dla niej buduje, by mogła spędzać w nim przynajmniej lato i ramadan.

Korzystając z pięknej słonecznej pogody, wspinamy się na wzgórze nad Kozaracem. W miejscu, gdzie trzy lata temu znajdowała się tylko osmolona betonowa płyta, teraz wnosi się dom. W oknie stoi matka Fikreta ubrana w różowy sweter. Fikret pokazuje z dumą swoje drugie, nieukończone jeszcze dzieło. Jego matka mieszka na parterze, na piętrze zaś trzeba wytynkować ściany w pokoju z balkonem, z którego roztacza się piękny widok na zieloną dolinę u stóp gór Kozara.

Jednak nawet ten piękny widok ma gorzko-słodki posmak: niektóre okoliczne domy zrównane są z ziemią. Jeden z nich należał do kuzyna Fikreta:

– W zeszłym tygodniu pochowaliśmy jego szczątki. Został zabity w masakrze na masywie Vlašić, 21 sierpnia 1992 roku. A mój dziadek zginął tam. – Wskazuje na inny porośnięty mchem kawałek betonu po drugiej stronie drogi. – Przecięty kulami na pół. Zrobili to miejscowi czetnicy, nasi sąsiedzi stamtąd. – Wskazuje na drugą stronę sennej letniej łąki upstrzonej kwiatami.

– Jak to zrobiłeś, Fikret? Jak udało ci się przetrwać?

Odpowiada powoli, po namyśle:

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, jestem człowiekiem, który lubi się śmiać. I to uratowało mi życie. Przeżyłem dzięki głupim żartom, które w gruncie rzeczy są smutne, a nie zabawne. Ale gdybym nie potrafił się śmiać, nie przetrwałbym. My, Bośniacy, jesteśmy wesołymi ludźmi i dlatego ocaleliśmy.

– A druga rzecz, która uratowała cię przed rozpaczą?

– To miejsce. Tutaj, w tej zapadłej dziurze. Gdyby nie to miejsce, już dawno bym nie żył. Dania to szary, wilgotny kraj: ludzie są mili, ale żyją według zegara, a nie pogody. Spójrz tutaj, Eddie, na te drzewa. Za siedem lat to będzie mój sad. To śliwy, Eddie. – Fikret podchodzi bliżej i szepcze mi do ucha: – Rakija, Eddie. – Mówi cicho, choć w pobliżu nikogo nie ma. – Zdobędę swoją maszynę szczęścia i postawię ją tutaj, na mojej ziemi. Tu, gdzie się urodziłem. Maszyna szczęścia, szczęśliwe czasy, Eddie.

Fikret nazywa swoje słynne zdjęcie „obrazem siebie jako grubasa”. Teraz, po dwudziestu latach, pytam go, co było dla niego trudniejsze: Keraterm i Trnopolje czy zdjęcie, które widziała połowa świata, które stało się obiektem oszczerczej kampanii i które wciąż jest powielane i publikowane?

– Przez obozy niemal straciłem życie – odpowiada Fikret. – Przez dwa miesiące byłem głodzony i bity. – Poważny wyraz twarzy zastępuje jego charakterystyczny, szeroki uśmiech, dumny i przekorny zarazem. – Ale zdjęcie nie daje mi żyć do dzisiaj – dodaje i wybucha śmiechem.

Przerywa nam muezin: jego wołanie niesie się przez leniwe popołudnie, przez błękitną sierpniową mgiełkę, odbija echem od zielonych zboczy gór Kozara. Z odbudowanego minaretu dochodzi wezwanie do modlitwy, którego ta dolina miała już nigdy nie usłyszeć – nie mieli go też usłyszeć ci, do których jest skierowane. Śpiewają ptaki, kwiaty mienią się fioletem, bielą i żółcią. Promienie popołudniowego słońca są ciepłe, lecz nie upalne, zieleń przechodzi w rozmyty błękit, który otula odległe szczyty. Jak brzmią wersety Koranu, które imam wyśpiewuje w ten postny dzień? Znasz je, Fikret? To pora obiadu, ale dziś muzułmanie nie jedzą nic aż do zachodu słońca, a więc jeszcze przez siedem godzin. Jednak to nie wyrzeczenie się jedzenia jest dla Fikreta największym wyzwaniem w czasie ramadanu. Odlicza dni do czasu, gdy będzie mógł się uraczyć ulubionym napojem.

– Co mówi imam, Fikret? Co to za słowa?

Fikret przykłada dłoń do ust i woła przez pastwisko:

– Imam śpiewa: „Chce mi się pić! Zostało już tylko dwadzieścia dni! Chcę piwo Sarajevsko! Chce mi się pić, a zostało już tylko dwadzieścia dni!”.

Zakończenie

Echa Trzeciej Rzeszy:

Kozarac nad Tyne – Mówcie głośno, mówcie otwarcie! (Ale nikt nie słucha)

W styczniu 2012 roku komitet organizacyjny Dnia Pamięci o Holokauście w Newcastle upon Tyne, mieście w północno-wschodniej Anglii, postanowił poświęcić jedno popołudnie w trakcie rocznicowych uroczystości historii bośniackich obozów i był tak miły, że poprosił mnie o zorganizowanie i nadzorowanie tego wydarzenia. W związku z tym do Newcastle przyjechali: Kemal Pervanić, Edin Kararić i rodzina Dautoviciów (Enver, Kelima i Victoria-Amina) z Londynu, Sefer Haškić z Bolton oraz Nerma Jelačić i Edina Striković z Hagi (jakiś czas wcześniej Edina dołączyła do departamentu Nermy jako stażystka).

Główna impreza – podczas której miała przemawiać nasza trójka, Nerma, Edina i ja – odbywała się w sali ośrodka kultury. Miejscowi politycy i dygnitarze po raz dwunasty uczestniczyli w uroczystościach, stając na czele frontu walki z rasizmem i ludobójstwem. Oklaskiwany przez około czterystu gości dziecięcy chór odśpiewał piękne hebrajskie pieśni i *Let It Be* Beatlesów. Młodzi ludzie opowiadali w poruszający sposób o tym, jakie wrażenie wywarła na nich wizyta w Auschwitz; duchowni chrześcijańscy, muzułmańscy i żydowscy, którzy również tam się wybierali, złożyli wspólne świadectwo tolerancji; burmistrz zapalił świecę, a potem uczczono dwiema minutami ciszy ofiary przemocy politycznej i rasizmu. Główne przemówienie, dzięki któremu uroczystość nie zamieniła się w pompatyczny kicz, wygłosiła Ruth Barnett. Przybyła do Wielkiej Brytanii w *Kindertransport* żydowskich dzieci z nazistowskich Niemiec. Mówiła o „zaprzeczaniu ludobójstwu” w Bośni oraz o trudnej sytuacji Romów we współczesnej Europie. „Mówcie głośno, mówcie otwarcie” – było hasłem weekendu, więc w wielu przemówieniach podkreślano, jak ważne jest słuchanie świadectw innych ludobójstw, między innymi w Bośni i Rwandzie.

Nasza impreza odbyła się dzień wcześniej i była wydarzeniem niezwykłym pod każdym względem. W ciągu dziewiętnastu lat, podczas których przemawiałem wielokrotnie do ocalałych z Omarskiej i innych obozów, nie przeżyłem czegoś podobnego. Z pewnością był to pierwszy przypadek, gdy byli więźniowie bośniackich obozów i ich dzieci zbrali się, by przeprowadzić taką dyskusję w Wielkiej Brytanii. Rzeczywiście, „mówili głośno, mówili otwarcie” i z przejęciem w szerokim gronie. Obnażali swe dusze, dyskutowali szczerze, bez ogródek, sięgając do samego sedna takich pojęć jak ocalenie, pojednanie i wybaczenie. Nerma opowiadała o Trybunale w Hadze w kontekście własnej rodziny. Edina i Victoria-Amina dyskutowały o swojej tożsamości jako dzieci uchodźców i obie oświadczyły – chyba po raz pierwszy – że chcą spędzić znaczącą część życia w Bośni, ale nie w Republice Serbskiej, lecz w stołecznym Sarajewie.

– To historia, w której opuszcza się dom, by wrócić do domu – tłumaczyła Edina. Victoria-Amina mówiła, że postanowiła studiować medycynę sądową w Londynie, „bo wielu jej rodaków wciąż nie zostało odnalezionych i leży w zbiorowych grobach”. Spytałem ją, czy byłaby skłonna pojechać do Bośni i pracować przy identyfikacji i kompletowaniu tych ciał.

– Tak, zdecydowanie – odparła dziewiętnastolatka, pierwsze dziecko bośniackich uchodźców urodzone w Wielkiej Brytanii. Jednak centrum tej pięciogodzinnej dyskusji stanowiła rozmowa Edina Kararicia z Kemalem Pervanicem, która dzięki swej niezwyklej szczerości przyprawiała słuchaczy o dreszcze.

W otoczeniu czcigodnych ksiąg i kurzu biblioteki Towarzystwa Literackiego i Filozoficznego w Newcastle, gdzie Stephenson szukał informacji potrzebnych do skonstruowania parowozu, niedaleko wspaniałego mostu na Tyne, Kemal mówił o swoim projekcie Most Pokoju, obejmującym współpracę dzieci obu stron konfliktu w Bośni.

– W Bośni nienawiść znów przybiera na sile, stare urazy się pogłębiają – mówił. – Nie ma politycznej woli pokoju, nie ma odpowiedników niemieckich programów, które zakładały nauczanie wszystkich dzieci o Holokauście. Czasami trzeba sięgnąć poza swój ból; przychodzi moment, kiedy musisz zamknąć oczy i ruszyć ku pojednaniu, musisz wyciągnąć rękę.

Edin Kararić, który podobnie jak on przeżył obóz w Omarskiej, ripostował:

– Kemal, tu nie ma żadnego pojednania. Oni nie chcą twojej ręki. Taki gest jest dla nas upokorzeniem; upokarzasz się, śmieją się z ciebie, gardzą tobą. Dlaczego my, ofiary, mamy wyciągać rękę, której oni nie chcą przyjąć, wyciągać ją do ludzi, którzy zabijali nasze rodziny? – pytał Edin swego rodaka, przyjaciela i sąsiada.

– Dlaczego to zawsze musimy być my? – dodała Kelima.

– Jeśli chcecie zmienić wreszcie tę sytuację, musicie pójść do nich – obstawał przy swoim Kemal. – Kiedy to zrobicie, nie będziecie już ofiarami, będziecie bohaterami, będziecie im równi.

Ta rozmowa trwała pół godziny.

– Bądź bohaterem, a nie ofiarą – namawiała Edina ocalona z Holokaustu Ruth Barnett.

– Jestem bohaterem, proszę pani – odpowiedział Edin. – I dlatego nie mogę się upokarzać ani hańbić jednej trzeciej mieszkańców naszej wioski, którzy zginęli z rąk tych ludzi. W mojej wiosce mieszka kobieta, która straciła wszystkich siedmiu synów. Po drugiej stronie drogi mieszka Serb. Nie pójdę z nim na kawę, nie zrobię tego na oczach tej kobiety, tym bardziej że ten Serb nawet jej nie przeprosił za siedmiu zabitych synów.

To przykre, że ta dyskusja, podczas której ludzie otworzyli swoje dusze, odbyła się bez publiczności. W rzędach pustych krzeseł (które ustawiliśmy w krąg) zasiadło tylko pięcioro gości. Jednym z nich była pani Barnett, która przyjechała na konferencję z Londynu i której wkład – co trzeba wyraźnie zaznaczyć – sam w sobie zasługiwał na liczną publiczność, innym zaś była cudowna młoda aktorka, która przerobiła opowieść więźniarki Terezína i Auschwitz, Zdenki Fantlovej, na sztukę nazwaną przez nią samą „teatrem świadectwa”. Prócz nich dyskusji wysłuchali syn i przyjaciel organizatora oraz pewna pani, która trafiła tu przez przypadek, pomyliwszy daty głównej uroczystości organizowanej przez burmistrza. (Do sali weszli też dwaj inni mężczyźni, ale wyszli z hałasem, gdy mówiła młoda Edina). Ostatecznie więc liczba postronnych obywateli dobrego Newcastle, którzy uczestniczyli w weekendzie pamięci o Holokauście, zorganizowanym przez ich miasto, wynosiła zero. Skręcałem się ze wstydu. Uznałem to za prawdziwą hańbę, choć Edin Kararić podsumował całą sytuację nieco spokojniej i być może trafniej:

– Prawdę mówiąc, było to rzeczywiście żenujące, tym bardziej że przejechaliśmy kawał drogi. Sama dyskusja była bardzo dobra, tylko ktoś powinien był jej wysłuchać.

Kemal, jak zawsze ogromnie wyrozumiały, postrzegał sytuację inaczej:

– Jeśli choć jedna osoba przyjdzie i nas posłucha, to już jest jakieś osiągnięcie.

Sefer Haškić, który miał urozmaicić rozmowę kilkoma piosenkami, postanowił nawet nie wyjmować gitary z futerału.

Jednak ci ludzie, chwilowo mieszkańcy Kozaraca i Višegradu nad Tyne, nigdy nie poddają się łatwo, więc gdy tylko otrząsnęliśmy się ze złości i przygnębienia, ruszyliśmy oczywiście do świetnych pubów Duke of Wellington i Old George przycupniętych przy brukowanych uliczkach High Bridge, by spróbować piwa River Catcher i Flying Scotsman. Stamtąd przenieśliśmy się do baru Centurion, a w końcu do dudniącego muzyką przybytku o nazwie Revolution, co okazało się już jednak lekką przesadą. Następnego ranka, po śniadaniu w hotelu, Sefer wypił strzemiennego przed drogą powrotną do Bolton, wyjął gitarę i zaśpiewał tylko dla nas i dla kenijskiej kelnerki.

Podziękowania

Mam wrażenie, że dziękowanie całej kategorii ludzi jest wyrazem niewybaczalnej próżności, sugeruje bowiem, że dziękującemu należy się wśród tych ludzi miejsce, co zwykle jest zupełnie nieuzasadnione. Muszę jednak wyrazić wdzięczność niezwyklej, rozsianej po całym świecie społeczności złożonej z tych, którzy przeżyli piekło obozów koncentracyjnych i zbrodni w okolicach Prijedoru w północno-zachodniej Bośni po roku 1992, oraz z tych, których najbliżsi nie zdołali ujść stamtąd z życiem. Czuję się zaszczycony i szczęśliwy, że mogłem poznać wielu z nich; jako grupa ludzi wiele mnie nauczyli i wzbogacili moje życie w trudnym do opisanego stopniu. Z wieloma spośród nich zawarłem trwałą znajomość i przyjaźń. Chciałbym wyrazić głęboką i szczerą wdzięczność przede wszystkim następującym osobom: rodzinie Strikoviciów/Blaževiciów w St. Louis w stanie Missouri, Fikretowi Aliciowi i jego rodzinie w Sønderborg w Danii, rodzinie Karariciów w Watford, rodzinie Dautoviciów w Luton, rodzinie Paratušićiów w Borehamwood, rodzinie Haškiciów/Aliciów w Bolton, Edinowi Ramuliciowi w Prijedorze, Kemalowi Pervaniciowi w Londynie, Satkowi Mujagiciowi i jego rodzinie w Lejdzie.

Mam też dług wdzięczności wobec innych bardzo wyjątkowych ludzi. Przechodząc przez bramy Omarskiej z Penny Marshall, zawarłem z nią głęboką, trwałą przyjaźń, która dalece wykracza poza relacje zawodowe. Dzięki współpracy dotyczącej Višegradu znalazłem w Nermie Jelačić partnerkę i towarzyszkę jednej z najbardziej szalonych i niezapomnianych przygód mojego życia (i kilku najgorszych kaców). Wiele zawdzięczam nieżyjącej już, ukochanej Susan Sontag; jej przyjaźń była dla mnie nieocenioną inspiracją na wielu płaszczyznach – a zaczęła się od wspólnego zaangażowania w sprawy Bośni. Edina Striković jest kobietą, którą poznałem w obozie w Trnopolju, gdy była jeszcze dzieckiem. Jej towarzystwo, przenikliwość, nieustępliwość i mądrość były dla mnie prawdziwym skarbem podczas naszej wspólnej podróży w 2011 roku, co w oczywisty sposób odcisnęło się na ostatniej części tej książki.

Mój dobry przyjaciel David Rieff napisał niedawno świetną książkę zatytułowaną *Against Remembrance* [Przeciw pamięci], dotyczącą niebezpieczeństw pamięci historycznej. Żartowaliśmy, że moja książka może zostać uznana za ripostę – *Przeciw zapomnieniu*, ale mam nadzieję, że tak nie jest. David ma wpływ na niemal wszystko, co piszę, będę więc zaszczycony, jeśli mój głos wniósł jakiś wkład do tej dyskusji. Zawsze będę wdzięczny Paulowi Gilroyowi i Vron Ware, którzy poddali trudnej próbie moje przekonanie, że interwencja militarna mogła i powinna była powstrzymać rozlew krwi w Bośni. W przypadku Iraku oczywiście maszerowaliśmy ramię w ramię przeciwko wojnie. Nie mógłbym również zapomnieć o tych kolegach po fachu, z którymi współpracowałem podczas wojny w Bośni, a którzy potem zostali moimi przyjaciółmi – to przede wszystkim Roy Gutman, Andrej Gustincic, Tom Rhodes, Robert Fox, Allan Little, Michael Montgomery, Jonathan Landay, Sean Smith, Florence Hartmann, Andrew Testa, Chris Stephen, Stacy Sullivan i Martin Bell.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec tych, którzy przeczytali i poprawili niniejszy tekst: Lary Nettelfield, która poświęciła mnóstwo czasu i wysiłku, by podzielić się ze mną swoją wiedzą i znajomością tematu; Nidžary Ahmetašević, która przeżyła tę wojnę i zna ją i jej następstwa aż za dobrze, za jej zaangażowanie i uwagi; Jasny Jelišić za mądrość, pracowitość i precyzję; oraz Toma Rhodesa, którego poznałem w wojennej zawierusze.

Wielu innych ludzi dzięki swej mądrości w ciągu ostatnich dwudziestu lat w bezpośredni lub pośredni sposób miało wpływ na tę pracę, a ich wypowiedzi, wspomnienia i spostrzeżenia stanowią jej esencję. Oto osoby i instytucje, którym jestem szczególnie wdzięczny: Idriz Merdžanić i Amira Rizvić w Kilonii; Jadranka Cigelj i Nada Burić w Zagrzebiu; Šerif i Fikreta Veliciowie w Jönköpingu; Sabiha Turkanović i Hase Ičić w Monachium; Dževad i Jasminka Hadžibegovićowie, Patrick McCarthy, Amir Karadžić, Courtney Manus i Ron Klutho w St. Louis; Shoba Nebojša Šerić i Leslie Fratkin, Hasan Gluhić, Thomas Keenan i Laura Kurgan, Mimi Doretti, Mandy Jacobson, Karmen i Carroll Bogert w Nowym Jorku; Iris i Ivana Kapetanović, Stephen Walker, Marshall Harris, Martin Walker i Carol Keefer w Waszyngtonie; Joe Bauman i Janet Komic w Salt Lake City; Peter Maguire w Wilmington w stanie Karolina Północna; Erica Zlomislić w Toronto; Florence Hartmann w Paryżu; Madeleine Rees w Ferney-Voltaire; Admira Fazlić w Amsterdamie; Nasiha Klipić w Bernie; John Hooper, Fulvio Milone, Andrea di Robilant, Fillipo Ceccarelli, Lilli Gruber, Giuseppe Zaccaria, Olivella Foresta i Andrea, Ludovico i Mathile Ciolli w Rzymie; Clare Ireland i Enzo Cosenza w Neapolu; Arnel Hećimović, Rejhana Hadžić, Ben Knowles i War Child, Jean-Jacques Gonfler, Frontline Club i Szkoła dla Dziewcząt Mulberry w Whitechapel w Londynie; Victoria-Amina Dautović w Luton; Simon Glinn w Liverpoolu; Lyttanya Shannon w Newcastle; Medisa i John Carvillowie oraz Aida Izetbegović w Manchesterze; Tesma i Samir Elezovićowie w Perth; Mevludin Orić, Hasan Nuhanović, Emir Suljagić i Andrew Testa w Srebrenicy; Haris Pašović, Zdravko Grebo, Amira i Bekim Medunjaninowie, Maja Hadžismajlović, Nedžad Sladić, Autonomiczna Republika Ludowa Džidžikovac, Jasmin Agović, Aida Mia Alić, Aida Cerkez, Lejla Gaszo, Jiří Plíšek, Velma Šarić, Alison Sluiter, Jasna Jelišić, Bar 071 i rodzina Vračićiów w Sarajewie. Dzięki również dla dwóch fantastycznych instytucji w Sarajewie: baru Nostalgija prowadzonego przez Koža, gdzie dobrzy ludzie – towarzysze i renegaci – spotykają się w czarną godzinę, gdy wszystko inne wydaje się stracone, oraz hotelu Hondo przy Zaima Šarca, prowadzonego przez wspaniałą rodzinę, która opiekowała się nami podczas wojny (od tamtego czasu wiele razy się przeprowadzałem, a w Hondo zawsze czułem się u siebie). Skoro jesteśmy przy Sarajewie, to szczególnie dziękuję Ameli Suljić, której wiara i wizja rozświetlały otchłań tego wszystkiego. Wyrazy wdzięczności dla Muharema i Muniry Aliciów w Kozaracu za ich gościnność i pyszne wegetariańskie jedzenie „dla Eddiego” (grzyby!). Dziękuję również Carol Blue i nieżyjącemu już, wspaniałemu Christopherowi Hitchensowi za przygody w północnej Bośni (ciekawe, czy major Bond kiedykolwiek zapomni naszą trójkę, albo czy my zapomnimy jego!).

Podziękowania należą się również wielu ludziom z Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii, szczególnie Markowi Harmonowi, Alanowi Tiegerowi, Teucie Sejdiu, Michaelowi Keeganowi, Florence Hartmann i Camille Bibles. Ze względu na niezwykłą delikatność materii, jaką są odniesienia do Holokaustu w tej dyskusji, jestem dozgonnie wdzięczny Thomasowi i Peggy Buergenthalom, Caroline Haux, Heldze Hoškovej-Weissovej, Zdence Fantlovej, Amelii Freedman, Dvorze Lewis i Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie.

Jestem ogromnie zobowiązany ludziom, którzy wspierali tę książkę i doprowadzili do jej wydania: moja nieustraszona agentka Tracy Bohan z Wylie Agency jak zawsze utrzymywała mnie przy życiu oraz wspierała zachętą i mądrym słowem; Will Sulkin z Bodley Head od początku okazywał wiarę i determinację (Bośnia nie należy do najlepiej sprzedających się tematów), a jego redakcja była nie tylko bardzo potrzebna, ale także sprawna i zdecydowana. Nieodzwonne okazały się entuzjazm, rady

i pomysłowość Kay Peddle z Bodley Head. Jestem też bardzo wdzięczny Timowi Maynardowi z ITN za jego cyberczary (zupełnie dla mnie niezrozumiałe), poszukiwania i wynajdywanie ważnych materiałów. Gorące podziękowania dla wszystkich w Bodley Head: Clary Womersley, Katherine Ailes, Ruth Waldram, Suzannah Ferguson, Anny Cowling i Jane Howard, a także dla Finbarra Sheehya, mistrza map.

Od lat w pracy związanej z Bośnią prowadzili mnie redaktorzy i przyjaciele z „The Guardian” i „The Observer”. Dziękuję bardzo Paulowi Websterowi, który zamawiał i redagował moje wojenne reportaże, korzystając z bardzo skutecznej metody ogromnych oczekiwań omawianych z uprzejmością, zrozumieniem i wsparciem – i który odgrywa ważną rolę w niniejszej opowieści. W tamtych czasach korzystałem też z pomocy Petera Murtagha, który obecnie pracuje w „The Irish Times”. Jestem również głęboko wdzięczny Johnowi Mulhollandowi, redaktorowi naczelnemu „The Observer”, a zarazem najbardziej inspirującemu przełożonemu, z jakim pracowałem, który wciąż wracał do palącej kwestii nadużywanego przez większość ludzi czasu przeszłego. Dzięki dla znajomych z czasów wojny, Leslie Plommer i Simona Tisdalla, i z nieco bliższego okresu, Ursuli Kenny, Jane Ferguson, Juliana Comana, Paula Simona i Allana Jenkinsa. Dziękuję również swoim wspaniałym współpracownikom z „The Observer”, najlepszym fachowcom, z jakimi kiedykolwiek pracowałem i będę pracował.

Ci z nas, dla których muzyka jest niezbędnym pokarmem duchowym, na pewno docenią znaczenie dźwięków towarzyszących pisaniu: temu przedsięwzięciu przez długie lata towarzyszyła ścieżka dźwiękowa, która z pewnością wpłynęła na jego kształt. Niezwykły głos Amiry Medunjanin i jej wyjątkowa, psychodeliczna muzyka sevdah dotrzymywały mi towarzystwa w drodze, a równocześnie były wyrazem głębokich emocji zamkniętych w tej książce. Jestem wdzięczny również Bruce’owi Dickinsonowi i Iron Maiden za muzykę odpowiednią do czasu wojny i nasze nieprawdopodobne spotkanie, opisane w książce. Dzięki także dla Roberta Planta za natchnienie i mądrość, które zawsze były dla mnie bardzo ważne. Muzyka Szostakowicza wykonywana przez Londyńską Orkiestrę Symfoniczną (specjalne podziękowania dla Noela Bradshawa) pod dyktando Walerija Giergijewa jest nieustającą inspiracją. Żaden trud nie przyniesie owoców, jeśli nie będzie mu towarzyszyła muzyka fantastycznych Hawkwind. Słuchałem ich w Shepherd’s Bush w Londynie trzydzieści sześć godzin przed oddaniem tej książki. Muszę też wspomnieć o dwuletnim cyklu koncertów muzyki fortepianowej Schuberta w wykonaniu Paula Lewisa, największego pianisty swojego pokolenia: początkowo ta muzyczna podróż wydawała się skutecznym antidotum na temat tej książki, ale później – gdy usłyszałem wnikliwą analizę tej muzyki dokonaną przez samego Lewisa – w przedziwny sposób splotła się w jedno z tą trudną materią.

Najgłębsze, osobiste i dozgonne wyrazy wdzięczności należą się oczywiście mamie, Elsie, Claudii, Tomowi, Clarze i Vic.

Ta książka powstała w Londynie i Glastonbury. W Londynie dziękuję Wendy Clare, The Constitution, The Uxbridge Arms, Tavola Calda Da Maria, barowi Torriano Deana Guberiny i The Ark Louise Mayo. Nie dziękuję jednak wcale bogaczom, którzy doprowadzili do zamknięcia The Ark i zrujnowali Notting Hill Gate, patroszą swoje domy i kopią doły pod kolejne rezydencje, zamieniając ulicę mojej matki w jeden wielki plac budowy, a jej dom (i piwnicę, w której piszę) w coś, co przypomina gabinet dentystyczny wypełniony od rana do wieczora wyciem wierteł, przy którym nie można normalnie myśleć, a co dopiero pracować. Wszystkie niedociągnięcia i niedoskonałości są wyłącznie ich winą! Dziękuję bardzo jednak moim nowym życzliwym sąsiadom z cichego i spokojnego Glastonbury – których pozwolę

sobie tu wymienić w przypadkowej kolejności: Julian, Richard, Paul i Pauline, Miriam, Tony, Anna, Kaan i Lili Lotus, Jacqui i Celia – a także Richardowi i Stephanie Ballom. Dziękuję Becketts, The Rifleman's Arms, The King Arthur i The Mitre (Never Walk Alone) oraz sdom Rogera Wilkinsa za codzienne porcje owoców. Dzięki dla Lisy i The White Spring Trust, dla Chalice Well, dla Star Child za sen, Twilight Zone Tattoo, Martinowi Carthy'emu za odwiedziny i Jonny'emu Greenowi z The Gong za powrót do ulubionej muzyki ze starych czasów.

Przede wszystkim dzięki dla Cattie, pręgowanej kocie przybłądy, za jej towarzystwo, mruczenie i poczucie humoru – mam nadzieję, że podoba ci się nowy piecyk.

Bibliografia

Wydano mnóstwo książek dotyczących Bośni i wojny w Bośni, a ja miałem większość z nich, ale wszystkie przepadły wraz z tysiącami innych – i z płytami winylowymi, co opisałem w książce. Ta obfitość jest zaskakująca, biorąc pod uwagę, jak mało uwagi poświęcała wojnie w Bośni europejska i amerykańska opinia publiczna na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy na terenach byłej Jugosławii dopuszczano się najgorszych zbrodni. W czasie wojny często proszono mnie, bym opowiedział o tych zbrodniach studentom na uczelniach położonych całkiem blisko terenów objętych wojną, ale zwykle mogłem policzyć uczestników takich spotkań na palcach obu rąk. Wydaje się, że ta sytuacja uległa zmianie, a młodzi ludzie, którzy w tym czasie byli dziećmi lub nie było ich jeszcze na świecie, pytają: Jak? Dlaczego? Być może więc dwudziesta rocznica rozpoczęcia wojny, przypadająca na 2012 rok, przyniesie wzrost zainteresowania tym tematem i większą liczbę publikacji.

W przypadku tej książki wiele zawdzięczam wspomnieniom z czasów Holokaustu, wymienionym na początku *Części trzeciej*. Oprócz nich należy jeszcze wspomnieć takie źródła jak: Raul Hilberg, *Zagłada Żydów europejskich*, przeł. J. Giebułtowski, Warszawa 2014, oraz Thomas Buergenthal, *Dziecko szczęścia*, przeł. M. Urbański, Warszawa 2008.

Jeśli chodzi o dyskusję dotyczącą pamięci, rozrachunku i sprawiedliwości, ważna była dla mnie książka Davida Rieffa *Against Remembrance*, Melbourne 2010, a w przypadku Trybunału w Hadze i dyskusji o Shoah książka Petera H. Maguire’a, *Law and War: An American Story*, New York 2000.

Co do książek o Bośni, oprócz tych wymienionych w tekście, wiele zawdzięczam takim pozycjom jak: Kemal Pervanić, *The Killing Days*, London 1999; David Rieff, *Slaughterhouse: Bosnia and the Failure of the West*, New York 1995; David Rohde, *Endgame: The Betrayal and Fall of Srebrenica*, New York 1998; Hase Ičić, *Moj Put Kroz Logore Smrti*, Doboj Jug 2009.

Najważniejsze współczesne historie tej wojny to z pewnością: Laura Silber i Allan Little, *Yugoslavia: Death of a Nation*, London 1997, oraz Misha Glenny, *The Fall of Yugoslavia: The Third Balkan War*, London 1995. Najdokładniejsza analiza agresji i samych działań wojennych znajduje się w książce Marka Atili Hoare’a *How Bosnia Armed*, London 2004. Najlepsze literackie dzieło wyrosłe z tej wojny to prawdopodobnie *Hearts Grown Brutal: Sagas of Sarajevo* Rogera Cohena (New York 2000), a żadna książka nie oddaje tak dobrze grozy zbiorowych grobów oraz zbrodni wojennych jak *The Graves: Srebrenica and Vukovar* autorstwa Erica Stovera i Gillesa Peressa (Scalo 1998).

Przypisy końcowe

Tło

- ¹ William Shakespeare, *Król Lear*, przeł. S. Barańczak, Poznań 1991, s. 150.
- ² Laura Silber, Allan Little, *The Death of Yugoslavia*, London 1995.
- ³ Brendan Simms, *Unfinest Hour: Britain and the Destruction of Bosnia*, London 2001.
- ⁴ Richard Holbrooke, *To End a War*, New York 1998, s. 60.
- ⁵ Francis Wheen, *Slobo's Appeasers, Special Report*, „The Guardian”, 11 października 2000, i powiązane artykuły.
- ⁶ Edgar Allan Poe, *Człowiek tłumy [w:] Opowieści kryminalne i tajemnicze*, przeł. S. Wyrzykowski, Poznań 2012, s. 304.
- ⁷ Raul Hilberg, *Zagłada Żydów europejskich*, przeł. J. Giebułtowski, Warszawa 2014.

Sierpień 1992. Obóz Omarska i wędrówka do ziemi niczyjej

- ⁸ Samuel Taylor Coleridge, *Rymy o sędziwym marynarzu [w:] Angielscy „Poeci Jezior”*, przeł. S. Kryński, Wrocław 1963, s. 287.

Niebo, piekło i Hertfordshire

- ⁹ James Joyce, *Portret artysty z czasów młodości*, przeł. Z. Allan, Warszawa 1977, s. 270.

Antrakt. Echa Trzeciej Rzeszy: Auschwitz-Birkenau

- ¹⁰ Charlotte Delbo, *Auschwitz and After*, transl. by R. Lamont, New Haven 1995, s. 224.
- ¹¹ Tamże.

Gwałt

- ¹² Jadranka Cigelj, *Appartement 102 – Omarska*, Würzburg 2006, s. 107.

Środkowy palec dla Prijedoru

- ¹³ *Za Biblią Tysiąclecia*, Poznań 2003.

Powrót do Omarskiej: Walka o pamięć

- ¹⁴ Peter Pelz, Donald Reeves, *The White House: From Fear to a Handshake*, Winchester 2008.

Najczarniejsze stronicie historii: Srebrenica 2005

- ¹⁵ Pełny opis – patrz David Rohde, *Endgame: The Betrayal and Fall of Srebrenica*, New York 1998.

Zagubiony chłopiec

- ¹⁶ Lara L. Nettelfield, *Courting Democracy in Bosnia and Herzegovina: The Hague Tribunal's Impact in a Postwar State*, Cambridge–New York 2010, s. 271.
- ¹⁷ Tamże, s. 12.
- ¹⁸ Tamże, s. 171, 173.
- ¹⁹ Tamże, s. 280, 281.

Bez rozrachunku: Kamienny świat

- ²⁰ Charlotte Delbo, *La Mémoire et les Jours*, Paris 1985 (cyt. za: Lawrence L. Langer, *Świadectwa zagłady. W rumowisku pamięci*, przeł.

M. Szuster, Warszawa 2015, s. 24).

²¹ Tamże, s. 25.

²² Tamże, s. 25, 26.

²³ Jean Améry, *Poza winą i karą*, przeł. R. Turczyn, Kraków 2007, s. 88, 100.

²⁴ Tamże, s. 160, 161.

²⁵ Tamże, s. 163.

²⁶ Tadeusz Borowski, *Pożegnanie z Marią. Kamienny świat*, Warszawa 1972, s. 137, 139.

²⁷ Primo Levi, *Pogrążeni i ocaleni*, przeł. S. Kasprzysiak, Kraków 2007, s. 11, 12.

²⁸ Tamże, s. 231.

²⁹ Tamże, s. 230.

³⁰ Tamże, s. 226.

³¹ Tamże, s. 238.

³² Tamże, s. 229.

³³ Lawrence L. Langer, *Świadectwa zagłady. W rumowisku pamięci*, przeł. M. Szuster, Warszawa 2015, s. 23.

³⁴ Tamże, s. 24.

³⁵ Tamże, s. 37.

³⁶ Tamże, s. 39.

³⁷ Tamże, s. 89.

³⁸ Tamże, s. 117.

³⁹ Tamże, s. 91.

⁴⁰ Primo Levi, *Pogrążeni i ocaleni*, dz. cyt., s. 185.

⁴¹ Hase Ičić, *Moj Put Kroz Logore Smrti*, Dobj Jug 2009, s. 41–43.

Przypisy

[1] Republika Serbska (część składowa BiH) nie jest tożsama z Republiką Serbii, czyli Serbią, niepodległym państwem graniczącym z BiH (przyp. tłum.; jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od redakcji).

[2] Muzułmanie w byłej Jugosławii otrzymali status odrębnego narodu w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku (w odróżnieniu od wyznawców islamu nazwa tej grupy narodowej zapisywana jest wielką literą). Obecnie określani są zwykle jako Boszniacy. Tu terminy te stosowane są wymiennie (przyp. tłum.).

[3] Określenie „bośniacka ofensywa”, „bośniacka armia” itd. jest przez autora stosowane w odniesieniu do działań oddziałów kontrolowanych przez rząd w Sarajewie (w odróżnieniu od armii bośniackich Serbów czy Chorwatów).

[4] CBE – komandor Orderu Imperium Brytyjskiego (przyp. tłum.).

[5] Nazwa Višegrad często w polskich tekstach zapisywana jest „Wiszeograd”; tutaj przyjęto oryginalny zapis wszystkich nazw miejscowych oprócz nazw stolic państw i miast posiadających utrwaloną polską wersję zapisu (na przykład Dubrownik).

[6] Według tradycji symbol ten wywodzi się jeszcze ze średniowiecza.

[7] W rzeczywistości bitwa była nierozstrzygnięta, ale ze względu na swoje konsekwencje w tradycji narodowej utrwaliła się jako wielka klęska.

[8] W mowie Miloševića z 28 czerwca 1989 roku nie padły takie słowa, choć niektóre fragmenty przemówienia bywały interpretowane jako zawołana groźba; tekst mowy w wersji oryginalnej dostępny jest na stronie: <http://www.vreme.com/cms/view.php?id=872091> (dostęp: 23.07.2015).

[9] Nawiązanie do „Keystone Cops”, czyli fikcyjnych ofermowatych policjantów z serii amerykańskich niemych filmów komediowych z początku XX wieku (przyp. tłum.).

[10] Medicare – program ubezpieczeń społecznych administrowany przez rząd USA i przeznaczony dla osób powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia lub osób niepełnosprawnych (przyp. tłum.).

[11] Wiersz *Sarajewo*, w którym znajduje się zapowiedź spalenia tytułowego miasta, Karadžić opublikował w 1971 roku.

[12] Autor prawdopodobnie ma na myśli oddział tzw. Šešeljevców, jednostkę paramilitarną, która dopuściła się wielu zbrodni m.in. w Višegradzie, Fočy i Gacku. Šešelj nie brał bezpośredniego udziału w walkach w BiH, ale rekrutował ochotników, wspierał ich organizacyjnie i finansował. Obecnie jest sądzony przed Trybunałem w Hadze.

[13] Ante Gotovina został skazany na 24 lata więzienia w 2011, ale w 2012 wyrok ten został uchylony przez Izbę Apelacyjną MTKJ, która go uniewinniła.

[14] Gra słów nieprzetłumaczalna na język polski: *Rest in pieces* (ang. Spoczywaj w kawałkach) brzmi prawie jak: *Rest in peace* (ang. Spoczywaj w pokoju).